

DAVID EDDINGS

KRÓL MURGÓW

KSIĘGA DRUGA MALLOREONU

SCAN-DAL

PROLOG

Będący opowieścią o tym, jak wykradziono Syna Belgariona i jak on sam dowiedział się, że porywaczem był Zandramas, przed którym ostrzegął potężny Klejnot Aldura.

- z „Żywotów Belgariona Wielkiego” (Wstęp, tom IV)

Na Początku Dni Bogowie stworzyli świat i zapelnili go wszelkimi bestiami, ptactwem skrzydlatym i roślinami. Uczynili również człowieka, a każdy z Bogów wybrał spośród ras ludzkich tę, którą będzie prowadził i którą będzie władał. Lecz Bóg Aldur nie wybrał żadnego ludu, albowiem zdecydował prowadzić samotne życie w swej wieży i badać stworzenie, które oni uczynili.

Lecz nadszedł czas, gdy zjawilo się w wieży Aldura głodne dziecko, a Aldur wziął je do siebie i nauczył je Woli i Słowa, dzięki którym można używać wszelkiej mocy zwanej przez ludzi czarami. Ponieważ chłopiec dobrze się zapowiadał, Aldur nadał mu imię Belgarath i uczynił go swym uczniem. Potem przyszli inni; ich też Aldur przygarnął i uczynił ich swymi uczniami. Był pośród nich chłopiec o zdeformowanym cielem, którego Aldur nazwał Beldin.

Nadszedł dzień, w którym Aldur podniósł kamień, nadał mu kształt i nazwał go Klejnotem, ponieważ kamień ten spadł spoza gwiazd i był źródłem wielkiej mocy, siedzibą jednego z dwóch Przeznaczeń, które od Początku Dni walczyły o władzę nad całym stworzeniem.

Lecz Bóg Torak pożądał kamienia i skradł go, gdyż Ciemne Przeznaczenie pragnęło, by dusza Klejnotu mu służyła. Wtedy ludzie z Alorii, zwani Alornami, spotkali się z Belgarathem, który poprowadził Chereka o Niedźwiedzich Barach i jego trzech synów na daleki Wschód, gdzie Torak zbudował Cthol Mishrak, Miasto Nocy. Tam ukradkiem wykradli Klejnot i powrócili z nim.

Idąc za radą Bogów, Belgarath podzielił Alorię na królestwa: Chereku, Drasnię, Algarię i Rivę, a każda nazwa pochodziła od imienia króla, który miał nią władać. Rivie o Żelaznej Dłoni, który miał objąć władze nad Wyspą Wiatrów, powierzył pieczę nad Klejnotem. On umieścił Klejnot w głowicy wielkiego miecza, który wisiał na ścianie sali tronowej w Cytadeli Rivańskiego Króla, za jego tronem.

Belgarath udał się wówczas na poszukiwanie swego domu, lecz zamiast niego znalazł rozpacz. Jego ukochana żona Poledra odeszła z tego świata, dając życie dwóm bliźniaczym

siostram. W swoim czasie czarodziej wysłał Beldaran Jasnowiąsa, aby została małżonką Rivy o Żelaznej Dłoni i założyła dynastię Rivańskich Królów. Swą drugą córkę, Polgarę, zatrzymał przy sobie, gdyż wśród jej ciemnych włosów był jeden jasny kosmyk, co oznaczało, że jest czarodziejką.

Moc Klejnotu strzegła Zachodu, życie w nim płynęło spokojnie i pomyślnie przez tysiące lat. Potem, w dniu zła, Rivański Król Gorek, jego synowie i synowie jego synów zostali zamordowani przez plugawych zdrajców. Jednakże jedno dziecko przeżyło i odtąd Belgarath i Polgara strzegli chłopca, trzymając go w ukryciu. Na Wyspie pogrążony w smutku Strażnik Rivy, Brand, przejął władzę po swoim zamordowanym panu, a jego synowie strzegli Klejnotu przez wiele lat; wszyscy oni znani byli pod imieniem Brand.

Lecz nadszedł czas, gdy Zedar zwany Odstępca znalazł dziecko tak niewinne, że mogło dotknąć Klejnotu i nie zginąć od jego płomieni. Dzięki temu Zedar ukraść Klejnot i uciekł z nim ku miejscu, w którym ukrywał się jego uśpiony Mistrz, Torak.

Kiedy Belgarath dowiedział się o tym, udał się na małą, spokojną farmę w Sendarii, gdzie Polgara wychowywała chłopca o imieniu Garion, który był ostatnim potomkiem dynastii rivańskiej. Wzięli dziecko ze sobą i wyruszyli na poszukiwanie Klejnotu. Po wielu mrozących krew w żyłach przygodach znaleźli chłopca, którego nazwali Podarkiem, a który był powiernikiem Klejnotu. Następnie powrócili, aby umieścić Klejnot na powrót w głowicy miecza.

Wtedy Garion, zwany Belgarionem odkąd wykazał się swoją siłą magiczną, poznał Proroctwo, które objawiło, że nadchodził czas, gdy on, jako Dziecię Światła, będzie musiał stawić czoło przekłętemu Bogowi Torakowi i zabić go lub samemu zginąć. Przepelniony lękiem młodzieniec wyruszył na wschód ku Miastu Nocy, aby wypełnić się jego przeznaczenie. Lecz dzięki pomocy wielkiego miecza z Klejnotem Aldura odniósł zwycięstwo i uśmiercił Boga.

W ten sposób Belgarion, potomek Rivy Żelaznopalcego, został Królem Rivy i Władcą Zachodu. Wziął sobie za żonę tolnedrańską księżniczkę Ce'Nedrę, natomiast Polgara wyszła za wiernego kowala Durnika, gdyż bogowie wskrzesili go z martwych i obdarzyli mocą czarodziejską, aby był jej równy. Belgarath, Polgara i Durnik udali się do Doliny Aldura w Algarii, aby tam zająć się wychowaniem dziwnego, delikatnego chłopca Podarka.

Mijały lata, a Belgarion nauczył się być mężem swojej młodej żony, zaczął doskonalić swoje zdolności magiczne oraz dbać o swój tron. Na Zachodzie panował spokój, ale niepokój nękał Południe, gdzie Kal Zakath, imperator Mallorei, prowadził wojnę przeciwko królowi Murgów. Powracający z Mallorei Belgarath potwierdził prawdziwość wieści o kamieniu

zwanym Sardion. Ale czym mógł on być, oprócz tego, że był obiektem budzącym strach, tego czarodziej nie mógł powiedzieć.

Pewnej nocy, kiedy Podarek bawił z gościnną w Cytadeli w Rivie, jego i Belgariona obudził głos Proroctwa, który odezwał się w ich umysłach i wezwał ich do sali tronowej. Tam błękitny Klejnot nagle poczerwieniał z gniewu i odezwał się tymi słowami: „Zagraża wam Zandramas!”. Ale w żaden sposób nie mogli dowiedzieć się, kim lub czym był ten Zandramas.

Po latach oczekiwania Ce’Nedra urodziła dziecko. Lecz fanatyczni wyznawcy kultu Niedźwiedzia ponownie dali o sobie znać. Krzyczeli, że żadna Tolnedranka nie może zostać Królową i że Król powinien ją oddalić i pojąć za żonę prawdziwą Alornkę.

Kiedy do rozwiązania pozostało już niewiele czasu, Królowa została napadnięta w kąpeli, a niedoszła zabójczyni prawie ją utopiła, po czym zbiegła na wieżę Cytadeli i rzuciła się stamtąd na skały. Książę Kheldar, Drasanin uwielbiający przygody, znany również jako Silk, stwierdził na podstawie ubrania kobiety, że mogła być wyznawczynią kultu. Belgarion zapalał gniewem, lecz jeszcze nie rozpoczął wojny.

Minął pewien czas i Królowa Ce’Nedra urodziła pięknego, zdrowego następcę Tronu Rivy. Radość na ziemiach Alornów i poza nimi nie miała granic, w Rivie zebrali się dostojnicy, by świętować i cieszyć się tymi szczęśliwymi narodzinami.

Kiedy wszyscy już odjechali i spokój znowu zapanował w Cytadeli, Belgarion dokończył swych studiów nad starożytnym Proroctwem, które ludzie nazywali Kodeksem Mrin. Długo niepokoiła go dziwna plama, aż zrozumiał, że w świetle Klejnotu może odczytać ukryte pod nią słowa. Dzięki temu dowiedział się, że Ciemne Proroctwo i jego, Belgariona, zobowiązania jako Dziecięcia Światła nie skończyły się wraz ze śmiercią Toraka. Dziecięciem Ciemności był teraz Zandramas, z którym musi się spotkać „w miejscu, którego już nie ma”.

Z ogromnym ciężarem na duszy udał się pospiesznie do Doliny Aldura, aby omówić tę sprawę ze swoim dziadkiem Belgarathem. Lecz wtedy, gdy rozmawiał ze starcem, posłaniec przyniósł mu kolejne złe wiadomości. Mordercy wdarli się nocą do Cytadeli i zabili wiernego Strażnika Rivy, Branda.

Wraz z Belgarathem i Polgarą Belgarion pospieszył do Rivy. Jeden z zabójców żył jeszcze. Przybył także książę Kheldar i stwierdził, że leżący teraz bez przytomności morderca był członkiem kultu Niedźwiedzia. Dzięki nowym poszlakom odkryto, że kult gromadził armię w Rheonie w Drasni i budował flotę w Jarviksholmie na wybrzeżu Chereku.

Wówczas Król Belgarion wypowiedział wojnę kultowi Niedźwiedzia. Idąc za radą

pozostałych monarchów Alornów, uderzył najpierw na stocznie w Jarvikshohmie, aby uniemożliwić wrogiej flocie wypłynięcie na Morze Wiatrów. Atak był niespodziewany i okrutny. Jarviksholm został starty na proch, a na wpół gotowa flota została spalona, zanim jeden kil dotknął wody.

Lecz zwycięstwo obróciło się wniwecz, kiedy dotarli do nich wieści z Rivy. Mały syn króla został porwany.

Belgarion, Belgarath i Polgara za pomocą czarów zamienili się w ptaki i dolecieli do Rivy w jeden dzień. Miasto zostało już przeszukane dom po domu. Dzięki pomocy Klejnotu Belgarion udał się tropem porywaczy na zachodni brzeg Wyspy. Tam on i jego przyjaciele napotkali bandę Chereków, wyznawców kultu i napadli na nich. Jeden z wrogów przeżył i Polgara zmusiła go do mówienia. Powiedział im, że dziecko zostało porwane na rozkaz Ulfgara, przywódcy kultu Niedźwiedzia, którego siedziba znajdowała się w Rheonie we wschodniej Drasni. Lecz zanim Polgara zdołała wydusić z niego więcej informacji, fanatyk rzucił się z urwiska, na którym stali i zginął na skałach leżących poniżej.

Wojna przeniosła się do Rheonu. Belgarion zdał sobie sprawę, że przeciwnicy mają nad nim liczebną przewagę. Gdy zbliżał się do miasta, wpadł w zasadzkę. Groziła mu klęska, kiedy zjawił się Książę Kheldar z najemnymi Nadrakami i odmienił losy bitwy. Wzmocnieni przez Nadraków Rivańczycy rozpoczęli oblężenie miasta Rheon.

Belgarion i Durnik połączyli swoją Wolę, aby osłabić podstawy murów, dzięki czemu katapulty barona Mandorallena mogły szybciej je zburzyć. Prowadzeni przez Belgariona Rivańczycy i Nadrakowie wdarli się do miasta. Walka była zacięta, ale fanatycy musieli się cofnąć; w końcu większość z nich zginęła. Wówczas Belgarion i Durnik pochwycili przywódcę kultu, Ulfgara.

Choć Belgarion wiedział już, że jego syna nie ma w mieście, miał nadzieję, że dzięki dokładnemu przesłuchaniu uda mu się wyciągnąć z Ulfgara wiadomości o miejscu pobytu dziecka. Jednakże fanatyk uparcie odmawiał udzielenia odpowiedzi; wtedy nieoczekiwanie Podarek wy dostał informacje bezpośrednio z jego umysłu.

Stało się jasne, że to Ulfgar był odpowiedzialny za próbę pozbawienia życia Ce'Nedry, ale nie brał udziału w porwaniu dziecka. W rzeczy samej, jego głównym celem było pozbawienie syna Belgariona życia, najlepiej jeszcze przed narodzinami chłopca. Najwyraźniej nic nie wiedział o porwaniu, które krzyżowało jego plany.

Wtedy przyszedł do nich czarodziej Beldin. Od razu poznał, że Ulfgar to Harakan, podwładny ostatniego ucznia Toraka, Urvona. Nagle Harakan zniknął, a Beldin udał się za nim w pościg.

Wówczas przybyli posłańcy z Rivy. Śledztwo, rozpoczęte po wyjeździe Belgariona, doprowadziło do wykrycia pasterza ze wzgórz, który widział postać niosącą coś, co mogło być dzieckiem, która wsiadła na nyissański statek i popłynęła na południe.

Wieszczka z Kell, Cyradis, wysłała do nich swoją projekcję, aby udzielić im więcej informacji. Według niej dziecko zostało porwane przez Zandramasa, który uprzął taką sieć kłamstw, aby zrzucić winę na Harakana, że nawet pozostali przy życiu fanatycy wierzyli w to wszystko, czego Polgara dowiedziała się na urwisku.

Wieszczka powiedziała, że Dziecię Ciemności ukradło syna Belgariona dla pewnego celu, który ma związek z Sardionem. Teraz muszą ścigać Zandramasa. Nie chciała im wyjawić niczego więcej, poza imionami osób, które muszą towarzyszyć Belgarionowi. Potem zniknęła, zostawiając swojego niemego, ogromnego przewodnika Totha, aby udał się z nimi.

Serce Belgariona zamarło, gdy zdał sobie sprawę, że porywacz miał nad nimi wiele miesięcy przewagi i że jego ślad był już bardzo niewyraźny. Pogrążony w smutku zebrał swych przyjaciół i ruszył w pościg za Zandramasem, gotów ścigać go na kraniec świata, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

CZEŚĆ PIERWSZA

Wężowa Królowa

Rozdział I

Gdzieś w ciemnościach rozlegało się powolne, monotonne kapanie krystalicznej wody. Powietrze wokół Gariona było chłodne, pachniało skałami i wilgocią. Czuł także stęchły odór jakichś białych roślin, które krzewiły się w ciemności i kurczyły od światła. Stwierdził, że uważnie nasłuchuje wszelkich dźwięków, które rozlegały się w ciszy ulgskich jaskiń - kapania wody, ślizgania się obluzowanych kamyków, które powoli sunęły po zakurzonym niskim stoku, jak również ponurych westchnień wiatru docierającego z powierzchni poprzez szczeliny skalne.

Belgarath zatrzymał się i uniósł w górę dymiącą pochodnię, która napełniała korytarz drżącym pomarańczowym światłem i ruchomymi cieniami.

- Zaczekajcie tu chwilę - powiedział i odszedł mrocznym pasażem, szurając po nierównym podłożu swymi butami pochodzącymi z dwóch różnych par. Jego towarzysze stali w ciemnościach napierających na nich ze wszystkich stron.

- Nie znoszę tego - burknął Silk na wół do siebie. - Naprawdę tego nie znoszę.

Czekali.

Różowe, migoczące światło pochodni Belgaratha ukazało się na końcu pasażu.

- W porządku - powiedział. - Tędy.

Garion objął szczupłe ramiona Ce'Nedry. Otoczyła ją dziwna, głęboka cisza, odkąd wyruszyli na południe z Rheonu, kiedy stało się jasne, że cała kampania przeciwko kultowi Niedźwiedzia we wschodniej Drasni nie przyniosła żadnych efektów, oprócz tego, że dała Zandramasowi, uciekającemu z porwanym Geranem, przewagę, którą bardzo trudno będzie odrobić. Rozpacz sprawiająca, że Garion chciał zacisnąć pięści i walić nimi w skały, wyjął z bezradnej złości, Ce'Nedre pchnęła w stan głębokiej depresji. Szła potykając się przez ciemne jaskinie, pogrążona w zobojętniającym na wszystko cierpieniu, nie wiedząc i nie interesując się tym, dokąd ją prowadzą. Garion zwrócił twarz ku Polgarze, a na jego obliczu malowała się cała jego troska. Odwzajemniła się poważnym, nieprzeniknionym spojrzeniem. Rozsunęła poły swej niebieskiej tuniki i wykonała dłońmi niemal niedostrzegalne ruchy w drasnańskim tajnym języku.

- Upewnij się, że jest jej ciepło - powiedziała. - Jest teraz bardzo podatna na przeziębienie...

Pół tuzina rozpaczliwych pytań naraz przyszło Garionowi do głowy ale mając Ce'Nedre przy boku i obejmując ją jedną ręką, nie miał jak ich zadać.

- Musisz zachować spokój, Garionie - rzekły do niego palce Polgary. - Nie pozwól, by się domyśliła, jak bardzo cię to dręczy. O, gdy nadejdzie czas...

Belgarath znowu się zatrzymał i stał, nerwowo tarosząc ucho i wpatrując z powątpiewaniem w głąb jednego korytarza, a potem zaglądnąjąc do drugiego, który odchodził stąd w lewo.

- Znowu się zgubiłeś, prawda? - oskarżył go Silk. Mały Drasanin o czerwonej twarzy zrezygnował ze swego perłowo-szarego płaszcza, klejnotów i złotych łańcuchów i miał teraz na sobie brązową, starą, wyświechtaną tunikę, zżarty przez mole futrzany płaszcz i bezkształtny, zniszczony kapelusz. Po raz kolejny przywdział jedno ze swoich niezliczonych przebrań.

- Oczywiście, że się nie zgubiłem - odpowiedział ostro Belgarath. - Po prostu nie dość dokładnie mogę określić, gdzie się w tej chwili znajdujemy.

- Belgaracie, to właśnie oznacza słowo „zgubić się”.

- Bzdura. Myślę, że powinniśmy pójść tędy. - Wskazał na korytarz po lewej stronie.

- Myślisz?

- Och, Silku - kowal Durnik ostrzegł go szeptem. - Naprawdę powinieneś mówić ciszej. Ten sufit wcale nie wygląda solidnie, a czasami wystarcza jedno głośniejsze wypowiedziane słowo, żeby coś takiego spadło na głowę.

Silk zamarł i bojaźliwie wznosił oczy do góry, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Polgaro - powiedział zduszonym głosem. - Każ mu przestać.

- Daj mu spokój, Durniku - rzekła spokojnie. - Wiesz, jak on się czuje w jaskiniach.

- Ja tylko pomyślałem sobie, że powinien o tym wiedzieć, Pol - wyjaśnił kowal. - Różne rzeczy zdarzają się w jaskiniach.

- Polgaro! - w głosie Silka słychać było cierpienie. - Proszę!

- Wróć i zobaczę, jak Podarek i Toth radzą sobie z końmi - oświadczył Durnik. - Tylko staraj się nie krzyczeć - poradził.

Kiedy minęli kolejny zakręt korytarza, ujrzeni przed sobą ogromną pieczarę. Po suficie biegła szeroka żyła kwarcu. W jakimś miejscu, może o wiele mil stąd, żyła wychodziła na powierzchnię i załamywała światło, które rozszczepiało się na ściankach minerału, po czym wlewało do pieczary roztańczonymi tęczkami, które błyskały i znikwały, przelatując nad powierzchnią małego, płytkiego jeziora pośrodku jaskini. W drugim końcu jeziora znajdował się mały wodospad, w którym huczała przewalająca się pomiędzy skałami woda, co napełniało całe pomieszczenie szczególną muzyką.

- Ce'Nedro, spójrz - zawołał Garion.

- Tak - uniosła głowę. - Ach, rzeczywiście - powiedziała obojętnym tonem. - Bardzo ładne. - Po czym powróciła do swego milczenia.

Garion spojrzał bezradnie na Polgarę.

- Ojczy - odezwała się Polgara. - Myślę, że czas już na lunch. Wydaje mi się, że w tym miejscu możemy odrobinę odpocząć i zjeść co nieco.

- Pol, nigdy tam nie dojdziemy, jeśli będziemy się zatrzymywać co milę lub dwie.

- Dlaczego zawsze się ze mną kłócisz, ojczy? Czy to jakaś twoja dziwaczna zasada?

Przez chwilę przyglądał się jej ze złością, po czym odwrócił się, mruczając coś do siebie.

Podarek i Toth zaprowadzili konie nad brzeg krystalicznego jeziora, aby je napić. Stanowili dziwnie niedobraną parę. Podarek był drobnym, młodym mężczyzną o jasnych, kręconych włosach; nosił zwykłą, brązową, chłopską bluzę. Toth górował nad nim jak gigantyczne drzewo nad młodym krzaczkiem. Mimo że do Królestw Zachodu nadciągała zima, olbrzymi niemowa nosił tylko sandały, przepasany w talii kaftan, a przez ramię przerzucił sobie bezbarwny wełniany koc. Nagie ramiona i nogi wyglądały jak pnie drzew, a mięśnie prężły się, gdy się tylko poruszył. Brązowe włosy zaczesane były do tyłu i związane przy karku krótkim rzemieniem. Niewidoma Cyradis powiedziała, że ten niemy olbrzym pomoże im w poszukiwaniu Zandramasa i uprowadzonego syna Gariona, ale dotychczas Toth z zadowoleniem szedł z nimi i do niczego się nie wtrącał, niczym nie zdradzając nawet tego, czy interesuje go, dokąd się udają.

- Czy mogłabyś mi pomóc, Ce'Nedro? - zapytała łagodnie Polgara, rozwiązując sznurek na jednej z paczek.

Ce'Nedra, obojętna i jakby nieobecna, przeszła powoli po gładkim, kamiennym podłożu pieczary i stanęła przy jucznym koniu, wciąż nic nie mówiąc.

- Będziemy potrzebować chleba - rzekła Polgara, grzebiąc w paczce, jakby nie zdawała sobie sprawy z braku zainteresowania Ce'Nedry dla brązowych bochenków wiejskiego chleba i ułożyła je na wyciągniętych rękach królowej, jak szczapy drewna na ognisko.

- I sera, oczywiście - dodała, podnosząc pokrytą woskiem bryłę sendariańskiego cheddara. - A może by tak jeszcze odrobinę szynki, co ty na to?

- Chyba tak - odpowiedziała Ce'Nedra niczego nie wyrażającym tonem.

- Garionie - mówiła dalej Polgara. - Czy mógłbyś położyć ten materiał na tamtym płaskim kamieniu? - Spojrzała znowu na Ce'Nedre. - Nie znoszę jedzenia przy nie nakrytym stole, a ty?

- Mhm - burknęła.

Obie kobiety zniosły bochenki chleba, ser i szynkę na zaimprovizowany stół. Polgara klasnęła w dłonie i pokręciła głową.

- Zapomniałam o nożu. Czy możesz mi go przynieść? Ce'Nedra skinęła głową i ruszyła z powrotem w stronę jucznego konia.

- Co jej jest, ciociu Pol? - zapytał Garion pełnym napięcia szeptem.

- To pewien rodzaj melancholii, kochanie.

- Czy to niebezpieczne?

- Tak, jeśli będzie trwało zbyt długo.

- Czy możesz coś z tym zrobić? To znaczy, czy możesz dać jej jakieś lekarstwo czy coś takiego?

- Wolałabym tego nie robić, o ile nie będę musiała, Garionie. Czasami lekarstwa tylko maskują objawy i wówczas zaczynają się pojawiać inne problemy. W większości przypadków najlepiej jest pozwolić, by choroba minęła sama.

- Ciociu Pol, nie mogę patrzeć, jak ona się męczy.

- Będziesz musiał znosić to przez jakiś czas, Garionie. Po prostu zachowuj się tak, jakbyś nie zauważał zmian w jej sposobie bycia. Jeszcze nie jest gotowa, by z tego wyjść. - Odwróciła się z uśmiechem. - Ach, jesteś - powiedziała, biorąc nóż od Ce'Nedry. - Dziękuję, kochanie.

Wszyscy zgromadzili się przy prowizorycznym stole Polgary, aby zjeść prosty posiłek. Kowal Durnik jadł i w zamyśleniu spoglądał na małe, krystalicznie czyste jezioro.

- Ciekawe, czy są tam jakieś ryby - zadumał się.

- Nie, kochanie - powiedziała Polgara.

- Ale to jest możliwe, Pol. Jeśli do tego jeziora wpadają strumienie z powierzchni, to ryby mogły tu wpłynąć, kiedy były jeszcze małe i...

- Nie, Durniku. Westchnął.

Po lunchu weszli z powrotem w niekończące się, pełne zakrętów korytarze. Belgarath znowu szedł na czele i świecił im pochodnią. Godziny wlokły się, a oni z trudem poruszali się naprzód; napór ciemności był niemal fizycznie wyczuwalny.

- Jak daleko musimy jeszcze iść, dziadku? - zapytał Garion, idąc obok starca.

- Trudno to dokładnie określić. W takiej jaskini łatwo pomylić się co do odległości.

- Czy w ogóle wiesz, z jakiego powodu tu weszliśmy? To znaczy, czy coś jest napisane w Kodeksie Mrin albo w Kodeksie Darińskim o tym, co powinno się zdarzyć w Ulgo?

- Niczego takiego nie pamiętani, nie.

- Nie myślisz, że mogliśmy coś źle zrozumieć, prawda?

- Nasz przyjaciel był dosyć dokładny, Garionie. Powiedział, że po drodze musimy się zatrzymać w Prolgu, ponieważ coś, co ma się zdarzyć, właśnie tam się przydarzy.

- A czy to nie może stać się bez nas? - dopytywał się Garion. - Płaczymy się po tych jaskiniach, a tymczasem Zandramas i mój syn są od nas coraz dalej.

- Co to? - zapytał nagle Podarek idący za nimi. - Chyba coś słyszałem.

Zatrzymali się i zaczęli nasłuchiwać. Migoczący płomień pochodni zdawał się nagle wydawać bardzo głośne dźwięki, gdy Garion wyteżył słuch, próbując sięgnąć nim w ciemność i pochwycić każdy podejrzany odgłos. Gdzieś przed nim rozlegało się miękkie echo kapiących kropli, a ciche westchnienia wiatru docierającego tu przez szczeliny w skałach, stanowiły ponury akompaniament. Potem Garion usłyszał bardzo cichy śpiew, chór, który wznosił dziwnie nieharmonijny, lecz pełen szacunku hymn na cześć ULa. Rozbrzmiewał on tutaj przez ponad pięć tysięcy lat, odbijając się od ścian jaskiń niekończącym się echem.

- Ach, Ulgos - odezwał się z zadowoleniem Belgarath. - Jesteśmy już prawie w Prolgu. Może teraz dowiemy się, co ma się tutaj wydarzyć.

Przeszli jeszcze około mili korytarzem, który dość nieoczekiwanie stał się bardziej stromy i prowadził ich coraz niżej w głąb ziemi.

- Yakk! - odezwał się przed nimi jakiś ostry głos. - Tacha velk?

- Belgarath, Iyun hak - odpowiedział spokojnie czarodziej.

- Belgarath? - w nieznanym głosie słychać było zaskoczenie. - Zajek kallig, Belgarath?

- Marekeg Gorim, Iyun zajek.

- Yeed mo. Mar ishum Ulgo.

Belgarath zgasił pochodnię, gdy ulgoski wartownik zbliżył się do nich, niosąc wysoko przed sobą fluorescencyjną drewnianą czarę.

- Yad ho, Belgarath. Groja UL.

- Yad ho - starzec odpowiedział rytualnym pozdrowieniem. - Groja UL.

Niski, szeroki w barach Ulgos skłonił się szybko, po czym odwrócił się i poprowadził ich ponurym pasażem. Od drewnianej czary rozchodziło się zielonkawe, jasne światło i napępniało ciemny korytarz jakąś niesamowitą poświatą, w której twarze wszystkich ludzi były blade, jakby byli duchami. Gdy przeszli kolejną milę, pasaż rozszerzył się i zmienił w jedną z obszernych pieczar. Blade, zimne światło, nad którym zapanowali Ulgosi, mrugało do nich z setek otworów w najwyższych częściach skalnych ścian. Ostrożnie przeszli wzdłuż

wąskiego występu ku podstawie skalnych schodów, które wykuto w ścianie jaskini. Ich przewodnik zamienił kilka słów z Belgarathem.

- Będziemy musieli zostawić tutaj konie - powiedział starzec.

- Mogę z nimi zostać - zaofiarował się Durnik.

- Nie. Ulgosi zajmą się nimi. Chodźmy. - Zaczął wchodzić po wąskich schodach.

Wspinali się w milczeniu, odgłosy ich kroków odbijały się pustym echem w odległych częściach pieczary.

- Podarku, nie wychylaj się tak nad krawędź - powiedziała Polgara, gdy przeszli już mniej więcej połowę drogi.

- Chciałem tylko zobaczyć, jak tu jest głęboko - odrzekł. - Czy wiedziałaś, że tam w dole jest woda?

- To jeden z powodów, dla których wołałabym, żebyś trzymał się z dala od krawędzi.

Uśmiechnął się do niej i pomaszerował dalej.

Kiedy dotarli na szczyt schodów, pokonali jeszcze kilkaset jardów, obchodząc brzeg podziemnej przepaści, po czym weszli do jednego z pasaży, gdzie w wydrążonych w skale izdebkach mieszkali i pracowali Ulgosi. Za nimi znajdowała się słabo oświetlona pieczara Gorima z jeziorem, wyspą i dziwnym domem w kształcie piramidy, otoczonym dostojnymi, białymi kolumnami. Na końcu marmurowej grobli przecinającej jezioro stał Gorim z Ulgo, jak zawsze ubrany w białą szatę i przyglądał się im poprzez wodę.

- Belgarath? - zawołał drżącym głosem. - Czy to ty?

- Tak, to ja, Przenajświętszy - odpowiedział starzec. - Mogłeś się domyślić, że znowu się tu zjawię.

- Witaj, stary przyjacielu.

Belgarath ruszył ku grobli, lecz Ce'Nedra wyprzedziła go, biegnąc z rozwianymi lokami w kolorze miedzi i wyciągając przed siebie ręce.

- Ce'Nedra? - zapytał, mrugając oczami, gdy zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Och, Święty Gorimie - załkała, kryjąc twarz w jego ramieniu. - Ktoś zabrał moje dziecko.

- Co takiego? - wykrzyknął.

Garion niemal odruchowo podszedł do grobli, żeby stanąć u boku Ce'Nedry, ale Polgara położyła dłoń na jego ramieniu, żeby go powstrzymać.

- Jeszcze nie, kochanie - szepnęła.

- Ale...

- Może właśnie tego potrzebuje, Garionie.

- Ale, ciociu Pol, ona płacze.

- Tak, kochanie. Na to właśnie czekałam. Musimy pozwolić, żeby żal zapanował nad nią, zanim zacznie wychodzić z tego stanu.

Gorim trzymał łkającą małą królową w ramionach, mruczając coś do niej cichym, pocieszającym tonem. Kiedy uciszyła się pierwsza burza płaczu, uniósł swą pokrytą zmarszczkami twarz.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

- Pod koniec lata - odpowiedział mu Belgarath. - To dosyć skomplikowana historia.

- Wejdźcie więc wszyscy - rzekł Gorim. - Moja służba przygotowuje wam coś do jedzenia i picia, porozmawiamy w czasie posiłku.

Przeszli rzędem do dziwnego domu stojącego na wyspie Gorima i znaleźli się w dużej komnacie, w której stały kamienne ławki i stół, a z sufitu zwisały na łańcuchach kryształowe, lśniące lampy; ściany dziwnie pochylały się do wewnątrz. Gorim powiedział kilka słów do jednego ze swoich milczących służących, po czym obrócił się, wciąż obejmując Ce'Nedre ramieniem.

- Usiądźcie, przyjaciele - rzekł do nich.

Kiedy zajęli miejsca przy kamiennym stole, wszedł służący Gorima, niosąc na tacy wypolerowane kryształowe kielichy i kilka karafek z ognistym ulgoskim napitkiem.

- A więc - odezwał się świątobliwy starzec. - Co się stało? Belgarath napełnił sobie jeden z kielichów i szybko opisał wydarzenia ostatnich miesięcy, opowiadając Gorimowi o zamordowaniu Branda, o próbie zasiania niezgody w szeregach Alornów i o kampanii przeciwko twierdzy fanatyków w Jarviksholmie.

- A potem - mówił dalej, kiedy służba przyniosła tace ze świeżymi owocami i warzywami oraz dymiącą pieczeń na szpikulcu różna - dokładnie wtedy, gdy zdobyliśmy Jarviksholm, ktoś wkradł się do komnaty dziecinnej w Rivie i zabrał księcia Gerana z kołyski. Kiedy wróciliśmy na Wyspę, okazało się, że Klejnot poprowadzi nas śladem dziecka, w każdym razie dopóki będzie się ono znajdowało na suchym lądzie. Zaprowadził nas na zachodni brzeg Wyspy, gdzie natknęliśmy się na kilku Chereków, wyznawców kultu Niedźwiedzia, których pozostawił za sobą porywacz. Kiedy ich wypytywaliśmy, powiedzieli nam, że nowy przywódca kultu, Ulfgar, rozkazał porwać dziecko.

- Ale to, co wam powiedzieli, nie było prawdą? - zapytał bystro Gorim.

- Ani w części - odpowiedział Silk.

- Oczywiście problem polegał na tym, że oni nie wiedzieli, iż kłamią - kontynuował Belgarath. - Zostali bardzo dobrze przygotowani i historia, którą nam opowiedzieli, brzmiała

bardzo wiarygodnie - zwłaszcza, że już toczyliśmy wojnę z kultem. W każdym razie, ruszyliśmy na ostatnią twierdzę fanatyków w Rheonie w północno-wschodniej Drasni. Kiedy zdobyliśmy miasto i pochwyciliśmy Ulfgara, prawda zaczęła wypływać na wierzch. Okazało się, że Ulfgar to malloreański Grolim o imieniu Harakan i że nie miał on absolutnie nic wspólnego z porwaniem. Prawdziwym winowajcą był ten tajemniczy Zandramas, o którym mówiłem ci parę lat temu. Nie jestem pewien, jaką rolę gra w tym Sardion ale z jakiegoś powodu Zandramas chce zabrać dziecko do miejsca, o którym jest mowa w Kodeksie Mrin - do miejsca, którego już nie ma. Urvon za wszelką cenę chce temu zapobiec, więc wysłał swojego popiecznika tu na Zachód, aby zabił dziecko i w ten sposób nie dopuścił, żeby się to wszystko stało.

- Czy domyślasz się, skąd należy rozpocząć poszukiwania? - zapytał Gorim.

Belgarath wzruszył ramionami.

- Mamy tylko kilka wskazówek. Jesteśmy w zasadzie pewni, że Zandramas opuścił Wyspę Wiatrów na pokładzie nyissańskiego statku, więc właśnie tam chcemy zacząć. Kodeks mówi, że mam znaleźć drogę do Sardiona w przepowiedniach, a jestem prawie pewien, że kiedy znajdziemy Sardion, Zandramas i dziecko będą już blisko. Może podpowiedzą mi te Proroctwa, o ile będę mógł kiedykolwiek znaleźć nieuszkodzone kopie.

- Zdaje się, że Wieszczki z Kell zaczynają się w to bezpośrednio angażować - dodała Polgara.

- Wieszczki? - głos Gorima wyrażał zdziwienie. - Nigdy tego nie robiły.

- Wiem - odparła. - Jedna z nich, dziewczyna o imieniu Cyradis, pojawiła się w Rheonie i udzieliła nam dodatkowych informacji oraz dała pewne instrukcje.

- To do nich bardzo niepodobne.

- Myślę, że zbliżamy się do ostatecznej rozgrywki, Przenajświętszy - powiedział Belgarath. - Tak bardzo koncentrujemy się na spotkaniu Gariona z Torakiem, że zapomnieliśmy, iż prawdziwe spotkania to te, w których bierze udział Dziecię Światła i Dziecię Ciemności. Cyradis powiedziała nam, że to będzie ostatnie spotkanie i że tym razem wszystko rozstrzygnie się raz na zawsze. Przypuszczam, że właśnie dlatego wieszczki wreszcie się zadeklarowały po którejś stronie.

Gorim zmarszczył brwi.

- Nie myślałem, że one mogłyby zajmować się sprawami innych ludzi - rzekł ponuro.

- Kim właściwie są te wieszczki, Święty Gorimie? - zapytała stłumionym głosem Ce'Nedra.

- To nasze kuzynki, dziecko - odrzekł po prostu. Jej spojrzenie zdradziło, że niczego

nie pojmowała.

- Kiedy Bogowie uczynili rasy ludzi, nadszedł czas wyboru - wyjaśnił. - Było siedem ras ludzkich - tak jak jest siedmiu Bogów. Lecz Aldur zdecydował się pójść swoją własną drogą, a to oznaczało, że jedna z ras pozostanie nie wybrana i nie będzie miała swojego Boga.

- Tak - skinęła głową. - Tę część już znam.

- Wszyscy pochodziliśmy z tego samego ludu - mówił dalej Gorim. - My, Morindimowie, Karandowie z północy Mallorei, Melcenowie z dalekiego Wschodu i Dalowie. Najbliżsi nam byli Dalowie, ale kiedy wyruszyliśmy na poszukiwanie Boga ULa, oni już zwrócili oczy ku niebu chcąc czytać z gwiazd. Nalegaliśmy, by poszli z nami, ale nie chcieli.

- I straciliście z nimi kontakt, tak?

- Od czasu do czasu przychodzą do nas ich wieszczki, zwykle po to, aby wypełnić jakąś swoją misję, o której nie chcą mówić. Wieszczki są bardzo mądre, gdyż Widzenie obdarza je wiedzą na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości - i, co ważniejsze, przekazuje im znaczenie tego wszystkiego.

- A więc są to same kobiety?

- Nie. Żyją tam również mężczyźni. Kiedy mają Widzenie, zawiązują sobie oczy przepaskami, żeby odpędzić od siebie zwykle światło i dostrzegać wyraźniej to inne. Zawsze, kiedy pojawia się wieszczka, jest z nią niemowa - jej przewodnik i obrońca. Żyją w parach, połączeni ze sobą na zawsze.

- Dlaczego Grolimowie tak się ich boją? - zapytał nagle Silk. - Byłem kilka razy w Mallorei i widziałem, jak malloreańscy Grolimowie umierają ze strachu, gdy tylko wspomni się Kell.

- Przypuszczam, że Dalowie podjęli pewne kroki, żeby nie dopuścić Grolimów do Kellu. To leży w samym centrum ich nauki, a Grolimowie są szczególnie nietolerancyjni wobec wszystkiego, co nie jest angaraćkie.

- Co jest celem tych wieszczek, Przenajświętszy? - chciał wiedzieć Garion.

- Nie chodzi tylko o wieszczki, Belgarionie - odrzekł Gorim. - Dalowie interesują się wszelkimi rodzajami wiedzy tajemnej, nekromancją, magią czarodziejów i czarną magią, tym wszystkim i nie tylko. Nikt, chyba oprócz samych Dalów, nie wie, czemu to ma służyć. Ale cokolwiek by to było, są temu bezgranicznie oddani. I ci w Mallorei, i ci tu na Zachodzie.

- Na Zachodzie? - Silk zamrugnął ze zdziwienia. - Nie wiedziałem, że są tu jacyś Dalowie.

Gorim potaknął.

- Podzieliło ich Morze Wschodnie, kiedy Torak użył Klejnotu, żeby rozłupać ziemię. W trzecim tysiącleciu Dalowie z Zachodu stali się niewolnikami Murgów. Lecz gdziekolwiek mieszkają, na Wschodzie czy na Zachodzie, od wielu eonów pracują nad jakimś zadaniem. Nie wiadomo, czym ono jest, ale oni są przekonani, że zależy od niego los całego stworzenia.

- A czy tak jest? - zapytał Garion.

- Tego nie wiemy, Belgarionie. Nie wiemy, na czym polega to zadanie, więc nie możemy nic powiedzieć na temat jego znaczenia. Natomiast wiemy, że nie wypełniają żadnego z Proroctw, które władają światem. Oni wierzą, że to zadanie zostało im zlecone przez jakąś wyższą konieczność.

- I to mnie właśnie niepokoi - odezwał się Belgarath. - Cyradis manipuluje nami za pomocą tych swoich tajemniczych zapowiedzi; a z tego, co wiem, wynika, że manipuluje również Zandramasem. Nie lubię, jak ktoś wodzi mnie za nos, zwłaszcza, jeśli nie rozumiem motywów jego postępowania. Ona to wszystko komplikuje, a ja nie przepadam za komplikacjami. Ja lubię miłe, jasne sytuacje i miłe, jasne rozwiązania.

- Dobro i Zło? - podsunął Durnik.

- To nie jest aż tak proste, Durniku. Wolę „oni i my”. W ten sposób pozbywamy się zbędnego bagażu i możemy zabierać się od razu do interesujących nas spraw.

Tej nocy Garion spał niespokojnie i wstał wcześniej. Miał wrażenie, że jego głowa była pełna piachu. Posiedział jakiś czas na jednej z kamiennych ławek w głównej komnacie w domu Gorima; potem, wiedziony jakimś wciąż powracającym niepokojem, wyszedł na zewnątrz, żeby zobaczyć, co znajduje się po przeciwnej stronie jeziora. Wiszące na łańcuchach pod sufitem pieczary globusy rozświetlały przyćmionym światłem powierzchnię zbiornika wody. Napełniało to jaskinię jasnością, która bardziej przypominała światło widziane we śnie, niż jakiegokolwiek oświetlenie spotykane w rzeczywistym świecie. Gdy tak stał pogrążony w myślach na brzegu jeziora, dostrzegł, że coś poruszyło się w odległym krańcu pieczary.

Nadchodziły pojedynczo i w grupach po dwie, trzy osoby; były to blade, młode kobiety o dużych, ciemnych oczach i bezbarwnych włosach, charakterystycznych dla Ulgosów. Wszystkie miały na sobie skromne białe suknie, stały nieśmiało przy brzegu na dalekim końcu marmurowej grobli i czekały w przyćmionym świetle. Garion spojrzał na nie poprzez jezioro i zawołał podniesionym głosem:

- Czy chcecie czegoś?

Przez chwilę szeptały między sobą, po czym wypchnęły naprzód jedną kobietę, żeby mówiła w ich imieniu.

- My... my chcemy zobaczyć się z księżniczką Ce'Nedrą - wyrzuciła z siebie lękliwie, a na jej twarzy pojawił się rumieniec. - To znaczy, jeśli nie jest zbyt zajęta. - Jej głos zdradzał niezdecydowanie, jakby mówiła językiem, który nie do końca opanowała.

- Zobaczą, czy już się obudziła - zaofiarował się Garion.

- Dziękuję panu - odpowiedziała, cofając się, by znaleźć ochronę w grupie swoich towarzyszek.

Garion wszedł do domu i zastał Ce'Nedrę siedzącą w łóżku. Na jej twarzy nie widać było ani śladu apatii, zwykłej w ciągu ostatnich tygodni, oczy były bardzo czujne.

- Wcześniej wstałaś - zauważyła.

- Nie bardzo mogłem spać. Dobrze się czujesz?

- Tak, Garionie. Dlaczego pytasz?

- Ja tylko... - urwał i wzruszył ramionami. - Na zewnątrz czekają jakieś młode ulgoskie kobiety. Chcą się z tobą zobaczyć

Zmarszczyła brwi.

- Kim one mogą być?

- Zdaje się, że cię znają. Powiedziały, że chcą się widzieć z Księżniczką Ce'Nedrą.

- Oczywiście! - wykrzyknęła, wyskakując z łóżka. - Prawie o nich zapomniałam. - Szybko włożyła na siebie zielony szlafrok i wybiegła z komnaty.

Wiedziony ciekawością Garion zaczął iść za nią, ale zatrzymał się w korytarzu, kiedy zobaczył, że przy kamiennym stole siedzą w milczeniu Polgara, Durnik i Gorim.

- Co się dzieje? - zapytała Polgara, patrząc na biegnącą królową.

- Na zewnątrz czekają jakieś ulgoskie kobiety - odpowiedział Garion. - Chyba są jej przyjaciółkami.

- Cieszyła się dużą popularnością, kiedy tu przebywała - powiedział Gorim. - Ulgoskie dziewczyny są bardzo nieśmiałe, ale Ce'Nedra zaprzyjaźniła się z nimi wszystkimi. Uwielbiały ją.

- Przepraszam Waszą Świątobliwość - rzekł Durnik - ale czy jest tu gdzieś Relg? Pomyślałem sobie, że mógłbym zajrzeć do niego, skoro tu jesteśmy.

- Relg i Taiba zabrali swoje dzieci i przenieśli się do Maragoru - odpowiedział Gorim.

- Do Maragoru? - Garion aż zamrugał ze zdziwienia. - A co z tamtejszymi duchami?

- Chroni ich bóg Mara - powiedział mu Gorim. - Zdaje się, że istnieje jakieś porozumienie pomiędzy Marą i UŁem. Nie jestem pewien, czy właściwie to rozumiem, ale Mara twierdzi, że dzieci Taiby są Maragami i przysiągł, że będzie się nimi opiekował w Maragorze.

Garion zmarszczył brwi.

- Ale czy ich pierworodny syn nie zostanie kiedyś Gorimem?

Starzec skinął głową.

- Tak. Oczy ma wciąż błękitne jak szafiry. Na początku ja też się tym przejmowałem, Belgarionie, ale jestem pewien, że w odpowiednim czasie UL sprowadzi syna Relga z powrotem do jaskiń Ulgo.

- Jak się dzisiaj czuje Ce'Nedra, Garionie? - zapytała poważnie Polgara.

- Wydaje się, że prawie wróciła do siebie. Ale czy to znaczy, że czuje się dobrze?

- To dobry znak, kochanie, choć może być jeszcze trochę za wcześnie, żebyśmy mogli mieć pewność. Może byś poszedł do niej i miał na nią oko?

- Dobrze.

- Spróbuj się tylko nie narzucać. Nie chcemy, żeby sobie pomyślała, iż ją szpiegujemy.

- Będę ostrożny, ciociu Pol.

Wyszedł na zewnątrz i zaczął spacerować po wysepce, jakby chciał tylko rozprostować nogi. Często spoglądał na grupkę postaci na drugim brzegu. Białe, ubrane w białe suknie kobiety otoczyły Ce'Nedrę szczelnym kołem. W zielonej sukni i z płomiennymi, czerwonymi włosami zdecydowanie wyróżniała się spośród grupy kobiet. Przez myśl Gariona przemknął nagle pewien obraz. Ce'Nedra bardzo przypominała purpurową różę wyrastającą z kobierca białych lilii.

Minęło około pół godziny, kiedy z domku wyszła Polgara.

- Garionie - rzekła. - Czy widziałeś dziś rano Podarka?

- Nie, ciociu Pol.

- Nie ma go w jego komnacie. - Zmarszczyła lekko brwi. - Co ten chłopak sobie myśli? Idź, poszukaj go.

- Dobrze - odpowiedział automatycznie. Poszedł w kierunku grobli, uśmiechając się do siebie. Pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, on i ciocia Pol wciąż byli wobec siebie tacy, jak wtedy, gdy Garion był tylko chłopcem. Żywił uzasadnione podejrzenie, że z reguły nie pamiętała o tym, iż jest on królem i dlatego wysyłała go z różnymi zadaniami jak chłopca na posyłki, nie uświadamiając sobie tak naprawdę, że było to poniżej jego godności. Co więcej, stwierdził, że wcale mu to nie przeszkadzało. Podporządkowując się jej stanowczym rozkazom pozbywał się konieczności podejmowania trudnych decyzji i przenosił się w dawne czasy, gdy był tylko prostym, wiejskim chłopakiem, któremu obce były troski i obowiązki wiążące się z koroną Rivy.

Ce'Nedra i jej przyjaciółki siedziały na skałach nieopodal zamglonego brzegu. Rozmawiały cicho, a twarz królowej znowu była smutna.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, zbliżając się do nich.

- Tak - odpowiedziała mu. - Po prostu rozmawialiśmy sobie.

Spojrzał na nią, ale postanowił nic więcej nie mówić.

- Czy widziałaś Podarka? - zapytał, zmieniając temat.

- Nie. Nie ma go w domu? Pokręcił głową.

- Myślę, że poszedł na przechadzkę. Ciocia Pol prosiła, żebym go znalazł.

Jedna z młodych kobiet szepnęła coś Ce'Nedrze na ucho.

- Saba mówi, że widziała go w głównym pasażu, kiedy tutaj szła - powiedziała królowa. - To było około godzinę temu.

- Gdzie to jest? - zapytał.

- Tam - wskazała wejście wiodące z powrotem pomiędzy skały.

Skinął głową.

- Czy jest ci ciepło?

- Nic mi nie jest, Garionie.

- Za chwilę będę z powrotem - rzeki i poszedł w stronę pasażu, który mu wskazała.

Głupio się czuł zmuszony, by tak z nią rozmawiać, ale świadomość tego, że nieostrożna uwaga mogłaby wpędzić ją z powrotem w stan głębokiej depresji, sprawiała, że był bardzo czujny i odzywał się prawie ze strachem. Fizyczne niedomaganie to jedno, ale choroba umysłu byłaby czymś przerażającym.

Pasaż, do którego wszedł, podobnie jak wszystkie jaskinie i korytarze zamieszkałe przez Ulgosów, był słabo oświetlony przyćmionym światłem bijącym z fluorescencyjnych skał. Izdebki rozmieszczone po obu stronach pasażu były utrzymane w skrupulatnym porządku, widział całe rodziny zasiadające do śniadania przy kamiennych stołach, którym najwyraźniej nie przeszkadzało to, że wejścia do ich siedzib stały otworem dla każdego, kto przechodził obok i miałby ochotę zająć się ich obserwacją.

Ponieważ niewielu Ulgosów znało jego język, Garion nie mógł zapytać kogokolwiek, czy przechodził tędy Podarek. Wkrótce stwierdził, że wałęsa się właściwie bez celu, mając nadzieję, że natknie się przypadkiem na przyjaciela. Gdy dotarł do końca korytarza, wszedł do obszernej pieczary, skąd wiodła w dół kondygnacja wykutych w skale schodów.

Pomyślał, że Podarek mógł zejść tam, aby odwiedzić swojego Konia, ale coś zdawało się mówić mu, że powinien zawrócić, a nie schodzić po stopniach wiodących wokół skraju przepaści. Przeszedł zaledwie kilkaset jardów, kiedy usłyszał głosy wydobywające się z

wylotu ciemnego korytarza, skręcającego łukiem z powrotem ku skałom. Głosy przemieszczały się, więc nie mógł rozróżnić ich i określić, do kogo mogłyby należeć, ale zdawało mu się, że słyszy Podarka. Kierując się tylko tymi odgłosami, wszedł do pasażu.

Na początku nie używany korytarz był zupełnie ciemny i Garion musiał szukać drogi po omacku. Lecz kiedy dotarł do zakrętu, zobaczył światło gdzieś przed sobą; był to jakiś szczególny rodzaj jednostajnej, białej jasności, całkowicie różnej od słabego, zielonkawego, fluorescencyjnego blasku, który zazwyczaj wypełniał ciemny świat jaskiń. Dalej korytarz nagle skręcał ostro w lewo; kiedy minął zakręt, zobaczył Podarka rozmawiającego z wysoką postacią w białej szacie. Oczy Gariona rozszerzyły się. Światło, które widział, emanowało od tej osoby; z drżeniem serca poczuł obecność istoty wyższej.

Świetlista postać, nie odwracając się, odezwała się spokojnym, cichym głosem:

- Podejdź do nas, Garionie. Witaj nam.

Garion stwierdził, że drży, kiedy bez słowa wypełniał polecenie. Potem istota w bieli odwróciła się i Garion spojrzał w ponadczasową twarz samego ULa.

- Udzielałem młodemu Eriondowi wskazówek, co do zadania, które przed nim stoi - powiedział Ojciec Bogów.

- Eriondowi?

- Tak brzmi jego właściwe imię, Belgarionie. Czas już, by odrzucił imię dziecka i przyjął to właśnie imię, prawdziwe imię. Zaprawdę, tak jak ty ukrywałeś się pod prostym imieniem Garion, tak i on nosił miano Podarka. Wielka w tym mądrość leży, bowiem prawdziwe imię człowieka, który ma do wypełnienia doniosłe zadanie, może sprowadzić na jego głowę niebezpieczeństwo, jeśli nie jest jeszcze gotów objąć swego dziedzictwa.

- To dobre imię, nie sądzisz, Belgarionie? - zapytał z dumą Eriond.

- Wspaniałe, Eriondzie - zgodził się Garion.

Klejnot, tkwiący w główicy wielkiego miecza, który Garion przytroczył sobie do pleców, odpowiedział niebieskim blaskiem na jarzące się białe światło, bijące od ULa, a Bóg skinął do niego głową z podziękowaniem.

- Każdemu z was wyznaczono zadanie - mówił dalej UL. - A także waszym towarzyszom. Wszystkie muszą zostać wypełnione, zanim ponownie nastąpi spotkanie Dziecięcia Światła z Dziecięciem Ciemności.

- Proszę, o Przenajświętszy - odezwał się Garion - czy możesz mi powiedzieć, czy mój syn jest zdrow?

- Nic mu nie jest, Belgarionie. Osoba, która go posiada, zajmie się jego potrzebami. W tej chwili nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

- Dziękuję - odpowiedział z wdzięcznością Garion, po czym uniósł bezradnie ramiona.
- A jakie jest moje zadanie? -zapytał.

- Twoje zadanie wyjawiała ci już wieszczka z Kell, Belgarionie. Zandramas nie może dotrzeć do Sardionu, musisz tego dopilnować; jeżeli bowiem Dziecię Ciemności i twój syn dotkną przeklętego kamienia, Ciemność odniesie zwycięstwo w ostatecznym spotkaniu.

Garion zamarł, po czym nagle wyrzucił z siebie następne pytanie, bojąc się odpowiedzi, którą miał usłyszeć.

- Wyrocznie Ashabińskie głoszą, że Bóg Ciemności znowu nadejdzie - powiedział. - Czy to oznacza, że Torak narodzi się na nowo i że znowu będę musiał z nim walczyć?

- Nie, Belgarionie. Mój syn nie powróci. Twój płonący miecz pozbawił go życia, Toraka już nie ma. Wróg, który przybędzie na to spotkanie, będzie jeszcze groźniejszy. Duch, który nawiedził Toraka, znalazł sobie inne miejsce. Torak był okaleczony i niedoskonały z powodu swojej dumy. Ten, kto zajmie jego miejsce - o ile zawiedziesz - będzie niezwykły; ani twój miecz, ani wszystkie miecze świata nie będą mogły mu się oprzeć.

- Wobec tego moim przeciwnikiem jest teraz Zandramas - rzekł ponuro Garion. - Nie ma wątpliwości, że mam ku temu wiele powodów.

- Spotkanie Dziecięcia Światłości z Dziecięciem Ciemności nie będzie spotkaniem pomiędzy tobą i Zandramasem - oświadczył mu UL.

- Ale Kodeks mówi, że Zandramas jest Dziecięciem Ciemności - sprzeciwił się Garion.

- Teraz tak, podobnie jak i ty jesteś teraz Dziecięciem Światła. Brzemienia tego i ty, i Zandramas zostaniecie pozbawieni, zanim ostateczne spotkanie będzie mogło się odbyć. Zadania, które czekają ciebie i twoich towarzyszy, są liczne i wszystkie muszą zostać wykonane przed czasem wyznaczonym na to spotkanie. Jeżeli tobie lub komuś z twoich przyjaciół nie uda się wypełnić któregoś zadania, wszelkie nasze wysiłki, podejmowane przez niezliczone wieki, okażą się daremne. Ostateczne spotkanie pomiędzy Dziecięciem Światła i Dziecięciem Ciemności musi się dokonać i muszą być spełnione wszystkie konieczne warunki, albowiem to w czasie tego spotkania wszystko, co zostało podzielone, znowu stanie się jednym. Los tego świata, i wszystkich innych światów, spoczywa w twoich rękach, Belgarionie, lecz rezultat będzie zależał nie od twego miecza, a od wyboru, którego będziesz musiał dokonać.

Ojciec Bogów spojrzał na obu ludzi z czułością.

- Nie lękajcie się, synowie moi - rzekł do nich - albowiem choć bardzo się różnicie, jest w was ten sam duch. Wspierajcie się nawzajem i niech was pociesza świadomość, że ja

jestem z wami. - Potem jaśniejąca postać zamigotała i zniknęła, a w jaskiniach Ulgo rozległo się echo przypominające odgłos niewyobrażalnie wielkiego dzwonu.

Rozdział II

Gariona ogarnął spokój, zdecydowanie bardzo podobny do tego, jakiego doświadczał, stawiając czoła Torakowi w obracających się w ruinę murach Miasta Nocy w innej części świata. Kiedy później zastanawiał się nad tym, doszedł do zadziwiającego odkrycia. Okaleczonemu Bogowi chodziło nie tylko o fizyczne zwycięstwo. Całą straszliwą siłą swej Woli starał się zmusić ich, aby mu się podporządkowali i to głównie ich wytrwały opór, a nie płonący miecz Gariona, doprowadził wreszcie do zwycięstwa. Prawda dotarła do Gariona powoli, niczym świt przedzierający się przez mroki nocy. Zło wydawało się niezwyciężone, kiedy nękało świat w ciemnościach, jednak i ono tęskniło do światła i tylko jeśli światło poddałoby się, ciemność mogłaby odnieść zwycięstwo. Dopóki Dziecię Światła było wytrwałe i nieugięte, nic nie mogło go pokonać. Gdy tak stał w ciemnej jaskini i słuchał odgłosów oddalającego się ULa, wydawało mu się, że przenika umysł swego wroga. Gdzieś w głębi istoty Toraka czaił się strach, a w tej chwili to samo uczucie nękało serce Zandramasa.

Wówczas Garionowi objawiła się jeszcze jedna prawda, zarazem niezwykle oczywista i głęboka tak, że jej bezmiar poraził każdy jego nerw. Nie istniało coś takiego, jak ciemność! To, co wydawało się tak ogromne i obezwładniające, było niczym innym, jak tylko brakiem światła. Dopóki Dziecię Światła będzie o tym pamiętać, dopóty Dziecię Ciemności nie będzie mogło zwyciężyć. Torak zdawał sobie z tego sprawę; Zandramas też o tym wiedział; teraz wreszcie zrozumiał to także Garion i ta świadomość napełniła go nagłą radością.

- Łatwiej jest, kiedy się rozumie, prawda? - zapytał cicho młody człowiek, którego zawsze nazywano Podarkiem.

- Wiesz, o czym myślałem, prawda?

- Tak. Czy to ci przeszkadza?

- Nie. Chyba nie. - Garion rozejrzał się. Pasaż, w którym się znajdowali, wydał się niezwykle ciemny, kiedy opuścił ich UL. Garion znał drogę, ale myśl, która właśnie do niego dotarła, potrzebowała jakiegoś potwierdzenia. Odwrócił głowę i powiedział do Klejnotu lśniącego w głowicy miecza:

- Czy możesz dać nam trochę światła?

Klejnot odpowiedział, zamieniając się w niebieski ogień i napełniając umysł Gariona wyraźnie słyszalną pieśnią. Garion spojrział na Erionda.

- Czy możemy już wracać? Ciocia Pol była trochę zaniepokojona, kiedy nie mogła cię

znaleźć.

Zawrócili i poszli z powrotem opuszczonym korytarzem, a Garion objął przyjaciela ramieniem. W tej chwili czuli się z jakiejś przyczyny bardzo sobie bliscy.

Wyszli z pasażu na skraju ciemnej przepaści, w której blade światła grały na nagich ścianach, a pomruk znajdującego się w dole wodospadu zdawał się skierowanym ku nim szeptem.

Nagle Garion przypomniał sobie coś, co wydarzyło się dzień wcześniej.

- O co chodziło cioci Pol w związku z tobą i wodą, bo bardzo się wczoraj denerwowała? - zapytał z zainteresowaniem.

Eriond zaśmiał się

- Ach, o to chodzi. Kiedy byłem mały, tuż po tym, jak przenieśliśmy się do domku Poledry w Dolinie, dosyć często wpadałem do wody.

Garion uśmiechnął się.

- Według mnie to zupełnie normalne.

- Dawno już się to nie wydarzyło, ale myślę, iż Polgara uważa, że czekam z tym na jakąś specjalną okazję.

Garion roześmiał się, wchodzili właśnie do korytarza z izdebkami, który prowadził w stronę pieczary Gorima. Ulgosi, którzy tam mieszkali i pracowali, rzucali im zdziwione spojrzenia.

- Och, Belgarionie - powiedział Eriond. - Klejnot cały czas się świeci.

- A! Zapomniałem o tym. - Garion obejrzał się przez ramię na radośnie płonącego Klejnot. - Wszystko jest już w porządku - rzekł do niego. - Możesz przestać.

Klejnot błysnął po raz ostatni, jakby nieco rozczarowany.

Pozostali członkowie drużyny zebrali się w dużej komnacie w domu Gorima, aby zjeść śniadanie. Polgara podniosła głowę, kiedy weszli dwaj przyjaciele.

- Gdzieście się... - zaczęła, ale przerwała i przyjrzała się dokładniej oczom Erionda. - Coś się wydarzyło, prawda? - zapytała.

Eriond skinął potakująco głową.

- Tak - odpowiedział. - UL chciał z nami rozmawiać. Musieliśmy dowiedzieć się pewnych rzeczy.

Belgarath odsunął swój talerz, na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

- Myślę, że powinniście nam o tym powiedzieć - rzekł do nich. - Nie spieszcie się i niczego nie pomijajcie.

Garion podszedł do stołu i usiadł obok Ce'Nedry. Opisał spotkanie z Ojcem Bogów,

starając się powtórzyć dokładnie słowa ULa.

- A potem powiedział, że w Eriondzie i we mnie jest ten sam duch i że mamy się wspierać nawzajem - zakończył.

- Czy to już wszystko, co powiedział? - zapytał Belgarath.

- Powiedział jeszcze, że jest z nami - dodał Eriond.

- Czy nie mówił dokładniej o tym, kiedy nadejdzie czas, w którym wszystko ma być ukończone? - dopytywał się starzec z wyrazem pewnej troski na twarzy.

Garion potrząsnął przecząco głową.

- Nie, przykro mi, dziadku. Obawiam się, że nie. Belgarath nagle się zniecierpliwił.

- Nie znoszę działania według planu, którego nie widziałem na oczy - mruknął. - Nie wiem wtedy, czy go wyprzedzam, czy mam zaległości.

Ce'Nedra tuliła się do Gariona, na jej twarzy malowała się zarówno troska, jak i ulga.

- Jesteś pewien, iż powiedział, że nasze dziecko jest zdrowe? - dopytywała się.

- Powiedział, że nic mu nie jest - uspokajał ją Eriond. - Mówił nam, że osoba, która go zabrała, zajmie się jego potrzebami i że w tej chwili nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

- W tej chwili? - wykrzyknęła Ce'Nedra. - A co to ma znaczyć?

- Niczego dokładniejszego się nie dowiedzieliśmy, Ce'Nedro - rzekł Garion.

- Dlaczego nie zapytaliście ULa, gdzie on jest?

- Bo jestem pewien, że nie powiedziałyby nam. Odnalezienie Gerana i Zandramasa należy do mnie i nie sądzę, aby one pozwoliły mi pójść na skróty i znaleźć kogoś, kto zrobi to za mnie.

- One? Kim są te „one”?

- Proroctwa. Obydwa. Rozgrywają pewną grę, a my musimy stosować się do jej reguł, nawet jeśli nie wiemy, jakie one są.

- To nonsens.

- Idź, powiedz im. To nie mój pomysł. Polgara przyglądała się dziwnie Eriondowi.

- Czy wiedziałeś? - zapytała. - To znaczy, czy wiedziałeś o swoim imieniu?

- Wiedziałem, że mam inne imię. Kiedy nazywałaś mnie Podarkiem, z jakiegoś powodu wydawało mi się to niezupełnie właściwe. Czy to dla ciebie bardzo przykre, Polgaro?

Wstała z uśmiechem na ustach, obeszła stół i objęła swego wychowanka.

- Nie, Eriondzie - powiedziała. - Absolutnie nie.

- Ale jakie jest dokładnie to zadanie, które dał wam UL? - zapytał Belgarath.

- Powiedział, że poznam je, kiedy nadejdzie na nie czas.

- I to wszystko, co o tym powiedział?

- Mówił, że to bardzo ważne i że to mnie zmieni. Belgarath pokręcił głową.
- Dlaczego wszystko musi być zawsze ukryte w zagadkach? - poskarżył się
- To jedna z zasad, o których mówił Garion - odpowiedział mu Silk, dolewając napoju z karafki do swojego pucharu. - A więc, co dalej, staruszk?

Belgarath zastanawiał się nad tym, ciągnąc się za ucho i spoglądając na jedną ze słabo świecących lamp.

- Myślę, że można uznać to spotkanie za rzecz, która miała się wydarzyć tu w Prolgu - rzekł - więc wydaje mi się, że możemy już ruszać dalej. Nic by się nam nie stało, gdybyśmy dotarli na miejsce za wcześnie, ale mam wrażenie, że nasze spóźnienie mogłoby doprowadzić do katastrofy. - Podniósł się i położył rękę na szczupłym ramieniu Gorima. - Będę się starał przekazać ci jakieś informacje od czasu do czasu - obiecał mu. - Czy mógłbyś poprosić kogoś ze swoich ludzi, aby pokazał nam drogę przez jaskinie do Arendii? Chcę wyjść na powierzchnię tak szybko, jak to możliwe.

- Oczywiście, mój przyjacielu - odpowiedział Gorim - i niech UL was prowadzi.

- Mam nadzieję, że jest ktoś, kto się tym zajmuje - burknął Silk.

Belgarath posłał mu chmurne spojrzenie.

- Ja nic nie mówiłem, Belgaracie - zaczął się gęsto tłumaczyć. - To, że ciągle się gubisz, nie ma absolutnie żadnego wpływu na nasz szacunek dla ciebie. Jestem pewien, że to tylko taki zły nawyk, który jakoś się do ciebie przypętał... pewnie dlatego, że twój umysł był wtedy zajęty ważniejszymi sprawami.

Belgarath spojrzał na Gariona.

- Czy naprawdę musieliśmy wziąć go ze sobą?

- Tak, dziadku, musieliśmy.

Dwa dni później tuż po świcie dotarli do nieregularnego wylotu jaskini. Rósł przed nią las brzoź. Nagie, białe pnie wznosiły się ku niebu w kolorze głębokiego błękitu, a opadłe liście okrywały ziemię niczym dywan ze złotych nici.

Ulgosi, którzy ich prowadzili, najwyraźniej się skulili i wycofali ze światła. Powiedzieli kilka słów do Belgaratha, on im podziękował, po czym przewodnicy skryli się w bezpiecznej ciemności.

- Nie macie pojęcia, o ile lepiej się teraz czuję - rzekł z ulgą Silk, kiedy wyszedł z jaskini i rozejrzał się po okolicy oblanej mroźnym światłem poranka. Z oddali, z lewej strony docierało do nich szemranie górskiego strumienia przelewającego się przez zimne kamienie.

- Czy wiesz, gdzie się dokładnie znajdujemy? - Durnik zapytał Belgaratha, kiedy wjechali w brzezinę.

Starzec spojrział z ukosa przez ramię, mierząc kąt, pod jakim znajdowało się słońce względem ziemi.

- Wydaje mi się, że jesteśmy u podnóża gór w centralnej Arendii - odrzekł.

- Na południe od nizinnego skraju Puszczy Arendyjskiej? - zapytał Silk.

- Trudno to stwierdzić z całą pewnością. Mały Drasanin odwrócił głowę.

- Lepiej się rozejrzę - powiedział. Wskazał na wynurzające się z lasu wzgórze. - Może zobaczę coś stamtąd.

- A ja myślę, że przydałoby się nam jakieś śniadanie - odezwała się Polgara. - Znajdźmy jakąś polankę i przygotujmy ognisko.

- Niedługo wrócę - rzucił Silk i odjechał w kierunku białych brzoź.

Pozostali jechali dalej zboczem, pod kopytami ich koni szeleściła gruba pokrywa złotych liści. Zagłębili się w las nie więcej niż kilkaset jardów, kiedy trafili na niewielką polankę ze strumykiem, który słyszeli u wyjścia z jaskini. Polgara ściągnęła wodze.

- Tu będzie dobrze - zdecydowała. - Garionie, czy mógłbyś pójść z Eriondem nazbierać chrustu? Myślę, że z przyjemnością zjedlibyśmy bekon i pieczony chleb.

- Tak, ciociu Pol - odpowiedział bez zastanowienia, zeskakując z siodła. Eriond przyłączył się do niego i obaj ruszyli w tę stronę, z której przybyli, szukając opadłych gałęzi.

- Przyjemnie jest być znowu na słońcu - powiedział Eriond, wyciągając pęk chrustu spod zwałonego pnia. - Jaskinie też są ładne, ale ja lubię móc patrzeć w niebo.

Garion poczuł, że z tym młodzieńcem o szczerej twarzy łączy go jakaś silna więź. Po tym, co przeżyli razem w jaskini, stali się sobie jeszcze bliżsi; to zdarzenie także sprawiło, że pewna myśl, która od dawna świeciła w umyśle Belgariona, teraz nie dawała mu już spokoju. Dzięki temu, że obu wychowywali Polgara i Durnik, stali się dla siebie pod wieloma względami zupełnie jak bracia. Zastanawiał się nad tym, wiążąc liną pokaźną wiązkę gałęzi. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że niewiele wiedział o Eriondzie i o tym, co mogło mu się przydarzyć zanim znaleźli go w Rak Cthol.

- Eriondzie - zapytał - czy pamiętasz cokolwiek, co wiąże się z twoim życiem przed tym, jak odnalazł cię Zedar?

Chłopak spojrział w zamyśleniu na niebo.

- Byłem chyba w jakimś mieście - odparł. - Wydaje mi się, że pamiętam ulice i sklepy.

- A czy pamiętasz swoją matkę?

- Nie za bardzo. Nie przypominam sobie, żebym mieszkał w jakimś miejscu dłuższy czas, albo żebym przebywał z tymi samymi ludźmi. Wydaje mi się, że po prostu podchodziłem do drzwi, a ludzie zapraszali mnie do środka i dawali coś do jedzenia oraz

miejsce do spania.

Garion poczuł nagle ukłucie w sercu. Eriond był w równym stopniu osierocony, co on, a może nawet w większym.

- A czy pamiętasz dzień, w którym znalazł cię Zedar? - zapytał.

Eriond skinął potakująco głową.

- Tak - odpowiedział - całkiem dokładnie. Niebo pokrywały chmury, nie widać było cieni, więc nie wiedziałem, jaka to była pora dnia. Spotkałem go w jakiejś wąskiej uliczce. Pamiętam, że jego oczy wydały mi się jakieś takie zbolące, jakby przydarzyło mu się coś strasznego. - Westchnął. - Biedny Zedar.

- Czy on kiedykolwiek z tobą rozmawiał?

- Rzadko. Właściwie nie powiedział wiele. Chociaż czasami mówił przez sen. Pamiętam, że często powtarzał „panie”. Czasami wypowiadał to słowo z miłością, a innym razem ze strachem - tak, jakby miał dwóch zupełnie różnych panów.

- Bo miał. Na początku był jednym z uczniów Aldura. A potem jego panem został Torak.

- Jak sadzisz, dlaczego to zrobił? To znaczy, dlaczego zmienił swojego pana?

- Nie wiem, Eriondzie. Naprawdę nie wiem.

Na środku polany Durnik przygotował małe ognisko, a Polgara nucąc pod nosem, rozstawiała obok swoje garnki i rondle. Kiedy Garion i Eriond zajęli się łamaniem przyniesionych gałęzi, nadjechał Silk.

- Sporo stamtąd widać - oświadczył, zsiadając z konia. - Jesteśmy jakieś piętnaście mil od traktu z Muros.

- Czy widziałeś rzekę Malerin? - zapytał go Belgarath. Silk potrząsnął głową.

- Samej rzeki nie, ale na południe stąd znajduje się dosyć rozległa dolina. Według mnie rzeka płynie tamtędy.

- W takim razie byłem całkiem blisko. Jak wygląda teren pomiędzy tym miejscem a traktem?

- No, trochę nierówny - odpowiedział mu Silk. - Jest tam stromo, a las wydaje się bardzo gęsty.

- Będziemy musieli się spieszyć. Wszystko będzie dobrze, jak tylko dotrzemy do traktu z Muros. Silk skrzywił się.

- Jest jeszcze jeden problem - powiedział. - Z zachodu nadchodzi burza.

Durnik podniósł głowę, wciągnął nosem powietrze i skinął.

- Śnieg - potwierdził słowa Drasanina. - Można wyczuć, że się zbliża.

Silk spojrział na niego z niesmakiem.

- Musiałeś to powiedzieć, prawda, Durniku? Durnik poczuł się nieco zakłopotany.

- Czy nie wiesz, że mówiąc o nieprzyjemnych rzeczach sprawiasz, że one się zdarzają?

- Silku, pleciesz bzdury. Mały człowieczek prychnął.

- Wiem, ale to i tak prawda.

Śniadanie, składające się z chleba, suszonych owoców i bekonu, było prostym posiłkiem, lecz zupełnie wystarczającym, aby się nim nasycili. Kiedy zjedli, spakowali się z powrotem i zgasili ogień wodą z zimnego strumienia. Pojechali dalej stromym zboczem, kierując się biegiem potoku, który toczył się pomiędzy białymi pniami brzoź.

Durnik zrównał się z milczącym Tothem.

- Powiedz mi, mój drogi - zaczął niepewnie, przyglądając się spienionej białej wodzie, która wciskała się pomiędzy porośnięte mchem skały. - Czy łowiłeś kiedyś ryby?

Olbrzym uśmiechnął się nieśmiało.

- W jednej z paczek mam linki i haczyki. Może, jeśli nam się uda... - Durnik zawiesił głos.

Twarz Totha pokraśniała.

Silk podniósł się w strzemionach i wpatrywał w coś przed sobą

- Ta burza jest najwyżej pół godziny drogi przed nami - powiedział do pozostałych.

Belgarath chrząknął.

- Wątpię, żebyśmy mogli poruszać się szybko, kiedy ona nadejdzie - rzekł.

- Nienawidzę śniegu - oświadczył Silk ponuro.

- To szczególna cecha, jak na Drasanina.

- A jak myślisz, dlaczego opuściłem Drasnię?

Ogromna chmura wyłoniła się przed nimi, gdy zjeżdżali ze wzgórza. Poranne światło zbladło i zniknęło, gdy żywy błękit jesiennego nieba przesłonił zwiastun nawałnicy.

- No i jest - powiedział radośnie Eriond, kiedy pierwsze płatki zaczęły tańczyć i wirować na upartym wietrzyku, który popychał ku nim chmurę.

Silk spojrział kwaśno na młodzieńca, potem zerknął na Belgaratha.

- Nie sądzę, żebyś chciał coś z tym zrobić? - zapytał uszczypliwie.

- To nie byłby najlepszy pomysł.

- Czasami bardzo mnie rozczarowujesz, Belgaracie - odrzekł Silk, zawijając się jeszcze dokładniej w swoje ubranie.

Śnieg rozpadał się na dobre. Drzewa wokół nich majaczyły niewyraźnie poprzez

ruchomą białą zasłonę, która ogarnęła las.

Milę dalej wyjechali z brzeziny i wjechali w las strzelistych jodeł. Wiecznie zielone rośliny powstrzymały impet wiatru i śnieg leniwie przesiewał się przez konary, kładąc się miękko na iglastą ściółkę. Belgarath wytrząsnął śnieg, który ukrył się w fałdach płaszcza i rozejrzał się, szukając drogi.

- Znowu się zgubiłeś? - zapytał Silk.

- Nie, w zasadzie nie. - Starzec spojrzał na Durnika. - Jak myślisz, czy daleko musimy zjechać ze wzgórza, żeby to ominąć?

Durnik podrapał się w brodę.

- Hm, trudno powiedzieć. - Odwrócił się do jadącego obok niego niemowy. - A ty jak sądzisz? - zapytał.

Olbrzym uniósł głowę i wciągnął w nozdrza powietrze, po czym wykonał jedną ręką kilka niezrozumiałych gestów.

- Chyba masz rację - zgodził się z nim Durnik. Zwrócił się znowu do Belgaratha. - Jeśli zbrocze nadal będzie tak strome, to powinniśmy znaleźć się poniżej linii opadów jeszcze dziś po południu.

- W takim razie lepiej już ruszajmy - rzekł Belgarath i popędził konia.

Wciąż padał śnieg. Miękka, cienka pokrywa na ściółce zamieniła się w kobierzec, a ciemność panująca pomiędzy drzewami ustąpiła dziwnemu, nie wiadomo skąd pochodzącemu światłu, które odbijało się od śniegu.

Koło południa zatrzymali się i zjedli chleb z serem; zjeżdżali dalej ku Arendii. W połowie popołudnia, jak przewidywali Durnik i Toth, śnieg zaczął mieszać się z zimnym deszczem. Wkrótce zniknęły ostatnie mokre, duże płatki śniegu i jechali pośród drzew smagani mżawką.

Później zaczął wiać wiatr, a deszcz stał się przez to zimny i nieprzyjemny. Durnik rozejrzał się.

- Myślę, że czas już poszukać miejsca na nocleg - powiedział. - Będziemy potrzebowali schronienia przed tym wiatrem, a znalezienie suchego drewna może być nie lada problemem.

Wielki Toth, którego stopy niemal wlokły się po ziemi przy bokach konia, rozejrzał się i wskazał gęstwinę drzew iglastych na krańcu polany, na którą właśnie wjechali. Znowu zaczął wykonywać swe tajemnicze gesty. Durnik przyglądał mu się z uwagą przez kilka minut, po czym skinął głową i obaj pojechali ku zagajnikowi. Tam zsiadli z koni i zabrali się do pracy.

Obozowisko, które przygotowali, znajdowało się w głębi gąszczy drzew, gdzie wiatr nie docierał już z taką siłą, a rozłożyste gałęzie chroniły ich równie dobrze od deszczu jak słomiana strzecha. Durnik i Toth przygięli rosnące w półkolu wysokie, młode drzewka i przywiązali ich czubki do pni innych drzew, tworząc w ten sposób dosyć dużą ramę w kształcie kopuły. Potem przykryli konstrukcję płótnem i dobrze je przymocowali. Powstał namiot z otwartym wejściem prawie tak obszerny, jak średniej wielkości pokój. Przed nim wykopali dół na ognisko i obłożyli to miejsce kamieniami.

Deszcz wciąż siąpił, znalezienie suchego drewna było bardzo trudne, lecz Garion wykorzystał doświadczenie, które zdobył podczas poszukiwania Klejnotu i przetrząsał teraz zagłębienia pod zwalonymi drzewami, osłonięte przed wiatrem miejsca na pniach drzew, porośnięte krzakami nisze pod skałami, gdzie mógłby znaleźć suche patyki i gałęzie. Do wieczora zgromadzili pokaźny zapas, który ułożyli obok miejsca na ognisko, gdzie Polgara i Ce'Nedra przygotowywały kolację.

Kilkaset jardów dalej zбочem toczył swe wody strumyk. Garion pośliznął się i zsunął w dół z dwoma skórzanymi bukłakami na wodę na ramionach. Światło dnia gasło szybko pomiędzy smaganymi wiatrem drzewkami, a różowa poświata, roztaczająca się od ogniska, wabiła radośnie, kiedy wracał z pełnymi bukłakami kołyszącymi się wokół jego ud.

Polgara powiesiła swój przemoczony płaszcz na drzewie i śpiewała sobie pod nosem, krzątając się z Ce'Nedrą przy ognisku.

- Dziękuję, wasza wysokość - powiedziała Ce'Nedra, kiedy Garion wręczył jej bukłaki. Uśmiech na jej twarzy był trochę smutny, jakby świadomie tylko starała się być beztroska.

- Cała przyjemność po mojej stronie, wasza wysokość - odpowiedział i uklonił się zamaszyście. - Dobry kuchcik zawsze znajdzie wodę, kiedy pomocnica kucharki jej potrzebuje.

Uśmiechnęła się przelotnie, pocałowała go w policzek, po czym westchnęła i wróciła do krajania warzyw na gulasz, który przygotowywała Polgara.

Po jedzeniu wszyscy siedzieli senni przy ognisku i słuchali odgłosów wiatru szumiącego w czubkach drzew i deszczu siąpiącego w lesie wokół nich.

- Jak daleko dzisiaj dotarliśmy? - zapytała Ce'Nedra zaspianym głosem, wspierając się na ramieniu Gariona.

- Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć mil, jak sądzę - odpowiedział Durnik. - Powoli się jedzie, kiedy nie można używać porządnej drogi.

- Będzie lepiej, kiedy dotrzemy do traktu z Muros na Wielki Jarmark - odezwał się

Silk. Jego oczy rozbłysnęły na tę myśl, a długi nos zaczął drgać.

- Zapomnij o tym - powiedział Belgarath.

- Ale przecież będziemy potrzebować zapasów, Belgaracie - odparł Drasanin; oczy wciąż mu się świeciły.

- Myślę, że tym powinien się zająć Durnik. Ludzie, którzy robią z tobą interesy, jakoś zawsze wpadają we wściekłość, gdy tylko znajdują chwilę czasu, by zastanowić się nad całą transakcją

- Ale, Belgaracie, zdawało mi się, że mówiłeś, iż bardzo się spieszymy.

- Nie bardzo widzę związek.

- Zawsze podróżuje się szybciej, jeśli jest się ściganym. Nie zauważyłeś tego?

Belgarath przyjrzał mu się długo, z powagą.

- Dajmy temu spokój, Silku - powiedział. - Lepiej chodźmy wszyscy się przespać - zaproponował. - Czeka nas jutro długi dzień.

Północ dawno już minęła, kiedy Garion się obudził. Leżał skulony pod kocami obok Ce'Nedry i słuchał jej regularnego oddechu oraz deszczu delikatnie pukającego w pnie. Wiatr ucichł zupełnie, a ognisko przed ich przytulnym schronieniem zgasło, pozostało po nim tylko kilka węgielków. Otrząsnął się z resztek snu i próbował przypomnieć sobie, co go obudziło.

- Zachowuj się cicho - szepnął do niego Belgarath znajdujący się w drugim końcu szałas.

- Czy ciebie też coś obudziło, dziadku?

- Wstań powoli - powiedział starzec tak cichym głosem, że Garion z ledwością go usłyszał - i weź miecz w ręce.

- O co chodzi, dziadku?

- Posłuchaj! - odpowiedział mu.

Wysoko w ciemności ponad ich głowami rozległo się ciężkie trzepotanie skrzydeł. Nagle zamigotało popielato-czerwone światło. Coś załopotało jeszcze raz, a potem wszystko umilkło.

- Rusz się, Garionie - ponaglił go Belgarath. - Bierz swój miecz i zasłoń czymś Klejnot, żeby nie widziała jego blasku.

Garion wyciągnął nogi spod koców i zaczął po omacku szukać w ciemnościach miecza Rivy Żelaznopalcego.

Ciężkie uderzenia skrzydeł znowu rozległy się nad nimi. Potem usłyszeli dziwny, przypominający syk wrzask i ponownie zobaczyli błysk popielato-czerwonego światła.

- Co to? - zawołała Ce'Nedra.

- Spokojnie, dziewczyno - rzucił Belgarath.

Leżeli pełni napięcia i czekali, aż dziwne odgłosy rozpląnęły się w ciszy deszczowej nocy.

- Co tam jest, Belgaracie? - zapytał zduszonym głosem Silk.

- To ogromna bestia - odpowiedział cicho starzec. - Ma słabe oczy i jest głupia jak stołowa noga, ale jest też bardzo niebezpieczna. W tej chwili poluje. Być może wyczuła konie... albo nas.

- Skąd wiesz, że to samica? - zapytał Durnik.

- Bo tylko jedna żyje jeszcze na świecie. Rzadko wychodzi ze swojej jaskini, ale w ciągu wieków widziało ją dostatecznie wielu ludzi, by powstały wszystkie te legendy.

- To wszystko przestaje mi się podobać - burknął mały Drasanin.

- Ona nie bardzo przypomina smoki, które znacie z różnych rysunków - mówił dalej Belgarath - ale naprawdę jest duża i rzeczywiście potrafi latać.

- Daj spokój, Belgaracie - zaśmiał się Durnik. - Smoki nie istnieją.

- Cieszę się, że to słyszę. To może pójdziesz i jej to wyjaśnisz?

- Czy to jest to samo zwierzę, które słyszeliśmy wtedy nocą w górach Maragoru? - zapytał Garion.

- Tak. Masz swój miecz?

- Pod ręką, dziadku.

- Dobrze. A teraz wyczołgaj się powoli i posyp węgle piachem. Ogień ją przyciąga, więc nie możemy ryzykować, że nagle buchnie nam tu płomień.

Garion wysunął się cal po calu na zewnątrz, po czym pospiesznie zasypał ognisko.

- Czy to naprawdę latająca jaszczurka? - wyszeptał ochryple Silk.

- Nie - odparł Belgarath - właściwie jest to gatunek ptaka. Ma długi, podobny do węża ogon, a pokryta jest czymś, co bardziej przypomina łuski niż pióra. Ma także zęby, mnóstwo długich, ostrych zębów.

- A dokładnie jak duże to jest? - zapytał Durnik.

- Pamiętasz stodołę Faldora?

-Tak.

- Jest mniej więcej takiej samej wielkości.

Z oddali dotarł do nich jeszcze jeden piskliwy ryk i znowu zamigotało mroczne czerwone światło.

- Ogień, którym zionie, nie jest tak bardzo groźny - Belgarath mówił dalej tym samym cichym głosem - zwłaszcza, że te drzewa są mokre. Dopiero jeśli dorwie cię wśród suchej

trawy, zaczyna się problem. Jest duża, ale niezbyt odważna, a na ziemi niezdarna jak świnia na zamrzniętym stawie. Jeśli dojdzie do walki, prawdopodobnie nie zadamy jej zbyt poważnych ran. Możemy liczyć najwyżej na to, że uda się ją wystraszyć.

- Do walki? - Silka zatkąło. - Chyba nie mówisz poważnie.

- Możemy nie mieć wyboru. Jeśli jest głodna i poczuje nasz zapach albo zapach koni, obróci ten las w pierze, żeby nas znaleźć. Ona ma kilka czułych miejsc. Najlepszy byłby chyba ogon. Przez skrzydła nie może zbyt dobrze widzieć, co dzieje się z tyłu, a kiedy jest na ziemi, obraca się bardzo powoli.

- Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem - rzekł Drasanin. - Chcesz, żebyśmy podkradli się do smoczyca od tyłu i uderzyli ją w ogon, czy tak?

- Mniej więcej.

- Belgararie, czyś ty postradał rozum? Dlaczego po prostu nie użyjesz czarów, żeby ją odpędzić?

- Ponieważ ona jest odporna na czary - wyjaśniła spokojnie Polgara. - To jedno z udoskonaień Toraka, które wprowadził, kiedy on i inni Bogowie stworzyli ten gatunek. Był pod takim wrażeniem ich mocy, że wybrał sobie smoka na totem. Starał się jak mógł, żeby uczynić z nich niezwyciężone zwierzęta.

- To jedna z jego wad - zauważył kwaśno Belgarath. - A więc smoczyca jest niezgrabna, głupia i nie wie, co to ból. Jeśli będziemy ostrożni, może uda nam się ją odstraszyć tak, żeby nikomu nic się nie stało.

- Ona wraca - powiedział Eriond.

Słuchali odgłosu skrzydeł, który rozległ się na nowo w lesie.

- Wyjdźmy na zewnątrz - rzekł zduszonym głosem Belgarath.

- Dobry pomysł - zgodził się Silk. - Jeśli mam to zrobić, to chcę, żeby wokół mnie była rozległa, równa przestrzeń.

- Ce'Nedro - powiedziała Polgara. - Ukryj się w tej gęstwinie tak głęboko, jak tylko będziesz mogła.

- Tak, lady Polgaro - Ce'Nedra odrzekła przestraszonym głosem.

Wyczołgali się z szalasu w ciemność. Deszcz przeszedł w mżawkę skraplającą gałęzie drzew. Konie, otoczone rzędem palików, rżały niespokojnie. Poprzez woń żywicy Garion czuł ostry zapach zwierząt, który świadczył o ich przestachu.

- W porządku - szepnął Belgarath. - Rozejdźcie się teraz i bądźcie ostrożni. Nie próbujcie jej atakować, dopóki nie będziecie pewni, że jej uwagę przyciąga coś innego.

Wyczołgali się z zagajnika na przestronną polanę. Garion trzymał w dłoni miecz i

poruszał się naprzód ostrożnie, szukając stopami przeszkód na drodze. Kiedy dotarł na drugą stronę, trafił na ogromny pień drzewa i ukrył się za nim.

Czekali w napięciu, wytężając wzrok, aby dojrzeć coś na czarnym niebie.

Ciężkie uderzenia wielkich skrzydeł znowu ozwały się pomiędzy drzewami. Ponownie usłyszeli przerażający ryk. Kiedy kulili się jeszcze pod wrażeniem tego dźwięku, Garion dojrzał w górze tuman dymu i płomień. Na tym tle rysowała się sylwetka smoczycy. Była jeszcze większa, niż sobie wyobrażał. Jej skrzydła mogłyby przykryć akr ziemi. Mocny dziób miała szeroko otwarty, wyraźnie widział jej ostre zęby i wijące się wokół nich płomienie. Miała długą, podobną do węża szyję, olbrzymie pazury i długi jaszczurczy ogon, który bił powietrze, kiedy nurkowała ku polanie.

Wówczas Eriond wyszedł zza drzewa i stanął na środku polany tak spokojnie, jakby wybrał się na poranną przechadzkę.

- Eriondzie! - krzyknęła Polgara, kiedy zwierzę z triumfalnym wrzaskiem runęło ku otwartej przestrzeni. Wyciągnęło szpony i zaatakowało bezbronnego chłopca. Smoczyca rozwarła szeroko dziób, z którego buchnęły kłęby pomarańczowych płomieni, aby ogarnąć młodego mężczyznę. Z zamarłym z obawy o przyjaciela sercem Garion ruszył naprzód i wyciągnął przed siebie miecz. Lecz kiedy biegł, poczuł, jak przechodzi go znajomy prąd; była to Wola cioci Pol. Eriond zniknął, gdyż Polgara translokowała go w bezpieczne miejsce.

Ziemia zadrżała, kiedy spadła na nią smoczyca, a jej wściekły ryk i ogień z jej paszczy wypełniły całą polanę. Zwierzę było naprawdę olbrzymie. Złożyła nieco pokryte łuskami skrzydła, ale i tak była wyższa niż jakikolwiek dom. Ogon miał grubość konia, dziób ze sterczącymi zębami sprawiał przerażające wrażenie. Niezdrowy odór rozchodził się po całej łączce, kiedy wyrzucała z siebie jęzory płomieni. W ich blasku Garion wyraźnie widział żółte, skośne oczy. Na podstawie tego, co mówił Belgarath, spodziewał się, że będą miały tępy wyraz, ale były bardzo czujne i ożywione, kiedy uważnie przeszukiwały polanę.

Wtedy Durnik i Toth rzucili się ku niej zza drzew. Durnik miał w rękach topór, a Toth ostrą łopatę kowala. Zaczęli z zapalem rąbać jej ruchliwy ogon. Wrzasnęła, buchnęła płomieniem i wyciągnęła pazury w stronę lasu.

- Uważajcie! - krzyknął Silk. - Obraca się!

Smoczyca niezgrabnie zakręciła się w miejscu bijąc skrzydłami powietrze i ryjąc szponami ziemię, ale Durnik i Toth wrócili już pod osłonę drzew. Kiedy zwierzę lustrowało las, Silk wyskoczył szybko z kryjówki i rzucił się na nie od tyłu ze swoim krótkim, szerokim mieczem. Raz po raz zanurzał go w podstawę ogona. Kiedy obróciła się wreszcie, żeby stawić czoła przeciwnikowi, czmychnął z powrotem w las.

Wtedy Eriond znowu wyszedł na polanę. Z poważnym wyrazem twarzy, na której nie widać było żadnych oznak strachu, podszedł wprost ku rozszalałej bestii.

- Dlaczego to robisz? - zapytał ją ze spokojem. - Wiesz, że nie jest to właściwy czas ani miejsce po temu.

Smoczyca cofnęła się na te słowa, ale jej oczy stały się nagle bardzo czujne.

- Nie możesz przeszkodzić temu, co ma się wydarzyć - mówił dalej. - Lepiej odejść. Naprawdę nie chcielibyśmy zrobić ci krzywdy.

Smoczyca zawahała się, a Garion natychmiast wyczuł, że nie tylko była zdezorientowana, ale również przerażona. Potem zebrała się w sobie i z wściekłym rykiem posłała kłęb ognia tam, gdzie stał Eriond, lecz on nie próbował nawet uciec.

Każdy nerw w ciele Gariona domagał się, by rzucił się na pomoc przyjacielowi, lecz stwierdził, że nie może nawet poruszyć ręką. Stał więc bezradny z mieczem w dłoni.

Gdy płomień cofnął się, odsłonił Erionda, który stał nieporuszenie z wyrazem żalu i determinacji na twarzy.

- Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli tego robić - rzekł do smoka - ale nie dajesz nam wyboru. - Westchnął. - No dobrze, Belgarionie. Każ jej odejść, ale proszę, postaraj się nie zranić jej za bardzo.

Z poczuciem nagłego triumfu, jak gdyby te słowa nagle uwolniły go, Garion podbiegł do zwierzęcia z płonącym mieczem i zaczął zadawać ciosy, które spadały na odsłonięty grzbiet i ogon. Okropny smród palonego mięsa wypełnił powietrze, a smoczyca zawyla z bólu; ogon wił się jak oszalały. Bardziej w obronie przed uderzeniem tylnej części ciała bestii, niż po to, by ją zranić, Garion zadał jej potężny cios mieczem Rivy Żelaznopalcego. Ostrze bez trudu zagłębiło się poprzez łuski w ciało i kości potwora i odcięło około czterech stóp ogona.

Wrzask, jaki wydała smoczyca, mroził krew w żyłach. Z jej dzioba buchnęły ku niebu kłęby ognia, a z rany trysnęła fontanna krwi, która zalała Garionowi twarz i na chwilę oślepiła go.

- Garionie! - krzyknęła Polgara. - Uważaj!

Sięgnął dłońmi ku twarzy, aby zetrzeć z niej krew. Smoczyca obróciła się zwinnie, ryjąc pazurami ziemię i bijąc skrzydłami powietrze. Klejnot zajaśniał i intensywny niebieski płomień znowu ogarnął miecz, sycząc i dymiąc, kiedy ogień wypalał gęstą krew, która pokrywała ostrze. W chwili, gdy rzuciła się do ataku, cofnęła się przed żarem bijącym z broni. Garion uniósł miecz i zwierzę ponownie skuliło się i zaczęło wycofywać krok po kroku.

Bała się! Z jakiegoś powodu niebieski płomień miecza przerażał ją! Wrzeszcząc

przerażliwie i desperacko próbując bronić się potężnymi zionęciami, cały czas postępowala w tył, a z jej ogona wciąż tryskała krew. Najwyraźniej w płomieniu Klejnotu było coś, czego nie mogła znieść. Gariona znowu ogarnęło podniecenie i uniósł miecz, z którego buchnął słup ognia. Zaczął smagać zwierzę tym płonącym biczem i słyszał głośny syk, kiedy płomień dotykał skrzydeł i boków.

Smoczyca ciężko wzbiła się w powietrze i mocno machała skrzydłami, starając się unieść ogromne cielsko. Połamała czubki jodeł na skraju polany, pragnąc uciec za wszelką cenę. Ciągłe skrzecząc, odleciała na południowy zachód, zostawiając za sobą chmury ognia i strugi krwi.

Kiedy stali i przyglądali się pierzchającej bestii, zaległa wokół nich dzwoniąca w uszach cisza.

Błada na twarzy Polgara wyszła z lasu i zbliżyła się do Erionda.

- Co ty sobie właściwie myślałeś? - zapytała przerażająco spokojnym głosem.

- Nie bardzo rozumiem, Polgaro - odpowiedział, patrząc na nią ze zdziwieniem.

Opanowała się z wyraźnym wysiłkiem.

- Czy słowo „niebezpieczeństwo” nic dla ciebie nie znaczy?

- Chodzi ci o smoczykę? Ona nie była tak bardzo niebezpieczna.

- Ale zdaje się, że osmalila cię aż po brwi, Eriondzie - zauważył Silk.

- Ach, to - młody człowiek uśmiechnął się. - Ale ten ogień nie był prawdziwy. -

Spojrzał na resztę przyjaciół. - Nie wiedzieliście o tym? - zapytał nieco zaskoczony. - To była tylko iluzja. Tym właśnie jest zło: złudzeniem. Przepraszam, jeśli ktoś z was się o mnie martwił, ale nie miałem czasu, żeby wam to wyjaśnić.

Polgara przyglądała się przez chwilę swemu opanowanemu wychowankowi, po czym obróciła spojrzenie na Gariona, który wciąż dzierżył w dłoni płonący miecz.

- A ty... ty... - słowa z jakiegoś powodu ją zawiodły. Powoli ukryła twarz w drżących dłoniach.

- Obaj - powiedziała rozdzierającym głosem. - Obaj! Chyba tego nie zniosę - nie obaj!

Durnik spojrzał na nią poważnie i wręczył topór Tothowi. Podszedł i objął ją.

- No już dobrze, dobrze - powiedział do niej cicho. Przez chwilę zdawała mu się opierać, ale potem nagle wtuliła twarz w jego ramię

- Chodźmy, Pol - przemawiał do niej uspokajająco i delikatnie odwrócił ją i poprowadził z powrotem do szałas. - Rano wszystko będzie wyglądało lepiej.

Rozdział III

Przez pozostałą część tej deszczowej nocy Garion spał niewiele. Skronie wciąż mu pulsowały, leżał pod kocami obok Ce'Nedry i ciągle na nowo przeżywał swoje spotkanie ze smoczą. Dopiero przed samym świtem uspokoił się na tyle, by zastanowić nad czymś, co przyszło mu do głowy podczas walki. Podobało mu się to starcie. Fascynował się czymś, co powinno było go przerażać; im dłużej nad tym myślał, tym bardziej dochodził do przekonania, że zdarzyło mu się to nie po raz pierwszy. Od dzieciństwa to samo podniecenie ogarniało go zawsze, kiedy znajdował się w niebezpieczeństwie.

Sendariański zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że taki zapal do potyczek i poszukiwanie zagrożeń to niezdrowy wynik jego alornowskiego wychowania i że powinien uważać, by nie stracić nad tym kontroli. Ale w głębi serca czuł, że nigdy do tego nie dopuści. Znalazł wreszcie odpowiedź na to płaczliwe pytanie „Dlaczego ja?”, które tak często zadawał w przeszłości. Najwyraźniej został wybrany do wypełnienia tych budzących grozę zadań, ponieważ doskonale się do tego nadawał.

- To właśnie robię - mruknął do siebie. - Zawsze, kiedy pojawia się coś tak absurdalnie niebezpiecznego, iż żadna rozumna istota nawet nie pomyślałaby, żeby się tym zająć, wtedy wzywają mnie.

- Co to było, Garionie? - szepnęła sennie Ce'Nedra.

- Nic takiego, kochanie - odpowiedział. - Po prostu głośno sobie myślałem. Śpij dalej.

- Mhm - zamruczała i przytuliła się do niego mocniej, aż poczuł zapach jej włosów.

Błady świt zakradał się poprzez mokre gałęzie i ogarniał stopniowo cały las. Natrętna mżawka zlała się w jedno z poranną mgłą, która unosiła się tuż nad ziemią. - Tworzyły razem szarą chmurę, która obejmowała jodły i świerki i napelniała wszystko wilgocią.

Garion ocknął się z drzemki i zobaczył niewyraźne sylwetki Durnika i Totha, stojące nad miejscem, gdzie poprzedniego dnia rozpalili ognisko. Wstał z posłania ostrożnie, aby nie zbudzić żony i wsunął na nogi wilgotne buty. Włożył płaszcz i wyszedł do nich.

Spojrzał na ponure poranne niebo.

- Widzę, że nadal pada - zauważył cichym głosem, jakim mówią ludzie, którzy wstają przed świtem.

Durnik skinął głową.

- O tej porze roku nie przestanie pewnie przez tydzień. - Otworzył skórzaną sakiewkę, którą nosił przy boku i wyjął z niej hubkę. - Powinniśmy chyba zająć się ogniskiem -

powiedział.

Wielki, niemy Toth podszedł do szafasu, podniósł bukłaki i ruszył z nimi w stronę źródła. Szedł prawie bezszelestnie przez spowite mgłą zarośla.

Durnik ukląkł przy kupce popiołów i ostrożnie ułożył stosik z suchych patyczków. Potem położył obok hubkę i wyjął krzesiwo.

- Czy ciocia Pol jeszcze śpi? - zapytał Garion.

- Drzemie. Mówi, że bardzo lubi leżeć w ciepłym posłaniu, gdy ktoś inny rozpała ogień. - Durnik uśmiechnął się lekko.

Garion odwzajemnił jego uśmiech.

- Pewnie dlatego, że przez wiele lat to ona była zawsze pierwsza na nogach. - Zamilkł na chwilę. - Czy nadal jest jej przykro z powodu wczorajszego dnia? - zapytał.

- Och - powiedział Durnik i pochylił się, próbując wykrzesać ogień. - Myślę, że odzyskała już nieco spokój. - Kawałki krzesiwa cicho stukały o siebie, a za każdym stuknięciem na ziemię spadały iskry. Jedna z nich upadła na hubkę, a kowal dmuchał w nią ostrożnie, aż pokazał się maleńki, pomarańczowy języczek ognia. Wtedy wsunął hubkę pod patyki, a płomień buchnął i ogarnął drewnienka, które zaczęły cicho trzaskać.

- No, udało się - powiedział, zsuwając płomień z hubki i chowając ją z powrotem do sakiewki razem z krzesiwem.

Garion ukląkł przy nim i zaczął łamać suchą gałąź na mniejsze kawałki.

- Byłeś wczoraj bardzo dzielny, Garionie - powiedział Durnik, kiedy obaj dokładali drew do ogniska.

- Myślę, że właściwym słowem jest „szalony” - odparł z grymasem na twarzy. - Czy ktoś przy zdrowych zmysłach zrobiłby coś takiego? Myślę, że kłopot polega na tym, że wplątuje się w takie sytuacje, zanim zdąży pomyśleć o tym, jak są niebezpieczne. Czasami zastanawiam się, czy dziadek nie miał racji. Może ciocia rzeczywiście upuściła mnie i upadłem na głowę, kiedy byłem dzieckiem.

Durnik zachichotał cicho.

- Trochę w to wątpię - rzekł. - Ona jest bardzo ostrożna, jeśli chodzi o dzieci i inne kruche rzeczy.

Dokładali gałązek, aż ognisko rozpałiło się na dobre. Wtedy Garion podniósł się. Światło bijące od ognia odbijało się we mgle i miało różową poświatę. Wydawało się czymś nierealnym, jakby - niczego nie podejrzewając - niebacznie przekroczyli w jakimś miejscu granice tego świata i weszli do cudownego królestwa magii.

Kiedy Toth wrócił z ociekającymi wodą workami, Polgara wyszła z szafasu, czesząc

swe długie, ciemne włosy. Jasny kosmyk na czole zdawał się żarzyć z jakiegoś powodu.

- Śliczny ogień, kochanie - powiedziała i pocałowała męża. Potem spojrzała na Gariona. - Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Co? A, tak. Zupełnie dobrze.

- Żadnych skaleczeń, siniaków czy oparzeń, których wczoraj nie zauważyłeś?

- Nie. Chyba mnie nawet nie drasnęła. - Zawahał się. - Czy naprawdę byłaś wczoraj zła, ciociu Pol? To znaczy, na mnie i na Erionda?

- Tak, Garionie, naprawdę, ale to było wczoraj. A dziś rano, co chciałbyś na śniadanie?

Jakiś czas później, kiedy blady świt wkradł się pomiędzy drzewa, Silk stał drżąc przy ogniu i wyciągał ku niemu dłonie. Przyglądał się podejrzliwie bulgoczącemu garnkowi, który Polgara postawiła na płaskim kamieniu obok ognia.

- Kleik? - zapytał. - Znowu?

- Gorąca owsianka - poprawiła go ciocia Pol, mieszając zawartość kociołka długą, drewnianą chochlą

- To jest to samo, Polgaro.

- Niezupełnie. Kleik jest rzadszy.

- Rzadkie czy gęste, to i tak jedno i to samo. Spojrzała na niego, unosząc brwi.

- Powiedz mi, książę Kheldarze, dlaczego rano zawsze jesteś taki kłótlivy?

- Ponieważ nie znoszę poranków. Ranek istnieje tylko po to, żeby noc i dzień nie wpadły na siebie.

- Może jeden z moich środków łagodzących uspokoi ci krew. Jego oczy stały się czujne.

- O, nie. Wielkie dzięki, Polgaro. Teraz, kiedy się już rozbudziłem, czuję się o wiele lepiej.

- Bardzo mnie to cieszy. Czy mógłbyś się nieco przesunąć? Z tej strony ogniska chcę ułożyć bekon.

- Cokolwiek rozkażesz. - Odwrócił się i odszedł pośpiesznie do szałas.

Belgarath, który wylegiwał się na swoim pośłaniu, spojrzał z rozbawieniem na małego człowieczka.

- Jesteś inteligentnym człowiekiem, prawda? A jednak zdarza ci się popełnić błąd - powiedział. - Powinieneś się już nauczyć, że Polgarze nie wolno przeszkadzać, kiedy jest zajęta gotowaniem.

Silk burknął coś w odpowiedzi i podniósł swą zżartą przez mole futrzaną czapkę.

- Chyba pójdę zobaczyć, co z końmi - rzekł. - Chcesz iść ze mną?

Belgarath rzucił baczne spojrzenie na gwałtownie kurczący się zapas drewna Polgary.

- To niegłupi pomysł - zgodził się wstając.

- Pójdę z wami - powiedział Garion. - Chciałbym rozwiązać kilka problemów. Czuję się, jakbym spał na jakimś pniu. - Zarzucił sobie na ramię pętlę miecza i wyszedł za nimi z namiotu.

- Trochę trudno uwierzyć, że to wszystko się wydarzyło, prawda? - mruknął Silk, kiedy doszli do polany. - To znaczy, że był tu smok. W dziennym świetle wszystko wygląda tak zwyczajnie.

- Niezupełnie - stwierdził Garion, wskazując na pokryty łuskami fragment ogona bestii, który leżał po drugiej stronie łączki. Jego koniec wciąż jeszcze drgał.

Silk potaknął.

- Na coś takiego rzeczywiście trudno się natknąć podczas zwykłej porannej przechadzki. - Spojrzał na Belgaratha. - Czy ona może zaatakować nas znowu? - zapytał. - To będzie bardzo nerwowa podróż, jeśli cały czas będziemy oglądać się przez ramię. Czy jest mściwa?

- Co masz na myśli? - zapytał starzec.

- No cóż, Garion jednak odciął jej kawałek ogona. Myślisz, że mogłaby wziąć to sobie do serca?

- Zwykle nie robi takich rzeczy - odparł Belgarath. - Ona nie ma za dużo rozumu. - Zmarszczył w zamyśleniu brwi. - Niepokoi mnie to, że w całym tym spotkaniu od początku było coś złego.

- Ono było złe samo w sobie - Silk wzruszył ramionami. Belgarath potrząsnął głową.

- Nie o to mi chodzi. Nie jestem pewien, czy mi się to tylko wydawało, ale miałem wrażenie, że szukała kogoś konkretnego spośród nas.

- Erionda? - podsunął Garion.

- Na to by wychodziło, prawda? Ale kiedy go znalazła, wyglądała, jakby się go bała. I co miały znaczyć te dziwne rzeczy, które do niej mówił?

- Kto wie? - rzucił niedbale Drasanin. - On zawsze był dziwnym chłopcem. Chyba żyje w innym świecie, niż my wszyscy.

- Ale dlaczego smok tak bardzo bał się miecza Gariona?

- Ten miecz przeraża całe armie, Belgaracie. Sam ogień może zmrozić krew w żyłach.

- Ale ona lubi ogień, Silku. Widziałem, jak kręciła się wokół płonącej stodoły i jak przez tydzień latała, wlepiając cielęcy wzrok w las stojący w płomieniach.

Eriond wyszedł z zarośli, w których uwiązane były konie i obchodził ostrożnie ociekające wodą krzaki.

- Nic im się nie stało? - zapytał Garion.
- Koniom? Nie, nic, Belgarionie. Czy śniadanie będzie zaraz gotowe?
- Jeśli tak to nazywasz - odparł kwaśno Silk.
- Polgara naprawdę świetnie gotuje, Kheldarze - zapewnił go żarliwie Eriond.
- Nawet najlepszy kucharz na świecie niewiele może zrobić z owsianki.
- Gotuje owsiankę? Uwielbiam owsiankę.

Silk przyglądał mu się długo, po czym odwrócił ze smutkiem do Gariona.

- Widzisz, jak łatwo zepsuć młodzież? - zauważył. - Napomknij tylko o dobrym wychowaniu i są straceni na zawsze. - Uniósł ramiona. - No, dobra - burknął ponuro. - Chodźmy, lepiej mieć to za sobą.

Po śniadaniu zlikwidowali obozowisko i wyruszyli w dalszą drogę smagani strużkami drobnego deszczu. Mniej więcej w południe trafili na szeroki na ćwierć mili pas ziemi pozbawionej drzew, na której rosły już tylko krzaki. Przez środek tego pokosu biegł szeroki, błotnisty trakt.

- Trakt z Muros - oświadczył Silk z nutą satysfakcji w głosie.
- Dlaczego ścięto wszystkie drzewa? - zapytał go Eriond.
- Kiedyś były problemy z rabusiami, którzy zasadzali się przy drodze. Oczyszczono pobocza, aby dać podróżnym szansę.

Wyjechali spod mokrych drzew i skierowali się przez porośniętą chwastami polanę ku traktowi.

- Teraz powinniśmy poruszać się szybciej - rzekł Belgarath, zmuszając konia do kłusa.

Jechali w ostrym tempie przez kilka godzin. Kiedy opuścili pokryte lasami wzgórza, drzewa ustąpiły rozległym stepom. Dotarli na szczyt pagórka i ściągnęli cugle, aby zdyszane konie mogły odpocząć. Daleko na północnym zachodzie ujrzeli zarysy Puszczy Arendyjskiej, niewyraźne w strugach deszczu, a tuż przed sobą - ponure, szare mury twierdzy Mimbrate.

Ce'Nedra westchnęła, patrząc na równinę i fortecę, która zdawała się ucieleśniać upartą podejrzliwość, leżącą u podstaw społeczności Arendów.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Garion w obawie, że znowu ogarnia ją melancholia, z której dopiero się otrząsnęła.

- W Arendii jest coś niesamowicie smutnego - odpowiedziała. - Tyle tysięcy lat nienawiści i żali i co w ten sposób udowodnili? Nawet zamek zdaje się płakać.

- To tylko deszcz, Ce'Nedro - rzekł ostrożnie.

- Nie - westchnęła znowu. - To znacznie więcej.

Droga z Muros wiła się, porośniętą brązową, chylącą się ku ziemi trawą, arendzką równiną niczym żółta, błotnista ścieżka. Przez następnych kilka dni jechali obok majestatycznie wznoszących się zamków Mimbrate i poprzez brudne wioski krytych strzechą domków, w których cierpki dym spalonego drzewa wisiał w zimnym powietrzu jak jakieś niezdrowe wyziewy, a twarze odzianych w łachmany chłopów mówiły o ich życiu pełnym cierpienia i beznadziejnej rozpacz. Zatrzymywali się w nędznych przydrożnych zajazdach, które cuchnęły zepsutym jedzeniem i nieumytymi ciałami.

Czwartego dnia wjechali na wzgórze, skąd rozciągał się widok na mieniący się jaskrawymi barwami Wielki Jarmark Arendyjski, który znajdował się na skrzyżowaniu traktu z Muros i Wielkiego Traktu Zachodniego. Różnej wielkości namioty poustawiane były wzdłuż nich we wszystkich kierunkach na przestrzeni trzech mil. Zgromadzenie to biło w oczy niebieskim, czerwonym i żółtym blaskiem. Deszcz lał się na nie z szarego nieba, a karawany ludzi obarczonych pakunkami ciągnęły w obie strony i wyglądały na tle równiny jak krzątające się mrówki.

Silk poprawił kapelusz na głowie.

- Będzie lepiej, jak pójde rozejrzeć się trochę, zanim zjawimy się tam wszyscy - powiedział. - Od jakiegoś czasu żyjemy z dala od ludzi, a dobrze byłoby dowiedzieć się, co słychać w świecie.

- Dobrze, Silku - zgodził się Belgarath - ale bez oszukaństw.

- Oszukaństw?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Panuj nad swymi instynktami.

- Zaufaj mi, Belgaracie.

- Nigdy, jeśli nie będę musiał.

Drasanin zaśmiał się i spiął konia do galopu.

Pozostali zjeżdżali powoli łagodnym zboczem, a Silk pędził ku wiecznie tymczasowemu miastu namiotów, pogrążonemu w morzu błota. Kiedy zbliżali się do jarmarku, doszedł ich wypełniający powietrze głośny tumult, wrzawa tysiąca krzyczących jednocześnie głosów. Czuli także niezliczoną ilość zapachów - przypraw, jedzenia, rzadkich perfum oraz koni.

Belgarath ściągnął wodze.

- Zaczekajmy tu na Silka - rzekł. - Nie chcę się w coś wpakować.

Uwiązali konie po jednej stronie traktu i przyglądali się sznurom objuczonych ludzi, którzy ślizgali się w deszczu na błotnistej drodze.

Trzy kwadransy później Silk pojawił się na wzgórzu. Twarz miał bardzo zatroskaną.

- Myślę, że powinniśmy wjechać tam niezauważeni - powiedział.

- Co się stało? - zapytał Belgarath.

- Spotkałem przypadkiem Delvora - odparł Drasanin. - Powiedział mi, że pyta o nas jakiś angarański kupiec.

- W takim razie może powinniśmy ominąć Jarmark - zaproponował Durnik.

Silk potrząsnął głową.

- Według mnie powinniśmy dowiedzieć się czegoś, więcej o tym ciekawskim Angaraku. Delvor zaofiarował się, że przenocuje nas przez dzień czy dwa w swoich namiotach, ale dobrze byłoby objechać Jarmark i wjechać tu od południa. Możemy przyłączyć się do którejś z karawan z Tol Honeth. W ten sposób nie będziemy się tak rzucać w oczy.

Belgarath zastanawiał się nad tym, patrząc z ukosa na deszczowe niebo.

- Dobrze - zdecydował. - Nie chcę marnować zbyt dużo czasu, ale nie podoba mi się też myśl, że ktoś nas śledzi. Zobaczymy, co Delvor ma nam do powiedzenia.

Pojechali szerokim półkolem po przemokniętej trawie i wjechali na Wielki Trakt Zachodni w odległości mili na południe od Jarmarku. Na czele strumienia skrzypiących wozów jechało sześciu tolnedrańskich kupców, okutanych w drogie futra. Garion wraz z przyjaciółmi dyskretnie dołączyli do tyłu kolumny. Niebo powoli ciemniało, zapowiadając nadejście ponurego, deszczowego wieczoru.

Na wąskich ścieżkach wijących się pomiędzy namiotami pełno było kupców ze wszystkich części świata. Gęste błoto sięgało do kostek, chlupały w nim kopyta koni i buty ubranych w jasne szaty ludzi, którzy krzyczeli do siebie i targowali się głośno, nie zważając na breję i deszcz. Pochodnie i latarnie wisiały przed otwartymi płóciennymi budami, w których bezcenne przedmioty znajdowały się w bliskim sąsiedztwie mosiężnych garnków i tanich cynowych talerzy.

- Tędy - rzucił Silk, skręcając w jakąś ścieżkę. - Namioty Delvora są kilkaset jardów stąd.

- Kim jest Delvor? - Ce'Nedra zapytała Gariona, kiedy mijali rozhuczaną tawernę.

- Znajomy Silka. Spotkaliśmy go, kiedy byliśmy tu ostatnio. Myślę, że pracuje dla wywiadu Drasni.

Prychnęła.

- Czy wszyscy Drasanie są członkami tajnych służb? Uśmiechnął się.

- Chyba tak - odparł.

Delvor czekał na nich przed swoim namiotem w niebieskie i białe pasy. Przyjaciel Silka niewiele się zmienił od czasu, gdy Garion widział go po raz ostatni. Był łysy jak kolano, a jego spojrzenie było bystre i cyniczne tak jak przedtem. Miał na sobie wykańczany futrem, obcisły w ramionach płaszcz, a jego ogolona czaszka połyskiwała na deszczu.

- Służba zajmie się waszymi końmi - rzekł do nich, kiedy stanęli na ziemi. - Wejźmy do środka, zanim zobaczy nas zbyt wiele osób.

Poszli za nim do ciepłego, oświetlonego namiotu. Gospodarz dokładnie zasunął za sobą klapę. Wnętrze było niemal tak wygodne, jak porządny dom. Stały tam krzesła i otomany, na wypolerowanym stole podano sutą kolację. Podłogę i ściany wyłożono niebieskimi kobiercami, z sufitu zwisały na łańcuchach lampy naftowe, a w każdym rogu stał kosz z żarzącymi się węglami. Służący Delvora, ubrani w proste liberie, bez słowa odebrali od gości ociekające wodą płaszcze i odnieśli je za przegrodę do przyległego namiotu.

- Proszę - odezwał się grzecznie Delvor - usiądźcie. Pozwoliłem sobie przygotować skromną kolację.

Silk rozejrzał się, kiedy zasiadali przy stole.

- Zasobnie - zauważył. Delvor wzruszył ramionami.

- Odrobina planowania i sporo pieniędzy. Namiot nie musi być niewygodny.

- No i jest przenośny - dodał Silk. - Jeśli trzeba opuścić w pośpiechu jakieś miejsce, można złożyć namiot i zabrać go ze sobą. Trudno to zrobić z domem.

- Tak, to też jest istotne - Delvor zgodził się uprzejmie. - Proszę, jedzcie, przyjaciele. Wiem, na jaki nocleg i jadło można liczyć w zajazdach tu, w Arendii.

Jedzenie, które im podano, wyglądało tak, jak dania serwowane w jakimś pałacu. Sterta dymiących plastrów wołowiny leżała na srebrnej tacy; w delikatnym sosie serowym pływały gotowane cebule, ziarnka grochu i marchew. Biały chleb niedawno wyjęto z pieca, obok ustawiono bogatą kolekcję wybornych win.

- Pański kucharz to bardzo zdolny człowiek, Delvorze - oświadczyła Polgara.

- Dzięki ci, pani - odrzekł. - Kosztuje mnie kilka tuzinów koron rocznie i ma okropny charakter, ale myślę, że wart jest tych kosztów i nerwów.

- A co z tym ciekawskim angarackim kupcem? - zapytał Belgarath, częstując się kilkoma kawałkami mięsa.

- Kilka dni temu przyjechał na Jarmark z sześcioma służącymi, ale bez wozów i bagaży na koniach. Ich wierzchowce wyglądały na bardzo strudzone, jakby przybyli tu w wielkim pośpiechu. Od przyjazdu nie zawarli ani jednej transakcji. On i jego ludzie cały czas zadają tylko pytania.

- Czy zależy im na kimś z nas szczególnie?

- Nie wymieniali imion, Przedwieczny, ale opisał was tak, że nie mam ani cienia wątpliwości. Za informacje oferował pieniądze. I to dosyć duże pieniądze.

- Skąd pochodzi ten Angarak?

- Mówi, że jest Nadrakiem, ale jeśli on jest Nadrakiem, to ja jestem Thullem. Według mnie to Malloreanin. Jest średniego wzrostu i przeciętnej budowy, gładko ogolony i skromnie ubrany. Chyba jedyną rzeczą, którą zwraca na siebie uwagę, są oczy. Wydają się całe białe - całe z wyjątkiem źrenic. Nie mają żadnego koloru.

Polgara natychmiast uniosła głowę.

- Niewidomy? - zapytała.

- Czy nie widzi? Nie sądzę. Zdaje się, że wie, dokąd idzie. Dlaczego pytasz, pani?

- Opisał pan objawy bardzo rzadko spotykanego stanu - odpowiedziała. - Większość ludzi, którzy się w nim znajdują, jest niewidoma.

- Jeśli chcemy wyjechać stąd i nie mieć go tuż za sobą, będziemy musieli odciągnąć jakoś jego uwagę - odezwał się Silk, obracając w dłoni kielich. Podniósł wzrok na swego przyjaciela. - Chyba nie masz już tych ołowianych monet, które schowałeś w domu Murga, kiedy byliśmy tu ostatnio?

- Obawiam się, że nie, Silku. Kilka miesięcy temu musiałem przejść przez urząd celny na tolnedrańskiej granicy. Uważałem, że byłbym nieostrożny, gdybym pozwolił, aby celnicy znaleźli coś takiego w moich rzeczach, więc zakopałem je pod drzewem.

- Ołowiane monety? - powtórzyła ze zdziwieniem Ce'Nedra. - Co można kupić za takie pieniądze?

- Są pozłacane, wasza wysokość - wyjaśnił jej gospodarz. - Wyglądają tak samo, jak tolnedrańskie złote korony.

Ce'Nedra nagle zbladła.

- To straszne - szepnęła z przejęciem.

Na twarzy Delvora odmalowało się zaskoczenie jej nieoczekiwaną reakcją.

- Jej wysokość jest Tolnedranką, Delvorze - przypomniał mu Silk. - Tolnedranom na myśl o fałszywych pieniądzech serca krwawią. To musi mieć jakiś związek z ich religią.

- Nie sądzę, żeby było w tym coś śmiesznego, książę Kheldarze - odpowiedziała cierpko Ce'Nedra.

Po kolacji siedzieli jeszcze jakiś czas przy stole, tocząc przyjemną rozmowę ludzi sytych, rozkoszujących się ciepłym schronieniem. Potem Delvor zaprowadził ich do przyległego namiotu, który został podzielony na małe komnaty. Garion zasnął, gdy tylko

położył głowę na poduszce i obudził się następnego ranka świeży i wypoczęty, co nie zdarzało mu się zbyt często w ciągu ostatnich tygodni. Ubrał się po cichu, żeby nie zbudzić Ce'Nedry i wyszedł do głównego namiotu.

Silk i Delvor siedzieli przy stole i niegłośnie rozmawiali.

- Wielki niepokój panuje w Arendii - mówił Delvor. - Wieści o kampanii przeciwko kultowi Niedźwiedzia wzburzyły krew porywczych młodzieńców, zarówno Mimbratów, jak i Asturian. Arendowie cierpią na myśl o tym, że gdzieś toczy się walka, na którą nie zostali zaproszeni.

- To nic nowego - rzekł Silk. - Dzień dobry, Garionie.

- Panowie - odrzekł Garion szarmancko i przysunął sobie krzesło.

- Wasza wysokość - powitał go Delvor, po czym zwrócił się z powrotem do Silka. - To, co martwi wszystkich bardziej niż zwyczajna wojowniczość młodych szlachciców, to poruszenie wśród chłopstwa.

Garion przypomniał sobie mizerne chaty w wioskach, które mijali ostatnio i pozbawione nadziei spojrzenia ich mieszkańców.

- Mają wystarczające powody, żeby być niezadowolonymi, nie sądzi pan? - powiedział.

- Całkowicie się z wami zgadzam, wasza wysokość - odrzekł Delvor. - Nie byłby to pierwszy raz. Lecz tym razem chodzi o coś poważniejszego. Władze znajdują ukryte zapasy broni, i to dobrej jakości. Chłop z widłami nie bardzo może się równać z rycerzem Mimbratów. Ale wieśniak z kuszą to już zupełnie co innego. Zdarzyło się kilka incydentów, no i kilka akcji odwetowych.

- W jaki sposób chłopci mogli zdobyć tego rodzaju broń? - zapytał go Garion. - Zwykle nie mają nawet co jeść. Jak mogą sobie pozwolić na kupno kuszy?

- Są sprowadzane zza granicy - odpowiedział Delvor. - Nie udało nam się jeszcze wysledzić źródła, ale jest dosyć jasne, że ktoś chce mieć pewność, iż szlachta arendzka jest zbyt zajęta swoimi problemami, żeby angażować się w coś poza swoim krajem.

- Na przykład Kal Zakath - podsunął Silk.

- To bardzo prawdopodobne - zgodził się Delvor. - Nie ma wątpliwości, że władca Mallorei ma ogromne ambicje, a zamieszanie w Królestwach Zachodu będzie mu bardzo na rękę, jeśli zdecyduje się ruszyć na pomoc, kiedy rozprawi się już z królem Urgitem.

Garion jęknął.

- Tego właśnie mi potrzeba - powiedział. - Jeszcze jeden powód do zmartwień.

Kiedy pozostali członkowie drużyny przyłączyli się do nich, słudzy gospodarza

wnieśli ogromne śniadanie. Podano tace jaj, stopy bekonu i kielbasek; donoszono wciąż talerze z owocami i pieczywem.

- No, to się nazywa śniadanie - zawołał z entuzjazmem Silk. Polgara spojrzała na niego zimno.

- Proszę bardzo, powiedz coś jeszcze, księżę Kheldarze - powiedziała. - Jestem pewna, że zechcesz podzielić się z nami wieloma celnymi uwagami.

- Czyż ja mógłbym powiedzieć coś złego o kleiku, którym raczysz nas co rano, moja pani? - odrzekł niewinnie.

- Nie, o ile zależy ci na zdrowiu - zapewniła go słodkim głosem Ce'Nedra.

Jeden ze służących wszedł do namiotu z urażonym wyrazem twarzy.

- Delvorze, na zewnątrz czeka pewien odpychający, brudny garbus - oświadczył. - Ma najgłupszą gębę, jaką kiedykolwiek widziałem i żąda, żeby go wpuścić. Czy mamy go przepędzić?

- Och, to na pewno wujek Beldin - zawołała Polgara.

- Znacie go? - Delvor wydawał się zaskoczony.

- Znam go od dzieciństwa - odparła. - Nie jest taki zły, na jakiego wygląda - kiedy człowiek się do niego przyzwyczai.

Zmarszczyła nieco brwi.

- Lepiej będzie, jak go wpuścicie - poradziła. - On może być strasznie nieprzyjemny, kiedy się go zdenerwuje.

- Belgaracie - ryknął Beldin, przepychając się obok protestującego służącego - tylko dotąd dotarłeś? Myślałem, że będziesz już w Tol Honeth.

- Musieliśmy zatrzymać się w Prolgu i zobaczyć z Gorimem - odpowiedział łagodnie Czarodziej.

- To nie jest wycieczka, durniu - rzucił Beldin ze złością. Mały garbus był brudny jak zawsze. Mokre szmaty, które nosił w charakterze ubrania, przywiązywał do ciała w różnych miejscach przegniłym sznurkiem. W splątanych włosach tkwiły patyczki i kawałki słomy. Jego odpychająca twarz była czarna jak chmura burzowa, kiedy podszedł na swych krzywych nogach do stołu i poczęstował się kielbaską.

- Postaraj się zachowywać przyzwoicie, wujku - poprosiła Polgara.

- Po co? - Wskazał na mały garnek stojący na stole. - Co w tym jest?

- Konfitury - odpowiedział Delvor, wyglądając na nieco onieśmiałego.

- Ciekawe - stwierdził przybysz.

Włożył brudną rękę do naczynia i zaczął pakować sobie do ust kawałki jedzenia.

- Niezłe - powiedział, oblizując palce.

- Obok leży chleb, wujku - zauważyła ze złością Polgara.

- Nie lubię chleba - burknął, wycierając dłonie o ubranie.

- Czy udało ci się złapać Harakana? - zapytał Belgarath. W odpowiedzi użył takich słów, że Ce'Nedra aż pobladła.

- Znowu mi zwiął. Nie mam czasu, by go ścigać, więc będę musiał zrezygnować z przyjemności i nie rozwałę go na dwie części. - Znowu włożył rękę do garnka.

- Jeśli go spotkamy, zrobimy to dla ciebie - zaproponował Silk.

- To czarnoksiężnik, Kheldarze. Jeśli się z nim spotkasz, powiesi twoje wnętrzności na płocie.

- Chciałem, żeby zajął się nim Garion. Beldin postawił pusty garnek i beknął.

- Czy mogę poczęstować cię czymś jeszcze? - zapytał Delvor.

- Nie, wielkie dzięki, jestem już syty. - Zwrócił się do Belgaratha. - Czy chcieliście dotrzeć przed latem aż do Tol Honeth?

- Nie poruszamy się przecież aż tak wolno - zaprotestował Belgarath.

Beldin wydał nietaktowny dźwięk.

- Miejcie oczy otwarte jadąc na południe - poradził. - Pewien Malloleanin rozpytuje o ciebie i pozostałych. Wynajmuje ludzi w różnych miejscach na Wielkim Trakcie Zachodnim.

Belgarath spojrzał na niego ostro.

- Czy możesz nam podać jakieś imię?

- Używa wielu, ale najczęściej mówi się o nim Naradas.

- Czy wiesz mniej więcej, jak on wygląda? - zapytał Silk.

- Zdołałem się dowiedzieć tylko tego, że ma śmieszne oczy. Z tego, co mi mówiono, są całkiem białe.

- No - odezwał się Delvor. - No, no, no.

- A co to ma znaczyć? - zwrócił się do niego Beldin.

- Człowiek o białych oczach jest teraz na Jarmarku. Tu również zadaje mnóstwo pytań.

- To ułatwia sprawę. Każ komuś wbić mu nóż w plecy. Belgarath pokręcił głową.

- Legioniści, którzy patrolują Jarmark, denerwują się, kiedy nie wiadomo skąd zaczynają się pojawiać jakieś ciała.

Beldin wzruszył ramionami.

- Walnijcie go czymś w głowę i pociągnijcie kilka mil na równinę. Poderżnijcie mu gardło i zakopcie w dole. Przed wiosną nie powinien puścić pędów. - Spojrzał na Polgarę z

niewinnym uśmiechem. - Jeśli nadal będziesz skubać te bułeczki, roztyjesz się. I tak jesteś już dość puciołowata.

- Puciołowata?

- Nic nie szkodzi, Pol. Niektórzy mężczyźni lubią kobiety z dużymi tyłkami.

- Może byś stał sobie konfitury z brody, wujku.

- Zostawię je na lunch. - Podrapał się pod pachą.

- Znowu wszy? - zapytała zimno.

- To zawsze możliwe. Nie przeszkadza mi kilka. Są lepszym towarzystwem, niż większość ludzi, których znam.

- Dokąd się teraz wybierasz? - zapytał Belgarath.

- Z powrotem do Mallorei. Chcę pogrzebać trochę w Dar-sshivie, może uda mi się trafić na coś o Zandramasie.

Delvor przyglądał się ukradkiem ponuremu mężczyźnie i gorączkowo się nad czymś zastanawiał.

- Czy chcesz wyruszyć natychmiast, panie Beldinie? - zapytał.

- Dlaczego pan pyta?

- Chciałbym zamienić z panem słówko na osobności, jeśli ma pan chwilę czasu.

- Tajemnice, Delvorze? - powiedział Silk.

- Nie o to chodzi, mój drogi. Mam pewien plan, ale chciałbym dokładniej go opracować, zanim wam o nim powiem. - Zwrócił się do garbusa. - Może wybierzemy się na przechadzkę, panie Beldinie. Ten pomysł może się panu spodobać, a cała sprawa zajmie tylko chwilę.

Beldin był zaintrygowany.

- Dobrze - zgodził się i wyszli na zewnątrz na drobny poranny deszcz.

- O co w tym wszystkim chodzi? - chciał wiedzieć Garion.

- To taki denerwujący nawyk, który Delvor ma od czasów Akademii. Lubi wprowadzać w życie jakiś przebiegły plan, nikogo wcześniej nie ostrzegając. Dzięki temu może potem siedzieć sobie i napawać się tym, że wszyscy są tak zaskoczeni i pełni podziwu. - Mały człowieczek spojrzał na stół. - Myślę, że zjem jeszcze kawałek tej kielbaski - powiedział - i jeszcze kilka jaj. Do Tol Honeth jeszcze kawał drogi, więc chcę się zabezpieczyć przed tym kielkiem.

Polgara zwróciła się do Ce'Nedry.

- Czy zauważyłaś, że kiedy niektórzy ludzie znajdą temat, który uważają za śmieszny, trzymają się go bez końca i nie zauważają, że wszyscy są nim już śmiertelnie znudzeni?

Ce'Nedra spojrzała na Silka z przebiegłym błyskiem w oczach.

- Rzeczywiście, Polgaro. Czy nie sądzisz, że to z powodu ograniczonej wyobraźni?

- Jestem pewna, że to musi mieć coś do rzeczy, moja droga. - Ciocia Pol uśmiechnęła się do Drasanina promiennie. - Czy chciałbyś jeszcze pożartować, Kheldarze?

- Cóż, nie, Polgaro. Chyba nie.

Delvor i Beldin wrócili tuż przed południem. Obaj uśmiechali się z zadowoleniem.

- To było naprawdę mistrzowskie posunięcie, panie Beldinie - pogratulował mu Delvor, kiedy weszli do namiotu.

- Dziecinna zabawa - Beldin wzruszył lekceważąco ramionami. - Ludzie zawsze myślą, że w zdeformowanym ciele mieści się niesprawny umysł. Wiele razy to wykorzystywałem.

- Jestem przekonany, że w końcu powiedzą nam, o co chodzi - oświadczył Silk.

- To nie było zbyt skomplikowane, Silku - powiedział mu Delvor. - Będziecie mogli teraz wyjechać i nie martwić się już o tego ciekawskiego Mallooreanina.

-Och?

- Chciał kupić informacje - gospodarz wzruszył ramionami - więc sprzedaliśmy mu parę i wyjechał w pośpiechu.

- Odkąd się to mniej więcej tak - odezwał się Beldin. Pochylił się nieco bardziej, celowo podkreślając swój garb; jego twarz przybrała wyraz krańcowej tępoty.

- Proszem waszmości - powiedział piskliwym głosem, z którego przebijała służalczość. - Podobnie chcieliście znaleźć takich ludzi i dać pieniędzy, jak kto wam powie, gdzie oni są. Ja zech ich widział i mogę powiedzieć, gdzie byli, jak mi dacie dużo pieniędzy. De dacie?

Delvor zaśmiał się zachwycony.

- Naradas złapał się na to. Zaprowadziłem do niego pana Beldina i powiedziałem mu, że znalazłem kogoś, kto zna ludzi, których on szuka. Uzgodniliśmy cenę, po czym wasz przyjaciel wystrychnął go na dudka.

- Dokąd go wysłałeś? - zapytał Belgarath.

- Na północ. - Beldin wzruszył ramionami. - Powiedziałem mu, że widziałem wasz obóz przy trakcie w Puszczy Arendyjskiej. Że ktoś z was zachorował i zatrzymaliście się tam, aby się nim zaopiekować.

- Czy niczego nie podejrzewał? - dopytywał się Silk. Delvor pokręcił głową.

- Ludzie stają się podejrzliwi, jeśli otrzymują pomoc bez przyczyny. Sprawilem, że Naradas miał wiele powodów, by uważać, że byłem wobec niego uczciwy. W skandaliczny

sposób oszukałem pana Beldina. Naradas dał mu za informacje kilka srebrnych monet, natomiast moje wynagrodzenie było znacznie wyższe.

- Wspaniale - mruknął z podziwem Drasanin.

- Jednakże jest coś, co powinniście wiedzieć o Białookim - rzekł Beldin do Belgaratha. - To malloreński Grolim. Nie badałem go zbyt szczegółowo, bo nie chciałem, żeby zorientował się, co robię, ale tego się dowiedziałem. Posiada dosyć dużą moc, więc uważajcie na niego.

- Czy wiesz, dla kogo pracuje? Beldin potrząsnął głową.

- Wycofałem się, jak tylko zorientowałem się, kim on jest. - Twarz mu spoważniała. - Bądź ostrożny, Belgaracie. On jest bardzo niebezpieczny.

- Ja też - odparł zawzięcie Belgarath.

- Wiem o tym, ale są pewne rzeczy, których nie zrobisz. Naradas nie ma tego typu skrupułów.

Rozdział IV

Przez następnych sześć dni jechali na południe. Niebo nad nimi wypogadzało się. Zimny wiatr wyginał brązową zimową trawę, która rosła przy trakcie. Sucha, martwa równina południowej Arendii roztaczała się pod osłoną błękitnego nieba, które dawało już niewiele ciepła. Od czasu do czasu mijali wioskę złożoną z lepianek, w których skuleni z zimna chłopcy z trudem przetrzymywali kolejną zimę. Rzadziej trafiali na kamienne wieże strażników dumnego barona Mimbratów, którzy mieli oko na jego sąsiadów.

Wielki Trakt Zachodni, podobnie jak wszystkie gościńce stanowiące system dróg Tolnedrańskiego Imperium, był patrolowany przez odzianych w szkarłatne płaszcze legionistów. Garion i jego przyjaciele spotkali kilku kupców, którzy podróżowali na północ. Ludzie ci zawsze przyglądali się im bacznie; towarzyszyli im krzepy najemnicy, którzy w każdej chwili gotowi byli sięgnąć po broń.

W mroźny poranek dotarli nad rzekę Arend. Stanęli przy brodzie i spoglądali na Las Yordue znajdujący się w północnej części Tolnedry, za rzeką.

- Czy chciałeś zatrzymać się w Vo Mimbre? - Silk zapytał Belgaratha.

Starzec pokręcił głową.

- Mandorallen i Lelldorin na pewno rozmawiali już z Korodullinem o tym, co wydarzyło się w Drasni, a ja naprawdę nie jestem w nastroju, by przez trzy czy cztery dni wysłuchiwać mów z tymi wszystkimi „zaprawdę”, „azaliż” i „alboż”. Poza tym chcę jak najszybciej dotrzeć do Tol Honeth.

Kiedy brnęli przez płytkie wody rzeki, Garion przypomniał sobie o czymś.

- Czy będziemy musieli zatrzymać się przy tym urzędzie celnym? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedział Silk. - Wszyscy muszą przejść kontrolę celną... oprócz licencjonowanych przemytników, ma się rozumieć. - Spojrzał na Belgaratha. - Czy chcesz, żebym zajął się wszystkim, kiedy się tam znajdziemy?

- Tylko nie przesadzaj.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Chcę jedynie wypróbować to. - Wskazał na swoje wytarte ubranie.

- Zastanawiałem się, o co ci chodziło, kiedy wybierałeś sobie taką garderobę - powiedział Durnik.

Silk mrugnął do niego.

Przekroczyli rzekę i wjechali do Lasu Yordue. Drzewa rosły tu we właściwych

odstępach, a poszycie było wypielęgowane. Nie przejechali jeszcze trzech mil, kiedy natknęli się na bielony wapnem budynek, w którym mieścił się urząd celny. Część długiego, przypominającego szopę pawilonu musiała niedawno ulec spaleni, czerwona dachówka nadal pokryta była sadzą. Kilku niechlujnie ubranych żołnierzy siedziało na błotnistym podwórzu przy małym ognisku i popijało tanie wino, aby dać sobie radę z chłodem. Jeden z nich, mężczyzna z kilkudniowym zarostem, odziany w połatany płaszcz i zardzewiały napierśnik, podniósł się z ociąganiem, stanął na środku drogi i uniósł w górę muskularne ramię.

- Tylko dotąd możecie dojechać - oświadczył. - Zostawcie konie tam, obok budynku i przygotujcie bagaże do inspekcji.

Silk wyjechał na czoło.

- Oczywiście, sierżancie - odpowiedział unizonym tonem. - Nie mamy nic do ukrycia.

- My o tym zdecydujemy - rzekł nieogolony żołnierz, kołysząc się nieco i zagradzając im drogę.

Z pawilonu wyszedł okutany kocem celnik. Był to ten sam tęgi mężczyzna, którego spotkali przed laty, kiedy jechali tędy w pogoni za Zedarem i skradzionym Klejnotem. Poprzednio jednak urzędnik był bardzo zadowolony z siebie. Teraz zaś na jego czerwonej twarzy malowało się zniechęcenie człowieka, który żyje z przekonaniem, że życie w pewien sposób go oszukało.

- Co macie do oclenia? - zapytał ostro.

- Tym razem niestety nic, wasza ekscelencjo - odpowiedział Silk głosem pełnym żalu.

- Jesteśmy tylko biednymi podróżnymi udającymi się do Tol Honeth.

Brzuchaty urzędnik przyjrzał się małemu człowieczkowi.

- Chyba już się kiedyś spotkaliśmy, prawda? Czy ty nie jesteś Radek z Boktoru?

- Ten sam, wasza wysokość. Macie nadzwyczajną pamięć.

- W moim zawodzie to konieczne. Jak poszedł interes z wełnianymi ubraniami z Sendarii?

Silk posmutniał.

- Nie tak dobrze, jak liczyłem. Pogoda popsuka się, zanim dotarłem do Tol Honeth, więc cena była o połowę niższa, niż powinna.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział celnik niedbale. - Czy mógłbyś otworzyć bagaże?

- Mamy tylko jedzenie i zapasowe ubrania - mały Drasanin był bliski płaczu.

- Wiem z doświadczenia, że ludzie czasem zapominają, iż mają ze sobą cenne przedmioty. Otwórz torby, Radek.

- Co pan rozkaże, ekscelencjo. - Silk zlął z konia i zaczął rozplątywać rzemienie przy jednym z pakunków.

- Naprawdę chciałbym mieć tu coś cennego - westchnął zasępio - ale ten ryzykowny interes z ubraniami rozpoczął mój upadek. W zasadzie nie prowadzę już interesów.

Celnik chrząkał i przeszukiwał bagaże przez kilka minut. Co chwilę wstrząsały nim dreszcze. W końcu odwrócił się i spojrzał kwaśno na Silka.

- Zdaje się, że mówisz prawdę, Radek. Przepraszam, że ci nie uwierzyłem. - Chuchnął sobie w dłonie, żeby je rozgrzać. - Ciężkie czasy nastały. Przez ostatnie pół roku nie przeszedł tędy żaden towar, który wart byłby przyzwoitej łapówki.

- Słyszałem, że tu w Vordue są jakieś kłopoty - zagaił Silk, wiążąc z powrotem pakunki. - Mówi się o secesji od reszty Tolnedry.

- Najgłupsza rzecz w całej historii Imperium - wybuchnął celnik. - Rodzina Vordue postradała rozum po śmierci Wielkiego Księcia Kadora. Powinni byli wiedzieć, że ten facet był agentem innego mocarstwa.

- Jaki facet?

- Taki jeden, mówił, że jest kupcem ze Wschodu. Zdobył zaufanie Vorduów podstępem i pochlebstwami. Kiedy z nim skończyli, stwierdzili, że są w stanie sami rządzić swoim królestwem, niezależnie od reszty Tolnedry. Muszę ci powiedzieć, że ten Varana jest bardzo przebiegły. Zawarł umowę z królem Korodullinem i Vorduów wkrótce obsiedli rycerze Mimbratów, którzy kradli wszystko, co im wpadło w ręce.

Wskazał na nadpalony fragment budynku.

- Widzisz? Ich pluton czy jakiś inny oddział przybył tu i splądrował urząd. Potem go podpalili.

- Straszne - powiedział Silk współczująco. - Czy ktoś się dowiedział, dla kogo ten tak zwany kupiec pracował?

- Oczywiście, ci idioci z Tol Vordue nie wiedzą tego, ale ja domyśliłem się, jak tylko na niego spojrzałem.

-Tak?

- To był Rivarin, czyli to wszystko sprawka króla Belgariona. I tak zawsze nienawidził Vorduów, więc wymyślił plan, żeby pozbawić ich władzy w północnej Tolnedrze. - Uśmiechnął się blado. - Ale on dostaje dokładnie to, na co zasługuje. Zmusili go, żeby ożenił się z księżniczką Ce'Nedrą, a ta uprzykrza mu życie.

- W jaki sposób poznał pan, że ten agent był Rivarinem? - zainteresował się Silk.

- To proste, Radek. Rivanie żyli samotnie na tej swojej wyspie przez tysiące lat. Żenili

się między sobą, więc gnębią ich wszystkie choroby i kalectwa.

- Czy on był zdeformowany? Celnik pokręcił głową.

- Chodzi o jego oczy - powiedział. - W ogóle nie miały koloru, były całkiem białe. -

Wzruszył ramionami. - To był przerażający widok.

Otulił się dokładniej płaszczem.

- Przykro mi, Radek, ale marznę tutaj. Wracam do środka, tam jest ciepło. Ty i twoi przyjaciele możecie jechać dalej.

Odwrócił się i odszedł szybko w stronę budynku.

- Czyż to nie jest fascynujące? - odezwał się Silk, kiedy znowu ruszyli.

Belgarath zmarszczył brwi.

- Następne pytanie brzmi: dla kogo pracuje ten wiecznie zajęty człowiek o białych oczach? - powiedział.

- Urvon? - podsunął Durnik. - Może wysłał Harakana, żeby pracował na północy, a Naradasa żeby zajął się południem, a obaj mieli wprowadzić tyle zamieszania, ile będą mogli.

- Może tak - burknął Belgarath - ale może i nie.

- Mój drogi księżę Kheldarze - rzekła Ce'Nedra, zsuwając z głowy kaptur - jaki był prawdziwy cel tego płaszczenia się i biadolenia?

- Charakteryzacja, Ce'Nedro - odparł beztrąsko. - Radek z Boktoru był nadętym, aroganckim osłem, dopóki miał pieniądze. Teraz jest biedny i zupełnie się zmienił. Taka jest natura człowieka.

- Ależ żaden Radek z Boktoru nie istnieje.

- Oczywiście, że istnieje. Właśnie go widziałas. Radek z Boktoru istnieje we wspomnieniach ludzi żyjących w tej części świata. Pod pewnymi względami jest bardziej realny niż ten tłusty celnik - chorągiewka na wietrze.

- Ale on to jesteś ty. Po prostu wymyśliłeś go.

- Naturalnie. I myślę, że jestem z niego dumny. Jego istnienie, pochodzenie i dzieje są znane wielu ludziom. Jest tak prawdziwy, jak ty.

- Ależ to jest zupełnie bez sensu, Silku - powiedziała.

- Mówisz tak, bo nie jesteś z Drasni, Ce'Nedro.

Do Tol Honeth przyjechali kilka dni później. Biały marmur Imperialnego Miasta lśnił w promieniach zimowego słońca. Legioniści, trzymający wartę u rzeźbionych brązowych wrót, byli jak zwykle rześcy i przyodziani w wypolerowane zbroje. Kiedy konie Gariona i jego przyjaciół zadudniły na wyłożonym marmurami moście, dowódca straży spojrzął na Ce'Nedre i trzasnął się na powitanie zaciśniętą pięścią w napierśnik.

- Wasza imperialna wysokość - pozdrowił ją. - Gdybyśmy wiedzieli o waszym przybyciu, wysłalibyśmy eskortę.

- Nic nie szkodzi, kapitanie - odparła cichym, zmęczonym głosem. - Czy mógłbyś wysłać kogoś ze swoich ludzi do pałacu, aby powiadomił imperatora, że przybyliśmy?

- Natychmiast, wasza imperialna wysokość - rzekł, znowu salutując i usuwając się na bok, żeby ich przepuścić.

- Chciałbym, żeby pewnego dnia ktoś w Tolnedrze przypomniał sobie, że wysłałaś za mąż - burknął z niezadowoleniem Garion.

- Dlaczego tak mówisz, kochanie? - zapytała Ce'Nedra.

- Czy nie mogą wbić sobie do głów, że jesteś teraz królową Rivy? Za każdym razem, kiedy któryś z nich zwraca się do ciebie „wasza imperialna wysokość”, czuję się jak dworak albo jakiś nędzny sługus.

- Czy nie jesteś trochę przewrażliwiony, Garionie?

Mruknął coś w odpowiedzi, wciąż nieco zagniewany.

Ulice Tol Honeth były szerokie, ozdabiały je dumne, wyniosłe domy należące do tolnedrańskich wyższych sfer. Przed tymi rezydencjami prezentowały się okazałe liczne kolumny i rzeźby. Odziani w bogate szaty poważni kupcy obnosili na ulicach bezcenne klejnoty. - Silk przyglądał się im, kiedy ich mijali, a potem przeniósł wzrok na swoje zniszczone, przetarte ubranie i posmutniał. Westchnął żałośnie.

- Znowu charakteryzacja, Radek? - zapytała Polgara.

- Tylko częściowo - odparł. - Oczywiście, Radek czułby zawiść, ale muszę przyznać, że trochę brakuje mi moich wytwornych strojów.

- W jaki sposób, u licha, nie pomyłają ci się ci fikcyjni ludzie?

- Koncentruję się, Polgaro - odpowiedział. - Koncentruję. Bez tego nie wygra się w żadnej grze.

Siedzibę Imperatora stanowiła grupa budynków pokrytych płytami rzeźbionego marmuru, otoczona wysokim murem i usytuowana na szczycie wzgórza w zachodniej części miasta. Powiadomieni o ich przybyciu legionieści przy wrotach pozdrawiali gości salutując po żołniersku. Za bramą znajdował się chodnik z płyt. U stóp marmurowych schodów, prowadzących do otoczonej kolumnadą budowli, stał imperator Varana.

- Witajcie w Tol Honeth - rzekł do nich, gdy zsiadli z koni. Ce'Nedra rzuciła się ku niemu, lecz zatrzymała w ostatniej chwili i skłoniła, pełna kurtuazji.

- Wasza imperialna wysokość - powiedziała.

- Dlaczego jesteś taka oficjalna, Ce'Nedro? - zapytał, wyciągając ku niej ramiona.

- Proszę cię, wujku - rzekła, spoglądając na ludzi z pałacu, którzy stali u szczytu schodów. - Nie tutaj. Jeśli mnie teraz pocałujesz, nie wytrzymam i rozplacę się, a Borunowie nigdy nie płaczą przy innych.

- Ach - popatrzył na nią ze zrozumieniem. Następnie odwrócił się do pozostałych przybyszy. - Wejdźcie wszyscy. Schrońmy się przed chłodem.

Zwrócił się ku Ce'Nedrze, podając jej ramię i wolno piał się w górę schodów.

Tuż za drzwiami znajdowało się przestronne, okrągłe pomieszczenie. Pod ścianami stały marmurowe popiersia władców Imperium z ostatniego tysiąclecia.

- Wyglądają jak banda kieszonkowców, prawda? - powiedział Varana do Gariona, uśmiechając się krzywo.

- Twojego nigdzie tu nie widzę - odrzekł Garion.

- Nadworny rzeźbiarz ma kłopoty z moim nosem. Anadilowie pochodzą z chłopstwa i mój nos nie jest dość dostojny jak na jego gust.

Powiódł ich szerokim korytarzem ku ogromnej, oświetlonej świecami komnacie. Była ona udekorowana karmazynowymi dywanami, draperiami i obitymi skórą meblami - wszystko w tym samym kolorze. W każdym rogu umieszczono kosz z żarzącymi się węglami, więc panowało tu przyjemne ciepło.

- Proszę - powiedział imperator. - Rozgoście się. Poślę po coś ciepłego do picia i każę przygotować dla nas kolację.

Zamienił kilka słów z legionistą, który stał przy wejściu. Tymczasem Garion i jego przyjaciele zdjęli wierzchnie okrycia i usiedli do stołu.

- A teraz - rzekł Varana, zamykając drzwi. - Co was sprowadza do Tol Honeth?

- Słyszałeś o naszej wyprawie na kult Niedźwiedzia? - zapytał Belgarath. - I dlaczego do niej doszło?

Imperator skinął głową.

- Okazało się, że skierowaliśmy swoje siły ku niewłaściwemu przeciwnikowi. Członkowie kultu nie mieli nic wspólnego z uprowadzeniem księcia Gerana, chociaż ktoś starał się ich w to wplątać. Osoba, której poszukujemy, nazywa się Zandramas. Czy to imię wydaje ci się znajome?

Varana zmarszczył brwi.

- Nie - odpowiedział. - Sądzę, że nie.

Belgarath krótko naszkicował mu sytuację, mówiąc to wszystko, czego dowiedzieli się o Zandramasie, Harakanie i Sardionie. Kiedy skończył, Imperator spojrzał na niego nieco podejrzliwie.

- Mogę zgodzić się z większością tego, o czym mówiłeś, Belgaracie - rzekł - ale pewne sprawy... - Wzruszył ramionami i uniół do góry dłonie.

- O co ci chodzi?

- Varana jest sceptykiem, ojciec - odezwała się Polgara. O pewnych rzeczach woli nie myśleć.

- Nawet po tym wszystkim, co wydarzyło się w Thull Mardu? - Belgarath zdawał się zaskoczony.

- To kwestia zasad, Belgaracie - zaśmiał się Varana. - Ma to związek z tym, że jestem Tolnedrańczykiem i żołnierzem.

Starzec spojrział na niego z rozbawieniem.

- No dobrze, a w takim razie czy możesz zgodzić się z tym, że to porwanie mogło mieć pewne polityczne podłoże?

- Oczywiście. Znam się na polityce.

- To dobrze. W Mallorei zawsze istniały dwa ośrodki władzy: tron i kościół. Wydaje mi się, że Zandramas staje się trzecią siłą. Nie wiemy, czy Kal Zakath jest z tym bezpośrednio związany, ale wygląda na to, że pomiędzy Urvonem i Zandramasem rozgrywa się walka o panowanie. Z jakiejś przyczyny syn Gariona odgrywa w niej bardzo ważną rolę.

- W czasie podróży zorientowaliśmy się jeszcze, że z jakiegoś powodu Malloreatanie nie chcą, żebyśmy się w to angażowali - dodał Silk. - Agenci wywołują zamieszanie w Arendii, a poza tym bardzo możliwe, że za secesją Vorduów krył się Malloreatanin.

Varana spojrział na niego ostro.

- Człowiek, który nazywa się Naradas.

- To imię słyszałem - powiedział Imperator. - Twierdzi, że jest angarskim kupcem i przybył tu, żeby zawrzeć jakieś ważne umowy handlowe. Dużo podróżuje i wydaje wiele pieniędzy. Moi doradcy twierdzą, że to agent króla Urgita. Odkąd Zakath przejął kontrolę nad złożami węgla we wschodnim Cthol Murgos, Urgit rozpaczliwie szuka środków na wojnę, która lada dzień wybuchnie.

Silk pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się - rzekł. - Naradas to malloreański Grolim. Mało prawdopodobne, żeby pracował dla króla Murgów.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Tak? - odezwał się Varana.

Drzwi otworzyły się i wszedł lord Morin, szambelan na Imperialnym Dworze. Był to bardzo chudy starzec. Miał zupełnie białe, rzadkie włosy. Skóra była przezroczysta, jak u

ludzi posuniętych w latach. Poruszał się bardzo powoli.

- Ambasador Drasni, wasza wysokość - zapowiedział drżącym głosem. - Mówi, że ma informacje bardzo ważne dla Waszej Imperialnej Mości i dla gości.

- W takim razie lepiej go wprowadź, Morinie.

- Jest z nim młoda dama, wasza wysokość - dodał szambelan. - Drasańska szlachcianka, jak sędzę.

- Przyjmiemy ich oboje - rzekł Varana.

- Jak sobie wasza wysokość życzy - odpowiedział Morin z niezgrabnym ukłonem.

Kiedy szambelan wprowadził ambasadora i jego towarzyszkę, Garion znieruchomiał zaskoczony.

- Jego Ekscelencja książę Khaldon, ambasador Królestwa Drasni - oznajmił Morin - oraz margrabina Liselle, eee... - głos starca załamał się.

- Szpieg, Wasza Ekscelencjo - dokończyła ze spokojem Liselle.

- Czy to oficjalny tytuł, pani?

- Dzięki temu można zaoszczędzić wiele czasu, Ekscelencjo.

- Cóż - westchnął Morin. - Świat się zmienia. Czy mam panią przedstawić imperatorowi jako oficjalnego szpiega?

- Chyba to już do niego dotarło, lordzie Morin - powiedziała, kładąc dłoń na jego rękę. Morin skłonił się i wyszedł chwiejnie z komnaty.

- Wspaniały staruszek - mruknęła.

- A więc witaj, kuzynie - rzekł Silk do ambasadora.

- Kuzynie - odparł chłodno książę Khaldon.

- Czy wy jesteście w jakiś sposób spokrewnieni? - zapytał Varana.

- Jesteśmy bardzo dalekimi kuzynami - odpowiedział Silk. - Nasze matki były siostrami ciotecznymi, a może nasze babki?

- Według mnie prababki - rzekł Khaldon. Przyjrzał się swemu krewniakowi o szurzej twarzy. - Trochę nędznie wyglądasz, staruszk - zauważył. - Kiedy widziałem cię ostatnio, ociekałeś złotem i klejnotami.

- Jestem w przebraniu, kuzynie - odrzekł Silk uprzejmie. - Nie powinieneś być mnie rozpoznać.

- Ach - rzucił Khaldon i zwrócił się do Imperatora. - Proszę wybaczyć te docinki, wasza wysokość. Ten tutaj Kheldar i ja nienawidzimy się od dzieciństwa.

Silk uśmiechnął się.

- To była nienawiść od pierwszego wejrzenia - zgodził się. - Zupełnie się nie znosimy.

Po twarzy Khaldona przemknął uśmiech.

- Kiedy byliśmy dziećmi, zawsze chowano wszystkie noże, kiedy nasze rodziny miały się spotkać.

Silk spojrział z zaciekawieniem na Liselle.

- Co porabiasz w Tol Honeth? - zapytał.

- To tajemnica.

- Velvet dostarczyła kilka przesyłek z Boktoru - wyjaśnił Khaldon - oraz pewne instrukcje.

- Velvet?

- Głupie, prawda? - zaśmiała się. - Ale w końcu mogli mi wybrać jeszcze gorszy pseudonim.

- Lepsze to, niż inne, które właśnie przychodzi mi na myśl - przytaknął Silk.

- Bądź kulturalny, Kheldarze.

- Chciałeś powiedzieć nam o czymś, co uznałeś za ważne dla nas, prawda, książę Khaldonie? - zapytał Varana.

Ambasador westchnął.

- Z przykrością muszę zawiadomić waszą wysokość, że kurtyzana Bethra została zamordowana.

- Co?!

- Ostatniej nocy, kiedy wracała do domu z jakiegoś spotkania w interesach, ktoś zaczął się na nią na pustej ulicy. Zostawił ją, żeby umarła, ale udało jej się dotrzeć do naszych wrót i przekazać nieco informacji, zanim umarła.

Silk zbladł jak ściana.

- Kto za tym stoi? - zapytał ostro.

- Wciąż nad tym pracujemy, Kheldarze - odpowiedział mu jego kuzyn. - Oczywiście, mamy pewne podejrzenia, ale nic na tyle poważnego, by podać kogoś do sądu.

Imperator zasmucił się i powstał z fotela.

- Pewni ludzie muszą się o tym dowiedzieć - rzekł ponurym głosem. - Czy pójdzie pan ze mną, książę Khaldonie?

- Oczywiście, wasza wysokość.

- Wybaczcie nam, proszę - Varana zwrócił się do pozostałych osób. - To sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Wyszedł z komnaty wraz z ambasadorem Drasni.

- Czy bardzo cierpiała? - Silk zapytał dziewczynę, która została przedstawiona jako

Velvet; jego głos był przepelniony bólem.

- Zrobili to nożami, Kheldarze - powiedziała po prostu. - To nigdy nie jest przyjemne.

- Rozumiem - jego chytra twarz przybrała zacięty wyraz. - Czy nie domyślasz się, kto może się za tym kryć?

- Według mnie ma to związek z wieloma sprawami. Mówiła mi kiedyś, że poinformowała imperatora Varanę o spisku na życie jego syna.

- Honethowie! - wykrzyknęła Ce'Nedra.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytał szybko Silk.

- Garion i ja byliśmy tutaj, kiedy ona mówiła o tym Varanie. Było to w czasie pogrzebu mojego ojca. Bethra przekradła się do pałacu i doniosła, że dwóch Honethów - hrabia Elgon i baron Kelbor - spiskowali przeciwko życiu syna Varany.

Silk miał teraz kamienną twarz.

- Dziękuję ci, Ce'Nedro - powiedział ponuro.

- Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć, Kheldarze - rzekła cicho Velvet. Spojrzała na pozostałych. - Oczywiście wszyscy zachowamy dyskrecję, prawda?

- Naturalnie - zapewnił ją Belgarath. Velvet zwróciła się z powrotem do Silka.

- Bethra była Myśliwym - powiedziała.

- Myśliwym? Bethra?

- Już od kilku lat. Kiedy w Tolnedrze rozpoczęła się walka o tron, król Rhodar polecił Javelinowi podjąć pewne kroki, aby upewnić się, że człowiek, który przejmie władzę po Ranie Borune, będzie kimś, z kim Alornowie będą mogli się dogadać. Javelin przybył do Tol Honeth i zwerbował do tego zadania Bethrę.

- Przepraszam - wtrącił się Belgarath. - Kto to jest Myśliwy?

- To nasz najbardziej tajny szpieg - odpowiedziała Velvet. - Jego tożsamość zna tylko Javelin. Myśliwy zajmuje się wyłącznie najbardziej drażliwymi sprawami - takimi, w które drasańska korona po prostu nie może otwarcie się zaangażować. W każdym razie, kiedy okazało się, że najpewniejszym kandydatem do tronu jest Wielki książę Noragon z rodu Hosethów, król Rhodar zasugerował coś Javelinowi i kilka miesięcy później Noragon przez przypadek zjadł zepsute małże - bardzo zepsute małże.

- Czy Bethra to zrobiła? - w głosie Silka brzmiało niedowierzenie.

- Była niezwykle zaradna.

- Margrabino Liselle? - odezwała się Ce'Nedra, zmarszczywszy w zamyśleniu brwi.

- Tak, wasza wysokość?

- Jeśli tożsamość Myśliwego jest najpilniej strzeżoną tajemnicą państwową Drasni, to

dlaczego ty ją znasz?

- Wysłano mnie z Boktoru ze specjalnymi instrukcjami dla niej. Mój wuj wie, że można mi zaufać.

- Ale przecież zdradzasz ją teraz, prawda?

- Jest już po fakcie, wasza wysokość. Bethra nie żyje. Ktoś inny zostanie Myśliwym. I tak przed śmiercią Bethra powiedziała nam, że ktoś odkrył jej związek ze śmiercią Wielkiego Księcia Noragona i przekazał dalej tę informację. Według niej właśnie ta wiadomość była powodem ataku na nią.

- W takim razie krąg podejrzanych zawęży się do Honethów, czyż nie tak? - chciał wiedzieć Silk.

- To nie jest wystarczający dowód, Kheldarze - ostrzegła go Velvet.

- Dla mnie jest wystarczający.

- Nie zrobisz chyba niczego zbyt pochopnie? - zapytała. - Wiesz, że Javelinowi to by się nie podobało.

- To jego problem.

- Nie mamy czasu, aby wplątywać się w politykę Tolnedry, Silku - rzekł twardo Belgarath. - Nie zostaniemy tutaj tak długo.

- To nie zajmie mi zbyt wiele czasu.

- Będę musiała donieść o twoich planach Javelinowi - ostrzegła go Velvet.

- Oczywiście. Ale skończę już tę robotę, kiedy twój raport dotrze do Boktoru.

- Nie możesz wciągnąć nas w żadną aferę, Kheldarze.

- Zaufaj mi - odrzekł i po cichu opuścił komnatę.

- Zawsze się niepokoję, kiedy on tak mówi - burknął Durnik.

Wczesnym rankiem następnego dnia Belgarath i Garion wyszli z Pałacu Imperatora i udali się do biblioteki uniwersyteckiej. Na szerokich ulicach Tol Honeth panował chłód, z nadbrzeża Nadrane wiał ostry wiatr. W dali kilku okutanych w futra kupców maszerowało żwawo marmurowymi arteriami. Skromnie ubrani robotnicy wysypywali się tłumnie z biedniejszych dzielnic i szli, wciskając głowy w ramiona, aby chronić się przed wiatrem; zniszczone ręce chowali głęboko w kieszenie.

Garion i jego dziadek przeszli przez pusty rynek główny i wkrótce doszli do grupy budynków otoczonych murem z marmuru i weszli przez bramę, na której widniało Godło Imperium. Teren był tu tak uporządkowany, jak wokół pałacu. Pomędzy gazonami położono marmurowe alejki. Kiedy szli jedną z nich, natknęli się na dostojnego, ubranego w czerń uczonego, który przechadzał się z rękami założonymi do tyłu, pogrążony w myślach.

- Przepraszam - odezwał się do niego Belgarath. - Czy mógłby nam pan powiedzieć, jak dojść do biblioteki?

- Słucham? - człowiek podniósł głowę i zmrużył oczy.

- Do biblioteki, dobry człowieku - powtórzył czarodziej. - Którędy tam dojść?

- Ach - powiedział uczony. - To gdzieś tam. - Wykonał ręką niewyraźny gest.

- Czy nie mógłby pan być nieco dokładniejszy? Mężczyzna spojrział pogardliwie na zniszczone ubranie starca.

- Zapytajcie kogoś z odźwiernych - odparł obcesowo. - Jestem zajęty. Od dwudziestu lat pracuję nad pewną kwestią i prawie znalazłem już rozwiązanie.

- Och. A jaka to kwestia?

- Wątpię, żeby to interesowało niewykształconego żebraka - odrzekł wyniośle - ale jeśli naprawdę musicie to wiedzieć, obliczałem, ile dokładnie waży świat.

- To wszystko? I to zajęło ci dwadzieścia lat? - Twarz Belgaratha wyrażała zdumienie.

- Ja rozwiązałem ten problem dawno temu, zajęło mi to jakiś tydzień.

Uczony wpatrywał się w niego blady jak kreda.

- To niemożliwe! - wykrzyknął. - Jestem jedynym człowiekiem na świecie, który się tym zajmuje. Nikt przede mną nie postawił tego pytania.

Belgarath roześmiał się.

- Przykro mi, uczony panie, ale zadawano je już wiele razy. Najlepsze rozwiązanie zaproponował człowiek o nazwisku Talgin z Uniwersytetu Melceny, jak mi się zdaje. Miało to miejsce w drugim tysiącleciu. W waszej bibliotece powinna znaleźć się kopia jego obliczeń.

Uczonym wstrząsnęły gwałtowne dreszcze, oczy wyszły mu na wierzch. Bez słowa obrócił się na pięcie i pognął przez gazon, powiewając połami swych szat.

- Miej na niego oko, Garionie - powiedział spokojnie Belgarath. - Budynek, do którego pobiegnie, to na pewno będzie biblioteka.

- A ile tak naprawdę waży świat? - Garion chciał zaspokoić swoją ciekawość.

- Skąd mam wiedzieć? - odpowiedział czarodziej. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie zajmowałby się czymś takim.

- A ten Talgin, o którym mówiłeś - ten, który znalazł rozwiązanie?

- Talgin? Och, ktoś taki nie istnieje. Wymyśliłem go. Garion przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- To straszne. Nie można tak postępować, dziadku - zganił go. - Właśnie za pomocą jednego kłamstwa zniszczyłeś dzieło całego życia tego człowieka.

- Ale w ten sposób zmusiliśmy go, żeby zaprowadził nas do biblioteki - powiedział przebiegły starzec. - Poza tym, może teraz zajmie się czymś bardziej sensownym. Biblioteka mieści się w tym budynku z wieżą. Właśnie wbiegł tam po schodach. Idziemy?

Tuż za głównym wejściem znajdowało się owalne pomieszczenie wyłożone marmurem. Na samym środku stało wysokie, bogato zdobione biurko. Siedział przy nim ogolony do skóry, chudy człowiek, który pracowicie przepisywał coś z leżącej przed nim wielkiej książki. Garion stwierdził, że skryba wydaje mu się znajomy. Kiedy zbliżali się do niego, zmarszczył brwi i usiłował przypomnieć sobie, gdzie się z nim spotkał.

- Czy mogę w coś pomóc? - zapytał mężczyzna, podnosząc głowę znad książki, kiedy stanął nad nim Belgarath.

- Chyba tak. Szukam kopii Proroctw Zachodnich Grolimów.

Chudy człowiek zamyślił się i zaczął drapać za uchem.

- To powinno być w dziale teologii porównawczej - zastanawiał się. - Czy moglibyście określić w przybliżeniu datę powstania?

Belgarath również zmarszczył czoło i w zamyśleniu spojrzął na sklepienie.

- Według mnie to będzie początek trzeciego tysiąclecia - powiedział w końcu.

- W takim razie to będą albo czasy drugiej dynastii Honethów, albo drugiej Vorduów - rzekł uczony. - Nie powinno być problemów ze znalezieniem tej książki. - Wstał zza biurka.

- To tam - wskazał jeden z korytarzy, które rozchodziły się promieniście od rotundy. - Proszę za mną.

Gariona wciąż dręczyło przekonanie, że znał tego grzecznego, uczynnego człowieka. Ten uczony miał zdecydowanie lepsze maniery, niż zadufany mierniczy świata, którego spotkali na zewnątrz. Nagle doznał olśnienia.

- Mistrz Jeebers? - powiedział z niedowierzaniem. - Czy to pan?

- Czy my się znamy, panie? - zapytał uprzejmie Jeebers, patrząc na niego ze zdziwieniem.

Garion uśmiechnął się szeroko.

- Ależ tak, mistrzu Jeebers. Poznał mnie pan z moją żoną.

- Chyba nie pamiętam...

- Och, myślę, że jednak tak. Ona i pan wymknęliście się pewnej nocy z pałacu i pojechaliście na południe ku Tol Borune. W drodze przyłączyliście się do grupy kupców. Opuściłeś ich dosyć szybko, kiedy moja żona powiedziała ci, że ucieczka z Tol Honeth była jej pomysłem, a nie Rana Borune.

Jeebers zamrugał, po czym jego oczy rozszerzyły się

- Wasza wysokość - powiedział i uklonił się. - Proszę wybaczyć, że nie poznałem waszej wysokości od razu. Moje oczy nie są już takie jak dawniej.

Garion roześmiał się, poklepując go z radości po ramieniu.

- Nic nie szkodzi, Jeebers - rzekł. - W czasie tej wyprawy nie mam zamiaru rozgłaszać, kim jestem.

- A jak się miewa mała Ce'Nedra... to znaczy, jej wysokość?

Garion właśnie miał powiedzieć byłemu gubernatorowi swojej żony o porwaniu ich syna, ale Belgarath dyskretnie trącił go łokciem.

- Dobrze, zupełnie dobrze - odpowiedział zamiast tego.

- Bardzo mnie to cieszy - odrzekł Jeebers z miłym uśmiechem. - Była nieznośną uczennicą, ale, co dziwne, stwierdziłem, że moje życie stało się o wiele mniej radosne, odkąd się rozstaliśmy. Bardzo ucieszyła mnie wieść o jej szczęśliwym małżeństwie i byłem prawie tak samo zaskoczony, jak moi koledzy stąd, kiedy dowiedzieliśmy się, że zebrała armię i ruszyła na Thull Mardu. Zawsze była pełna ognia i błyskotliwa. - Spojrzał na Gariona przepaszająco. - Szczerze mówiąc, muszę przyznać, że była kapryśną i niezdyscyplinowaną uczennicą.

- Czasami zauważam u niej te cechy. Jeebers zaśmiał się.

- Nie wątpię, wasza wysokość - powiedział. - Proszę przekazać jej moje wyrazy szacunku... - zawahał się. - I jeśli wasza wysokość nie uzna tego za coś niestosownego, to także wyrazy sympatii.

- Oczywiście, Jeebers - obiecał Garion. - Oczywiście.

- Tu znajduje się dział teologii porównawczej - rzekł ogolony uczonek, otwierając ciężkie drzwi. - Wszystkie pozycje są skatalogowane i przechowywane według dynastii. Sekcja antyków jest tam z tyłu. - Powiódł ich wąskim przejściem pomiędzy regałami pełnymi oprawnych w skórę tomów i szczelnie zwiniętych zwojów. Chudy mężczyzna zatrzymał się nagle i przejechał palcem po półce.

- Kurz - powiedział z niezadowoleniem. - Myślę, że będę musiał poważnie porozmawiać o tym z kustoszami.

- To normalne, że na książkach zbiera się kurz - powiedział Belgarath.

- I normalne, że kustosze starają się, jak mogą, żeby się nim nie zajmować - dodał Jeebers, uśmiechając się krzywo.

- To tutaj. - Zatrzymał się w nieco szerszym korytarzu; książki na półkach wyglądały na bardzo stare.

- Proszę, bądźcie z nimi ostrożni - powiedział, dotykając jednego grzbietu z niezwykłą

czułością. - Są stare i kruche. Dzieła napisane w czasach drugiej dynastii Honethów znajdują się po tej stronie, a te, które pochodzą z okresu drugiej dynastii Vorduów, są tam. Dalej dzielą się według królestw, w których powstały, więc łatwo powinniście odnaleźć to, którego szukacie. A teraz wybaczcie mi, ale nie powinienem opuszczać swego biurka na zbyt długo. Niektórzy moi koledzy łatwo się niecierpliwią i zaczynają wtedy myszkować wśród półek na własną rękę. Czasami trzeba tygodni, żeby doprowadzić wszystko do porządku.

- Jestem pewien, że teraz już sobie poradzimy, mistrzu Jeebers - zapewnił go Belgarath - i dziękujemy za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł Jeebers i skłonił się lekko, po czym spojrzał na Gariona. - Wasza wysokość będzie pamiętał, by przekazać ode mnie wyrazy szacunku dla Ce'Nedry?

- Daję ci moje słowo, mistrzu Jeebers.

- Dziękuję, wasza wysokość.

Chudy mężczyzna odwrócił się i wyszedł z zapelnionego książkami pomieszczenia.

- Ogromnie się zmienił - zauważył Belgarath. - Być może strach, jakiego napędziła mu Ce'Nedra wówczas w Tol Borune, wybił mu z głowy całą tę pompatyczność. - Starzec przeszukiwał pilnie półki. - Muszę przyznać, że rzetelny z niego uczonec.

- Czy on nie jest tylko bibliotekarzem? - zapytał Garion. - Kimś, kto opiekuje się książkami?

- Od tego właśnie zaczyna się cała nauka, Garionie. Wszystkie księgi świata na nic ci się nie przydadzą, jeśli będą zrzucone na jedną stertę. - Pochylił się i z dolnej półki wyciągnął opakowany w czarny welwet zwój.

- No proszę - powiedział z zadowoleniem. - Jeebers doprowadził nas wprost do celu.

Podszedł do końca korytarza, gdzie pod wysokim, wąskim oknem stały ławka i stół. Promienie bladego zimowego słońca złościły tu kamienną posadzkę. Usiadł i ostrożnie rozwiązał sznurki, które mocno ścisnęły rulon. Kiedy go rozwinął, zaklął długo i siarczyście.

- O co chodzi? - zapytał Garion.

- O głupotę Grolimów - ryknął Belgarath. - Spójrz na to. Podał mu zwój.

- Spójrz na pergamin. Garion wpatrywał się w rulon.

- Wygląda jak normalny pergamin.

- To ludzka skóra - prychnął z obrzydzeniem starzec. Garionowi aż dech zaparło.

- To upiorne.

- Nie w tym rzecz. Ktokolwiek dostarczył tej skóry i tak już nie żył. Problem polega na tym, że na ludzkiej skórze atrament się nie przechowuje. - Rozwinął rulon na długość

jednej stopy. - Zobacz tylko. Tak wyblakło, że nawet nie można domyśleć się słów.

- Czy mógłbyś użyć czegoś, żeby je przywołać z powrotem, tak jak to zrobiłeś z listem Anhega?

- Garionie, ten zwój ma jakieś trzy tysiące lat. Gdybym użył tego samego roztworu soli, pewnie rozpuściłby się całkowicie.

- W takim razie może czary? Belgarath potrząsnął głową.

- Jest zbyt delikatny.

Znowu zaczął kłąć rozwijając rulon cał po calu i przechylając się to w jedną, to w drugą stronę, żeby złapać odpowiednie światło.

- Tu coś jest - mruknął nieco zaskoczony.

- Co tam jest napisane?

- ... szukaj ścieżki Dziecięcia Ciemności w krainie węży... - Starzec podniósł głowę. -

W każdym razie, to już coś.

- Co to znaczy?

- Dokładnie to, co jest napisane. Zandramas udał się do Nyissy. Ruszemy jego śladem.

- Dziadku, wiedzieliśmy to już wcześniej.

- Tylko podejrzewaliśmy, Garionie. To różnica. Zandramas wyprowadzał nas już na fałszywe tropy. Teraz wiemy na pewno, że idziemy właściwą drogą.

- To niewiele, dziadku.

- Wiem, ale lepsze to, niż nic.

Rozdział V

Czy mógłbyś na to spojrzeć? - następnego ranka Ce'Nedra powiedziała z oburzeniem. Właśnie podniosła się z łóżka i stała teraz przy oknie opatulona w ciepły szlafrok.

- Mhmm - zamruczał sennie Garion. - Spojrzeć na co, kochanie?

Leżał jeszcze w pościeli i poważnie zastanawiał się, czy nie przespać się jeszcze.

- Stamtąd nic nie zobaczysz, Garionie. Podejdz tutaj. Westchnął, wstał z łóżka i podszedł bosy do okna.

- Czy to nie jest obrzydliwe? - zapytała.

Ziemia otaczająca Pałac Imperialny pokryta była białym kobiercem, ogromne płatki śniegu spadały powoli w nieruchomym powietrzu.

- Czy to nie jest trochę niezwykle, że w Tol Honeth pada śnieg? - zdziwił się

- Garionie, w Tol Honeth nigdy nie pada śnieg. Ostami raz widziałam śnieg, kiedy miałam pięć lat.

- To była nietypowa zima. No cóż, wracam do łóżka i nie wyjdę z niego, dopóki wszystko to się nie roztopi.

- Wiesz przecież, że nie musisz wychodzić na śnieg.

- Nawet nie chcę na niego patrzeć.

Dziarsko podeszła do ich łoża z baldachimem, zrzuciła z siebie szlafrok i schowała się pod pierzynami. Garion wzruszył ramionami i skierował się ku łóżku. Jeszcze godzina czy dwie snu wydawały mu się jak najbardziej wskazane.

- Zasuń, proszę, zasłony - powiedziała do niego - i nie hałasuj, gdy będziesz wychodził.

Popatrzył na nią przez chwilę, po czym westchnął. Zaciągnął ciężkie zasłony i zaczął się ubierać, wciąż zaszpany.

- Bądź tak dobry, Garionie - odezwała się słodko. - Wstąp do kuchni i powiedz im, że chcę tutaj dostać śniadanie.

No, to jest już zdecydowanie niesprawiedliwe, pomyślał. Nachmurzony włożył resztę ubrania.

- Garionie.

- Tak, kochanie? - Z pewnym wysiłkiem zachowywał obojętny ton.

- Nie zapomnij się uczesać. Rano zawsze wyglądasz jak czupiradło. - Głos miała już senny, znajdowała się na granicy zaśnięcia.

Belgaratha zastał w nie oświetlonej jadalni. Siedział przed oknem pogrążony w myślach. Mimo, że było jeszcze wcześniej, przed staruszką stał na stole kufel piwa.

- To nie do wiary - powiedział z obrzydzeniem, przyglądając się miękko opadającemu śniegowi.

- Nie wyobrażam sobie, że to potrwa długo, dziadku.

- W Tol Honeth nigdy nie pada śnieg.

- To samo mówiła Ce'Nedra. - Garion wyciągnął ręce nad pełnym żarzących się węgli żelaznym koszem.

- Gdzie ona jest?

- Wróciła do łóżka.

- To chyba niegłupi pomysł. Dlaczego nie przyłączyłeś się do niej?

- Zdecydowała, że czas już, bym wstał.

- To chyba nie bardzo sprawiedliwe.

- To samo przyszło mi na myśl.

Belgarath podrapał się od niechcenia za uchem, wciąż patrząc na śnieg.

- Jesteśmy daleko na południu. Niemożliwe, żeby padało tu dłużej niż dzień czy dwa. Poza tym, pojutrze jest Zarania. Po święcie dużo ludzi będzie podróżować, więc nie będziemy się tak rzucać w oczy.

- Myślisz, że powinniśmy zaczekać?

- To chyba logiczne. I tak nie poruszalibyśmy się zbyt szybko, brnąc przez to tutaj.

- W takim razie co chcesz dzisiaj robić? Belgarath podniósł kufel.

- Chyba skończę to i wrócę do łóżka.

Garion wysunął jedno z obitych czerwonym aksamitem krzesel i usiadł. Coś gnębiło go od kilku dni i stwierdził, że może to być odpowiednia chwila, żeby się tym podzielić.

- Dziadku?

-Tak?

- Dlaczego wydaje mi się, że to wszystko już się kiedyś wydarzyło?

- Co „wszystko”?

- No, to wszystko. W Arendii są Angarakowie, którzy wywołują zamęt - tak jak wtedy, gdy ścigaliśmy Zedara. W Tolnedrze szerzą się intrygi i zamachy - tak samo jak ostatnio. Natknęliśmy się na potwora - tym razem na smoka, a nie na Algrothów - ale to wciąż prawie to samo. Mam wrażenie, że powtarzamy wszystko, co robiliśmy, szukając Klejnotu. Spotykamy nawet tych samych ludzi - Delvora, tego celnika, nawet Jeebersa.

- Wiesz, Garionie, to bardzo interesujące.

Belgarath zastanawiał się przez chwilę, odruchowo popijając piwo z kufla.

- Ale jeśli pomyśleć o tym z pewnej strony, to zaczyna mieć sens.

- Niezupełnie cię rozumiem.

- Zbliżamy się do następnego spotkania pomiędzy Dziecięciem Światła a Dziecięciem Ciemności - wyjaśniał Belgarath. - Będzie to powtórzenie wydarzenia, które ma miejsce wciąż na nowo od Początku Dni. Ponieważ jest to ciągle to samo zdarzenie, wydaje się rozsądne, że okoliczności, które do niego prowadzą, też nie powinny się zmieniać.

Zastanowił się nad tym jeszcze przez chwilę.

- Właściwie - mówił dalej - chyba muszą być jednakowe, prawda?

- Obawiam się, że to dla mnie zbyt głębokie.

- Są dwa Proroctwa, dwie strony tej samej rzeczy. Wydarzyło się coś, co je rozdzieliło. Było to tak dawno, że nawet nie możemy sobie tego wyobrazić.

- Tak. Rozumiem.

- Kiedy się rozdzieliły, sprawy się jakby zatrzymały.

- Jakie sprawy?

- Trudno to nazwać. Powiedzmy, że bieg wydarzeń, które miały nastąpić. Przyszłość, jak sądzę. Dopóki te dwie siły są rozdzielone - i równe sobie - przyszłość nie nadejdzie. Po prostu wszyscy przeżywamy wciąż te same zdarzenia.

- Kiedy to się skończy?

- Wtedy gdy jedno z Proroctw wreszcie pokona drugie. Kiedy w końcu Dziecię Światła zwycięży Dziecię Ciemności - albo odwrotnie.

- Myślałem, że już to zrobiłem.

- Chyba to nie było wystarczająco ostateczne, Garionie.

- Zabiłem Toraka, dziadku. Raczej nie można zrobić czegoś bardziej ostatecznego, prawda?

- Zabiłeś Toraka, Garionie. Ale nie zabiłeś Proroctwa Ciemności. Myślę, że czeka nas coś poważniejszego niż walka na miecze, kiedy będziemy musieli rozwikłać tę sprawę w Mieście Nocy.

- Na przykład co? Belgarath rozłożył ręce.

- Nie wiem. Naprawdę. Chociaż ten twój pomysł może nam się przydać.

-Tak?

- Jeśli mamy przejść jeszcze raz przez coś podobnego do tego, co już nam się przytrafiło, to możemy zgadywać mniej więcej, co nas czeka, zgadza się? Może zechciałbyś się nad tym zastanowić? Na przykład dziś rano mógłbyś usiąść i przypomnieć sobie, jak to

wszystko przebiegało.

- Co masz zamiar zrobić? Belgarath osuszył kufel i wstał.

- Jak powiedziałem, wracam do łóżka.

Po południu uprzejmy dworzanin w brązowym płaszczu zapukał do drzwi pokoju, w którym Garion siedział zagłębiony w lekturze i oświadczył mu, że imperator chce go widzieć. Belgarion odłożył księgę i poszedł za wysłannikiem Varany. Szli marmurowymi korytarzami pałacu, w których każde słowo odbijało się echem, aż doszli do gabinetu Imperatora.

- Ach, Belgarion - rzekł Varana, gdy jego gość wszedł do komnaty. - Właśnie otrzymałem pewną informację, która może być dla ciebie interesująca. Usiądź, proszę.

- Jaką informację? - zapytał Garion, siadając na obitym skórą krześle przy biurku Varany.

- Widziano w Tol Honeth człowieka, o którym mówiłeś ostatnio, Naradasa.

- Naradasa? W jaki sposób zdołał dotrzeć tu tak szybko? Kiedy słyszeliśmy o nim po raz ostatni, udawał się na północ z Wielkiego Jarmarku w Arendii.

- Czy on was śledził?

- Zadawał mnóstwo pytań i rozdawał pieniądze.

- Mogę go aresztować, jeśli chcesz. Sam chciałbym zapytać go o kilka rzeczy i mógłbym zatrzymać go na kilka miesięcy, jeśli będzie to potrzebne.

Garion zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym trochę z żalem potrząsnął głową.

- To malloreński Grolim, w kilka minut ucieknie z każdego więzienia, do jakiego go wtrącisz.

- Imperialne Lochy są dosyć bezpieczne pod tym względem, Belgarionie - Varana powiedział twardo.

- Nie aż tak bezpieczne, Varano. - Garion uśmiechnął się przelotnie, pamiętając, że imperator bywał uparty w takich sprawach. - Powiedzmy, że Naradas posiada pewne niezwykle zdolności. To jedna z tych rzeczy, o których nieprzyjemnie jest rozmawiać.

- Och - powiedział z obrzydzeniem Varana. - Z tych. Garion potaknął.

- Najlepiej będzie, jeśli twoi ludzie po prostu będą mieli na niego oko. Jeśli nie wie, że dowiedzieliśmy się o jego obecności tutaj, być może doprowadzi nas do innych, a przynajmniej dostarczy nam pewnych informacji. Jak rozumiem, Harakana również widziano tu w Tolnedrze i chciałbym wiedzieć, czy istnieje jakiś związek między nimi.

Imperator uśmiechnął się.

- Twoje życie jest znacznie bardziej skomplikowane niż moje, Belgarionie - rzekł. - Ja

mam do czynienia tylko z jedną rzeczywistością.

Garion wzruszył ramionami.

- Wypełnia mi to czas - odparł.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i lord Morin powoli wszedł do komnaty.

- Przepraszam, że przeszkadzam waszej wysokości, lecz mamy pewne niepokojące wieści z miasta.

- Tak? Co się dzieje, Morinie?

- Ktoś zabija członków rodu Honethów, po cichu, ale skutecznie. Sporo ich zginęło w ciągu ostatnich dwóch nocy.

- Trucizna?

- Nie, wasza wysokość. Ten zabójca jest bardziej bezpośredni. Poprzedniej nocy zadusił kilkoro ich własnymi poduszkami, zdarzyło się też jedno fatalne w skutkach wypadnięcie przez okno. Na początku wydawało się, że te zgony następują z przyczyn naturalnych. Ale ostatniej nocy zaczął używać noża. - Morin pokręcił z dezaprobatą głową. - Co za niechlujność.

Varana zmarszczył brwi.

- Myślałem, że wojny między rodzinami już się zakończyły. Czy sądzisz, że to mogą być Horbitowie? Czasami potrafią żywić urazy przez setki lat.

- Chyba nikt tego nie wie, wasza wysokość. Honethowie są przerażeni. Albo uciekają z miasta, albo zamieniają swe siedziby w twierdze.

Na twarzy imperatora pojawił się uśmiech.

- Myślę, że nie przeszkadzają mi zbyt niepokoję wśród Honethów. Czy ten człowiek zostawia jakieś charakterystyczne ślady? Czy możemy go zidentyfikować jako kogoś ze znanych nam zabójców?

- Niczego takiego nie znaleźliśmy, wasza wysokość. Czy mam wystawić strażę wokół domów Honethów, tych, którzy jeszcze zostali?

- Mają swoich żołnierzy - Varana wzruszył ramionami. - Ale prowadź śledztwo dalej i daj znać temu człowiekowi, że chciałbym z nim trochę porozmawiać.

- Czy masz zamiar go aresztować? - zapytał Garion.

- Och, nie wiem, czy będę chciał posunąć się aż do tego. Chcę się tylko dowiedzieć, kim on jest i zaproponować, aby nieco bardziej trzymał się prawa, to wszystko. Ciekaw jestem, kto to może być.

Garion miał na ten temat kilka własnych przemyśleń i podejrzeń.

Święto Zarania zawładnęło miastem Tol Honeth. Wielu miłośników zabaw wypilo już

zbyt dużo i ślaniało się na nogach, maszerując z jednej uczty na drugą. Bowiern potężne rody współzawodniczyły ze sobą, prostacko manifestując swe ogromne bogactwo. Wielkie rezydencje bogatych i uprzywilejowanych udekorowane były flagami w wesołych barwach i równie pstrymi latarniami. Całe fortuny wydawano na wystawne bankiety, a proponowane rozrywki często przekraczały granicę dobrego smaku. Chociaż uroczystości w Pałacu były skromniejsze, Varana czuł się zobowiązany do objęcia swą gościnnością ludzi, których osobiście nie cierpiał. Dawno już zaplanowano na ten wieczór bankiet oraz wielki bal.

- A wy dwoje będziecie moimi gośćmi honorowymi - Varana oświadczył z mocą Garionowi i Ce'Nedrze. - Jeśli ja muszę to znosić, to wy także.

- Wolałabym nie, wujku - odpowiedziała Ce'Nedra ze smutnym uśmiechem. - Nie jestem teraz w nastroju do świętowania.

- Nie możesz poniechać życia, Ce'Nedro - rzekł łagodnie. - Przyjęcie, nawet tak nieatrakcyjne, jak to w Pałacu, może pomóc odwrócić twe myśli od tragicznej sytuacji.

Spojrzał na nią przebiegle.

- Poza tym - dodał - jeśli nie przyjdiesz, wszyscy Honethowie, Horbitowie i Vorduowie będą uśmiechać się pod nosem z powodu twojej nieobecności.

Ce'Nedra natychmiast uniosła głowę.

- Tak będzie, prawda? - zapytała. - Oczywiście, nie mam co na siebie włożyć.

- Masz całe szafy swoich własnych sukien w apartamentach imperatorskich, Ce'Nedro - przypomniał jej.

- Ach, rzeczywiście. Zapomniałam o tym. Dobrze, wujku. Z przyjemnością przyjdę.

Tak więc Ce'Nedra, ubrana w aksamitną, kremowobiałą suknię, z wysadzonym klejnotami diademem w płomiennych włosach, weszła do sali balowej, wspierając się na ramieniu swego męża, króla Rivy. Miał na sobie pożyczony błękitny, krótki kaftan, wyraźnie zbyt skąpy w ramionach. Garion podchodził do całego tego wydarzenia bez krzty entuzjazmu. Jako głowa państwa musiał stać przez godzinę w szeregu powitalnym w ogromnej sali balowej i wymrukiwać puste odpowiedzi na gładkie słówka trzymających się we własnych gronach Horbitów, Vorduów, Ranitów i Borunów oraz ich z reguły roztrzepanych żon. Rzucalo się w oczy to, że Honethowie byli nieobecni.

Kiedy ta nie kończąca się ceremonia dobiegała wreszcie jednak końca, zjawila się jasnowłosa siostrzenica Javeilina, która wspierała się na ramieniu księcia Khaldona.

- Odwagi, wasza wysokość - powiedziała cicho, dygając przed Garionem. - Nawet to nie może trwać wiecznie, chociaż może się tak wydawać.

- Dzięki, Liselle - odparł sucho.

Gdy wreszcie zakończyło się to meczące powitanie, Garion zaczął krążyć wśród gości, z uśmiechem na ustach znosząc nieśmiertelną uwagę: „W Tol Honeth nigdy nie pada śnieg”.

W drugim końcu skąpanej w blasku świec sali grupa arendzkich muzyków brnęła przez bogaty repertuar świątecznych pieśni, znanych we wszystkich Królestwach Zachodu. Ich lutnie, wiole, harfy, flety i oboje stanowiły słabo słyszalne tło dla rozmów gości imperatora.

- Zaangażowałem madame Aldimę na dzisiejszy wieczór, żeby dostarczyła nam rozrywki - mówił Varana do niewielkiej grupki Horbitów. - Jej śpiew miał być gwoździem programu, ale z powodu zmiany pogody nasza śpiewaczka boi się wyjść z domu. Rozumiem, że dba o swój głos.

- I powinna - stojąca za Garionem dama z rodu Ranitów mruknęła do swej towarzyszki. - Już na początku nie było tego głosu zbyt wiele, a czas nie był dla niego łaskawy - wszystkie te lata, które Aldima spędziła śpiewając w tawernach...

- Bez śpiewu święto Zaranja jest prawie nieważne - mówił dalej imperator. - Może uda nam się namówić którąś z tych pięknych dam, aby uczyniła nam honor i zaśpiewała jedną czy dwie pieśni.

Tęga przedstawicielka rodu Borunów, nieco posunięta w latach, natychmiast odpowiedziała na jego prośbę i zaśpiewała z towarzyszeniem orkiestry starą, lubianą piosenkę. Jej przypominający szczebiot sopran z trudem osiągał górne rejestry. Kiedy skończyła i stała czerwona na twarzy, chwytając hausty powietrza, goście Varany przyjęli jej piski uprzejmym aplauzem, który trwał prawie pięć sekund. Następnie powrócili do swobodnych rozmów.

Wówczas muzycy zagrali arendzką arię tak starą, że jej pochodzenie nikło gdzieś we mgle starożytności. Jak większość arendzkich pieśni, miała ona skłonność do melancholii, zaczęła się w tonacji molowej od delikatnego potoku dźwięków lutni. Kiedy głęboki głos wioli wprowadził temat główny, odezwał się równie bogaty w brzmienie kontralt. Rozmowy stopniowo ucichły, kiedy dźwięki dotknęły gości tak głęboko, że kazało im to umilknąć. Garion był poruszony. Niedaleko orkiestry stała margrabina Liselle, która uniosła głowę i śpiewała. Jej głos był cudowny. Miał ciemny, przejmujący tembr, był słodki jak miód. Pozostali goście odsunęli się od niej, oddając cześć wspaniałemu głosowi. Stała zupełnie sama w złotym kręgu płonących świec. I wówczas, ku zaskoczeniu Gariona, do ubranej w suknię koloru lawendy dziewczyny podeszła Ce'Nedra. Kiedy flet zaznaczył kontrapunkt, Rivańska Królowa podniosła swą smutną twarz i przyłączyła się do margrabiny. Jej głos bez wysiłku wznosił się wraz z dźwiękiem fletu, tak doskonale dopasowując się do niego pod

względem brzmienia i koloru, że nie sposób było ich rozróżnić. A mimo to w jej śpiewie była żalność poruszająca czułe struny w każdym słuchaczu oraz smutek, który sprawił, że Garionowi serce podeszło do gardła, a łzy stanęły w oczach. Mimo że wokół panował radosny, świąteczny nastrój, widać było, iż serce Ce'Nedry wciąż pełne było bólu i żadne zabawy ni rozrywki nie mogły zmniejszyć jej cierpienia.

Kiedy pieśń dobiegła końca, rozległy się huraganowe oklaski.

- Jeszcze! - krzyczeli goście. - Jeszcze!

Zachęteni owacją muzycy powrócili do początku tej samej arii. Ponownie lutnia odezwała się falującą kaskadą, lecz tym razem, gdy wiola poprowadziła Liselle do głównego tematu, włączył się jeszcze jeden głos, głos, który Garion znał tak dobrze, iż nawet nie musiał podnosić głowy, aby wiedzieć, do kogo należał.

Polgara, ubrana w błękitną, aksamitną suknię, przybraną srebrem, stanęła wraz z Liselle i Ce'Nedrą w kręgu świateł. Jej głos był tak bogaty i czysty jak margrabin, a jednak był w nim smutek większy nawet niż Ce'Nedry, smutek po utracie miejsca, którego nigdy nie będzie można odzyskać. Potem, kiedy dźwięk fletu wprowadził głos Ce'Nedry do kontrapunktu, Polgara przyłączyła się do nich. Harmonia, którą wytworzyły, nie była tą, którą znano we wszystkich Królestwach Zachodu. Arendzcy muzycy, z oczami pełnymi łez, podchwycili te starożytne akordy, aby odtworzyć melodię, której nie słyszano od tysięcy lat.

Kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki tej niezrównanej pieśni nastąpiła pełna nabożnej czci cisza. Po chwili goście, z których wielu nie wstydziło się łez, zaczęli bić gorące brawo, kiedy Polgara, a za nią pozostałe kobiety, wyszły z kręgu światła.

Belgarath, wyglądający niezwykle dostojnie w śnieżnobiałej tolnedrańskiej pelerynie, ze srebrnym kielichem w dłoni, stanął przed nią z tajemniczym wyrazem twarzy.

- Tak, ojcze? - zapytała.

Nic nie rzekł, lecz pocałował ją w czoło i wręczył kielich.

- Cudownie, Pol, ale po co ożywiać coś, co od dawna już nie żyje, czego nie ma już od stuleci?

Uniosła dumnie podbródek.

- Pamięć o Vo Wacune nie umrze, dopóki ja będę żyła, ojcze. Mam ją zawsze w sercu i lubię czasem przypominać ludziom, że istniało kiedyś wspaniałe miasto, szlachetne, odważne i piękne i że ten doczesny świat, w którym teraz żyjemy, pozwolił, by ono odeszło.

- To dla ciebie bardzo bolesne, prawda, Polgaro? - zapytał ze smutkiem - Tak, ojcze, bardziej, niż potrafię to wyrazić, lecz znosiłam już ból, więc... - urwała i wzruszyła lekko ramionami, po czym wyszła z sali pełnym godności krokiem.

Garion i Ce'Nedra pokręcili się nieco po parkiecie, bardziej dlatego, że tak wypadło, niż z rzeczywistego pragnienia.

- Dlaczego lady Polgara jest taka wrażliwa na punkcie Arendów Wacite? - zapytała Ce'Nedra, gdy tańczyli.

- Dosyć długo mieszkała w Vo Wacune, kiedy była młoda - odpowiedział Garion. - Myślę, że kochała to miasto... i ludzi... i to bardzo.

- Myślałam, że serce mi pęknie, kiedy śpiewała tę pieśń.

- Moje prawie pękło - rzekł cicho Garion. - Wiele wycierpiała, lecz myślę, iż upadek Vo Wacune zranił ją bardziej niż cokolwiek innego. Nigdy nie wybaczyła dziadkowi, że nie przybył na pomoc, kiedy Asturianie równali miasto z ziemią.

Ce'Nedra westchnęła.

- Wiele jest smutku na świecie.

- Jest też nadzieja - przypomniał jej.

- Ale tylko trochę. - Westchnęła jeszcze raz. Wtem jej usta ułożyły się w szelmowski uśmiech. - Ta pieśń absolutnie powaliła wszystkie damy na sali - powiedziała z satysfakcją. - Absolutnie.

- Staraj się nie puszyć tak, gdy widzą cię tłumy, kochanie - skarcił ją łagodnie. - Naprawdę nie wypada.

- Czy wujek Varana nie mówił, że jestem jednym z gości honorowych?

- No, tak.

- W takim razie to moje przyjęcie - powiedziała, potrząsając lekko głową - i mogę się puszyć, kiedy tylko zechcę.

Kiedy wszyscy wrócili do pokojów, które przeznaczył dla nich imperator, czekał na nich Silk; stał przy kominku i grzał sobie ręce. Jego twarz miała skryty, nieco niespokojny wyraz. Strzępy ubrania cuchnęły nieznośnie.

- Gdzie jest Varana? - zapytał zduszonym głosem, gdy weszli do oświetlonego świecami salonu.

- Jest w sali balowej i bawi swoich gości - powiedział Garion.

- A co ty robisz, książę Kheldarze? - zapytała Ce'Nedra, odwracając nos z powodu odoru, który bił z jego rzeczy.

- Ukrywałem się - poinformował - pod stertą śmieci. Myślę, że możemy pomyśleć o natychmiastowym wyjeździe z miasta.

Oczy Belgaratha zwężyły się.

- Powiedz dokładnie, w co się wplątałeś, Silku - zażądał. - I gdzie byłeś w ciągu

ostatnich kilku dni?

- To tu, to tam - odpowiedział wymijająco. - Naprawdę powinienem iść się umyć.

- Przypuszczam, że nic nie wiesz o tym, co się ostatnio przytrafia rodowi Honethów, prawda? - zapytał Garion.

- O co chodzi? - chciał wiedzieć Belgarath.

- Byłem dziś po południu z Varana, kiedy lord Morin przyniósł raport. Honethowie umierają w zadziwiającym tempie. Ośmiu czy dziesięciu.

- Właściwie dwunastu - poprawił Silk skrupulatnie. Belgarath zwrócił się do niskiego mężczyzny o przebiegłej twarzy.

- Myślę, że chciałbym usłyszeć wyjaśnienie.

- Ludzie umierają - Drasanin wzruszył ramionami. - Zawsze tak jest.

- Czy ktoś im pomógł?

- Może trochę.

- Czy to ty okazałeś tę pomoc?

- Czyż ja mógłbym to zrobić? Belgarath zbladł.

- Chcę usłyszeć prawdę, książę Kheldarze. Silk rozłożył ramiona dramatycznym gestem.

- Czym jest prawda, mój przyjacielu? Czy człowiek może poznać, czym naprawdę jest prawda?

- To nie jest filozoficzna dyskusja, Silku. Czy wyróżnąłeś Honethów?

- Nie wiem, czy nazwałbym to wyróżnieniem. To słowo sugeruje pewne okrucieństwo. Ja szczerę się tym, że jestem delikatny.

- Czy zabiłeś tych ludzi?

- No cóż - Drasanin przybrał nieco urażony wyraz twarzy - jeśli tak chcesz o tym mówić...

- Dwunastu ludzi? - Durnik zapytał z niedowierzaniem.

- I jeszcze jeden, który ma niewielkie szansę na przeżycie - zauważył Silk. - Przeszkadzono mi, zanim zdążyłem się upewnić co do niego, ale to, co zrobiłem, powinno wystarczyć.

- Ja czekam, Silku - rzekł ponuro Belgarath. Drasańczyk wytarł nos o brudny rękaw i przybrał inny wyraz twarzy.

- Bethra i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi - wzruszył ramionami, jakby to wyjaśniało wszystko.

- Ale... - wtrącił się Durnik. - Czy ona nie próbowała cię zgładzić?

- Ach, wtedy. To nie było nic ważnego. To były sprawy zawodowe, nic osobistego.
- Czy może być coś bardziej osobistego, niż nastawianie na czyjeś życie?
- Oczywiście. Przeszkadzałem w czymś, nad czym pracowała. Rozumiecie, była umówiona z tym ambasadorem Thulli i...

- Przestań próbować zmienić temat, Silku - przerwał mu Belgarath.
Drasanin spoważniał.

- Bethra była niezwykłą kobietą - odrzekł. - Piękną, utalentowaną i całkowicie uczciwą. Bardzo ją podziwiałem. Można nawet powiedzieć, że ją kochałem, w pewien szczególny sposób. To, że ktoś miał czelność zabić ją na środku ulicy, było dla mnie policzkiem. Zrobiłem to, co uznałem za stosowne.

- Mimo że to, czym się zajmujemy, jest tak ważne? - Twarz Belgaratha przypominała chmurę burzową. - Po prostu rzuciłeś wszystko i pobiegłeś sobie zabić kilku ludzi?

- Pewnych rzeczy po prostu nie można zignorować, Belgaracie. Chodzi tu też o zasadę. Nie pozwalamy sobie na to, aby zabójstwo członka tajnych służb Drasni nie zostało pomszczone. Źle to wpływa na nasze sprawy, kiedy ludzie zaczynają sądzić, iż coś takiego ujdzie im na sucho. W każdym razie pierwszej nocy bardzo się starałem, żeby wszystko wyglądało naturalnie.

- Naturalnie? - powtórzył Durnik. - Jak morderstwo może wyglądać naturalnie?

- Proszę cię, Durniku. Morderstwo to takie nieprzyjemne słowo.

- Uduślił ich poduszkami w ich własnych łóżkach - wyjaśnił Garion.

- A jeden facet trochę przypadkiem wypadł przez okno - dodał Silk. - Było dosyć wysoko, o ile dobrze pamiętam. Upadł na żelazne ogrodzenie.

Durnik wzdrygnął się.

- Przedostatniej nocy udało mi się odwiedzić pięciu, ale te metody zajmowały zbyt dużo czasu, więc dzisiaj byłem bardziej bezpośredni. Chociaż trzeba przyznać, że nieco zwlekałem, rozliczając się z baronem Kelborem. To właśnie on wydał rozkaz zabicia Bethry. Odbyliśmy miłą pogawędkę, zanim nas opuścił.

- Dom Kelbora jest strzeżony w całym Tol Honeth - powiedziała Ce'Nedra. - Jak ci się udało tam dostać?

- Nocą ludzie rzadko patrzą do góry, zwłaszcza kiedy pada. Wszedłem tam przez dach. Poza tym uzyskałem od Keldona bardzo cenną informację. Zdaje się, że człowiek, który powiedział Honethom o Bethrze, był Malloreaninem.

- Naradas? - zapytał szybko Garion.

- Nie. Ten miał czarną brodę.

- W takim razie Harakan?

- Wielu ludzi nosi brody, Garionie. Chciałbym mieć nieco większą pewność, nie żebym był przeciwny pokrajaniu Harakana na plasterki, ale nie zniósłbym myśli o tym, że prawdziwy winowajca uciekł, gdyż za bardzo skupiłem się na naszym starym przyjacielu.

Znowu pobał na twarzy.

- To szczególnie ważne, bo z tego, co powiedział Kelbor, wynika, że ten uczynny Malloreanin wziął udział w morderstwie Bethry. To była taka jego przysługa dla Honethów.

- Naprawdę chciałabym, żebyś wziął kąpiel, księżę Kheldarze - rzekła Ce'Nedra. - Co cię opętało, że zamieszkałeś sobie w stercie śmieci?

Wzruszył ramionami.

- Ktoś przeszkodził mi w czasie mojej ostatniej wizyty. Parę osób mnie ścigało. Śnieg trochę skomplikował sprawę. Z łatwością mogli iść po moich śladach. Musiałem się gdzieś ukryć, a śmietnik był do tego odpowiedni. - Wydał usta z obrzydzeniem. - W Tol Honeth nigdy nie pada śnieg.

- Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, od ilu osób to dzisiaj słyszałem - burknął Garion.

- Naprawdę sędzę, że powinniśmy natychmiast stąd wyjechać - rzekł Silk.

- Dlaczego? - zapytał Durnik. - Przecież uciekłeś, prawda?

- Zapominasz o śladach, Durniku. - Silk wyciągnął przed siebie stopę. - Rivańskie buty... może to sentyment. Są bardzo wygodne, ale zostawiają charakterystyczne ślady. Myślę, że minie tylko trochę czasu, zanim ktoś złoży do kupy kilka rzeczy, a naprawdę nie jestem w nastroju, by ukrywać się przed zabójcami nasłanymi przez Honethów. Nie są zbyt sprytni, ale mogą być niewygodni.

Drzwi otworzyły się cicho, a Silk natychmiast przykucnął, zanurzając ręce w ubranie w poszukiwaniu sztyletu.

- Na Boga - powiedziała łagodnie ubrana w lawendową suknię Velvet. - Czy nie jesteśmy dzisiaj trochę nerwowi?

- Co tutaj robisz? - zapytał ostro Silk.

- Byłam na balu u imperatora. Nie masz pojęcia, ile plotek można usłyszeć na takich zgromadzeniach. Cała sala aż wrzała - wszyscy rozprawiali o tym, co przydarza się ostatnio Honethom. Biorąc pod uwagę okoliczności sądziłam, że może uznasz, iż czas już, byśmy stąd wyjechali.

- My?

- Och, nie powiedziałam ci? Ależ jestem zapominalska. Jadę z wami.

- Na pewno nie! - rzekł Belgarath.

- Przykro mi, że muszę ci się sprzeciwić, Przedwieczny - powiedziała z żalem. - Ale wypełniam tylko swoje rozkazy.

Zwróciła się do Silka:

- Mój wuj denerwował się niektórymi twoimi sprawkami ostatnimi laty. On ci ufa, mój drogi Kheldarze - nigdy nie wolno ci pomyśleć, że jest inaczej - ale chce jednak, żeby ktoś miał na ciebie oko. - Zmarszczyła brwi. - Myślę, że będzie bardzo niezadowolony, kiedy dowie się o twoich nocnych wizytach u Honethów.

- Znasz zasady, Liselle - odparł Silk. - Bethra była naszym człowiekiem. Takich spraw nie puszczamy płazem.

- Oczywiście, że nie. Lecz Javelin woli sam decydować o takiej odpłacie. Twoja nieco pochopna zemsta pozbawiła go tej możliwości. Jesteś zbyt niezależny, Silku. Wiesz, że on ma rację. Ciebie naprawdę trzeba pilnować.

Zmarszczyła się lekko.

- Ale muszę przyznać, że to była dobra robota.

- Posłuchaj mnie, młoda damo - rzekł twardo Belgarath. - Ja nie organizuję wycieczki z przewodnikiem dla sieci wywiadowczej Drasni.

Uśmiechnęła się do niego rozbijając i poklepała z sympatią po policzku.

- Och, daj spokój, Belgaracie - jej brązowe oczy były wyjątkowo pociągające. - Bądź rozsądny. Czy nie byłoby bardziej kulturalnie i wygodnie, gdybym się do was przyłączyła, niż gdybym miała ciągnąć się za wami? Będę posłuszna rozkazom, Czcigodny, czy ci się to podoba, czy nie.

- Dlaczego wokół mnie ciągle są kobiety, które nie chcą robić tego, co im się mówi?

- Ponieważ cię kochamy, Przedwieczny - wyjaśniła nieoczekiwanie. - Jesteś spełnieniem marzeń każdej dziewicy, a my idziemy za tobą, bo jesteśmy zaślepione.

- Dostyc tego, moja panno - rzekł złowieszczo. - Nie jedziesz z nami i koniec.

Wiesz, odezwał się suchy głos w umyśle Gariona, myślę, że w końcu zrozumiałem, na czym polega mój problem z Belgarathem. Jest uparty jak osioł. Nie ma żadnych powodów, żeby tak arbitralnie podejmować decyzje. Robi to tylko po to, by mnie zirytować.

- Czy chodzi ci o to, że ona powinna iść z nami? - Garion był tak poruszony, że powiedział to na głos.

Oczywiście, że tak. Jak myślisz, po co zadałem sobie tyle trudu, żeby sprowadzić ją do Tol Honeth, zanim stąd odejdziecie? No, powiedz mu o tym.

Lecz wyraz twarzy Belgaratha wskazywał na to, że niebaczny okrzyk Gariona

powiedział mu już, że jego władza została ograniczona.

- Jeszcze jedna wizyta, jak rozumiem? - powiedział nieco gorzkim tonem.

- Tak, dziadku - odparł Garion. - Obawiam się, że tak.

- A więc ona idzie z nami? Garion skinął głową.

Uwielbiam mu się przyglądać, kiedy przegra jedną ze swoich kłótni, stwierdził zadowolony z siebie suchy głos. Polgara zaczęła się śmiać.

- Co cię tak śmieszy, Pol? - chciał wiedzieć Belgarath.

- Nic, ojczy - odparła niewinnie. Nagle wyrzucił ręce w powietrze.

- Proszę bardzo - zawołał rozdrażniony. - Zaprosicie całe Tol Honeth. Mnie to nic nie obchodzi.

- Ależ, ojczy - rzekła do niego Polgara. - Nie staraj się być zrzędą.

- Zrzędą? Pol, uważaj, co mówisz.

- To naprawdę bardzo trudne, ojczy, i wygląda się wtedy śmiesznie. A teraz myślę, że powinniśmy zaplanować parę rzeczy. My będziemy się przebierać i pakować, a tymczasem ty i Garion moglibyście pójść do Varany i wyjaśnić, dlaczego będziemy musieli wyjechać. Wymyślcie jakiś dobry pretekst. Nie wiem, czy na pewno chcemy, aby dowiedział się o nocnych eskapadach Silka. - Spojrzała w zamyśleniu na sufit. - Durnik, Eriond i Toth zajmą się końmi, oczywiście - powiedziała. - A dla ciebie mam specjalne zadanie, książę Kheldarze.

-Tak?

- Wykap się, tylko dokładnie.

- Powinienem też chyba wyprać ubranie - zauważył, spoglądając na nasiąknięty śmieciami strój.

- Nie, Silku, nie wyprać: spalić.

- Nie możemy wyruszyć dziś wieczór, lady Polgaro - odezwała się Ce'Nedra. - Wszystkie bramy miejskie są już zamknięte. Legioniści nie otworzą ich nikomu, chyba że na wyraźne polecenie imperatora.

- Mogę wyprowadzić nas z miasta - powiedziała z przekonaniem Velvet.

- Jak chcesz to zrobić? - zapytał Belgarath.

- Zaufaj mi.

- Chciałbym, żeby ludzie przestali tak do mnie mówić.

- Przy okazji - mówiła dalej. - Widziałam dziś naszego starego znajomego. Duża grupa Honethów jechała w stronę południowej bramy. - Spojrzała na Silka. - Musiałeś ich naprawdę wystraszyć, Kheldarze. Mają całe bataliony żołnierzy, których zadaniem jest trzymać cię na dystans. W każdym razie, pośród nich jechał jegomość wyglądający na

rodowitego Tolnedranina, który był Mallooreaninem Harakanem.

- No, no - rzekł Drasańczyk. - Czy to nie interesujące?

- Księżę Kheldarze - rzekła łagodnie Velvet. - Proszę, pójdź już do łaźni, lub chociaż nie stój tak blisko mnie.

Rozdział VI

Zimna, szara mgła podniosła się nad rzeki i okryła szerokie ulice Tol Honeth. Śnieg przeszedł w deszcz, lodowatą mżawkę, która siąpiła przez mgłę. Dachy i podwórza wciąż spowite były w biel, a ruch na traktach i ulicach utrudniało grząskie, brązowe błoto, rozjeżdżone kołami wozów i karet. Zbliżała się północ, kiedy Garion i jego przyjaciele po kryjomu opuszczali ziemie należące do Pałacu, a kilka grup amatorów hulanki, które spotkali po drodze, marzyło tylko o czymś do picia.

Velvet dosiadała kasztanowej klaczy. Okutana w ciężki, szary płaszcz poprowadziła ich obok udekorowanych marmurowymi frontonami domów bogatych kupców, a następnie przez pusty rynek ku biedniejszym dzielnicom we wschodniej części Tol Honeth. Kiedy skręcali w boczną uliczkę, ozwał się władczy głos:

- Stać!

Velvet ściągnęła wodze swojego konia i czekała, gdy z mgły wynurzył się oddział ubranych w czerwone płaszcze i błyszczące hełmy żołnierzy z lancami w rękach.

- Jaka sprawa was tu sprowadza? - zapytał ostro dowodzący patrolem sierżant.

- Właściwie to żadna wielka sprawa, mój drogi - odparła wesoło Velvet. - Jedziemy się bawić. Hrabia Norrain wydaje przyjęcie u siebie w domu. Znasz oczywiście hrabiego, prawda?

Podjęzliwość zniknęła z twarzy żołnierza. - Nie, pani - odpowiedział. - Obawiam się, że nie.

- Nie znasz Norry'ego? - zawołała Velvet. - To niezwykle! Myślałam, że wszyscy w Tol Honeth go znają, przynajmniej on sam tak twierdzi. Biedny Norry będzie zdruzgotany. Coś ci powiem. Może ty i twoi ludzie pójdziecie z nami, żeby go poznać. Spodoba się wam. Jego przyjęcia są zawsze takie zabawne. - Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Przykro mi, pani, ale jesteśmy na służbie. Ale czy jesteście pewni, że jedziecie właściwą ulicą? Wjeżdżacie właśnie do jednej z biedniejszych dzielnic, a nie przypominam sobie, żeby tu mieszkał jakiś szlachcic.

- To droga na skróty - wyjaśniła Velvet. - Widzisz, jedziemy tędy, a potem skręcamy w lewo. - Zawahała się. - Czy w prawo? Trochę zapomniałam, ale na pewno ktoś z moich przyjaciół wie, jak tam trafić.

- Musicie być ostrożni w tej części miasta, pani. Czyhają tu rabusie i kieszonkowcy.

- Ojej!

- Powinniście nieść ze sobą pochodnie.

- Pochodnie? Na Wielką Nedrę, nie! Zapach pochodni pozostaje w moich włosach na długie tygodnie. Jesteś pewien, że nie możecie się przyłączyć? Przyjęcia Norry'ego są naprawdę wspaniałe.

- Proszę przekazać hrabiemu, że bardzo załujemy, pani.

- A więc w drogę - powiedziała do pozostałych. - Musimy się pospieszyć. Jesteśmy już strasznie spóźnieni. Do widzenia, kapitanie.

- Sierżancie, pani.

- Och. A jest jakaś różnica?

- Nieważne. Jedźcie już, bo ominie was wiele przyjemności. Velvet roześmiała się radośnie i skłoniła konia do równego kłusa.

- Kim jest hrabia Norain? - zapytał ją z zainteresowaniem Durnik, kiedy znaleźli się już poza zasięgiem słuchu żołnierzy.

- Wytworem mojej wyobraźni, mój dobry Durniku - zaśmiała się Velvet.

- No tak, prawdziwa Drasanka - mruknął Belgarath.

- Czy miałaś jakieś wątpliwości, Przedwieczny?

- Dokąd nas właściwie zabierasz, Liselle? - zapytała Polgara, kiedy jechali spowitą mgłą ulicą.

- Do pewnego znanego mi domu. Nie jest zbyt ładny, ale opiera się o południowy mur miasta i ma bardzo pożyteczne tylne drzwi.

- Jak może mieć tylne drzwi, skoro jego tylną ścianą jest mur miasta? - zapytała Ce'Nedra, naciągając kaptur swego szarego płaszcza głębiej na czoło, aby chronić twarz przed mgłą.

Velvet mrugnęła do niej.

- Zobaczysz, pani - powiedziała.

Ulica, którą jechali, stawała się coraz bardziej nędzna. Budynki, które wynurzały się z mgły, były zbudowane ze zwykłego kamienia, a nie z marmuru, wiele z nich było pozbawionymi okien barakami o pustych, nudnych fasadach.

Minęli nieciekawie pachnącą tawernę, z której dochodziły krzyki, śmiechy i fragmenty sprośnych piosenek. Kilku pijanych mężczyzn wypadło na zewnątrz i zaczęło okładać się pięściami i pałkami. Jeden potężnie zbudowany gbur wyszedł, słaniając się na nogach na ulicę i stanął im na drodze.

- Odsuń się - rzekła do niego zimno Velvet.

- Kto mi rozkaże?

Niewzruszony Toth zrównał się z dziewczyną, wyciągnął swe potężne ramię i umieścił końcówkę swego kija na piersi mężczyzny, po czym go lekko ukłął.

- Uważaj, kogo popychasz! - rzucił pijak, odtrącając różdżkę.

Wciąż z tym samym wyrazem twarzy Toth poruszył nadgarstkiem i kij uderzył w bok głowy intruza, a ten zatoczył się, spojrzał bezmyślnie i wykrzywił twarz, po czym runął do rynsztoka.

- Dziękuję - powiedziała Velvet do Totha Milczącego, a ten pochylił grzecznie głowę, kiedy ruszyli dalej obok ulicą.

- O co, u licha, oni się bili? - zapytała z zaciekawieniem Ce'Nedra.

- Dzięki temu jest im ciepło - odrzekł Silk. - Drewno na opał jest drogie w Tol Honeth, a przyjemna, przyjacielska bójka rozgrzewa krew. Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Czy śmiałbym?

- On zawsze był taki bezceremonialny, wasza wysokość - oświadczyła Velvet.

- Liselle - powiedziała zdecydowanym głosem Ce'Nedra. - Ponieważ mamy podróżować razem, porzućmy te formalności. Na imię mi Ce'Nedra.

- Jeśli wasza wysokość tego sobie życzy.

- Moja wysokość tego sobie życzy.

- A więc dobrze, Ce'Nedro - rzekła blondwłosa dziewczyna z ciepłym uśmiechem.

Jechali dalej nie oświetlonymi ulicami Imperialnego Miasta, aż wreszcie wynurzyła się przed nimi ciemna plama, która była południowym murem.

- Tędy - powiedziała Velvet, skręcając w zalaną deszczem uliczkę, która ciągnęła się pomiędzy murem a długim rzędem baraków. Dom, do którego ich prowadziła, był mocnym, dwupiętrowym budynkiem. Kamienie, z których go zbudowano, były czarne i lśniące od deszczu i mgły. Przed nim znajdowało się okrągłe podwórko i ciężka brama. Wąskie okienka były dokładnie zatrześnięte, a nad wejściem migotała pojedyncza latarnia.

Velvet ostrożnie zsiadła z konia, trzymając spódnicę wysoko, aby jej brzeg nie dotknął błota. Podeszła do bramy i pociągnęła za sznurek. W środku odezwał się mały dzwonek, później jakiś głos. Przez chwilę rozmawiała cicho ze strażnikiem. Potem usłyszeli zgrzyt łańcuchów i brama otworzyła się. Velvet wprowadziła konia na podwórze, a pozostali poszli za nią. W środku Garion rozejrzał się z ciekawością. Podwórze zostało odśnieżone, kamienny bruk połyskiwał we wciąż siąpiącej mżawce. Pod daszkiem stało kilka osiodłanych koni, a parę porządných pojazdów ustawiono przy solidnie wyglądających drzwiach.

- Czy wejdziemy do środka? - zapytała Ce'Nedra, patrząc wokół z zainteresowaniem. Velvet spojrzała na nią w zamyśleniu i zwróciła do Erionda.

- To chyba nie byłby dobry pomysł - powiedziała. Stłumiony odgłos śmiechu doszedł ich z wnętrza domu, po nim nastąpił przenikliwy pisk kobiety. Polgara uniosła brew.

- Myślę, że Liselle ma rację - rzekła stanowczo. - Zaczekamy na zewnątrz.

- Jestem dorosła, lady Polgaro - sprzeciwiła się Ce'Nedra.

- Nie aż tak dorosła, kochanie.

- Czy mógłbyś mi towarzyszyć, księżę Kheldarze? - zapytała Velvet. - Obecność samotnej kobiety w tym domu bywa źle rozumiana.

- Oczywiście - odpowiedział.

- Niedługo wrócimy - Liselle zapewniła pozostałych. Podeszła wraz z Silkiem do drzwi, zastukała w nie energicznie i po chwili została wpuszczona do środka.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możemy poczekać w środku, gdzie jest ciepło i sucho - powiedziała niezadowolona Ce'Nedra, drżąc i otulając się szczelniej płaszczem.

- Jestem pewna, że zrozumiałabyś, gdybyś tam weszła - rzekła do niej Polgara. - Na takim deszczu nic ci się nie stanie.

- Co jest takiego złego w tym domu?

Wewnątrz rozległ się jeszcze jeden pisk i jeszcze bardziej ochrypli śmiech.

- To, na przykład - odpowiedziała Polgara. Oczy Ce'Nedry rozszerzyły się.

- Czy to znaczy, że to jedno z tych miejsc? - Jej twarz nagle stała się czerwona jak cegła.

- Wszystko na to wskazuje.

Jakieś piętnaście minut później krzywe drzwi piwniczne na zalewanym strugami deszczu podwórzu ze skrzypnięciem otworzyły się i wyszedł przez nie Silk. Niósł w ręku migoczącą latarnię.

- Będziemy musieli wprowadzić konie - powiedział.

- Dokąd idziemy? - zapytał Garion.

- Do piwnic. To miejsce kryje wiele niespodzianek. Zeszli gęsiego, prowadząc swoje płochliwe wierzchowce.

Garion słyszał, że gdzieś w dole szemrała woda. Kiedy dotarli do końca rampy, zobaczył, że wąski korytarz przeszedł w szeroką, przypominającą pieczarę komnatę. Wznosiły się nad nią potężne kamienne łuki, a mrok rozświetlały nieco dymiące pochodnie. Na środku znajdował się zbiornik z przypominającą olej wodą. Wąska ścieżka biegła wzdłuż trzech brzegów jeziora. Przycumowano tu pomalowaną na czarno szalupę, w której przy

każdej burcie siedziało dwunastu wioślarzy w czarnych płaszczach. Obok łodzi stała Velvet.

- Możemy przepływać tylko po dwie osoby - powiedziała do nich głosem, który odbijał się echem w przesklepionej komnacie. - Musimy przecież zabrać konie.

- Przepływać? - powtórzyła Ce'Nedra. - Dokąd?

- Na południowy brzeg rzeki Nedrane - odparła Velvet.

- Ale jesteśmy wciąż w obrębie murów miasta.

- Właściwie jesteśmy pod murami, Ce'Nedro. Miedzy nami a rzeką są teraz tylko dwie marmurowe płyty, które tworzą zewnętrzną pokrywę muru.

Gdzieś w ciemności zazgrzytał kołowrót i przednia ściana podwodnego portu otworzyła się ze szczękiem, dzieląc się na dwie części i obracając z trudem na naoliwionych, ogromnych żelaznych zawiasach. Poprzez otwór pomiędzy dwoma powoli rozsuwającymi się płytami Garion dojrzał smaganą deszczem powierzchnię rzeki, która płynęła niespiesznie, a jej odległy brzeg nikał we mgle.

- Bardzo sprytne - powiedział Belgarath. - Od jak dawna jest tutaj ten dom?

- Od wieków - odrzekła Velvet. - Zbudowano go po to, aby zapewnić każdemu wszystko, czego tylko mógłby zapragnąć. Czasami jakiś klient chce wyjechać - albo wjechać - do miasta niepostrzeżenie. Do tego właśnie służy to miejsce.

- Jak się o tym dowiedziałas? - zapytał ją Garion. Wzruszyła ramionami.

- Ten dom należał do Bethry. Zradziła Javelinowi jego tajemnice.

Silk westchnął.

- Nawet z za grobu nam pomaga.

Przewieziono ich parami przez odnogę Nedrane; wylądowali na wąskiej, otulonej we mgle piaszczystej plaży, za którą rosła grupa wierzb. Velvet dołączyła do nich, kiedy minęły już trzy godziny po północy.

- Wioślarze zetrą z piasku nasze ślady - poinformowała. - To należy do ich obowiązków.

- Czy to dużo kosztowało? - zapytał Silk.

- Szczerze mówiąc, bardzo. Ale pieniądze pochodzą z budżetu ambasady Drasni. Twojemu kuzynowi nie bardzo się to podobało, ale w końcu go przekonałam.

Drasanin uśmiechnął się zjadliwie.

- Do świtu zostało jeszcze parę godzin - mówiła dalej Liselle. - Za tymi wierzbami jest trakt, który o milę stąd w dół rzeki łączy się z Imperialnym Gościńcem. Chyba powinniśmy jechać powoli, aż nikt w mieście nie będzie mógł nas usłyszeć. Legioniści przy południowej bramie mogliby się zdziwić, gdyby usłyszeli galop.

Doszczętnie przemoczeni dosiedli koni i w ciemności ruszyli pomiędzy wierzby ku błotnistemu traktowi.

Garion zrównał się z Silkiem.

- Co tam się działo? - zapytał z zaciekawieniem.

- Prawie wszystko, co można sobie wyobrazić. - Zaśmiał się Drasanin. - I sporo rzeczy, których nie można. To bardzo ciekawy dom, dostarczający rozrywek ludziom, których na nie stać.

- Czy rozpoznałeś tam kogoś?

- Wielu, w tym kilku poważanych członków szacownych rodów Imperium.

Ce'Nedra, która jechała tuż za nimi, prychnęła pogardliwie.

- Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni odwiedzają takie miejsca.

- Klientami są tu nie tylko mężczyźni, Ce'Nedro - rzekł Silk.

- Chyba żartujesz.

- Wiele wysoko urodzonych dam z Tol Honeth wynalazło sobie ciekawe sposoby zabijania nudy. Oczywiście, noszą maski, choć niewiele oprócz nich. Rozpoznałem pewną hrabinę, podporę rodu Horbitów.

- Jeśli miała na sobie maskę, to jak ją poznałeś?

- Miała szczególne znamię w miejscu, które rzadko można zobaczyć. Jakiś czas temu byliśmy dosyć zaprzyjaźnieni i pokazała mi to.

Nastąpiło długie milczenie.

- Nie jestem pewna, czy nadal chcę o tym rozmawiać - rzuciła Ce'Nedra i spięła konia, by zrównać się z Polgarą i Velvet.

- Przecież pytała - bronił się Silk przed Garionem. - Sam słyszałeś, prawda?

Przez kilka dni jechali na południe, a pogoda cały czas poprawiała się. Zaranie minęło prawie nie zauważone, gdyż cały czas byli w drodze. Garion odczuwał z tego powodu pewien dziwny żal. Kiedy był dzieckiem, to święto w środku zimy było jednym z najważniejszych wydarzeń w roku. Pozwolić, by minęło nie uczczone odpowiednio, to tak, jakby zniszczyć coś świętego. Chciał znaleźć chwilę czasu, by kupić coś wyjątkowego Ce'Nedrze, ale najlepszym podarkiem, jaki mógł jej w tej chwili ofiarować, był czuły pocałunek.

Kiedy znaleźli się już niedaleko Tol Borune, napotkali bogato odzianą parę, która podążała na północ ku stolicy Imperium. Towarzyszyło jej około tuzina ubranych w liberie służących.

- Hej, ty - zawołał szlachcic w aksamicie do Silka, który akurat jechał na czele. - Co słychać w Tol Honeth?

- Nic nowego, panie - odpowiedział uniżenie Drasanin. - Zamachy, spiski, intrygi. Zwyczajne rozrywki wysoko urodzonych.

- Nie podoba mi się twój ton, człowieku - rzekł szlachcic.

- A mnie mówienie do mnie „człowieku”.

- Słyszeliśmy zadziwiające historie - odezwała się wyglądająca na roztrzepaną dama w futrzanej pelerynie. - Czy to prawda, że ktoś chce wybić wszystkich Honethów? Słyszeliśmy, że całe rodziny zamordowano w ich łóżkach.

- Balero - powiedział z niesmakiem jej mąż - powtarzasz głupie plotki. Co taki człowieczyna z ludu może wiedzieć o wydarzeniach w stolicy? Jestem pewien, że gdyby w tych plotkach tkwiło ziarno prawdy, Naradas powiedziałby nam o tym.

- Naradas? - oczy Silka nagle rozbłysnęły zainteresowaniem. - Kupiec angaracki o bezbarwnych oczach?

- Znasz go? - szlachcic zapytał ze zdziwieniem.

- Słyszałem o nim, panie - odpowiedział ostrożnie Drasanin. - Niemądrze jest rozpowiadać, że zna się kogoś takiego. Wiecie oczywiście, że imperator wyznaczył cenę na jego głowę?

- Naradasa? Niemożliwe!

- Przykro mi, panie, lecz w Tol Honeth wszyscy o tym mówią. Jeśli wiesz, gdzie go można schwytać, możesz zarobić tysiąc koron bez wielkiego wysiłku, panie.

- Tysiąc koron!

Silk rozejrzał się konspiracyjnie.

- Nie chciałbym, żeby to się rozniosło - powiedział głosem bliskim szeptu - ale w Tol Honeth mówi się, że te złote monety, które on tak hojnie rozdaje, są fałszywe.

- Fałszywe? - wykrzyknął szlachcic, a oczy rozszerzyły mu się.

- Doskonała imitacja - mówił dalej Silk. - Wystarczająco dużą ilość złota zmieszano z nieszlachetnymi metalami, żeby monety wyglądały na autentyczne, ale są warte jedną dziesiątą wartości nominalnej.

Twarz szlachcica stała się biała jak mąka, bezwiednie chwycił za sakiewkę przytroczoną do pasa.

- To część kampanii, która ma na celu zniszczenie gospodarki Tolnedry przez sfalszowanie pieniędzy - dodał Drasanin. - Honethowie byli z tym jakoś związani, dlatego teraz giną. Oczywiście, każdy, przy kim znajdą się takie monety, zostaje natychmiast powieszony.

- Co?!

- To jasne - Silk wzruszył ramionami. - Imperator chce jak najszybciej usunąć cały ten potworny interes. Surowe środki są do tego absolutnie niezbędne.

- Jestem zrujnowany! - zaryczał szlachcic. - Szybko, Balero! - zawołał, zawracając konia. - Musimy natychmiast wracać do Tol Borune!

On i jego żona odjechali szalonym galopem.

- Nie chcecie usłyszeć, które królestwo za tym stało? - zawołał za nimi Silk. Potem zgiął się wół w siodle ze śmiechu.

- Wspaniale, książę Kheldarze - rzuciła z podziwem Velvet.

- Ten Naradas sporo podróżuje, prawda? - powiedział Durnik.

- Myślę, że zarzuciłem mu coś w rodzaju kotwicy - Silk uśmiechnął się z satysfakcją. - Kiedy ta plotka się rozejdzie, powinien mieć kłopoty z wydawaniem pieniędzy, nie mówiąc o zainteresowaniu, jakie w pewnych kręgach wywołała ta nagroda.

- Chociaż postąpiłeś okrutnie z tym szlachcicem - powiedziała z dezaprobatą Velvet. - Wraca do Tol Borune, żeby opróżnić sejfy i spalić pieniądze.

Silk wzruszył ramionami.

- To kara za zadawanie się z Angarakami. Może przyspieszymy?

Minęli Tol Borune, nie zatrzymując się w mieście i skierowali się na zachód ku Lasowi Driad. Kiedy starożytny las pojawił się na horyzoncie na południu, Polgara podjechała do drzemiącego Belgaratha.

- Uważam, że powinniśmy się zatrzymać i oddać honory Xancie, ojciec - powiedziała.

Starzec podniósł głowę i zmrużył oczy, patrząc w stronę Lasu.

- Może - burknął z powątpiewaniem.

- Jesteśmy jej to winni, ojciec i wcale nie będziemy musieli zboczyć z drogi.

- Dobrze, Pol - rzekł - ale tylko na chwilę. Zandramas wyprzedza nas już o całe miesiące.

Minęli ostami pas otwartej ziemi i wjechali pomiędzy starożytne, porośnięte mchem dęby. Mroźne, zimowe wiatry zerwały z nich wszystkie liście, a ogromne, nagie gałęzie wyciągały się ku niebu.

Szczególne zmiany zaszły w Ce'Nedrze, kiedy wjechali do Lasu. Chociaż nie było jeszcze zbyt ciepło, zsunęła kaptur i potrząsnęła głową, by rozpuścić swe miedziane loki, podzwaniając przy tym koleczykami w kształcie żółodzi. Jej twarz pełna była spokoju, bez śladów smutku, który gościł na niej, odkąd porwano Ce'Nedrze syna. Oczy jej zwilgotniały, a wzrok błędził po drzewach.

- Wróciłam - szepnęła, stojąc pod rozłożystymi gałęziami. Garion bardziej poczuł, niż

usłyszał cichą odpowiedź.

Wszędzie wokół zdawały się rozlegać świszczące szepty, choć nie było ani śladu wiatru. Westchnienia łączyły się w chór, który tuż poniżej progu słyszalności śpiewał smutną pieśń, pieśń pełną delikatnego żalu i jednocześnie wytrwałej nadziei.

- Dlaczego są smutne? - Eriond zapytał cicho Ce'Nedre.

- Ponieważ jest zima - odpowiedziała. - Opłakują opadnięcie liści i żałują, że ptaki odleciały na południe.

- Ale wiosna powróci - powiedział.

- Wiedzą o tym, lecz zima zawsze napełnia je smutkiem. Velvet przyglądała się małej królowej z zaciekawieniem.

- Ce'Nedra odebrała takie wychowanie, że jest teraz bardzo wrażliwa na drzewa - wyjaśniła Polgara.

- Nie wiedziałam, że Tolnedranie tak bardzo interesują się przyrodą.

- Ona jest tylko w połowie Tolnedranką, Liselle. Jej miłość do drzew pochodzi z drugiej części jej dziedzictwa.

- Jestem Driadą - powiedziała po prostu Ce'Nedra. Jej oczy wciąż były rozmarzone.

- Nie wiedziałam.

- Nie rozgłaszamy tego - rzekł do niej Belgarath. - Dostyc mieliśmy kłopotów skłaniając Alornów, by przyjęli Tolnedrankę jako królową Rivy. Po co było jeszcze bardziej komplikować sprawę i mówić im, że ona nie jest człowiekiem.

Rozbili skromny obóz niedaleko miejsca, w którym wiele lat wcześniej zaatakowali ich odrażający ludzie z błot, nasłani przez królową Salmissrę. Ponieważ nie mogli odcinać żywych gałęzi w świętym lesie, zmuszeni byli zbudować sobie schronienia z tego, co leżało na ściółce, a ich ognisko było z konieczności bardzo małe. Kiedy zmrok zapadał powoli nad milczącym Lasem, Silk przyglądał się z powątpiewaniem nikłemu, migoczącemu płomieniowi, a potem ciemności, która poruszała się niemal namacalnie pomiędzy drzewami.

- Myślę, że czeka nas zimna noc - zawyrokował.

Garion spał źle. Chociaż zgromadził grubą pokrywę liści, aby zbudować prowizoryczne łóżko dla siebie i Ce'Nedry, wilgoć i chłód przenikały go do szpiku kości. Ocknął się z czujnej drzemki o brzasku, kiedy zamglone światło zaczęło się dopiero przedzierać pomiędzy drzewami. Usiadł ociężale i właśnie miał zrzucić z siebie koc, lecz znieruchomiał. Po drugiej stronie dawno wygasłego ogniska na zwałonym pniu siedział Eriond z ciemnowłosą Driadą.

- Drzewa mówią, że jesteś przyjacielem - mówiła Driada, bezmyślnie bawiąc się ostro

zakończoną strzałą.

- Lubię drzewa - odpowiedział Eriond.

- Niezupełnie o to im chodzi.

- Wiem.

Garion ostrożnie zsunął z siebie koce i wstał. Dłoń Driady natychmiast powędrowała do łuku, który leżał obok niej, lecz po chwili zatrzymała się

- Och - powiedziała Driada. - To ty.

Przyjrzała mu się uważnie. Jej oczy były szare jak szkło.

- Przybyło ci lat, prawda?

- Chyba tak.

Zaśmiała się i podniosła łuk. Założyła strzałę, którą trzymała w rękach i wycelowała w niego.

- Może to pomoże ci sobie przypomnieć? Zamrugaj.

- Czy to nie ty chciałaś mnie zabić?

- W końcu to było sprawiedliwe. Ja cię złapałam, więc ja powinnam być tą, która cię zabije.

- Czy zabijacie każdego człowieka, którego schwytnacie? - zapytał Eriond.

Opuściła łuk.

- No, nie każdego. Czasami używam ich do czego innego. Garion spojrział na nią uważnie.

- Nic się nie zmieniłaś. Wyglądasz tak samo, jak przedtem.

- Wiem - spojrzała wyzywająco. - Ładna? - podsunęła.

- Bardzo ładna.

- To miłe z twojej strony. W końcu może to i dobrze, że cię nie zabiłam. Co ty na to, byśmy oddalili się gdzieś, żebyś mógł powiedzieć mi jeszcze kilka miłych słów?

- Wystarczy, Xbel - odezwała się cierpko Ce'Nedra ze swego posłania. - On jest mój, więc niech nic ci nie przychodzi do głowy.

- Witaj, Ce'Nedro - ciemnowłosa Driada powiedziała to tak spokojnym głosem, jakby rozmawiała ze sobą ostatnio w zeszłym tygodniu. - Czy nie zechcesz podzielić się nim z jedną ze swych sióstr?

- Ty nie podzieliłabyś się ze mną nawet grzebieniem, prawda?

- Oczywiście, że nie, ale to coś zupełnie innego.

- Nigdy tego nie zrozumiesz - powiedziała Ce'Nedra, zrzucając koce i stawiając stopy na ziemi.

- Ludzie - westchnęła Xbel. - Wszyscy myślicie tak dziwnie. - Spojrzała w zamyśleniu na Erionda, dotykając jego policzka delikatną, małą dłonią. - A ten? Czy on też należy do ciebie?

Polgara wyszła ze swojego prowizorycznego szałas. Była spokojna, chociaż uniosła jedną brew.

- Dzień dobry, Xbel - powiedziała. - Wczesnie wstałaś.

- Polowałam - odrzekła Driada. - Czy ten blondwłosy należy do ciebie, Polgario? Ce'Nedra nie chce podzielić się ze mną tym swoim, więc może... - jej dłoń niechętnie opuszczała bujne loki Erionda.

- Nie, Xbel - rzekła twardo Polgara. Xbel westchnęła znowu.

- Nikt z was nie jest ani trochę zabawny - powiedziała, nadymając wargi, po czym wstała. Była drobna jak Ce'Nedra i wiotka jak wierzba.

- Och - odezwała się - prawie zapomniałam. Xantha mówi, że mam was do niej przyprowadzić.

- Ale zboczyłaś z drogi, prawda? - dodała sucho Ce'Nedra.

- Dzień nawet się jeszcze nie zaczął - wzruszyła ramionami. Na otwarty kawałek ziemi przy ognisku wyszli Silk i Belgarath, a po chwili dołączyli do nich Durnik i Toth.

- Macie ich tutaj naprawdę dużo - zamruczała Driada. - Na pewno możecie pożyczyć mi jednego na chwilę.

- O co chodzi? - zapytał z zainteresowaniem Drasanin.

- Nieważne, Silku - odrzekła Polgara. - Xantha chce nas widzieć. Zaraz po posiłku ta dziewczyna, Xbel, pokaże nam drogę, prawda, Xbel?

- Chyba tak - westchnęła odrobinę nadąsana Xbel.

Po skromnym śniadaniu ciemnowłosa Driada poprowadziła ich przez starożytny Las. Belgarath trzymał konia za uzdę i szedł obok Xbel. Oboje zdawali się pochłonięci jakąś rozmową. Garion zauważył, że jego dziadek od czasu do czasu ukradkiem sięgał do kieszeni i podawał szczupłej Driadzie coś, co ta chwytiała szybko i wkładała sobie do ust.

- Co on jej daje? - zapytała Velvet.

- Cukierki - odpowiedziała z obrzydzeniem Polgara. - Nie są dla niej dobre, ale on zawsze je przynosi, kiedy przychodzi do tego Lasu.

- Aha - rzekła Liselle - rozumiem. - Odęła wargi. - Czy ona nie jest zbyt młoda, by... no...

Ce'Nedra roześmiała się

- Pozory mylą, Liselle. Xbel jest o wiele starsza, niż na to wygląda.

- A ile ma lat?

- Przynajmniej dwieście albo trzysta. Ma tyle lat, co jej drzewo, a dęby żyją bardzo długo.

W Lesie za sobą Garion usłyszał chichot, szepty i delikatny brzęk dzwoneczków; co jakiś czas migąła mu przed oczami barwna plama - kiedy kolejne Driady w podskokach przebiegały pomiędzy drzewami, podzwaniając kolczykami.

Drzewo królowej Xanthy okazało się jeszcze potężniejsze, niż pamiętał je Garion; konary miało grube jak trakty, a otwory pomiędzy nimi przypominały wejścia do jaskiń. Ubrane w kolorowe tuniki Driady przystroiły ogromne gałęzie tak, że wyglądały jak ukwiecone, chichotały przy tym, szeptały i pokazywały sobie przybyszów. Xbel poprowadziła ich na przestronną, pokrytą mchem polanę pod drzewem, przyłożyła palec do ust i zagwizdała jak ptak.

Królowa Xantha, z płowowłosą córką Xerą u boku, wyszła z jednego z ogromnych otworów w drzewie i powitała ich, gdy zsiadali z koni. Ce'Nedra i Xera rzuciły się sobie w objęcia, a królowa i Polgara objęły się mocno. Złote włosy Xanthy przyprószone były przy skroniach siwizną, a w szarych oczach widać było zmęczenie.

- Czy jesteś chora, Xantho? Królowa westchnęła.

- Czas się zbliża, to wszystko. Spojrzała z uczuciem na swój olbrzymi dąb.

- Jest bardzo zmęczony, ciężar uciska korzenie. Co roku coraz trudniej przychodzi mu powrót do życia i wypuszczanie listków.

- Czy mogę coś zrobić?

- Nie, najdroższa Polgaro. Nie czuję bólu, po prostu ogromne zmęczenie. Nie skarzę się, lubię spać. A teraz powiedz mi, co was sprowadza do Lasu?

- Ktoś zabrał moje dziecko - zawołała Ce'Nedra, rzucając się w ramiona ciotki.

- Co ty mówisz, dziecko?

- To się zdarzyło zeszłego lata - powiedział jej Belgarath. - Próbujemy znaleźć trop tego, który je wykradł, Malloleanina o imieniu Zandramas. Sądzymy, że porywacz popłynął na południe na pokładzie nyissanskiego statku.

Xbel stała niedaleko Totha i przyglądała się z zainteresowaniem i podziwem jego potężnym muskułom.

- Widziałam jedną z łodzi węzowego ludu pod koniec ubiegłego lata - zauważyła, nie odrywając oczu od olbrzyma. - Tam, gdzie rzeka wlewa się do wielkiego jeziora.

- Nigdy o tym nie mówiłaś, Xbel - rzekła Xantha.

- Zapomniałam. Czy kogokolwiek interesuje, co robi węzowy lud?

- Duże jezioro? - powtórzył zdziwiony Belgarath. - Nie pamiętam, żeby tu w Lesie były jakieś duże jeziora.

- W takim razie na pewno chodzi ci o Wielkie Morze Zachodnie.

- Nazwij to, jak chcesz - odpowiedziała obojętnie, nadal przyglądając się Tothowi.

- Czy ten nyissański statek po prostu przepływał? - zapytał Belgarath.

- Nie - odrzekła. - Spalił się. Ale najpierw ktoś z niego zszedł.

- Xbel - powiedziała Polgara, stając pomiędzy nią a obiektem jej zainteresowania. - Czy sądzisz, że pamiętasz dokładnie, co widziałas?

- Chyba tak. Ale tego nie było znów tak wiele. Polowałam i zauważyłam łódź, która podpływała do brzegu od południowej strony. Ten człowiek w czarnym płaszczu i kapturze zszedł na ląd, trzymając jakieś zawiniątko. Potem czarna łódź wróciła na morze, a człowiek na brzegu pomachał jej jedną ręką. Wtedy statek zapłonął. Zupełnie nagle.

- Co się stało z załogą? - zapytał Durnik.

- Znasz te duże ryby z takimi zębami?

- Rekiny?

- Tak się zdaje. W każdym razie było ich tam pełno. Kiedy ludzie wyskakiwali do wody, uciekając przed ogniem, ryby ich zjadały. - Westchnęła. - Taka strata. Miałam nadzieję, że ocaleje choć jeden czy dwóch, a może nawet trzech.

Znowu westchnęła.

- A co zrobił ten człowiek na plaży? - chciała wiedzieć Polgara.

Xbel wzruszyła ramionami.

- Czekał, aż statek wypali się do końca, a potem wszedł w las na południowym brzegu rzeki.

Przeszła obok Polgary, wciąż wpatrując się w milczącego olbrzyma.

- Jeśli nie używasz tego, Polgaro, to czy mogłabym pożyczyć go na krótką chwilę? Nigdy nie widziałam aż tak wielkiego.

Garion obrócił się na pięcie i popędził ku swemu koniowi, lecz Eriond już tam był. Podał przyjacielowi uzdę swego kasztanowego wierzchowca.

- On jest szybszy, Belgarionie - powiedział. - Weź go. Garion skinął krótko głową i wskoczył na siodło.

- Garionie! - zawołała Ce'Nedra. - Dokąd jedziesz? Lecz on mknął już pełnym galopem w stronę lasu. Niewiele myślał, kiedy ogier szedł jak burza po bezlistnym Lesie Driad. Jedynym okruczem myśli było wyobrażenie, jakie umieściła w jego umyśle obojętna Xbel: ciemna postać na plaży z zawiniątkiem w rękach. Jednakże powoli uświadomił sobie

coś jeszcze. Było coś dziwnego w sposobie poruszania się wierzchowca. Co czwarty czy piąty krok ogier przechylał się i przez chwilę Las zdawał się rozmywać przed oczami Gariona. Potem koń biegł dalej, aż do następnego przechylenia się.

Odległość pomiędzy drzewem Xanthy a brzegiem, gdzie Leśna Rzeka wlewała swoje wody do Wielkiego Morza Zachodniego była znaczna. Garion zdawał sobie z tego sprawę. Nawet przy najbardziej szalonym galopie podróż zajęłaby prawie półtora dnia. Lecz czy to nie promień zimowego słońca odbija się w olbrzymiej tafli wody tuż przed nim?

Ogier znowu pochylił się, a Garion zobaczył mgielkę. Dostyc nieoczekiwanie wierzchowiec zarył przednimi nogami w piasek i pośliznął się po nim aż do krawędzi wzburzonej wody.

- Jak to zrobiłeś?

Koń odwrócił ku niemu łeb i spojrzał pytająco. Garion rozejrzał się wokół z konsternacją.

- Jesteśmy po niewłaściwej stronie rzeki - zawołał. - Powinniśmy być tam.

Skoncentrował swoją wolę, przygotowując się do translukacji na południowy brzeg, lecz ogier obrócił się, cofnął o dwa kroki i znowu pochylił.

Nagle znaleźli się na południowym brzegu, a Garion trzymał się kurczowo siodła w obawie, by z niego nie spaść. Przez moment chciał skarcić zwierzę za to, że go nie ostrzegło, ale coś ważniejszego przyciągnęło jego uwagę. Zsunął się z siodła i pobiegł po mokrym piasku tuż przy brzegu, wyciągając jednocześnie miecz Żelaznopalcego. Kiedy uniósł w górę ostrze, Klejnot rozbłysnął ochoczo.

- Geran! - krzyknął do niego. - Znajdź mojego syna. Nagle miecz podskoczył mu w dłoni, niemal pozbawiając go równowagi. Pośliznął się i zatrzymał na piasku, czując przemożną siłę Klejnotu. Głowica miecza obniżyła się i dotknęła ziemi, po czym broń zabłysnęła triumfująco, kiedy ostrze skierowało się poprzez usłaną naniesionymi przez wodę patykami plażę w stronę gęstego lasu.

Rzeczywiście! Mimo że obawiał się, iż znaki, które widzieli, mogły być kolejnymi sztuczkami, trop Zandramasa i porwanego syna Gariona naprawdę tu był. Ogarnęła go niepowstrzymana fala radości.

- Uciekaj, Zandramas! - zawołał. - Uciekaj tak szybko, jak tylko potrafisz. Mam już twój ślad, a świat jest za mały, byś mógł się na nim ukryć przede mną!

Rozdział VII

Chłód i wilgoć napelniały powietrze pod splątanymi gałęziami, które rosły ponad ich głowami. Zapach gnijącej, stojącej wody drażnił nozdrza. Drzewa wykrzywiały się w górę od ciemnego podłoża w poszukiwaniu światła. Szarozielony mech zwisał z nich wąskimi pasmami, a liany oplatały pnie jak grube węże. Pachnąc nieprzyjemnie, wstęgi bladej mgły unosiły się w powietrzu pomiędzy roślinami nad czarnymi stawami i leniwie płynącymi strumieniami.

Droga, którą podążali, była bardzo stara i porośnięta gęstymi zaroślami. Garion jechał teraz na czele, a jego miecz spoczywał oparty o łęk siodła. Klejnot ochoczo ciągnął go w swoją stronę. Było późne popołudnie i dzień, który z początku był pochmurny i szary, kończył się powoli; niemal ze smutkiem przemieniał się w wieczór.

- Nie wiedziałam, że Nyissanie kiedykolwiek budowali drogi - powiedziała Ce'Nedra, spoglądając na zachwaszczony trakt, który rozciągał się przed nimi.

- Opuuszczono je po inwazji Maraga pod koniec drugiego tysiąclecia - wyjaśnił Belgarath. - Nyissanie odkryli, że drogi pomagają przemieszczać się wrogiej armii, więc Salmisra poleciła, by wszystkie trakty na powrót ogarnęła dżungla.

Miecz w dłoni Gariona zadrżał lekko i wskazał gęste poszycie na poboczu. Zmarszczył brwi i ściągnął cugle.

- Dziadku - rzekł. - Trop prowadzi teraz do lasu. Pozostali również zatrzymali się i wpatrywali w zarośla.

- Pójdę zobaczyć - powiedział Silk, ześlizgując się z siodła i podchodząc do skraju drogi.

- Uważaj na węże - zawołał za nim Durnik.

Silk zatrzymał się raptownie.

- Dzięki - odpowiedział sarkastycznie.

Wszedł pomiędzy krzaki, poruszając się ostrożnie i nie odrywając oczu od ziemi.

Czekali, nasłuchując szelestu i trzaskania gałązek, kiedy Silk obchodził zarośla.

- To było jakieś obozowisko - zawołał. - Jest ślad po ognisku i kilka mizernych chatek.

- Zobaczmy to - rzekł Belgarath, zeskakując z siodła. Zostawili Totha przy koniach i weszli w gęstwinię. Kilka jardów od drogi natknęli się na polanę i Silka stojącego nad wypalonym ogniskiem; leżało tam jeszcze sporo zwęglonych patyków.

- Czy był tu Zandramas? - zapytał Garion.

Wyszedł naprzód i wyciągnął miecz. Zadrżał mu niepewnie w dłoniach, wskazując to ten kierunek, to tamten. Potem pociągnął go w stronę jednego z częściowo zapadłych szałasów. Kiedy Garion podszedł bliżej, miecz pochylił się i dotknął ziemi wewnątrz chatki, a Klejnot zajaśniał światłem.

- To chyba wszystko wyjaśnia - rzekł Silk z pewną satysfakcją.

Durnik klęczał przy ognisku i przekładał patyki, przyglądając się uważnie leżącym pod spodem popiołom.

- Kilka miesięcy - powiedział. Silk obejrzał się.

- Z liczby szałasów wynika, że musiały tu obozować przynajmniej cztery osoby.

Belgarath chrząknął.

- W takim razie Zandramas nie jest już sam.

Eriond z zaciekawieniem zaglądał do szałasów. Nagle schylił się i wyjął coś z jednego z nich, po czym wrócił do swoich towarzyszy. Bez słowa podał ten przedmiot Ce'Nedrze.

- Och - załkała, chwytając go szybko i przyciskając do piersi.

- Co to jest, Ce'Nedro? - zapytała Velvet.

Mała królowa nic nie powiedziała, lecz z oczami pełnymi łez pokazała jej to, co otrzymała przed chwilą od Erionda. Była to mała, wełniana czapeczka, leżała przemoczona i żałosna na jej dłoni.

- To mojego dziecka - powiedziała zduszonym głosem. - Miał to na sobie tej nocy, kiedy go porwano.

Durnik przełknął z trudem ślinę.

- Robi się późno - odezwał się cicho. - Czy chcemy rozłożyć się tutaj na noc?

Garion spojrzał na przepelnioną bólem twarz Ce'Nedry.

- Chyba nie - odpowiedział. - Poszukajmy miejsca trochę dalej.

Durnik również spojrzał na cierpiącą królową.

- Dobrze - zgodził się.

Przebyli jeszcze jakieś pół mili i trafili na dawno opuszczone miasto, na wpół pochłonięte przez dżunglę. Drzewa rosły obok niegdyś szerokich ulic, a liany pięły się w górę po pustych wieżach.

- To chyba dobre miejsce - powiedział Durnik, rozglądając się po ruinach. - Dlaczego ludzie po prostu odeszli stąd i zostawili miasto puste?

- Może być wiele powodów, Durniku - odrzekła Polgara. - Epidemia, polityka, wojna, albo nawet czyjś kaprys.

- Kaprys? - zdziwił się.

- To jest Nyissa - przypomniała mu. - Panuje tu Salmissra, a jej władza jest bardziej absolutna, niż w jakimkolwiek innym królestwie. Jeśli przybyła tu kiedyś i kazała ludziom odejść, na pewno to zrobili.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Tak się nie godzi - powiedział.

- Tak, kochanie - zgodziła się. - Wiem o tym.

Rozbili obóz w opuszczonych ruinach. Następnego ranka ruszyli dalej na południowy wschód. Gdy zapuszczali się coraz głębiej w nyissańską dżunglę, widzieli, jak stopniowo zmienia się przyroda. Drzewa sięgały wyżej, a ich pnie były grubsze. Poszycie gęstniało, szerzący się wszędzie nieprzyjemny odór stojącej wody stawał się coraz intensywniejszy. Potem, tuż przed świtem, delikatny wietrzyk przyniósł inną woń, którą wyczuł Garion. Była tak słodka, że prawie zakręciło mu się w głowie.

- Co to za wspaniały zapach? - zapytała Velvet z zachwytem.

Wjechali wówczas w zakręt, za którym ich oczom ukazało się stojące przy drodze, pełne dostojenstwa, najpiękniejsze drzewo, jakie Garion kiedykolwiek widział. Złote liście drżały delikatnie, a karmazynowe liany spływały obficie z konarów.

Obsypane było czerwonymi, niebieskimi i lawendowymi kwiatami, pomiędzy nimi wisiały pękate grona lśniących, purpurowych owoców, które - zdawało się - za chwilę pękają. Opanowało go nieodparte uczucie tęsknoty, widok i zapach tego drzewa poruszył go do głębi.

Lecz Velvet wyprzedziła go już i z rozmarzonym uśmiechem podjeżdżała ku drzewu.

- Liselle! - głos Polgary trzasnął nagle jak bicz. - Stój!

- Ale... - głos Velvet pełen był nostalgii.

- Nie ruszaj się - rozkazała Polgara. - Jesteś w strasznym niebezpieczeństwie.

- Niebezpieczeństwie? - zdziwił się Garion. - To tylko drzewo, ciociu Pol.

- Chodźcie ze mną wszyscy - poleciła. - Trzymajcie mocno konie i nie zbliżajcie się do drzewa.

Powoli ruszyła naprzód, trzymając cugle mocno w obu dłoniach.

- O co chodzi, Pol? - zapytał Durnik.

- Myślałam, że wszystkie już zniszczono - burknęła, patrząc na wspaniałe drzewo z zimną nienawiścią.

- Ale... - sprzeciwiła się Velvet. - Dlaczego ktoś chciałby zniszczyć coś tak cudownego?

- Oczywiście, że jest cudowne. W ten sposób poluje.

- Poluje? - powtórzył zaskoczony Silk. - Polgario, to tylko drzewo. Drzewa nie polują.

- Ale z tym jest inaczej. Kęś jego owocu przynosi natychmiastową śmierć, a dotknięcie kwiatu paraliżuje wszystkie mięśnie. Spójrzcie.

Pokazała im coś w wysokiej trawie pod drzewem. Garion przyjrzał się uważniej i zobaczył szkielet dosyć dużego zwierzęcia. Kilka wici, zwisających z jednej z obsypanych kwiatami gałęzi, wdarło się pomiędzy zębra zwierzęcia i przeplotło z omszałymi kośćmi.

- Nie patrzcie na drzewo - powiedziała Polgara zimno. - Nie myślcie o owocach, starajcie się nie wdychać zbyt głęboko zapachu jego kwiatów. Próbuje zwabić was tak, żebyście znaleźli się w zasięgu jego wici. Jedźcie dalej i nie odwracajcie się - ściągnęła wodze swemu koniowi.

- A ty nie jedziesz? - zapytał Durnik, patrząc na nią zatroskany.

- Dogonię was - odparła. - Najpierw muszę zająć się tą zmorą.

- Róbmy, co każe - rzekł Belgarath. - Ruszajmy. Kiedy przejeżdżali obok tego pięknego, groźnego drzewa, Garion poczuł nagle rozczarowanie. Kiedy odjechali dalej, wydało mu się, że usłyszał pełne złości warknięcie. Zdziwiony obejrzał się raz i zobaczył, jak kannazynowe wici, zwisające z gałęzi, kręciły się i uderzały na oślep w powietrze. Potem odwrócił się nagle, słysząc, jak Ce'Nedra krzyknęła z obrzydzeniem.

- Co się dzieje? - zawołał.

- Drzewo! - rzuciła bez tchu. - Jest potworne! Karmi się cierpieniem swych ofiar tak samo, jak ich ciałem.

Kiedy wjechali w następny zakręt, Garion poczuł uderzenie fali, po nim nastąpił potężny wstrząs, po czym usłyszeli syk i trzask płomieni ogarniających żywe drzewo. W umyśle Gariona rozległ się okropny krzyk pełen bólu, złości i wściekłości. Całun brudnego, czarnego dymu kłębił się nisko nad ziemią, roznosząc nieznośny odór.

Polgara wróciła do nich po jakichś piętnastu minutach.

- Już nie będzie polować - powiedziała z nutą satysfakcji w głosie. Uśmiechnęła się niemal złośliwie.

- To jedna z niewielu rzeczy, co do których ja i Salmissra się zgadzamy - dodała. - Na świecie nie ma miejsca dla takich drzew.

Jechali dalej opuszczonym traktem w głąb Nyissy. Około południa następnego dnia wierzchowiec Erionda stał się niespokojny, a chłopak zrównał się z Garionem, który wciąż jechał na czele z mieczem opartym na lęku.

- Ma ochotę biegać - zaśmiał się cicho Eriond. - Zawsze chce mu się biegać.

Garion spojrział na niego.

- Eriondzie - rzekł - chciałem cię o coś zapytać.

- Tak, Belgarionie?

- Kiedy jechałem na twoim koniu na plażę z Lasu Driad, zrobił coś dziwnego.

- Dziwnego? Co masz na myśli?

- Podróż nad morze powinna zająć prawie dwa dni, ale on dotarł tam w pół godziny.

- Och - powiedział Eriond. - O to chodzi.

- Czy możesz wyjaśnić, jak on to robi?

- On to robi czasami, kiedy wie, że się spieszę, by gdzieś dotrzeć. Tak jakby biegnie do innego miejsca, a kiedy wraca, jesteś znacznie dalej, niż na początku.

- Gdzie jest to inne miejsce?

- Tutaj, to jest wszędzie wokół nas, ale jednocześnie nie jest. Czy to ma jakiś sens?

- Nie. Właściwie nie.

Eriond zmarszczył w zamyśleniu brwi.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że potrafisz zmienić się w wilka, tak jak Belgarath.

- Tak.

- I że kiedy to robisz, twój miecz cały czas jest z tobą, a jednocześnie nie jest.

- Tak mi mówił dziadek.

- Myślę, że tam jest to inne miejsce. To samo miejsce, do którego udaje się twój miecz. Tam odległość nie ma takiego znaczenia, jak tutaj. Czy to w ogóle coś wyjaśnia?

Garion zaśmiał się.

- Ani trochę, Eriondzie, ale wierzę ci na słowo.

Po południu następnego dnia dotarli do bagnistego brzegu Rzeki Węża, gdzie trakt skręcał na wschód wzdłuż wijącej się brudnej wody. Niebo się roz pogodziło, choć nikłe promienie słońca nie dawały zbyt wiele ciepła.

- Może powinienem pójść przodem na zwiad - powiedział Silk. - Na tym kawałku droga wydaje się bardziej uczęszczana, a nie zdobyliśmy raczej masy przyjaciół, kiedy byliśmy tu ostatnio.

Zmusił konia do żwawego cwału. Po kilku minutach zniknął im za zakrętem.

- Nie będziemy musieli przejeżdżać przez Sthiss Tor, prawda? - zapytała Ce'Nedra.

- Nie - odpowiedział Belgarath. - To jest po drugiej stronie rzeki.

Spojrzał na ścianę drzew i zarośli, odgradzającą trakt od koryta rzeki.

- Powinniśmy się przemknąć bez większych kłopotów. Godzinę później wyjechali z kolejnego zakrętu i ujrzeli błysk dziwnych wież stolicy Wężowego Ludu, które wznosiły się na odległym brzegu rzeki. Zdawało się, że architektura w Nyissie powstawała bez żadnych

planów. Niektóre wieże były strzeliste, inne pękate, zakończone kopułami. Część z nich wiała się w górę poskręcana w spirale. Co więcej, pomalowane były we wszystkie możliwe kolory: zielony, czerwony, żółty, a nawet jaskrawoszkarłatny. Silk czekał na nich na trakcie kilkaset jardów dalej.

- Bez trudu przejdziemy tędy tak, by nikt z drugiej strony rzeki nas nie zauważył - oświadczył. - Ale przed nami jest ktoś, kto chce z nami porozmawiać.

- Kto? - zapytał ostro Belgarath.

- Nie przedstawił się, ale zdawał się wiedzieć, że nadjeżdżamy.

- Nie podoba mi się to. Czy powiedział, czego chce?

- Tylko tyle, że ma dla nas jakąś wiadomość.

- Chodźmy, dowiemy się, o co chodzi. Starzec spojrzał na Gariona.

- Lepiej ukryj Klejnot - zaproponował. - Nie pokazujmy go, tak na wszelki wypadek.

Garion skinął głową, wyjął miękkie, skórzane pokrowiec i nałożył go na rękojeść miecza.

Ogolony do skóry Nyissanin, który czekał na nich, miał na sobie zniszczone, poplamione ubranie; od czoła poprzez pusty oczodół aż do brody biegła blizna.

- Myśleliśmy, że przyjdziecie wcześniej - powiedział lakonicznie, kiedy ściągnęli cugle. - Co was zatrzymało?

Garion przyjrzał się jednookiemu mężczyźnie.

- Czy ja cię przypadkiem nie znam? - zapytał. - Czy aby ty nie jesteś Issus?

Issus chrząknął.

- Jestem zaskoczony, że mnie pamiętasz. Nie miałeś zbyt jasnego umysłu, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

- To było coś, co trudno zapomnieć.

- Ktoś w mieście chce się z wami spotkać - powiedział Issus.

- Przykro mi, przyjacielu - rzekł do niego Belgarath - ale zależy nam na czasie. Nie wydaje mi się, by w Sthiss Tor był ktoś, z kim musielibyśmy rozmawiać.

Issus wzruszył ramionami.

- Jak chcecie. Zapłacono mi, żebym się z wami spotkał i przekazał wiadomość.

Odwrócił się i zaczął odchodzić w stronę zarośli nadrzecznych oblanych promieniami popołudniowego słońca. Po chwili zatrzymał się.

- Och. Prawie zapomniałem. Człowiek, który mnie tu przysłał, kazał powiedzieć wam, że ma wiadomości dotyczące kogoś o imieniu Zandramas, jeśli to ma dla was jakieś znaczenie.

- Zandramas? - zapytała szybko Ce'Nedra.

- Kto by to nie był - odpowiedział Issus - jeśli jesteście zainteresowani, to mam tu łódź. Mogę zabrać kilkoro z was do miasta, jeśli chcecie.

- Daj nam chwilę, żeby to omówić - rzekł do niego Belgarath.

- Rozmawiajcie, ile chcecie. I tak nie możemy popłynąć, dopóki się nie ściemni. Zaczekam w łodzi, aż się zdecydujecie.

Odszedł ku rzece.

- Kto to jest? - Silk zapytał Gariona.

- Nazywa się Issus. To człowiek do wynajęcia. Kiedy widziałem go ostatnio, pracował dla Sadiego, głównego eunucha w pałacu Salmisry. Ale mam wrażenie, że będzie pracował dla każdego, kto mu zapłaci.

Zwrócił się do Belgaratha.

- Co o tym sądzisz, dziadku? Starzec pociągnął się za ucho.

- To może być jakaś sztuczka - rzekł - lecz ktoś tam wie na tyle dużo, by zdawać sobie sprawę z tego, że interesuje nas Zandramas. Myślę, że chciałbym się dowiedzieć, kim jest ten dobrze poinformowany obywatel.

- Z Issusa nic nie wyciągniesz - powiedział Silk. - Już próbowałem.

Belgarath zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

- Zobacz, jak duża jest ta jego łódź.

Silk poszedł na skraj drogi i wpatrywał się w coś przez zarośla.

- Nie możemy popłynąć wszyscy - oświadczył. - Najwyżej cztery osoby.

Belgarath podrapał się w podbródek.

- Ty, ja, Pol i Garion - zdecydował i zwrócił się do Durnika. - Zabierz pozostałych wraz z końmi i wracajcie w stronę dżungli. To może nam zająć jakiś czas. Nie rozpalajcie ognisk, które byłoby widać z miasta.

- Zajmę się wszystkim, Belgaracie.

Łódź, którą przyplłynął Issus, była pomalowana na matowy czarny kolor i przycumowana do na wpół zatopionego kloca. Pochylające się nad nią drzewa stanowiły dobrą kryjówkę. Jednooki mężczyzna spojrzał z niezadowoleniem na Gariona.

- Czy musisz brać z sobą ten wielki miecz? - zapytał.

- Tak - odrzekł Garion. Issus wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

Gdy zmrok zapadł nad rzeką, z okolicznych szuwarów podniosły się chmary komarów i latały wokół nich, kiedy czekali, aż nastanie ciemność. Silk odruchowo klepnął się w kark.

- Nie trzęś łodzią - ostrzegł Issus. - O tej porze roku pijawki są głodne, więc to nie jest najwłaściwszy czas na kąpiel.

Siedzieli skuleni w małej łódeczce, znosząc cierpliwie ukąszenia owadów, a światło dnia gasło powoli. Gdy minęło już pół godziny, Issus wyjrzał zza ukrywającego ich gąszczu.

- Jest już dość ciemno - rzekł tylko.

Odwiązał łódkę i odepchnął ją wiosłem od brzegu. Potem usiadł i zaczął wiosłować w kierunku odległych świateł Sthiss Tor. Po około dwudziestu minutach łódź pogrążyła się w głębokich cieniach poniżej przystani, wrzynając się w nurt rzeki od strony drasańskiej enklawy handlowej, gdzie kupcy z północy mogą prowadzić swoje interesy. Pokryta smołą lina zwisała z pomostu. Issus prowadził łódź pod rzeczną budowlą powoli, cal po calu, aż mogli bez trudu sięgnąć drabinki.

- Tutaj wyjdziemy - powiedział, przywiązując czółno do palika. - Postarajcie się nie hałasować zbyt.

- Dokąd właściwie nas zabierasz? - zapytała Polgara.

- To niedaleko - odrzekł i cicho wszedł po drabince.

- Miejcie oczy otwarte - burknął Belgarath. - Nie bardzo mu ufam.

Na ulicach Sthiss Tor panował mrok, ponieważ wszystkie okna na parterze miały zatrzaśnięte okiennice. Issus poruszał się jak kot, cały czas trzymając się cienia. Garion nie wiedział, czy jego ostrożność wynikała z konieczności, czy była tylko przyzwyczajeniem. Kiedy szli wąską uliczką, Garion usłyszał dochodzące z ciemności szmery, jakby odgłosy drobnych kroków. Natychmiast chwycił za miecz.

- Co to jest? - zapytał.

- Szczury. - Issus wzruszył ramionami. - Nocami przychodzą tu z rzeki, żeby żerować w śmieciach. A potem węże przepływają z dżungli i zjadają szczury.

Podniósł rękę.

- Zaczekajcie tu chwilę.

Ruszył ostrożnie dalej, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma na szerokiej ulicy, która przecinała im drogę..

- Wszystko w porządku - oświadczył. - Chodźmy. Dom, do którego idziemy, jest po drugiej stronie ulicy.

- To dom Drobleka, prawda? - zapytała Polgara, kiedy zbliżyli się do skrytego Nyissanina. - Naczelnika Portu Drasańskiego?

- Widzę, że już tu byłaś. Ruszajmy, pani. Czekają na nas.

W odpowiedzi na ciche stukanie Issusa Droblek sam otworzył drzwi. Urzędnik

portowy miał na sobie luźną tunikę i był z całą pewnością grubszy niż wtedy, gdy Garion widział go ostatnio. Kiedy otworzył drzwi, rozejrzał się nerwowo po ulicy.

- Szybko - szepnął. - Do środka, wszyscy.

Zamknął za nimi drzwi, przekręcił potężny zamek i wydał się nieco uspokojony.

- Pani - powiedział do Polgary, kłaniając się z godnością. - Czyni mi pani zaszczyt.

- Dziękuję, Drobleku. Czy to ty po nas posłałeś?

- Nie, pani. Chociaż pomogłem to zorganizować.

- Jesteś trochę zdenerwowany, Drobleku - powiedział Silk.

- Ukrywam w domu coś, czego wolałbym tu nie mieć, książę Kheldarze. Miałbym mnóstwo kłopotów, gdyby ktoś się o tym dowiedział. Ambasador Tolnedry zawsze każe swoim ludziom obserwować mój dom i byłby zachwycony, mogąc uwikłać mnie w coś nieprzyjemnego.

- Gdzie jest człowiek, z którym mamy się spotkać? - zapytał obcesowo Belgarath.

Na twarzy ich gospodarza malował się strach, kiedy odpowiedział:

- Z tyłu domu mam ukrytą komnatę, Przedwieczny. Tam właśnie czeka.

- W takim razie chodźmy do niego.

- Natychmiast, Belgaracie.

Kołysząc się i sapiąc drasański urzędnik poprowadził ich słabo oświetlonym korytarzem. Gdy doszli do jego końca, Droblek przesunął ręką po ścianie i nacisnął jeden z kamieni. Z głośnym szczęknięciem wysunął się fragment muru o nieregularnym kształcie.

- A to ciekawe - burknął Silk.

- Kto tam? - zza ukrytych drzwi doszedł ich piskliwy głos.

- To ja, Droblek - odpowiedział otyły mężczyzna. - Przybyli ludzie, z którymi chciałeś się widzieć.

Nacisnął płytkę i drzwi otworzyły się.

- Stanę na straży - rzekł do nich.

Za drzwiami znajdowała się mała, przejmująco wilgotna komnata, oświetlona tylko jedną świecą. Obok zniszczonego drewnianego stołu stał przerażony eunuch Sadi. Na jego ogolonej do skóry czaszce widniał kilkudniowy zarost, szkarłatny strój był wymięty i nieświeży. W oczach Sadiego malował się strach.

- Nareszcie - powiedział z ulgą.

- Co tu się dzieje, Sadi? - zapytała go Polgara.

- Ukrywam się - odparł. - Wejdźcie, proszę, wszyscy i zamknijcie drzwi. Nie chcę, żeby ktoś przypadkiem dowiedział się, gdzie jestem.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, a Droblek zamknął za nimi drzwi.

- Dlaczego główny eunuch z pałacu Salmisry chowa się w domu naczelnika Portu Drasańskiego? - zapytał zaintrygowany Silk.

- W pałacu zaszło pewne nieporozumienie, księżę Kheldarze - odpowiedział Sadi, siadając na krześle przy stole. - Nie jestem już głównym eunuchem. Prawdę mówiąc, wyznaczono cenę na moją głowę, dosyć wysoką, jak słyszałem. Droblek był mi winien przysługę, więc pozwolił mi się tu ukryć, niechętnie, ale... - Wzruszył ramionami.

- Skoro mówimy o cenach, to chciałbym dostać teraz moje pieniądze - powiedział Issus.

- Mam dla ciebie jeszcze jedno niewielkie zadanie, Issusie - rzekł eunuch dziwnym kontraltem. - Czy sądzisz, że udałoby ci się dostać do pałacu?

- Jeśli będę musiał.

- W moim apartamencie jest czerwona, skórzana skrzynia pod łóżkiem. Ma mosiężne zawiasy. Potrzebuję jej.

- Czy chcesz ustalić cenę?

- Zapłacę tyle, ile uznasz za stosowne.

- Dobrze. Powiedzmy, dwa razy tyle, ile już jesteś mi winien.

- Dwa razy?

- W pałacu jest teraz bardzo niebezpiecznie.

- Wykorzystujesz sytuację, Issusie.

- W takim razie idź i przynieś ją sobie sam. Sadi spojrzał na niego bezradnie.

- No dobrze - poddał się. - Niech będzie.

- Interesy z tobą są dla mnie zawsze przyjemnością, Sadi - powiedział obojętnie Issus, po czym wyszedł.

- Co tu się działo? - Silk zapytał zdenerwowanego eunucha.

Sadi westchnął.

- Przedstawiono mi pewne zarzuty - powiedział zbolalym głosem. - Nie byłem zbyt dobrze przygotowany, aby się z nich oczyścić, więc pomyślałem, że lepiej będzie zawiesić na dłuższy czas pełnienie moich obowiązków. I tak pracowałem ostatnio zbyt intensywnie.

- Czy te zarzuty były bezpodstawne?

Sadi przesunął dłonią o długich palcach po swej czaszce.

- Cóż, niezupełnie - przyznał. - Ale cały problem został wyolbrzymiony.

- Kto zajął twoje miejsce w pałacu?

- Sariss - Sadi prawie wypluł z siebie to imię. - To marny intrygant zupełnie bez

poczucia stylu. Kiedyś z przyjemnością odetnę kilka części jego ciała, które są mu raczej potrzebne. I to tępym nożem.

- Issus mówił nam, że masz jakieś informacje o człowieku, który ma na imię Zandramas - powiedział Belgarath.

- To prawda - odparł Sadi.

Wstał i podszedł do wąskiego, nie zasłanego łóżka pod ścianą. Szperał przez chwilę pod brudnym, brązowym kocem i wyjął mały, srebrny flakon, po czym otworzył go.

- Wybaczcie - powiedział i wypił trochę. Skrzywił się. - Wolałbym, żeby to nie było takie okropne w smaku.

Polgara spojrzała na niego zimno.

- Czy mógłbyś powiedzieć nam, co wiesz o Zandramasie, zanim zaczniesz widzieć myszki?

Sadi odpowiedział niewinnym tonem:

- Ależ nie. To nie jest nic takiego, lady Polgaro - zapewnił ją, potrząsając flakonem. - Ma działanie uspokajające. Moje nerwy są całkowicie zszarpane przez to, co się działo w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

- Może przejdziemy do sedna? - zaproponował Belgarath.

- Bardzo chętnie. Ja mam coś, czego wy chcecie, a wy macie coś, co jest mnie potrzebne. Myślę, że możemy dobić targu.

- Możemy o tym porozmawiać - rzekł Silk, pokraśniawszy nagle, a nos zaczął mu drżeć.

- W pełni zdaję sobie sprawę z pana reputacji, książę Kheldarze - Sadi uśmiechnął się. - Nie jestem tak nierozsądny, żeby targować się z tobą.

- No dobrze, więc czego od nas chcesz, Sadi? - zapytał Belgarath.

- Macie zamiar opuścić Nyisse. Chcę, żebyście wzięli mnie ze sobą. W zamian powiem wam wszystko, co wiem o Zandramasie.

- To absolutnie wykluczone.

- Obawiam się, że mówisz zbyt pochopnie, Przedwieczny. Wysłuchaj mnie najpierw.

- Nie ufam ci, Sadi - rzekł otwarcie czarodziej.

- To zrozumiałe. Nie jestem kimś, komu należy ufać.

- Więc dlaczego miałbym kłopotać się tobą?

- Ponieważ ja wiem, dlaczego ścigacie Zandramasa i, co ważniejsze, dokąd Zandramas się kieruje. To bardzo niebezpieczne miejsce dla was, ale mogę postarać się, byśmy mogli się tam swobodnie poruszać. No więc odłóżmy tę dziecinadę z zaufaniem i

przejdźmy do interesów.

- Marnujemy tu tylko czas - powiedział Belgarath do pozostałych.

- Mogę być dla was bardzo użyteczny, Przedwieczny - rzekł Sadi.

- Lub dla każdego, kto chciałby wiedzieć, gdzie jesteśmy - dodał Silk.

- To nie leżałoby w moim własnym interesie, Kheldarze.

- W związku z czym dochodzimy do interesującej kwestii - powiedział Silk. - Mam wspaniałą możliwość osiągnięcia tu szybkiego zysku. Mówiłeś, że za twoją głowę wyznaczono wysoką nagrodę. Jeśli nie zechcesz z nami współpracować, mógłbym zdecydować się wziąć tę nagrodę. Ile ona wynosiła?

- Nie zrobisz tego, Kheldarze - odparł spokojnie eunuch. - Spieszycie się, by dogonić Zandramasa, a z uzyskaniem nagrody wiąże się zawsze mnóstwo formalności. Minąłby pewnie miesiąc, zanim zobaczylibyście jakieś pieniądze, a Zandramas zyskałby jeszcze tyle przewagi nad wami.

- Chyba masz rację - przyznał Drasanin. Z żalem sięgnął po jeden ze swoich sztyletów. - Zawsze jednak istnieje jeszcze jedno rozwiązanie, nieco kłopotliwe, ale zazwyczaj bardzo skuteczne.

Sadi cofnął się przed nim.

- Belgaracie - powiedział przestraszonym głosem.

- To nie będzie konieczne, Silku - rzekł starzec. Zwrócił się do Polgary. - Zobacz, co możesz zrobić, Pol.

- Dobrze, ojczy - odwróciła się do eunucha. - Usiądź, Sadi - powiedziała do niego. - Chcę, żebyś coś obejrzał.

- Oczywiście, lady Polgaro - zgodził się uprzejmie, siadając przy stole.

- Skup się - powiedziała, czyniąc przed jego oczami dziwny gest.

Eunuch wciąż się uśmiechał.

- Urocze - mruknął, patrząc na coś, co ukazało się jego oczom. - Możesz pokazać jeszcze jakieś sztuczki?

Pochyliła się i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Rozumiem. Jesteś bardziej przebiegły, niż sadyłam, Sadi. Odwróciła się ku swoim towarzyszom.

- Jest pod wpływem narkotyków - poinformowała ich. - Prawdopodobnie napił się ich z tego flakonu. W tej chwili nie mogę z nim niczego zrobić.

- W związku z tym pozostaje nam tylko pierwsze wyjście, czyż nie? - powiedział Silk, ponownie sięgając po sztylet.

Polgara pokręciła głową.

- W tej chwili nawet nie poczułby tego.

- Och - powiedział rozczarowany eunuch. - Rozpędziłaś to, a podobało mi się.

- Narkotyki nie będzie działał wiecznie - Silk wzruszył ramionami. - Do tego czasu powinniśmy znaleźć się tak daleko od miasta, by móc wydobyć z niego parę odpowiedzi, nie budząc nikogo zainteresowania.

Jego ręka znowu powędrowała ku rękojeści.

Alornowie, powiedział z niesmakiem suchy głos w umyśle Gariona. Jak to się dzieje, że rozwiązanie każdego problemu znajdujecie w pochwie miecza?

- Co?

Powiedz małemu złodziejaskowi, żeby odłożył nóż.

Ale...

Nie spieraj się ze mną, Garionie. Musisz zdobyć informacje Sadiego o Zandramasie, a ja nie mogę ci ich przekazać.

Nie sugerujesz chyba, że powinniśmy zabrać go z sobą? Garion był głęboko poruszony tym pomysłem.

Ja niczego nie sugeruję, ja mówię do ciebie: Sadi idzie z wami. Bez niego nie możecie zrobić tego, co macie zrobić. Powiedz o tym swojemu dziadkowi.

Nie spodoba mu się to.

Dzielnie stawię temu czoła.

Potem głos odszedł.

- Dziadku - odezwał się zbolalym tonem Garion.

- Tak? - starzec był rozdrażniony.

- To nie jest mój pomysł, dziadku, ale... - Garion spojrzał z niesmakiem na rozmarzonego eunucha i bezradnie rozłożył ręce.

- Nie mówisz poważnie! - wykrzyknął po chwili Belgarath.

- Obawiam się, że tak.

- Ja chyba czegoś nie rozumiem? - wtrącił się Sadi.

- Zamknij się! - warknął czarodziej.

Zwrócił się do Gariona:

- Czy jesteś całkowicie pewien? Garion skinął głową, przygnębiony.

- To czyste szaleństwo! - Starzec odwrócił się i spojrzał na Sadiego. Pochylił się nad stołem i wziął w garść przód mieniącej się różnymi barwami tuniki eunucha.

- Posłuchaj mnie uważnie, Sadi - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Idziesz z nami,

ale masz trzymać nos z dala od tego flakonu. Rozumiesz?

- Oczywiście, Przedwieczny - eunuch odrzekł tym samym rozmarzonym głosem.

- Chyba nie całkiem pojmujesz, co do ciebie mówię - ciągnął czarodziej przerażająco spokojnym głosem. - Jeśli jeszcze raz przyłapie cię z łbem pełnym tego wywaru, to sprawię, że zaczniesz marzyć, by Kheldar dopadł cię pierwszy ze swoimi sztyletem. Zrozumiałeś mnie?

Oczy Sadiego rozszerzyły się, a twarz stała się blada jak kreda.

- T-tak, Belgaracie - wydusił z siebie przerażony.

- Dobrze. A teraz mów. Co dokładnie wiesz o Zandramasie?

Rozdział VIII

Wszystko zaczęło się w zeszłym roku - powiedział Sadi, wciąż przyglądając się bojaźliwie Belgarathowi. - Malloreatin podający się za kupca handlującego klejnotami przybył do Sthiss Tor i znalazł w pałacu mojego głównego rywala, nędznego intryganta zwanego Sariss. Wszyscy wiedzieli, że Sariss pożył mojego stanowiska, ale nie wynajęłam ludzi, żeby go zabili. - Zmarszczył czoło. - Fatalne przeoczenie, jak się później okazało. W każdym razie Sariss i Malloreatin zawarli układ, który nie miał nic wspólnego z kamieniami szlachetnymi. Ten tak zwany jubiler potrzebował czegoś, co mógł mu dać ktoś, kto miał władzę, więc przekazał Sarissowi pewne informacje, których mógł użyć, aby mnie skompromitować i zająć moje stanowisko.

- Wprost uwielbiam politykę, a wy? - Silk rzucił pytanie, nie kierując go do nikogo konkretnego.

Sadi znowu się skrzywił.

- Szczegóły, dotyczące utracenia przeze mnie łask królowej, są nudne - mówił dalej - i naprawdę nie chcę się wam naprzykrzać. Ważne jest, że podstępnie przejął moje obowiązki jako główny eunuch, a ja ledwo uszedłem z życiem z pałacu. Kiedy Sariss poczuł się pewnie, mógł już dotrzymać swojej części umowy z Malloreatinem.

- A czego dokładnie żądał? - zapytał Silk.

- Tego, księżę Kheldarze - odpowiedział Sadi, wstając i podchodząc do łóżka. Wyjął spod materaca pieczołowicie zwinięty pergamin i podał go niskiemu człowieczkowi.

Silk przeczytał szybko i zagwizdał.

- Tak? - zapytał Belgarath.

- To urzędowe pismo - odparł Drasanin. - W każdym razie jest na nim pieczęć królowej. Wczesną wiosną zeszłego roku Salmisra wysłała misję dyplomatyczną do Sendarii.

- To zwykłe zarządzenie, Silku.

- Wiem, ale są tu też tajne instrukcje dla dyplomatów. Mówi im, że przy ujściu Rzeki Węza spotkają się z pewnym obcokrajowcem i mają udzielić mu wszelkiej pomocy, jakiej tylko zażąda. Rzecz polega na tym, że ci dyplomaci mają dostarczyć obcokrajowca do portu Halberg na zachodnim brzegu Cherek i postarać się, by przy rivańskim brzegu czekał na niego nyissański okręt w wyznaczonym terminie latem ubiegłego roku.

- Może to przypadek? - zastanawiał się Belgarath. Silk potrząsnął głową i podniósł w

ręku pergamin.

- Jest tu wymienione imię tego obcokrajowca. Dyplomaci mieli rozpoznać nieznajomego po imieniu Zandramas.

- To wyjaśnia kilka spraw, prawda? - powiedział Garion.

- Czy mogę to zobaczyć? - zapytała Polgara. Silk podał jej pismo.

Przyjrzała mu się przez chwilę i podała je Sadiemu.

- Czy jesteś przekonany, że to pieczęć Salmisry? - zapytała.

- To nie ulega wątpliwości, Polgaro - odrzekł. - Nikt nie śmie dotknąć tej pieczęci bez jej pozwolenia.

- Rozumiem.

- W jaki sposób zdobyłeś ten dokument, Sadi? - zainteresował się Drasanin.

- Rutynowo sporządza się cztery kopie urzędowych pism, książę Kheldarze. To jeden z pomysłów tych, którzy cieszą się łaską królowej. Ceny dodatkowych kopii są ustalone od stuleci.

- No dobrze - rzekł Garion - a więc Zandramas przybył do Nyissy, podając się za kupca, doprowadził do tego, że Sariss zajął twoje stanowisko i w jakiś sposób skłonił Salmisrę do wydania tego zarządzenia. Czy tak?

- To nie jest takie proste, Belgarionie - odpowiedział mu Sadi. - Malloreański kupiec nie był Zandramasem. Tu w Sthiss Tor nikt nigdy nawet nie widział Zandramasa. Obcokrajowiec, o którym jest mowa w dokumencie, dołączył do dyplomatów w drodze do Sendarii. O ile wiem, Zandramas nigdy nie był w Sthiss Tor. To jeszcze nie koniec: kiedy przygotowano już statek, wszyscy dyplomaci zginęli - w bardzo odpowiednim momencie. W drodze do stolicy zatrzymali się w tawernie w Camaar, a tam w środku nocy zdarzył się pożar. Nikt nie przeżył.

- Takie sytuacje się zdarzają - powiedział Silk.

- No dobrze - rzekł Garion - ale kim był ten malloreański jubiler?

Sadi rozłożył bezradnie ręce.

- Nigdy się tego nie dowiedziałem - wyznał.

- Czy widziałeś go kiedyś?

- Raz. Wyglądał bardzo dziwnie. Jego oczy były zupełnie bezbarwne. ⁶

Nastąpiło długie milczenie, po czym odezwał się Silk.

- To wyjaśnia kilka spraw, prawda?

- Być może - powiedział Garion - ale wciąż nie mamy odpowiedzi na moje podstawowe pytanie. Wiemy już, dla kogo pracuje Naradas. Wiemy, w jaki sposób

Zandramas dostał się na Cherek i uciekł z Wyspy Wiatrów z moim synem, ale muszę wiedzieć, dokąd prowadzi trop, którym podążamy.

Sadi wzruszył ramionami.

- Do Rak Verkat - rzucił.

- W jaki sposób doszedłeś do takiego wniosku? - zapytał go Silk.

- Sariss jest zbyt krótko u władzy, by zdążył usunąć swoich najmniej godnych zaufania podwładnych. Spotkałem jednego, który z zainteresowaniem odniósł się do idei prywatnej przedsiębiorczości. Zandramas musi dotrzeć do Mallorei z księciem Geranem przed wiosną i muszą się tam udać przez Rak Verkat.

- Czy nie byłoby bliżej, gdyby wypłynęli z Rak Cthan? - zastanawiał się Drasanin.

Sadi spojrzał na niego nieco zdziwiony.

- Myślałem, że wiecie - powiedział. - Kal Zakath wyznaczył całkiem pokaźną cenę na głowę Zandramasa, rezerwy Mallorean są skoncentrowane w Rak Hagga. Jeśli Zandramas próbowałby dotrzeć do Cthan przez Hagga, wszystkie te oddziały rzuciłyby to, czym się zajmują i zapolowałyby na niego. Jedyne bezpiecznym portem dla Zandramasa, z którego mógłby odpłynąć, jest Rak Verkat.

- Czy ten podwładny to twój opłacony zaufany? - dopytywał się Silk.

- Oczywiście, że nie. Chciał powiedzieć mi o tym wszystkim, a potem wydać dla nagrody. Martwego, naturalnie, tak więc nie miał powodów, by mnie okłamać. Zresztą był zbyt głupi, żeby wymyślić jakieś sensowne kłamstwo. - Eunuch uśmiechnął się zimno. - Ja jednak znam pewną niezawodną roślinę. Ten człowiek mówił mi tylko prawdę. Szczerze mówiąc, nie przestał nawet, kiedy zaczął mnie już nudzić. Sariss zapewnił Zandramasowi eskortę w czasie podróży przez Nyissę i dał mu szczegółową mapę z zaznaczonym najkrótszym szlakiem na Wyspę Verkat.

- Czy to już wszystko, co powiedział ten człowiek? - zapytał Garion.

- Ależ nie - odrzekł Sadi. - Właśnie wyznawał mi, że oszukiwał w czasie egzaminu w szkole, kiedy Issus w końcu poderżnął mu gardło... na moje polecenie, oczywiście. Nie mogłem znieść takiej ilości prawdy jednego dnia.

- Dobrze - powiedział Garion, ignorując jego ostatnią uwagę - a więc Zandramas udaje się na Wyspę Verkat Ale w czym może nam to pomóc?

- Droga, którą będzie musiał obrać Zandramas, jest okrężna z powodu nagrody, o której mówiłem. Natomiast my możemy skierować się wprost przez południowe Cthos Murgos ku Wyspie. Zaoszczędzimy w ten sposób całe miesiące.

- Ta marszruta wiedzie przez strefę wojny - zaprotestował Drasanin.

- To żaden problem. Mogę doprowadzić was do Verkat bez utrudnień ze strony Murgów i Mallolean.

- W jaki sposób chcesz to zrobić?

- Kiedy byłem młodszy, zajmowałem się handlem niewolnikami w Cthol Murgos. Znam wszystkie szlaki, wiem, kogo trzeba przekupić, a kogo unikać. Handlarze niewolników są pożyteczni dla obu walczących stron, i dla Murgosów, i dla Mallolean, więc mogą poruszać się swobodnie. Musimy tylko przebrać się za handlarzy żywym towarem i nikt nie będzie się do nas wtrącał.

- Co powstrzyma cię przed sprzedaniem nas Grolimom, gdy tylko przekroczymy granicę? - zapytał bez ogródek Silk.

- Mój własny interes. - Eunuch wzruszył ramionami. - Grolimowie są straszliwie niewdzięczni. Jeśli ja was wydam, to bardzo prawdopodobne, że oni odsprzedadzą mnie Salmisrze. Nie sądzę, żeby mi się to specjalnie podobało.

- Czy ona jest na ciebie aż tak zła? - zapytał Garion.

- Zirytowana - poprawił Sadi. - Węże tak naprawdę się nie złością. Słyszałem jednak, że chce sama mnie ukąsić. To oczywiście wielki zaszczyt, ale chętnie z niego zrezygnuję.

Drzwi otworzyły się z cichym szcęknięciem. Droblek wsunął głowę do środka i powiedział:

- Issus wrócił.

- Dobrze - odparł Belgarath. - Chcę być po drugiej stronie rzeki przed świtem.

Jednooki mężczyzna wszedł do komnaty, niosąc skrzynię, którą opisał Sadi. Było to płaskie, kwadratowe pudło, szerokie na kilka stóp i głębokie na kilka cali.

- Co w tym jest, Sadi - zapytał. - Coś tam grzechocze. - Belgarath wziął od niego skrzynię.

- Ostrożnie! - wykrzyknął Sadi. - Niektóre butelki mogą się łatwo stłuc.

- Co to jest? - chciał wiedzieć czarodziej.

- Trochę tego, trochę tamtego - odpowiedział wymijająco.

- Narkotyki?

- Oraz trucizny i odtrutki. Kilka afrodyzjaków, parę środków znieczulających, całkiem skuteczny narkotyk skłaniający do mówienia prawdy oraz Zith.

- Co to jest Zith?

- Nie co, lecz kto, Przedwieczny. Nigdzie się bez niej nie ruszam. - Otworzył skrzynię i z czułością wyjął z niej butelkę w kolorze ziemi, która była porządnie zakorkowana i miała

rzęd niewielkich otworów wokół szyjki.

- Czy może pan to potrzymać - powiedział, wręczając butelkę Silkowi. - Chcę sprawdzić, czy Issus niczego nie potłukł.

Zaczął dokładnie przeszukiwać rzędy buteleczek umieszczonych w wyłożonych aksamitem przegródkach.

Silk spojrział z zainteresowaniem na trzymany w ręku przedmiot i wziął w palce korek.

- Naprawdę nie robiłbym tego, książę Kheldarze - poradził mu eunuch. - Może pana spotkać bardzo nieprzyjemna niespodzianka.

- Co jest w środku? - zapytał Silk, potrząsając butelką.

- Proszę, Kheldarze. Zith bardzo się złości, kiedy się nią potrząsa.

Sadi zamknął skrzynię, odstawił ją na bok i wziął pojemnik z rąk Drasanina.

- No już, już - powiedział łagodnie. - Nie ma się czym denerwować, kochanie. Jestem tutaj i nie pozwolę mu więcej cię dręczyć.

Ze środka wydobył się dziwny pomruk.

- Jak zmieściłeś tam kota? - zdziwił się Garion.

- Och, Zith nie jest kotem, Belgarionie - zapewnił go Sadi. - Pokażę wam.

Ostrożnie wyjął korek i postawił butelkę na stole.

- Możesz teraz wyjść, kochanie - powiedział do niej delikatnym głosem.

Nic się nie wydarzyło.

- No wychodź, Zith. Nie bądź taka nieśmiała.

Mały, jasnozielony wąż wypełznął posłusznie z szyjki butelki. Żółte oczy świeciły się, a intensywny czerwony pas przebiegał przez całe ciało od nosa do ogona. Zith wysunęła rozedrgany, rozdwojony na końcu języczek i dotknęła nim wyciągniętej dłoni Sadiego.

Silk cofnął się, biorąc nagle głęboki oddech.

- Czyż nie jest piękna? - rzekł eunuch, jednym palcem delikatnie poklepując łepkę węża. Zith zaczęła mruścić z zadowoleniem, potem uniosła się i zmierzyła Silka zimnym spojrzeniem gada. Syknęła na niego ze złością.

- Sądzę, że ją obraziłeś, książę Kheldarze - powiedział Sadi. - Może powinien pan przez pewien czas trzymać się od niej z daleka.

- Nie martw się o to - odrzekł żarliwie Silk, robiąc kilka kroków do tyłu. - Czy jest jadowita?

- To najniebezpieczniejszy mały wąż na świecie, prawda, kochanie? - Sadi znowu poklepał ją po łebku. - A także jeden z najrzadszych. Jej gatunek jest bardzo ceniony w Nyissie, ponieważ są to najbardziej inteligentne gady. Są przyjazne, nawet czule, a mruczenie

jest oczywiście rozkoszne.

- Ale przecież ona kasa - dodał Silk.

- Tylko ludzi, którzy ją irytują, nigdy przyjaciół. Trzeba jedynie karmić ją, i dbać, by było jej ciepło, no i od czasu do czasu okazywać odrobinę uczucia. Wtedy pójdzie za człowiekiem jak wierny piesek.

- Za mną nie pójdzie.

- Sadi - powiedział Belgarath, wskazując na skrzynię. - O co w tym wszystkim chodzi? Nie chcę ciągnąć za sobą przenośnego składu zielarza.

Sadi podniósł jedną dłoń.

- Murgowie nie są specjalnie zainteresowani pieniędzmi, Przedwieczny, a w Cthos Murgos pewnych ludzi będę musiał przekupić. Niektórzy z nich mają dziwne zwyczaje. Ta skrzynia będzie miała dla nas większą wartość niż juki wyładowane złotem.

Belgarath odchrząknął.

- Tylko nie wtykaj tam nosa. Nie chcę, żebyś w krytycznym momencie miał głowę pełną oparów. I pilnuj swojego węża.

- Oczywiście, Belgaracie.

Stary czarodziej zwrócił się do Issusa.

- Czy możesz zdobyć większą łódź? Musimy przedostać się na drugą stronę rzeki, a w tej twojej wszyscy się nie zmieścimy.

Issus skinął głową.

- Jeszcze nie teraz, ojciec - odezwała się Polgara. - Przez chwilę będę go potrzebowała.

- Pol, musimy znaleźć się po drugiej stronie przed świtem.

- To nie zajmie długo, ale muszę dostać się do pałacu.

- Do pałacu?

- Zandramas udaje się na Cherek, dokąd nie wpuszcza się Angaraków od czasów Chereka o Niedźwiedzich Barach. Salmisra to zorganizowała i również ona zajmowała się ucieczką z Wyspy Wiatrów po porwaniu dziecka Ce'Nedry. Chcę wiedzieć, dlaczego.

- Zależy nam na czasie, Polgaro. Czy to nie może poczekać?

- Wydaje mi się, że nie, ojciec. Według mnie musimy wiedzieć, czy przygotowano coś jeszcze. Wolałabym nie być zaskoczona przez jakiś batalion Nyissan przyczajony w dżungli przy naszym trakcie.

Zmarszczył brwi.

- Może masz rację.

- Czy idziesz do pałacu? - zapytał ją Garion.

- Muszę, mój drogi.

- Dobrze - powiedział, krzyżując ramiona. - W takim razie idę z tobą.

Przyjrzała mu się długo i uważnie.

- Będziesz nalegał, jak sądzę? Skinął głową.

- Tak, ciociu Pol, chyba tak - rzekł dosyć zdecydowanie. Westchnęła.

- Jak one szybko dorastają - powiedziała. Zwróciła się do Issusa. - Znasz drogę powrotną do pałacu?

Jednooki mężczyzna kiwnął głową potakująco.

- Pokażesz nam?

- Oczywiście - odpowiedział i umilkł. - O cenie możemy porozmawiać później - dodał po chwili.

- O cenie?

- Nic za nic, pani - wzruszył ramionami. - Idziemy? Zbliżała się już północ, kiedy Issus wyprowadził Polgarę i Gariona przez tylne drzwi domu Drobleka. Weszli w wąską uliczkę, która cuchnęła gnijącymi śmieciami. Ukradkiem przemykali się poprzez wiele jednakowych, wijących się uliczek. Czasami przechodzili przez korytarze domów, żeby dostać się do kolejnego zaułka.

- Skąd wiesz, w których domach są otwarte drzwi? - zapytał szeptem Garion, kiedy wyszli z wysokiego, wąskiego budynku w bardzo zaniedbanej części miasta.

- Żyję z tego, że wiem takie rzeczy - odparł Issus. Wyprostował się i rozejrzał wokół. - Zbliżamy się do pałacu. Ulice w tej części miasta są patrolowane. Zaczekajcie tu chwilę.

Chyłkiem przeszedł na drugą stronę ulicy i otworzył znajdujące się we wgłębieniu drzwi, po czym wśliznął się do środka. Kilka chwil później wyszedł, niosąc dwie srebrne szaty, parę lanc i mosiężnych bębnow.

- Włożymy to - powiedział do Gariona. - A jeśli pani nie ma nic przeciwko, to proszę, byś nasunęła kaptur głębiej na czoło. Jeśli ktoś nas zatrzyma, proszę mi pozwolić mówić.

Garion włożył na siebie strój i hełm, wziął od zabójcy lancę.

- Proszę schować włosy pod hełmem - polecił Issus. Wystąpił śmiało naprzód, bardziej ufając przebraniu, niż swej zdolności skradania się.

Zanim doszli do następnej ulicy, zatrzymało ich pół tuzina uzbrojonych ludzi.

- Co was tu sprowadza? - zapytał dowódca patrolu.

- Eskortujemy gościa do pałacu - odparł Issus.

- Jakiego gościa?

Issus spojrzał na niego z niesmakiem.

- Lepiej nie przeszkadzajcie nam, kapralu - rzekł. - Osoba, którą ona odwiedza, nie byłaby z tego zadowolona.

- A kim jest ta osoba?

- No cóż, to bardzo głupie pytanie. Jeśli przyjaciel tej kobiety dowie się, że ci powiedziałem, to obaj skończymy w rzece.

- Skąd mogę wiedzieć, że mówisz prawdę?

- Nie możesz, ale czy naprawdę chcesz zaryzykować? Kapral zaczął się nad tym zastanawiać i poczuł się niepewnie.

- Lepiej idźcie dalej - powiedział w końcu.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz - rzekł Issus. Chwycił Polgarę mocno za ramię i rozkazał:

- Rusz się.

Kiedy dotarli do końca ulicy, Garion obejrzał się. Żołnierze wciąż im się przyglądali, ale żaden nie poszedł za nimi.

- Mam nadzieję, że cię nie obraziłem, pani - przeprosił Polgarę Issus.

- Nie - odrzekła. - Jesteś bardzo zaradny, Issusie.

- Za to mi płacą. Tędy.

Mur pałacu Salmisry był bardzo wysoki, zbudowany z grubo ciosanych kamiennych kłoców. Stał w tym przejmująco wilgotnym mieście nad rzeką od tysięcy lat. Issus wprowadził ich w głębokie cienie pod samym murem i do małej bramy z żelaznymi kratami. Chwilę pogrzebał przy zamku i ostrożnie otworzył wrota.

- Chodźmy - burknął.

Pałac stanowił płataninę słabo oświetlonych korytarzy, lecz Issus prowadził ich pewnie, poruszając się tak, jakby wypełniał jakąś ważną misję. Kiedy zbliżyli się do nieco jaśniejszych i większych przedsionków znajdujących się w centralnej części pałacu, minął ich groteskowo wystrojony eunuch, który szedł na sztywnych nogach i błędził po ścianach niewidzącymi oczyma. Na jego twarzy malowało się osłupienie, a ciałem wstrząsnął spazm, kiedy się do nich zbliżył. Weszli przez otwarte drzwi i usłyszeli czyjś nie kontrolowany chichot. Garion nie był pewien, czy ta osoba była mężczyzną czy kobietą. Jednooki przewodnik zatrzymał się i otworzył drzwi.

- Musimy przejść tędy - powiedział, wyjmując z niszy obok drzwi dymiącą lampę. - Bądźcie ostrożni. Jest ciemno, a na ziemi są węże.

W komnacie panował chłód, rozchodził się tu stęchły zapach. Garion wyraźnie słyszał suchy chrzęst ocierających się o siebie łusek, który rozlegał się w kątach.

- Jest dosyć bezpiecznie - stwierdził Issus. - Nakarmiono je dzisiaj, zawsze są potem rozleniwione.

Zatrzymał się przy drzwiach, uchylił je i wyjrzał.

- Zaczekajcie - szepnął.

Garion usłyszał głosy kilku rozmawiających mężczyzn i kroki w korytarzu na zewnątrz. Potem drzwi otworzyły się i zamknęły.

- Przejdźcie wolne - powiedział cicho Issus. - Chodźmy. Weszli za nim w słabo oświetlony korytarz i podążyli nim aż do lśniących drzwi. Spojrzał na Polgarę.

- Czy jest pani pewna, że chce zobaczyć się z królową? - zapytał.

Skinęła głową.

- No, dobrze - rzekł. - Sariss jest tutaj. Zaprowadzi nas do sali tronowej.

- Na pewno? - szepnął Garion.

Najemny przewodnik sięgnął pod szatę, którą przywdział na siebie, kiedy byli na ulicy i wyciągnął długi sztylet z zębami na klindze.

- Mogę to zagwarantować - powiedział. - Dajcie mi chwilę. Potem wejdźcie i zamknijcie drzwi.

Popchnął drzwi i wpadł do komnaty jak wielki kot o miękkich łapach.

- Co...! - krzyknął ktoś wewnątrz wysokim głosem. Potem nastąpiła przeraźliwa cisza.

Garion i Polgara szybko weszli za nim i zamknęli drzwi. Przy stole siedział człowiek, któremu oczy wyszły na wierzch z przerażenia. Czubek sztyletu Issusa spoczywał na jego gardle. Eunuch miał na sobie karmazynową, posrebrzaną szatę, a jego ogolona głowa była biała jak ściana. Fałdy niezdrowego tłuszczu zwisały mu z podbródka. Miał małe, świńskie oczka.

Issus mówił do niego zatrważająco spokojnym głosem. Podkreślał wagę swoich słów, klując końcówką sztyletu skórę na gardle eunucha.

- To ulgoski nóż, Sarissie. Kiedy wchodzi w ciało, nie powoduje prawie żadnych uszkodzeń, ale kiedy się go wyjmuje, wyrывa za sobą przeróżne rzeczy. A więc nie będziemy krzyczeć, prawda?

- N-nie - odpowiedział piskliwym głosem Sariss.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. Oto, co zrobimy. Ta dama i jej młody przyjaciel chcą zamienić słówko z królową, więc zaprowadzisz nas do sali tronowej.

- Do królowej? - wyrzucił z siebie eunuch bez tchu. - Nikt nie może przed nią stanąć bez pozwolenia. N-nie mogę tego zrobić.

- Ta rozmowa przybiera zdecydowanie zły obrót. - Issus spojrział na Polgarę.

- Czy mogłabyś odwrócić głowę, pani? - zapytał uprzejmie. - Widok człowieka z mózgiem wylewającym się uszami może przyprawić o mdłości.

- Błagam - jęczał Sariss. - Nie mogę. Królowa mnie zabije, jeśli bez jej rozkazu zaprowadzę was do sali tronowej.

- A ja zabiję cię, jeśli tego nie zrobisz. W każdym razie mam wrażenie, że to nie będzie jeden z twoich najszczęśliwszych dni, Sarissie. A teraz wstawaj.

Zabójca szarpnięciem podniósł eunucha z krzesła. Wyszedł na korytarz, a eunuch szedł przed nim. Pot płynął mu po twarzy, w oczach malowało się szaleństwo.

- Tylko bez sztuczek, Sarissie - ostrzegł go Issus. - Pamiętaj, że jestem tuż za tobą.

Dwaj potężnie zbudowani strażnicy przy wejściu do sali tronowej skłonili się z szacunkiem przed głównym eunuchem i otworzyli mu drzwi.

Sala wyglądała dokładnie tak, jak dawniej. Ogromny posąg Issy, Boga-Węża wznosił się na podium w dalekim końcu komnaty. Kryształowe lampy wciąż świeciły słabo, zwisając ze srebrnych łańcuchów. Na wypolerowanej posadzce jak zwykle klęczało ponad dwudziestu ogolonych, ubranych w karmazynowe szaty eunuchów, gotowych w każdej chwili wyrażać swój zachwyt w zgodnym chórze. Nawet lustro w złotej oprawie nadal stało na swym piedestale obok tronu przypominającego otomanę.

Natomiast Salmissra zmieniła się w przerażającym stopniu. Nie była już tą piękną, zmysłową kobietą, którą widział Garion, kiedy postawiono go przed nią po raz pierwszy, którą pamiętał choć był wówczas skołowany, znajdując się pod wpływem narkotyków. Leżała teraz na swoim tronie, a cętkowane zwoje jej ciała spływały swobodnie we wszystkie strony. Łuski lśniły w blasku lamp. Podniosła swoją płaską, gadzią głowę na długiej, cienkiej szyi. Spoczywała na niej lekko złota korona Wężowej Królowej, poniżej zaś znajdowały się zmartwiałe, obojętne oczy.

Spojrzała na nich przelotnie, kiedy wchodzili, po czym odwróciła się, aby przyjrzeć się swemu odbiciu w lustrze.

- Nie przypominam sobie, że bym cię wzywała, Sarissie - powiedziała suchym szeptem.

- Wybacz mi, Wieczna Salmissro - eunuch korzył się na posadzce przed jej tronem. - Zmuszono mnie, że bym przyprowadził tych obcych przed twoje oblicze. Grozili, że mnie zabiją, gdybym odmówił.

- A więc powinieneś być umrzeć, Sarissie - szepnął wąż. - Wiesz, że nie lubię, kiedy mi się przeszkadza.

- Królowa jest niezadowolona - zamruczała połowa klęczących eunuchów.

- Ach - odpowiedziała druga połowa z pewną złośliwą satysfakcją.

Salmisra przekręciła nieco głowę, żeby spojrzeć na Issusa.

- Chyba cię znam - powiedziała. Jednooki mężczyzna skłonił się.

- Jestem Issus, wasza wysokość - odpowiedział. - Zabójca.

- Nie życzę sobie, żeby mi w tej chwili przeszkadzano - oświadczyła królowa beznamiętnym szeptem. - Jeśli to oznacza, że zabijesz Sarissa, to proszę, zrób to w korytarzu.

- Nie będziemy przeszkadzać ci zbyt długo, Salmisro - powiedziała Polgara, zsuwając kaptur i odsłaniając twarz.

Wąż powoli odwrócił głowę, rozwidlony język drgał w powietrzu.

- Ach, Polgara - syknęła, nie okazując zdziwienia. - Dużo czasu minęło od twojej ostatniej wizyty.

- Parę lat - zgodziła się Polgara.

- Nie liczę już lat. - Martwy wzrok Salmisry spoczął na Garionie. - I Belgarion - dodała. - Widzę, że nie jesteś już dzieckiem.

- Nie - odrzekł, z trudem powstrzymując się, by nie zadrzeć mimowolnie.

- Podejdz bliżej - szepnęła. - Kiedyś uważałeś, że jestem piękna i pragnąłeś mojego pocałunku. Czy chcesz mnie teraz pocałować?

Garion poczuł nagle pragnienie, by jej usłyszeć i stwierdził, że nie mógł oderwać swych oczu od jej. Nie będąc nawet tego świadom, zrobił krok w kierunku podwyższenia.

- Wybraniec zbliża się do tronu - zamruczeli eunuchowie.

- Garion! - rzekła ostro ciocia Pol.

- Nie skrzywdzę go, Polgaro. Nigdy nie chciałam go skrzywdzić.

- Mam do ciebie kilka pytań, Salmisro - powiedziała chłodno czarodziejka. - Kiedy na nie odpowiesz, zostawimy cię z twoimi rozrywkami.

- Jakich pytań, Polgaro? Cóż ja mogłabym wiedzieć, czego twoje czary nie wykryją?

- Spotkałaś się ostatnio z Mallorealaninem o imieniu Naradas - mówiła ciocia Pol. - Człowiekiem o bezbarwnych oczach.

- Czy tak brzmi jego imię? Sariss mi tego nie powiedział.

- Zawarłaś z nim umowę.

- Naprawdę?

- Na jego polecenie wysłałaś dyplomatów do Sendarii. Był wśród nich cudzoziemiec zwany Zandramas. Twoi urzędnicy mieli udzielić mu pomocy w dotarciu do Halberg na zachodnim brzegu Cherek. Przygotowałaś też dla niego okręt przy Wyspie Wiatrów, który miał przywieźć Zandramasa z powrotem do Nyissy.

- Nie wydałam takich rozkazów. Zandramas mnie nie interesuje.

- To imię jest ci znane?

- Oczywiście. Mówiłam ci kiedyś, że nie tylko kapłani Angaraków i czarodzieje z Alorii potrafią poznać prawdę, która jest ukryta. Wiem o waszym desperackim pościgu za porwanym synem Belgariona.

- Lecz twierdzisz, że nie miałaś z tym nic wspólnego?

- Człowiek, którego nazywacie Naradasem, przybył do mnie z podarunkami - szepnęła Salmisra. - Lecz mówił tylko, że chce mojego pozwolenia na handlowanie tu w Nyissie.

- Więc jak wyjaśnisz to? - Polgara wyjęła spod płaszcza pergamin, który dał jej Sadi.

Królowa syknęła na jednego z klęczących eunuchów.

- Przynieś mi to - rozkazała.

Służący zerwał się, wziął pismo od Polgary i ukląkł na skraju podwyższenia, trzymając przed Salmisrą rozwinięty zwój.

- To nie jest rozkaz, który ja wydałam - rzekła królowa rzuciwszy nań przelotnie okiem. - Poleciłam dyplomatom udać się do Sendarii. I nic więcej. Twoja kopia nie jest ścisła, Polgaro.

- Czy masz tu gdzieś oryginał? - zapytał Garion.

- Sariss powinien go mieć.

Spojrzał na tarzającego się na posadzce przed królową grubego eunucha.

- Gdzie on jest?

Sariss wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym przeniósł przerażony wzrok na siedzącą na tronie królową.

Garion zastanowił się nad kilkoma rozwiązaniami, ale odrzucił większość z nich i wybrał najprostsze.

- Każ mu mówić, Issusie - rzekł krótko.

Jednooki mężczyzna wysunął się naprzód, stanął w rozkroku nad drżącym służącym i złapał mocno od tyłu jego podbródek. Pociągnął go do tyłu, aż Sariss wygiął się w łuk. Zakończony ząbkami sztylet zazgrzytał, kiedy zabójca wyciągał go z pochwy.

- Zaczekaj! - błagał eunuch zduszonym głosem. - Jest... jest w szufladzie w dolnej części szafy w mojej komnacie.

- Twoje metody są bezpośrednie, zabójco - zauważyła królowa.

- Jestem prostym człowiekiem, wasza wysokość - odrzekł Issus. - Nie znam się na żadnych subtelnościach i zawiłościach. Doszedłem do wniosku, że będąc bezpośrednim można zaoszczędzić czas.

Zwolnił uścisk i schował sztylet do pochwy. Spojrzał na Gariona.

- Czy mam iść po ten pergamin? - zapytał.

- Myślę, że będziemy go potrzebowali.

- Dobrze - Issus odwrócił się i wyszedł.

- Interesujący człowiek - zauważyła Salmissra. Pochyliła się i płaskim nosem pieścizotliwie dotknęła swych cętkowanych zwojów.

- Moje życie bardzo się zmieniło, odkąd byłaś tu ostatnio, Polgaro - szepnęła swym suchym głosem. - Nie poddaję się już dawnym żądom, zamiast tego spędzam dni drzemiąc niespokojnie. Usypiam się słodkim dźwiękiem ocierających się o siebie łusek. Kiedy śpię, przychodzą do mnie sny. Śnię o porośniętych mchem jaskiniach w gęstych, chłodnych lasach, śnię o czasach, kiedy byłam jeszcze kobietą. Lecz czasami we śnie jestem duchem bez ciała poszukującym prawd, które inni ukrywają. Wiem o strachu, który przepełnia twoje serce, Polgaro, i o rozpaczliwych staraniach, których podejmuje się Zandramas. Wiem nawet o straszliwym zadaniu, jakie ma do spełnienia Cyradis.

- Lecz wciąż twierdzisz, że nie jesteś związana z tą sprawą?

- Nie jestem nią zainteresowana. Wy i Zandramas możecie ścigać się po wszystkich królestwach świata, jest mi zupełnie obojętne, jak to się skończy.

Oczy Polgary zwęziły się, kiedy na nią patrzyła.

- Nie mam powodu, aby cię okłamywać, Polgaro - powiedziała Salmissra, zauważając w tym spojrzeniu podejrzliwość. - Cóż takiego Zandramas może mi zaoferować, by kupić moją pomoc? Wszystkie moje potrzeby są zaspokojone, a nie mam już więcej żadnych pragnień.

Podniosła głowę i wysunęła język.

- Cieszę się jednak, że wasze poszukiwania znowu przywiodły was do mnie, abym mogła jeszcze raz podziwiać doskonale piękno twojej twarzy.

Polgara uniosła podbródek.

- Korzystaj więc i patrz, Salmissro. Nie mam zbyt wiele cierpliwości dla zabaw węża.

- Z biegiem czasu stałaś się cięta jak osa, Polgaro. Bądźmy wobec siebie uprzejmie. Czy chcesz, żebym powiedziała ci, co wiem o Zandramas? Ona nie jest już tym, czym była kiedyś.

- Ona?! - wykrzyknął Garion.

- Nie wiedzieliście nawet tego? - syknął wąż złośliwie. - Wobec tego twoje czary to błaga. Czy nie czułaś, że wróg jest kobietą? I może nie wiesz także, że już ją spotkałaś?

- O czym ty mówisz, Salmissro?

- Biedna, kochana Polgara. Długie stulecia pokryły twój umysł pajęczyną. Czy naprawdę sądzisz, że na całym świecie tylko ty i Belgarath potraficie zmieniać postać? Smok, który odwiedził was w Arendii, wygląda zupełnie inaczej, kiedy powraca do swej naturalnej postaci.

Drzwi do sali tronowej otworzyły się i wszedł przez nie Issus, niosąc pergamin z czerwoną woskową pieczęcią u dołu.

- Przynieś mi to - poleciła Salmissra.

Issus spojrział na nią, a jego jedyne oko zwęziło się, kiedy mierzył odległość pomiędzy tronem węża a jego bezbronną skórą. Potem podszedł do leżącego twarzą do ziemi eunucha, który podał królowej dokument Polgary. Wciąż z tym samym wyrazem twarzy mocno kopnął służącego w żebra.

- Trzymaj - powiedział, wciskając mu do ręki pergamin. - Zanieś to jej wysokości.

- Czy obawiasz się mnie, Issusie? - zapytała nieco rozbawiona Salmissra.

- Nie godzien jestem zbliżyć się do ciebie, moja królowo. Wężowa Królowa pochylila głowę, aby przyjrzeć się zwojowi, który trzymał przed nią drżący eunuch.

- Jest tu jakaś rozbieżność - syknęła. - Ten dokument jest taki sam, jak ten, który mi pokazałaś, Polgaro, ale to nie jest dokument, na którym kazałam postawić moją pieczęć. Jak to możliwe?

- Czy mogę coś powiedzieć, królowo? - zapytał drżącym głosem eunuch, który trzymał w rękach pergamin.

- Oczywiście, Adissie - odpowiedziała prawie miłym głosem - możesz mówić, aż zorientujesz się, że twoje słowa mnie irytują, a wtedy odpłacę ci pocałunkiem, który przyniesie ci śmierć.

Wysunęła ku niemu język.

Eunuch zszarzał na twarzy i zaczął trząść się tak mocno, że niemal upadł.

- Mów, Adissie - szepnęła. - Rozkazuję ci otworzyć przede mną umysł. Potem zdecydujemy, czy będziesz żył, czy umrzesz. A teraz mów.

- Moja królowo - powiedział łamiącym się głosem. - Główny eunuch jest jedyną osobą w pałacu, która ma prawo dotknąć królewskiej pieczęci waszej wysokości. Jeśli ów dokument jest sfałszowany, czy nie u niego powinniśmy szukać wyjaśnienia?

Wężowa Królowa zastanawiała się nad tym, kołysząc się rytmicznie w przód i w tył i poruszając językiem. Wreszcie skończyła swój gadzi taniec i pochylila się powoli do przodu, aż jej język dotknął policzka przerażonego eunucha.

- Żyj, Adissie - zamruczała. - Twoje słowa nie zirytowały mnie, a więc mój pocałunek

przynosi ci dar życia.

Potem cofnęła swe cętkowane ciało i spojrzała uważnie na Sarissa.

- Czy możesz nam to jakoś wyjaśnić, Sarissie? Jak zauważył nasz błyskotliwy sługa Adiss, jesteś moim głównym eunuchem. Ty przystawiłeś tę pieczęć. W jaki sposób pojawiła się ta rozbieżność?

- Królowo... - otworzył szeroko usta, a jego śmiertelnie blada twarz zastygła w wyrazie krańcowego przerażenia.

Wciąż wstrząśnięty Adiss podniósł się nieco, jego oczy wypełniła nagła, szalona nadzieja. Wyciągnął rękę z pergaminem i zwrócił się do swych ubranych w karmazynowe stroje towarzyszy, którzy klęczeli z jednej strony podwyższenia.

- Patrzcie! - zawołał triumfalnie. - Patrzcie na dowód występku głównego eunucha!

Pozostali słudzy Salmissry spojrzeli najpierw na Adissa, a potem na skulonego na ziemi, przerażonego głównego eunucha. Skrycie przyglądali się także zagadkowemu wyrazowi twarzy swojej królowej.

- Ach - powiedzieli wreszcie zgodnym chórem.

- Ja wciąż czekam, Sarissie - szepnęła Wężowa Królowa. Lecz Sariss nagle zerwał się na nogi i rzucił w stronę drzwi z dzikim skowytem. Jednakże Issus był jeszcze szybszy. Niechlujny, jednooki zabójca popędził za nim ze sztyletem w jednej dłoni. Drugą ręką chwycił eunucha za kark i szarpnął go krótko. Podniósł do góry nóż i spojrzał pytająco na Salmissrę.

- Jeszcze nie, Issusie - zdecydowała. - Przyrowadź go do mnie.

Zabójca chrząknął i pociągnął walczącego wciąż Sarissa w stronę tronu. Eunuch wył i mamrotał coś, zatrwożony. Bezradnie bił nogami o posadzkę. - Wydobędę z ciebie odpowiedź, Sarissie - szepnęła Salmissra.

- Mów - rzekł stanowczo Issus, przystawiając czubek sztyletu do dolnej powieki eunucha. Nacisnął lekko i po policzku grubego człowieka popłynęła nagle strużka jasnoczerwonej krwi.

Sariss zawył:

- Błagam o przebaczenie, wasza wysokość - jęczał. - Mallooreanin Naradas zmusił mnie do tego.

- Jak to zrobiłeś? - dopytywała się nieprzejednana królowa.

- Przy... przystawiłem waszą pieczęć na samym dole strony, Przenajświętsza Salmissro - wyrzucił z siebie. - A potem, kiedy zostałem sam, dopisałem pozostałe rozkazy.

- Czy sporządziłeś jeszcze inne takie pisma? - zapytała go Polgara. - Czy ścigając

Zandramas napotkamy jakieś przeszkody i pułapki?

- Nie. Nic. Nie wydałem żadnych rozkazów, oprócz tego, by doprowadzono Zandramas do murgoskiej granicy i dostarczono jej odpowiednie mapy. Błagam, wasza wysokość, wybac mi.

- To absolutnie niemożliwe, Sarissie - syknęła. - Pragnęłam nie ingerować w spór pomiędzy Polgarą i Zandramas, lecz teraz jestem w to zaangażowana, ponieważ nadużyłeś mojego zaufania.

- Czy mam go zabić? - zapytał spokojnie najemnik.

- Nie, Issusie - odrzekła. - Sariss i ja pocałujemy się, co jest zwyczajem tego miejsca. Spojrzała na niego w szczególny sposób.

- Jesteś interesującym człowiekiem, zabójco - powiedziała. - Czy chciałbyś mi służyć? Jestem pewna, że znajdzie się u mnie stanowisko dla kogoś tak utalentowanego.

Eunuch Adiss nagle wziął głęboki oddech i zbladł.

- Ależ, wasza wysokość - zaprotestował wstając. - Twoi służący zawsze byli eunuchami, a ten człowiek... - nagle głos mu się załamał, gdyż zdał sobie sprawę ze swej zuchwałości.

Martwe oczy Salmissry przywarły do jego i znowu rozpląszczył się na ziemi.

- Rozczarowujesz mnie, Adissie - rzekła sucho. Zwróciła się do jednookiego zabójcy.

- No więc, Issusie - mówiła dalej. - Ktoś tak utalentowany jak ty szybko dostąpiłby zaszczytów, a procedura, jak mi mówiono, to drobiazg. Wkrótce wróciłbyś do zdrowia i rozpoczął służbę dla swojej królowej.

- Cóż, czuję się zaszczycony, wasza wysokość - odpowiedział ostrożnie - ale wolałbym raczej pozostać nienaruszony. W mojej profesji trzeba być twardym, więc wolałbym nie ryzykować ze zdrowiem.

- Rozumiem. - Przekręciła na chwilę głowę, aby spojrzeć na strwożonego Adissa, po czym zwróciła się znowu do zabójcy. - Lecz przysporzyłeś sobie dzisiaj wroga, który, jak sądzę, będzie kiedyś potężny.

Issus wzruszył ramionami.

- Miałem już wielu wrogów - odparł. - Kilku z nich nawet wciąż jeszcze żyje.

Rzucił struchlałemu eunuchowi harde spojrzenie.

- Jeśli Adiss chce dokończyć tę sprawę, możemy o tym porozmawiać któregoś dnia lub raczej pewnej nocy, kiedy nasze dyskusje nie będą nikomu przeszkadzać.

- Musimy już odejść - powiedziała Polgara. - Bardzo nam pomogłaś, Salmissro. Dziękuję ci.

- Nie zależy mi na twojej wdzięczności - odrzekła królowa. - Nie sądzę, żebym miała cię jeszcze zobaczyć, Polgaro. Myślę, że Zandramas jest potężniejsza od ciebie i że ona cię zniszczy.

- Czas pokaże.

- Tak. Żegnaj, Polgaro.

- Do widzenia, Salmissro. - Czarodziejka celowo odwróciła się plecami do podwyższenia. - Chodźmy, Garionie.

- Sarissie - powiedziała Salmissra niezwykle, śpiewnym głosem. - Podejdź do mnie.

Garion obejrzał się przez ramię i zobaczył, iż królowa uniosła się tak wysoko, że jej cętkowane ciało sięgało ponad podwyższenie i obity aksamitem tron. Kołysała się rytmicznie w przód i w tył. Jej martwe oczy rozbłysnęły przerażającą żądzą i płonęły kusząco pod pokrytymi łuską brwiami.

Sariss, z szeroko rozwartymi ustami i zastygłymi w przerażeniu świńskimi oczkami, z absolutnie pustym umysłem, zbliżył się do podwyższenia na sztywnych nogach.

- Chodź, Sarissie - nuciła Salmissra. - Pragnę objąć cię i pocałować.

Polgara, Issus i Garion doszli do rzeźbionych drzwi i wyszli cicho na korytarz. Przeszli zaledwie kilka jardów, kiedy z sali tronowej dobiegł ich nagły, mrozący krew w żyłach krzyk przerażenia, który przerodził się w zduszone bulgotanie.

- Myślę, że właśnie zwolniło się stanowisko głównego eunucha - zauważył sucho Issus.

Potem, kiedy szli dalej słabo oświetlonym korytarzem, zwrócił się do Polgary:

- A teraz, pani - powiedział, pomagając sobie przy wyliczaniu palcami. - Przede wszystkim należy mi się zapłata za dostarczenie pani i tego młodego człowieka do pałacu. Dalej - kwestia nakłonienia Sarissa, aby zaprowadził nas do tronowej, a potem...

CZEŚĆ DRUGA

Rak Urga

Rozdział IX

Świtało już prawie, kiedy potajemnie opuszczali dom Drobleka. Gęsta, szara mgła opadła na wąskie, kręte uliczki Sthiss Tor, gdy szli za Issusem przez ubogie dzielnice w pobliżu doków. W mglistej ciemności czuli mocny zapach rzeki oraz wyziewy otaczających ją mokradeł, które napępniały nozdrza Gariona fetorem rozkładu i stojących wód.

Wyszli z wąskiej uliczki, a Issus gestem nakazał im zatrzymać się i uważnie wpatrywać się w mgłę.

- Chodźmy - szepnął. - Starajcie się zachowywać jak najciszej.

Przemknęli przez alejkę pokrytą lśnącymi kocimi łbami. Niewiele światła rzucały na nią pochodnie, wokół których tworzyła się przyciemniona, czerwona poświata. Pogrążyli się w cieniu kolejnego zaśmieconego zaułka. Na jego końcu Garion zobaczył płynącą powoli, blado mającą we mgle rzekę.

Jednooki zabójca powiódł ich kolejną uliczką ku zaniedbanej przystani, która zarysowała się przed nimi w oparach mgły. Zatrzymał się przed walącą się chatą, która częściowo przechylała się nad wodę i pogrzebał chwilę przy drzwiach. Otworzył je powoli, tłumiąc zgrzyt protestu zardzewiałych zawiasów za pomocą kawałka szmaty.

- Do środka - rzucił i wszyscy weszli do pachnącej wilgocią chatki. - Na końcu tej przystani jest przywiązana łódź - powiedział do nich głosem bliskim szeptu. - Zaczekajcie, przyprowadzę ją.

Przeszedł do przedniej części domku i ze skrzypieniem zawiasów otworzył sekretne drzwi.

Czekali, słuchając z niepokojem szmerów i pisków szcurów, które pustoszyły tę część miasta. Garionowi wydawało się, że czas zatrzymał się w miejscu, kiedy trzymał straż przy drzwiach i przez szczelinę pomiędzy dwoma gnijącymi balami wyglądał na spowitą mgłą ulicę, która biegła wzdłuż rzeki.

- W porządku - odezwał się gdzieś we mgle Issus. - Uważajcie na drabinie. Szczelble mogą być śliskie.

Jedno po drugim zeszli do łodzi, którą podstawił pod chatkę Issus.

- Musimy zachować ciszę - ostrzegł ich. - Gdzieś na rzece jest jeszcze jedna łódź.

- Łódź? - zapytał z przestraszeniem Sadi. - Co tutaj robi? Issus wzruszył ramionami.

- Pewnie coś zabronionego.

Odepchnął szalupę od brzegu, by popłynęła w stronę cieni i zajął miejsce na środku.

Zaczął wiosłować, ostrożnie zanurzając wiosła w oleistą ciecz tak, że nie wydawały prawie żadnego odgłosu.

Smugi mgły podnosiły się znad rzeki, a nieliczne okna w wieżach Sthiss Tor, w których paliły się światła, wyglądały nierealnie, jakby były tylko urojeniami - maleńkimi, złotymi świecami widzianymi we śnie. Issus równomiernie zanurzał wiosła w wodę, dzięki czemu ich plusk był niemal niesłyszalny.

Wtem niedaleko przed nimi rozległ się stłumiony okrzyk, a po nim pluśnięcie i bulgotanie bąbelków wydobywających się na powierzchnię wody.

- Co to było? - syknął nerwowo Sadi, gdy Issus zatrzymał się, by nasłuchiwać.

- Nie ruszaj się - szepnął jednooki mężczyzna.

Gdzieś we mgle rozległ się dziwny dźwięk, jakby ktoś pływał łodzią w kółko, potem usłyszeli uderzenie niezgrabnie wyciąganego wiosła. Ktoś zaklął głośno chropawym głosem.

- Cicho bądź - odezwał się drugi głos.

- Bo co?

- Czy wszyscy w Sthiss Tor muszą wiedzieć, że tu jesteśmy?

- Za bardzo się przejmujesz. Kamień, który przywiązałem mu do kostek, przytrzyma go pod wodą przez dłuższy czas. - Skrzywienie belek rozplynęło się we mgle.

- Amatorzy - burknął drwiąco Issus.

- Może to zlecone zabójstwo? - zastanawiał się z zawodową ciekawością Silk. - A może prywatne porachunki?

- Co za różnica? - Issus zaczął znowu wiosłować zanurzając wiosła powoli w wodę. Za nimi Sthiss Tor zniknęło we mgle. Nie widać już było żadnych świateł i Garionowi zdawało się, że w ogóle się nie poruszają, że tkwią bez ruchu na powierzchni czarnej rzeki. Wreszcie z mgły zaczęły wynurzać się niewyraźne zarysy brzegu. Minęło jeszcze kilka minut i mógł już odróżnić wierzchołki drzew na tle bladych oparów.

Na brzegu rozległ się cichy gwizd i Issus ustawił łódź pod kątem, kierując się tym dźwiękiem.

- Garionie, czy to ty? - pośród cieni zabrzmiał szept Durnika.

-Tak.

Zabójca wpełznął ich szalupę pod zwisające gałęzie, a Durnik chwycił jej krawędź.

- Reszta czeka po drugiej stronie drogi - powiedział cicho, pomagając Polgarze stanąć na suchym lądzie.

- Bardzo nam pomogłeś, Issusie - rzekł Sadi do swego najmity.

Jednooki mężczyzna wzruszył ramionami.

- Czyż nie za to mi zapłaciłeś? Silk spojrział na niego.

- Jeśli zdecydujesz się przyjąć moją ofertę, porozmawiaj z Droblekiem.

- Zastanowię się nad tym - odparł Issus. Umilkł, a po chwili zwrócił się do Polgary. -

Życzę szczęścia, pani - powiedział cicho. - Czuję, że będzie pani potrzebne.

- Dziękuję, Issusie.

Zepchnął swą łódź we mgłę i zniknął w niej.

- O co chodziło? - zapytał Silka Sadi.

- Och, nic takiego. Wywiad Drasni zawsze potrzebuje dobrych ludzi, to wszystko.

Durnik przyglądał się z zainteresowaniem ogolonemu do samej skóry eunuchowi.

- Wyjaśnimy to, kiedy wrócimy do pozostałych, kochanie - zapewniła go Polgara.

- Tak, Pol - zgodził się. - Tędy.

Poprowadził ich przez nadbrzeżne zarośla do traktu wyłożonego tłuczniem, a potem przez gęste poszycie.

Ce'Nedra, Eriond, Toth i Velvet siedzieli w niewielkim zagłębieniu za omszałym pniem zwalonego drzewa. Jedyna, dobrze osłonięta latarnia dawała światło słabe, ale dostateczne.

- Garionie - wykrzyknęła z ulgą Ce'Nedra, zrywając się na nogi. - Co was zatrzymało tak długo?

- Musieliśmy zrobić małą wycieczkę - powiedział, biorąc ją w ramiona. Zanurzył twarz w jej włosach i stwierdził, że nadal miały ten sam ciepły, słodki zapach, który zawsze tak go rozrzewniał.

- No, dobrze - rzekł Belgarath, widząc, że noc zbliżała się do końca. - Chcę ruszać dalej, więc będę mówił krótko.

Usiadł na gąbczastym mchu obok latarni.

- To jest Sadi - wskazał na ogolonego eunucha. - Większość z was już go zna. Pójdzie z nami.

- Czy to rozsądne, Belgaracie? - zapytał z powątpiewaniem Durnik.

- Pewnie nie - przyznał starzec - ale to nie był mój pomysł. Zdaje się, że on czuje, iż Zandramas jest już w południowym Cthol Murgos i planuje przeciąć kontynent i dostać się na Wyspę Verkat od południowo-wschodniej strony.

- To w tej chwili bardzo niebezpieczna część świata, Przenajświętszy - mruknęła Velvet.

- Nie będziemy mieli żadnych kłopotów, pani - zapewnił ją Sadi swoim kontraktem. - Jeśli będziemy się podawać za handlarzy niewolników, nikt nie będzie nas zaczepiał.

- Tak uważasz? - powiedział Belgarath z nutą sceptycyzmu w głosie. - Mogło tak być, zanim wybuchła tu wojna, ale wciąż nie wiemy na pewno, co Malloreanie sądzą na temat handlu żywym towarem.

- Jest jeszcze coś, co wszyscy powinniście wiedzieć - dodała Polgara cichym głosem. - Garion i ja poszliśmy do pałacu, żeby dowiedzieć się, czy Salmissra była w to w jakiś sposób zaangażowana. Powiedziała nam, że Zandramas jest kobietą.

- Kobieta? - wykrzyknęła Ce'Nedra.

- Tak mówi królowa, a nie ma powodu, by nas okłamywać.

Durnik podrapał się w głowę.

- To trochę niespodziewane, prawda? Czy jesteś pewna, że Salmissra wiedziała, o czym mówi?

Skinęła głową.

- Była całkowicie pewna i bardzo zadowolona z tego, że wiedziała coś, o czym ja nie miałam pojęcia.

- To właściwie się zgadza - powiedziała w zamyśleniu Velvet. - Zandramas zrobiła większość rzeczy tak, jak zrobiłaby je kobieta.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał Durnik.

- Męczyzna postępuje na swój sposób, mój dobry człowieku. Kobieta zaś na swój. Fakt, że Zandramas jest kobietą, wyjaśnia bardzo wiele.

- Poza tym bardzo stara się ukryć ten fakt. Dopilnowała, aby nikt, kto ją widział, nie przeżył i nie mógł powiedzieć o tym innym.

- Możemy o tym porozmawiać później - rzekł Belgarath, po czym wstał i rozejrzał się. Mgła stawała się coraz jaśniejsza.

- Chcę się stąd wynieść, zanim po drugiej stronie rzeki pojawią się ludzie. Siodłajmy konie.

Musieli przepakować juki, aby zwolnić jednego konia dla Sadięgo, lecz wkrótce potem wyjechali z ukrycia i ruszyli dalej zarośniętym traktem, który wił się obok Rzeki Węża. Z początku jechali stępa, ale kiedy minęli przedmieścia Sthiss Tor, ukryte we mgle nad rzeką, porzucili ostrożność i przeszli w cwał, dudniąc kopytami po opustoszałej drodze, która rozciągała się pomiędzy wybujałą dżunglą a cuchnącymi moczarami na ziemiach wężowego ludu.

Kiedy weszło słońce, obdarzyło otaczającą ich mgłę tajemniczą poświatą, a krople rosy na liściach na poboczu lśniły jak klejnoty. Garion, zaspany i zmęczony po nieprzespanej nocy, patrzył zaskoczony na perły na zielonym listowiu, zdumiewając się tym, że coś tak

pięknego mogło istnieć w tych cuchnących mokradłach.

- Cały świat jest piękny, Belgarionie - zapewnił go Eriond w odpowiedzi na tę niewypowiedzianą myśl. - Trzeba tylko wiedzieć, jak na niego patrzeć.

Kiedy mgła rozplynęła się, mogli poruszać się znacznie szybciej. Tego dnia nie spotkali żadnych innych podróżnych. Gdy słońce zaczęło zanurzać się w ciężką, purpurową chmurę, która zdawała się ciągle wisieć nad zachodnią częścią horyzontu, oddalili się już znacznie od rzeki.

- Jak daleko jeszcze do murgoskiej granicy? - zapytał Sadiego Garion, kiedy we dwóch zbierali chrust na ognisko, a Durnik i Toth rozbijali na noc namioty.

- Jeszcze kilka dni - odpowiedział eunuch. - Bród jest niedaleko miejsca, gdzie łączą się wody rzek, a dalej trakt skręca w dół ku Aradze. Za brodem znajduje się wioska. Będę musiał tam się zatrzymać po kilka drobiazgów - odpowiednie ubrania i tak dalej.

W pobliżu Ce'Nedra i Velvet rozpakowywały naczynia Polgary i blondwłosa Drasanka podniosła wzrok na Sadiego.

- Przepraszam - powiedziała - ale wydaje mi się, że znalazłam usterkę w twoim planie.

- Och?

- Jak możemy udawać handlarzy niewolników, skoro są tu również kobiety?

- Ależ w każdej grupie handlarzy są kobiety, pani - odpowiedział, zrzucając naręczę chrustu obok miejsca na ognisko. - Jestem pewien, że jeśli się nad tym zastanowisz, zrozumiesz, dlaczego.

- Na pewno nie - oświadczyła Ce'Nedra. Sadi delikatnie zakasłał.

- Handlujemy zarówno mężczyznami, jak i kobietami, wasza wysokość - wyjaśnił. - A za kobiety, których strzegły kobiety, osiąga się lepszą cenę.

Rumieniec powoli pojawiał się na jej twarzy.

- To odrażające.

Sadi wzruszył ramionami.

- Nie ja stworzyłem świat, wasza wysokość - odparł. - Ja tylko próbuję na nim żyć.

Po jedzeniu Sadi wziął glinianą miskę, nalał do niej gorącej wody i zaczął mydlić swoją od kilku dni nie goloną czaszkę.

- Chciałem cię o coś zapytać, Sadi - odezwał się Silk siedzący po drugiej stronie ogniska. - Co dokładnie sprawiło, że Salmisra była z ciebie aż tak niezadowolona?

Eunuch spojrział na niego krzywo.

- Ci z nas, którzy służą królowej, są niezwykle skorumpowani, Kheldarze - odrzekł. - Wszyscy jesteśmy nikczemnikami, łotrami i jeszcze gorzej. Wiele lat temu Salmisra wydała

stosowne zarządzenia, aby nasze oszustwa i intrygi nie przekraczały pewnych granic, po prostu po to, żeby można było sprawować władzę nad państwem. Sprzeniewierzyłem się niektórym z nich, a właściwie większości. Sariss dowiedział się o tym i pospieszył donieść królowej. - Westchnął. - Bardzo chciałbym widzieć jego reakcję, kiedy ona go pocałowała.

Wziął do ręki brzytwę.

- Dlaczego wszyscy Nyissanie golą głowy? - zapytała go zaciekawiona Ce'Nedra.

- W Nyissie żyje całe mnóstwo małych, nieżnośnych owadów, wasza wysokość, a włosy są dla nich doskonałym schronieniem.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a jej ręka mimowolnie powędrowała ku miedzianym lokom.

- Nie przejmowałbym się tak - uśmiechnął się. - Zimą w większości śpią.

Kilka dni później około południa trakt, którym podążali, zaczął wznosić się ku dżungli porastającej podnóże gór. Wilgotny chłód, który nieustannie towarzyszył im w parujących mokradłach Nyissy złagodniał, a kiedy wjechali do większego lasu leżącego przy wschodniej granicy, zrobiło się już całkiem ciepło. Rzeka zaczęła przetaczać się przez leżące obok drogi kamienie, a jej mroczne wody stawały się coraz czystsze, w miarę jak zagłębiali się w górzysty teren.

- Bród jest tuż przed nami - Sadi powiedział im, kiedy wyjechali z zakrętu drogi. Niegdyś oba brzegi łączył tu kamienny most, ale czas i niespokojna woda podmyła go i cała konstrukcja runęła w koryto rzeki. Zielona toń zakryła kamienie, rzeka płynęła bystrym, spienionym nurtem. W górnym jej biegu znajdowało się wiele płycizn o żwirowym dnie, nad którymi powierzchnia marszczyła się i błyszczała w słońcu. Często uczęszczana ścieżka wiodła w stronę brodu.

- A co z pijawkami? - zapytał Silk, podejrzliwie przyglądając się wodzie.

- Prąd jest dla nich trochę za wartki, książę Kheldarze - odrzekł Sadi. - Ich ciała są zbyt delikatne, by mogły obijać się o kamienie.

Wjechał pewnie w wartki strumień i poprowadził ich na drugą stronę.

- Wioska, o której mówiłem, jest już niedaleko przed nami - oświadczył eunuch, kiedy stanęli na brzegu. - Mniej więcej za godzinę załatwię wszystko i wrócę.

- A my zaczekamy tutaj - rzekł Belgarath, zsuwając się z siodła. - Idź z nim, Silku.

- Poradzę sobie - zaprotestował Sadi.

- Zapewne. Nazwijmy to więc ostrożnością.

- Jak mam wyjaśnić sklepikarzowi, co robi ze mną Drasanin?

- Okłam go. Jestem pewien, że będziesz bardzo przekonujący.

Garion zsiadł z konia i podszedł do rzeki. Kochał tych ludzi najbardziej na świecie, ale czasami ich próżne paplanie mierzilo go. Choć wiedział, że nie chcieli niczego złego, wydawało mu się, że jest to dowód ich obojętnej, lekceważącej postawy, nieczułego braku szacunku wobec osobistej tragedii jego i - co więcej - Ce'Nedry. Stanął na wysokim brzegu i przyglądał się dostojnie toczącej swe wody rzece oraz gęstemu, zielonemu kobiercowi - dżungli wężowego ludu. Z radością opuściłby Nyissę. Nie chodziło o przylepiające się do wszystkiego błoto, cuchnące bagna, nawet nie o chmary owadów wiecznie bzyczących w powietrzu. Prawdziwym problemem w tej krainie było to, że rzadko dało się tu dojrzeć coś, dalej niż na kilka stóp. Z jakiegoś powodu Garion pragnął widzieć dalekie obszary, a drzewa i poszycie, które zasłaniały widoczność, odkąd przybyli do Nyissy, irytowały go coraz bardziej. Wiele razy złapał się na tym, że koncentrował swą Wolę, aby wyrąbać w dżungli szerokie, jasne szlaki.

Kiedy Silk i Sadi wrócili, na twarzy Drasanina malowała się złość.

- To tylko na pokaz, książę Kheldarze - tłumaczył łagodnie eunuch. - Tak naprawdę nie będziemy mieli żadnych niewolników, więc nikt tego nie będzie nosił, prawda?

- Sama myśl o tym mnie obraża.

- O co chodzi? - zapytał Belgarath. Sadi wzruszył ramionami.

- Kupiłem kajdany i dzwonki dla niewolników. Kheldarowi to się nie podoba.

- Nie zachwycają mnie też baty - dodał Silk.

- Wyjaśniałem ci to, Kheldarze.

- Wiem. Ale to i tak odrażające.

- Oczywiście. Nyissanie są odrażający. Myślałem, że wiesz o tym.

- Później możemy zająć się porównywaniem systemów etycznych - rzekł Belgarath. -

Ruszajmy dalej.

Trakt, którym jechali, wznosił się ostro, kiedy oddalali się od rzeki i prowadził coraz dalej w górzystą krainę. Wielkie drzewa ustąpiły mniejszym, poskręcanym zaroślom i niskim wrzosom. Pomiędzy ciemnozielonymi drzewami leżały w nieładzie wielkie, białe głazy. Niebo nad głowami podróżnych było niemal granatowe. Tej nocy obozowali w lasku małych, krzaczastych jałowców. Ognisko rozpalili przy białym otoczaku, aby jego powierzchnia odbijała zarówno światło, jak i ciepło. Nad nimi wznosiło się pasmo stromych gór, których postrzępione sylwetki rysowały się na tle rozgwieżdżonego nieba.

- Kiedy przekroczymy te góry, znajdziemy się w Cthol Murgos - powiedział Sadi, kiedy siedzieli po kolacji wokół ogniska. - Murgosi pilnie strzegą swoich granic, więc chyba czas już włożyć nasze przebrania.

Otworzył duże zawiniątko, które przyniósł z wioski i wyjął z niego kilka ciemnozielonych, srebrzonych ubrań. Spojrzał w zamyśleniu na Ce'Nedre i olbrzymiego Totha.

- Możemy mieć pewien problem - rzekł. - Sklepiarz nie miał zbyt wielu rozmiarów.

- Ja to załatwię, Sadi - oświadczyła Polgara i wzięła od niego zwinięte stroje, po czym otworzyła jeden z pakunków, szukając swoich przyborów do szycia.

Belgarath zagłębił się w studiowaniu wielkiej mapy.

- Jest tu coś, co mnie niepokoi - powiedział, zwracając się do Sadiego. - Czy jest możliwe, że Zandramas wypłynęła na jakimś statku z któregoś z portów zachodniego wybrzeża i popłynęła na Verkat wokół południowego krańca kontynentu?

Eunuch potrząsnął głową, a jego ogolona czaszka zaśniła w pomarańczowym świetle.

- To niemożliwe, Przedwieczny. Kilka lat temu flota malloreańska wdarła się do Murgos, a król Urgit do tej pory miewa koszmary z Malloreanami w roli głównej. Zamknął wszystkie porty na zachodnim wybrzeżu, jego okręty patrolują wody aż po przylądek półwyspu Urga. Nikt tamtędy nie przepłynie bez jego specjalnego zezwolenia.

- Jak daleko jest do Verkat? - zapytał Durnik. Sadi spojrzał na gwiazdy.

- O tej porze roku trzy albo cztery miesiące drogi, mój dobry człowieku.

Polgara nuciała sobie cicho pod nosem, a jej igła błyskała w świetle ogniska.

- Podejdź tu, Ce'Nedro - powiedziała.

Mała królowa wstała i zbliżyła się do niej. Polgara przyłożyła do jej ciała zieloną tunikę, sprawdzając, czy będzie pasowała i skinęła z zadowoleniem. Ce'Nedra odwróciła z niesmakiem głowę.

- Czy to zawsze musi tak śmierdzieć? - zapytała Sadiego.

- Chyba nie musi, ale z jakiegoś powodu zawsze śmierdzi. Niewolnicy mają pewien swoisty zapach i zdaje się, że on przechodzi na innych.

Polgara przyglądała się Tothowi, trzymając w rękach kolejny strój.

- To może być nieco trudniejsze zadanie - stwierdziła cicho.

Olbrzym uśmiechnął się do niej krótko, niemal nieśmiało, i wstał, aby dołożyć drewna do ognia. Gdy grzebał drągiem wśród węgla, słup migających, czerwonych iskier wzbił się ku gwiazdom wiszącym nisko na niebie. Jakby w odpowiedzi gdzieś u podnóża gór rozległ się głęboki, dudniący ryk.

- Co to? - zawołała Ce'Nedra.

- Lew - Sadi wzruszył ramionami. - Czasami polują przy szlaku niewolniczym, w każdym razie stare i niedołążne sztuki.

- Dlaczego to robią?

- Zdarza się, że niewolnicy są zbyt chorzy i słabi, by iść dalej i trzeba ich zostawić.

Stary lew nie schwyta czegoś, co jest zbyt zwinne i... - zawiesił głos.

Patrzyła na niego z przerażeniem.

- Przecież pytałaś, wasza wysokość - przypomniał jej. - Szczerze mówiąc, mnie też się to nie podoba. To jeden z powodów, dla których rzuciłem handel niewolnikami i zająłem się polityką.

Wstał i wygładził swoje ubranie.

- A teraz wybaczcie mi, moi drodzy, ale muszę nakarmić Zith. Proszę, uważajcie, kiedy będziecie kłaść się dzisiaj spać. Czasami ucieka, kiedy jest najedzona. Myślę, że bawi ją ukrywanie się przede mną, a nigdy nie wiadomo, gdzie ona się pokaże.

Odszedł ku miejscu, gdzie rozłożył swoje koce. Silk patrzył za nim, po czym odwrócił się z powrotem do ogniska.

- Nie wiem, jak wy - oświadczył - ale ja mam zamiar spać dziś tutaj.

Następnego dnia po śniadaniu przywdziali cuchnące stroje handlarzy żywym towarem. Na polecenie Belgaratha Garion znowu nałożył pokrowiec na rękojeść miecza.

- Lepiej trzymajmy Klejnot w ukryciu, dopóki jesteśmy w Cthol Murgos - rzekł starzec. - Trochę się podnieca, kiedy w pobliżu są Angarakowie.

Dosiedli koni i ruszyli starożytnym traktem biegnącym wąwozem ku postrzępionemu szczytowi góry. Kiedy wyjechali z zakrętu, Polgara nagle ściągnęła wierzchowcowi cugle i ostro syknęła.

- O co chodzi, Pol? - zapytał Durnik.

Nie odpowiedziała od razu, lecz zbladła na twarzy. Oczy jej rozbłysnęły, a białe łoki nad brwiami zapłonęły.

- Co się stało, ciociu Pol? - zapytał Garion.

- Spójrzcie tam - rzekła, wskazując drżącą ręką. Nieopodal drogi na skalistym podłożu leżały porzucane białe kości; pośród nich widniała ludzka czaszka z pustymi oczodołami.

- Czy to jeden z niewolników, o których mówił wczoraj Sadi - zastanawiał się Silk.

Polgara potrząsnęła głową.

- Według umowy zawartej przez Sarissa i Naradasa, kilkunastu ludzi miało eskortować Zandramas do murgoskiej granicy - przypomniała im. - Kiedy tu dotarła, już ich nie potrzebowała.

Twarz Silka przybrała zawzięty wyraz.

- To zdaje się leżeć w jej naturze. Kiedy tylko przestaje kogoś potrzebować, zabija go.

- Nie zabiła ich tak po prostu - spojrzała z obrzydzeniem. - Połamała im nogi i zostawiła lwom. Cały dzień czekali na zapadnięcie zmroku, a potem przyszły lwy.

Ce'Nedra stała się blada jak ściana.

- To potworne!

- Czy jesteś tego pewna, Pol? - zapytał Durnik. Twarz miał zmienioną.

- Pewne rzeczy są tak straszne, że zostawiają ślady nawet na skałach.

Ponury Belgarath przyglądał się obgryzionym kościom.

- Nie pierwszy raz zrobiła coś takiego. Nie wystarczy jej, że zabija ludzi, aby ukryć swój ślad. Musi być okrutna.

- To potwór - oświadczyła Ce'Nedra. - Ona żywi się śmiercią i cierpieniem.

- Chodzi o coś więcej - odrzekł Belgarath. - Myślę, że ona chce zostawić nam wiadomość. - Wskazał głową na rozrzucone kości. - To nie było przecież konieczne. Według mnie ona próbuje nas odstraszyć.

- Nie uda się jej - powiedział Garion bardzo cichym głosem. - Wszystko, co robi, będzie jej policzone razem. Kiedy czas wreszcie nadejdzie, aby zapłaciła za swoje czyny, wtedy przekona się, że jej brzemię jest cięższe, niż zdoła unieść.

Na szczycie góry trakt nagle urwał się, znacząc w ten sposób niewidzialną granicę pomiędzy Nyissą i Cthol Murgos. Widzieli stamtąd bezkresną równinę pokrytą czarnymi skałami i szerokie na wiele mil koryta wypełnione ciemnobrązowym, migoczącym w palącym słońcu żwirem.

- Którędy pojechała Zandramas? - Durnik zapytał Gariona.

- Skreśliła na północ - odpowiedział Belgarion, czując, że Klejnot ciągnie go w nowym kierunku.

- Zyskalibyśmy na czasie, gdybyśmy pojechali tędy na skróty, prawda?

- To absolutnie wykluczone, mój dobry Durniku - oświadczył Sadi. - To Wielka Pustynia Argów, a raczej nie chcielibyśmy, żeby nas przy nich znaleźli.

- Czy Dagashowie tu żyją? - zapytał Durnik, osłaniając oczy dłonią, aby spojrzeć na rozgrzane w słońcu pustkowie.

- Tylko oni są w stanie tu wytrzymać - odparł eunuch. - Może dlatego budzą taką grozę. Będziemy musieli jechać na południe wzdłuż tego grzbietu przez jakieś trzysta mil, żeby ominąć tę pustynię. Potem skreścimy na południowy wschód przez Morcth i pojedziemy dalej do Wielkiej Puszczy Gorut na południu.

Belgarath skinął głową.

- Ruszajmy więc.

Pojechali na południe, omijając zachodni skraj Pustyni Araga i podróżując cały czas wśród gór, które przechylały się pod ostrym kątem ku pustkowiu. Garion zauważył, że drzewa po tej stronie zbocza były karłowate i rosły dużo rzadziej. Na skalistym podłożu nie było już trawy, a wrzosa ustąpiły lichym, ciernistym krzewom. Grań okazała się być linią oddzielającą dwa zupełnie odmienne klimaty. Po zachodniej stronie panowało przyjemne ciepło, a po wschodniej zrobiło się nieznośnie gorąco. Nie płynęły tu żadne potoki, a strumyczki, które napotkali, były tak małe, że sączyły się żałośnie ku ciepławym kałużom, ukrytym pomiędzy rdzawymi głazami.

O poranku trzeciego dnia po opuszczeniu Nyissy Toth owinął się w koc, przepasał, wziął swój kij i poszedł w stronę wyjścia wąwozu, w którym spędzili noc, aby rzucić okiem na leżącą poniżej pustynię. Słońce jeszcze nie wstało, a światło jutrzeńki miało stalową barwę i spływało na wszystkie skały i turnie nękanego słońcem pustkowia. Po chwili olbrzym wrócił i dotknął ramienia Durnika.

- O co chodzi, Toth? - zapytał kowal. Milczący Toth wskazał na ujście wąwozu.

- No, dobrze - powiedział Durnik, podnosząc się i porzucając rozpalanie ogniska. Poszli obaj w głąb wąwozu w bladym świetle poranka. Zatrzymali się i zaczęli rozglądać. Po jakimś czasie Durnik zawołał przez ramię:

- Belgaracie, powinieneś to zobaczyć.

Stary czarodziej skończył wciąganie zniszczonych butów i podszedł do swoich przyjaciół, a poły zielonego płaszcza powiewały mu wokół kostek. Chwilę wpatrywał się w milczeniu, po czym zaklął cicho.

- Mamy problem - stwierdził, nie odwracając się. Problem ten ukazał się w całej pełni, kiedy cała drużyna stanęła u wejścia do jaru. W pewnej odległości na pustyni ogromna chmura kurzu wisiała bez ruchu w powietrzu.

- Jak myślicie, ilu ludzi mogło wzbąć taki tuman kurzu? - zapytał cicho Garion.

- Przynajmniej kilkuset - odpowiedział mu Silk.

- Murgowie?

- Nie, o ile nie zmienili swoich zwyczajów - burknęła Velvet. - Ci ludzie są ubrani na czerwono.

Silk wciąż wpatrywał się w wiszącą przed nimi chmurę.

- Masz dobre oczy - rzekł wreszcie.

- To jedna z zalet młodości - odpowiedziała słodkim głosem. Rzucił na nią spojrzenie pełne irytacji.

- Myślałem, że to ziemie Murgów - zdziwił się Durnik.

- To prawda - odparł Sadi - ale Malloreanie często wysyłają tu swoje patrole. Od wielu lat Zakath próbuje znaleźć sposób, by zająć Urgita od tyłu.

- Jak oni znajdują tu wodę?

- Na pewną wzięli ją ze sobą.

Toth odwrócił się ku południowej ścianie wąwozu i zaczął wspinać się po stromym, skalistym zboczu, strącając za sobą kawałki brązowego żwiru.

- Czy sądzisz, że zdołamy im umknąć? - Silk zapytał Belgaratha.

- To chyba nie byłby najlepszy pomysł. Lepiej zostańmy tu, aż sobie pójdą.

Toth zagwizdał cicho ze szczytu skarpy, na którą właśnie się wdrapał.

- Zobacz, czego on chce, Durniku - powiedział Belgarath. Kowal skinął i ruszył za swoim towarzyszem.

- Czy oni mogą nas tu znaleźć? - zapytała zduszonym głosem Ce'Nedra.

- To mało prawdopodobne - odparł Sadi. - Wątpię, aby marnowali czas na przeszukiwanie każdego wąwozu i żlebu w tych górach.

Belgarath zmrużył oczy, wpatrując się w chmurę.

- Jadą na południowy wschód - zauważył. - Jeśli posiedzimy tu spokojnie dzień czy dwa, ominą nas.

- Nie lubię tracić czasu - powiedział strapiony Garion.

- Ja też, ale nie sądzę, żebyśmy mieli jakiś wybór. Durnik wrócił, ślizgając się po zboczu.

- Przed nami jest jeszcze jedna grupa ludzi - poinformował ich głosem pełnym napięcia. - Według mnie to Murgowie.

Belgarath zaklął siarczyście.

- Nie mam zamiaru znaleźć się w środku ich potyczki - powiedział. - Idź tam i miej na wszystko oko - polecił Silkowi. - Lepiej unikajmy niespodzianek.

Silk zaczął wspinać się stromym zboczem wąwozu. Wiedziony nagłym impulsem Garion ruszył za nim.

Kiedy dotarli na szczyt, ukryli się za ciernistym krzewem.

Gorąca kula słońca wychynęła zza leżącej na wschodzie pustyni, a kiedy przesłoniła ją chmura wzbijana przez zbliżających się jeźdźców, przybrała złowieszczo czerwoną barwę. Sylwetki ludzi, zarówno konnych Mallorean, jak i ukrytych Murgów, z tej odległości były maleńkie niczym żołnierzyki rozstawione na makiecie.

- O ile można to stąd ocenić, ich siły wydają się wyrównane - zauważył Silk, spoglądając na dwie grupy zbrojnych.

Garion zastanowił się nad tym.

- Jednak Murgowie będą mieli przewagę. Są wyżej i mogą wykorzystać element zaskoczenia.

Drasanin uśmiechnął się.

- Stajesz się niezłym taktykiem. Garion nic nie odpowiedział.

- Sadi miał rację - mówił dalej Silk. - Malloreanie mają ze sobą wodę.

Wskazał na ponad dwadzieścia wozów, które kształtem przypominały ogórki. Były one załadowane beczkami i ciągnęły się w tyle przecinającej pustynię kolumny.

Malloreanie dotarli do pierwszego z płytkich wąwozów wcinających się w góry, po czym zatrzymali się, a ich zwiadowcy rozsypali się szerokim łukiem, aby zbadać skalisty teren. Nie minęło wiele czasu, gdy niektórzy z nich zaczęli krzyczeć, że wykryli Murgów.

- To bez sensu - powiedział Garion. - Nawet nie próbowali nie dać się odnaleźć.

- Murgowie nie słyną z inteligencji - odparł Silk.

Kiedy ubrani w czerwień Malloreanie zwarli szyki i przygotowywali się do natarcia, Murgowie wyszli z ukrycia i zasypali swych wrogów gradem strzał, lecz już po kilku seriach zaczęli się wycofywać.

- Dlaczego się cofają? - zapytał z niesmakiem Garion. - Jaki jest sens zastawiania pułapki i opuszczania jej zaraz na początku walki?

- Nikt nie jest aż tak głupi - burknął Silk. - Szykują coś innego.

Oddający pole Murgowie nie przestawali strzelać do przeciwnika z łuków i wyścielać wąwozy pokosem ubranych na czerwono trupów, a Malloreanie uparcie nacierali. Obserwatorzy znowu stwierdzili, że walczący wyglądali jak ołowiane żołnierzyki. Gdyby Garion widział rzeź z bliska, odwróciłby się od tego widoku z niesmakiem, natomiast teraz przyglądał się z zainteresowaniem.

Gdy już większość Mallorean wdarła się do wąwozów i żlebów, na wrzynającej się w pustynię skalistej grani pojawiła się wywijająca toporami kawaleria Murgów.

- A więc o to chodziło - rzekł Belgarion. - Pozwolili Malloreanom szarżować, żeby potem zaatakować ich od tyłu.

- Nie wydaje mi się - nie zgodził się z nim Silk. - Według mnie zależy im na zapasach.

Przestrzeń między przeciwnikami zmniejszała się w oczach, aż w końcu Murgowie wdarli się z boków w głąb słabo strzeżonej kolumny z zapasami. Wznosili topory i rozbijali nimi beczki z wodą. Po każdym uderzeniu woda tryskała i wsiąkała w wypaloną na słońcu ziemię. Przysłonięte tumanem wzbijanego przez walczących kurzu purpurowe promienie słońca padały na tryskające strumienie, które natychmiast parowały. Z punktu

obserwacyjnego, w którym znajdował się Garion, wydawało się, że tryskająca z pękniętych baryłek ciecz to nie woda, a krew.

Malloreanie wydali okrzyk rozpacz i powstrzymali swoje natarcie. Czerwone sylwetki zaczęły rozpaczliwy odwrót, aby uratować cenne zapasy wody. Ale było już za późno. Brutalni i skuteczni Murgowie zdążyli otworzyć wszystkie beczki. Wracali teraz tą samą drogą z okrzykami triumfu i drwiny na ustach.

Ci Murgowie, którzy udawali, iż się wycofują, aby wciągnąć przeciwnika w pułapkę, pobiegli z powrotem po zboczu i zajęli swe poprzednie pozycje. Ukryci wysoko nad rozproszonymi Malloreanami, wysyłali ku nim chmury strzał, które zataczały szeroki łuk na tle porannego nieba i spadały na najeźdźców. Pod tym śmiercionośnym gradem wojownicy starali się ocalić resztki wody, które znaleźli jeszcze na dnie rozbitych baryłek, lecz straty, zadawane przez strzały, wkrótce zmusiły ich do porzucenia zapasów i bezładnej ucieczki na pustynię.

- To okrutny sposób prowadzenia wojen - powiedział Silk.

- A więc bitwa jest już chyba zakończona, prawda? - rzekł Garion, kiedy ubrani na czarno Murgowie weszli do wozów, aby dobić rannych.

- Och, tak - odpowiedział Silk, a w jego głosie słychać było odrazę. - Walka skończona. Ale nie umieranie.

- Może tym, którzy przeżyli, uda się zbiec przez pustynię.

- Nie mają szans.

- No, dobrze - powiedział szczupły mężczyzna w czarnym stroju, wychodząc zza skały z naciągniętym łukiem w dłoniach. - Skoro zobaczyliście już wszystko, to może wrócimy do waszego obozu i przyłączymy się do pozostałych?

Rozdział X

Silk podniósł się powoli, trzymając dłonie tak, by Garion mógł je cały czas widzieć.

- Bardzo cicho chodzisz, przyjacielu - zauważył.

- Nauczono mnie tego - odpowiedział mężczyzna z łukiem. - Ruszajcie. Wasi przyjaciele czekają.

Silk spojrział na Gariona ostrzegawczo.

- Idźmy z nim, aż zorientujemy się w sytuacji - przestrzegły jego palce. - Jestem pewien, że nie jest sam.

Skręcili i ześliznęli się w dół po zboczu aż na dno wąwozu. Obcy szedł tuż za nimi, jego łuk był gotowy do użycia. Na końcu żlebu, gdzie poprzedniego wieczoru rozbili namioty, dwudziestu ubranych na czarno i uzbrojonych w łuki mężczyzn pilnowało pozostałych przyjaciół. Wszyscy napastnicy mieli blizny na policzkach i skośne murgoskie oczy, ale różnili się co do pewnych szczegółów. Murgowie, których Garion widział dotychczas, byli potężnie zbudowani, w ich postawie wyrażały się upór i arogancja. Ci byli bardziej smukli, a ich zachowanie było jednocześnie pełne czujności i szczególnego rozprężenia.

- Widzisz, dostojny Tajaku - mówił Sadi służalczym tonem do szczupłego mężczyzny, który wydawał się być ich dowódcą. - Jest dokładnie tak, jak ci mówiłem. Miałem jeszcze tylko tych dwóch pomocników.

- Wiemy, ilu was jest, handlarzu - odpowiedział tamten chrapliwym głosem. - Obserwowaliśmy was, odkąd weszliście do Cthol Murgos.

- Nie próbowaliśmy się ukryć - zaprotestował łagodnie Sadi. - Schowaliśmy się tutaj tylko po to, by uniknąć wplątania się w nieprzyjemności tam na skraju pustyni. - Przerwał. Ciekawe jednak, dlaczego szlachetni Dagashowie mieliby zajmować się grupą nyissańskich handlarzy niewolników. Z pewnością nie przechodzimy tędy pierwsi.

Tajak nie odpowiedział na to, lecz przyglądał się uważnie Garionowi i jego przyjaciołom.

- Jak się nazywasz, handlarzu? - zapytał wreszcie Sadięgo.

- Jestem Ussa z Sthiss Tor, mój dobry panie, zgodnie z prawem zarejestrowany handlarz niewolników. Mam wszystkie dokumenty, jeśli zechcesz je obejrzeć.

- Dlaczego żaden z twoich pomocników nie jest Nyissaninem?

Sadi niewinnie rozłożył ręce.

- Wojna tutaj sprawia, że większość moich ziomków niechętnie zaryzykowałaby wyprawę do Cthol Murgos - wyjaśnił. - Dlatego musiałem wynająć obcych.

- Może - powiedział beznamiętnym głosem Dagashi. Spojrzał przenikliwie na Sadięgo. - Czy interesują cię pieniądze, Usso z Sthiss Tor? - zapytał nieoczekiwanie.

Martwe oczy eunucha rozjaśniły się, z entuzjazmem zatarł dłonie.

- No cóż - rzekł - może porozmawiamy o tym? W jaki sposób mógłbym wam służyć? I ile chcielibyście mi zapłacić?

- Będziesz musiał omówić to z moim przełożonym - odparł Tajak. - Mnie rozkazano znaleźć grupę handlarzy niewolników i powiedzieć im, że mogą skontaktować ich z kimś, kto zadba, aby otrzymali dobrą zapłatę za niewielką przysługę. Czy interesuje cię taka propozycja?

Sadi wahał się, spoglądając ukradkiem na Belgaratha w oczekiwaniu jakichś wskazówek.

- No wiec? - zapytał niecierpliwie Tajak. - Jesteś tym zainteresowany?

- Oczywiście - odpowiedział ostrożnie eunuch. - Kim jest twój przełożony, Tajaku? Kim jest ten dobroczyńca, który chce uczynić mnie bogatym?

- Powie ci, kim jest i co masz dla niego zrobić, kiedy się z nim spotkasz, w Kahshy.

- W Kahshy? - wykrzyknął Sadi. - Nie powiedziałeś, że będę musiał tam pojechać.

- Wielu rzeczy nie powiedziałem. No więc? Czy zgadzasz się iść z nami do Kahshy?

- Czy mam jakiś wybór?

- Nie.

Sadi rozłożył bezradnie ramiona.

- Co to jest Kahsha? - palce Gariona zapytały Silka.

- Główna siedziba Dagashów. Cieszy się nie najlepszą reputacją.

- No, dobra - powiedział zdecydowanie Tajak. - Zniszczmy te namioty i ruszajmy. Do Kahshy jeszcze wiele godzin drogi, a popołudnie nie jest najlepszą porą do podróżowania po pustyni.

Słońce było już wysoko, kiedy wyjechali z wąwozu. Dagashowie Tajaka otoczyli ich kordonem. W dali na pustyni pokonani Malloreatanie rozpoczęli swą beznadziejną podróż.

- Czy nie będą próbowali użyć waszych studni, szlachetny Tajaku? - zapytał Sadi.

- Być może, ale nie uda im się ich znaleźć. Ukryliśmy je pod stosami kamieni, a wszystkie takie stosy na pustkowiu wyglądają tak samo.

U podnóża gór stały oddziały Murgów i przyglądały się ucieczce Malloreatan. Kiedy Tajak zbliżył się do nich, uczynił ręką władczy gest i żołnierze, mrużąc z niezadowoleniem,

odsunęli się na bok.

Gdy wyjechali na przełęcz łączącą się z pustynią, Garion skorzystał ze sposobności i zrównał się z Belgarathem.

- Dziadku - szepnął z przejęciem - co powinniśmy zrobić?

- Zaczekamy i zobaczymy, o co w tym wszystkim chodzi - odrzekł starzec. - Nie róbmy niczego, co mogłoby nas zdradzić. Przynajmniej na razie.

Kiedy jechali przez rozpalone piaski pustyni, Sadi obejrzał się na murgoskich żołnierzy stojących w szeregu na szczytach ostatniego widocznego łańcucha gór.

- Twoi ziomkowie idą nam bardzo na rękę - powiedział do Tajaka. - Dziwię się jednak, że nie zatrzymali nas, by zadać parę pytań.

- Wiedzą, kim jesteśmy - rzekł krótko Tajak - i że lepiej nam nie przeszkadzać.

Spojrzał na już spoconego eunucha.

- Byłoby rozsądnie, gdybyś przestał mówić, Usso. Na tej pustyni słońce bardzo szybko wyciąga wilgoć z ciała, a najpierw atakuje otwarte usta. Można się tutaj zagadać na śmierć.

Sadi spojrzał na niego ze zdziwieniem i mocno zacisnął wargi.

Żar palił niewiarygodny. Prawie cała pustynia była rozległym, płaskim terenem, pokrytym czerwonawobrazowym żwirem. Tylko gdzieniegdzie pojawiały się ciemne otoczaki i rozrzucone tu i ówdzie plamy lśniącego, białego piasku. Słońce niczym kij uderzało w kark i głowę Gariona; pocił się obficie, lecz mimo to jego ubranie było całkowicie suche, gdyż wilgoć błyskawicznie wyparowywała z ciała.

Jechali przez te spiekotę przez godzinę, gdy wreszcie Tajak dał sygnał, by się zatrzymali. Jednym krótkim gestem wysłał pięciu swoich ludzi za niską krawędź skał leżących na północnym wschodzie. W chwilę później wrócili, niosąc ciepłą wodę w torbach uszytych z koziej skóry.

- Najpierw napójcie konie - rozkazał zwięźle Tajak. Następnie podszedł do skał, pochylił się i zaczerpnął czegoś, co wyglądało na biały piasek i wrócił z nim.

- Wyciągnijcie prawe dłonie - powiedział i wysypał mniej więcej po łyżeczce proszku w każdą wyciągniętą rękę. - Zjedzcie to - polecił.

Sadi ostrożnie polizał białą substancję, którą trzymał w garści, i natychmiast splunął.

- Na Issę! - zaklął. - To sól!

- Zjedzcie to wszystko - powiedział Tajak. - Jeśli tego nie zrobicie, umrzecie.

Sadi wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

- Słońce wypala sól z ciała. Bez soli we krwi umrzecie.

Z ociąganiem, wszyscy zjedli sól. Kiedy skończyli, Dagashowie pozwolili im napić się nieco wody; potem znowu dosiedli koni i wjechali w piekło.

Ce'Nedra zaczęła słabnąć w siodle jak zwiędły kwiat. Zdawało się, że upał ją zniszczy. Garion zbliżył się do niej.

- Dobrze się czujesz? - zapytał spierzchniętymi wargami.

- Nie rozmawiać! - warknął Dagashi.

Mała królowa uniosła głowę i uśmiechnęła się słabo do Gariona; pojechali dalej.

W tym straszliwym miejscu czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, nawet myśleć było niepodobna. Garion jechał w milczeniu, głowę miał pochyloną, jakby kulił się przed uderzeniami promieni słońca. Gdy upłynęło wiele godzin albo lat - unióśł głowę i zmrużonymi oczyma przyglądał się skapanemu w nieznośnym blasku otoczeniu. Patrzył tępo przed siebie; powoli docierało do niego, że to, co widział, było czymś po prostu niemożliwym. W powietrzu przed nim wyłamała się ogromna, czarna wyspa, która na przekór zdrowemu rozsądkowi zdawała się pływać ponad lśniącym, zalanym słonecznym światłem żwirem.

Jakie czary mogły dokonać czegoś takiego? Jak ktoś mógł mieć taką moc?

Lecz nie były to czary. Kiedy zbliżyli się, fale gorąca zaczęły się kurczyć, rozpraszając miraż i odkrywając przed nimi fakt, iż to, co widzieli, nie było wyspą zawieszoną w powietrzu. Zamiast tego z ziemi wystrzelał pojedynczy skalny szczyt. Otaczała go wąska ścieżka, wryta w twardej skale i wznosząca się spiralą ku górze.

- To Kahsha - oświadczył krótko Tajak. - Zsiądźcie z koni i poprowadźcie je dalej.

Ścieżka była bardzo wąska. Kiedy po raz drugi obeszli górę, spalona słońcem równina była już daleko w dole. Pięli się coraz wyżej, wciąż okrążając rozgrzany szczyt. A potem trop poprowadził ich wprost do wnętrza góry poprzez ogromne, kwadratowe wejście.

- Znowu jaskinie? - zapytał gorzko Silk. - Dlaczego wiecznie jaskinie?

Garion zaś wkroczył tam bez ociągania. Z przyjemnością wszedłby do grobowca, żeby tylko uciec przed nieznośnym słońcem.

- Wprowadźcie konie - Tajak polecił kilku swoim ludziom - i od razu się nimi zajmijcie. Pozostali pójda ze mną.

Wprowadził ich do długiego, wydrążonego w skale korytarza. Garion szedł po omacku, aż jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Choć z pewnością nie było tu zimno, powietrze w przejściu było nieskończenie chłodniejsze niż na zewnątrz. Wziął głęboki wdech, wyprostował się i rozejrzył wokół. Nie ulegało wątpliwości, że wydrążenie tego korytarza kosztowało wiele ciężkiej, fizycznej pracy.

Sadi, który również to zauważył, spojrział na ponurego mężczyznę kroczącego obok niego.

- Nie wiedziałem, że Dagashowie są tak świetnymi kamieniarzami - zauważył.

- Nie jesteśmy. Korytarz wydrążyli niewolnicy.

- Nie wiedziałem, że Dagashowie mają niewolników.

- Nie mamy. Kiedy nasza twierdza została ukończona, wypuściliśmy ich na wolność.

- Tutaj? - głos Sadiego wyrażał osłupienie.

- Większość z nich wołała zeskoczyć ze skały. Korytarz skończył się nagle pieczarą tak obszerną, jak niektóre z jaskiń, które Garion widział na ziemi Ulgosów. Jednakże tutaj przez wąskie okienka wysoko w ścianach wpadało do środka światło. Kiedy spojrział do góry, zrozumiał, że nie była to naturalna grotka, lecz raczej ogromne wydrążenie, przykryte dachem z kamiennych płyt, ze sklepieniem i podporami. Dno pieczary zajmowało miasteczko niskich, kamiennych domków. W centralnym punkcie wznosiła się ponura, kanciasta twierdza.

- Dom Jaharba - rzekł krótko ich przewodnik. - On czeka. Musimy się pośpieszyć.

Silk syknął ostro i zamarł.

- O co chodzi? - szepnął Garion.

- Będziemy musieli być tutaj bardzo ostrożni - mruknął Silk. - Jaharb jest najważniejszym ze starszych Dagashów i cieszy się potworną reputacją.

Wszystkie domy Dagashów miały płaskie dachy i wąskie okna. Garion zauważył, że na ulicach nie było widać krzątaczki charakterystycznej dla miast na Zachodzie. Ubrani na czarno, smętni Dagashowie szli załatwiać swoje sprawy, a każdy mężczyzna, który poruszał się po tym dziwnym, na wpół tylko oświetlonym mieście, zdawał się być otoczony próżnią, okryciem, którego nie mógł przekroczyć nikt z jego towarzyszy.

Twierdza Jaharba była solidną budowlą z potężnych bazaltowych bloków, a uzbrojenie strażników stojących u ciężkich wrót, budziło grozę. Tajak zamienił z nimi kilka słów i wrota otworzyły się.

Komnata, do której zaprowadził ich Dagashi, była obszerna i oświetlona kosztownymi lampami naftowymi, które zwisały na łańcuchach z sufitu. Całe umeblowanie stanowiły stopy żółtych poduszek porozrzucanych po całej podłodze i rząd solidnych, okutych żelazem skrzyń ustawionych wzdłuż tylnej ściany. Na środku jednej ze stert poduszek siedział starzec o białych włosach i ciemnej, nieprawdopodobnie pomarszczonej twarzy. Miał na sobie żółtą szatę i jadł właśnie winogrona, ostrożnie wybierając je i wkładając do ust, kiedy weszli Garion i jego przyjaciele.

- Nyissańscy handlarze niewolników, Czciogodny - ogłosił Tajak głosem wyrażającym

największy szacunek.

Jaharb odstawił na bok miseczkę z owocami i pochylił się, opierając łokcie na kolanach i przyglądając im się wnikliwie swoimi zamglonymi, uważnymi oczami. W tym spokojnym spojrzeniu było coś, co przejmowało chłodem.

- Jak się nazywasz? - zapytał wreszcie Sadiego. Głos miał tak zimny, jak oczy, bardzo cichy i oschły.

- Jestem Ussa, Czcigodny - odpowiedział eunuch z głębokim ukłonem.

- Tak? Co robisz na ziemiach Murgów? - starzec mówił powoli, przeciągając słowa prawie tak, jakby śpiewał.

- Handluję niewolnikami, Czcigodny - odrzekł szybko Sadi.

- Kupno czy sprzedaż?

- Trochę tego, trochę tamtego. Obecne zamieszanie daje pewne możliwości.

- Nie wątpię. A więc przybyłeś tu dla zysku?

- Dla rozsądnego dochodu jedynie, Czcigodny.

Wyraz twarzy starca nie zmienił się, lecz jego oczy wwierciły się w twarz nagle pocącego się eunucha.

- Wydajesz mi się niepoczyszony - oschły głos odezwał się śpiewnie. - Dlaczego?

- Upał, Czcigodny - odpowiedział nerwowo Sadi. - Twoja pustynia jest bardzo gorąca.

- Może. - Zamglone oczy wciąż wpatrywały się w niego bezlitośnie. - Czy zamierzasz wkroczyć na ziemie kontrolowane przez Mallolean?

- No cóż, tak - odrzekł eunuch. - Szczerze mówiąc, tak. Mówiono mi, że wielu niewolników skorzystało z zamieszania, które towarzyszyło inwazjom Mallolean i ukryło się w Puszczy Gorut. Z łatwością można ich schwytać, a pola i winnice Rak Hagga i Cthan leżą odłogiem, gdyż brak tam niewolników do pracy. W takiej sytuacji można liczyć na pewien dochód.

- Niewiele będziesz miał czasu na ściganie zbiegłych niewolników, Ussu. Musisz być w Rak Hagga przed upływem dwóch miesięcy.

- Ale...

Jaharb uniósł dłoń.

- Pojedziecie stąd do Rak Urga, gdzie ktoś na was czeka. Dołączy tam do was mój sługa. Nazywa się Kabach, znajdziecie go w Świątyni Toraka. Opiekuje się nim Agachak, grolimski Hierarcha tego miejsca. Agachak i król Urgit wsadzą ciebie i twoich pomocników na statek, którym popłyniecie wokół południowego krańca półwyspu Urga do Rak Cthaka. Stamtąd pójdziecie łądem do Rak Hagga. Czy zrozumiałeś wszystko, co powiedziałem?

- Absolutnie wszystko, Czcigodny Jaharbie, a co mam robić w Rak Hagga?

- Kiedy tam dotrzecie, Kabach opuści was i wasze zadanie będzie wykonane. Wy macie tylko ukryć go pośród siebie na czas podróży do Rak Hagga. Mała rzecz, a wasza nagroda będzie wielka.

- Statkiem będę tam o wiele miesięcy szybciej niż konno, Czcigodny, lecz czy nie będę miał problemów z wyjaśnieniem Malloreanom, co robię w Rak Hagga bez niewolników?

- Kupisz ich w Cthaka lub Gorut. Malloreanie nie będą mieli powodów, by was zatrzymywać i zadawać pytania.

- Proszę o wybaczenie, Czcigodny - powiedział Sadi, kaszląc z zakłopotaniem - ale moja sakiewka jest mało zasobna. Dlatego planowałem schwycić zbiegłych niewolników; to tylko tyle wysiłku, ile wymaga schwytanie ich.

Jaharb nie odpowiedział, a jego przenikliwe spojrzenie wciąż spoczywało na eunuchu, spokojnie i obojętnie. Po chwili spojrzał na Tajaka.

- Otwórz tę skrzynię na końcu - powiedział.

Tajak natychmiast go usłuchał. Kiedy podniósł wieko, Garion usłyszał mimowolne westchnienie Ce'Nedry. Skrzynia wypełniona była po brzegi jasnoczerwonymi złotymi monetami.

- Weź, ile potrzebujesz, Usso - powiedział obojętnym tonem Jaharb. Potem w jego oczach pojawiła się iskra rozbawienia. - Ale nie więcej niż zmieścisz w dwóch dłoniach.

Sadi wpatrywał się w wypełnioną złotem skrzynię, oczy pały mu z chciwości, a twarz i ogolona czaszka pokryły się obficie. Spojrzał na czerwone złoto, a potem na swoje dosyć delikatne dłonie. Nagle na jego twarzy pojawił się nieskrywany błysk przebiegłości.

- Złoto jest ciężkie, Najczcigodniejszy Jaharbie, a moje ręce są słabe po niedawnej chorobie. Czy jeden z moich służących nie mógłby wziąć za mnie twej nad wyraz hojnej zapłaty?

- To rozsądna prośba, Usso - odrzekł Jaharb z wyraźnym już rozbawieniem. - Ale pamiętaj: nie więcej, niż zdoła unieść w obu dłoniach.

- Oczywiście - powiedział Sadi. - Z pewnością nie chciałbym, żebyś mnie zbytnio wynagrodził.

Odwrócił się.

- Hej, ty - rzekł do Totha. - Podejdź do skrzyni i weź dwie garści monet i uważaj, żebyś nie wziął więcej.

Niewzruszony Toth zbliżył się do kufra i zgarnął mniej więcej pół wiadra złotych

monet w swoje ogromne ręce.

Jaharb długo patrzył na nerwowo pocącego się eunucha, jego pomarszczona twarz nie wyrażała niczego. Potem zupełnie nieoczekiwanie odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się suchym głosem.

- Wybornie, Usso - zawołał cicho. - Masz przytomny umysł. Lubię tę cechę u tych, którzy u mnie służą. Być może będziesz żyć tak długo, by móc wydać część tego złota, które właśnie tak sprytnie nabyłeś.

- To był tylko pokaz mojej inteligencji, Czcigodny - odpowiedział szybko Sadi. - Chciałem udowodnić, że nie pomyliłeś się, wybierając mnie. Każę mu je zwrócić, jeśli sobie tego życzysz, przynajmniej część.

- Nie, Usso. Zatrzymaj je wszystkie. Myślę, że zasłużysz sobie na każdą z tych monet, zanim dotrzesz do Rak Hagga.

- Jestem zaszczycony mogąc służyć Dagashom. Gdyby nawet nie okazałby się Wasza Czcigodność tak hojny, i tak stałbym się bogaty zyskując waszą przyjaźń.

Zawahał się, spoglądając szybko na Belgaratha.

- Powiadają, o Czcigodny, że Dagashowie wiedzą o wielu sprawach.

- W tej części świata niewiele tajemnic się przed nami ukryje.

- Czy mógłbym ośmielić się i zadać pytanie? To drobna rzecz, ale dla mnie dosyć ważna.

- Możesz pytać, Usso. Kiedy usłyszę pytanie, zdecyduję, czy udzielić na nie odpowiedzi.

- W Tol Honeth mam wyjątkowo bogatego klienta - powiedział Sadi. - Jego pasją są rzadkie księgi i zapłaciłby mi fortunę za kopię Proroctw Grolimów z Rak Cthol. Czy wiesz może, Czcigodny, gdzie mógłbym znaleźć taką księgę?

Jaharb zmarszczył się lekko i potarł dłonią pomarszczony policzek.

- Dagashowie nie bardzo interesują się księgami - rzekł. - Tom, którego szukasz, z pewnością znajdował się w bibliotece Ctuchika w Rak Cthol, ale na pewno przepadł, kiedy Czarodziej Belgarath zniszczył to miasto.

Zastanawiał się nad tym jeszcze przez chwilę.

- Możesz jednak zapytać Agachaka, gdy dotrzesz do Rak Urgi. Biblioteka przy Świątyni jest bardzo zasobna; ponieważ Proroctwa łączą się z religią, Agachak z pewnością będzie miał kopię, jeśli jeszcze jakaś istnieje.

- Jestem niezmiernie wdzięczny za informację, Czcigodny - powiedział Sadi, znowu się kłaniając.

Jaharb wyprostował się.

- A teraz ty i twoi służący potrzebujecie odpoczynku. Jutro o brzasku wyruszą do Rak Urga.

Odwrócił się z powrotem do swej miseczki z owocami.

Pomieszczenie, do którego ich zaprowadzono, było dosyć duże. Kamienne mury pobielono, aby wzmocnić blade światło, które okrywało miasto zabójców, zaś umeblowane było w stopniu najwyżej dostatecznym: stał tam jedynie niski kamienny stół i leżały sterty poduszek.

Jak tylko Tajak opuścił ich, Garion zdjął zielone ubranie handlarza niewolników.

- Dziadku - zapytał - co zrobimy? Nie możemy jechać do Rak Urga. Jeśli w ogóle mamy schwytać Zandramas, musimy jak najszybciej dostać się na Verkat.

Starzec rozłożył się wygodnie na poduszkach.

- Szczerze mówiąc, Garionie, nie mogło nam się bardziej poszczęścić. Kiedy dostaniemy się na statek, który trzymają dla nas Agachak i Urgit, będziemy mogli popłynąć prosto na Verkat. W ten sposób zaoszczędzimy wiele miesięcy uciążliwej podróży.

- Ale czy Dagashowie... ten Kabach, który czeka w Rak Urga... czy nie sprzeciwi się, kiedy nie wylądujemy tam, gdzie polecił nam Jaharb?

Sadi otworzył zatrząsk swojej skórzanej skrzynki.

- Bądź spokojny, Belgarionie. - Wyjął małą fiolkę zawierającą gęsty, niebieski płyn i pokazał ją pozostałym. - Dwie krople tego w jego jedzeniu sprawią, że będzie tak szczęśliwy, iż nie będzie go obchodziło, dokąd płyniemy.

- Zmyślny z ciebie człowiek, Sadi - powiedział Belgarath. - Skąd wiedziałeś, że szukam Proroctw Zachodnich Grolimów?

Sadi wzruszył ramionami.

- To nie było trudne do przewidzenia, Przedwieczny. Część umowy pomiędzy Sarissem i Zandramas dotyczyła spalenia jedynej istniejącej kopii tej księgi, która znajdowała się w bibliotece pałacowej w Sthiss Tor. Jeśli Zandramas chciała ją zniszczyć, to z pewnością nie chciała, żeby ta księga trafiła w wasze ręce.

- Zaczynam zmieniać co do ciebie zdanie, Sadi. Wciąż nie do końca ci ufam, ale rzeczywiście możesz być użyteczny, jeśli się już czymś zajmiesz.

- Dziękuję, Przedwieczny Belgaracie. - Eunuch wyjął małą butelkę ziemistego koloru.

- Czy masz zamiar karmić węża? - zapytał Silk.

- Zgłodniała już, Kheldarze.

- W takim razie zaczekam na zewnątrz.

- Powiedz mi, książę Khełdarze - rzekła z ciekawością Velvet - co jest przyczyną tej twojej dziwnej niechęci wobec gadów?

- Większość normalnych ludzi nie lubi węży.

- Och, one nie są takie złe.

- Czy usiłujesz ze mnie drwić?

Jej brązowe oczy rozszerzyły się, wyrażając przesadzoną niewinność.

- Czyż mogłabym coś takiego zrobić? Wyszedł na korytarz, mrużąc do siebie.

Velvet roześmiała się i przyłączyła do Ce'Nedry leżącej na stercie poduszek przy oknie. Garion zauważył, że zbliżyły się do siebie w ciągu tygodni, które minęły, odkąd wyruszyli z Tol Honeth. Ponieważ Polgara zawsze była tak bardzo samowystarczalna, nie w pełni zdawał sobie sprawę z tkwiącego głęboko w kobietach pragnienia towarzystwa innych niewiast. Kiedy Sadi karmił swojego małego, zielonego węża, siedziały obok siebie na poduszkach i wyczesywały z włosów kurz z podróży.

- Dlaczego tak mu dokuczasz, Liselle? - zapytała Ce'Nedra, przesuwając szczotką po swych płomiennych lokach.

- Odplacam mu się - odpowiedziała Velvet z szelmowskim uśmiechem. - Kiedy byłam małą dziewczynką, on dokuczał mi bez przerwy. Teraz moja kolej.

- Wydaje się, że zawsze wiesz, co powiedzieć, żeby jak najbardziej go obrazić.

- Bardzo dobrze go znam, Ce'Nedro. Obserwuję go już od wielu lat. Znam wszystkie jego słabości i dokładnie wiem, gdzie są jego najczulsze punkty. - Oczy blondynki złagodniały. - Wiesz, w Drasni jest legendą. W Akademii całe seminaria są poświęcone jego czynom. Wszyscy usiłujemy go naśladować, ale nikt z nas nie ma takich zdolności.

Ce'Nedra przestała się czesać i obdarzyła przyjaciółkę drugim, pytającym spojrzeniem.

- Tak? - zapytała Velvet, patrząc na nią.

- Nie, nic - powiedziała mała królowa i wróciła do czesania się.

Noc na pustyni była zaskakująco zimna. Powietrze było w takim stopniu pozbawione wilgotności, że każdego dnia upał wyparowywał niemal w chwili, gdy słońce znikło za horyzontem. Kiedy w stalowym blasku rozpoczynającego się dnia wyruszyli z Kahshy, Garion stwierdził, że drży. Lecz jeszcze przed południem palące słońce znowu zamieniło jałowe pustkowia w piekło. Tuż przed dwunastą dotarli do stóp gór, ciągnących się wzdłuż zachodniego skraju pustyni i zaczęli wspinać się, oddalając od tej nieznośnej spiekoty.

- Kiedy dotrzemy do Rak Urga, mój dobry panie? - Sadi zapytał Tajaka, który znowu ich eskortował.

- Mniej więcej za tydzień.
- Odległości w tej części Cthol Urgos są bardzo duże, nieprawdaż?
- To bardzo rozległa kraina.
- I bardzo pusta.
- Tylko wtedy, jeśli się po niej nie rozgląda. Sadi spojrzał na niego pytająco.
- Na przykład na tym paśmie gór. - Tajak wskazał na postrzępioną linię skał na tle zachodniej części nieba, gdzie samotny Murgos siedział na koniu i obserwował ich.
- Jak długo on tam jest? - zapytał Sadi.
- Od godziny. Czy ty nigdy nie patrzysz do góry?
- W Nyissie zawsze obserwujemy ziemię. Wiesz, węże.
- To chyba wszystko wyjaśnia.
- Co on tam robi?
- Obserwuje nas. Król Urgit lubi mieć oko na obcych.
- Czy on może sprawiać nam jakieś kłopoty?
- Jesteśmy Dagashami, Nyissaninie. Inni Murgowie nie sprawiają nam kłopotów.
- Bardzo wygodnie jest mieć taką eskortę, mój dobry Tajaku.

Kraina, przez którą jechali w ciągu następnego tygodnia, była skalista i tylko gdzieniegdzie porośnięta ubogą roślinnością. Garion z trudem zaakceptował fakt, że tu, na południowych szerokościach, było już późne lato.

Zmiany pór roku następowały zawsze tak regularnie, że ani emocjonalnie, ani tak w głębi duszy nie mógł pogodzić się z myślą, że tu, na antypodach, sytuacja jest dokładnie odwrotna.

W pewnym momencie podczas jazdy na południe poczuł, że ukryty Klejnot, który znajdował się w rękojeści jego przewieszzonego przez plecy miecza, mocno ciągnie go w lewo. Podjechał do Belgaratha i poinformował go cicho:

- Zandramas skręciła tu na wschód. Starzec skinął głową.
- Nie znoszę gubienia tropu - rzekł Garion. - Jeśli Sadi myli się co do tego, gdzie ona się kieruje, odnalezienie jej śladów może nam znowu zająć wiele miesięcy.
- Wiele czasu zmarnowaliśmy z powodu członków kultu, Garionie - odparł czarodziej.
- Musimy to nadrobić, a to oznacza, że trzeba podjąć ryzyko.
- Chyba masz rację, dziadku, ale i tak nie podoba mi się to.
- Mnie też nie, ale nie sądzę, żebyśmy mieli jakiś wybór, prawda?

Znad Wielkiego Zachodniego Morza wiatr przygnał ku nim kilka nawałnic, kiedy jechali skalistym grzbietem półwyspu Urga. Był to wyraźny znak, że jesień zbliżała się

wielkimi krokami. Szkwwały były bardzo gwałtowne, lecz przyniosły tylko odrobinę deszczu i podróż trwała nadal bez przeszkód. Coraz częściej widzieli konne patrole Murgów, wałęsające się po szczytach gór. Sylwetki jeźdźców wyraźnie rysowały się na tle szarego nieba. Jednakże Murgowie roztropnie omijali Dagashów z daleka.

Pewnego wietrznego dnia, kiedy koło południa znad morza napłynęły ciężkie chmury, wjechali na szczyt wzgórza i spojrzeli w dół na ogromną połąć wody, otoczoną stromymi, skalistymi urwiskami.

- Zatoka Urga - oświadczył zwięźle Tajak, wskazując na ołowiane morze.

Półwysep wciskał się głęboko w tafłę wody skalistym cypłem, zasłaniając w ten sposób wejście do zatoki. W zagięciu, utworzonym przez ten cypel, ukrył się port znaczoney ciemnymi plamami cumujących w nim statków. Za portem wznosiło się sporych rozmiarów miasto.

- Czy to już tu? - zapytał Sadi. Tajak skinął głową.

- Rak Urga - powiedział.

Na wąskiej plaży czekał na nich prom unoszący się na falach, które napływały od strony otwartego morza. Była to szeroka barka, obsadzona dwoma tuzinami wycieńczonych niewolników. Nadzorował ich murgoski przewoźnik uzbrojony w długi bicz. Tajak i jego ludzie poprowadzili drużynę na pokryty żwirem brzeg, po czym odwrócili się bez słowa i odjechali.

Kanał, biegnący pomiędzy Wielkim Morzem Zachodnim a Zatoką Urga, nie był szeroki, lecz Garion wyraźnie widział niskie budynki z kamienia w Rak Urga, które przycupnęły pod osłoną mrocznego nieba na dalekim brzegu. Sadi zamienił kilka słów z Murgiem, kilka monet przeszło z ręki do ręki, po czym wprowadzili swoje konie na pokład. Murgo wykrzyknął chrapliwym głosem krótki rozkaz do swoich niewolników, wzmacniając go jeszcze trzaskiem bicza nad ich głowami. Zrozpaczeni niewolnicy odepchnęli barkę wiosłami od żwirowego brzegu, rzucając pełne bojaźni spojrzenia na swego pana o okrutnej twarzy i jego bat. Kiedy oddalili się już od nabrzeża, zajęli swoje miejsca i zaczęli wiosłować ciężko przez wąski kanał w kierunku miasta. Murgo chodził w tę i z powrotem wzdłuż pokładu z twarzą czujną i oczami skupionymi na niewolnikach, szukając najmniejszej oznaki tracenia sił. Raz, kiedy przebyli już połowę drogi, uniósł bicz najwyraźniej tylko dlatego, że miał ochotę go użyć.

- Wybacz mi, dostojny przewoźniku - powiedział Silk, stając przed nim - ale czy wiesz, że twoja łódź przecieka?

- Przecieka? - powtórzył ostrym głosem Murgo i opuścił bat. - Gdzie?

- Nie jestem pewien, ale na dole jest trochę wody. Murgo zawołał sternika na rufie i szybko podniósł drewnianą kratę, aby obaj mogli zajrzeć pod pokład.

- To zęza - powiedział z niesmakiem, gestem każąc sternikowi, by wrócił na swoje miejsce. - Czy ty w ogóle nie masz pojęcia o statkach?

- No, właściwie nie - przyznał Silk. - Zobaczyłem wodę i uznałem, że powinieneś o niej wiedzieć. Przepraszam, że cię niepokoiłem.

Odszedł od niego i przyłączył się do swoich towarzyszy.

- O co tam chodziło? - zapytał Belgarath.

- Durnik zaczął blednąć. - Silk wzruszył ramionami. - Nie chciałem, żeby zwyciężyło w nim poczucie sprawiedliwości.

Belgarath spojrzał na kowala.

- Nie będę stał z założonymi rękami, kiedy zaczyna chłostać tych biednych ludzi - oświadczył Durnik z kamienną twarzą. - W momencie, gdy podniesie bat, znajdzie się w wodzie.

- Rozumiecie, co miałem na myśli? - rzekł Drasanin. Belgarath wyglądał tak, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale Polgara stanęła przed nim.

- Daj mu spokój, ojciec - powiedziała. - On taki już jest i nie zamieniłabym go na innego za nic na świecie.

Port w Rak Urga był jeszcze bardziej zapełniony statkami, niż wydawało się z przeciwległego brzegu. Sternik barki ostrożnie odnajdywał drogę pomiędzy tymi zakotwiczonymi okrętami i kierował statek ku kamiennym nabrzeżom wrzynającym się w ołowianoszary kanał. Stało przy nich kilkanaście szerokich murgoskich statków, które uderzały w plecione odbijacze, kiedy rozładowywały je grupy niewolników.

Barka przycumowała przy jednym z krytych dachem nabrzeży. Konie ostrożnie wyprowadzono po pochyłej, kamiennej rampie, śliskiej od porastających ją wodorostów. Ce'Nedra spojrzała na zaśmieconą wodę i prychnęła pogardliwie.

- Dlaczego porty zawsze wyglądają i śmierdzą tak samo?

- Może dlatego, że ludzie, którzy w nich mieszkają, nie potrafią oprzeć się wodzie - odpowiedziała Velvet.

Ce'Nedra spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- To jest po prostu zbyt wygodne - wyjaśniła dziewczyna. - Jakoś zawsze zapominają, że śmieci, które wyrzucą rankiem, wrócą do nich wraz z popołudniowym przypływem.

Kiedy doszli do końca rampy, spotkali zadufanego w sobie Murga, który czekał na nich, a poły jego czarnego płaszcza powiewały na deszczu.

- Hej, wy tam - odezwał się gburowato. - Czego tu chcecie? Sadi wystąpił naprzód i uklonił się szarmancko.

- Jestem Ussa - odpowiedział - zarejestrowany handlarz niewolników z Sthiss Tor. Mam wszystkie potrzebne dokumenty.

- W Rak Urga nie ma rynku niewolników - rzekł podejrzliwie Murgo. - Pokaż mi swoje dokumenty.

- Oczywiście - Sadi zanurzył rękę w fałdy zielonego ubrania i wyjął paczkę zwiniętych pergaminów.

- Jeśli nie handlujesz niewolnikami, to co tutaj robisz? - zapytał strażnik, biorąc od niego zawiniątko.

- Po prostu oddaję przysługę mojemu przyjacielowi Jaharbowi, Najczcigodniejszemu Dagashów - odpowiedział mu eunuch.

Murgo przestał rozpakowywać paczkę.

- Jaharbowi? - zapytał odrobinę bojaźliwie. Sadi skinął głową.

- Ponieważ i tak miałem tędy przejeżdżać, poprosił mnie, bym tu wstąpił i przekazał wiadomość Agachakowi, Hierarchowi Rak Urga.

Strażnik głośno przełknął ślinę i wcisnął dokumenty w ręce Sadiemu, jakby nagle zawiniątko stało się straszliwie gorące.

- W takim razie ruszajcie - rzekł tylko.

- Dzięki ci, szlachetny panie - odpowiedział eunuch, ponownie się kłaniając. - Czy mógłbyś wskazać mi drogę do Świątyni Toraka? Pierwszy raz jestem w Rak Urga.

- Świątynia leży na końcu ulicy, która biegnie od tego nabrzeża.

- Jeszcze raz dziękuję. Jeśli podasz mi swoje imię, powiem Agachakowi, jaką okazałeś nam pomoc.

Twarz Murga przybrała kolor mąki.

- To nie będzie konieczne - powiedział szybko, po czym odwrócił się i odszedł.

- Imiona Jaharba i Agachaka mają tu pewien wpływ na ludzi - zauważył Silk.

Sadi uśmiechnął się.

- Chyba tak. Gdybyś wymienił je oba na raz, otworzyłyby się przed tobą każde drzwi w mieście - zgodził się z Drasaninem.

Rak Urga nie należało do najatrakcyjniejszych miast. Ulice były wąskie, domy zbudowane z grubo ciosanych, kwadratowych kamieni, przykryte szarymi, pochyłymi dachami, które wychodziły aż na ulice, przez co drogi zawsze znajdowały się w ponurym półmroku. Ale nie był to jedyny powód, dla którego miasto sprawiało tak przygnębiające

wrażenie. W powietrzu wyczuwało się chłód oraz brak zwykłych, ludzkich uczuć. Czuło się także nieustającą obawę. Po ulicach chodzili ubrani w czarne płaszcze Murgowie o ponurych twarzach. Ani nie rozmawiali ze sobą, ani nawet nie zauważali obecności swoich współziomków.

- Dlaczego ci ludzie są wobec siebie tak nieprzyjaźnie nastawieni? - zapytał Eriond Polgarę.

- To wynika z ich kultury - odpowiedziała mu. - Zanim Torak nakazał Murgom przybyć na ten kontynent, stanowili w Cthol Mishrak arystokrację. Są święcie przekonani, że Murgowie to najwyższa rasa we wszechświecie. A każdy z nich jest pewien, iż jest lepszy od wszystkich pozostałych. Dlatego nie bardzo mają o czym rozmawiać.

Nad miastem wisiał całun tłustego, czarnego dymu. Rozchodził się od niego nieznośny odór.

- Co to za potworny zapach? - zapytała, krzywiąc się Velvet.

- Nie sądzę, abyś naprawdę chciała wiedzieć - odpowiedział jej Silk z ponurym wyrazem twarzy.

- Czyżby oni wciąż...? - Garion nie dokończył pytania.

- Na to wygląda - odrzekł niski mężczyzna.

- Przecież Torak nie żyje. Jaki to ma sens?

- Grolimowie nigdy szczególnie nie przejmowali się tym, że to, co robią, nie ma sensu, Garionie - rzekł Belgarath. - Źródłem ich władzy zawsze był terror. Jeśli nie chcą jej stracić, muszą go wciąż wprowadzać.

Wyjechali z zakrętu i zobaczyli przed sobą ogromną, czarną budowlę. Z pochylego dachu wystawał wielki komin, z którego strzelał w niebo słup gęstego dymu. Nadciągający z portu wiatr przesuwiał go to w tę, to w drugą stronę.

- Czy to jest Świątynia? - zapytał Durnik.

- Tak - odrzekła Polgara. Wskazała na dwie pary masywnych, nabijanych gwoździami drzwi, które stanowiły jedyną przerwę w gładkiej i równej ścianie. Tuż nad nimi wisiała wypolerowana stalowa podobizna Toraka. Garion poczuł znany mu już chłód w sercu, kiedy spojrzał na zamyśloną twarz swego wroga. Nawet teraz, po tym wszystkim, co wydarzyło się w Mieście Nocy, widok ten napełniał go lękiem i bez zdziwienia stwierdził, że drży, kiedy zbliżał się do wejścia Świątyni okaleczonego Boga Angaraków.

Rozdział XI

Sadi ześliznął się z siodła, podszedł do okutych gwoździami drzwi i zastukał zardzewiałą, żelazną kołatką, a echo jej uderzeń pobrzmiwało we wnętrzu Świątyni.

- Kto przybywa do Domu Toraka? - dobiegł z wnętrza stłumiony głos.

- Przynoszę wieści od Jaharba, Najczcigodniejszego z Góry Kahsha, dla uszu Agachaka, Hierarchy Rak Urga.

Wewnątrz nastąpiła chwila ciszy, po czym jedne z drzwi otworzyły się ze zgrzytem i ostrożnie wyjrzał przez nie Grolim o twarzy poznaczonej bliznami po ospie.

- Nie jesteś Dagashem - powiedział oskarżycielsko do Sadiego.

- Nie, szczerze mówiąc, nie jestem. Jaharb i Agachak zawarli umowę, której jestem częścią.

- Nie słyszałem o takiej umowie.

Sadi spojrzał wymownie na skromny kaptur płaszcza Grolima, wyraźnie świadczący o tym, iż był to niski rangą kapłan.

- Wybacz mi, sługo Toraka - powiedział chłodno - ale czy wasz Hierarcha ma zwyczaj powierzać swe tajemnice odźwiernym?

Twarz Grolima pociemniała, gdy spojrzał na eunucha.

- Przykryj głowę, Nyissaninie - powiedział po chwili. - To święte miejsce.

- Oczywiście - Sadi naciągnął kaptur swej zielonej peleryny na ogoloną czaszkę. - Czy ktoś zajmie się naszymi końmi?

- Zaopiekujemy się nimi. Czy to są twoi służący? - kapłan spojrzał ponad ramieniem Sadiego na jego towarzyszy, którzy wciąż dosiadali swych wierzchowców na wyłożonej kocimi łbami ulicy.

- Tak, świątobliwy kapłanie.

- Każ im iść z nami. Zaprowadzę was do Chabat.

- Wybacz mi, kapłanie Boga-Smoka. Moja wiadomość jest przeznaczona dla Agachaka.

- Nikt nie może zobaczyć się z Agachakiem, jeśli najpierw nie spotka się z Chabat. Przyrowadź swoją służbę i chodźcie za mną.

Zsiedli z koni i weszli przez ponuro nastrojające drzwi do oświetlonego pochodniami korytarza. Odrażający odór palonych ciał, który szerzył się w mieście, tu był jeszcze intensywniejszy. Garion poczuł niepokój, kiedy szedł za Grolimem i Sadim zadymionym

hallem do Świątyni. Miejsce to cuchnęło odwiecznym złem. Kapłani o twarzach bez wyrazu, których mijali w korytarzu, patrzyli na nich z podejrzliwością i nieukrywaną złością.

Wówczas z wnętrza budynku doszedł ich pełen bólu wrzask, a potem potężny brzęk żelaza. Garion zadrzał, w pełni zdając sobie sprawę z tego, co oznaczały te dźwięki.

- Czy nadal odprawiany jest starożytny obrządek składania ofiary? - Sadi zapytał Grolima z pewnym zdziwieniem. - Sądziłem, że porzucono już tę praktykę, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.

- Nie wydarzyło się nic takiego, co kazałoby nam zrezygnować z naszego najświętszego obowiązku - odrzekł zimno kapłan. - Co godzinę ofiarujemy ludzkie serce Bogowi Torakowi.

- Ale Toraka już nie ma.

Grolim zatrzymał się, na jego twarzy malowała się złość.

- Nigdy więcej nie wymawiaj tych słów! - rzucił. - Obcy nie powinien wypowiadać takiego bluźnierstwa w murach Świątyni. Duch Toraka żyje i pewnego dnia odrodzi się, by władać światem. On sam będzie dzierżył nóż, kiedy jego wróg, Belgarion z Rivy, będzie wił się na ołtarzu.

- Cóż za budująca myśl - burknął Silk do Belgaratha. - Będziemy musieli przejść to wszystko od nowa.

- Zamknij się, Silku - odburknął czarodziej.

Izba, do której zaprowadził ich kapłan, była obszerna, słabo oświetlona kilkoma lampami naftowymi. Ściany ozdobione były draperiami, a w powietrzu rozchodził się zapach kadzidła. Szczupła postać w kapturze siedziała przy dużym stole. Przy jej łokciu stała świeca, a przed nią leżała ciężka, czarna księga. Garion poczuł w czaszce ostrzegawcze mrowienie, gdy dotarła do niego moc, emanującą od tej osoby. Spojrzał szybko na Polgarę, a ta skinęła posępnie głową.

- Wybacz mi, Przenajświętsza Chabat - powiedział Grolim nieco drżącym głosem, kiedy klękał u stołu. - Lecz prowadzę posłańca od Jaharba Zabójcy.

Postać przy stole podniosła głowę i Garion o mało nie zadrzał ze zdziwienia. Była to kobieta. Jej twarz jaśniała niezwykłym pięknem, lecz nie ono przyciągało jego uwagę. Na policzkach miała głębokie szramy, które biegnęły od skroni do podbródka. Ich rysunek był bardzo ozdobny, przedstawiał płomienie. Oczy miała ciemne, tlił się w nich dziwny żar, zaś pełne usta układały się w pogardliwy uśmiech. Ciemnopurpurowa linia biegła wzdłuż krawędzi jej czarnego kaptura.

- Tak? - powiedziała ostrym, drażniącym głosem. - Jak to się dzieje, że Dagashowie

powierzają teraz swoje tajemnice obcym?

- Nie... nie pomyślałem, by o to zapytać, Przenajświętsza Chabat - głos kapłana załamał się. - On mówi, że jest przyjacielem Jaharba.

- I zdecydowałeś, że nie należy zadawać mu więcej pytań? - jej charczący głos przeszedł w mrozący krew w żyłach szept, a oczy wwierały się w drżącego kapłana. Powoli przeniosła spojrzenie na Sadięgo.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Jestem Ussa z Sthiss Tor, Święta Kapłanko - odpowiedział. - Jaharb polecił mi stanąć przed waszym Hierarchą i przekazać mu wiadomość.

- Co to za wiadomość?

- Proszę mi wybaczyć, Święta Kapłanko, lecz powiedziano mi, że jest ona przeznaczona tylko dla uszu Agachaka.

- Ja jestem uszami Agachaka - powiedziała zatrwającą cichym głosem. - Nic nie dociera do jego uszu, czego wcześniej ja nie słyszałam.

Właśnie ton jej głosu sprawił, że Garion nagle doznał olśnienia. Mimo że ta okrutnie oszpecona kobieta w jakiś sposób osiągnęła wysoką pozycję w świątyni, wciąż była niepewna swej władzy. Ta niepewność była dla niej jak otwarta rana, każde zakwestionowanie jej potęgi powodowało nienawiść wobec tego, kto w nią zwątpił. Żarliwie pragnął, by Sadi zdał sobie sprawę z tego, jak była niebezpieczna.

- Ach - powiedział Sadi, nie tracąc zimnej krwi. - Nie w pełni pojmowałem panujące tu zwyczaje. Powiedziano mi, że Jaharb, Agachak i król Urgit mają powody, by chcieć bezpiecznie przetransportować Kabacha do Rak Hagga. Ja właśnie mam zapewnić ten transport.

Jej oczy zwęziły się podejrzliwie.

- To z pewnością nie wszystko - powiedziała.

- Obawiam się, że nie mam już nic do dodania, szlachetną kapłanko. Przypuszczam, że Agachak pojmie jej znaczenie.

- Jaharb nic więcej ci nie powiedział?

- Tylko to, że ten Kabach znajduje się tu, w świątyni, pod opieką Agachaka.

- Niemożliwe - prychnęła. - Wiedziałabym o tym. Agachak niczego przede mną nie ukrywa.

Sadi rozłożył ręce w pojednawczym geście.

- Mogę jedynie powtórzyć, co mówił mi Jaharb, Święta Kapłanko.

Ugryzła się w kostkę dłoni, w jej oczach nagle pojawiła się niepewność.

- Jeśli kłamiesz, Usso, albo próbujesz coś przede mną ukryć, wyrwę ci serce z piersi - zagroziła.

- To cała wiadomość, Święta Kapłanko. Czy mogę dostarczyć ją teraz Hierarchowi?

- Hierarcha jest teraz w Pałacu Drojim, służy radą Wielkiemu Królowi. Raczej nie powróci przed północą.

- Czy możemy więc ja i moja służba poczekać gdzieś na niego?

- Jeszcze z tobą nie skończyłam, Usso z Sthiss Tor. Co ten Kabach ma robić w Rak Hagga?

- Jaharb nie uważał, że powinienem o tym wiedzieć.

- Myślę, że kłamiesz, Usso - powiedziała, stukając nerwowo palcami po stole.

- Nie mam żadnego powodu, aby cię okłamywać, Przenajświętsza Chabat - zaprotestował.

- Agachak powiedziałby mi o tej sprawie. Nie ukrywa przede mną niczego.

- Może zapomniał. Może to nie takie ważne. Przyjrzała się teraz każdemu z osobna oczami ukrytymi pod ciemnymi brwiami. Odwróciła wzrok na wciąż drżącego Grolima.

- Powiedz mi - rzekła głosem niewiele silniejszym od szeptu - kto pozwolił temu tutaj stanąć przede mną z mieczem? - wskazała na Gariona.

Kapłan był najwyraźniej przerażony.

- Przebacz mi, Chabat - powiedział jękając się - nie... nie zauważyłem tego miecza.

- Nie zauważyłeś? Jak można nie zauważyć czegoś tak dużego, jak miecz? Czy możesz mi to wyjaśnić?

Grolim zaczął trząść się jeszcze gwałtowniej.

- Może ten miecz jest niewidzialny? A może moje bezpieczeństwo nic dla ciebie nie znaczy? - Jej oszpecona twarz stała się jeszcze bardziej okrutna. - A może pragniesz mojej zguby i miałeś nadzieję, że ten obcy zdecyduje się mnie zabić?

Twarc Grolima zbieiała jak płótno.

- Chyba powinnam powiedzieć o tym Agachakowi, kiedy wróci. Na pewno zechce porozmawiać z tobą o tym niewidzialnym mieczu. I to długo.

Drzwi do sali otworzyły się i ukazał się w nich wychudzony Grolim ubrany w czarny płaszcz. Kaptur z zieloną obwódką odrzucił do tyłu. Jego czarne włosy były wytłuszczone, zwisały mu na ramiona prostymi strąkami. Oczy pały jak u fanatyka, otaczała go woń długo nie mytego ciała.

- Nadchodzi pora, Chabat - oświadczył piskliwym głosem. Groźne oczy Chabat złągodniały, kiedy na niego spojrziała.

- Dziękuję ci, Sorchaku - odparła, opuszczając rzęsy z dziwną kokieteryjnością. Wstała, otworzyła szufladę w stole i wyjęła czarną, skórzaną skrzynkę. Uniosła jej wieko i z czułością wyjęła z niej długi, lśniący nóż. Potem spojrzała zimnym wzrokiem na grolimskiego kapłana, którego właśnie skarciła.

- Idę teraz do Świętego Przybytku, żeby odprawić obrządek składania ofiary - powiedziała do niego, mimowolnie sprawdzając ostrze ciężkiego noża. - Jeśli powiesz komuś choć słowo na temat tego, co tu się wydarzyło, ty sam umrzesz, kiedy dzwon znowu się odezwie. A teraz zabierz tych handlarzy do jakiejś komnaty, gdzie będą mogli poczekać na powrót Hierarchy.

Odwróciła się do Sorchaka, a oczy zapłonęły jej nagłą, przerażającą żądzą.

- Czy odprowadzisz mnie do Świętego Przybytku, byś mógł być świadkiem podczas składania ofiary?

- Będzie to dla mnie zaszczyt, Chabat - odpowiedział, kłaniając się nisko; lecz kapłanka odwróciła się już od niego, a jej usta ułożyły się w pogardliwy uśmiech.

- Zostawiam was pod opieką tego partacza - powiedziała do Sadiego, kiedy obok niego przechodziła. - Jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy, lecz muszę przygotować się do złożenia ofiary.

Z Sorchakiem u boku opuściła komnatę. Kiedy drzwi się zamknęły, kapłan splunął na miejsce, na którym przed chwilą stała.

- Nie wiedziałem, że kapłanka może awansować aż do Purpurowej Barwy w Świątyniach Toraka - rzekł do niego Sadi.

- Jest ulubienicą Agachaka - mruknął ponuro Grolim. - Jej zdolności czarodziejskie są bardzo ograniczone, więc jej awans nastąpił dzięki jego staraniom. Hierarcha ma dziwną skłonność do rzeczy brzydkich. Tylko jego potędze zawdzięcza to, że nikt jeszcze nie poderżnął jej gardła.

- Polityka - westchnął eunuch. - Wszędzie na świecie jest tak samo. Ale wydaje się bardzo gorliwa w wypełnianiu swoich religijnych obowiązków.

- Jej chęć wypełniania obrządku ofiary ma niewiele wspólnego z religią. Ona rozkoszuje się krwią. Sam widziałem, jak chłeptała ją, kiedy tryskała z piersi ofiary i zanurzała w niej twarz i ręce. - Kapłan rozejrzał się szybko, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłuchuje. - Jednak pewnego dnia Agachak odkryje, że zajmuje się czarną magią w Domu Toraka i że kiedy wszyscy inni idą spać, ona i Sorchak odprawiają swoje czarne sabaty ze sprośnymi obrzędami. Kiedy nasz Hierarcha odkryje ich spisek, ona sama będzie wić się pod nożem, a każdy Grolim w Świątyni zgłosi się na ochotnika, by otworzyć jej żyły, kiedy

znajdzie się na ołtarzu.

Wyprostował się.

- Chodźcie ze mną - polecił.

Komnaty, do których ich zaprowadził, były w zasadzie kilkoma wąskimi, słabo oświetlonymi celami. W każdej z nich stała niska koja, a na kołku wisiał grolimski czarny płaszcz. Kapłan krótko skinął głową i wyszedł w milczeniu. Silk rozejrzał się po nieco większej centralnej komnacie, w której znaleźli jedną lampę i prosty stół z ławkami.

- Nie powiedziałbym, że są to luksusowe warunki - rzucił sarkastycznie.

- Możemy złożyć zażalenie, jeśli chcesz - zaproponowała Velvet.

- Co się stało z jej twarzą? - zapytała Ce'Nedra z przerażeniem w głosie. - Jest straszna.

- W niektórych świątyniach Grolimów w pewnych częściach Hagga był taki zwyczaj - odpowiedziała Polgara. - Kapłanki o pewnych zdolnościach w dziedzinie magii ozdabiały sobie twarze w ten sposób, aby na zawsze związać się z Torakiem. Tę praktykę właściwie już zarzucono.

- Ale ona mogła być taka piękna. Dlaczego się tak oszpeciła?

- Ludzie czasami robią dziwne rzeczy, kiedy ogarnia ich religijny szał.

- Dlaczego ten Grolim nie zauważył miecza Gariona? - Silk zapytał Belgaratha.

- Klejnot stara się nie zwracać na siebie uwagi.

- Czy rozkazałeś mu?

- Nie. Czasami miewa własne pomysły.

- No cóż, chyba wszystko idzie po naszej myśli, nie sądzicie? - powiedział Sadi, zacierając ręce z zadowoleniem. - Mówiłem wam, że mogę tu być użyteczny.

- Bardzo użyteczny - odparł sardonicznie Silk. - Do tej pory wprowadziłeś nas w środek bitwy, wprost do siedziby głównej Dagashów, a teraz do serca potęgi Grolimów w Cthol Murgos. Co zaplanowałeś dalej, zakładając, że ta dama z ciekawą twarzą nie wypatroszy cię przed świtem?

- Dostaniemy statek, Kheldarze - zapewnił go Sadi. - Nawet Chabat nie ośmieli się przeciwstawić życzeniom Agachaka, niezależnie od tego, jak urażona jest jej duma. A dzięki statkowi zaoszczędzimy wiele miesięcy.

- Jest jeszcze coś, czym Garion i ja musimy się zająć - rzekł Belgarath. - Durniku, wyjrzyj na korytarz i sprawdź, czy wystawili jakieś straże, aby nas pilnować.

- Dokąd się wybieracie? - zapytał Drasanin.

- Muszę znaleźć bibliotekę. Chcę sprawdzić, czy Jaharb miał rację, mówiąc, że znajdę

tu tę księgę.

- Czy nie lepiej byłoby zaczekać do nocy, aż wszyscy pójną spać?

Starzec potrząsnął głową.

- Znalezienie tego, czego szukamy, może chwilę potrwać. Agachak prawdopodobnie do północy będzie w pałacu, więc to jest najodpowiedniejsza pora, aby pogrzebać w jego bibliotece.

Uśmiechnął się lekko do niskiego człowieka.

- Poza tym - dodał - choć to może nie jest zgodne z twoim pojmowaniem właściwego postępowania, czasami łatwiej poruszać się po różnych miejscach za dnia, niż prześlizgiwać się po kątach o północy.

- To bardzo dziwaczne twierdzenie, Belgaracie.

- W korytarzu nikogo nie ma - oświadczył Durnik.

- To dobrze. - Belgarath wrócił do celu i wyszedł z nich z naręczem strojów Grolimów.

- Trzymaj - powiedział, podając jeden Garionowi - włóż to.

Kiedy obaj zdejmowali zielone ubrania i wkładali czarne, Durnik trzymał straż przy drzwiach.

- Nadal jest spokojnie, Belgaracie - powiedział. - Ale lepiej pospieszcie się. Na końcu korytarza widzę jakichś ludzi.

Starzec skinął głową, naciągając kaptur.

- Chodźmy - rzucił do Gariona.

W korytarzach panował półmrok, oświetlały je tylko dymiące pochodnie, umieszczone w wystających z kamiennych ścian żelaznych uchwytych. Natknęli się tylko na kilku ubranych w czerń grolimskich kapłanów. Grolimowie poruszali się kołysząc dziwnie, ręce mieli założone w rękawy, głowy pochylone, a kaptury zakrywały ich twarze. Garion domyślił się, że ten szczególny chód na sztywnych nogach miał jakieś ukryte znaczenie i próbował je odgadnąć, kiedy szedł za swoim dziadkiem na wpół ciemnymi korytarzami.

Belgarath kroczył z udawaną pewnością siebie, jakby dokładnie wiedział, dokąd się udaje. Doszli do szerszego korytarza, a starzec rzucił okiem na ciężkie drzwi, które stały otworem na jego końcu. Za nimi znajdowała się komnata wypełniona migoczącym światłem bijącym od skwierczących świec.

- Nie tędy - szepnął do Gariona.

- Co to jest?

- Święty Przybytek. Tam właśnie jest ołtarz. - Przeszli na drugą stronę pomieszczenia i weszli w przecinający je korytarz.

- To może trwać godzinami, dziadku - powiedział cichym głosem Garion.

Belgarath potrząsnął głową.

- Układ architektury Grolimów łatwo jest odgadnąć. Znajdujemy się w prawej części Świątyni. Ty sprawdzaj drzwi z tej strony, a ja z tamtej.

Poruszali się ostrożnie wzdłuż korytarza i otwierali każde drzwi, do których podchodzili.

- Garionie - szepnął starzec - to tutaj.

Komnata, do której weszli, była dosyć obszerna. Pachniała pergaminem i spleśniałymi skórzanymi oprawami. Wysokie, bezładnie wypełnione książkami szafy stały tu jedna obok drugiej. W małych zagłębieniach w ścianach stały pojedyncze stoły. Przy każdym z nich znajdowały się dwie drewniane ławki, a nad nimi wisiała dająca niewiele światła lampa naftowa.

- Weź książkę, wszystko jedno, jaką - powiedział Belgarath. - Usiądź przy tym stole i udawaj, że czytasz. Zsuń kaptur z czoła i miej baczenie na drzwi. Ja się rozejrzę. Zakasz, jeśli ktoś tu wejdzie.

Garion skinął głową, wziął z jednej z półek ciężki tom i usiadł przy stole. Minuty mijały powoli, kiedy on patrzył nic nie widzącymi oczyma na karty księgi i wytężał słuch, aby pochwycić najdelikatniejszy szmer. Wtem zaskoczył go znany mu już wrzask, długi krzyk przerażającego cierpienia, po którym nastąpił żelazny brzęk ogromnego gongu w Świątym Przybytku, gdzie Grolimowie odprawiali swoje okrutne obrzędy. Przed oczami Gariona pojawiła się nieproszona wizja, wizja oszpeconej Chabat, w radosnym uniesieniu zarzynającej ofiarę. Zaciśnął zęby, powstrzymując się, by nie skoczyć na równe nogi i nie przerwać tego okrucieństwa.

Belgarath, stojący w wąskim przejściu pomiędzy dwoma wysokimi szafami, zagwizdał cicho do Gariona.

- Mam to - powiedział. - Pilnuj drzwi. Ja zostanę tutaj. Garion siedział pełen napięcia przy stole, czujnie rozglądał się i nasłuchiwał. Nerwy zdawały mu się napinać do granic możliwości, kiedy tak siedział, koncentrując uwagę na drzwiach. Co zrobiłby, gdyby wszedł tu jakiś kapłan w czarnym stroju? Czy powinien się odezwać, czy po prostu dalej milczeć z głową nad księgą? Jaki był tutaj zwyczaj? Przygotował sobie kilka planów, ale kiedy klamka w drzwiach zazgrzytała głośno, zrobił coś, czego wcześniej nie brał pod uwagę: zerwał się na równe nogi. Przełożył nogi przez ławkę, na której siedział i ukrył się pomiędzy wysokimi, ciemnymi półkami, szukając Belgaratha.

- Czy można tu rozmawiać? - usłyszał czyjś głos. Inny mężczyzna odchrząknął.

- Nikt tu już nie przychodzi. O czym chciałeś mówić?

- Czy nie masz jej jeszcze dość? Czy jesteś gotów coś z nią zrobić?

- Mów ciszej, głupcze. Jeśli ktoś cię usłyszy i doniesie jej, twoje serce usmaży się na węglach, kiedy znowu rozlegnie się dźwięk dzwonu.

- Nienawidzę tej szpetnej dziewczki - pierwszy z Grolimów splunął.

- Tak jak wszyscy, ale nasze życie zależy od tego, by się o tym nie dowiedziała. Dopóki jest ulubienicą Agachaka, jej władza jest absolutna.

- Nie będzie nią, jeśli Agachak dowie się, że ona praktykuje w Świątyni czarnoksiężstwo.

- Jak ma się o tym dowiedzieć? Ty o tym doniesiesz? Ona zaprzeczy, a wtedy Agachak pozwoli jej zrobić, co tylko zechce.

Nastąpiło długie, pełne bojaźni milczenie.

- Poza tym - mówił dalej drugi Grolim - nie wydaje mi się, żeby Agachaka interesowały jej rozrywki. W tej chwili interesuje go tylko jego poszukiwanie Cthag Sardiusa. On i inni Hierarchowie łamią sobie głowy, by odgadnąć, gdzie ten kamień się znajduje. Jeśli ona chce zabawiać się z Sorchakiem i próbować przywoływać demony w środku nocy, to jej sprawa i nie ma po co się do tego wtrącać.

- To hańba! - pierwszy Grolim aż zachłystywał się z wściekłości. - Ona plugawi naszą Świątynię.

- Nie będę tego słuchał. Chcę, by moje serce pozostało w piersi.

- Bardzo dobrze - ton głosu Grolima stał się teraz przebiegły. - Być może jest tak, jak mówisz. Obaj należymy do Zielonej Barwy i nasz awans do Purpurowej będzie prawdziwszy niż jej. Jeśli podeszlibyśmy ją tak, by nikogo nie było w pobliżu, ty mógłbyś użyć swojej mocy, żeby zablokować jej mięśnie, a ja zatopiłbym nóż w jej sercu. Wtedy mogłaby stanąć przed Torakiem i być osądzona przez niego za złamanie jego przykazania, że nie wolno zajmować się czarną magią.

- Dłużej nie będę tego słuchał. - Rozległy się odgłosy szybkich kroków, po czym drzwi zamknęły się.

- Tchórz - burknął pierwszy z Grolimów; następnie on również wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Dziadku - szepnęła ochryple Garion - gdzie jesteś?

- Tutaj. Poszli już?

-Tak.

- Ciekawa rozmowa, prawda?

Garion poszedł do starca na tył biblioteki.

- Czy myślisz, że Chabat może naprawdę próbować przywołać demony, tak jak Morindimowie?

- Wielu Grolimów tutaj tak sądzi. Jeśli to prawda, to ona znajduje się na bardzo niebezpiecznym gruncie. Torak kategorycznie zabronił uprawiania czarnej magii. Ulubienica czy nie, Agachak będzie musiał ją potępić, jeśli się o tym dowie.

- Czy znalazłeś coś? - Garion spojrzał na księgę, która leżała na stole przed jego dziadkiem.

- To chyba może nam pomóc. Posłuchaj. „Ścieżka, która została zagubiona, odnajdzie się na Wyspie Południowej”.

- Verkat?

- Nie ma chyba innej możliwości. To jedyna wyspa w południowej części Cthol Murgos. Potwierdza to słowa Sadiego, a ja zawsze lubię potwierdzenia.

- Ale to i tak oznacza, że podążamy jedynie za Zandramas. Czy nie znalazłeś niczego, co pozwoliłoby nam ją wyprzedzić?

- Jeszcze nie - przyznał Belgarath. Odwrócił stronę. - Co to? - powiedział zdziwiony.

- O co chodzi?

- Posłuchaj.

Starzec podniósł księgę tak, by światło lampy padało na kartkę.

- „Zaprawdę” - czytał - „w dniach, które nadejdą po wstąpieniu Ciemnego Boga do niebios, Król Wschodu i Król Południa toczyć będą wojnę i będzie to dla ciebie znakiem, iż zbliża się dzień spotkania. Spiesz zatem do Miejsca, Którego Już Nie Ma, kiedy bitwy gorzeć będą na polach Południa. Weź ze sobą wybraną ofiarę oraz Króla Angaraków, aby był świadkiem tego, co nastąpi. Bowiem ten z was, który przybędzie do Cthag Sardiusa z ofiarą i Królem Angaraków, zostanie wyniesiony ponad wszystkich i panować będzie nad innymi. I wiedz również, iż w chwili składania ofiary odrodzony będzie Ciemny Bóg i zatriumfuje on nad Dziecięciem Światła, gdy tylko powróci”.

Garion wpatrywał się w dziadka i czuł, że krew odpłynęła mu z twarzy.

- Ofiara? - wykrzyknął. - Czy to właśnie Zandramas chce zrobić z moim synem?

- Na to wygląda - burknął Belgarath. Zastanowił się nad tym przez chwilę. - To wyjaśnia kilka kwestii, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego w spotkaniu ma uczestniczyć Król Angaraków. Ani Cyradis, ani Proroctwo nic o tym nie mówiły.

- To księga Grolimów, dziadku - zauważył Garion. - Może się myli.

- To również jest możliwe, lecz ona pomaga wyjaśnić, dlaczego Zandramas

przemieszcza się tak ukradkiem. Jeśli Urvon wie o tym, tak jak z pewnością wie Agachak, obaj zrobią wszystko, co w ich mocy, aby odebrać jej twojego syna. Ten z nich, któremu uda się dotrzeć do Sardiona z Geranem i jednym z Królów Angaraków, zdobędzie absolutną władzę w Kościele Grolimskim.

- Dlaczego mój syn? - chciał wiedzieć Garion. - Dlaczego to właśnie on ma być wybrany na ofiarę?

- Nie jestem pewien, Garionie. Jeszcze nie znaleźliśmy wyjaśnienia.

- Nie sadzę, że trzeba mówić o tym Ce'Nedrze - rzekł Belgarion. - I tak ma dosyć problemów.

Drzwi znowu się otworzyły, a Garion obrócił się i sięgnął przez ramię do rękojeści swojego miecza.

- Belgarath? Jesteś tutaj? - Był to głos Silka.

- Z tyłu - odpowiedział czarodziej. - Mów ciszej.

- Mamy kłopoty - rzekł niski człowieczek, przyłączając się do nich. - Nie ma Erionda.

- Co? - wykrzyknął Garion.

- Wymknął się i nikt z nas tego nie zauważył. Belgarath uderzył pięścią w stół i zaklął.

- Co się dzieje z tym chłopcem? - wybuchnął.

Silk zsunął kaptur płaszcza Grolimów, który miał na sobie.

- Polgara chciała iść go szukać, ale Durnik i ja przekonaliśmy ją, by dała temu spokój. Zapropnowałem, że poszukam was.

- Lepiej go znajdziemy - rzekł starzec wstając. - Pol nie będzie zbyt długo czekać i niedługo rozpocznie poszukiwania na własną rękę. Rozdzielmy się. W ten sposób będziemy mogli przeszukać większy obszar.

Poprowadził ich do drzwi, wyjrzał na zewnątrz i wyszedł na korytarz.

- Zachowuj się normalnie - ostrzegł szeptem Gariona. - Są tu tacy Grolimowie, którzy potrafią cię usłyszeć, jak tylko zaczniesz robić jakiś podejrzany hałas.

Garion skinął głową.

- I kontaktujmy się od czasu do czasu. Niewiele zdołaliśmy, jeśli któryś z nas odnajdzie Erionda i potem będzie musiał szukać pozostałych. Chodźmy. - Ruszył szybko ciemnym korytarzem.

- Jak udało mu się przemknąć koło cioci Pol? - szepnął Garion do Silka, kiedy szli obok siebie korytarzem, którym tu przybyli.

- Ce'Nedra miała atak hysterii - odrzekł Silk. - Składanie ofiar to dla niej wstrząs. Polgara była z nią w jednej z cel i próbowała ją uspokoić. Wtedy Eriond się wymknął.

- Czy ona dobrze się czuje? - zapytał Garion, a pogłębiający się lęk, który towarzyszył mu od Prolgu, powrócił z nową siłą.

- Chyba tak. Polgara dała jej coś i teraz śpi. - Silk ostrożnie wyjrzał za róg korytarza. - Ja idę tędy - szepnął. - Bądź ostrożny.

Oddalił się bezszelestnie.

Garion zczekał, aż jego przyjaciel zniknie mu z oczu, po czym ostrożnie wszedł do następnego korytarza. Złożył ręce na piersi i pochylił zasłoniętą kapturem głowę jak pobożny Grolim. Co ten Eriond sobie myślał? Brak odpowiedzialności chłopca sprawił, że Garion chciał tłuc pięściami w mur. Szedł korytarzem i starał się, jak mógł, by nie robić niczego podejrzanego; ostrożnie otwierał każde napotkane drzwi.

- Co jest? - zapytał z wnętrza komnaty chrapliwy głos, gdy otworzył drzwi.

- Przepraszam, bracie - burknął Garion, starając się naśladować niewyraźny akcent angarskiej mowy. - Pomyliłem drzwi.

Szybko zamknął je z powrotem i ruszył dalej tak prędko, na ile mógł się odważyć. Drzwi za nim otworzyły się nagle i stanął w nich na wpół ubrany Grolim z twarzą pałającą wściekłością.

- Hej, ty - zawołał za Garionem. - Stój!

Garion rzucił krótkie spojrzenie za siebie i dwoma susami dopadł zakrętu, za którym otwierał się szeroki korytarz centralny Świątyni.

- Wracaj tu - krzyczał Grolim, a Garion usłyszał odgłos jego bosych stóp na posadzce, gdy kapłan zaczął go ścigać. Garion zaklął i postanowił zaryzykować. Mocnym szarpnięciem otworzył pierwsze z brzegu drzwi i wpadł do komnaty. Jeden rzut oka powiedział mu, że była pusta, zamknął więc drzwi i przyłożył do nich ucho.

- Co się dzieje? - usłyszał czyjeś pytanie w korytarzu.

- Ktoś właśnie próbował wejść do mojej celi. - Garion rozpoznał rozwścieczony głos Grolima, na którego natknął się przed chwilą.

Rozległ się szelmowski chichot.

- Może należało zczekać i dowiedzieć się, czego chciała.

- To był mężczyzna. Zapadło milczenie.

- No - odezwał się pierwszy głos. - No, no, no.

- A co to ma znaczyć?

- Nic. Zupełnie nic. Lepiej włóż coś na siebie. Jeśli Chabat znajdzie cię na korytarzu w bieliźnie, może wpaść na jakiś dziwny pomysł.

- Mam zamiar poszukać tego intruza. Coś dziwnego się tutaj dzieje. Pomożesz mi?

- Czemu nie? Nie mam nic lepszego do roboty.

Gdzieś daleko w korytarzu rozległ się powolny, smętny śpiew i szuranie wielu stóp.

- Szybko - ostrzegł jeden z Grolimów stojących pod drzwiami. - Do tego bocznego korytarza. Jeśli nas zobaczą, każą nam się przyłączyć.

Garion usłyszał, jak pobiegli, by się ukryć. Powolny chód i głęboki śpiew przybliżyły się. Pojawił się sznur Grolimów z odrzuconymi do tyłu kapturami i wyciągniętymi przed siebie rękami. Kroczyli w ceremonialnym pochodzie oświetlonym pochodniami korytarzem ku samemu sercu Świątyni. Czekał w ciemnej komnacie, aż przejdą, a potem, kierowany tak nagłym impulsem, że nawet nie zdążył się zastanowić, śmiało otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i zmieszał się z idącymi z tyłu kapłanami.

Maszerowali powoli szerokim hallem, a Garion czuł coraz mocniejszy smród palonego ciała, gdy pochód Grolimów zbliżał się do Świętego Przybytku. Przez zakończone łukiem drzwi weszli do przesklepionej kaplicy, śpiewając jeszcze głośniej.

Sufit był bardzo wysoki, skrywały go spowite w dymie cienie. Na ścianie naprzeciwko wejścia wisiała wypolerowana stalowa maska: - dostojna replika nieskazitelnego oblicza Boga Toraka. Ponad tą niewzruszoną maską stał ołtarz, z którego spływały jasne strumyczki świeżej krwi. Znajdował się tu rozżarzony kosz z węglami, który czekał na następne rozedrgane serce, ofiarowane dawno zmarłemu Bogowi; jama z ogniem rozwierała się, prosząc o ciało następnej zaszlachtowanej ofiary.

Wstrząsany dreszczami Garion ukrył się za kolumną, koło której przechodzili. Stał tam, pocąc się i drżąc przez dłuższą chwilę i próbował opanować emocje. Być może lepiej niż jakikolwiek inny żywy człowiek zdawał sobie sprawę z potworności tego miejsca. Torak nie żył. On sam czuł słabnący rytm uderzeń serca, który wstrząsał płonącym ostrzem miecza Żelaznopalcego, kiedy zanurzał je w piersi wroga. Rzeź, która odbywała się w tym plugawym miejscu od tamtego czasu, nie miała sensu, była czymś pustym, hołdem składanym okaleczonemu, obłąkanemu Bogowi, który zginał płacząc płomieniami i wznosząc pożałowania godne krzyki ku niewzruszonym gwiazdom. Piekąca wściekłość zaczęła powoli wdzierać mu się do piersi, napelniając mu usta smakiem ognia, gorzkim jak spalenizna. Nieproszona, jego Wola zaczęła koncentrować się, kiedy stanęła mu przed oczami roztrzaskana maska i ołtarz i kiedy ujrzał całkowite zniszczenie tego obmierzłego miejsca.

Nie po to tu jesteś, Belgarionie! - odezwał się głos w jego umyśle.

Garion rozluźnił Wolę tak powoli, jakby jej uwolnienie mogło zniszczyć całe miasto. Później będzie dość czasu, aby zlikwidować to straszne miejsce. Teraz musiał znaleźć Erionda. Ostrożnie wysunął głowę zza kolumny. Z odległej części Przybytku nadszedł

właśnie kapłan z odrzuconym do tyłu kapturem, ozdobionym purpurowym obramowaniem. Niósł w dłoniach ciemnoczerwoną poduszkę, na której leżał długi, lśniący nóż. Stał przed podobizną swojego martwego Boga i, pełen czci, proszącym gestem uniósł do góry poduszkę z nożem.

- Spójrz na instrument wypełniający twą wolę, Boże-Smoku Angaraków - odezwał się - i spójrz na tego, którego serce ma zostać tobie ofiarowane.

Czterej Grolimowie wciągnęli do Świętego Przybytku nagiego, wrzeszczącego niewolnika, nie zwracając uwagi na jego beznadziejną walkę i przerażone błagania o łaskę. Garion bez zastanowienia sięgnął przez ramię po miecz.

Przestań! - rozkazał mu głos.

Nie! Nie pozwolę, by to się stało!

To się nie stanie. Zabieraj rękę od miecza!

- Nie ma mowy! - powiedział Garion głośno, wyciągając miecz i występując zza kolumny. Wtem, stwierdził, że nie może nawet mrugnąć okiem, jakby nagle został zamieniony w skałę.

Puść mnie! - rzucił przez zęby.

Nie! Tym razem jesteś tu po to, by patrzeć, a nie działać. A teraz stój tu i miej oczy otwarte.

Garion spojrział z nagłym niedowierzaniem na Erionda. Jego jasne loki załśniły w ostrym świetle Świątyni, kiedy wszedł przez te same drzwi, którymi właśnie wciągnięto niewolnika. Twarz młodzieńca miała wyraz zdecydowania, jakby przepełnionego żalem, gdy podszedł wprost do oniemiałego kapłana.

- Przykro mi - powiedział pewnym siebie głosem. - Lecz nie możecie już tego robić.

- Łapać profanatora - zawołał kapłan stojący przy ołtarzu. - To jego serce będzie się smażyło na węglach!

Dziesięciu Grolimów skoczyło na równe nogi, lecz natychmiast zamarło, schwytało ich bowiem to, co unieruchomiło Gariona.

- To nie może trwać dłużej - powiedział tym samym tonem Eriond. - Wiem, ile to dla was znaczy, ale po prostu nie można tak dalej. Pewnego dnia - wkrótce, jak sądzę - zrozumiecie to wszyscy.

Nie rozległ się żaden dźwięk, nikt nie rzucił się naprzód, czego spodziewał się Garion. Rozwarty otwór wiodący do ognia, który znajdował się nieopodal ołtarza, zagrział jak ogromny piec; buchnęły z niego skaczące płomienie, a iskry wystrzeliły aż ku sklepieniu. Gorący zaduch panujący w Przybytku nagle ustąpił, zrobiło się chłodno, jakby właśnie powiał

tu oczyszczający wiatr. Drżący płomień zatrzęsł się jak wypalająca się świeca i zgasł. Żarzący się kosz z węglami, który stał w rogu ołtarza, również oslepił stojących w pobliżu, a jego stalowa rama nagle zaczęła mięknąć i chylić się, aż w końcu upadła pod własnym ciężarem. Płomień w koszu strzelił jeszcze raz i także zgasł.

Kapłan z przerażenia wypuścił z dłoni nóż i skoczył ku walącemu się koszowi. Zupełnie irracjonalnie wyciągnął przed siebie dłonie, jakby chciał zmusić metal, by powrócił do swego poprzedniego kształtu, lecz zawył z bólu, kiedy rozpalona do czerwoności stal weszła głęboko w jego ciało.

Eriond spojrział na wygasłe ognie z satysfakcją, po czym zwrócił się do osłupiałych Grolimów, którzy wciąż trzymali nagiego niewolnika.

- Puście tego człowieka - powiedział im. Patrzyli na niego bez słowa.

- Przecież możecie to zrobić - rzekł Eriond, jakby prowadził z nimi dyskusję. - I tak nie możecie złożyć go w ofierze, skoro nie ma ognia, a one nie będą już płonęły. Cokolwiek byście uczynili, nigdy nie uda się wam znowu ich rozpalić.

Wykonane! - powiedział głos z wyrazem takiego triumfu, że pod Garionem aż ugięły się kolana.

Oparzony kapłan, który wciąż lamentował nad swymi dłońmi i przyciskał je do piersi, uniósł swą zszarzałą jak popiół twarz.

- Schwytajcie go! - wrzasnął, wskazując Erionda poczerńniętą ręką. - Schwytajcie go i zaprowadźcie do Chabat.

Rozdział XII

Nie było już sensu przemykać cichaczem. Dzwonki alarmowe zaczęły rozlegać się we wszystkich częściach Świątyni, a przerażeni Grolimowie biegali w tę i z powrotem, wykrzykując do siebie sprzeczne rozkazy.

Garion biegał pomiędzy nimi, rozpaczliwie szukając Belgaratha i Silka. Kiedy wypadł z zakrętu, Grolim o rozognionej twarzy chwycił go za ramie.

- Czy byłeś w Świętym Przybytku, kiedy to się stało? -zapytał.

- Nie - skłamał Garion, usiłując się uwolnić.

- Mówią, że był wysoki na dziesięć stóp i że zanim zgasił ognie, rozwalił dziesięciu kapłanów tak, że nic z nich nie zostało.

- Tak? - zdziwił się Belgarion, wciąż starając się wyrwać z jego uchwytu.

- Niektórzy twierdzą, że to był sam Czarodziej Belgarath.

- Nie, ja w to nie wierzę.

- Kto inny miałby taką moc? - Grolim nagle przerwał, oczy rozszerzyły mu się. - Wiesz, co to oznacza, prawda? - zapytał drżącym głosem.

- Co?

- Przybytek będzie musiał być na nowo poświęcony, a do tego potrzeba wiele krwi Grolimów. Dziesiątki z nas będzie musiało umrzeć, zanim świątynia zostanie oczyszczona.

- Naprawdę muszę już iść - rzekł do niego Garion, ciągnąc ramię, które tamten trzymał obiema rękami.

- Chabab będzie brodziła po pas w naszej krwi - wył rozhisteryzowany kapłan, nie słuchając Gariona.

Nie miał wyboru. Sytuacja była zbyt nagła, żeby tracić czas na konwenanse. Udał więc przerażenie, kiedy spojrzał przez ramię rozgadanego Grolima.

- Czy to ona nadchodzi? - szepnął gardłowym głosem. Kapłan odwrócił z przestachem głowę. Garion dokładnie wymierzył i uderzył pięścią w odsłoniętą część twarzy mężczyzny. Grolim odbił się od ściany; oczy zaszyły mu mgłą i błędziły gdzieś bezmyślnie. Potem runął na ziemię jak kłoda.

- Nieźle - ocenił Ślk, wychodzący z ciemnego korytarza o kilka jardów od Gariona. - Tylko nie rozumiem po co.

- Nie mogłem się od niego uwolnić - wyjaśnił Garion i pochylił się nad leżącym mężczyzną. Zaciągnął go do zacienionej alkowy i posadził, opierając plecami o ścianę.

- Czy wiesz może, gdzie jest dziadek?

- Jest tutaj - odrzekł Silk, wskazując kciukiem na znajdujące się za nim drzwi. - Co się stało?

- Powiem ci za chwilę. Zejdźmy z pola widzenia.

Weszli do komnaty i znaleźli Belgaratha siedzącego przy stole.

- Co tu się dzieje? - chciał wiedzieć.

- Znalazłem Erionda.

- To dobrze.

- Nie, niezupełnie. Wszedł do Świętego Przybytku właśnie wtedy, gdy Grolimowie mieli złożyć niewolnika w ofierze i zgasił ogień.

- Co takiego?

- Wydaje mi się, że to on tego dokonał. Byłem tam i wiem, że nie ja to zrobiłem. Po prostu wszedł tam i powiedział im, że nie mogą już składać ofiar z ludzi, a potem ogień zgasł. Dziadku, on nie wydał przy tym żadnego dźwięku, nie poruszył się, nie odezwał... zupełnie nic.

- Czy jesteś pewien, że to był on? To znaczy, to nie było coś normalnego?

Garion potrząsnął głową.

- Nie. Ogień zamigotały i zgasł jak zdmuchnięte świece. Działo się coś jeszcze. Głos mówił do mnie i nie mogłem nawet mrugnąć. Grolimowie, którzy ciągnęli do ołtarza niewolnika, po prostu puścili go, kiedy poleciał im tak Eriond. Potem powiedział im, że nigdy już nie będą mogli rozpalić tych ognia.

- Gdzie jest teraz chłopiec?

- Zabrali go do Chabat.

- Czy nie mogłeś ich powstrzymać?

- Zakazano mi tego. - Garion poklepał się w czoło.

- Powinienem być się tego spodziewać - rzekł za złością Belgarath. - Lepiej idźmy ostrzec Pol i innych. Być może będziemy musieli uwolnić Erionda i przebić się na zewnątrz.

Otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz i skinął na Gariona i Silka, by poszli za nim.

Twarz Polgary była śmiertelnie blada, kiedy we trzech weszli do komnaty, w której czekali ona i pozostali przyjaciele.

- Nie znaleźliście go - powiedziała. Właściwie nie było to pytanie.

- Garion go znalazł - odparł Belgarath. Zwróciła się do Gariona.

- Dlaczego więc nie ma go z tobą? - zapytała.

- Obawiam się, że schwytali go Grolimowie, ciociu Pol.

- Mamy problem, Pol - rzekł ponuro Belgarath. - Z tego, co mówi Garion, wynika, że Eriond wszedł do Przybytku i zgasił ognie.

- Co takiego? - wykrzyknęła. Garion rozłożył bezradnie ręce.

- Po prostu wszedł tam i sprawił, że ognie zgasły. Grolimowie pochwycili go i prowadzą teraz do Chabat.

- To bardzo poważna sprawa, Belgaracie - odezwał się Sadi. - Te ognie miały płonąć wiecznie. Jeśli Grolimowie sądzą, że chłopiec jest za to odpowiedzialny, grozi mu naprawdę wielkie niebezpieczeństwo.

- Wiem - przytaknął starzec.

- No więc dobrze - rzekł cicho Durnik. - Będziemy musieli pójść i odebrać im go. - Wstał, a Toth w milczeniu stanął przy nim.

- Ale nasz okręt jest już prawie gotowy - protestował Sadi. - Najrozsądniej byłoby, gdybyśmy ostrożnie stąd czmychnęli.

- W tej chwili nie możemy nic na to poradzić - twarz Belgaratha wyrażała srogą zawziętość.

- Pozwólcie mi spróbować. Może uda mi się wyratować nas jakoś z tego zamieszania, zanim zrobicie coś, czego nie da się już cofnąć - błagał Sadi. - Zawsze będzie jeszcze czas na rozwiązanie siłowe, jeśli nie zdołam jakoś tego uładzić.

Garion rozejrzał się.

- Gdzie jest Ce'Nedra? - zapytał.

- Śpi - odrzekła Polgara. - Liselle jest przy niej.

- Czy nic jej nie jest? Silk mówił, że bardzo się martwiła. Chyba nie jest znowu chora?

- Nie, Garionie. To przez odgłosy z Przybytku. Nie mogła ich znieść.

Ciężka pięść nagle uderzyła w zamknięte na zasuwę drzwi. Garion podskoczył i instynktownie chwycił za miecz.

- Otwierać! - rozkazał jakiś chrapliwy głos.

- Szybko - syknął Sadi - wracajcie wszyscy do swoich cel i udawajcie, że właśnie się obudziliście, gdy będziecie wychodzić.

Pospieżyli do swoich komnat i z zapartym tchem czekali tam, a ogolony do samej skóry eunuch podszedł do drzwi i otworzył zasuwę.

- O co chodzi, czcigodni? - zapytał łagodnym głosem, kiedy Grolimowie wpadli do sali z obnażoną bronią.

- Zostałeś wezwany na audiencję u Hierarchy, handlarzu niewolników - warknął jeden z nich. - Ty i cała twoja służba.

- Jestem zaszczycony - mruknął Sadi.

- Nie jesteś zaszczycony. Masz być przesłuchiwany. Radzę ci mówić prawdę, bo Agachak ma władzę obedrzeć cię, bardzo powoli, ze skóry, jeśli go okłamiesz.

- Cóż za nieprzyjemny pomysł. A więc Hierarcha wrócił z Pałacu Drojim?

- Poinformowano go o potwornej zbrodni, którą popełnił jeden z twoich sług.

- Zbrodni? Jakiej zbrodni? Grolim nie odpowiedział mu.

- Z rozkazu Chabat wszyscy macie zostać uwięzieni do powrotu Agachaka.

Garion i reszta szybko otrząsnęli się z udawanego snu. Szli zadymionymi korytarzami, a potem wąskimi schodami do piwnicy. W przeciwieństwie do komnat na górze cele tutaj miały żelazne, okratowane drzwi, a w wąskich korytarzach rozchodził się ten szczególny zapach, którym przeniknięte są wszystkie więzienia i lochy świata. Jeden z Grolimów otworzył zakratowane drzwi i gestem nakazał im wejść do środka.

- Czy to naprawdę konieczne, dobry kapłanie? - protestował Sadi.

Grolim groźnie położył dłoń na rękojeści miecza.

- Opanuj się, panie - rzekł Sadi. - Tylko pytałem.

- Do środka! No już!

Weszli wszyscy do celi, po czym ubrany w czerń kapłan zatrzasnął za nimi drzwi. Z jakiegoś powodu dźwięk klucza obracającego się w zamku zabrzmiał wyjątkowo donośnie.

- Garionie - szepnęła Ce'Nedra wystraszone, słabym głosem. - Co się dzieje? Dlaczego oni to robią?

Objął ją ramionami, żeby dodać jej otuchy.

- Eriond wpadł w kłopoty - wyjaśnił. - Sadi chce wszystko załagodzić.

- A co będzie, jeśli mu się nie uda?

- Wyciągniemy się z tego w inny sposób.

Silk rozejrzał się po słabo oświetlonej celi i prychnął pogardliwie.

- Budowniczym lochów zawsze brak wyobraźni - zauważył, szturchając butem gnijącą na ziemi słomę.

- Czy masz tak ogromne doświadczenia z lochami, Kheldarze? - zapytała go Velvet.

- Zdarzało mi się bywać w niejednych - wzruszył ramionami. - Nigdy nie odpowiadało mi pozostawanie w nich dłużej niż kilka godzin.

Wspiął się na palce, żeby wyrzeć przez mały, zakratowany otwór w drzwiach.

- Dobrze - powiedział. - Nie ma straży. Spojrzał na Belgaratha.

- Czy mam to otworzyć? - zapytał, stukając w drzwi kostkami dłoni. - Nie sądzę, żebyśmy tu mogli zbyt wiele osiągnąć.

- Proszę, bądź cierpliwy, książę Kheldarze - odezwał się Sadi. - Jeśli uciekniemy z tej celi, nigdy nie uda mi się ich udobruchać.

- Muszę się dowiedzieć, co zrobili Eriondowi - Polgara oświadczyła Sadiemu z mocą.
- Otwórz je, Silku.

- Polgara? - słaby, znajomy głos dobiegł ich z sąsiedniej celi. - Czy to ty?

- Eriond! - zawołała z ulgą. - Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest, Polgaro. Założyli mi kajdany, ale nie są zbyt niewygodne.

- Dlaczego to zrobiłeś... tam w Przybytku?

- Nie podobały mi się te ognie.

- Mnie też nie, ale...

- Naprawdę mi się nie podobały, Polgaro. Z takimi rzeczami trzeba skończyć, a musimy przecież od czegoś zacząć.

- W jaki sposób je zgasiłeś? - Belgarath zapytał przez zakratowane okienko. - Garion był tam, kiedy to uczyniłeś i mówi, że nic nie słyszał ani nie czuł.

- Nie jestem pewien, Belgaracie. Nie wydaje mi się, żebym zrobił coś szczególnego. Po prostu zdecydowałem, że nie chcę, żeby nadal płonęły, więc tak jakbym przekazał im, co czuję i wtedy zgasły.

- I to wszystko?

- Tak, o ile sobie dobrze przypominam. Belgarath odwrócił się od drzwi bardzo zdziwiony.

- Kiedy się stąd wydostaniemy, ten chłopiec i ja będziemy musieli odbyć na ten temat długą rozmowę. Wiele razy ją planowałem, ale zawsze, kiedy się już zdecydowałem, musiałem zająć się czymś innym. - Spojrzał na Gariona. - Jak będziesz rozmawiał ze swoim przyjacielem, każ mu przestać wyprawiać takie rzeczy. Denerwuje mnie to.

- On już o tym wie, dziadku. Myślę, że dlatego to robi. Gdzieś w korytarzu rozległ się huk otwartych szarpnięciem ciężkich, żelaznych drzwi. Usłyszeli odgłos kroków.

- Grolimowie - poinformował cicho Silk, który wyglądał przez okienko.

- Kto jeszcze? - zapytał kwaśno Belgarath.

Zbliżająca się grupa stanęła. W drzwiach do celi Erionda zazgrzytał klucz. Otworzyły się ze skrzypieniem.

- Hej, chłopcze - burknął ostry głos. - Chodź z nami.

- Ojczy - szepnęła nagle Polgara. Starzec uniósł rękę.

- Zaczekajmy - mruknął.

Wtem ktoś przekręcił klucz w zamku ich drzwi. Po chwili otworzyły się.

- Agachak powrócił - oświadczył krótko Grolim. - Wychodźcie stąd.

- Wspaniale - rzekł z ulgą Sadi. - O co by tu nie chodziło, jestem pewien, że wyjaśnimy wszystko w kilka minut.

- Nie gadać! - Grolim obrócił się gwałtownie i ruszył korytarzem, a kilkunastu jego towarzyszy z bronią gotową do użycia stanęło w szeregu za więźniami.

Agachak, Hierarcha Rak Urga, był trupio bladym mężczyzną z długą brodą. Siedział na krześle przypominającym tron w wielkiej sali, oświetlonej pochodniami i obwieszanej ciemnokarmazynowymi draperiami. Szata Hierarchy miała kolor krwawoczerwony, a osadzone głęboko oczy pały pod krzaczastymi brwiami. Eriond, wciąż skuty łańcuchami, siedział przed nim spokojnie na grubo ciosanym, drewnianym stolcu. Szczupła kapłanka, Chabat, odrzuciła do tyłu kaptur, a szramy na jej twarzy zdawały się odbijać światło pochodni. Stała przy swoim panie z wyrazem okrutnego triumfu na twarzy.

- Który z was jest Ussą z Sthiss Tor? - zapytał Hierarcha pusto brzmiącym głosem.

Sadi wystąpił naprzód i skłonił się głęboko.

- Ja jestem Ussa, Przenajświętszy - powiedział.

- Masz poważne kłopoty, Usso - rzekła do niego Chabat, a jej gardłowy głos brzmiał jak mruczenie kota. Usta ułożyły się w pełen okrucieństwa uśmiech.

- Ale ja nic nie zrobiłem.

- Tu w Cthol Murgos pan odpowiada za uczynki swego sługi.

Agachak przeszył Sadię spojrzeniem, choć jego twarz pozostała bez wyrazu.

- Zaczynajmy - rozkazał. - Kto ma przedstawić dowody w tej sprawie?

Chabat odwróciła się i skinęła na zakapturzonego Grolima, który stał przy drzwiach.

- Sorchak będzie inkwizytorem, mój panie - odpowiedziała tonem kogoś, kto czuje się panem sytuacji. - Jestem pewna, że znasz jego gorliwość.

- O, tak - odpowiedział niejasno Agachak. - Mogłem się spodziewać, że to będzie Sorchak. - Słaby ślad rozbawienia pojawił się na jego ustach. - Bardzo dobrze, inkwizytorze, możesz przedstawić zarzuty.

Ubrany w czerń kapłan wystąpił naprzód, odrzucając do tyłu kaptur z zieloną obwódka.

- Sprawa jest prosta, Wielki Hierarcho - oświadczył ostrym tonem. - Obecne były dziesiątki świadków, więc wina tego młodego nikczemnika nie ulega wątpliwości. Należy jednak rozważyć następstwa jego czynu.

- Wydaj wyrok, Wielki Hierarcho - Chabat ponaglała człowieka na tronie. - Wyduszę całą prawdę z tego brudnego Nyissanina i jego służących.

- Słyszałem mowę o winie - odrzekł - ale wciąż nie usłyszałem ani o zarzutach, ani o dowodach.

Zdawało się, że Chabat zaskoczyły jego słowa.

- Chciałam tylko zaoszczędzić ci nudy formalnego dochodzenia, panie. Jestem przekonana o prawdzie słów Sorchaka. Dotychczas zawsze akceptowałeś moje sądy w takich sprawach.

- Być może - potwierdził Agachak - lecz tym razem chyba sam chciałbym to osądzić.

Spojrzał na stojącego przed nim kapłana z brudnymi włosami.

- Zarzuty, Sorchaku - rzekł. - O co konkretnie ten młody człowiek jest oskarżony?

W głosie Hierarchy dało się wyczuć nutę niechęci.

Sorchak stracił nieco pewność siebie, kiedy zdał sobie sprawę z niewypowiedzianej wrogości Agachaka. Potem wyprostował się i zaczął mówić.

- Dziś wczesnym popołudniem, kiedy na ołtarzu w Świętym Przybytku miał zostać odprawiony święty obrządek naszej wiary, ten młody człowiek wszedł i zgasił ogień przy ołtarzu. To właśnie zrobił i o to go oskarżam. Przysięgam, że jest winny.

- To absurd - sprzeciwił się Sadi. - Przecież ktoś zawsze czuwa przy tych ogniach. W jaki sposób ten chłopiec mógłby podejść tak blisko, żeby je ugasić?

- Jak śmiesz kwestionować święte słowa kapłana Toraka? - rzekła ze złością Chabat, a szramy na jej policzkach drgnęły. - Sorchak przysięgą potwierdził jego winę i dlatego chłopak jest winny. Kwestionowanie słowa kapłana oznacza śmierć.

Oczy Agachaka spowijała zasłona, kiedy zwrócił się do niej.

- Sądzę, że sam chciałbym usłyszeć dowody, które przekonały ciebie i inkwizytora, Chabat. Oskarżenia i wina nie zawsze są tym samym, a pytanie, które postawił Ussa, jest dość istotne.

Na te słowa Hierarchy słaba nadzieja obudziła się w Garionie. Agachak wiedział. Zdawał sobie sprawę z konszachtów Chabat i Sorchaka, a zapał, z jakim broniła każdego słowa Grolima, znieważał jej pana.

- A więc, inkwizytorze - mówił dalej Agachak - w jaki sposób chłopcu udało się zgasić ogień? Czyżby strzeżono ich niedbale?

Sorchak stał się czujny, kiedy zdał sobie sprawę, że stoi na niebezpiecznym gruncie.

- Mam wielu świadków, mój panie - oświadczył. - Wszyscy, którzy byli w Przybytku, są zgodni co do tego, że Święty Przybytek został zbezczeszczonej za pomocą magii.

- Ach, czary, o to chodzi? Oczywiście, to by wszystko wyjaśniało.

Agachak przerwał, jego straszliwe oczy spoczęły na pocącym się Sorchaku.

- Zauważyłem jednak, że często mówi się o „czarownicy” albo „czarodzieju”, kiedy brak jest przekonujących dowodów. Czy nie potrafisz inaczej wyjaśnić tego, co wydarzyło się w Świątym Przybytku? Czy inkwizytor jest tak marny, że musi opierać się na tak starych i zużytych oskarżeniach?

Na twarzy Chabat malowało się niedowierzenie, a Sorchak zaczął drżeć.

- Na szczęście ten problem można łatwo rozwiązać. Dar posiadania czarów ma pewną wadę. Ci, którzy są nim również obdarzeni, potrafią wyczuć, czy czary zostały użyte. - Umilkł na chwilę. - Nie wiedziałeś o tym, Sorchaku, prawda? Kapłan Zielonej Barwy, który ma nadzieję na awans do Purpurowej, powinien pilniejsz studiować i wiedzieć o tym, ale ty byłeś zajęty czymś innym, czyż nie?

Zwrócił się do stojącej obok niego kapłanki.

- Dziwię się jednak, że nie dałaś swemu protegowanemu dokładniejszych instrukcji, zanim pozwoliłaś mu przedstawić takie zarzuty, Chabat. Mogłaś nie dopuścić do tego, by zrobił głupca z siebie i z ciebie.

Jej oczy zapłonęły, a szramy na policzkach zsiniały; nagle zaczęły świecić, jakby pod jej skórą buchał wewnętrzny płomień.

- No więc, Chabat - powiedział spokojnym, zatrważającym głosem. - Czy ta chwila już nadeszła? Czy w końcu zmierszysz się z siłą mojej Woli?

Straszne pytanie zawisło w powietrzu, a Garion wstrzymał oddech. Chabat jednakże odwróciła oczy od Hierarchy, a płomienie w jej policzkach zgasły.

- Mądra decyzja, Chabat. - Agachak zwrócił się do Sadiego. - No więc, Usso z Sthiss Tor, co powiesz na zarzut, że twój sługa jest czarodziejem?

- Kapłan Toraka jest w błędzie, mój panie - odrzekł dyplomatycznie Sadi. - Proszę mi wierzyć, ten osioł nie jest żadnym czarodziejem. Każdego ranka dziesięć minut zastanawia się, który but pasuje na którą nogę. Proszę na niego spojrzeć. W tych oczach nie ma ani krzty inteligencji. Nie ma nawet tyle rozumu, żeby się bać.

Oczy Chabat znowu zapłonęły ze złości, lecz było w nich także coś, co mówiło, iż nie jest już tak pewna siebie.

- Co nyissański handlarz niewolników może wiedzieć o czarach, panie? - zadrwiła. - Znasz zwyczaj Wężowego Ludu. Nie wątpię, że umysł ma tak zamroczony narkotykami, że nawet, gdyby jednym z jego sług był sam Belgarath, on nie wiedziałby o tym.

- Bardzo ciekawa uwaga - burknął Agachak. - A teraz przyjrzyjmy się temu dokładniej. Wiemy, że zgasły ogień przy ołtarzu. Co do tego nie ma wątpliwości. Sorchak twierdzi, że ten młodzieniec ugasił je mocą czarów, choć nie ma dowodów, żeby to

potwierdzić. Ussa z Sthiss Tor, który może być niepoczytalny z powodu nadużycia narkotyków, utrzymuje, iż ten młody człowiek to prostak i w związku z tym nie jest zdolny do tak niezwykłego czynu. I jak mamy rozwiązać ten dylemat?

- Skaż ich na męki, Przenajświętszy - zaproponowała żarliwie Chabat. - Osobiście wyduszę z nich prawdę, z każdego po kolei.

Garion naprężył mięśnie i spojrzał ostrożnie na Belgaratha. Starzec stał spokojnie, jego srebrzysta, krótka broda lśniła w różowym świetle pochodni. Nie widać było, żeby przygotowywał się do jakiegoś nagłego działania.

- Twój pociąg do sali tortur jest ogólnie znany, Chabat - mówił chłodno Agachak. - Posiadasz takie umiejętności, że twoje ofiary zazwyczaj mówią to, co chcesz, a co nie zawsze jest całkowicie zgodne z prawdą.

- Służę tylko mojemu Bogu, panie - oświadczyła z dumą.

- Tak jak my wszyscy, moja Święta Kapłanko - upomniał ją. - I byłoby dobrze, gdybyś nie zapewniała o swej wyjątkowej pobożności, aby uzyskać awans dla siebie lub swego podwładnego.

Spojrzał na Sorchaka z nieukrywaną pogardą.

- Nadal ja jestem tu Hierarchą i to ja podejmę ostateczną decyzję w tej sprawie.

Kapłanka skuliła się, w oczach nagle pojawił się przestach.

- Przebacz mi, Agachaku - zaczęła się jąkać. - Ta potworna zbrodnia nappełniła mnie słuszną złością, lecz, tak jak mówisz, ostateczna decyzja należy do ciebie.

- Cieszę się, że potwierdzasz wyższość mojej władzy, Chabat. Myślałem, że się zapomniałaś.

Nagle na końcu oświetlonej sali wybuchło jakieś zamieszanie. Dwóch krzepkich Murgów z długimi, wypolerowanymi halabardami w rękach rozsuwało stłoczonych przy drzwiach Grolimów. Z niewzruszonym wyrazem twarzy stukali równo drzewcami w podłogę.

- Zrobić przejście! - wołał jeden z nich. - Zrobić przejście dla Urgita, Wielkiego Króla Cthol Murgos!

Mężczyzna, który wszedł powolnym krokiem do sali, różnił się od wszystkich Murgów, których Garion widział do tej pory: był niski, szczupły, lecz muskularny. Jego czarne włosy były proste, a twarz pociągła. Szatę miał niedbale rozpiętą, tak iż widać było, że zamiast zwyczajowej kolczugi nosił purpurowy krótki kaftan i grube pończochy, zupełnie na zachodnią modłę. Żelazną koronę nieco beztrąsko zsunął na bok głowy. Uśmiechał się sardonicznie, lecz rozglądał czujnie.

- Agachaku - powitał niedbale Hierarchę. - Zastanawiałem się trochę nad tym, o czym

doniesiono ci w Drojim i doszedłem do wniosku, że mogę ci pomóc znaleźć przyczynę tego pożalowania godnego incydentu.

- Świątynia jest zaszczycona obecnością Wielkiego Króla - oświadczył Agachak.

- A Wielki Król czuje się zaszczycony tak uprzejmym przyjęciem - odrzekł Urgit, po czym rozejrzał się. - Masz tu gdzieś krzesło? To był dla mnie długi i męczący dzień.

- Zajmij się tym - polecił Agachak stojącej obok tronu kapłance.

Chabat zmrużyła oczy, jej policzki powoli nabiegły krwią.

- Krzesło dla jego wysokości - rozkazała chrapliwym głosem.

Jeden ze stojących przy wyjściu Grolimów wybiegł z sali i po chwili powrócił z ciężkim fotelem.

- Wielkie dzięki - rzekł król i rozsiadł się wygodnie. Spojrzał na Agachaka. - Muszę ci się do czegoś przyznać, Przenajświętszy. Gdy miałem już wejść do tej sali, zaczekałem jeszcze jakiś czas na zewnątrz, mając nadzieję, iż poznam w ten sposób szczegóły sprawy. - Zaśmiał się krótko. - Podsluchiwanie u drzwi to mój stary nawyk, niestety. Pochodzi z czasów nerwowego dzieciństwa. W każdym razie usłyszałem oskarżenia przedstawione przez inkwizytora. Szczerze mówiąc, Agachaku, to bardzo zagmatwana sprawa. - Obrzucił Hierarchę przelotnym, ujmującym spojrzeniem. - Ale oczywiście już to zauważyłeś, nieprawdaż?

Agachak skinął lekko głową, jego twarz pozostawała nieodgadniona.

- A więc - ciągnął Urgit. - Absolutnie nie chciałbym wtrącać się w kościelne sprawy, lecz czy nie sądzisz, że istnieją dziesiątki naturalnych przyczyn tego wypadku?

Spojrzał z nadzieją na Agachaka; gdy dojrzał w jego oczach aprobatę, mówił dalej.

- To znaczy, wszyscy widzieliśmy już, jak gasły te ognie, prawda? Czy musimy zapędzać się aż tak daleko, aby znaleźć wytłumaczenie dla czegoś tak nieistotnego? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że strażnicy zaniedbali swoje obowiązki i że ognie zgasły same, tak jak zawsze, kiedy się do nich nie dokłada?

- Kompletna bzdura! - zawołał ze złością Sorchak. Urgit wyraźnie się wzdrygnął i uciekł się po pomoc do Agachaka.

- Zapominasz się, inkwizytorze - upomniał Hierarcha. - Nasz gość jest Wielkim Królem Cthol Murgos; jeśli go obrazisz, mogę oddać mu twoją głowę, aby go przeprosić.

Sorchak przelknął głośno ślinę.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość - wydusił z siebie. - Odezwałem się, zanim zdążyłem pomyśleć.

- Nic się nie stało, chłopcze - Urgit przebaczył mu wspaniałomyślnym gestem. -

Czasem każdy może powiedzieć coś nieopatrznie, gdy jest podekscytowany. - Zwrócił się znowu do Hierarchy. - Ubolewam nad tą katastrofą tak jak wszyscy, Agachaku. Lecz ten nyissański handlarz został tu przysłany przez Jaharba, a obaj wiemy, jak ważna jest jego misja dla Kościoła i państwa. Czy nie uważasz, że ze względów politycznych powinniśmy zapomnieć o tym incydencie?

- Z pewnością nie zlekceważysz tych oskarżeń, panie? - odezwała się Chabat piskliwym głosem. - Kto ma zostać ukarany za zbezczeszczenie Świętego Przybytku?

Urgit zmartwił się i ponownie poszukał wsparcia u Agachaka. Garion zrozumiał, że nie był to silny król. Nawet najmniejszy opór wobec jego bez przekonania wydawanych sugestii powodował, iż instynktownie się wycofywał lub szukał pomocy u kogoś, kogo uważał za mocniejszego.

Agachak obrócił się powoli, by spojrzeć w twarz kapłance.

- Te krzyki zaczynają mnie już męczyć, Chabat - rzekł do niej srogo. - Jeśli nie potrafisz zapanować nad swoim głosem, możesz odejść.

Wlepiła w niego pełne zdumienia i niedowierzania spojrzenie.

- Chodzi tu o coś znacznie ważniejszego, niż jakieś zgaszone ognie. Wieki temu przepowiedziano, iż zbliża się czas ostatecznego spotkania Dziecięcia Światła z Dziecięciem Ciemności. Jeśli mnie na nim nie będzie, będziesz musiała składać pokłony albo Urvonowi, albo Zandramas. Wątpię, by któreś z nich uznało twoje błazeństwa za wystarczająco śmieszne, by pozostawić cię przy życiu. Co do oskarżenia o czary, istnieje prosty sposób, żeby rozwiązać tę sprawę raz na zawsze.

Podniósł się z tronu, podszedł do Erionda i położył dłonie na jego głowie.

Polgara wstrzymała oddech, a Garion zaczął ostrożnie koncentrować Wolę.

Eriond spojrzał ponuremu Hierarsze w twarz i uśmiechnął się.

- Fu! - wzdrygnął się Agachak i cofnął dłonie. - Ten młodzian to niewiniątko. W jego umyśle nie ma niczego, co świadczyłoby choćby o odrobinie mocy.

Kapłan obrócił się do Sorchaka.

- Uznaję twoje oskarżenia za bezpodstawne i oddalam je, inkwizytorze.

Oskarżyciel zbladł, oczy wyszły mu na wierzch.

- Bądź ostrożny, Sorchaku - rzekł złowieszczo Hierarcha. - Jeśli zbyt mocno przeciwstawisz się mojej decyzji, mogę postanowić, że ty ponosisz tu całą winę. Chabat czuje się straszliwie rozczarowana, gdyż nie dostała ofiary, którą mogłaby zamęczyć na śmierć. - Spojrzał chytrze na kapłankę.

- Czy chciałabyś zająć się Sorchakiem, moja droga? Zawsze uwielbiałem obsypywać

cię prezentami. Z rozkoszą będę się przyglądał, jak powoli wyprujesz z niego wnętrzości za pomocą rozgrzanych do czerwoności haków.

Na płomiennej twarzy Chabat malowała się rozpacz. Garion zrozumiał, że spodziewała się, iż Hierarcha, jak miał to najwyraźniej w zwyczaju, potulnie wyrazi zgodę na jej stanowcze żądania. Dlatego zaryzykowała całym swoim autorytetem, aby ukarać Sadiego, do którego od razu poczuła niechęć. Nieoczekiwane i pełne pogardy odrzucenie oskarżeń uderzyło w podstawy jej wybujałego ego i - co ważniejsze - zagroziło jej pozycji w Świątyni. O ile nie uda jej się w jakikolwiek sposób uratować, liczni wrogowie doprowadzą do jej ostatecznej klęski. Garion żarliwie pragnął, by Sadi zdał sobie sprawę z tego, iż teraz była jeszcze bardziej niebezpieczna, niż kiedy uważała, że to ona trzyma wszystko w swoich rękach.

Ostrożnie obserwowała Hierarchę zwężonymi oczami, starając się wybadać, w jakim jest nastroju. Wyprostowała się i zwróciła do króla Urgita.

- Złamano tu również świeckie prawo, wasza wysokość - oświadczyła. - Sądziłam, że zbezczeszczenie Świętego Przybytku to poważniejsza sprawa, ale skoro nasz czcigodny Hierarcha w swej mądrości postanowił, iż oskarżenia były bezpodstawne, moim obowiązkiem jest teraz powiadomienie o przestępstwie godzącym w państwo.

Urgit i Agachak spojrzeli szybko po sobie, po czym władca zapadł się w swoim fotelu. Wyglądał na nieszczęśliwego.

- Król zawsze chętnie wysłucha słów kapłanów - odpowiedział bez zbytniego entuzjazmu.

Chabat jeszcze raz rzuciła na Sadiego triumfalne spojrzenie, pełne jawnej nienawiści.

- Od założenia naszego państwa wstrętne narkotyki są zakazane mocą królewskiego edyktu - przypomniała. - Kiedy Ussę i jego służbę zamknięto w lochach, karałam przeszukać ich rzeczy. Obróciła się.

- Przynieście tę skrzynię - rozkazała.

Otworzyły się boczne drzwi, przez które wszedł posłuszny sługa kapłanki, niosąc skórzany kuferek Sadiego. Fanatyczny Sorchak odebrał skrzynkę od swego podwładnego. Jego twarz również pokraśniała z radości.

- Spójrzcie na dowody, świadczące o tym, że Ussa z Sthiss Tor złamał nasze prawo i że jego los jest już przesądzony - zawołał przenikliwym głosem.

Przekręcił klucz w zamku, otworzył skrzynię i pokazał wszystkim liczne fiołki oraz butelkę w kolorze ziemistym, w której mieszkała Zith.

Urgit zmartwił się jeszcze bardziej. Spojrzał niepewnie na Sadiego.

- Czy możesz to jakoś wyjaśnić, Usso? - zapytał z nadzieją w głosie.

Sadi wyglądał jak uosobienie niewinności.

- Z pewnością wasza wysokość nie uwierzy, że miałem zamiar rozproszyc te rzeczy w Cthol Murgos - oświadczył.

- No tak - rzekł bez przekonania Urgit - ale przecież miałeś je ze sobą.

- Oczywiście, ale chcę je sprzedać Malloreanom. U nich takie towary są bardzo poszukiwane.

- Nie dziwię się temu - powiedział król, prostując się na fotelu. - A więc nie miałeś zamiaru dostarczać narkotyków moim poddanym?

- Z całą pewnością nie, wasza wysokość - odparł z oburzeniem Sadi.

Urgit odetchnął z ulgą.

- No więc - zwrócił się do rozwścieczonej Chabat. - Sama widzisz. Jestem przekonany, że nikt z nas nie zaprzeczy, iż nasz przyjaciel z Nyissy ma zamiar zaszkodzić Malloreanom. Powiedziałbym nawet, że im bardziej mu się powiedzie, tym lepiej.

- A to? - zapytał Sorchak, stawiając kuferek na posadzkę i wyjmując z niego butelkę.

- Co tu ukrywasz, Usso z Sthiss Tor? - potrząsnął naczyniem..

- Ostrożnie! - wykrzyknął Sadi, rzucając się naprzód z wyciągniętymi ramionami.

- Aha! - zawołała triumfująco Chabat. - Okazuje się, że w tej butelce jest coś, co ten handlarz uważa za cenne. Zobaczmy, co ona zawiera. Być może czai się tam jakieś ukryte jeszcze przestępstwo. Otwórz to naczynie, Sorchaku.

- Błagam - zawodził Sadi. - Jeśli drogie ci twoje życie, nie ruszaj tej butelki.

- Otwieraj, Sorchaku - Chabat była nieugięta. Zadowolony z siebie Grolim znowu potrząsnął butelką i zaczął wyciągać z niej korek.

- Proszę, szlachetny kapłanie! - w głosie Sadiego pobrzmiwało cierpienie.

- Chcemy to tylko zobaczyć - Sorchak uśmiechnął się. - Jestem pewien, że to nikomu nie zaszkodzi.

Odrzucił zatyczkę i przystawił flakon do oka, aby zajrzeć do środka.

Naturalnie Zith zaatakowała natychmiast.

Oskarżyciel wydał zduszony okrzyk i przewrócił się na wznak, wymachując rękami w powietrzu. Ziemista butelka poszybowała w górę, lecz Sadi zdążył chwycić ją, zanim spadła na posadzkę. Powalony na ziemię kapłan złapał się obydwoma dłońmi za wykrzywioną przerażeniem twarz, a krew tryskała mu między palcami. Zaczął kwiczeć jak świnia, jego członkami wstrząsały konwulsje. Nagle rzucił się naprzód, wściekle bijąc pięściami i odrywając z twarzy całe płatki skóry. Upadł na ziemię i tłukł głową o posadzkę. Dostał jeszcze

silniejszych drgawek, piana pojawiła mu się na ustach. Z przeszywającym wrzaskiem wyskoczył nagle w powietrze. Kiedy upadł, już nie żył.

Wszyscy milczeli przez chwilę w zdumieniu. Wtem Chabat krzyknęła.

- Sorchak!

Jej głos pełen był bólu i świadomości niepowetowanej straty. Rzuciła się ku martwemu kapłanowi i upadła na jego zwłoki, nie mogąc powstrzymać łkania.

Poruszony do głębi Urgit z otwartymi ustami wpatrywał się ciału Sorchaka.

- Na zęby Toraka! - zaklął zduszonym szeptem. - Co masz w tej butelce, Usso?

- Och, to moje zwierzątko, wasza wysokość - odrzekł ten ze zdenerwowaniem. - Przecież próbowałem go ostrzec.

- To prawda, Usso - odezwał się cicho Agachak. - Wszyscy to słyszeliśmy. Czy mógłbym obejrzeć tego twojego ulubieńca?

Okrutny uśmiech przemknął po jego twarzy, gdy napawał się widokiem łkającej Chabat.

- Oczywiście, Przenajświętszy - odparł pospiesznie Sadi. Postawił butelkę na ziemi.

- Na wszelki wypadek trzeba być ostrożnym - usprawiedliwił się. - Jest nieco podniecona, więc nie chciałbym, żeby popełniła jakiś błąd. - Pochylił się nad butelką. - Już dobrze, kochanie - powiedział uspokajająco do zacząjonego w środku mściwego gada. - Zły człowiek odszedł, już jest spokojnie.

Zith wciąż się dąsała.

- Naprawdę, kochanie - zapewniał ją eunuch. - Wszystko w porządku. Nie ufasz mi?

W naczyniu rozległo się nieprzyjazne syknięcie.

- Nieładnie tak mówić, Zith - Sadi lekko ją zganił. - Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby go do ciebie nie dopuścić.

Spojrzał przepaszająco na Agachaka.

- Naprawdę nie wiem, gdzie ona nauczyła się takich słów, Przenajświętszy - oświadczył. Znowu obrócił się ku butelce.

- Proszę cię, nie bądź nieuprzejma. Zwierzę ponownie syknęło ze złością.

- Tego już za wiele, Zith. Proszę w tej chwili wyjść. Mały zielony wąż ostrożnie wystawił główkę z naczynia, uniósł się i spojrzał na leżące nieopodal zwłoki. Sorchak miał twarz błękitną jak duch, a piana zasychała mu na ustach. Wciąż płacząca histerycznie Chabat przywierała do jego ciała. Zith wypełzła ze swego małego domku, odprawiła zmarłego pogardliwym machnięciem ogona i zbliżyła się do eunucha, mrucząc z zadowoleniem. Sadi wyciągnął do niej dłoń, a zwierzę czule potarło ją nosem.

- Czyż ona nie jest cudowna? - powiedział z uczuciem. - Kiedy kogoś ukąsi, zawsze zachowuje się jak kotka.

Nieznaczone poruszenie zwróciło uwagę Gariona. Velvet pochyliła się naprzód, wpatrując się w węża z uwielbieniem.

- Panujesz nad jej zachowaniem, prawda, Usso? - zapytał nieco bojaźliwie Urgit.

- Ależ tak, wasza wysokość - zapewnił go eunuch. - Jest teraz bardzo zadowolona. Niedługo dam jej coś do jedzenia, wykąpię i zaśnie wtedy jak niemowlę.

Król zwrócił się do Hierarchy.

- No więc, Agachaku, co zdecydowałeś? Osobiście uważam, że dalsze dochodzenie nie ma sensu. Wydaje mi się, że ten handlarz i jego służący są niewinni.

Hierarcha zamyślił się, przymknąwszy oczy.

- Wierzę, że wasza wysokość się nie myli. - Zwrócił się do jednego z Grolimów, wskazując na Erionda. - Uwolnij tego głupka.

Chabat, wciąż zdruzgotana cierpieniem, podniosła się powoli znad ciała Sorchaka. Spojrzała najpierw na Urgita, a następnie na Agachaka.

- A co z nim? - zapytała głosem drżącym z emocji. - Co z nim? - Wskazała na zastygające zwłoki kapłana spoczywające u jej stóp. - Kto zostanie za to ukarany? Na kim mam wyrzucić swą zemstę?

- Ten człowiek zginął z własnej winy, Chabat - Agachak oddalił jej żądanie. - Nie popełniono tu żadnego przestępstwa.

- Żadnego przestępstwa? - głos jej się załamał. - Żadnego przestępstwa? - przeszedł już w pisk. - Czy życie Grolimów tak mało dla ciebie znaczy, że zaczniesz nim szafować na lewo i na prawo? - Splunęła i zatrzymała spojrzenie swych płomiennych oczu na twarzy Sadiego. - Zapłacisz mi za to, Usso z Sthiss Tor. Przysięgam na ciała Sorchaka i Toraka. Nigdy mi nie uciekniesz. Zemszczę się na tobie i na twoich sługach za śmierć Sorchaka.

- Dlaczego tak się denerwujesz, Chabat? - Agachak zapytał ją ze złośliwym rozbawieniem w głosie. - W Świątyni są dziesiątki Grolimów. Sorchak był taki sam, jak wszyscy pozostali - chciwy, ambitny i dwulicowy. Umarł przez swoją głupotę i przez twoją. - Okrutny uśmiech pojawił się na jego ustach. - Czyżbyś osobiście interesowała się tym zmarłym Grolimem? Od dawna byłaś moją ulubienicą, Chabat. Obdarzyłem cię całkowitym zaufaniem. Czy mogłabyś okazać się tak niewierną i szukać rozkoszy w ramionach innego?

Zbladła i podniosła rękę do ust, gdy zdała sobie sprawę, iż za daleko się zapędziła i zbyt wiele ujawniła. Agachak roześmiał się zimno.

- Czy ty naprawdę wierzyłaś, że tak pochłaniało mnie poszukiwanie Sardionu, iż nie

wiedziałem o twoich zabawach? - Umilkł na chwilę. - Powiedz mi, Chabat. Czy udało się wam kiedyś przywołać demona?

Cofnęła się, oczy jej się rozszerzyły z nagłego przerażenia, kiedy stanęła przed swoim panem.

- Wiedziałem - burknął. - Co za wstyd. Taki wysiłek na marne. Może potrzebujesz nowego partnera do swych obrzędów odprawianych o północy. I tak nigdy nie pozyskałabyś serca Sorchaka. Nie był nikim więcej niż tylko miernym karierowiczem, więc twoja strata nie jest chyba tak wielka, jak ci się wydaje.

Oszołomiona, potrząsnęła głową.

- Wiem z pewnego źródła, że zwykł mówić o tobie „ta szpetna jędza”. Czy to łagodzi nieco twój ból?

Cofnęła się z twarzą czerwoną ze wstydu, gdy zdała sobie sprawę, że właśnie została publicznie upokorzona. Odwróciła się z wściekłością i kopnęła zwłoki.

- Szpetna jędza? - wrzasnęła i znowu szturchnęła nogą ciało kapłana. - Szpetna jędza? Gnij, Sorchaku! Niech robaki mają ucztę nad twą rozkładającą się padliną! - Splunęła i łkając wybiegła z sali.

- Złości się o byle co - zauważył Urgit. Agachak wzruszył ramionami.

- Utrata iluzji zawsze jest bolesna.

Król z roztargnieniem skubał swój długi nos.

- Ta kapłanka stanowi dla nas poważny problem, Agachaku - rzekł w zamyśleniu. - Misja Nyissanina ma dla nas obu szczególne znaczenie, a rozhisteryzowana kobieta, zwłaszcza taka, która posiada tego rodzaju moc, co Chabat, może okazać się bardzo niebezpieczna. Najwyraźniej uważa tego Ussę za swojego osobistego wroga, a ponieważ miał on związek zarówno z jej poniżeniem, jak i ze śmiercią Sorchaka, nie wydaje mi się, by w tej chwili Świątynia była dla niego najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

Hierarcha skinął poważnie głową.

- Wasza wysokość ma absolutną rację.

Twarz Urgita rozjaśniła się, jakby przyszedł mu do głowy jakiś pomysł.

- Agachaku - powiedział. - Co byś powiedział na to, żeby Ussa i jego słudzy pobyli w Drojim, dopóki nie będziemy mogli bezpiecznie wyprawić go w dalszą drogę? W ten sposób znalazłby się poza zasięgiem Chabat na wypadek, gdyby szaleństwo pchnęło ją do jakichś nieprzemyślanych czynów. - Zamilkł niepewny. - Oczywiście, decyzja należy wyłącznie do ciebie, Przenajświętszy Agachaku - dodał szybko.

- Wiele jest słuszności w tym, co mówisz, Urgicie - odrzekł kapłan. - Drobne

niepowodzenie w tej sprawie skazałoby ciebie na łaskę Kal Zakatha, a ja musiałbym paść na kolana albo przed Urvonem, albo przed Zandramas. Z całą pewnością musimy uniknąć takiej katastrofy. - Zwrócił się do Sadiego. - Ty i twoi służący będziecie towarzyszyli jego wysokości do Pałacu Drojim. Później każę przesłać tam wasze rzeczy. U króla nic złego nie może wam się stać, a statek będzie gotów za kilka dni. - Uśmiechnął się ironicznie. - Mam nadzieję, że docenicie naszą troskę o wasze bezpieczeństwo.

Eunuch skłonił się przed nim.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Przenajświętszy.

- Natomiast Dagashi Kabach zostanie tu ze mną w Świątyni - kapłan poinformował króla. - W ten sposób każdy z nas będzie miał w ręku jakiś element istotny dla powodzenia misji do Rak Hagga. Powinno to zachęcić nas do współpracy.

- Oczywiście - Urgit zgodził się pospiesznie. - To zrozumiałe.

Powstał ze swego miejsca.

- Godzina już późna - zauważył. - Wrócę teraz do Drojim i zostawię cię z twymi licznymi religijnymi obowiązkami, Potężny Hierarcho.

- Proszę przekazać ode mnie wyrazy szacunku lady Tamazin - odrzekł kapłan.

- Przekażę, Agachaku. Jestem pewien, że dech jej zaprze, gdy dowie się, że o niej pamiętasz. Chodźmy więc, Usso.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Niech duch Toraka będzie z wami, wasza wysokość - zawołał za nim Hierarcha.

- Mam nadzieję, że tak się nie stanie - burknął król do Sadiego, kiedy opuszczali już salę.

- Wasza wysokość przybył w ostatniej chwili - oznajmił cichym głosem eunuch, kiedy szli korytarzem. - Robiło się gorąco.

- Nie pochlebiaj sobie - rzekł kwaśno Urgit. - Gdyby nie chodziło o to, że Kabach musi za wszelką cenę dotrzeć do Rak Hagga, za nic nie zaryzykowałbym konfrontacji z Grolimami. Jestem pewien, że dobry z ciebie człowiek, ale ja muszę dbać o własną skórę.

Kiedy znaleźli się przed okutymi drzwiami do Świątyni, król Murgów wyprostował się i wciągnął głęboko chłodne, nocne powietrze.

- Zawsze cieszę się, gdy opuszczam to śmierdzące miejsce - oświadczył. Skinął na jednego ze swych sług. - Przeprowadź konie.

- Tak jest, wasza wysokość.

Król zwrócił się do ogolonego do samej skóry Nyissanina.

- No więc dobrze, szczwany lisie - powiedział z rozbawieniem. - A teraz może

zechcesz mi powiedzieć, co robisz w Cthol Murgos i dlaczego tak się przebrałeś. Omal nie zemdlałem, kiedy odkryłem, że ten tajemniczy Ussa z Sthiss Tor to nie kto inny, jak mój stary przyjaciel Sadi, główny eunuch w pałacu królowej Salmisry.

Rozdział XIII

Stukot kopyt ich koni rozlegał się na opuszczonych nocą ulicach Rak Urga. Otaczali ich niosący pochodnie gwardziści króla.

- To oczywiście pozory - mówił Urgit do Sadiego. - Biję mu pokłony, wygłaszam święte mowy, żeby go zadowolić, a moje prawdziwe poglądy pozostawiam dla siebie. Potrzebuję jego wsparcia, więc muszę być po jego stronie. On zdaje sobie z tego sprawę i wyciąga z tej sytuacji wszelkie możliwe korzyści.

- Więzi pomiędzy kościołem i tronem w Cthol Murgos są powszechnie znane - zauważył Sadi, kiedy weszli na rozległy plac, na którym pochodnie malowały ściany pobliskich budynków na rozmazany pomarańczowy kolor.

Urgit prychnął.

- Więzi! Raczej łańcuchy, Sadi, i to wokół mojej szyi. - Spojrzał na mroczne niebo. W blasku pochodni jego twarz o ostrych rysach zdawała się różowa. - Agachak i ja zgadzamy się co do jednego. Zanim nadejdzie zima, Dagashi Kabach musi dostać się do Rak Hagga. Ludzie Jaharba przez wiele miesięcy przeczesywali zachodnią część Cthol Murgos w poszukiwaniu handlarza niewolników, dzięki któremu można by przerzucić Kabacha przez linię Mallolean. - Wtem uśmiechnął się do eunucha. - Tak się złożyło, że ten, którego znalazł, okazał się moim starym przyjacielem. Chociaż nie sądzę, że powinniśmy informować Agachaka, że się znamy. Lubię mieć przed nim kilka tajemnic.

Sadi spojrzał kwaśno.

- Nietrudno zgadnąć, po co wysyłasz zabójcę do miasta, w którym znajduje się siedziba Kal Zakatha.

- Nie radziłbym zwiedzać tych okolic zbyt długo, kiedy go tam już dostarczycie - przytaknął Urgit. - Ale z drugiej strony Rak Hagga nie jest specjalnie interesującym miastem.

Sadi zasępił się.

- Tego mniej więcej się spodziewałem - Zamyślił się, przesuwając długim palcem po огоłonej czaszce. - Śmierć Zakatha tak naprawdę nie rozwiąże twojego problemu, prawda? Nie wydaje mi się, żeby malloreańscy generałowie zaczęli pakować się na okręty i wracać do domu tylko dlatego, że zginął ich imperator.

Urgit westchnął.

- Po kolei, Sadi. Generałów może uda mi się przekupić, albo będę im płacił haracz czy coś w tym rodzaju. Najpierw trzeba się pozbyć Zakatha. Z tym człowiekiem nie można dojść

do porozumienia. - Obrócił spojrzenie na biały, kamienny budynek skąpany w ostrym świetle migoczących pochodni. - Nienawidzę tego miejsca - rzucił nagle. - Gardzę nim.

- Mówisz o Rak Urga, panie?

- O Cthol Murgos, Sadi. Nienawidzę całego tego śmierdzącego kraju. Dlaczego nie urodziłem się w Tolnedrze albo chociaż w Sendarii? Dlaczego musiałem utknąć w Cthol Murgos?

- Ale przecież jesteś królem.

- To nie był mój wybór. Jednym z naszych uroczych zwyczajów jest, że po koronacji nowego króla, pozostali pretendenci do tronu muszą zginąć. Czekał mnie albo tron, albo grób. Kiedy zostałem królem, miałem wielu braci, ale teraz jestem jedynakiem. - Wzruszył ramionami. - To ponury temat, nie sądzisz? Może porozmawiamy o czymś innym? Powiedz mi, co ty właściwie robisz w Cthol Murgos, Sadi? Myślałem, że jesteś prawą ręką Salmissry.

Eunuch zakasłał.

- Pomiędzy jej wysokością a mną zaszło pewne drobne nieporozumienie, więc uznałem, że lepiej będzie dla mnie, jeśli na pewien czas opuszczę Nyisnę.

- Ale dlaczego Cthol Murgos? Dlaczego nie pojechałeś do Tol Honeth? To znacznie bardziej cywilizowane miejsce i o wiele spokojniejsze. - Znowu westchnął. - Wszystko bym oddał, by móc mieszkać w Tol Honeth.

- Mam w Tolnedrze potężnych wrogów, wasza wysokość - odrzekł eunuch. - Znam Cthol Murgos, więc wynająłem tych Alornów do ochrony i przybyłem tu, podając się za handlarza niewolników.

- A wtedy znalazł cię Jaharb - odgadł Urgit. - Biedny Sadi, gdziekolwiek byś był, zawsze wplątujesz się w politykę, nawet jeśli tego nie chcesz.

- To przekleństwo - zgodził się ze smutkiem Nyissanin. - Prześladowuje mnie przez całe moje życie.

Wyjechali z zakrętu drogi i zbliżyli się do ogromnej budowli, otoczonej wysokim murem. Kopyły i wieże na barbarzyńską modłę strzelały w górę, obficie oświetlone pochodniami. W przeciwieństwie do reszty zabudowań w Rak Urga, pomalowano ją w kilka jaskrawych, gryzących się kolorów.

- Spójrz na Pałac Drojim - zawołał z emfazą król Urgit - dziedziczną siedzibę rodu Urgów.

- Bardzo niezwykły gmach, wasza wysokość - burknął Sadi.

- Łagodnie to ująłeś. - Urgit spojrzał na pałac z niezadowoleniem. - Kolory rażą w oczy, jest brzydki i w bardzo złym guście. Ale doskonale pasuje do mojej osobowości. - Bądź

tak dobry i pojedź naprzód. Powiedz strażnikom przy bramie, że nadjeżdża Wielki Król i że jeśli każą mi czekać, aż otworzą bramę, obetnę im uszy.

- Tak jest, wasza wysokość. Urgit uśmiechnął się do Sadiego.

- To jedna z moich rozrywek - wyjaśnił. - Wolno mi znęcać się tylko nad służącymi i prostymi żołnierzami, a Murgowie mają wrodzoną potrzebę znęcania się nad kimś.

Wjechali przez pospiesznie otwierane wrota i zsiadli z koni na oblanym różowym światłem dziedzińcu. Urgit spojrzał na jaskrawo pomalowane mury.

- Krzykliwe, prawda? - Wzruszył ramionami. - Wejźmy do środka.

Na końcu kamiennych schodów znajdowały się ogromne drzwi. Urgit otworzył je i weszli w długi, przesklepiony korytarz. Zatrzymał się przed podwójnymi, wypolerowanymi drzwiami, których strzegli dwaj żołnierze z bliznami na twarzach.

- No więc? - rzekł do nich.

- Tak, wasza wysokość? - odpowiedział jeden z nich.

- Czy sądzicie, że mógłbym was nakłonić, byście otwarli drzwi? - zapytał. - Czy też wolicie natychmiastowe przeniesienie na linię frontu?

- Tak jest, wasza wysokość - odrzekł żołnierz, szybkim szarpnięciem otwierając wejście.

- Świetna robota, mój drogi. Następnym razem uważaj, żeby nie wyskoczyły z zawiasów.

Król wszedł do znajdującej się za drzwiami komnaty.

- Moja sala tronowa - oświadczył dumnie. - Dzieło wielu pokoleń chorych wyobraźni.

Komnata była większa niż sala tronowa Rivańskiego Króla w Cytadeli Gariona. Sufit stanowił labirynt przecinających się sklepień, wszystkie pokryte były płytami bitego czerwonego złota z kopalń Cthol Murgos. Ściany i kolumny zdawały się płonąć od inkrustowanych w nie klejnotów, a ustawione po bokach sali krzesła ozdobione były jeszcze większą ilością szlachetnego kruszcu. W dalekim końcu stało krzesło tronowe, całe w klejnotach, a wokół niego wisiały czerwone jak krew draperie. Na prostym stołku obok tronu siedziała srebrnowłosa kobieta i spokojnie haftowała.

- Ohydne, prawda? - powiedział Urgit. - Urgowie przez setki lat rabowali skarbiec w Rak Goska, aby udekorować nimi Drojim, lecz czy uwierzycie, że dach wciąż przecieka? - Powoli przeszedł do drugiej części sali i stanął przed ubraną w czerń kobietą, która wciąż pochłonięta była robótką.

- Matko - powitał ją lekko drwiącym ukłonem. - Późno już, a ty nie śpisz.

- Nie potrzebuję już tyle snu, jak wtedy, gdy byłam młoda, Urgicie. - Odłożyła szycie

na bok. - Poza tym - dodała - zazwyczaj omawiamy to, co wydarzyło się w ciągu dnia, zanim udasz się na spoczynek.

- To dla mnie najważniejsza chwila dnia, matko - odparł z delikatnym uśmiechem błędzącym w kącikach ust.

Uśmiechnęła się do niego równie ciepło. Była kiedyś, jak zauważył Garion, kiedy uśmiech rozpromienił jej twarz, niezwykle atrakcyjną kobietą. Mimo srebrnych włosów i kilku zmarszczek przy oczach, wciąż dało się zauważyć ślady dawnej piękności. Jakieś drobne poruszenie zwróciło jego uwagę i zauważył, jak Silk kryje się za szerokimi plecami Totha i nasuwa sobie kaptur głęboko na oczy, aby ukryć twarz.

- Kim są twoi przyjaciele, Urgicie? - starsza pani zapytała syna.

- Ach, wybacz, matko. Chyba popełniłem gafę. Pozwól, że ci przedstawię Sadięgo, głównego eunucha królowej Salmissry z ziemi Wężowego Ludu.

- Byłego głównego eunucha, niestety - poprawił Sadi. Skłonił się nisko. - Jestem zaszczycony mogąc poznać królową matkę Królestwa Murgów.

- Och - sapnął Urgit, wdrapując się na podium i rozsiadając się na tronie z jedną nogą przerzuconą przez oparcie. - Ciągłe zapominam o etykietce. Sadi, to moja matka, lady Tamazin, skarb rodu Haggów i pogrążona w żałobie wdowa po moim ojcu Taurze Urgasie Szalonym - niech błogosławieństwa spłyną na rękę, która wysłała go na łono Toraka.

- Czy ty nigdy nie możesz być poważny, Urgicie? - skarciła go matka.

- Ale przecież jesteś w żałobie, matko. Prawda? Wiem, że w głębi serca tęsknisz za tymi chwilami z ojcem, kiedy patrzyłaś, jak gryzie meble, kiedy słuchałeś potoków bzdur, które wyrzucał z siebie i świetnie się bawiłaś, gdy tak wesoło bił po brzuchu i kopał w głowę każdą ze swoich żon, okazując im w ten sposób swe uczucia.

- Wystarczy, Urgicie - rzekła stanowczo.

- Tak, matko.

- Witaj w Drojim, Sadi - lady Tamazin powitała go oficjalnie. Spojrzała pytająco na pozostałych.

- To moi słudzy, lady Tamazin - wyjaśnił szybko eunuch. - W większości Alornowie.

- Wprost niezwykły zbieg okoliczności - burknęła. - Odwieczna wojna pomiędzy Murgami a Alornami nie pozwoliła mi poznać zbyt wielu członków tej rasy. - Zwróciła spojrzenie wprost na Polgarę. - Ta dama z pewnością nie jest służącą - powiedziała sceptycznie.

- To tymczasowy układ, lady Tamazin - odrzekła Polgara z kurtuazją. - Musiałam spędzić pewien czas w nowym miejscu, aby uniknąć nieprzyjemności w domu.

Królowa matka uśmiechnęła się.

- Doskonale rozumiem. Mężczyźni bawią się w politykę, a kobiety muszą płacić za ich głupotę. - Ponownie zwróciła się do swego syna. - A jak powiodła ci się rozmowa z Hierarchą?

- Nieźle. - Wzruszył ramionami. - Wystarczająco się przed nim płaszczyłem, aby wciąż czuł się zadowolony.

- Dostyc już tego, Urgicie. - Jej głos brzmiał ostro. - Agachak zajmuje taką pozycję, że może okazać się dla ciebie bardzo pożyteczny, więc okazuj mu należyne szacunek.

Urgit drgnął, słysząc jej ton.

- Tak, matko - odpowiedział potulnie. - Och, prawie zapomniałem - dodał. - Kapłankę Chabat spotkało pewne niepowodzenie.

Lady Tamazin spojrzała z niesmakiem.

- Ona zachowuje się skandalicznie - oświadczyła. - Nie rozumiem, dlaczego Agachak ją toleruje.

- Chyba uważa, że jest zabawna. Grolimowie mają szczególne poczucie humoru. W każdym razie miała przyjaciela, bardzo bliskiego przyjaciela, któremu zdarzył się nieprzyjemny wypadek. Będzie musiała poszukać sobie nowego kolegi do zabaw, zanim będzie mogła znowu gorszyć dobrych ludzi z Rak Urga.

- Dlaczego jesteś taki niefrasobliwy, Urgicie?

- Może nazwijmy to pierwszym objawem szaleństwa?

- Ty nie oszalejesz - stwierdziła z mocą.

- Oczywiście, że tak. Nie mogę się tego doczekać.

- Nie można z tobą rozmawiać, kiedy jesteś w takim nastroju - zbesztła go. - Kiedy masz zamiar pójść spać?

- Chyba już niedługo. Sadi i ja musimy porozmawiać o kilku sprawach, ale to może poczekać do rana.

Królowa matka zwróciła się do Polgary.

- Moje apartamenty są bardzo przestronne, pani - rzekła. - Czy ty i twoje towarzyszkę nie zechciałybyście skorzystać z nich w czasie waszego pobytu w Drojim?

- Byłybyśmy zaszczycone, pani - odpowiedziała Polgara.

- A więc dobrze - stwierdziła matka Urgita. - Prala - zawołała.

Dziewczyna, która wyszła z cienia za tronem, była szczupłą, najwyżej szesnastoletnią. Nosila czarną suknię i miała długie, lśniące włosy. Ciemne, skośne oczy, które sprawiały, że murgoscy mężczyźni zazwyczaj wydawali się tak nieprzystępni, u niej były ogromne,

kształtem przypominały migdały, co nadawało rysom egzotyczne piękno. Lecz w spojrzeniu widniała stanowczość, rzadka u kogoś tak młodego. Podeszła do lady Tamazin i pomogła jej wstać.

Urgit nachmurzył się, spojrział hardo na matkę, kiedy powłócząc nogą schodziła z podium wsparta na ramieniu dziewczyny.

- Podarunek od nieocenionego Taura Urgasa - rzucił do Sadiego. - Pewnego popołudnia, kiedy miał ochotę na zabawę, zrzucił moją matkę ze schodów. Złamała sobie biodro i od tamtej pory kuleje.

- Nawet tego nie zauważyłem, Urgicie.

- To zadziwiające, jak przechodzą drobne bóle, odkąd król Cho-Hag wraził szablę we wnętrznosci mojego ojca.

Przerwał na chwilę.

- Zastanawiam się, czy nie jest jeszcze za późno, by wysłać Cho-Hagowi jakiś upominek w dowód wdzięczności - dodał.

- Och - powiedziała królowa matka do Polgary. - To lady Prala, księżniczka z rodu Cthan.

- Księżniczko - Polgara powitała dziewczynę.

- Pani - odpowiedziała ta czystym głosem.

Lady Tamazin wyszła powoli z sali, dzięki pomocy szczupłej panienki. Polgara, Ce'Nedra i Velvet szły tuż za nimi.

- Ta dziewczyna mnie niepokoi - Urgit mruknął do Sadiego. - Moja matka kocha ją do szaleństwa, ale jej coś chodzi po głowie. Nigdy nie przestaje mi się przyglądać. - Potrząsnął głową, jakby odpędzał niepożądaną myśl. - Mieliśmy wszyscy bardzo ciężki dzień, Sadi. Porozmawiamy jutro, gdy obaj się wyśpimy. - Wyciągnął rękę i pociągnął za jedwabną wstęgę od dzwonka, a gdzieś przed salą tronową rozległ się donośny gong. Urgit obrócił oczy na sufit.

- Po co zawsze te głośnie „bam” i „bom”? - jęknął. - Chciałbym kiedyś pociągnąć za taki sznurek i usłyszeć delikatne dzwoneczki.

Drzwi w drugiej części sali otworzyły się i wszedł przez nie barczysty Murgo w średnim wieku. Włosy miał już siwe, naznaczoną blizną twarz pokrywały zmarszczki. Nic nie wskazywało na to, by uśmiech kiedykolwiek zagościł na tym ponurym obliczu.

- Czy wasza wysokość mnie wzywał? - zapytał drażniącym głosem.

- Tak, Oskatacie - odpowiedział Urgit tonem dziwnie pełnym szacunku. - Czy mógłbyś zaprowadzić mojego przyjaciela Sadiego i jego służących do odpowiednich komnat?

- Zwrócił się z powrotem do eunucha. - Oskatat jest tu szambelanem - wyjaśnił. - Służył na tym stanowisku u mojego ojca w Rak Goska. - W jego głosie nie było teraz drwiny. - Moja matka i ja nie cieszyliśmy się popularnością w domu ojca a Oskatat był tam dla nas obojga czymś w rodzaju przyjaciela.

- Panie - rzekł Sadi do potężnego, siwego mężczyzny i złożył mu głęboki ukłon.

Szambelan skinął grzecznie, po czym przeniósł ponure spojrzenie na króla.

- Czy lady Tamazin udała się już na spoczynek? - zapytał.

- Tak, Oskatacie.

- A więc wasza wysokość powinien udać się w jej ślady. Pora już późna.

- Właśnie miałem taki zamiar - odpowiedział Urgit, szybko powstając. Nagle zatrzymał się. - Oskatacie - rzekł płaczącym głosem. - Nie jestem już schorowanym, małym chłopcem. Naprawdę nie muszę już spędzać dwunastu godzin w łóżku, tak jak kiedyś.

- Liczne są brzemiona władzy - powiedział tylko szambelan. - Wasza wysokość potrzebuje odpoczynku. - Zwrócił się do eunucha. - Chodźcie ze mną - polecił i ruszył ku drzwiom.

- Zatem do rana, Sadi - pożegnał go Urgit. - Dobrej nocy.

- Dziękuję, wasza wysokość.

Komnaty, do których zaprowadził ich Oskatat, były pomalowane w równie krzykliwe kolory, co reszta pałacu. Ściany miały niezdrową, musztardowożółtą barwę. Wisiały na nich poplamione gobeliny. Meble były rzeźbione w bezcennym drewnie, a błękitny malloreański dywan gruby jak wełna na grzbiecie owcy. Oskatat otworzył im drzwi, skinął lekko, po czym odwrócił się i zostawił ich samych.

- Uroczy gość - burknął Sadi.

Garion przyglądał się uważnie Silkowi, który wciąż miał kaptur naciągnięty na czoło.

- Dlaczego tak bardzo starasz się ukryć? - zapytał. Niski mężczyzna odrzucił kaptur do tyłu. Wyglądał żałośnie.

- Jedną z wad bycia obieżyświatem jest to, że ciągle wpada się na starych znajomych.

- Nie bardzo cię rozumiem.

- Czy pamiętasz, kiedy jechaliśmy do Rak Cthol, Taur Urgas schwytał mnie i zamknął w tym szybie?

-Tak.

- A czy pamiętasz, dlaczego to zrobił i dlaczego następnego dnia chciał obedrzeć mnie ze skóry cal po calu?

- Mówiłeś, że byłeś kiedyś w Rak Urga i przypadkiem zabiłeś jego najstarszego syna.

- No właśnie. Masz świetną pamięć, Garionie. Cóż, kiedy to się stało, prowadziłem właśnie pewne negocjacje z Taurem Urgasem. Często bywałem w pałacu w Rak Urga i wiele razy widziałem się z lady Tamazin. Jestem niemal pewien, iż mnie pamięta, zwłaszcza, że mówiła, iż znała mojego ojca.

- To może przysporzyć nam kłopotów - zmartwił się Belgarath.

- Nie, o ile zdołam jej uniknąć. - Silk wzruszył ramionami. - Murgoskie kobiety rzadko przebywają wśród mężczyzn, zwłaszcza z cudzoziemcami, więc nie sądzę, żebyśmy co chwila na siebie wpadali w ciągu najbliższych kilku dni. Natomiast Oskatat to inna sprawa. Jego też tu spotykałem.

- Myślę, że - o ile to będzie możliwe - powinieneś nie wychodzić z naszych komnat - zaproponował starzec. - W ten sposób mógłbyś uniknąć kłopotów, co ci się rzadko zdarza.

- No wiesz, Belgaracie - zaproponował łagodnie Drasanin.

- Czy król Urgit zawsze taki był? - zapytał Durnik Sadięgo. - Wydaje się bardzo... hm, zabawny, to chyba dobre określenie. Nie sądziłem nawet, że Murgowie potrafią się uśmiechać.

- To bardzo skomplikowany człowiek - odpowiedział eunuch.

- Od dawna go znasz?

- Kiedy był młodszy, często bywał w Sthiss Tor, zwykle wypełniał jakąś misję na polecenie ojca. Myślę, że korzystał z każdej możliwości, by uciec z Rak Goska. On i Salmisra dobrze się rozumieli. Oczywiście, było to, zanim lady Polgara zamieniła ją w węża.

Eunuch potarł odruchowo dłonią po głowie.

- Nie jest zbyt silnym królem - zauważył. - Dzieciństwo w pałacu Taura Urgasa sprawiło, iż stał się bojaźliwy, dlatego unika jakiegokolwiek konfrontacji. Ale on wiele przeszedł. Całe życie spędził na walce o przeżycie, a przez coś takiego człowiek robi się bardzo ostrożny.

- Będziesz z nim jutro rozmawiał - odezwał się Belgarath. - Spróbuj dowiedzieć się czegoś bliższego o okręcie, który chcą nam dać. Przed nastaniem zimy musimy dotrzeć na wyspę Verkat. Różni ludzie z naszej drużyny robią rzeczy, które będą przykuwać uwagę, jeśli zostaniemy tu zbyt długo. - Spojrzał srogo na Erionda.

- To nie do końca była moja wina, Belgaracie - protestował łagodnie młodzieniec. - Nie podobały mi się ognie w Przybytku, to wszystko.

- Staraj się panować nad swymi uprzedzeniami, Eriondzie - powiedział nieco sarkastycznie starzec. - Nie zbaczajmy teraz, by przeprowadzać krucjaty odnowy moralnej.

- Postaram się, Belgaracie.

- Bardzo byłbym temu rad.

Następnego ranka Oskatat wezwał ich na kolejną audiencję u króla Murgów do jasno oświetlonej świecami sali, która była mniej krzykliwie przystrojona i mniejsza niż ogromna sala tronowa. Garion zauważył, że Silk pieczołowicie zasłaniał twarz kapturem, dopóki urzędnik przebywał w sali. Urgit i Sadi rozmawiali cicho, a pozostali siedzieli dyskretnie na krzesłach ustawionych wzdłuż ścian.

- To była chyba pierwsza rzecz, która uświadomiła ludziom, że mój ojciec zaczyna tracić zmysły - mówił król Murgów. Znowu miał na sobie purpurowy kaftan, spodnie i grube pończochy. Rozsiadł się w fotelu, trzymając nogi wysoko przed sobą. - Opanowała go dzika ambicja, by zostać Władcą Angaraków. Ja sądzę, że ten pomysł podsunął mu Ctuchik, żeby zirytować Urvona. W każdym razie - ciągnął, bawiąc się dużym, złotym pierścieniem, który nosił na palcu - wszyscy generałowie musieli się zebrać razem, żeby przekonać tego maniaka, mojego ojca, że armia Zakatha była mniej więcej pięć razy liczniejsza od naszej i że Zakath mógłby zgnieść go jak pchłę, kiedy tylko by chciał. Kiedy to wreszcie do niego dotarło, zupełnie oszalał.

- Och? - zdziwił się Sadi. Urgit uśmiechnął się.

- Rzucił się na ziemię i zaczął gryźć dywan. Kiedy się uspokoił, postanowił działać potajemnie. Zalał Malloreę murgoskimi agentami, a Murgowie są chyba najbardziej niezdarnymi szpiegami na świecie. Krótko mówiąc, Zakath miał wtedy jakieś dziewiętnaście lat i był po uszy zakochany w pewnej melceńskiej dziewczynie. Jej rodzina miała ogromne długi, więc agenci mojego ojca wykupili wszystkie weksle i zaczęli na nich naciskać. Genialny plan, który zrodził się w chorym umyśle mojego ojca, polegał na tym, że dziewczyna miała przyjąć zaloty młodzieńca, wyjść za niego, a potem przy pierwszej nadarzającej się sposobności wbić nóż pomiędzy imperialne żebra. Jeden z Melcenów, których ci wybitnie inteligentni szpiedzy przekupili, aby uzyskać ich pomoc, uciekł do Zakatha i opowiedział mu całą tę brudną historię. Dziewczynę i całą rodzinę natychmiast zgładzono.

- Cóż za tragiczna opowieść - mruknął Sadi.

- Jeszcze nie słyszałeś najlepszej części. Kilkunastu murgoskich szpiegów nakłoniono, by opowiedzieli, co wiedzą o tym planie - a Malloreanie potrafią być bardzo przekonywający - i Zakath ku swemu przerażeniu odkrył, że dziewczyna nic nie wiedziała o planach mojego ojca. Zamknął się w swojej komnacie w Mal Zeth, w swoim pałacu, na cały miesiąc. Kiedy tam wszedł, był miłym, młodym człowiekiem. Obiecywano sobie po nim, że będzie jednym z największych imperatorów Mallorei. Kiedy wyszedł, był już tym zimnym potworem, którego

znamy i kochamy. Zebrał wszystkich Murgów w Mallorei, w tym także wielu krewnych mojego ojca, i zabawiał się, wysyłając ich w gustownie opakowanych kawałkach do Rak Goska. Dołączał do tego obraźliwe listy.

- Ale czy oni obaj nie połączyli swych sił w bitwie pod Thull Mardu?

Urgit roześmiał się.

- Być może tak się powszechnie sądzi, Sadi, ale prawda jest taka, że armia księżniczki Ce'Nedry miała pecha i dostała się pomiędzy dwóch zwalczających się monarchów angarackich. Nic ich nie obchodziła ani ona, ani ta kupa gnoju, którą ludzie nazywają Mishrak ac Thull. Chcieli tylko pozabijać się nawzajem. Następnie mój pomyłony ojciec popełnił błąd i wyzwiał króla Cho-Haga z Algarii na pojedynek. Cho-Hag dał mu bardzo bolesną lekcję fechtunku. - W zamyśleniu spojrział na ognisko. - Nadal myślę, że powinienem wysłać Cho-Hagowi prezent w dowód wdzięczności.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość - Sadi zmarszczył czoło. - Ale czegoś tu nie rozumiem. Kal Zakath spierał się z twoim ojcem, a Taur Urgas nie żyje.

- O, tak to nie ulega wątpliwości - zgodził się Urgit. - Zanim go pochowałem, poderżnąłem mu gardło - żeby mieć pewność. Sądzę, że problem Zakatha bierze się stąd, że nie miał szansy zabić mojego ojca osobiście. Wobec tego chyba chce zemścić się na mnie. - Wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem. - Wysłałem mu kilkanaście propozycji zawarcia pokoju, ale on tylko odsyłał mi głowy posłańców. Myślę, że jest tak szalony jak mój ojciec.

Przestał się przechadzać.

- Wiesz, może zbyt pospieszyłem się z obejmowaniem tronu. Miałem dwunastu braci - wszyscy z krwi Taura Urgasa. Gdybym kilku z nich zostawił przy życiu, może mógłbym oddać ich Zakathowi. Kto wie, gdyby wypił już wystarczająco dużo krwi Urgów, może straciłby na nią apetyt.

Drzwi otwarły się, do komnaty wszedł krępy Murg z ozdobnym złotym łańcuchem na szyi.

- Potrzebny mi tu wasz podpis - powiedział obcesowo do Urgita podsuwając mu pod nos pergamin.

- Co to jest generale Kradak? - zapytał potulnie król.

Oficer nachmurzył się.

- Oj, dobrze - Urgit dodał pojednawczo - nie denerwuj się.

Zaniósł dokument do najbliższego stołu, na którym obok kałamarza leżało ptasie pióro. Zamoczył stalówkę, podpisał się u dołu strony i oddał kartkę.

- Dziękuję wasza wysokość - rzekł obojętnie generał Kradak na pięcie i wyszedł.

- To jeden z generałów mojego ojca - Urgit poinformował kwaśno. - Wszyscy mnie tak traktują, zaczął przechadzać się nerwowo, szurając nogami po dywanie.

- Co wiesz o królu Belgarionie, Sadi? - zapytał nagle.

Eunuch wzruszył ramionami.

- No cóż, spotkałem go raz czy dwa.

- Czy nie mówiłeś, że większość twoich najemników to Alornowie?

- Tak, to alorscy najemnicy. Można na nich polegać. Dobrze ich mieć przy sobie, gdy wybuchnie bójka.

Król Murgów zwrócił się do Belgaratha, który drzemał na fotelu.

- Hej, starcze - rzekł ostro. - Czy widziałeś kiedyś Belgariona z Rivy?

- Wiele razy - przyznał ze spokojem czarodziej.

- Jaki to człowiek?

- Uczciwy - odparł Belgarath. - Bardzo stara się być dobrym królem.

- Czy jest bardzo silny?

- No cóż, ma poparcie całego Przymierza Alornów, w zasadzie jest Władcą Zachodu, chociaż Tolnedranie zapewne pójdą swoimi ścieżkami, a Arendowie woleliby bić się ze sobą.

- Nie o to mi chodzi. Jak dobrym jest czarodziejem?

- Dlaczego pytacie mnie, wasza wysokość? Czy wyglądam na kogoś, kto zna się na takich sprawach? Ale udało mu się zabić Toraka, a to chyba wymagało nie lada umiejętności.

- A Belgarath? Czy ktoś taki naprawdę istnieje, czy to tylko legenda?

- Nie, Belgarath rzeczywiście żyje.

- I ma siedem tysięcy lat?

- Siedem tysięcy czy coś koło tego. - Belgarath wzruszył ramionami. - Parę stuleci więcej albo mniej.

- A jego córka Polgara?

- Też żyje naprawdę.

- I ma tysiące lat?

- Mniej więcej. Mógłbym to chyba policzyć, gdybym musiał, ale dżentelmen nie powinien pytać kobietę o wiek.

Urgit zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie.

- Słowa „dżentelmen” i „Murgo” wykluczają się wzajemnie, przyjacielu - powiedział.

- Czy sądzisz, że Belgarion przyjąłby moich posłów, gdybym wysłał ich do Rivy?

- W tej chwili nie ma go w kraju - poinformował go uprzejmie czarodziej.

- Nie słyszałem o tym.

- Robi tak od czasu do czasu. Czasami miewa dosyć oficjalnego życia i ucieka.

- Jak mu się to udaje? Jak może tak po prostu zebrać się i odejść?

- A kto się będzie z nim kłócił?

Urgit zaczął ze zmartwienia obgryzać paznokcieć.

- Jeśli nawet Kabach zabije Zakatha, nadal będę miał armię Mallorean u moich drzwi.

Potrzebny mi będzie każdy sprzymierzeniec, jeśli mam się ich kiedykolwiek pozbyć.

Zaczął krążyć po pomieszczeniu.

- Poza tym - dodał - jeśli uda mi się zawrzeć umowę z Belgarionem, może Agachak nie będzie mi już przykładał noża do gardła. Jak sądzisz, czy wysłucha propozycji ode mnie?

- Chyba mógłbyś go sam zapytać i przekonać się, wasza wysokość.

Drzwi znowu się otworzyły i weszła królowa matka w towarzystwie Prali.

- Dzień dobry, matko - powitał ją Urgit. - Dlaczego wędrujesz po tym domu szaleńców?

- Urgicie - powiedziała stanowczo - byłbyś naprawdę cudowny, gdybyś przestał żartować sobie ze wszystkiego.

- Powstrzymuje mnie to przed umartwianiem się z powodu mojej sytuacji - odparł nonszalancko. - Właśnie przegrywam wojnę, połowa moich poddanych chce mnie usunąć z tronu i wysłać moją głowę Zakathowi na talerzu, wkrótce oszaleję i chyba robi mi się czyrak na karku. Niewiele pozostaje mi rzeczy, z których mógłbym się śmiać, matko, więc proszę, pozwól trochę pożartować, dopóki jeszcze mogę.

- Dlaczego upierasz się, przy tym, że stracisz rozum?

- W ciągu ostatnich pięciuset lat wszyscy mężczyźni z rodu Urgów dostawali pomieszania zmysłów, zanim dożyli pięćdziesiątki - przypomniał jej. - Między innymi dzięki temu jesteśmy tak świetnymi królami. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pragnąłby tronu Cthol Murgos. Czy chciałaś czegoś konkretnego, matko? Czy też po prostu przyszłaś, aby nacieszyć się moim najprzedniejszym towarzystwem?

Rozejrzała się wokół.

- Który z was, panowie, jest mężem tej rudowłosej dziewczyny? - zapytała.

Garion szybko podniósł głowę.

- Czy dobrze się czuje, pani?

- Pol - ta dama z białym lokiem nad brwiami - mówi, że powinieneś natychmiast do niej przyjść. Zdaje się, że coś bardzo ją dręczy. Garion wstał i ruszył za królową matką, która powoli szła w stronę wyjścia. Gdy była już przy drzwiach, nagle zatrzymała się i spojrzała na Silka, który wsunął na głowę kaptur, jak tylko weszła.

- Może byś poszedł ze swoim przyjacielem? - zaproponowała. - Żeby zadbać o pozory.

Krzykliwie pomalowanym korytarzem doszli do ciemnych drzwi, strzeżonych przez dwóch żołnierzy w kolczugach. Jeden z nich otworzył wejście i skłonił się z szacunkiem lady Tamazin. Weszli za nią do środka. Jej apartamenty były urządzone z o wiele lepszym smakiem, niż reszta Drojim. Ściany były białe, a dekoracje bardziej stonowane. Polgara siedziała na niskiej otomanie i trzymała w ramionach płaczącą Ce'Nedrę, a Velvet stała obok.

- Dobrze się czuje? - zapytały palce Gariona.

- Nie sądzę, żeby to było coś poważnego - odpowiedziała w ten sam sposób Polgara. - Prawdopodobnie atak nerwowy, nie chcę, żeby te napady depresji wciąż się powtarzały. Nadal nie przeszło jej to przygnębienie. Spróbuj ją pocieszyć...

Garion podszedł do otomany i delikatnie objął Ce'Nedrę. Przywarła do niego, ciągle zapłakana.

- Czy ta młoda dama często miewa takie ataki, Pol? - zapytała królowa matka, kiedy usiadły obie przy ogniu, który trzaskał wesoło za kratą w kominku.

- Nie często, Tamazin - odrzekła Polgara. - Ostatnio w jej rodzinie miało miejsce pewne tragiczne wydarzenie i czasem nie potrafi opanować nerwów.

- Ach - powiedziała matka Urgita. - Czy mogę ci zaproponować filiżankę herbaty? Poranna herbata zawsze mnie wzmacnia.

- Dziękuję, Tamazin. To bardzo miło z twojej strony.

Łkanie Ce'Nedry stopniowo ustawało, choć wciąż przytulała się mocno do Gariona. W końcu uniosła głowę i obtarła oczy koniuszkami palców.

- Bardzo was przepraszam - powiedziała. - Nie wiem, co się ze mną stało.

- Nic nie szkodzi, kochanie - mruknął Garion, wciąż obejmując ją ramionami.

Otarła oczy delikatną chusteczką.

- Na pewno okropnie wyglądam - powiedziała, uśmiechając się przez łzy.

- Tak, umiarkowanie okropnie - zgodził się z uśmiechem.

- Mówiłam ci kiedyś, kochanie, żebyś nigdy nie płakała przy ludziach - rzekła do niej Polgara. - Masz do tego niewłaściwą cerę.

Usta Ce'Nedry zadrżały w uśmiechu. Wstała.

- Pójdę umyć twarz - oświadczyła. - A potem chciałabym położyć się na trochę.

Odwróciła się do Gariona.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała po prostu.

- Zawsze do usług.

- Może pójdiesz z lady Ce'Nedra, Pralo? - zaproponowała lady Tamazin.

- Oczywiście - przytaknęła szczupła murgoska księżniczka i również wstała.

Silk stał niespokojnie przy drzwiach, kaptur nasunął sobie głęboko na oczy i opuścił głowę, aby ukryć twarz.

- Och, proszę cię, przestań już z tym, książę Kheldarze - rzekła do niego królowa matka, kiedy dziewczęta opuściły komnatę. - Rozpoznałam cię już wczoraj, więc nie ma sensu się teraz ukrywać.

Westchnął i ściągnął kaptur.

- Tego się właśnie obawiałem - powiedział.

- Kaptur i tak nie zakrywał najbardziej widocznej części twego ciała - zauważyła.

- A która to część, pani?

- Twój nos, Kheldarze, ten który poprzedza cię, gdziekolwiek się udajesz.

- Ale to taki szlachetny nos, pani - wtrąciła Velvet, a na jej policzkach ukazały się dołeczki, kiedy się uśmiechnęła. - Bez niego byłby zupełnie innym mężczyzną.

- Przeszkadza ci to? - zapytał ją Silk.

- Dużo podróżujesz, książę Kheldarze - rzekła do niego lady Tamazin. - Ile czasu minęło, odkąd opuściłeś Rak Goska z połową murgoskiej armii depczącą ci po piętach?

- Piętnaście czy dwadzieścia lat, pani - odparł, podchodząc bliżej do kominka.

- Żałowałam, że nas opuściłeś - mówiła dalej. - Twój wygląd nie robi najlepszego wrażenia, ale rozmowa z tobą to przednia rozrywka, co rzadko się trafia w domu Taura Urgasa.

- Rozumiem, że nie masz zamiaru ogłosić całemu dworowi, kim jestem, pani? - zapytał ostrożnie.

- To nie moja sprawa, Kheldarze. - Wzruszyła ramionami. - Murgoskie kobiety nie mieszają się w sprawy mężczyzn. W ciągu stuleci przekonaliśmy się, że tak jest bezpieczniej.

- A więc nie żywisz urazy, pani? - odezwał się Garion. - Chodzi mi o to, że słyszałem, iż książę Kheldar przypadkiem zabił najstarszego syna Taura Urgasa. Czy nie uznałaś tego za obrazę?

- To nie miało nic wspólnego ze mną. Ten, którego zabił Kheldar, był synem pierwszej żony Taura Urgasa, nieznośnej, bezzębnej wiedźmy z rodu Gorutów, która pyszniła się tym, że urodziła następcę tronu i że, jak tylko jej syn przejmie władzę, ona każe nas wszystkie udusić.

- Z ulgą przyjmuję, że nie żywiłaś specjalnych uczuć do tego młodzieńca, pani - powiedział Silk.

- Uczyć? To był potwór, tak jak jego ojciec. Kiedy był jeszcze małym dzieckiem, lubił wrzucać szczeniaki do gotującej wody. Świat jest bez niego lepszy.

Twarz Silka przybrała wyraz godności.

- Zawsze lubiłem przysłużyć się dobru ogólnemu - oświadczył. - Uważam, że jest to obowiązek obywatelski dżentelmena.

- Zdawało mi się, że mówiłeś, iż jego śmierć była przypadkowa - zauważył Garion.

- No, poniekąd. Właściwie chciałem dźgnąć go w brzuch. To dosyć bolesny cios, ale rzadko śmiertelny. On jednak podbił moją rękę, kiedy zadawałem pchnięcie i w ten sposób mój nóż trafił go prosto w serce.

- To straszne - burknęła Tamazin. - Na twoim miejscu w Drojim byłabym jednak ostrożna, Kheldarze. Nie mam zamiaru wyjawiać, kim jesteś, lecz szambelan, Oskatat, także zna cię z widzenia i prawdopodobnie czułby się w obowiązku cię wydać.

- Domyśliłem się już tego, pani. Postaram się go unikać.

- A teraz powiedz mi, Kheldarze, jak się miewa twój ojciec? Silk westchnął.

- Niestety, nie żyje - odpowiedział zasmucony. - Zmarł kilka lat temu. Dosyć nieoczekiwanie.

Garion przypadkiem spojrział w oczy królowej matki i zobaczył, jak przez krótką chwilę jej piękne rysy wykrzywił ból. Opanowała się szybko, ale jej spojrzenie nadal było pełne żalu.

- Ach - powiedziała bardzo cichym głosem. - Przykro mi, Kheldarze, bardziej przykro, niż możesz sobie wyobrazić. Bardzo lubiłam twego ojca. Miesiące, które spędził w Rak Goska należą do najszcześniejszych w moim życiu.

Żeby nie być przyłapanym na patrzeniu królowej w oczy, Garion odwrócił głowę i wzrok jego padł na Velvet, która najwyraźniej się nad czymś zastanawiała. Odwzajemniła jego spojrzenie, a w jej oczach zobaczył zrozumienie wielu spraw, a także wiele pytań bez odpowiedzi.

Rozdział XIV

Poranek następnego dnia był pogodny i chłodny. Garion stał przy oknie w swojej komnacie i patrzył ponad krytymi dachówką domami Rak Urga. Niskie, przysadziste budynki zdawały się tulić do siebie w obawie przed Pałacem Drojim rozłożonym z jednej strony miasta i czarną Świątynią Toraka z drugiej. Dym z setek kominów wznosił się pionowymi, błękitnymi słupami ku bezwietrznemu niebu.

- Przygnębiające miejsce, prawda? - zapytał Silk, wchodząc do komnaty z zieloną peleryną przerzuconą przez ramię.

Garion skinął głową.

- Wygląda, jakby celowo wszystko tu pozmieniali, żeby tak okropnie wyglądało.

- Tak samo wygląda umysł Murga. Och, Urgit znowu chce się z nami widzieć.

Garion spojrzał na niego pytająco.

- Nie sądzę, by to było coś szczególnie ważnego - dodał. - Pewnie chciałby porozmawiać. Nie wątpię, że mówienia do Murgów można szybko mieć dosyć.

Zbrali się wszyscy i poszli za ubranymi w kolczugi strażnikami, którzy przynieśli im wezwanie. Wrócili do komnaty, w której widzieli się z Urgitem poprzedniego dnia. Siedział wygodnie na fotelu z nogą przerzuconą przez oparcie i na wpeł obgryzionym udkiem kurczaka w ręku.

- Witam, panowie - rzekł. - Usiądźcie, proszę. Wskazał swoim śniadaniem na rząd stojących pod ścianą krzesel.

- Nie lubię etykiety. - Spojrzał na Sadiego. - Dobrze spałeś? - zapytał.

- Zmarzłem trochę nad ranem, wasza wysokość - odpowiedział.

- To dlatego, że budowniczkowie pałacu byli bardzo niechlujni. W murze są szczeliny, przez które przecisnąłby się koń. Zimą po korytarzach szaleją burze śnieżne. - Westchnął. - Czy wiecie, że w tej chwili w Tol Honeth jest już wiosna?

Znowu westchnął i spojrzał na Belgaratha, który uśmiechał się do niego zagadkowo.

- Co w tym śmiesznego, starcze?

- W zasadzie nic. Przypomniałem sobie coś, co kiedyś usłyszałem. - Czarodziej podszedł do kominka i wyciągnął ręce ku trzaskającym płomieniom. - Kiedy twoi ludzie wejdą na statek?

- Przypuszczam, że będzie gotowy najwcześniej jutro - odrzekł król. - Zbliża się zima, mórz wokół południowego przylądka półwyspu Urga nigdy nie można nazwać spokojnymi,

nawet w czasie najlepszej pogody, więc kazałem cieślom okrętowym szczególnie się przyłożyć.

Pochylił się i niedbale wrzucił udko do ognia.

- Przypalone - powiedział, myśląc o czymś innym. - Każdy posiłek, który w tym domu dostaję, jest albo przypalony, albo surowy.

Spojrzał z zainteresowaniem na Belgaratha.

- Intrygujesz mnie, starcze. Nie wyglądasz na kogoś, kto pod koniec życia wynajmuje się jako ochrona jakiegoś handlarza niewolników z Nyissy.

- Pozory czasem mylą. - Czarodziej wzruszył ramionami. - Wasza wysokość też nie wygląda jak król, a przecież nosi koronę.

Urgit zdjął z głowy swój diadem. Spojrzał na niego z niesmakiem i podał Belgarathowi.

- Chcesz? - zapytał. - Z pewnością wyglądałbyś w tym bardziej dostojnie niż ja. Z chęcią bym się korony pozbył, zwłaszcza, że Kal Zakath tak bardzo pragnie wyjąć spod niej moją głowę.

Upuścił oznakę swej władzy na posadzkę; upadła z brzękiem.

- Wróćmy do tego, o czym rozmawialiśmy wczoraj. Mówiłeś, że znasz Belgariona.

Belgarath skinął głową.

- Jak dobrze?

- Jak dobrze może jeden człowiek znać drugiego?

- Unikasz odpowiedzi.

- Na to wygląda, nieprawdaż?

Urgit zignorował to pytanie. Spojrzał uważnie na starca.

- Powiedz mi, jak według ciebie zareagowałby Belgarion, gdybym zaproponował mu przymierze w celu wypędzenia z kontynentu Mallolean? Jestem pewien, że martwi się z powodu ich obecności niemal tak samo, jak ja.

- Szansę nie są zbyt duże - odpowiedział mu czarodziej. - Może udałoby ci się przekonać do tego pomysłu Belgariona, ale pozostali monarchowie Alornów prawdopodobnie się sprzeciwią.

- Przecież porozumieli się z Drostą, prawda?

- To była sprawa pomiędzy Rhodarem a Drostą. Drasan i Nadraków zawsze łączyło coś w rodzaju przezornej przyjaźni. Wasza wysokość musiałby dojść do porozumienia z Cho-Hagiem, a on nigdy nie odnosił się do Murgów z serdecznością.

- Potrzebni mi sprzymierzeńcy, starcze, nie frazesy. - Król umilkł na chwilę. - A co by

było, gdybym spróbował porozmawiać z Belgarathem?

- A co wasza wysokość by mu powiedział?

- Staralbym się go przekonać, że Kal Zakath jest większym zagrożeniem dla Królestw Zachodu niż ja. Może on mógłby sprawić, by Alornowie posłuchali głosu rozsądku.

- Wątpię, żeby wam się poszczęściło. - Starzec spojrział na tańczące płomienie, a światło z ogniska odbijało się w jego krótkiej, srebrzystej brodzie. - Musisz zrozumieć, panie, że Belgarath nie żyje na tym samym świecie, co zwykli ludzie. On zamieszkuje świat pierwotnych przyczyn i sił. Sądzę, że uważa Kal Zakatha za bardzo nieznaczny problem.

- Na zęby Toraka! - zaklął Urgit. - Skąd wezmę żołnierzy, których tak potrzebuję?

- Użyj najemników - zaproponował Silk, nie odwracając się od okna, przy którym stał.

- Co?

- Trzeba poszperać w królewskich szkatułach i wydobyć nieco osławionego czerwonego złota Angaraków. Roześlij wici w królestwach Zachodu, że potrzebujesz dobrych ludzi i że zapłacisz im dobrym złotem. Ochotnicy będą cię oblegać, panie.

- Wolę ludzi, którzy walczą z pobudek patriotycznych albo religijnych - oświadczył król twardo.

Drasanin odwrócił się z wyrazem rozbawienia na twarzy.

- Zauważyłem tę skłonność u wielu władców. Takie rozwiązanie jest mniej uciążliwe dla królewskich skarbców. Lecz proszę mi wierzyć, wasza wysokość, lojalność w stosunku do jakiejś idei może być większa lub mniejsza, natomiast lojalność wobec pieniędzy nigdy się nie zmienia. Dlatego najemnicy są lepszymi wojownikami.

- Jesteś cynikiem - zarzucił mu Urgit. Silk potrząsnął głową.

- Nie, wasza wysokość. Jestem realistą.

Podszedł do Sadiego i szepnął coś do niego. Eunuch skinął głową, a Drasanin o szturzej twarzy wyszedł z komnaty. Król uniósł pytająco brew.

- Poszedł, aby zacząć się pakować, wasza wysokość - wyjaśnił Sadi. - Skoro wyruszamy jutro, musimy się przygotować.

Urgit i Sadi rozmawiali cicho przez kwadrans, kiedy drzwi otworzyły się ponownie i weszły kobiety na czele z Polgarą i lady Tamazin.

- Dzień dobry, matko - powitał ją Urgit. - Ufam, że dobrze spałaś?

- Dostyc dobrze, dziękuję. - Przyjrzała mu się krytycznie. - Urgicie, gdzie jest twoja korona?

- Zdjąłem ją. Boli mnie od niej głowa.

- Natychmiast włóż ją z powrotem.

- Po co?

- Urgicie, nie wyglądasz jak król. Jesteś niski i szczupły, a twarz masz jak łasica. Murgosi nie są zbyt bystrzy. Jeśli nie będziesz stale nosił korony, może się zdarzyć, że zapomną, kim jesteś. Więc włóż ją szybko.

- Tak, matko. - Podniósł diadem i umieścił go na głowie. - Jak leży?

- Krzywo, mój drogi - powiedziała spokojnym tonem, tak znajomym, że Garion spojrzał na Polgarę ze zdziwieniem. - Wyglądasz teraz jak pijany marynarz.

Urgit zaśmiał się i poprawił koronę.

Garion przyjrzał się uważnie Ce'Nedrze, aby sprawdzić, czy widać jeszcze jakieś ślady płaczu, którego spazmy wstrząsały nią poprzedniego dnia. Nic nie wskazywało na to, by atak mógł się wkrótce powtórzyć. Rozmawiała ściszym głosem z murgoską księżniczką Pralą. Twarz dziewczyny wskazywała, że znalazła się już pod urokiem królowej.

- A ty, Urgicie - zapytała lady Tamazin. - Czy dobrze spałeś?

- Nigdy tak naprawdę nie śpię, matko. Wiesz o tym. Wiele lat temu zdecydowałem, że nerwowy sen jest lepszy od wiecznego.

Garion z trudem zmieniał swój sposób myślenia. Nigdy nie lubił Murgów. Nie ufał im, a nawet się obawiał. Jednakże osobowość króla Urgita była tak niemurgoska, jak jego wygląd. Był pochopny i zmienny, jego nastrój przechodził od sardonicznego rozbawienia do zasmucenia tak szybko, że Garion nie wiedział, czego oczekiwać za chwilę. Najwyraźniej nie był silnym królem, a Garion sam piastował tę godność dosyć długo, by wiedzieć, gdzie Urgit popełnia błędy. Wbrew sobie Belgarion stwierdził, że lubi go i współczuje mu, gdy starał się sprostać zadaniu, do którego absolutnie się nie nadawał. Oczywiście, z tego wynikał problem. Garion nie chciał lubić tego człowieka, ta niechciana sympatia była tu zdecydowanie nie na miejscu. Wstał ze swego krzesła i przeszedł do drugiego końca komnaty, udając, że wygląda przez okno, aby móc znaleźć się poza wpływem układowego sposobu myślenia króla Murgów. Czując nieznośną, nagłą potrzebę, pragnął znaleźć się na pokładzie okrętu, z dala od tego wstrętnego murgoskiego miasta, które przycupnęło na jałowym wybrzeżu i od słabego, bojaźliwego króla, który tak naprawdę nie był złym człowiekiem. Garion zdawał sobie jednak sprawę, że powinien go uważać za swego wroga.

- Co cię martwi, Garionie? - zapytała cicho Polgara, stając za nim.

- Niecierpliwie się, ciociu Pol. Chcę już ruszać.

- Wszyscy chcemy, kochanie, ale musimy wytrzymać jeszcze jeden dzień.

- Dlaczego nie może po prostu zostawić nas w spokoju?

- Kto?

- Urgit. Nie interesują mnie jego problemy, więc dlaczego siedzi tu i ciągle nam o nich opowiada?

- Ponieważ jest samotny, Garionie.

- Wszyscy królowie są samotni. To przychodzi z koroną. Ale większość z nas wie, jak sobie z tym radzić. Nie siedzimy i nie rozczulamy się nad tym.

- Jesteś niesprawiedliwy, Garionie - powiedziała mu stanowczo. - To ciebie niegodne.

- Dlaczego wszyscy tak przejmujemy się słabym królem o ciętym języku?

- Może dlatego, że to pierwszy Murgo, jakiego spotkaliśmy od wieków, który wykazuje jakieś ludzkie cechy. To, że on taki jest, budzi nadzieję, że pewnego dnia Alornowie i Murgowie być może znajdą sposób, aby usunąć to, co ich dzieli, nie uciekając się do przemocy.

Nadal patrzył przez okno, choć powoli zaczął oblewać się rumieńcem.

- Zachowuję się jak dziecko, prawda? - przyznał.

- Tak, kochanie, obawiam się, że masz rację. Kierujesz się swoimi uprzedzeniami. To mogą robić zwykli ludzie. Wracaj na swoje miejsce i obserwuj go bacznie. Możesz go teraz poznać, nie przegap tej okazji. Przyjdzie czas, gdy ta wiedza okaże się pomocna.

- Dobrze, ciociu Pol - westchnął, rozprostowując dziarsko ramiona.

Było już prawie południe, kiedy do komnaty wszedł Oskatat.

- Wasza wysokość - oznajmił ostrym głosem. - Agachak, Hierarcha z Rak Urga, prosi cię o posłuchanie.

- Wprowadź go, Oskatacie - odparł ze znużeniem król. Zwrócił się do swej matki. - Chyba będę musiał poszukać innej kryjówki - burknął. - Zbyt wielu ludzi wie, gdzie mnie znaleźć.

- Mam wspaniały gabinet, Urgicie - odrzekła - ciepły, suchy i ciemny. Mógłbyś się tam schować i przykryć kocem. Od czasu do czasu będziemy ci tam podrzucać jedzenie.

- Żartujesz sobie ze mnie, matko?

- Nie, mój drogi. Ale, chcesz tego, czy nie, jesteś królem. Możesz być albo prawdziwym władcą, albo zepsutym dzieckiem. Wybór należy wyłącznie do ciebie.

Garion rzucił Polgarze pełne skruchy spojrzenie.

- Tak? - zapytała.

Lecz zdecydował się nie odpowiadać.

Trupio błąd Agachak wszedł i niedbale skłonił się królowi.

- Wasza wysokość - powiedział swym pusto brzmiącym głosem.

- Potężny Hierarcho - odrzekł Urgit, jego głos zaś nie zdradzał żadnych uczuć.

- Czas mija, wasza wysokość.

- Zauważyłem, że zawsze to robi.

- Chodzi mi o to, że zanosi się na sztorm. Czy okręt będzie wkrótce gotowy?

- Chcę, żeby wypłynął jutro.

- Wspaniale. Powiem Kabachowi, żeby się przygotował.

- Czy Kapłanka Chabat doszła już do siebie? - zapytał król.

- Nie, wasza wysokość. Wciąż bardzo przeżywa stratę ukochanego.

- Nawet teraz, gdy wie, jakie tak naprawdę żywił do niej uczucia? Czy ktokolwiek może mieć nadzieję, że pojmie umysł kobiety?

- Chabat nie jest tak trudno zrozumieć, wasza wysokość. - Kapłan wzruszył ramionami. - Zeszpecona kobieta ma małe szansę, by przyciągnąć kochanków, więc śmierć nawet nieszczęsna jest bardzo bolesnym przeżyciem. Ale jej strata w tym konkretnym przypadku ma znacznie głębsze podłoże. Sorchak towarzyszył jej podczas odprawiania pewnych obrządków związanych z czarną magią. Bez jego pomocy nie będzie już mogła próbować przyzwać demonów.

Urgit zadrżał.

- Myślałem, że to czarodziejka. Czy to jej nie wystarcza? Dlaczego miałaby się parać jeszcze i czarną magią?

- Chabat nie ma zbyt wielkiej mocy jako czarodziejka - odpowiedział mu Agachak. - Myśli, że będzie miała przewagę, gdy w końcu wystąpi przeciwko mnie, jeśli wesprą ją demony.

- Wystąpi przeciwko tobie? Czy to właśnie planuje?

- Oczywiście. Flirtuje od czasu do czasu, ale to tylko zabawa. Prawdziwym celem zawsze była moc. W swoim czasie będzie musiała spróbować wydrzeć mi moją.

- Jeśli tak się sprawy mają, to dlaczego pozwoliłeś jej zdobyć taką władzę w Świątyni, święty Kapłanie?

- Bawiło mnie to - odrzekł z zimnym uśmiechem. - Brzydota nie odpycha mnie tak, jak innych. Chabat zaś, pomimo ambicji, a może dzięki niej, jest bardzo sprawna.

- Wiedziałaś, że romansuje z Sorchakiem. Czy to nie była dla ciebie obraza, czcigodny Hierarcho?

- W zasadzie nie. To po prostu część zabawy, jaką dla siebie przygotowuję. Chabat w końcu uda się przyzwać demona, a wtedy rzuci mi wyzwanie. W chwili, gdy wyda jej się, że zatriumfowała, ja również wywołam demona, który zniszczy tamtego. Wówczas każę zedrzeć z niej szaty i zawlec do Świętego Przybytku. Tam położą ją na ołtarzu, a ja osobiście powoli

wyrwę jej serce. Z niecierpliwością czekam na tę chwilę, a będzie to tym zabawniejsze, że nastąpi tuż po momencie jej pozornego triumfu. - Jego martwą twarz ożywiło przerażające zadowolenie. Oczy mu się zaświeciły, a w kącikach ust pojawiła się piana.

Urgit zaś przypatrywał mu się z niesmakiem.

- Zdaje się, że ekstrawaganckie rozrywki bardziej interesują Grolimów niż zwykłych ludzi.

- W zasadzie nie, Urgicie. Jedynym powodem, dla którego warto posiadać moc, jest możliwość zniszczenia za jej pomocą wrogów, a to jest szczególnie przyjemne, jeśli można ich przedtem ściągnąć z pewnej wysokości. Czy nie chciałbyś być obecny przy tym, jak Kal Zakath umiera z nożem Dagasha w sercu?

- Nieszczęśliwie. Po prostu chcę się go pozbyć. Nie bardzo zależy mi na oglądaniu, jak do tego dochodzi.

- W takim razie nie wiesz jeszcze, czym naprawdę jest moc. Być może pojmiesz to, kiedy staniemy obaj z Sardiuszem i będziemy świadkami odrodzenia się Boga Ciemności i ostatecznego triumfu Dziecięcia Ciemności.

Król skrzywił się z bólem.

- Nie cofaj się przed swoim przeznaczeniem, Urgicie - rzekł Agachak dźwięcznym głosem. - Proroctwo głosi, że Król Angaraków będzie obecny na ostatecznym spotkaniu. Ty będziesz tym królem, a ja będę tym, który złoży ofiarę i w ten sposób stanę się pierwszym uczniem odrodzonego Boga. Jesteśmy złączeni łańcuchem, a klucze do zamka trzyma fatum. Twoim przeznaczeniem jest być Władcą Angaraków, a moim - sprawować władzę nad Kościołem. Urgit westchnął z rezygnacją.

- Niech będzie, jak mówisz - powiedział strapiony. - Jednak mamy jeszcze kilka problemów do rozwiązania.

- Nie bardzo mnie one interesują - oświadczył kapłan.

- No cóż, dla mnie są ważne - odrzekł król z nieoczekiwaną porywcznością. - Najpierw musimy zająć się Kal Zakathem, a potem usunięciem Gethela i Drosty, żeby mieć pewność. Byłem już raz uwikłany w walkę o tron i czułbym się o wiele pewniej, gdybym został teraz jedynym kandydatem. Natomiast twoje problemy są znacznie poważniejsze. Urvon i Zandramas to bardziej niebezpieczni przeciwnicy.

- Urvon to zgrzybiały stary dureń, a Zandramas jest tylko kobietą.

- Agachaku - rzekł stanowczo Urgit. - Polgara to także tylko kobieta. Czy chciałbyś jej stawić czoło? Nie, Potężny Hierarcho, myślę, że Urvon nie jest tak zgrzybiały, jak sądzisz, a Zandramas jest chyba bardziej niebezpieczna, niż chciałbyś wierzyć. Potrafiła wykraść syna

Belgariona, a to nie lada sztuka. Przemknęła obok ciebie i innych Hierarchów, jakby was w ogóle nie było. Nie lekceważmy jej.

- Wiem, gdzie jest Zandramas - oświadczył z zimnym uśmiechem kapłan - i we właściwym czasie odbiorę jej syna Belgariona. Proroctwo mówi, że ty, ja i dziecko znajdziemy się w obecności Sardiona w wyznaczonym czasie. Ja złożę ofiarę, a ty będziesz świadkiem tego obrzędu i obaj zostaniemy wyniesieni do największych godności. Tak jest napisane.

- Zależy, jak się to odczyta - dodał ponuro król. Garion podszedł do Ce'Nedry, starając się zachowywać niedbale. Kiedy zrozumiała, co powiedział grolimski Hierarcha, krew odpłynęła jej z twarzy.

- To się nie stanie - zapewnił ją cichym, zdecydowanym głosem. - Nikt nie zrobi tego naszemu dziecku.

- Wiedziałaś - oskarżyła go zduszonym szeptem.

- Dziadek i ja dowiedzieliśmy się o tym z Proroctw Grolimów w bibliotece przy Świątyni.

- Och, Garionie - westchnęła, uderzając palcem w powiekę, aby powstrzymać łzy.

- Nie martw się tym. To samo Proroctwo mówiło, że Torak zwycięży pod Cthol Mishrak. Tamto się nie wydarzyło i to też nie nastąpi.

- Ale jeśli...

- Nie ma żadnego jeśli - rzekł stanowczo. - To się nie stanie.

Kiedy Hierarcha wyszedł, nastrój króla się zmienił. Siedział na fotelu i zamyślił się zafrasowany.

- Może wasza wysokość wolałby zostać sam - zaryzykował eunuch.

- Nie, Sadi. - Urgit westchnął. - Łamanie sobie nad tym głowy nie może zmienić tego, co już zaczęliśmy. - Pokręcił głową i wzruszył ramionami, jakby oddalał od siebie całą sprawę. - Opowiedz mi szczegóły twego wykroczenia, które tak bardzo rozsierdziło Salmisrę. Uwielbiam historie o oszustwach. Dzięki nim zdaje mi się, że świat nie jest aż tak zły.

Wkrótce potem Sadi rozwodził się już nad zawiłym spiskiem, który doprowadził do jego upadku. Wówczas wszedł do komnaty szambelan.

- Otrzymaliśmy przesyłkę od wojskowego gubernatora z Cthaka, wasza wysokość - oświadczył.

- Czego on znowu chce? - Urgit burknął prawie z płaczem.

- Donosi, że Malloreanie przygotowują ogromną kampanię na południu. Rak Gorut

jest obleżone i z pewnością padnie w ciągu tygodnia.

- Jesienią? - wykrzyknął Urgit, zrywając się z przerażeniem z siedzenia. - Przygotowują kampanię, kiedy lato się skończyło?

- Na to wygląda - odrzekł Oskatat. - Sądzę, że Kal Zakath ma nadzieję pokonać cię przez zaskoczenie. Kiedy padnie Rak Gorut, pomiędzy jego siłami a Rak Cthaka nie będzie już nikogo.

- A tamtejszy garnizon praktycznie nie istnieje, prawda?

- Obawiam się, że tak, Urgicie. Rak Cthaka również upadnie, a wtedy Kal Zakath będzie miał całą zimę, żeby umocnić się na południu.

Urgit zaklął i podszedł do powieszanej na ścianie mapy.

- Jakie siły mamy tu w Morcth? - zapytał, stukając palcem w mapę.

- Około stu tysięcy. Zanim dotrze do nich rozkaz wymarszu, Malloreanie będą już w połowie drogi do Rak Cthaka.

Król z konsternacją spojrzał na mapę. Wtem uderzył w nią pięścią.

- Znowu mnie przechytrzył! - krzyknął wściekły. Wrócił do swego fotela i zapadł w nim ciężko.

- Chyba lepiej pójdę po Kradaka - stwierdził Oskatat. - Sztab Główny musi się o tym dowiedzieć.

- Rób, co uznasz za stosowne - odparł zrezygnowany król.

Kiedy szambelan wyszedł, Garion podszedł do mapy. Rzucił tylko okiem i od razu znalazł rozwiązanie problemu Urgita, ale nie chciał o tym mówić. Istniało wiele powodów, by się nie odzywał. Najważniejszym było to, że jeśli zaproponuje swoje rozwiązanie królowi Murgów, w pewien sposób stanie się zaangażowany w tę sprawę, a on mocno postanowił w żaden sposób nie wiązać się z tym człowiekiem. Jednakże nie rozwiązana kwestia dręczyła jego poczucie odpowiedzialności; odwrócenie się plecami do obowiązku, nawet nie swojego, budziło sprzeciw w głębi jego duszy. Zaklął pod nosem i zwrócił się do zdruzgotanego Urgita.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość - odezwał się, podchodząc ostrożnie do sprawy - lecz czy mógłbym wiedzieć, jak silne są fortyfikacje Rak Cthaka?

- Jak każdego murgoskiego miasta - odparł król z roztargnieniem. - Mury są wysokie na siedemdziesiąt metrów, a grube na trzydzieści. Co za różnica?

- A więc wytrzymałyby oblężenie, jeśli miałbyś w nim dość ludzi?

- Problem polega na tym, że ich nie mam.

- W takim razie posiłki muszą tam dotrzeć, zanim przybędą tam Malloreanie.

- Cóż za błyskotliwa uwaga. Ale w jaki sposób zdążę wysłać tam ludzi, zanim Malloreanie zaleją ulice?

Garion wzruszył ramionami.

- Wyślij ich morzem.

- Morzem? - król był zaskoczony.

- W porcie jest mnóstwo okrętów, miasto jest pełne wojska. Trzeba załadować ludzi na statki i wysłać ich, aby wzmocnili garnizon w Rak Cthaka. Nawet jeśli Rak Gorut padnie, Malloreanie będą musieli iść dziesięć dni, zanim dotrą do Rak Cthaka. Wzmocniony garnizon wytrzyma oblężenie, aż nadejdzie odsiecz.

Urgit potrząsnął głową.

- Armie Murgosów nie przemieszczają się na okrętach. Moi generałowie nie zechcą o tym słyszeć.

- To ty jesteś królem, prawda? Każ im to zrobić. Na twarzy Urgita pojawił się przestrah.

- Oni mnie nigdy nie słuchają.

Garion zapragnął nagle nim wstrząsnąć. Z trudem opanował złość.

- Marsz nie jest niczym świętym - powiedział. - Zwłaszcza, jeśli będzie cię kosztował utratę Rak Cthaka. Każ swoim generałom załadować oddziały na okręty i powiedz, że ta sprawa nie podlega dyskusji.

- Odmówią.

- Wiec zdegraduj ich i awansuj kilku pułkowników. Urgit spojrzał na niego z przerażeniem.

- Nie mógłbym tego zrobić.

- Jesteś królem. Możesz zrobić wszystko, czego zapragniesz. Murgo zastanawiał się nad tym, niezdecydowany.

- Rób, jak mówi, Urgicie - rozkazała nagle lady Tamazin. - To jedyny sposób, by ocalić Rak Cthaka.

Spojrzał na nią zdezorientowany.

- Naprawdę sądzisz, że powinienem, matko? - zapytał niepewnie.

- Po prostu zrób to. Jak powiedział ten młodzieniec, jesteś królem i myślę, że czas już, byś zaczął się zachowywać, jak królowi przystało.

- Jest jeszcze coś, co musimy wziąć pod uwagę, wasza wysokość - rzekł z ponurym wyrazem twarzy Sadi. - Jeśli Malloreanie rozpoczną oblężenie Rak Cthaka, nie będę mógł tam dopłynąć. Będę musiał przejść tamtędy, zanim rozpoczną się działania wojenne.

Handlarze niewolników mogą poruszać się swobodnie, jeśli nie trafią na jakąś bitwę, a skoro zacznie się wojna, Malloreanie na pewno nas zatrzymają. Jeśli nie wyruszymy natychmiast, twój Dagashi nie dotrze do Rak Hagga przed latem. Król był coraz bardziej zrozpaczony.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał. - Ty i twoi ludzie powinniście być gotowi, by wyruszyć natychmiast. Wyślę kogoś do Świątyni i powiadomię Agachaka, że plany zostały zmienione.

Drzwi otworzyły się. Wszedł Oskatat, a u jego boku szedł oficer, który poprzedniego dnia tak niegrzecznie żądał podpisu króla.

- Ach, generał Kradak - Urgit powitał go z wyraźnie udawaną jowialnością. - Dobrze, że jesteś. Słyszałeś, co się dzieje na południu?

Generał krótko skinął głową.

- Sytuacja jest bardzo poważna - rzekł. - Rak Gorut i Rak Cthaka są w wielkim niebezpieczeństwie.

- Co radzisz, generale? - zapytał król.

- Nie ma tu co radzić. Trzeba pogodzić się z faktem, że straciliśmy Gorut i Cthaka i skoncentrować się na utrzymaniu Rak Urga, Morcth i Araga.

- Generale, w ten sposób pod moją kontrolą pozostaną tylko trzy z dziewięciu okręgów wojskowych Cthol Murgos. Zakath odbiera mi królestwo kawałek po kawałku.

Oficer wzruszył ramionami.

- Nie dotrzemy do Rak Cthaka przed Malloreanami. Miasto upadnie. Nic nie możemy na to poradzić.

- A co by było, gdybyśmy wzmocnili tamtejszy garnizon? Czy to zmieniłoby sytuację?

- Oczywiście, ale to niemożliwe.

- Niekoniecznie - rzekł Urgit, spoglądając szybko na Gariona. - Co powiesz na to, żeby przetrzymać posiłki morzem?

- Morzem? - zdziwił się i odpowiedział zdecydowanie. - To absurd.

- Dlaczego?

- Tego nikt nie robił w Cthol Murgos.

- Myślę, że jest wiele rzeczy, których nikt nie robił w Cthol Murgos. Czy istnieje jakiś powód, dla którego miałyby się nam to nie udać?

- Okrety toną, wasza wysokość - zauważył kwaśno Kradak, jakby mówił do dziecka. - Ludzie wiedzą o tym i nie zechcą wejść na pokład.

Oskatat wystąpił naprzód.

- Nie zrobią tego, jeśli powiesi się w dokach pierwszych dziesięciu, którzy odmówią - powiedział stanowczo. - Taki przykład powinien zmniejszyć opór pozostałych.

Kradak spojrział na siwowłosego mężczyznę z nieukrywaną nienawiścią.

- Co służba domowa może wiedzieć o dowodzeniu? - zapytał.

Zwrócił się znowu do Urgita z ledwie skrywaną drwiną.

- Po prostu zostań na tronie, Urgicie - rzekł ostro. - Baw się swoją koroną i berłem i udawaj, że jesteś prawdziwym królem. Ale nie wtykaj nosa w sprawy dowodzenia wojskiem.

Urgit zbladł i skurczył się w fotelu.

- Czy mam posłać po kata, wasza wysokość? - Oskatat zadał pytanie lodowatym głosem. - Zdaje się, że generał Kradak przestał być użyteczny.

Oficer spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Nie ośmieliłbyś się! - rzucił.

- Twoje życie zależy teraz od kaprysu jego wysokości, Kradaku. Wystarczy jedno jego słowo, a twoja głowa potoczy się w piach.

- Jestem generałem w armii Cthol Murgos. - Chwycił się za wiszący na szyi złoty łańcuch, jakby chciał się upewnić. - Otrzymałem tę godność od samego Taura Urgasa. Nie masz nade mną żadnej władzy, Oskatacie!

Urgit wyprostował się i poczerwieniał ze złości.

- Doprawdy? - powiedział niebezpiecznie cichym głosem. - Może czas już wyjaśnić pewne sprawy.

Zdjął koronę i podniósł ją do góry.

- Czy poznajesz to, Kradaku?

Generał spojrział na niego z kamienną twarzą.

- Odpowiadaj!

- To korona Cthol Murgos - odrzekł ponuro.

- A człowiek, który ją nosi, ma władzę absolutną, tak?

- Taur Urgas miał.

- Taur Urgas nie żyje. Teraz ja zajmuję miejsce na tronie i będziesz posłuszny mnie, tak jak przedtem jemu. Rozumiesz mnie?

- Nie jesteś Taurem Urgasem.

- To bolesna prawda, generale Kradak - odparł zimno Urgit. - Jednakże ja jestem królem i także jestem Urgą. Kiedy jestem poruszony, czuję, jak ogarnia mnie szaleństwo Urgów, a w tej chwili ogarnia mnie bardzo szybko. Jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci każę, będziesz o głowę krótszy, zanim zajdzie słońce. A teraz idź, rozkaż żołnierzom, żeby

wsiadali na okręty.

- A jeśli odmówię?

Na twarzy króla pojawił się wyraz wahania. Z jakiegoś powodu spojrzął na Gariona, szukając wsparcia.

- Zabij go - powiedział Garion kategorycznym, obojętnym tonem, który - jak odkrył - natychmiast wywierał wpływ na ludzi.

Urgit ponownie się wyprostował i zdecydowanie pociągnął za szarfę od dzwonka. Na zewnątrz rozległ się potężny gong. Po chwili pojawili się dwaj krępi Murgowie.

- Tak, wasza wysokość? - zapytał jeden z nich.

- No więc, Kradaku? - Urgit zwrócił się do swego generała. - Co wybierasz? Okręty czy pień? Mów, człowieku. Nie będę tracił dla ciebie całego dnia.

Kradak poszarzał na twarzy.

- Okręty, wasza wysokość - odpowiedział drżącym głosem.

- Wspaniale. Bardzo się cieszę, że udało nam się usunąć te drobne różnice zdań i że nie musieliśmy uciekać się do nieprzyjemnych rozwiązań.

Urgit zwrócił się do gwardzistów.

- Generał Kradak uda się teraz prosto do koszarów Trzeciej Kohorty - rzekł do nich. - Będziecie mu towarzyszyć. Wyda tym ludziom rozkaz, by wsiedli na okręty i popłynęli do Rak Cthaka, aby wesprzeć tamtejszy garnizon. - Rzucił Kardakowi uważne, nieufne spojrzenie. - Jeśli wyda jakieś inne rozkazy, natychmiast utniecie mu głowę i przyniesiecie mi ją w wiadrze.

- Wedle rozkazu waszej królewskiej mości - odpowiedzieli równocześnie Murgowie, uderzając się pięściami w kolczugi.

Kradak odwrócił się, drżący i nagle rozbity. Wyszedł pilnowany przez gwardzistów.

Urgit zachował władczy wyraz twarzy, dopóki nie zamknęły się drzwi, po czym wyrzucił w górę obie ręce, uderzał nogami w posadzkę i krzyczał z radości.

- O, Bogowie! - zawołał zachwycony. - To wspaniale! Czekałem na to całe życie!

Lady Tamazin podniosła się ciężko ze swego miejsca. Podeszła do swego syna i objęła go bez słowa.

- Uczucia, matko? - zapytał lekkim tonem, a szeroki uśmiech opromienił jego twarz o ostrych rysach. - To strasznie niemurgoskie. - Roześmiał się i uściśnął ją mocno jak niedźwiedź.

- Może jest jeszcze nadzieja - królowa powiedziała do Oskatata.

Uśmiech powoli zawitał na ustach ogromnego Murga.

- Teraz wygląda to bardziej zachęcająco, pani - przytaknął.

- Dziękuję za wsparcie, Oskatacie - rzekł Urgit do swego przyjaciela. - Bez twojej pomocy mógłbym sobie z tym nie poradzić. - Umilkł na chwilę. - Chociaż muszę powiedzieć, że trochę mnie zaskoczyłeś, zgadzając się na mój plan.

- Nie zgodziłem się. Uważam, że to absurdalny pomysł, od początku skazany na klęskę.

Król zamrugał ze zdziwienia oczami.

- Chodziło jednak o coś innego, znacznie ważniejszego. - W wyrazie jego twarzy pojawił się ślad szczególnej dumy. - Czy zdaje sobie wasza wysokość sprawę, że pierwszy raz stawiliście czoło któremuś ze swoich generałów? Nie oszczędzali was, odkąd objęliście tron. Utrata kilku okrętów i paru tysięcy ludzi to niska cena za prawdziwego króla na tronie Cthol Murgos.

- Dziękuję za szczerość, Oskatacie - rzekł z powagą Urgit. - Chociaż może nie będzie aż tak źle, jak przypuszczasz.

- Być może, ale Taur Urgas nie zrobiłby tego.

- Wierzę, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym wszyscy uradujemy się, że Taura Urgasa nie ma już z nami. - Nieznacznym, ironicznym uśmiechem pojawił się na wargach króla. - Szczerze mówiąc, już czuję, jak nachodzi mnie fala radości. Przegrywam tę wojnę, przyjacielu, a ktoś, kto znajduje się w takiej sytuacji, nie może pozwolić sobie na to, by być konserwatystą. Muszę ryzykować, jeśli nie chcę dopuścić, aby Kal Zakath paradował po ulicach Rak Urga z moją głową wbitą na włócznię.

- Wedle rozkazu waszej królewskiej mości - odrzekł, kłaniając się szambelan. - Ja również będę musiał wydać pewne rozkazy. Czy mogę odejść?

- Oczywiście.

Oskatat odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Jednak zanim do nich dotarł, otworzyły się i wszedł przez nie Silk. Szambelan zatrzymał się i patrzył srogo na Drasanina. Silk natychmiast sięgnął ręką do kaptura, lecz opuścił ją ze smutnym uśmiechem.

Garion jęknął w duchu. Ostrożnie stanął tuż za Oskatatem, wiedząc, że ma po bokach Durnika i olbrzymiego Totha, gotowych w każdej chwili wkroczyć do akcji.

- Ty! - wykrzyknął szambelan. - Co ty tu robisz? Silk spojrział na niego zrezygnowany.

- Jestem tu przejazdem, Oskatacie - odpowiedział niedbale. - Ufam, że zdrowie ci dopisuje?

Urgit zainteresował się nimi.

- O co chodzi?

- Szambelan i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, wasza wysokość - odparł Drasanin. -
Wiele lat temu spotkaliśmy się w Rak Goska.

- Czy wasza wysokość zna prawdziwą tożsamość tego człowieka? - chciał wiedzieć
Oskatat.

Urgit wzruszył ramionami.

- To jeden ze sług Sadiego. Przynajmniej tak mi mówiono.

- Niezupełnie, Urgicie. To księżę Kheldar z Drasni, najślynniejszy szpieg na świecie.

- Szambelan chyba nieco mnie przecenia - zauważył skromnie Silk.

- Czy zaprzeczysz, że zamordowałeś żołnierzy, których Taur Urgas wysłał, aby cię
zatrzymali, kiedy zdemaskowano twój spisek w Rak Goska? - zapytał oskarżycielskim tonem
Oskatat.

- Me wiem, czy słowo „zamordować” jest najwłaściwsze, panie - skrzywił się Silk. -
Cóż, przyznaję, że zaszły pewne nieprzyjemne okoliczności, ale to niezręczne podsumowanie.

- Wasza wysokość - rzekł ponury, stary Murgo. - Ten człowiek odpowiada za śmierć
Doraka Urgasa, twego najstarszego brata. Dawno temu wydano na niego wyrok śmierci z
zaleceniem natychmiastowego wykonania, więc od razu poślę po kata.

Rozdział XV

Urgit zamarł. Oczy mu się zwężyły, gdy obgryzał ze zdenerwowania paznokcie. -
Dobrze, Sadi - powiedział - o co w tym wszystkim chodzi?

- Wasza wysokość, ja... - eunuch rozłożył ręce.

- Nie udawaj przede mną niewiniątka - zniecierpliwiał się król. - Czy wiedziałeś, kim jest ten człowiek? - wskazał na Silka.

- No, tak, ale...

- I postanowiłeś mi nie mówić? W co ty grasz, Sadi?

Eunuch zawahał się, a Garion zobaczył krople potu występujące mu na czoło. Durnik i Toth przeszli swobodnie, jakby po prostu chcieli usunąć się na bok, minęli Oskatata i oparli się o ścianę po obu stronach drzwi.

- No więc, Sadi? - nalegał Urgit. - Słyszałem o tym księciu Kheldarze. To nie tylko szpieg; jest także zabójcą.

Nagle oczy mu się rozszerzyły.

- A więc o to chodzi! - z wrażenia zabrakło mu tchu. Spojrzał na Silka. - Belgarion przysłał cię tu, żebyś mnie zgładził, prawda? Ciebie i tych Alornów?

- Nie pleć głupstw, Urgicie - odezwała się ze swego miejsca lady Tamazin. - Przesiadywałeś z tymi ludźmi całymi godzinami sam na sam. Gdyby mieli cię zabić, dawno już byś nie żył.

Zastanowił się nad tym.

- Dobrze. Mów, książę Kheldarze. Chcę wiedzieć dokładnie, co tu robisz. Mów.

Silk wzruszył ramionami.

- Jest tak, jak powiedziałem lordowi Oskatadowi, wasza wysokość. Jestem tu przejazdem. Udaję się do innej części świata.

- Dokąd?

- No, tu i tam - odparł wymijająco.

- Chcę słyszeć jasne odpowiedzi - oświadczył Urgit.

- Czy mam posłać po kata, wasza wysokość? - zapytał złowróźnie Oskatat.

- To może być dobry pomysł - przyznał król.

Szambelan odwrócił się, lecz stwierdził, że Durnik i niewzruszony Toth zagradzają mu drogę. Urgit, natychmiast orientując się w sytuacji, sięgnął szybko po sznurek od dzwonka, aby wypełnić komnatę uzbrojonymi Murgami.

- Urgicie! - zawołała lady Tamazin. - Nie! Zawahał się.

- Rób, co ci mówię!

- O co chodzi? - zapytał.

- Rozejrzyj się. Jeśli dotkniesz tej szarfy, jeden z tych ludzi przyłoży ci nóż do gardła, zanim zdążysz raz za nią pociągnąć.

Nagle ogarnęło go przerażenie i powoli opuścił rękę. Sadi odchrząknął.

- Hm, wasza wysokość - rzekł. - Uważam, że królowa matka właściwie oceniła sytuację. Możemy nawzajem narobić sobie kłopotów. Czy nie byłoby mądrzej porozmawiać o tym na spokojnie, zanim uciekniemy się do drastycznych rozwiązań?

- Czego ty chcesz, Sadi? - Urgit zapytał go drżącym głosem.

- Tylko tego, co cały czas planowałeś, panie. Jak mówił Kheldar, nasze sprawy każą nam udać się do innej części świata i nie dotyczą cię bezpośrednio. Daj nam okręt, co i tak chciałeś zrobić, a w zamian my dostarczymy twego Dagashiego do Rak Hagga, tak jak obiecaliśmy. Potem zajmiemy się naszymi sprawami. To chyba uczciwa propozycja?

- Posłuchaj go, Urgicie - naciskała lady Tamazin. - Ma wiele racji.

Na twarzy króla malowała się niepewność.

- Naprawdę tak sądzisz, matko?

- Jak mogą ci zaszkodzić, kiedy przekroczą linie wojsk Mallolean? Jeśli cię denerwują, to pozbadź się ich stąd jak najszybciej.

- Wszystkich z wyjątkiem tego - Oskatat wskazał na Silka.

- On jest nam bardzo potrzebny, panie - zauważył grzecznie Sadi.

- Zabił Doraka Urgasa - powtórzył szambelan z uporem.

- Później możemy dać mu za to medal, Oskatacie - rzekł Urgit.

Szambelan obrócił ku niemu wzrok.

- Och, daj spokój, przyjacielu. Nienawidziłeś Doraka tak samo jak ja.

- Był murgoskim księciem, wasza wysokość. Jego mordercę trzeba ukarać.

- Zapominasz chyba, że ja zamordowałem kilkunastu braci, także murgoskich książąt, aby zdobyć koronę. Czy mnie też chcesz ukarać? - Urgit spojrział znowu na Sadię. - Chociaż nie byłoby niczym złym, gdybym zatrzymał Kheldara w Drojim, jako pewnego rodzaju gwarancję. Jak tylko dotrzecie do Rak Hagga, uwolnię go. Później was dogoni.

Sadi jęknął z bólu.

- Zapominasz o czymś bardzo istotnym, Urgicie - powiedziała lady Tamazin, pochylając się ku synowi.

- Tak? Co takiego, matko?

- Książę Kheldar z Drasni należy do najbliższych przyjaciół Belgariona. To doskonały poseł, który może przekazać wiadomość od ciebie Rivańskiemu Królowi.

Spojrzał ostro na Silka.

- Czy to prawda? Naprawdę znasz Belgariona?

- Szczerze mówiąc, dosyć dobrze - odparł Silk. - Znam go, odkąd był małym chłopcem.

- Ten starzec mówił, że Belgariona nie ma teraz w Rivie. Czy domyślasz się, gdzie mógłbyś go znaleźć?

- Wasza wysokość - odpowiedział z kamienną twarzą. - Mogę przysiąc, że wiem dokładnie, gdzie przebywa w tej chwili król Rivy.

Urgit podrapał się po policzku, patrząc na niego podejrzliwie.

- Powiedzmy, że dam ci wiadomość dla Belgariona. Co cię powstrzyma przed tym, by ją wyrzucić i dołączyć do przyjaciół?

- Etyka. - Drasanin wzruszył ramionami. - Zawsze robię to, za co mi płacą. Wasza wysokość chciał mi zapłacić, prawda?

Król popatrzył na niego chwilę, po czym odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Jesteś zupełnie szalony, Kheldarze - rzekł. - Dwa kroki dzielą cię od pnia kata, a ty jak gdyby nigdy nic próbujesz wydrzeć ode mnie pieniądze.

Silk westchnął i rozejrzał się wokół posępnie.

- Dlaczego słowo „płacić” powoduje konsternację u wszystkich królów na świecie? Z pewnością wasza wysokość nie oczekuje, że wypełnię dla niego tę wyjątkową misję bez żadnego wynagrodzenia, prawda?

- Nie sądzisz, że zachowanie głowy to więcej niż wystarczająca zapłata?

- Och, uważam, że jestem tu dość bezpieczny. Ponieważ nikt na świecie oprócz mnie nie może zagwarantować, że twoja wiadomość dotrze do celu, jestem chyba zbyt cenny, by mnie zabić. Czy wasza wysokość nie zgodzi się ze mną?

Wtem lady Tamazin roześmiała się, a twarz jej przybrała dziwny wyraz, kiedy spojrzała na nich obu.

- Co w tym śmiesznego, matko? - zapytał król.

- Nic, Urgicie. Zupełnie nic.

Władca wciąż był niezdecydowany. Spojrzał z nadzieją na szambelana.

- Co o tym sądzisz, Oskatacie? Czy mogę zaufać temu nikczemnikowi?

- Decyzja należy do waszej wysokości - odrzekł oficjalnym tonem Murgo.

- Nie pytam cię jako król - rzekł do niego Urgit. - Pytam cię jako przyjaciela.

Oskatat skrzywił się.

- To okrutne, Urgicie. Kazesz mi wybierać pomiędzy obowiązkiem a przyjaźnią.

- Niech więc tak będzie. Możemy tak to określić. Co powinienem zrobić?

- Jako król, powinieneś być posłuszny prawu, nawet jeśli będzie to wbrew twoim interesom. Natomiast jako człowiek powinieneś chwytać się każdej możliwości uniknięcia katastrofy.

- No więc? Co powinienem zrobić? Mam być królem czy człowiekiem? Co radzisz?

Pytanie to zawisło w powietrzu pomiędzy nimi. Szambelan unikał wzroku Urgita. Spojrzał natomiast na lady Tamazin, szukając u niej wsparcia.

- Niech Torak mi wybaczy - burknął wreszcie. Wyprostował się i spojrzał królowi prosto w twarz.

- Ratuj się, Urgicie - powiedział. - Jeśli ten Drasanin może doprowadzić do zawarcia przymierza z Belgarionem, zapłać mu, ile zażąda i wyślij w drogę. Belgarion może oszukać cię później, lecz Kal Zakath już teraz szuka twojej głowy. Bez względu na cenę, potrzebujesz sprzymierzeńca.

- Dziękuję, Oskatacie - rzekł król ze szczerą wdzięcznością w głosie.

Zwrócił się do Silka.

- Jak szybko możesz dotrzeć do Belgariona? - zapytał.

- Wasza wysokość - odparł Drasanin. - Belgarion może otrzymać twą wiadomość szybciej, niż możesz to sobie wyobrazić. Czy możemy teraz porozmawiać o cenie? - Jego długi, spiczasty nos zaczął drżeć w znajomy dla Gariona sposób.

- Ile chcesz? - zapytał ostrożnie król.

- Och - Silk udawał, że się nad tym zastanawia. - Myślę, że sto tolnedrańskich dukatów wystarczy.

Urgit aż otworzył usta.

- Sto dukatów? Jesteś szalony!

Silk spokojnie przyjrzał się swym paznokciom.

- Cena nie jest jeszcze ostateczna, wasza wysokość - przyznał. - Chciałem ustalić jej zakres, tak na dobry początek.

Oczy Urgita zaświeciły się dziwnie. Pochylił się naprzód, skubiąc mimowolnie nos.

- Myślę, że mógłbym ci zapłacić mniej więcej dziesięć - odparował. - Nawet nie mam tyle złota w skarbcu.

- Och, nic nie szkodzi - rzekł wspaniałomyślnie Drasanin. - Z chęcią przyjmę angarackie monety. Z pewnym rabatem, oczywiście.

- Rabatem?

- Wiadomo, że złoto Angaraków jest sfalszowane, królu Urgicie. Dlatego jest czerwone, a nie żółte.

Urgit przyjrzał mu się uważnie.

- Weź sobie krzesło - zaproponował. - To może chwilę potrwać.

Co dziwne, jego nos również zaczął drżeć.

Nastąpił pokaz zadziwiającej wirtuozerii obu negocjatorów. Garion widział Silka w takiej sytuacji już wiele razy i zawsze wierzył, że jego długonosy przyjaciel nie miał sobie równych, jeśli chodzi o wyciąganie jak największych korzyści z każdej nadarzającej się okazji. Jednakże Urgit szybko udowodnił, że on również jest mistrzem w tej grze. Kiedy Silk, odpowiednio przesadzając, opisał niebezpieczeństwa, którym będzie musiał stawić czoło, aby dostarczyć wiadomość, Urgit odparował mu, proponując murgoską obstawę zamiast zwiększania wydatków. Drasanin porzucił tę linię ataku i przez pewien czas koncentrował się na ogromnych kosztach, które będzie musiał ponieść: świeże konie, jedzenie i noclegi, łapówki i tym podobne. Za każdym razem król Murgów proponował pomoc, a nie pieniądze: konie, jedzenie i noclegi w ambasadach Cthol Murgos lub w misjach handlowych oraz solidne biura murgoskich urzędników, do których mógłby wstąpić, gdyby musiał kogoś przekupić. Silk udał, że się nad tym zastanawia, cały czas nie spuszczał z oka twarzy przeciwnika. Wówczas cofnął się na uprzednio przygotowaną pozycję, podkreślając swą przyjaźń z Rivańskim Królem oraz fakt, iż on, być może lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, mógłby przedstawić Belgarionowi proponowane przymierze w jak najbardziej korzystnym świetle.

- W końcu - stwierdził - rzecz sprowadza się do tego, ile wart jest dla waszej wysokości ten sojusz, czyż nie?

- Wart jest bardzo dużo - przyznał Urgit ze zwodniczą szczerością. - Ale, choć przyznaję, że będziesz najlepszym posłańcem, to nie ma żadnej gwarancji, iż Belgarion się nań zgodzi, prawda?

Umilkł, a wyraz jego twarzy świadczył, że właśnie przyszedł mu do głowy jakiś pomysł.

- Coś ci powiem - rzekł z udawanym entuzjazmem - ustalmy może umiarkowaną cenę za samo dostarczenie wiadomości - och, powiedzmy, dziesięć dukatów, jak proponowałem przedtem.

Twarz Drasanina skamieniała, lecz Urgit uniósł rękę.

- Wysłuchaj mnie, panie - powiedział. - Jak mówiłem, zgodzimy się na tę sumę jako

zapłatę za dostarczenie wiadomości. Potem, jeśli Belgarion zgodzi się zawrzeć sojusz, z przyjemnością zapłacę ci resztę pieniędzy, których żądałeś.

- Nie bardzo to sprawiedliwe, wasza wysokość - oponował Silk. - Całą sprawę składasz w ręce osoby postronnej. Mogę ręczyć za dostarczenie, ale nie za wyrażenie zgody. Belgarion to niezależny król. Nie mogę powiedzieć mu, co ma robić i w żaden sposób nie potrafię przewidzieć, jak odpowie na twoją ofertę, panie.

- Czy nie mówiłeś, że jesteś jego starym przyjacielem? Z pewnością znasz go dostatecznie dobrze, by mieć chociaż pewne pojęcie na temat tego, co będzie sądził o tej sprawie.

- Wasza wysokość zmienia podstawę naszych negocjacji - oskarżył go Silk.

- Tak, wiem o tym - Urgit uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Cena za zawarcie sojuszu pomiędzy waszą wysokością a Belgarionem musiałaby być znacznie wyższa - kontrował Silk. - Przecież to, co wasza wysokość proponuje, jest nadzwyczaj niebezpieczne.

- Niebezpieczne? Nie rozumiem cię, mój drogi.

- Belgarion nie może postępować zawsze tak, jak chce. Choć jest Władcą Zachodu, to i tak odpowiada przed pozostałymi królami, zwłaszcza Alornami; a mówiąc szczerze, Alornowie nienawidzą Murgów. Jeśli przekonam go do przymierza z tobą, ci inni alorscy królowie mogą dojść do wniosku, że jestem zdrajcą. Może się zdarzyć, że będę musiał uciekać przed ich zabójcami do końca życia.

- Trudno mi w to uwierzyć, Kheldarze.

- Wasza wysokość ich nie zna. Alornowie to przerażająco mściwa rasa. Nawet moja własna ciotka kazałaby mnie ścigać, jeśli uznałaby, że zdradziłem alorski sposób pojmowania świata. To, co wasza wysokość proponuje, jest absolutnie wykluczone, chyba że zaczniemy rozmawiać o naprawdę rozsądnych sumach, oczywiście.

- Jak rozsądnych? - zapytał ostrożnie Urgit.

- No cóż, zastanówmy się... - Silk udawał głęboką zadumę. - Naturalnie musiałbym zrezygnować ze wszystkich interesów w Królestwach Zachodu. Jeśli Alornowie uznają mnie za banitę, całe moje mienie i tak zostanie skonfiskowane. Moje przedsięwzięcia handlowe są zakrojone na szeroką skalę i oszacowanie ich właściwej wartości zajmie nieco czasu. Potem, oczywiście, będę musiał ponieść kosztą rozpoczęcia działalności w takiej części świata, w której Alornowie nie zdołają mnie wytropić.

- To dziecinnie łatwe, Kheldarze. Przyjedź do Cthol Murgos. Ja cię ochronię.

- Bez obrazy, wasza wysokość, ale Cthol Murgos mi nie odpowiada. Zastanawiałem

się nad Mal Zeth, albo może Melcene. Myślę, że dobrze wiodłoby mi się w Melcene.

- Silku - odezwał się nagle Belgarath. - Jaki to wszystko ma sens?

- Ja tylko...

- Wiem, w co grasz. Możesz zabawiać się innym razem. W tej chwili musimy złapać okręt.

- Ale, Belg... - Drasanin zorientował się natychmiast i kątem oka spojrzął na Urgita.

- Nie masz prawa wydawać rozkazów, starcze - rzekł król Murgów. Rozejrzał się podejrzliwie. - Dzieje się tu coś, co mi się nie podoba. Nie sądzę, żeby ktokolwiek dziś dokąś wyruszył. Nie wypuszczę nikogo, dopóki nie dowiem się, o co wam tak naprawdę chodzi.

- Nie bądź niemądry, Urgicie - przerwała mu matka. - Ci ludzie muszą natychmiast wyjechać.

- Nie przeszkadzaj, matko.

- Więc przestań zachowywać się jak dziecko. Sadi musi minąć Rak Cthaka, zanim wybuchnie tam bitwa, a Kheldar powinien wyruszyć do Belgariona w ciągu godziny. Nie odrzucaj tej szansy z czystego zaciętrzewienia.

Ich oczy spotkały się. Urgit nagle rozżościł się, lecz jego matka była bezlitosna. Minęło nieco czasu, nim król opuścił wzrok.

- To do ciebie niepodobne, matko - wymamrotał. - Dlaczego chcesz mnie upokorzyć w obecności tych ludzi?

- Nie chcę, Urgicie. Pragnę tylko, żebyś myślał rozsądnie. Król zawsze musi nagiąć swą wolę do rzeczywistości, nawet jeśli rani to jego dumę.

Przyjrzał się jej długo, uważnie.

- Czas nas tak bardzo nie nagli, matko. Sadiemu się tak nie spieszy, a Kheldar również może jeszcze zostać dzień czy dwa. Mógłbym sobie pomyśleć, że nie chcesz, abym z nimi dalej rozmawiał.

- Bzdura! Królowa zbladła.

- Denerwujesz się, matko - naciskał. - Dlaczego?

- Nie może ci powiedzieć - odezwał się nagle Eriond. Młodzieniec siedział na ławce przy oknie; jasne włosy złociły się w promieniach jesiennego słońca.

- Co?

- Matka nie może ci tego powiedzieć - powtórzył. - To tajemnica, którą ukryła w swym sercu, zanim się urodziłaś.

- Nie! - lady Tamazin zawołała wbrew sobie. - Nie wolno ci!

- Co to za tajemnica? - dopytywał się Urgit, prześlizgując roziskrzonymi oczami po ich twarzach.

Rumieniec powoli wypłynął na twarz Erionda.

- Naprawdę wolałbym nie mówić - odparł z pewnym zażenowaniem.

Velvet przyglądała się ich rozmowie z pełną uwielbienia uwagą; kiedy zadziwiające podejrzenie zaświtało w umyśle Gariona, wybuchnęła śmiechem.

- Cóż w tym śmiesznego, młoda damo? - zapytał ze złością Urgit.

- Dziwna myśl przyszła mi do głowy, wasza wysokość - odpowiedziała i zwróciła się do lady Tamazin. - Czy nie mówiłaś, że znałaś ojca księcia Kheldara, pani?

Królowej zadrżał podbródek. Wciąż była śmiertelnie blada. Nie odpowiedziała.

- Więc jak dawno to było? - pytała dalej Velvet. Tamazin wciąż nie otwierała zaciśniętych ust. Liselle westchnęła i spojrzała na Silka.

- Kheldarze - powiedziała - dosyć dawno temu twój ojciec odwiedził Rak Goska, zgadza się? Myślę, że była to jakaś misja handlowa na polecenie króla Rhodara. Czy przypadkiem nie przypominasz sobie, ile lat minęło od tamtego czasu?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie wiem. Musiało to być... - zamyślił się nad tym. - Pamiętam, że matka i ja zostaliśmy w pałacu w Boktorze, kiedy on wyjechał. Chyba miałem wtedy około ośmiu lat. W takim razie to było jakieś czterdzieści lat temu, jak sądzę. O co ci chodzi, Liselle?

- Ciekawe - mruknęła, ignorując pytanie. - Lady Tamazin. Cały czas powtarza pani swemu synowi, że nie oszaleje, ale czyż każdy mężczyzna z rodu Urgitów nie staje się ofiarą tego dziedzicznego nieszczęścia? Co sprawia, że tak ufasz, iż jego w jakiś sposób ominie to przekleństwo?

Tamazin zbladła jeszcze bardziej, usta miała jakby zasznurowane.

- Lordzie Szambelanie - Velvet zwróciła się do Oskatata - pytam z czystej ciekawości, ile lat ma jego wysokość?

Twarz Oskatata również stała się blada jak kreda. Spojrzał z przerażeniem na lady Tamazin i także zamknął usta.

- Mam trzydzieści dziewięć lat - rzucił król. - Co za róż... - Przerwał nagle, oczy mu się rozszerzyły, odwrócił się z wyrazem zaskoczenia i niedowierzania. - Matko! - zawołał.

Sadi zaczął się śmiać.

- Wprost uwielbiam szczęśliwe zakończenia, a ty? - Velvet powiedziała radośnie do Ce'Nedry.

Spojrzała figlarnie na Silka.

- No nie siedź tak, Kheldarze. Idź, uściskaj brata.

Lady Tamazin podniosła się powoli z wyrazem dumy na twarzy.

- Wezwij kata, Oskatarie - rzekła. - Jestem gotowa.

- Nie, pani - odparł. - Nie zrobię tego.

- Takie jest prawo, Oskatacie - upierała się. - Murgoska kobieta, która splami honor swego męża musi natychmiast umrzeć.

- Och, siadaj, matko - powiedział Urgit, mimowolnie gryząc kostkę dłoni. - Nie czas teraz na komedie.

Oczy Silka również rozszerzyły się nieco.

- Bystra jesteś, Liselle - powiedział zduszonym głosem.

- Nie bardzo - przyznała. - Powinnam była to odgadnąć już dawno. Jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody, a on targuje się prawie tak sprytnie, jak ty.

Spojrzała na oszołomionego króla Murgów, a dołeczki pojawiły się na jej policzkach.

- Jeśli wasza wysokość będzie miał kiedyś dosyć tronu, jestem pewna, że mój wuj znajdzie dla ciebie zajęcie.

- To trochę zmienia sytuację, Urgicie - rzekł Belgarath. - Wszyscy wiedzą o uprzedzeniach, jakie żywią twoi poddani. Jeśli dowiedzą się, że nie jesteś Murgiem, mogą się nieco rozżłościć, nie sądzisz?

Urgit patrzył wciąż na Silka.

- Och, zamknij się, starcze - powiedział machinalnie. - Pozwólcie mi to przemyśleć.

- Naturalnie wasza wysokość zdaje sobie sprawę, że może polegać na naszej absolutnej dyskrecji.

- Oczywiście - odparł sucho król. - Dopóki będę robił dokładnie to, czego chcecie.

- No tak, to chyba naturalne. Urgit spojrzał na swojego szambelana.

- No cóż, Oskatacie. Czy popędzisz teraz do okna na najwyższym piętrze Drojim i ogłosisz to całemu miastu?

- Po co? - Oskatat wzruszył ramionami. - Od dnia twoich urodzin, wiedziałem, że nie jesteś synem Taura Urgasa.

Lady Tamazin otworzyła usta, lecz zaraz powędrowała do nich jej dłoń.

- Wiedziałeś, Oskatacie? I utrzymywałeś moją hańbę w tajemnicy?

- Pani - odrzekł z uroczystym ukłonem - nie zdradziłbym cię nawet na torturach.

Rzuciła mu zagadkowe spojrzenie.

- Dlaczego, Oskatacie? - zapytała delikatnie.

- Pochodzisz z rodu Hagga, tak samo jak ja. Lojalność wobec swej krwi jest bardzo

ważna w Cthol Murgos.

- Czy to wszystko, Oskatacie? Czy to jedyny powód, dla którego zostałeś moim przyjacielem i chroniłeś mego syna?

Spojrzał jej prosto w twarz.

- Nie, pani - odpowiedział niemal z dumą. - Nie jedyny. Zakryła oczy rzęsami.

- Inne jeszcze przyczyny kazały mi nie wyjawiać twego sekretu, może mniej osobiste, lecz równie ważne. Dynastia Urgów doprowadziła Cthol Murgos na skraj przepaści. W młodym Urgicie widziałem największą nadzieję dla królestwa. Być może chciałem, aby stał się bardziej stanowczy, lecz jego zdolności umysłowe były naprawdę obiecujące. Na długą metę mądry król jest lepszy niż silny a tępy.

Belgarath podniósł się ze swego miejsca.

- Muszę przerwać to radosne spotkanie - oświadczył. - Niestety, musimy już ruszać. Zbyt wiele tajemnic wychodzi tu na jaw.

Zwrócił się do Urgita.

- Czy wysłałeś wiadomość do Świątyni? Jeśli ten Dagashi Agachaka chce się z nami zabrać, musi natychmiast przybyć do portu.

Urgit zaczął ze złością podnosić się z fotela, po czym zatrzymał się, a oczy mu się zwężyły.

- Kim ty właściwie jesteś, starcze? - zapytał. - Wyglądasz jak włóczęga, ale rozdajesz wszystkim rozkazy jak imperator.

Oczy lady Tamazin, która przyglądała się Belgarathowi od pewnego już czasu, rozszerzyły się. Spojrzała ze zgrozą na Polgarę.

- Urgicie! - powiedziała na wpół zduszonym szeptem.

- Tak, matko?

- Spójrz na niego, przyjrzyj się uważnie. A teraz popatrz na jego córkę.

- Córkę? Nie wiedziałem, że są spokrewnieni.

- Ja też nie... do tej chwili. - Królowa matka spojrzała Polgarze prosto w twarz. - To twój ojciec, nieprawdaż, lady Polgaro?

Ciocia Pol wyprostowała się, a biały lok nad brwią zabłysnął w blasku świecy.

- Myślę, że wystarczy już tego, ojcze - rzekła do starca krzywo. - Chyba nie ma już sensu się ukrywać, prawda?

- Przyjacielu - powiedział lekko Silk. - Naprawdę powinieneś zrobić coś ze swoim wyglądem. Ludzie opowiadali sobie, jak wyglądasz przez wszystkie te tysiąclecia, więc muszą cię ciągle rozpoznawać. Czy myślałeś kiedyś o tym, żeby zgolić brodę?

Urgit wpatrywał się w starca z wyrazem niemal przerażenia na twarzy.

- Och, przestań. Urgit cofnął się.

- Tego też nie rób. Nie wiem, co ci o mnie mówiono, ale nie odgryzam dla zabawy główek murgoskim dzieciom.

Skubał się w zamyśleniu za uchem, patrząc najpierw na Urgita, potem na lady Tamazin, aż wreszcie na Oskatata i Pralę.

- Sądzę, że trzeba trochę zmienić plany. Zdaje mi się, że będziecie musieli nagle pokochać morskie podróże, z powodu ostrożności. Wszyscy mamy pewne tajemnice, których wolelibyśmy nie zdradzać. A w ten sposób możemy mieć na siebie oko.

- Nie mówisz poważnie! - wybuchł Urgit.

- Owszem, mówię. Nie lubię zostawiać za sobą nie rozwiązanych problemów.

Wtem drzwi się otworzyły, a Garion obrócił się ku nim, lecz zatrzymał dłoń, zanim jeszcze dosięgła rękojeści miecza. Murgoski oficer wszedł do komnaty i rozejrzał się ciekawie, wyczuwając panujące w niej napięcie.

- Hm, przepraszam, wasza wysokość - odezwał się ostrożnie.

Urgit spojrział na niego z nagłym błyskiem nadziei w oczach, lecz zaraz rzucił bojaźliwe spojrzenie na Belgaratha.

- Tak, pułkowniku - odpowiedział przezornie neutralnym tonem.

- Właśnie otrzymaliśmy wiadomość od Hierarchy, wasza wysokość. Polecono mi donieść, że Dagashi Kabach w ciągu godziny znajdzie się w porcie.

Durnik i Toth ruszyli zgodnie i zbliżyli się chyłkiem do Oskatata, po czym stanęli tuż przy nim; Polgara zaś podeszła do fotela lady Tamazin.

Twarz Urgita wykrzywiało przerażenie.

- Bardzo dobrze, pułkowniku - odparł. - Dziękuję ci. Oficer skłonił się i obrócił ku drzwiom.

- Pułkowniku - zatrzymał go donośny głos Prali. Zwrócił się do niej, pełen szacunku.

- Tak, księżniczko?

Velvet zbliżała się do murgoskiej dziewczyny z pozorną niedbałością. Garion wzdrygnął się na myśl o nagłym, strasznym gwałcie, który wisiał w powietrzu; jednocześnie mierzył odległość, dzielącą go od niczego nie podejrzewającego oficera.

- Czy dostaliście jakieś meldunki na temat warunków pogodowych wzdłuż południowego wybrzeża? - zapytała spokojnie Prala.

- Dostyc silny wiatr, wasza wysokość - odpowiedział pułkownik - a w okolicach krańca półwyspu zawsze trafia się na szkwał.

- Dziękuję, pułkowniku. Skłonił się i wyszedł.

Garion nagle wypuścił powietrze z piersi.

- Lordzie Belgaracie - głos Prali brzmiał rzeško. - Nie możesz narażać lady Tamazin na taką pogodę. Nie pozwolę na to.

Czarodziej zdziwił się.

- Nie pozwolę? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Zdecydowanie nie. Jeśli będziesz się upierać, zacznę krzyczeć tak, że zadrzą mury.

Zwróciła się chłodno do Velvet.

- Nie zbliżaj się ani o krok, Liselle - ostrzegła. - Zanim mnie zabijesz, wrzasnę przynajmniej dwa razy, a wtedy przybiegną tu wszyscy gwardziści z pałacu.

- Ojczy, ona ma rację - rzekła ze spokojem Polgara. - Tamazin nie wytrzyma trudów podróży.

- Czy nie moglibyśmy...

- Nie, ojczy - odparła stanowczo. - To absolutnie wykluczone.

Zaklął szpetnie pod nosem i skinął na Sadiego. Przeszli do drugiej części komnaty i przez chwilę cicho ze sobą rozmawiali.

- Pod kaftanem masz nóż, prawda, Kheldarze? - zapytał Urgit.

- Nawet dwa - odpowiedział rzeczowo Silk. - Jeden w bucie i jeszcze jeden na sznurku na plecach. Lubię być przygotowany na niespodzianki, lecz po co roztrząsać nieprzyjemne zdarzenia, które nigdy nie miały miejsca?

- Jesteś przerażającym człowiekiem, Kheldarze.

- Wiem.

Belgarath wrócił do nich.

- Lady Tamazin - rzekł. Królowa matka uniosła podbródek.

- Tak?

- W tej sytuacji myślę, że możemy polegać na twojej dyskrecji. Udowodniłaś już, iż potrafisz dochować tajemnicy. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że życie twoje i twego syna zależy od tego, czy nie wyjawisz tego, co tu usłyszałaś, zgadza się?

- Chyba tak.

- I tak będziemy musieli dla pozorów zostawić tu kogoś, kto będzie sprawował władzę, więc wszystko powinno się udać.

- To, co planujesz, lordzie Belgaracie, jest absolutnie niemożliwe.

- Naprawdę chciałbym, żeby ludzie przestali używać tego słowa. W czym tkwi problem?

- Murgowie nie przyjmą rozkazów od kobiety. Czarodziej odchrząknął ponuro.
- Ach, prawda. Zapomniałem o tych szczególnych murgoskich uprzedzeniach.
- Lordzie Oskatacie - rzekł Sadi.

Twarz szambelana przybrała kamienny wyraz, kiedy rzucił krótkie spojrzenie na stojących po jego bokach Durnika i Totha.

- Czy nie byłoby logiczne, gdybyś właśnie ty zajął się sprawami państwowymi podczas nieobecności jego wysokości?

- Być może.

- Jak bardzo jesteś lojalny wobec swojej krewnej lady Tamazin?

Oskatat rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Eriondzie - odezwała się Ce'Nedra.

- Tak?

- Czy możemy zaufać szambelanowi, że nie wyśle tuż za nami floty?

Garion spojrzał nań szybko. Zapomniał o niezwykłej zdolności swego młodego przyjaciela, który potrafił zaglądać w umysły i serca innych ludzi.

- Nic nie powie - odparł bez wahania Eriond.

- Czy jesteś pewien?

- Całkowicie. Raczej umarłby, niż zdradził Tamazin.

Rumieniec wystąpił na oszpecone blizną policzki ogromnego Murga, odwrócił twarz, by uniknąć wzroku królowej matki.

- A wiec dobrze - ton Belgaratha wyrażał zdecydowanie. - Urgit popłynie z nami. - Spojrzał na szambelana. - Wypuścimy go na ląd niedaleko Rak Cthaka, gdzie będzie musiał sam powstrzymać Mallolean.

- A co z Pralą? - zapytała Ce'Nedra. Belgarath podrapał się za uchem.

- Właściwie nie ma sensu jej zabierać. Jestem pewien, że jeśli zostanie tutaj, Oskatat i Tamazin zdołają powstrzymać ją od wypapłania wszystkiego.

- Nie, lordzie Belgaracie - rzekła twardo szczupła księżniczka. - Nie porzucicie mnie. Jeśli jego wysokość udaje się do Rak Cthaka, to ja również. Nie dam słowa, że niczego nie zdradzę. Nie macie wyboru: musicie albo wziąć mnie ze sobą, albo zabić.

- O co chodzi? - zdziwił się Urgit. Jednakże Silk zrozumiał.

- Jeśli chcesz uciekać już teraz, mogę ją zatrzymać, aż się trochę oddalisz.

- O czym ty mówisz, Kheldarze?

- Naprawdę jesteś szczęściarzem, bracie. Kal Zakath cię nie schwyta, ale obawiam się, że masz znacznie mniejsze szansę, by umknąć tej młodej damie. Radzę ci, uciekaj już teraz.

Rozdział XVI

Znad Wielkiego Morza Zachodniego nadpłynęła szara chmura, a ostra morska bryza igrała ich ubraniami, kiedy wsiadali na konie na dziedzińcu Drojim.

- Wiesz, co masz robić, Oskatacie? - zapytał Urgit. Ogromny Murgó skinął głową.

- Okręty z posiłkami odpłyną w ciągu dwóch dni, wasza wysokość. Daję ci moje słowo.

- Dobrze. Wolałbym nie toczyć tej bitwy zupełnie sam. Staraj się nie używać moich rozkazów częściej, niż będziesz musiał.

- Proszę mi zaufać - szambelan uśmiechnął się blado. Urgit zaś odpowiedział mu z wilczym uśmiechem.

- I opiekuj się moją matką.

- Czynię to od wielu lat, a ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

Król Murgów z powagą pochylił się w siodle i uściśnął dłoń przyjaciela. Wyprostował się żwawo.

- W porządku - rzekł do dowódcy straży. - Ruszajmy. Kopyta koni zastukały na dziedzińcu, a Silk zrównał się z bratem.

- O co chodziło z tymi rozkazami? - zapytał z zainteresowaniem.

Urgit roześmiał się.

- Generałowie mogą odmówić posłuszeństwa Oskatowi - wyjaśnił. - Dlatego podpisałem rozkaz stracenia każdego z nich i dałem szambelanowi, żeby używał ich tak, jak uzna za stosowne.

- Sprytne.

- Powiniennem być pomyśleć o tym wiele lat temu - powiedział król, spoglądając na płynące nad nimi chmury. Wiatr targał połami jego płaszcza. - Nie jestem najlepszym żeglarzem, Kheldarze - przyznał, wzruszając ramionami. - Sporo z siebie wyrzucam w czasie złej pogody.

Silk roześmiał się.

- W takim razie pamiętaj, żeby zawsze stać po zawietrznej. Garion uważał, że mroczne niebo pasuje do ponurego Rak Urga. Miasto tak bardzo pozbawione wszelkiego piękna wydawało by się nienaturalne na tle czystego, słonecznego nieba, jednakże teraz przycupnęło pod ciężkimi chmurami jak skamieniała ropucha. Ubrani w czarne płaszcze Murgowie rozstępowali się na ulicach przed nadchodzącym królem. Niektórzy kłaniali mu

się; inni przyglądali się przechodzącej drużynie z kamiennymi twarzami.

Minęli plac i wjechali na wybrukowaną kamieniami ulicę, która wiodła do Świątyni.

- Kapitanie - zawołał Urgit do jadącego na czele oficera. - Niech jeden z twoich ludzi pojedzie tam i powie Hierarchowi, że odpływamy. Ma kogoś w Świątyni, kogo chce wysłać z nami.

- Wedle rozkazu waszej wysokości.

Wjechali w zakręt i oczom ich ukazał się port. Leżał w osłoniętej lagunie, za cyplem wcinającym się w wąskie ujście Zatoki Urga. Stało w nim mnóstwo czarnych murgoskich okrętów. Garion poczuł znany zapach wody łączącej się z lądem, mieszaniny solanki, wodorostów i martwych ryb. Serce zabiło mu mocniej na myśl o kolejnej morskiej podróży.

Wjechali na kamienne molo, przy którym przycumowano czarny okręt nie większy od innych stojących w porcie. Była to pękata, szeroka krypa o pochyłych masztach. Deski na pokładzie pokryto smołą. Silk przyjrzał się jej nieufnie.

- Czy naprawdę nazywacie to okrętem? - zapytał brata.

- Ostrzegałem cię przed murgoskimi żaglowcami.

Kiedy weszli na łódź, miała miejsce drobna sprzeczka dotycząca koni.

- Absolutnie wykluczone, wasza wysokość - oświadczył twardo ogromny, ponury kapitan. - Nie przewożę na pokładzie żywego inwentarza.

Spoglądał na krok z góry z wyrazem pewności siebie i śladem pogardy w oczach. Urgit strapił się.

- Myślę, że czas znowu poćwiczyć okazywanie stanowczości - burknął do niego Silk.

Król spojrział na niego szybko i rozprostował ramiona. Zwrócił się znowu do oficera.

- Załaduj konie na pokład, kapitanie - powtórzył rozkaz pewniejszym tonem.

- Powiedziałem przed chwilą, że...

- Czy mówiłem za szybko? Tym razem słuchaj uważnie. Za-ła-duj ko-nie na pok-ład. Jeśli nie wykonasz dokładnie mojego rozkazu, każę przybić cię na dziobie zamiast galionu. Rozumiemy się?

Kapitan cofnął się, jego spojrzenie zamiast arogancji wyrażało teraz niepewność i obawę.

- Wasza wysokość.

- Wykonać, kapitanie! - warknął Urgit. - Natychmiast! Oficer wyprostował się szybko, zasalutował, po czym odwrócił się do załogi.

- Słyszeliście króla - rzucił ostro. - Załadować konie. Odszedł dumnie, mruczając coś do siebie.

- Widzisz - odezwał się Silk. - Za każdym razem idzie coraz łatwiej, prawda? Musisz tylko pamiętać, że twoje rozkazy nie podlegają dyskusji.

- Wiesz - Urgit uśmiechnął się nieznacznie - chyba mógłbym to polubić.

Marynarze zaczęli wprowadzać płochliwe konie po wąskim trapie. Połowa zwierząt znalazła się już na okręcie, kiedy Garion usłyszał posępne odgłosy bębna nadchodzące z biegnącej od mola ulicy. Ze wzgórza maszerowały ku nim dwa rzędy Grolimów w czarnych płaszczach i wypolerowanych stalowych maskach. Szli tym szczególnym, kołyszącym się krokiem, który Garion zauważył już w Świątyni. Belgarath pociągnął Urgita za rękaw i gdy znaleźli się poza zasięgiem uszu gwardzistów i pracujących marynarzy, rzekł do niego:

- Nie chcemy tu żadnych niespodzianek, Urgicie. Załatwmy więc sprawy z Agachakiem tak szybko, jak to możliwe. Powiedz mu, że płyniesz do Rak Cthaka, aby osobiście objąć dowodzenie obroną. Niech twój Dagashi wsiada na okręt i wypływamy.

- Chyba nie mam wyboru, prawda? - zapytał król.

- Nie. W zasadzie nie.

Trupio blade Agachak nadjechał w lektyce niesionej przez dwunastu Grolimów. Obok niego szła z podniesioną głową kapłanka Chabat. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, a twarz przerażająco bladą. Jednakże spojrzenie, jakim obrzuciła Sadiego, pełne było nieprzejednanej nienawiści.

Za Agachakiem kroczyła zakapturzona postać, która nie poruszała się typowym dla Grolimów krokiem. Garion odgadł, że to był właśnie ów tajemniczy Kabach. Spojrzał na niego z zainteresowaniem, lecz nie mógł dojrzeć ukrytej pod kapturem twarzy.

Kiedy lektyka zbliżyła się do trapu, Agachak rozkazał, aby się zatrzymała.

- Wasza wysokość - powitał chłodno króla, kiedy opuszczano jego pałankin na ziemię.

- Potężny Hierarcho.

- Otrzymałem twą wiadomość. Czy sytuacja na południu jest rzeczywiście tak poważna, jak mniemam?

- Obawiam się, że tak, Agachaku. Skorzystam z tego okrętu i sam obejmę dowództwo w Rak Cthaka.

- Wy, wasza wysokość? - zdziwił się kapłan. - Czy to rozumne posunięcie?

- Być może nie, ale jestem pewien, że nie spiszę się gorzej, niż udało się to moim generałom. Zostawiłem rozkazy, by wysłano posiłki morzem.

- Morzem? Śmiała innowacja, wasza wysokość. Dziwię się, że generałowie przystali na to.

- Nie pytałem ich o zgodę. Zrozumiałem wreszcie, że obowiązek udzielania mi rad nie

oznacza, że mogą mi rozkazywać.

Hierarcha spojrział na niego w zamyśleniu.

- Nie znamy cię od tej strony, wasza wysokość - zauważył, stając na ziemi.

- Pomyślałem sobie, że czas już na zmianę.

W tej właśnie chwili Garion poczuł ostrzegawcze mrowienie i ucisk tuż nad uszami. Rzucił szybkie spojrzenie na Polgarę, która skinęła mu potakująco głową. Nie pochodziło to od Hierarchy, który był całkowicie pochłonięty rozmową z Urgitem. Chabat stała obok niego, utkwivszy nienawistny wzrok w Sadiego, lecz nic nie świadczyło o tym, by koncentrowała swą Wolę. Fale te pochodziły z innego źródła.

- Powinniśmy dotrzeć do Rak Cthaka za pięć-sześć dni - mówił Urgit do ubranego w czerwone szaty Hierarchy. - Jak tylko tam wylądujemy, wyślę Uszę, jego ludzi i naszego Dagashiego do Rak Hagga. Być może będą musieli zboczyć nieco na południe, aby uniknąć atakujących Mallolean, lecz nie powinni stracić zbyt dużo czasu.

- Musicie być bardzo ostrożni w Rak Cthaka, wasza wysokość - ostrzegł króla Agachak. - Macie na swych barkach los nie tylko Cthol Murgos, ale całego świata.

- Nie za bardzo przejmuję się swoim przeznaczeniem, Agachaku. Ktoś, kto zawsze martwił się głównie o to, by przeżyć następną godzinę, nie miał zbyt wiele czasu, by myśleć o następnym roku. Gdzie jest Kabach?

Człowiek w kapturze wysunął się zza lektyki.

- Tu jestem, wasza wysokość - odpowiedział głębokim, dźwięcznym głosem. Było w nim coś znajomego i Garion znowu poczuł ostrzegawcze klucie między łopatkami.

- Dobrze - rzekł Urgit. - Czy masz dla niego jeszcze jakieś rozkazy, Agachaku?

- Powiedziałem mu wszystko, co należało powiedzieć - odparł kapłan.

- A więc sprawa zamknięta. - Urgit rozejrzał się. - Dobrze, wsiadajmy więc na pokład.

- Zaczekajmy jeszcze trochę, wasza wysokość - zaproponował Dagashi, występując naprzód i zsuwając z głowy kaptur. Garion omal nie zadrżał ze zdziwienia. Choć człowiek ten zgolił brodę, jego tożsamość nie ulegała kwestii. Był to Harakan.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której wasza wysokość powinien wiedzieć, zanim wyruszymy - oświadczył Dagashi głosem celowo tak donośnym, by słyszeli go wszyscy na nabrzeżu. - Czy wiedzieliście, że ten mężczyzna z mieczem na plecach to Belgarion z Rivy?

Oczy Urgita rozszerzyły się, a żołnierzy i Hierarchę ogarnęło zaskoczenie, niczym fala. Jednakże król Murgów szybko oprzytomniał.

- To bardzo interesująca sugestia, Kabachu - powiedział ostrożnie. - Bardzo jestem ciekaw, dlaczego tak uważasz?

- To zupełna bzdura - prychnął Sadi. Agachak zatopił spojrzenie w twarzy Gariona.

- Ja widziałem Belgariona - oświadczył. - Był wówczas młodszy, lecz jest pewne podobieństwo.

- Z pewnością, podobieństwo, Potężny Hierarcho - zgodził się szybko Sadi. - Ale to wszystko. Ten młody człowiek służy u mnie, odkąd był dzieckiem. Och, przyznaję, że na pierwszy rzut oka ma podobne rysy twarzy, lecz zapewniam cię, że to z całą pewnością nie jest Belgarion.

Silk stał za Urgitem, jego usta poruszały się bardzo szybko, gdy szeptał coś do brata. Król Murgów był na tyle dobrym politykiem, by zachować spokojny wyraz twarzy, lecz oczy zaczęły błędzić bezładnie, gdy zdał sobie sprawę, iż znajduje się w miejscu, gdzie za chwilę nastąpi wybuch. Wreszcie odchrząknął.

- Nadal nie powiedziałaś nam, dlaczego tak uważasz, Kabachu - powiedział.

- Kilka lat temu byłem w Tol Honeth - Harakan wzruszył ramionami. - Belgarion też tam przybył, chyba na pogrzeb. Ktoś mi go pokazał.

- Sądzę, że czcigodny Dagashi się myli - rzekł eunuch. - Jego świadectwo opiera się na jednym spojrzeniu na kogoś z dużej odległości. Raczej nie można uznać tego za przekonujący dowód. Mówię wam, to nie jest Belgarion.

- Kłamie - oświadczył obojętnym tonem Harakan. - My, Dagashowie, jesteśmy dobrymi obserwatorami.

- To rzeczywiście interesujące, Agachaku - rzekł Urgit, patrząc przymkniętymi oczami na Harakana. - Mimo wszystko Dagashowie to także Murgowie, a każdy Murgo ma na twarzy ślady ofiary krwi złożonej Torakowi.

Obrócił się i wskazał na dwie białe, wąskie blizny na policzku. Ledwo widoczne szramy świadczyły o tym, że samookaleczenie króla niewiele miało wspólnego z żarliwą wiarą.

- Spójrzcie na tego Dagashiego - mówił dalej. - Nie widzę na jego twarzy żadnego śladu, a wy?

- Mój opiekun polecił mi nie poddawać się zwyczajowemu obrządkowi krwi - odparł szybko Harakan. - Chciał, żebym nie nosił blizn i mógł niepostrzeżenie poruszać się po wszystkich Królestwach Zachodu.

- Przykro mi, Kabachu - odparł sceptycznie Urgit - ale ta historia zupełnie mnie nie przekonuje. Ofiara krwi to część obrządku przejścia do stanu męskiego. Czy byłeś tak rozwiniętym dzieckiem, że twój opiekun postanowił uczynić z ciebie szpiega, zanim skończyłeś dziesięć lat? Nawet jeśli tak było, musiałbyś przejść ten obrządek, zanim mógłbyś

kogoś poślubić lub wejść do Świątyni. Możesz nie mieć blizn na twarzy, lecz jeśli jesteś Murgiem, muszą być gdzieś na twoim ciele. Pokaż nam blizny, czcigodny Dagashi. Zobaczmy dowód twojej wierności Torakowi i czystej krwi Murgów.

- Potężny Hierarcho - odezwał się w zamyśleniu Sadi. - To nie pierwszy zarzut postawiony któremuś z moich sług.

Spojrzał znacząco na Chabat.

- Czy jest możliwe, aby wśród twych Grolimów istniała frakcja, której zależy na niepowodzeniu naszej misji, jakaś grupa, która ukrywa się za fałszywymi brodami?

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość. - Silk rozejrzał się wokół z doskonale udanym zdenerwowaniem. - Jestem Alornem, wasza wysokość - powiedział i szybko podniósł rękę. - Proszę, wysłuchajcie mnie - dodał na wpół do króla, na wpół do otaczających go Murgów. - Jestem Alornem, ale nie robię z tego wielkiej sprawy. Według mnie na świecie jest dosyć miejsca dla Alornów i dla Murgów. Zawsze powtarzam: żyj i pozwól żyć innym. W każdym razie w zeszłym roku nająłem się jako żołnierz do armii króla Belgariona, tej, która oblegała kult Niedźwiedzia w Rheonie w północno-wschodniej Drasni. Krótko mówiąc, byłem obecny przy tym, jak Belgarion i jego przyjaciel z Sendarii, Durnik miał chyba na imię, schwytali przywódcę kultu, Ulfgara. Miał wtedy brodę, lecz przysięgam, że ten Kabach to ten sam człowiek. Powinienem był go rozpoznać. Pomagałem zanieść go do domu, po tym jak Durnik uderzył go tak, że stracił przytomność.

- Co Dagashi mógłby robić w Drasni? - zapytał Urgan, przybierając wyraz zdziwienia.

- Och, to nie jest Dagashi, wasza wysokość - wyjaśnił Silk. - Kiedy król Belgarion i jego przyjaciele zaczęli go badać, okazało się, że jest malloreańskim Grolimem. Na imię ma chyba Harakan.

- Harakan? - powtórzył Agachak, obracając się szybko, by przyjrzeć się fałszywemu Dagashiemu, a w jego oczach zapaliły się płomienie.

- To śmieszne - prychnął Harakan. - Ten lis to jeden ze sług Belgariona. Kłamie, aby ochronić swego pana.

- Czy imię Harakan coś ci mówi, Agachaku? - zapytał Urgan.

Hierarcha wyprostował się i spojrzał uważnie.

- Harakan to podwładny Urvona - odparł. - Słyszałem, że widziano go tu na Zachodzie.

- Wydaje mi się, że mamy problem - stwierdził król. - Oba te oskarżenia są zbyt poważne, by je zignorować. Musimy poznać prawdę.

Oczy Chabat zwęziły się, oświadczyła z przebiegłością na twarzy.

- Dowiedzieć się prawdy jest bardzo łatwo, wasza wysokość. Mój pan Agachak jest najpotężniejszym czarodziejem w Cthol Murgos. Bez trudu przeniknie te umysły i dowie się, kto mówi prawdę, a kto kłamie.

- Naprawdę potrafisz to zrobić? - zapytał Urgit. Agachak wzruszył ramionami.

- To proste.

- A więc zrób to. Nie wejdę na pokład, dopóki nie dowiem się, z kim będę płynął.

Agachak wziął głęboki wdech i zaczął koncentrować Wolę.

- Panie! - wykrzyknął Grolim z purpurową, atlasową obwódką wokół kaptura. Skoczył naprzód z wyciągniętą ręką. - Strzeż się!

- Jak śmiesz? - wrzasnęła na niego Chabat z płonącymi oczami.

Grolim nie odpowiedział jej.

- Panie - rzekł do Agachaka. - To, co proponuje kapłanka, jest bardzo niebezpieczne. Jeśli któryś z nich mówi prawdę, to będziesz przenikał umysł potężnego czarodzieja, a twój własny będzie całkowicie odsłonięty. Jedna myśl mogłaby wymazać całą twoją świadomość.

Hierarcha powoli rozprężył Wolę.

- Tak - mruknął. - Nie pomyślałem o tym.

Obrócił się ku Chabat, dostrzegając w jej oczach krótki błysk rozczarowania.

- Ciekawe, że mojej Świętej Kapłance nie przyszło to do głowy, kiedy zaproponowała przenikanie umysłów, a może przyszło, Chabat? Porzuciłaś więc przywoływanie demonów? Czy uciekniesz się teraz do czegoś tak banalnego, jak podstęp? Strasznie mnie rozczarowałaś, ukochana.

Skuliła się, a na oszpeconej twarzy malowało się przerażenie.

- Tę sprawę trzeba rozwiązać, Agachaku - oświadczył Urgit. - Nie zbliżę się do okrętu, zanim nie poznam prawdy. Udało mi się przeżyć aż dotąd nie dlatego, że byłem nierozważny.

- I tak cały problem jest w tej chwili głównie teoretyczny - odparł Hierarcha. - Żaden z tych ludzi nie odpłynie.

- Agachaku, muszę jak najszybciej dotrzeć do Rak Cthaka.

- Wiec jedź. Znajdę inną grupę handlarzy i wynajmę innego Dagashiego.

- To może potrwać wiele miesięcy - oponował Urgit. - Ja skłaniam się ku temu, by uwierzyć tym ludziom. Ussa był ze mną bardzo szczery, a nic nie wskazuje na to, by ten młody człowiek był królem. Natomiast ten, który nazywa siebie Kabachem, jest wysoce podejrzany. Jeśli przeszukałbyś trakt stąd do Góry Kahshy, to z pewnością znalazłbyś prawdziwego Kabacha zakopanego w jakimś płytkim grobie. Temu człowiekowi, kimkolwiek by był, prawie udało się swymi oskarżeniami zatrzymać misję do Rak Hagga. Czyż nie tego

właśnie chciałby Urvon?

- To, co wasza wysokość mówi, brzmi logicznie, lecz nie chciałbym, aby ktoś z nich wszedł na pokład, zanim nie dowiem się prawdy.

- Dlaczego oni sami nie mogą jej dowieść?

- Nie rozumiem.

- Jeden z nich, a może obaj, to czarodziej. Niech walczą ze sobą. Zobaczymy, który będzie próbował zniszczyć drugiego za pomocą czarów.

- Próba walki?

- Czemu nie? Trochę to staroświeckie, lecz okoliczności chyba nas usprawiedliwiają.

- Twój plan zasługuje na uwagę, wasza wysokość. Urgit uśmiechnął się

- Zróbmy im miejsce - zaproponował. - Jeszcze się przypalimy, kiedy ci dwaj zaczną miotać w siebie piorunami.

Podszedł do Gariona i wziął go za rękę.

- Tylko spokojnie - szepnął - nie rób nic, co mogliby zauważyć. Spróbuj zmusić go, by użył czarów.

Wepchnął Gariona do koła, które utworzono naprędce na kamiennym nabrzeżu.

- Oto domniemany król Rivy - rzekł do Agachaka. - A teraz, jeśli rzekomy malloreański Grolim będzie tak dobry i wystąpi naprzód, dowiemy się, kto mówi prawdę.

- Nie mam miecza - zauważył ponuro Harakan.

- Żaden problem. Niech ktoś poda mu broń. Natychmiast zaofiarowano kilka mieczy.

- Zdaje się, że jesteś w poważnych tarapatach, Harakanie - król uśmiechnął się złośliwie. - Kiwniesz tylko palcem, a zdradzisz, że jesteś Malloreaninem; wtedy moi ludzie zasypią cię gradem strzał. Z drugiej strony, jeśli to naprawdę Belgarion i nie użyjesz czarów, aby się przed nim bronić, zostanie z ciebie garstka żużlu. Tak czy siak, to chyba pechowe popołudnie dla ciebie.

Garion zacisnął mocno zęby i zaczął przemawiać do Klejnotu, powtarzając mu wciąż, by nie robił niczego niezwykłego. Potem uspokoił się i sięgnął za plecy. Ostrze zazgrzytało metalicznie, gdy wyciągał je z pochwy.

Harakan nerwowo chwycił podany mu miecz, lecz sposób, w jaki go trzymał i w jaki się ustawił, świadczył o tym, że jest doświadczonym szermierzem. Nagła złość ogarnęła Gariona. Ten człowiek odpowiadał za zamach na życie Ce'Nedry oraz za zabójstwo Branda. Przykucnął i wyciągnął przed siebie broń.

Harakan rozpaczliwie próbował skrzyżować z nim swój miecz. Kiedy oba ostrza zetknęły się, rozległ się głośny zgrzyt. Belgarion niewzruszenie zbliżał się do przeciwnika.

Złość jego była tak wielka, że zapomniał o przyczynie tej walki. Nie chciał już zdemaskować Harakana. Pragnął tylko go zabić.

Kilka razy natarli na siebie i odparli ciosy. W całym porcie rozbrzmiała pieśń mieczy. Grolim cofał się krok za krokiem, w jego oczach pojawił się strach. Lecz w końcu Gariona zniecierpliwiała wymiana ciosów. Z płomiennymi oczami chwycił rękojeść miecza w obie dłonie i zamachnął się nim nad głową. Gdyby zadał ten cios, byłby on ostateczny.

Harakan zbladł, gdy zajął w oczy śmierci.

- Bądź przeklęty! - zawołał na Gariona, po czym rozbłysnął i zniknął, by pojawić się po chwili na drugim końcu nabrzeża. Zamigotał i odleciał jako szybki jastrząb.

- To jest chyba odpowiedź na nasze pytanie, Agachaku - rzekł spokojnie Urgit.

Jednakże oczy Hierarchy również zapłonęły nienawiścią i on także zmienił się w jastrzębia. Dwoma mocnymi uderzeniami skrzydeł wznosił się w powietrze i z wrzaskiem rzucił w pościg za Harakanem.

Garionowi wciąż drżały ręce. Odwrócił się i podszedł do Urgita, a wściekłość paliła go w gardle. Z ogromnym wysiłkiem opanował się, by nie chwycić mniejszego od siebie mężczyzny za kaftan i wrzucić go do zatoki.

- N-nie bądź zbyt pochopny - powiedział król, cofając się z przestachem.

Garion wycodził przez zęby przerażająco cichym głosem.

- Nigdy więcej tego nie rób.

- Oczywiście - przytaknął pospiesznie Urgit. Zatrzymał się, a po jego szczurzej twarzy przemknął błysk ciekawości.

- Czy ty naprawdę jesteś Belgarionem? - zapytał charczącym szeptem.

- Chcesz jakiegoś dowodu?

- Nie, nie, skąd - odparł natychmiast.

Ominął wciąż rozwścieczonego Gariona i podszedł do Chabat.

- Módlmy się, by Hierarchowi udało się schwytać tego oszusta - rzekł. - Pożegnaj go ode mnie, gdy wróci. Zaczekałbym, lecz muszę natychmiast wsiadać na okręt i odpływać.

- Oczywiście, wasza wysokość - odparła głosem bliskim pomruku. - Zajmę się tymi handlarzami niewolników do powrotu mego pana.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Skoro celem misji było dostarczenie Dagashiego do Rak Hagga, to ich podróż nie ma teraz sensu, prawda? Będą musieli poczekać, aż pošlemy do Kahshy po innego zabójcę. - Rzuciła na Sadiego spojrzenie pełne nie ukrywanej satysfakcji. - Osobiście będę ich chronić.

Król przyjrzał się jej uważnie.

- Święta Kapłanko - zwrócił się do niej. - Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby można było ci ufać. Nienawiść, jaką żywisz wobec Nyissanina, jest widoczna jak na dłoni, a on jest zbyt cenny, byśmy mogli ryzykować. Nie sędzę, abyś była w stanie się powstrzymać, kiedy Agachaka i mnie nie będzie w Rak Urga. Najbezpieczniej będzie, jak zabiorę Ussę i jego ludzi ze sobą. Kiedy Dagashi przybędzie z Kahshy, przyślijcie go do mnie. Chabat skrzywiła się i wpadła w złość.

- Celem misji do Rak Haggą jest wypełnienie proroctwa - oświadczyła. - A to z całą pewnością sprawa Kościoła.

Urgit wziął głęboki wdech i wyprostował się, porzucając swą zwykłą, zgarbioną postawę.

- Ta misja to również sprawa wagi państwowej, Święta Kapłanko. Agachak i ja podjęliśmy współpracę, a podczas jego nieobecności ja sprawuję nad tobą władzę jako król. Ussa i jego ludzie popłyną za mną, a ty zabierzesz swoich Grolimów do Świątyni i tam zaczekacie na powrót Hierarchy.

Chabat wydawała się zaskoczona jego nieoczekiwanym pokazem siły. Najwyraźniej spodziewała się, że z łatwością odrzuci nikłe sprzeciwy, lecz to był jakby nowy Urgit. Jej twarz przybrała hardy wyraz, a przypominające płomienie blizny wystąpiły na policzkach.

- A więc - zauważyła - zdaje się, że nasz król wreszcie dorośleje. Myślę jednak, że będziesz żałował, iż stałeś się mężczyzną właśnie w takiej chwili. Patrz uważnie, Wielki Królu z Cthol Murgos.

Pochyliła się i trzymając coś w dłoni, zaczęła rysować jakieś znaki na kamieniach, znaki, które zapłonęły piekielnym blaskiem.

- Garionie! - wrzasnął przerażony Silk. - Powstrzymaj ją!

Lecz Belgarion również widział płonący okrąg i pięcioramienną gwiazdę, którą Chabat narysowała na jego środku i natychmiast zrozumiał, co to oznacza. Zdążył postąpić ku niej jeden krok, gdy weszła do wnętrza okręgu, który ją chronił i zaczęła mamrotać słowa w jakimś nieznanym języku.

Jednakże Polgara była jeszcze szybsza.

- Chabat! - rzuciła ostro. - Przestań! To zabronione!

- Nic nie jest zabronione dla tego, kto posiada moc - odparła kapłanka, a na jej pokrytej bliznami, pięknej twarzy malowała się przemożna duma. - A któż może mnie powstrzymać?

Polgara spojrzała na nią ponuro.

- Ja - odrzekła ze spokojem.

Uniosła rękę w dziwnym geście, a Garion poczuł falę jej Woli. Syczące pęcherze, które bulgotały pośród kamieni, rosły, aż pękły i zawirowały wokół nóg ludzi, którzy tam stali. Płonące znaki na molo zniknęły, kiedy zakryła je woda.

Kapłanka wzięła głęboki wdech i wlepiała spojrzenie w Polgarę, powoli rozumiejąc, z kim ma do czynienia.

- Kim ty jesteś?

- Kimś, kto może uratować ci życie, Chabat - odrzekła Polgara. - Kara za przywołanie demonów jest zawsze taka sama. Być może uda ci się raz czy dwa, albo nawet więcej, lecz w końcu demon zwróci się przeciw tobie i rozedrze cię na kawałki. Nawet nieobliczalny w swym szaleństwie Torak nie śmiałyby się do tego posunąć.

- A ja tak! Torak nie żyje, a Agachaka tu nie ma i nie powstrzyma mnie. Nikt mi nie może przeszkodzić.

- Ja mogę, Chabat - zapewniła ją spokojnie Polgara. - Nie pozwolę ci tego uczynić.

- A jak tego dokonasz? Ja mam moc.

- Ale moja jest większa. - Polgara pozwoliła, by płaszcz zsunął się jej z ramion, pochyliła się i zdjęła buty.

- Być może uda ci się zapanować nad demonem, kiedy przywołasz go po raz pierwszy - mówiła dalej. - Lecz twoja władza jest krótkotrwała. Jesteś tylko bramą, przez którą on przychodzi na świat. Jak tylko poczuje się w pełni sił, zniszczy cię i uwolni się, by móc przewrócić świat do góry nogami. Błagam cię, siostró, nie rób tego. Twoje życie i dusza są w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Nie boję się - prychnęła Chabat. - Ani demona, ani ciebie.

- A więc jesteś szalona i to podwójnie.

- Wyzywasz mnie?

- Muszę. Czy staniesz przede mną na moich warunkach, Chabat? - Niebieskie oczy Polgary stały się nagle lodowato zimne, a biały lok nad brwią mienił się różnymi barwami, gdy zaczęła ogniskować Wolę. Znowu uniosła dłoń i pęcherze pojawiły się na skraju molo. Z tym samym straszliwym spokojem stanęła na powierzchni wody, jakby miała pod stopami twardą ziemię. Grolimowie wydali jęk, kiedy obróciła się ku przerażonej kapłance.

- No więc, Chabat? Czy przyjdiesz tu do mnie? Czy możesz do mnie podejść?

Twarz kapłanki stała się szara, lecz oczy mówiły, że nie mogła odrzucić wyzwania Polgary.

- Idę - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Ona również zeszła z nabrzeża, lecz natychmiast niezgrabnie wyrzuciła w górę rękę,

gdy wpadła po kolana w brudną wodę zatoki.

- Czy to dla ciebie takie trudne? - zapytała ją Polgara. - Jeśli taki drobiazg wymaga całej twojej Woli, jak możesz sądzić, że wystarczy ci mocy, by zapanować nad demonem? Porzuć ten szaleńczy plan, Chabat. Jest jeszcze czas, byś ocaliła życie.

- Nigdy! - wrzasnęła kapłanka, a piana wystąpiła jej na usta. Z ogromnym wysiłkiem uniosła się i stanęła na powierzchni i mozolnie uczyniła kilka kroków. Na jej twarzy znowu pojawił się wyraz ogromnego triumfu, narysowała znaki na lustrze wody i pisała po nim syczącym, pomarańczowym płomieniem. Jej głos znowu wznosił się i opadał, gdy pieśnią przyzywała zło. Czerwone blizny na policzkach zdawały się blednąć, po czym nagle zapały białe, a ona dalej wyśpiewywała zaklęcie.

- Kheldarze, co się dzieje? - zapiszczał król, patrząc jak niemożliwe staje się przed jego oczami.

- Coś bardzo nieprzyjemnego - odrzekł mu Silk.

Głos Chabat przeszedł we wrzask, lustro wody przed nią nagle pękło i wystrzeliło w górę jak para, a ogień buchnął z wrzącego kotła. Pośród płomieni wychynęło coś niepojęcie odrażającego. Było ogromne, miało pazury i kły, lecz najstraszniejsze były czerwone, pałające oczy.

- Zabij ją! - wrzasnęła Chabat, drżącą ręką wskazując na Polgare. - Rozkazuję ci zabić tę wiedźmę!

Demon spojrział na kapłankę, która w poczuciu bezpieczeństwa stała wewnątrz płonącego okręgu znaków. Woda wciąż bulgotała wokół jego potężnego torsu, obrócił się i ruszył ku Polgarze. Lecz ta, wciąż z kamienną twarzą, uniosła dłoń.

- Stój! - rozkazała, a Garion aż zatrząsł się, tak silna była jej Wola.

Wtem demon zawył z bólu i wyciągnął uzbrojony w kły pysk ku niebu.

- Powiedziałam, zabij ją! - znowu wrzasnęła Chabat. Potwór powoli zanurzył się w wodę, wyciągając długie ramiona tuż pod jej powierzchnią. Z wolna zaczął się obracać. Wirował coraz szybciej, a woda syczała wokół niego. W miejscu, gdzie stał, zaczął tworzyć się wir, nieoczekiwanie pojawiły się odmęty niemal tak potężne jak Przesmyk Chereku.

Chabat zawyla triumfalnie i puściła się w sprośne płasy, nieświadoma, że płomienie zostały pochłonięte przez rosnący w siłę wir.

Kiedy kłębiąca się woda dotarła do Polgary, odmęty zaczęły ją wciągać, a demon wciąż kręcił się w koło i pluł pianą.

- Pol! - krzyknął Durnik. - Uważaj!

Lecz było już za późno. Złapana przez bezlitosny prąd, czarodziejka wpadała weń

coraz głębiej. Z początku powoli, a potem coraz prędszej zataczała koła coraz bliżej środka. Kiedy była już tuż-tuż, znowu wyciągnęła rękę i nagle zniknęła pod wodą.

- Pol! - zawołał znowu Durnik z twarzą bladą jak ściana. Szarpał tunikę, próbując zedrzeć ją z siebie i biegł na brzeg. Jednakże Belgarath z wyrazem ponurej zaciętości na twarzy chwycił go za ramię.

- Nie mieszaj się do tego, Durniku! - warknął. Durnik szamotał się z nim, chcąc się uwolnić.

- Puść mnie! - wrzasnął.

- Powiedziałem: nie przeszkadzaj!

Z wiru wychynęła na powierzchnię pojedyncza róża. Był to dziwnie znajomy kwiat, płatki na zewnątrz miał białe, a w środku mocno purpurowe. Garion wpatrywał się w niego pełen nagłej, dzikiej nadziei.

Wirujący potwór raptownie zatrzymał się, zupełnie zaskoczony. Bez ostrzeżenia podniósł się, pochylił naprzód i zanurkował we wzburzoną wodę.

- Złap ją! - kapłanka zawołała do ujarzmionego przez siebie ducha ciemności. - Złap ją i zabij!

Ołowiane wody zatoki zawrzały i buchnęły parą, gdy demon pruł je we wszystkich kierunkach tuż pod powierzchnią. Wtem zatrzymał się, a powietrze i wodę napełniła martwa cisza.

Chabat wciąż stała w wodzie z pałającymi bliznami na policzkach. W uniesieniu podniosła ku niebu obie ręce i wykrzyknęła:

- Giń, wiedźmo! Poczuj, jak kły mego sługi rozrywają twe ciało!

Nagle pokryty łuskami pazur potwora wynurzył się z wody tuż przed nią.

- Nie - zawyła - nie wolno ci!

Spojrzała z przerażeniem na wodę u swych stóp, zdając sobie w końcu sprawę, że jej ochronne znaki zostały wymyte. Niepewnie zrobiła krok do tyłu, lecz ogromna łapa zacisnęła się na niej, a ostre jak igły pazury zagłębiły się w ciało. Krew trysnęła, Chabat krzyknęła z bólu, wijąc się w tym straszliwym uścisku. Z ogłuszającym rykiem demon wynurzył się z głębin, otwierając ogromną, uzbrojoną w kły paszczę. Z piekielnym wyciem triumfu podniósł opierającą się kapłankę. Stojący na nabrzeżu Grolimowie i murgoscy żołnierze złamali szyki i rozbiegli się przerażeni, a potwór ruszył za nimi.

Róża zaś, która ukazała się na wodzie, zaczęła pałać niezwykłym niebieskim światłem. Zdawało się, że im bardziej się ono jarzyło, tym kwiat stawał się większy. Pośród tego skrzącego się widowiska wynurzyła się Polgara. Na jej twarzy malował się spokój. Kilka

stóp obok niej ich oczom ukazał się nimb migoczącego światła. Patrzyli zdumieni, jak nagle stopił się i u boku Pol pojawiła się lśniąca postać Boga Aldura.

- Czy tak musi być, Panie? - zapytała Polgara głosem, który zdradzał jej niechęć.

- Musi, moja córko - odpowiedział ze smutkiem Aldur. Polgara westchnęła.

- A więc niech się tak stanie, mój Panie. - Wyciągnęła lewą dłoń, a Bóg zamknął ją w swojej. Jej Wola zahuczała Garionowi w głowie jak tornado, a siła czarodziejki uderzyła w niego. Otoczeni niebieskim światłem, trzymając się za ręce, Polgara i Aldur stali obok siebie na powierzchni wody i patrzyli na odrażającego demona, który wciąż dzierżył szamoczącą się Chabat wysoko w powietrzu.

- Wyrzekam się ciebie, stworze ciemności - ozwała się Polgara; bił od niej ogromny majestat. - Wracaj do piekła, które cię spłodziło i nigdy więcej nie psuj tego świata swą plugawą postacią. Przepadnij i zabierz ze sobą tę, która cię przyzywała.

Uniosła rękę, z której trysnęła jej Wola połączona z Wolą Boga Aldura. Rozległ się potężny trzask pioruna, gdy demon nieoczekiwanie zamienił się w kulę ognia, a wody wokół niego zawrzały jak gejzer. Po chwili zniknął, a wraz z nim kapłanka Chabat.

Kiedy Garion się obejrzał, Aldura nie było już u boku Polgary. Obróciła się i podeszła powoli do nabrzeża. Kiedy się zbliżyła, Belgarion ujrzał w jej oczach udrękę.

CZEŚĆ TRZECIA
Wyspa Verkat

Rozdział XVII

Następnego ranka pozostawili po lewej burcie brzegi jałowego półwyspu Urga. Płynęli na południe murgoskim okrętem. Mocna bryza wydymała żagle, spomiędzy fal przybrzeżnych wynurzały się ostre skały, a na kamieniach koloru rdzy z rzadka jedynie widać było ślady roślin, które przerywały monotonię pustkowiec. Jesienne niebo było błękitne, powietrze zaś chłodne, a słońce widniało daleko na północy, gdyż zima wcześniej przychodziła do tych odległych ziem Południa.

Garion, jak zawsze kiedy był na morzu, wstał o brzasku i wyszedł na pokład. Stał przy relingu w śródokręciu, oczarowany odbijającymi się wśród fal promieniami wschodzącego słońca i miarowym zgrzytaniem i kołysaniem okrętu pod stopami.

Pochyłe drzwi otworzyły się, skrzypiąc i ukazując kilka schodów, które wiodły w dół do kajut na rufie. Pojawił się na nich Durnik. Wszedł na pokład, trzymając się poręczy, by nie upaść na rozkołysanej łodzi i mrużąc oczy od ostrego słońca. Kował jak zwykle miał na sobie prostą, szarą tunikę, a twarz jego była zafrasowana.

Garion podszedł do przyjaciela.

- Czy nic jej nie jest? - zapytał.

- Jest bardzo zmęczona - odparł ze znużeniem Durnik. Wyczerpanie, widoczne na jego twarzy, świadczyło o tym, że on sam niewiele spał tej nocy. - Długo rzucała się na łóżku i trapiła, zanim w końcu zasnęła. Straszna rzecz musiała zrobić.

- Rozmawiała z tobą o tym?

- Trochę. Demona trzeba było odesłać tam, skąd przybył. W przeciwnym razie siałby przestach i zniszczenie na całym świecie. Ponieważ Chabat go przyzwala, mógłby używać jej jako wejścia i pojawiać się na tym świecie, kiedy tylko by chciał. Dlatego musiała pójść z nim, żeby zamknąć to wejście.

- A skąd tak dokładnie one przychodzą, to znaczy, demony?

- Niewiele o tym mówiła, ale czułem, że tak naprawdę nie chciałbym tego wiedzieć.

- Czy teraz śpi? Durnik skinął głową.

- Pójdę porozmawiać z kucharzem. Chcę mieć dla niej coś gorącego do zjedzenia, kiedy się obudzi.

- Lepiej sam się trochę prześpij.

- Może. Wybacz mi, Garionie, ale nie chciałbym zostawiać jej zbyt długo samej, na wypadek gdyby się obudziła i potrzebowała mnie. - Odszedł w stronę messy.

Garion wyprostował się i rozejrzał wokoło. Murgoscy marynarze pracowali z wyrazem bojaźni na twarzach. To, co wydarzyło się poprzedniego popołudnia, sprawiło, że na ich obliczach nie było już wyrazu upartej arogancji; rzucali z ukosa pełne przestachu spojrzenia na wszystkich pasażerów, jakby spodziewali się, że każdy z nich może zamienić się bez żadnego ostrzeżenia w ludożercę lub potwora morskiego.

Kiedy Garion i Durnik rozmawiali, na pokład wyszli Silk i Urgit. Stali na rufie i beztrąsko obserwowali spieniony kilwater, śledząc jego ślad przecinający bałwany fal i przyglądali się mewom o białych skrzydłach, których chmara skrzeczała i krążyła za nimi. Garion podszedł bliżej, ale się do nich nie przyłączył.

- Niezbyt zachęcające miejsce - zauważył Silk, spoglądając na nagie skały, które wynurzały się z morza. Na statku zmienił zniszczone ubranie, które założył, gdy rozpoczęli swą podróż, na skromny, szary kaftan.

Urgit chrząknął, przygnębiony. Od niechcienia wrzucił do wody kawałki chleba i patrzył bez większego zainteresowania, jak mewy ze skrzekiem rzuciły się w dół, walcząc ze sobą o zdobycz.

- Kheldarze - rzekł. - Czy ona robi to zawsze?

- Kto?

- Polgara. - Urgit wzruszył ramionami. - Czy usuwa każdego, kto ją irytuje?

- Nie - odparł Silk. - Polgara tak nie postępuje, ani nikt z nich. To zabronione.

- Wybacz mi, Kheldarze. Zabronione czy nie, wiem jednak, co widziałem wczoraj.

- Rozmawiałem o tym z Belgarathem - powiedział mu Silk. - Wyjaśnił mi, o co chodziło. Chabat i demon nie zostali tak naprawdę zniszczeni. Po prostu odesłano ich tam, skąd przybył demon. Potwór za wszelką cenę musiał tam wrócić; niestety, Chabat trzeba było wysłać wraz z nim.

- Niestety? Ja jej tak bardzo nie współczuję.

- Wydaje mi się, że nie całkiem rozumiesz, Urgicie. Zabicie kogoś to jedno, lecz zniszczenie czyjejś duszy to coś zupełnie innego. Dlatego właśnie Polgara jest taka przygnębiona. Była zmuszona skazać Chabat na wieczny ból i mękę. To najstraszniejsza rzecz, jaką można komuś zrobić.

- Kim był ten, który wyszedł z nią z wody?

- To Aldur.

- Chyba nie mówisz poważnie!

- Ależ tak. Widziałem go raz czy dwa. To naprawdę był Aldur.

- Bóg? Tutaj? Co robił?

- Musiał tu być. - Silk wzruszył ramionami. - Żaden człowiek, nie ważne, jak potężny, nie może sam stawić czoła demonowi. Kiedy czarnoksiężnicy Morindimów przywołują demona, zawsze pamiętają, aby nałożyć na niego ściśle przestrzegane ograniczenia. Chabat zaś wypuściła swojego nie nakładając na niego żadnych ograniczeń. Tylko Bóg może poradzić sobie z duchem ciemności, który ma taką swobodę; a ponieważ Bogowie działają poprzez nas, Polgara musiała także wziąć w tym udział. To była bardzo trudna sprawa.

Urgit wzdrygnął się.

- Nie sądzę, żebym ja mógł się czymś takim zajmować. Stali obok siebie pochyleni nad relingiem i przyglądali falom, które przewalały się przez Wielkie Morze Zachodnie, by rozbić się o jałowe skały. Garion przyglądał się im i dziwił, jak mógł nie zauważyć ich pokrewieństwa. Nie byli zupełnie identyczni, lecz rysy twarzy mieli tak podobne, że nie ulegało wątpliwości, iż byli braćmi.

- Kheldarze - rzekł wreszcie Urgit. - Jaki był naprawdę nasz ojciec?

- Był wyższy od nas obu - odparł Silk. - Wyglądał bardzo dostojnie. Włosy miał srebrzystoszare, a z tym naszym nosem wyglądał bardziej jak orzeł niż szczur.

- Trochę przypominamy gryzonie, prawda? - przytaknął Urgit z uśmiechem. - Ale nie o to mi chodziło. Jaki był naprawdę?

- Wytworny. Miał nienaganne maniere, był bardzo kulturalny i uprzejmy. Nigdy nie słyszałem, żeby odezwał się do kogoś złym słowem. - Na twarzy Silka malowała się melancholia.

- Ale był podstępny, nieprawdaż?

- Dlaczego tak mówisz?

- Przecież oszukiwał. Nie jestem owocem jego wiecznej wierności.

- Nie bardzo rozumiesz - sprzeciwił się Silk.

Spojrzał w zamyśleniu na zielone fale, na których od czasu do czasu pojawiały się białe grzywy.

- Mimo całej swej ogłady, nasz ojciec uwielbiał przygody. Przyjmował każde wyzwanie dla samej radości, którą mu ono dawało. Włóczęga była jego pasją. Zawsze szukał czegoś nowego. Myślę, że jeśli weźmiesz pod uwagę obie te cechy, zrozumiesz, dlaczego spodobała mu się twoja matka. Odwiedziłem pałac w Rak Goska, kiedy Taur Urgas jeszcze żył. Wszystkie jego żony były albo pilnie strzeżone, albo trzymane pod kluczem. Coś takiego nasz ojciec uważał za odpowiednie dla siebie wyzwanie.

Urgit skrzywił się.

- Nie bardzo mnie w ten sposób podbudowujesz, Kheldarze. Jestem tu, ponieważ

drasański dżentelmen lubił otwierać zamki.

- Niezupełnie. Nie miałem okazji, żeby pomówić o tym z twoją matką, lecz wydaje mi się, że oni naprawdę coś do siebie czuli. Taur Urgas nigdy nie żywił żadnych uczuć do nikogo. Nasz ojciec i twoja matka przynajmniej nieźle się bawili.

- Może dlatego jestem taki pogodny. Silk westchnął.

- Ale odkąd zachorowała moja matka, nie mógł już cieszyć się z radości życia. Jej choroba położyła kres jego przygodom i wędrówkom.

- Co to za choroba?

- Epidemia, która co jakiś czas wybucha w Drasni. Jej ofiary są strasznie zniekształcone. Na szczęście moja matka oślepla od niej.

- Na szczęście?

- Nie mogła patrzeć w lustro. Nasz ojciec został z nią do końca jej dni i nigdy, w żaden sposób nie dał jej poznać, co widział, kiedy na nią patrzył. - Silk spochmurniał i mocno zacisnął szczęki. - To najdzielniejszy postępek, jaki kiedykolwiek widziałem, a było to tym trudniejsze, że trwało i trwało, aż do jej śmierci. - Szybko odwrócił wzrok. - Może moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?

- Przepraszam, Kheldarze - powiedział ze współczuciem Urgit. - Nie chciałem otwierać starych ran.

- Jak to jest, gdy dorasta się w Rak Goska? - zapytał po chwili Silk.

- Ponuro - odparł król. - U Taura Urgasa objawy szaleństwa zaczęły pojawiać się znacznie wcześniej, niż było to w zwyczaju w rodzinie Urgów. Musieliśmy oglądać wiele różnych rytuałów.

- Ja też widziałem niektóre z nich.

- Nie chodzi tylko o te w Świątyni, choć i tych było wiele. Mówię o jego dziwactwach. Nikt nie mógł stanąć po jego prawej stronie, a gdy czyjś cień padał na niego, nieszczęśnik tracił życie. Moich braci i mnie zabierano od matek, kiedy kończyliśmy siedem lat i poddawano szkoleniu, głównie ćwiczeniom wojskowym; kosztowało to wiele jęków i potu. Każdy błąd karano chłostą, zwykle na stole przy kolacji.

- To mogło zepsuć apetyt.

- Rzeczywiście. Do dziś nie jadam kolacji, zbyt dużo nieprzyjemnych wspomnień. Bracia i ja bardzo wcześnie zaczęliśmy przeciw sobie spiskować. Taur Urgas miał wiele żon i całe tabuny dzieci. Ponieważ korona przypadła najstarszemu żyjącemu synowi, wszyscy knuliśmy przeciw starszym braciom i staraliśmy się bronić przed knowaniami innych. Jeden miły chłopczyk poderznął drugiemu gardło, kiedy miał dziewięć lat.

- Był przedwcześnie rozwinięty - burknął Silk.

- O, tak. Taur Urgas był zachwycony, oczywiście. Przez pewien czas mały morderca był jego ulubieńcem. To zdenerwowało mnie i innych braci, gdyż było bardzo prawdopodobne, że nasz szalony ojciec kazałby nas wszystkich udusić, żeby zrobić miejsce małemu potworowi, więc podjęliśmy pewne kroki.

- Och?

- Pewnego dnia schwytaliśmy go, gdy był sam na jednym z górnych pięter i wyrzuciliśmy go przez okno. - Urgit rzucił ponure spojrzenie na kłębiące się bałwany. - Odkąd odebrano nas matkom, żyliśmy w ciągłym strachu, w otoczeniu bezsensownej brutalności. Mieliśmy być doskonałymi Murgami: silnymi, dzielnymi, obłąkańczo wiernymi i całkowicie oddanymi Torakowi. Każdy miał Grolima za guwernera i codziennie całymi godzinami musieliśmy wysłuchiwać bzdur o Bogu Toraku. Nie nazwałbym tego szczęśliwym dzieciństwem.

- Czy Taur Urgas nigdy nie okazywał ludzkich uczuć.

- Wobec mnie - nigdy. Zawsze byłem najmniejszy, strasznie mną pogardzał. Murgowie powinni być duzi i muskularni. Nawet kiedy udało mi się wreszcie zostać następcą tronu, nigdy nie miał dla mnie dobrego słowa i zachęcał młodszych braci, aby próbowali mnie zabić.

- W jaki sposób udało ci się przeżyć?

- Dzięki inteligencji i kluczowi, który ukradłem.

- Kluczowi?

- Do pałacowej zbrojowni. Zdziwiłbyś się, jaką pomoc może uzyskać ktoś o nieograniczonych możliwościach finansowych, nawet w Cthol Murgos.

Silk zadrżał.

- Robi się zimno na pokładzie - powiedział. - Może wejdziemy do środka i wypijemy flaszkę wina z przyprawami?

- Nie piję, Kheldarze.

- Nie pijesz? - Silk był zaskoczony.

- Muszę mieć jasny umysł. Człowiek z głową w beczce wina nie zobaczy kogoś, kto skrada się ku niemu z nożem, prawda?

- Ze mną jesteś bezpieczny, bracie.

- Z nikim nie jestem bezpieczny, Kheldarze, zwłaszcza z bratem. Nie bierz tego do siebie, ale zrozum, to wynik trudnego dzieciństwa.

- Dobrze - zgodził się przyjaźnie Silk. - Wejźmy tam, możesz popatrzeć, jak ja piję.

Jestem w tym naprawdę dobry.

- Wyobrażam sobie. W końcu jesteś Alornem.

- Tak samo jak ty, mój drogi bracie - zasiniał się niski mężczyzna. - Tak samo jak ty.

Chodź, pokażę ci całą radość, która należy do twego dziedzictwa.

Garion właśnie miał się do nich przyłączyć, gdy na pokładzie pojawił się Belgarath, przeciągając się i ziewając.

- Czy Pol już wstała? - zapytał Gariona. Ten potrząsnął głową.

- Chwilę temu rozmawiałem z Durnikiem. Mówił, że jest bardzo zmęczona po tym, co zrobiła wczoraj.

Czarodziej zmarszczył czoło.

- To nie powinno jej tak zmęczyć - rzekł. - Przyznaję, robiło wrażenie, ale na pewno nie było wyczerpujące.

- Nie wydaje mi się, żeby to był ten rodzaj wyczerpania, dziadku. Durnik mówił, że przez pół nocy się zamartwiała.

Starzec podrapał się w brodę.

- Och, czasami zapominam, że Pol to kobieta. Jakoś nie potrafi zostawiać pewnych spraw za sobą i czasami współczucie bierze nad nią górę.

- To niekoniecznie zła cecha, dziadku.

- Może u kobiety.

- Pamiętam, co przydarzyło się nam kiedyś na moczarach - powiedział Garion. - Czy nie zrobiłeś czegoś dla Vor-dai, co raczej było do ciebie niepodobne, chyba właśnie ze współczucia.

Belgarath odwrócił wzrok, zmieszany.

- Zdawało mi się, że zgodziłeś się do tego nie wracać.

- Wiesz co, dziadku? - rzekł Garion z uśmiechem. - Jesteś oszustem. Udajesz, że jesteś zimny jak lód i twardy jak skała, lecz w głębi duszy żywisz takie same uczucia, jak my wszyscy.

- Proszę cię, Garionie, dajmy już temu pokój.

- Czy przeszkadza ci to, że jesteś człowiekiem?

- No cóż, w zasadzie nie, ale muszę dbać o swoją reputację.

Późnym popołudniem linia brzegowa, wzdłuż której płynęli, stała się jeszcze bardziej postrzępiona, a fale kipiały i uderzały z łoskotem o skały. Silk i Urgit wyszli na pokład, a Garion zauważył, że obaj chwiali się niepewnie.

- Witaj, Belgarionie - zawołał wylewnie Urgit. - Może się do nas przyłączysz?

Kheldar i ja postanowiliśmy troszeczkę pośpiewać.

- Och, pięknie dziękuję - odpowiedział ten ostrożnie - ale nie mam najlepszego głosu.

- To nie ma znaczenia, chłopcze. To w ogóle nie ma znaczenia. Mój też chyba nie jest świetny. Nie wiem na pewno, bo nigdy w życiu nie śpiewałem.

Nagle zachichotał.

- Wielu rzeczy jeszcze nie robiłem i chyba już czas, żebym kilku spróbował.

Ce'Nedra i murgoska dziewczyna, Prala, również pojawiły się na pokładzie. Tym razem Prala nie była ubrana w czerń, lecz miała na sobie wspaniałą, blad różową suknię, a kruczoczarne włosy spięte były na karku misterną siateczką.

- Moje panie - Urgit powitał je grzecznym ukłonem, który byłby całkiem udany, gdyby król nie zachwiał się nieco.

- Ostrożnie, mój stary - zawołał Silk, chwytając go za łokieć. - Nie mam ochoty wyławiać cię z morza.

- Wiesz co, Kheldarze - powiedział Urgit, mrużąc oko jak sowa. - Chyba nigdy tak dobrze się nie czułem.

Spojrzał na Ce'Nedrę i Pralę.

- Powiem ci coś jeszcze. To są bardzo ładne dziewczyny. Czy nie sądzisz, że zechcą z nami zaśpiewać?

- Możemy je zapytać.

- No pewnie.

Podeszli do Ce'Nedry i jej murgoskiej towarzyszki i błagali je, klnąc się na wszystko, by z nimi zaśpiewały. Prala śmiała się, gdy Urgit wychylał się w przód i w tył wraz z ruchami okrętu.

- Myślę, że obaj jesteście pijani - oświadczyła.

- Czy jesteśmy pijani? - król zapytał Drasanina, wciąż kołysząc się na nogach.

- Mam nadzieję - odparł Silk. - Jeśli nie, to zmarnowaliśmy sporo przedniego wina.

- To chyba jesteśmy pijani. Skoro to już ustaliliśmy, to może teraz zaśpiewamy?

- Alornowie! - westchnęła Ce'Nedra, obracając oczy ku niebu.

Kiedy obudzili się następnego ranka, padał deszcz. Zimna mżawka z sykiem siekła powierzchnię morza, a ciężkie krople zbierały się i ściekały po pokrytym smołą olinowaniu. Polgara przyszła do nich na śniadanie, które jedli w większej kajucie w samym końcu okrętu. Była cicha i jakby nieobecna.

Velvet rozejrzała się z ożywieniem po pomieszczeniu, którego solidne okna umieszczono na rufie zamiast iluminatorów; ciężkie belki podtrzymywały sufit, który był

właściwie pokładem. Przyjrzała się uważnie dwóm podejrzanie pustym krzesłom przy stole.

- Co się stało z księciem Kheldarem i jego krnąbrnym królewskim bratem? - zapytała.

- Obawiam się, że wczoraj zbyt długo siedzieli przy pucharach z winem - odpowiedziała Ce'Nedra z nieco złośliwym uśmiechem. - Sądzę, że ich zdrowie będzie dziś nadwątlone.

- Czy uwierzycie, że śpiewali? - zapytała Prala.

- Och? - zdziwiła się Velvet. - A czy dobrze im szło? Prala roześmiała się.

- Odstraszyli mewy. Nigdy nie słyszałam tak straszego hałasu.

Polgara i Durnik rozmawiali cicho, siedząc w końcu stołu.

- Czuję się zupełnie dobrze, Durniku - zapewniała go. - Możesz iść.

- Nie chcę zostawić cię samej, Pol.

- Nie będę sama, kochanie. Będą ze mną Ce'Nedra, Prala i Liselle. Jeśli sam tego nie sprawdzisz, do końca życia będziesz się nad tym zastanawiał i żałował, że przepuściłeś okazję.

- No cóż, skoro jesteś pewna.

- Jestem, kochanie - powiedziała, z czułością kładąc swoją dłoń na jego ręce i całując go w policzek.

Po śniadaniu Garion włożył płaszcz i wyszedł na pokład. Kilka minut stał na deszczu, mrużąc oczy, by coś zobaczyć, po czym odwrócił się, słysząc, że otwierają się za nim drzwi do kajut. Wyszli przez nie Durnik i Toth z wędkami w rękach.

- To jasne jak słońce, Toth - mówił Durnik. - Jest tu tyle wody, że ryby po prostu muszą tu żyć.

Toth skinął głową i wykonał dziwny gest, wyciągając oba ramiona, jakby coś mierzył.

- Niezupełnie cię rozumiem. Toth powtórzył gest.

- Och, na pewno nie będą aż tak duże - zaprzeczył kowal. - Ryby nie są nigdy tak wielkie, prawda?

Jego milczący towarzysz potaknął energicznie.

- To nie znaczy, że wątpię w to, co mówisz - rzekł poważnie Durnik - ale musiałbym to zobaczyć.

Toth wzruszył ramionami.

- Piękny poranek, prawda, Garionie? - powiedział Durnik, z uśmiechem obracając twarz ku niebu. Przeszedł trzy kroki w stronę tylnego pokładu, skinął uprzejmie sternikowi, zamachnął się potężnie i zarzucił wędkę w kilwater. Przyjrzał się krytycznie wabikowi.

- Myślę, że trzeba będzie założyć więcej ciężarków na linki, nie sądzisz? - powiedział

do Totha.

Olbrzym uśmiechnął się lekko i skinął potakująco.

- Czy Silkowi i Urgitowi udało się już wstać? - zawołał do nich Garion.

- Hm? - odparł Durnik ze wzrokiem utkwionym w podskakującym na falach wabiku.

- Pytałem, czy Silk i jego brat już nie śpią?

- A, tak. Chyba słyszałem, jak krzatali się w swojej kabinie. Toth, naprawdę musimy obciążyć jeszcze linkę.

Wówczas na pokładzie zjawił się Belgarath, szczelnie otulony w swój zniszczony płaszcz. Poprzez mżawkę przyjrzał się z kwaśnym wyrazem twarzy ledwo widocznemu brzegowi i przeszedł na śródokręcie.

Garion podszedł do niego.

- Jak myślisz, dziadku, jak długo będziemy płynąć do Verkat? - zapytał.

- Parę tygodni - odrzekł starzec - jeśli pogoda nie pogorszy się jeszcze bardziej. Jesteśmy daleko na południu, a zaczyna się okres sztormów.

- Ale jest szybsza droga, prawda? - podsunął mu Garion.

- Nie bardzo cię rozumiem.

- Pamiętasz, jak dostaliśmy się z Jarviksholm do Rivy? Czy nie możemy we dwóch tego powtórzyć? Pozostali dołączyliby później.

- Chyba nie powinniśmy. Myślę, że pozostali powinni być z nami, kiedy dogonimy Zandramas.

Nagle Garion ze złością uderzył pięścią w reling.

- Powinniśmy! - wybuchnął. - Nie obchodzi mnie, co powinniśmy robić. Chcę odzyskać mojego syna. Zmęczyło mnie już to czajenie się i wypełnianie wszystkich sprytnych słów Proroctwa. Co złego by się stało, gdybyśmy je zignorowali i zajęli się od razu tym, co najważniejsze?

Belgarath spojrział ze spokojem na wynurzające się z deszczu rdzawe skały.

- Ja sam próbowałem tego kilka razy - przyznał - ale nigdy się nie udało, zazwyczaj jeszcze się przez to cofałem. Wiem, że się niecierpliwisz, Garionie i że czasami ciężko jest pogodzić się z tym, iż wypełnianie proroctwa to najszybszy sposób, by dotrzeć do celu, ale w ten sposób zawsze się go osiąga. - Położył dłoń na jego ramieniu. - To trochę tak, jak kopanie studni. Woda jest na dole, ale musisz zacząć od góry. Nie sądzę, żeby ktoś miał tyle szczęścia, by wykopać studnię, zaczynając od dołu.

- Co to ma do rzeczy, dziadku? Nie widzę żadnego związku.

- Zrozumiesz, jak się nad tym chwilę zastanowisz. Wtem przybiegł do nich Durnik.

Oczy miał szeroko rozwarte ze zdziwienia, a ręce mu drżały.

- Co się dzieje? - zapytał Belgarath.

- To była największa ryba, jaką w życiu widziałem - wykrzyknął kowal. - Wielka jak koń!

- Uciekła, jak rozumiem.

- Zerwała linkę za drugim szarpnięciem - oświadczył z pewną dumą, oczy mu się świeciły. - Była piękna, Belgarionie. Wyskoczyła z wody jak z katapulty. Zdawało się, że chodzi na ogonie po falach. Co za kolosalna ryba!

- Co masz zamiar zrobić?

- Złapać ją, oczywiście, ale będę potrzebował mocniejszej linki, może nawet liny. Co za ryba! Wybaczcie mi.

Popędził na dziób, aby poprosić kapitana o linę. Belgarath uśmiechnął się.

- Kocham tego człowieka, Garionie - powiedział. - Naprawdę go kocham.

Drzwi do kajut znowu się otworzyły i wyszli przez nie Silk i jego brat. Choć Garion był zawsze pierwszy na pokładzie, zauważył, że w ciągu dnia wszyscy nań wychodzili, żeby przespacerować się na chłodnym, nasyconym solą powietrzu. Dwaj mężczyźni o twarzach łasicy szli mokrym pokładem. Żaden z nich nie wyglądał na zbyt zdrowego.

- Czy płyniemy naprzód? - zapytał Silk. Twarz miał bladą, a ręce najwyraźniej się trzęsły.

- Powoli - chrząknął czarodziej. - Długo dzisiaj spaliście.

- Chyba powinniśmy byli spać jeszcze dłużej - odparł z ponurym wyrazem Urgit. - Zdaje się, że boli mnie głowa, w lewym oku.

Pocił się intensywnie, a jego skóra miała lekko zieloną barwę.

- Czuję się po prostu potwornie - oświadczył. - Dlaczego mnie przed tym nie ostrzegłeś, Kheldarze?

- Chciałem zrobić ci niespodziankę.

- Czy zawsze tak jest następnego ranka?

- Zazwyczaj - przyznał Silk. - A czasami nawet gorzej.

- Gorzej? Czy może być jeszcze gorzej? Przepraszam. - Urgit podbiegł do relingu, wychylił się i wymiotował głośno.

- Nie najlepiej to znosi, prawda? - zauważył skrupulatnie Belgarath.

- Brak doświadczenia - wyjaśnił Silk.

- Jestem pewien, że umrę - rzekł słabym głosem król, drżącą ręką obcierając usta. - Dlaczego pozwoliłeś mi tyle wypić?

- Tę decyzję każdy mężczyzna musi podjąć sam - odparł Silk.
- Wydawało się, że świetnie się bawiliście - dodał Garion.
- Naprawdę? Nie pamiętam, co się działo przez kilkanaście godzin. Co robiłem?
- Śpiewałeś.
- Śpiewałem? Ja? - Urgit usiadł ciężko na ławce i ukrył twarz w drżących dłoniach. - Ojej - jęczał. - Ojej, ojej, ojej.

Na pokład wyszła ubrana w czarną suknię Prala. Uśmiechała się złośliwie i niosła dwa kufle dla cierpiących mężczyzn.

- Dzień dobry, moi panowie - powiedziała z dygnięciem. - Lady Polgara mówi, że macie to wypić.

- Co w tym jest? - zapytał podejrzliwie Urgit.

- Nie jestem pewna, wasza wysokość. Przygotowała to z Nyissaninem.

- Może to trucizna - powiedział z nadzieją w głosie. - Chciałbym jak najszybciej umrzeć i skończyć z tym.

Chwycił kufel i wypił go głośno. Potem zadrżał, a twarz mu pobiła jak ściana. W oczach miał przerażenie, zaczął się gwałtownie trząść.

- To okropne! - sapnął.

Silk przyglądał mu się uważnie, po czym wziął drugi kufel i ostrożnie wylał jego zawartość za burtę.

- Nie wypijesz swojego? - zapytał oskarżycielskim tonem Urgit.

- Chyba nie. Polgara miewa czasami szczególne poczucie humoru. Wolałbym nie ryzykować, dopóki nie zobaczę, ile ryb wypłynie na powierzchnię.

- Jak wasza wysokość się dzisiaj czuje? - Prala zapytała cierpiącego Urgita z wyrazem udawanego współczucia.

- Jestem chory.

- Wasza wysokość wie, że to jego wina.

- Proszę cię, przestań. Uśmiechnęła się do niego słodko.

- Bawi cię to, prawda? - zarzucił jej.

- No cóż, tak, wasza wysokość - odparła, potrząsając lekko głową. - Szczerze mówiąc, tak.

Wzięła oba kufle i poszła wzdłuż relingu na tylny pokład.

- Czy one wszystkie są takie? - zapytał nieszczęśliwy Urgit. - Takie okrutne?

- Kobiety? - Belgarath wzruszył ramionami. - Oczywiście, mają to we krwi.

Nieco później tego ponurego poranka, gdy Silk i Belgarath wrócili do kajut, aby

schronić się przed pogodą i, jak podejrzewał Garion, by zająć się czymś dla odpędzenia chłodu, Urgit siedział zniechęcony na smaganej przez deszcz ławeczce, trzymając głowę w dłoniach. Nie opodal w zamyśleniu spacerował Garion.

- Belgarionie - rzekł do niego płaczliwie król Murgów. - Czy musisz stąpać tak głośno?

Garion uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Silk naprawdę powinien być cię ostrzec - stwierdził.

- Dlaczego ludzie tak go nazywają?

- To pseudonim, który otrzymał od kolegów z drasańskiego wywiadu.

- Dlaczego członek królewskiego rodu Drasni chciał zostać szpiegiem?

- Ten zawód jest tam ogromnie popularny.

- Naprawdę jest w tym taki dobry?

- Jest chyba najlepszy.

Twarz Urgita przybrała zdecydowanie zielony kolor.

- To straszne - jęknął. - Nie wiem, czy to alkohol, czy choroba morska. Zastanawiam się, czy nie poczułbym się lepiej, gdybym włożył głowę do wiadra.

- Jeśli trzymałbyś ją tam dosyć długo.

- To jest myśl. - Urgit oparł głowę na poręcz, aby krople deszczu padały mu na twarz. - Belgarionie - odezwał się w końcu. - Co ja robię źle?

- Trochę za dużo wypieś.

- Nie o tym mówię. Gdzie popełniam błędy jako król? Garion popatrzył na niego. Niski mężczyzna z pewnością był szczery i uczucie sympatii dla niego, które pojawiło się jeszcze w Rak Urga, znowu go ogarnęło. W końcu przyznał przed sobą, że lubił tego człowieka. Wziął głęboki oddech i usiadł obok niedomagającego króla.

- Część już wiesz - powiedział. - Dajesz się zastraszyć.

- To dlatego, że się boję, Belgarionie. Kiedy byłem dzieckiem, pozwalałem na to, ponieważ dzięki temu mnie nie zabili. Chyba weszło mi to w nawyk.

- Każdy się boi.

- Ty nie. Stawiłeś czoło Torakowi w Cthol Mishrak, prawda?

- To nie był tak naprawdę mój pomysł i wierz mi, nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak byłem przerażony, kiedy szedłem na to spotkanie.

- Ty?

- O, tak. A ty zaczynasz dawać sobie z tym radę. W Drojim postąpiłeś z tym generałem - Kradak się chyba nazywał - całkiem dobrze. Po prostu pamiętaj, że jesteś królem

i że to ty wydajesz rozkazy.

- Chyba mogę spróbować. Co jeszcze robię źle? Garion zastanowił się nad tym.

- Chcesz wszystko zrobić sam - odparł w końcu. - Nikomu się to nie uda. Po prostu zbyt wiele w tym szczegółów. Potrzebujesz pomocy, dobrej, uczciwej pomocy.

- Gdzie w Cthol Murgos znajdę uczciwą pomoc? Komu mogę zaufać?

- Ufasz Oskatatowi, czyż nie?

- No, chyba tak.

- No więc masz już od czego zacząć. Widzisz, Urgicie, chodzi o to, że w Rak Urga masz ludzi podejmujących decyzje, które należą do ciebie. Oni się tym zajmują, ponieważ ty albo nazbyt się bałeś, albo byłeś zajęty czymś innym i nie udowodniłeś, że władza należy do ciebie.

- Jesteś niekonsekwentny, Belgarionie. Najpierw mówisz, że powinienem znaleźć kogoś do pomocy, a potem odwracasz wszystko i przestrzegasz, by inni nie podejmowali za mnie decyzji.

- Nie słuchałeś mnie. Ludzie, którzy decydują za ciebie, nie są tymi, których ty byś wybrał. Sami znaleźli się koło ciebie. W wielu przypadkach pewnie nawet nie wiesz, kim są. Tak się po prostu nie da. Musisz wybierać ludzi bardzo ostrożnie. Podstawowy warunek to kompetencja. Tuż dalej jest lojalność wobec ciebie i twojej matki.

- Nikt nie jest wobec mnie lojalny, Belgarionie. Moi poddani nienawidzą mnie.

- Możesz się jeszcze zdziwić. Myślę, że lojalność i kompetencja Oskatata nie ulega kwestii. To chyba na razie wystarczy. Niech wybierze dla ciebie urzędników. Na początku będą lojalni wobec niego, lecz z czasem zaczną szanować także ciebie.

- Nie przyszło mi to do głowy. Myślisz, że to by się udało?

- Spróbować nie zaszkodzi. Mówiąc szczerze, przyjacielu, narobiłem bałaganu. Trochę czasu potrwa, zanim wszystko uporządkujesz, ale trzeba od czegoś zacząć.

- Dałeś mi wiele do myślenia, Belgarionie - Urgit zadrżał i rozejrzał się wokoło. - Strasznie tu. Gdzie jest Kheldar?

- W środku. Zdaje się, że usiłuje dojść do siebie.

- To znaczy, że jest sposób, by się z tego wyleczyć?

- Niektórzy Alornowie uważają, że przede wszystkim trzeba zażyć więcej tego, co spowodowało twoją chorobę.

Urgit zbladł.

- Jeszcze? - zapytał z przerażeniem. - Jak oni mogą?

- Alornowie słyną ze swej dzielności.

Król Murgów spojrział na niego podejrzliwie.

- Czy gdybym to zrobił, to jutro czułbym się tak samo?

- Prawdopodobnie tak. Dlatego Alornowie są często nie w humorze, kiedy wstają rano.

- To głupie, Belgarionie.

- Wiem. Murgowie nie mają monopolu na głupotę. - Garion spojrział na wstrząsanego drgawkami mężczyznę. - Będzie lepiej, jeśli wejdiesz do środka. Chyba nie chcesz się do tego wszystkiego przeziębć.

Po południu deszcz przestał padać. Murgoski kapitan spojrział na wciąż groźnie wyglądające niebo, a potem na skały i postrzępione rafy wynurzające się ze spienionej wody. Roztropnie polecił swoim ludziom ściągnąć żagle i zarzucić kotwicę.

Durnik i Toth z żalem zwinęli swoje linki i stali, spoglądając dumnie na kilkanaście lśniących srebrzyście ryb, które leżały u ich stóp.

Garion zbliżył się do nich i popatrzył z podziwem na ich zdobycz.

- Nieźle - zauważył.

Durnik z namaszczeniem zmierzył rękami największą rybę.

- Około trzech stóp - stwierdził. - Ale to płotki w porównaniu z tą, która uciekła.

- Zawsze tak jest - rzekł Garion. - Och - dodał. - Jeszcze jedno, Durniku. Na twoim miejscu oczyściłbym je, zanim pokazałbym Polgarze.

Kowal westchnął.

- Chyba masz rację - zgodził się.

Po południu zjedli kilka ryb i rozsiedli się wokół stołu w mesie, rozmawiając beztrósko.

- Czy myślisz, że Agachak dogonił już Harakana? - Durnik zapytał Belgaratha.

- Wątpię - odparł starzec. - Harakan jest sprytny. Skoro Beldin nie potrafił go schwytać, to nie sądzę, żeby Agachak miał więcej szczęścia.

- Lady Polgaro - odezwał się nagle ze złością Sadi. - Proszę kazać jej przestać.

- O co chodzi, Sadi?

- Margrabina Liselle psuje mojego węża.

Velvet z tajemniczym uśmiechem karmiła Zith ikłą jednej z ogromnych ryb, które złowili Durnik i Toth. Mały, zielony wąż mrucał z zadowoleniem, unosząc się do połowy w oczekiwaniu na kolejny kęs.

Rozdział XVIII

Wiatr zaczął wiać nocą, był ostry, porywisty, mocno pachniał starym, brudnym lodem. Mżawka, która ustąpiła na prawie cały dzień, powróciła jako deszcz ze śniegiem, grzechocząc w olinowaniu i stukając o pokład, jakby ktoś rzucał garści kamyków. Garion wstał jak zwykle wcześniej i wyszedł z kajuty, w której spała jeszcze jego żona, na palcach, bez butów. Minął drzwi do kajut przyjaciół, którzy leżeli jeszcze w łóżkach i wszedł do messy. Zatrzymał się na chwilę przy oknach na rufie i patrzył przez nie na smagane wiatrem fale. Przysłuchiwał się skrzypieniu pala od rumpla, który przechodził przez środek pomieszczenia i łączył się z piórem steru, które sondowało ciemną wodę pod rufą okrętu.

Kiedy usiadł, by włożyć buty, drzwi otworzyły się i wszedł przez nie Durnik, wytrzepując kawałki lodu z fałd płaszcza.

- Obawiam się, że przez jakiś czas będziemy płynąć powoli - rzekł do Gariona. - Wiatr zmienił kierunek o sto osiemdziesiąt stopni, wieje teraz wprost z południa. Płyniemy wprost na niego, a marynarze łamią już wiosła.

- Czy wiesz może, jak daleko jeszcze do cypla półwyspu? - zapytał Garion, wstając i poprawiając ułożenie stóp w butach.

- Rozmawiałem z kapitanem. Z tego, co mówi, wynika, że zostało jeszcze tylko kilkanaście mil. Na południe od cypla leży mały archipelag, więc kapitan chce przeczekać burzę, zanim zaryzykuje wpłynięcie do cieśniny. Nie jest najlepszym żeglarzem, a że statek nie wydaje się najmocniejszy - postępuje trochę zanadto ostrożnie.

Garion pochylił się, położył ręce na parapecie jednego z okien i znów przyglądał się wzburzonemu morzu.

- To może potrwać tydzień - zauważył. Odwrócił się i spojrzał na przyjaciela. - Czy nasz kapitan doszedł już do siebie? - zapytał. - Był autentycznie przerażony, kiedy wypływaliśmy z Rak Urga.

Durnik uśmiechnął się.

- Myślę, że wiele ze sobą rozmawiał. Usiłował przekonać samego siebie, że tak naprawdę nie widział tego, co się tam wydarzyło. Ale wciąż kuli się ze strachu, gdy Pol wychodzi na pokład.

- To dobrze. Czy ona już wstała? Kował skinał głową.

- Zrobiłem jej poranną herbatę, zanim wyszedłem.

- Jak myślisz, co powie, jeśli poproszę ją, by zastraszyła dla mnie kapitana, ale tylko

trochę?

- Nie wiem, czy użyłbym słowa „zastraszyć”, Garionie - poradził mu z powagą. - Może lepiej „przemówić do rozumu” albo „wyperswadować”. Pol nie uważa tego, co robi, za zastraszanie.

- Ale tak jest.

- Oczywiście, lecz ona inaczej o tym myśli.

- Chodźmy do niej.

Kajuta, którą zajmowali Pol i Durnik, była tak mała i ciasna, jak wszystko na tym niezdarnym statku. Dwie trzecie miejsca zajmowało otoczone wysokimi barierkami, zbudowane z desek łóżko. Zdawało się, że wyrasta wprost z przepierzenia. Polgara siedziała na środku w swej ulubionej niebieskiej sukni z filiżanką herbaty w dłoni i przez iluminator przyglądała się smaganym deszczem falom.

- Dzień dobry, ciociu Pol - powitał ją Garion.

- Dzień dobry, kochanie. Jak miło, że mnie odwiedzasz.

- Czy dobrze się już czujesz? - zapytał. - To znaczy, słyszałem, że byłaś bardzo zmartwiona tym, co wydarzyło się w porcie.

Westchnęła.

- Myślę, że najgorsze było to, że nie miałam wyboru. Gdy Chabat przyzwała demona, już była skazana, ale to ja musiałam zniszczyć jej duszę. - Na twarzy Polgary malował się smutek; widniał też ślad głębokiego, doskwierającego żalu. - Czy moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? - zapytała.

- Dobrze. Czy chciałabyś porozmawiać z kimś dla mnie?

- Z kim?

- Z kapitanem okrętu. Chce stać na kotwicy, aż pogoda się poprawi, a ja wolałbym nie czekać.

- Dlaczego sam tego z nim nie omówisz?

- Ponieważ ciebie ludzie słuchają uważniej niż mnie. Czy mogłabyś to zrobić, ciociu Pol? To znaczy, porozmawiać z nim?

- Chcesz, żebym go zastraszyła.

- Nie powiedziałbym „zastraszyła” - zaprzeczył.

- Ale o to ci chodzi, Garionie. Zawsze mów to, co myślisz.

- Zrobisz to?

- Dobrze, jeśli chcesz. A teraz, czy ty zrobisz coś dla mnie?

- Czego tylko sobie życzysz, ciociu Pol. Podała mu filiżankę.

- Czy mógłbyś zrobić mi jeszcze herbaty?

Po śniadaniu Polgara włożyła swój niebieski płaszcz i wyszła na pokład. Murgoski kapitan zmienił plany prawie od razu, gdy tylko zaczęła do niego mówić. Potem wdrapał się na grotmaszt i resztę ranka spędził pilnie trzymając wachtę w szaleńczo rozkołysanym bocianim gnieździe.

Gdy dotarli do południowego cypla półwyspu Urga, sternik zakręcił mocno kołem i okręt przechylił się ostro na lewą burtę. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego kapitan chciał przedtem uniknąć przepływania pomiędzy wyspami, jeśli pogoda nie będzie idealna. Prądy wirowały w wąskich kanałach, wiatr darł na strzępy szczyty ciemnych, toczących się fal, które z hukiem i ogromną siłą uderzały w skały o ostrych jak noże krawędziach. Przejęci strachem murgoscy marynarze wiosłowali mocno, rzucając złężnione spojrzenia na majaczące ze wszystkich stron rafy. Gdy przebyli pierwsze trzy mile, kapitan zszedł na pokład i z napiętymi nerwami stanął obok sternika. Okręt ostrożnie szukał drogi pomiędzy wyspami na rozszalałym morzu.

Popołudnie zbliżało się już do wieczora, kiedy minęli wreszcie ostatnie ze skalistych wysepek, a marynarze zaczęli wiosłować ku otwartym wodom, gdzie śnieg z deszczem kropił grzywy fal.

Belgarath i Garion, szczelnie otuleni w płaszcze, stali na pokładzie i przez kilka minut obserwowali wiosłarzy; potem starzec odwrócił się do drzwi wiodących do kajut.

- Urgacie! - zawołał. - Chodź tu prędko!

Król Murgów potknął się na schodach i wyszedł na pokład, patrząc na czarodzieja z bojażnią.

- Czy twoi ludzie nie wiedzą, jak ustawić liny, by złapać wiatr? - zapytał go Belgarath.

Urgit spojrział na niego w osłupieniu.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz - oświadczył.

- Durniku! - krzyknął czarodziej.

Kowal stał na rufie z Tothem i pilnie obserwował swój wabik; nie odpowiedział Belgarathowi.

- Durniku!

- Hmm?

- Musimy poprawić takielunek. Chodź, pokaż kapitanowi, jak to się robi.

- Za chwilę.

- Już, Durniku!

Kowal westchnął i zaczął zwijać linkę. Ryba szarpnęła bez ostrzeżenia, a okrzyk

Durnika zagłuszył wiatr. Chwycił linkę i pociągnął mocno, żeby haczyk się zaczepił. Ogromna ryba o srebrnych bokach wyskoczyła z wody i machała wściekle głową. Durnikowi wygięły się ręce, gdy zaczął z całej siły ciągnąć i skracać linkę, dzielnie walcząc z rybą, aby ją zatrzymać.

Belgarath zaczął przeklinać.

- Ja pokażę kapitanowi, co się robi z takielunkiem, dziadku - zaproponował Garion.

- Co o tym wiesz?

- Pływałem na co najmniej tylu statkach, co Durnik. Wiem, jak to się robi.

Poszedł na dziób, aby porozmawiać z kapitanem, który stał tam i wpatrywał się w rozkołysane morze.

- Poluzuj liny z tej strony - wyjaśnił mu Garion - a naciągnij z tamtej. Chodzi o to, żeby ustawić żagle pod takim kątem, by chwyciły wiatr. Potem wyrównaj sterem.

- Nikt tego jeszcze nie robił - oświadczył z uporem.

- Alornowie tak postępują, a są najlepszymi żeglarzami na świecie.

- Alornowie kontrolują wiatr za pomocą czarów. Nie można używać żagli, jeśli nie ma się wiatru z tyłu.

- Po prostu spróbuj, kapitanie - powiedział cierpliwie Garion. Spojrzał na barczystego żeglarza i stwierdził, że marnuje czas. - Jeśli nie chcesz tego zrobić, gdyż to ja cię proszę - dodał - to myślę, że mógłbym namówić Polgarę, aby cię o to poprosiła, jako osobistą przysługę.

Kapitanowi rozszerzyły się oczy, gdy na niego spojrzał. Głośno przełknął ślinę.

- Jak miałem ustawić żagle, panie? - zapytał znacznie łagodniejszym tonem.

Minęło piętnaście minut, zanim naciągnięto liny tak, jak proponował Garion. Potem wziął ze sobą sceptycznego kapitana i poszedł z nim na rufę. Przejął koło od sternika i powiedział.

- W porządku. Stawiać żagle.

- To się nie uda - zapowiedział szeptem oficer, po czym ryknął: - Wciągać żagle!

Koła pasowe zaczęły skrzypieć, a trzepoczące na wietrze płótna podniosły się na maszty. Załopotały i wybrzuszyły się, ustawiane pod kątem, by schwytać porywy wiatru. Garion zakręcił kołem, a okręt przechylił się na zawietrzną stronę. Dziób statku przeciął spienione fale.

Murgoski kapitan wpatrywał się w żagle z otwartymi ustami.

- Nie do wiary! - wykrzyknął. - Nikt tego jeszcze nie robił!

- Widzisz, jak to działa? - zapytał Garion.

- Oczywiście. To takie proste, że nie rozumiem, dlaczego sam o tym nie pomyślałem.

Garion chciał mu odpowiedzieć, ale zdecydował się zachować to dla siebie. Kapitan miał już i tak zły dzień. Zwrócił się do sternika.

- Musisz tak trzymać ster, by dopasowywać się do siły wiatru ze sterburty - wyjaśnił.

- Rozumiem, panie.

Garion odstąpił od koła i wrócił do Durnika i Totha. Wciąż ciągnęli linkę, a ogromna ryba już nie tańczyła na powierzchni fal, lecz wila się zawzięcie w kipiącym kilwaterze; mocna lina, łącząca jej pysk z dwoma rybakami, syczała w wodzie, jakby była rozpalona do czerwoności.

- Ładna ryba - zawołał do walczącej pary Garion. Durnik uśmiechnął się do niego promiennie. Silny wiatr nie ustąpił do końca dnia. Kiedy zaczęło się ściemniać, byli już daleko od lądu. Garion miał teraz pewność, że kapitan i sternik poradzą sobie sami i podszedł do niewielkiej grupki stojącej na śródokręciu nad ogromną rybą Durnika.

- Skoro już ją zdobyłeś, to gdzie masz zamiar znaleźć tak wielką patelnię, by ją w niej usmażyć? - zapytał kowala Silk.

Durnik zmarszczył czoło, lecz zaraz uśmiechnął się znowu.

- Pol będzie wiedziała, co z nią zrobić - odpowiedział i dalej podziwiał leżącego na pokładzie potwora. - Pol potrafi poradzić sobie ze wszystkim.

Opady znacznie się już zmniejszyły, a posępne, ciemne fale sięgały blado świecącej linii horyzontu, która oddzielała czarne morze od jeszcze czarniejszego nieba. Murgoski kapitan przyszedł do nich o zmroku z wyrazem troski na twarzy. Z szacunkiem dotknął rękawa Urgita.

- Tak, kapitanie?

- Obawiam się, że mamy kłopoty, wasza wysokość. Oficer wskazał na horyzont po południowej stronie. Sześć gnanych wiatrem okrętów płynęło wprost na nich. Urgit zasępił się.

- Malloreanie?

Kapitan skinął potakująco głową.

- Myślisz, że nas zauważyli?

- Prawie na pewno, wasza wysokość.

- Lepiej porozmawiajmy z Belgarathem - zaproponował Silk. - Chyba nikt z nas nie brał tego pod uwagę.

Atmosfera w czasie narady w messie była bardzo napięta.

- Płyną znacznie szybciej niż my, dziadku - mówił Garion. - My chwytny wiatr, a im

dmie wprost w rufę. Chyba będziemy musieli skrócić na północ, przynajmniej dopóki nie znikniemy im z oczu.

Starzec wpatrywał się w zniszczoną mapę, którą przyniósł kapitan. Potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się to - oświadczył. - Zatoka, w której teraz jesteśmy, otwiera się na Morze Gorandzkie, a nie chcę dać się tam złapać.

Zwrócił się do Silka.

- Byłeś kilka razy w Mallorei. Jak dobre są ich okręty? Silk wzruszył ramionami.

- Tak samo, jak ten. Nie chcę cię obrazić, kapitanie, ale Angarakowie nie są takimi żeglarzami, ani nie budują takich okrętów, jak Cherekowie.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Być może wiem, jak im umknąć - oświadczył. - Malloreanie są ostrożni na morzu, więc nocą nie rozstawią wszystkich żagli. Jeśli skierujemy się na północ i postawimy każdy kawałek płótna, jaki mamy, będziemy mogli znacznie ich wyprzedzić. Kiedy się ściemni, możemy być już tylko małym punktem na horyzoncie. Wtedy zdejmujemy żagle, nastawimy takielunek i zgasimy wszystkie światła na pokładzie.

- Nie możemy tego zrobić - sprzeciwił się kapitan. - To wbrew prawu.

- Dam ci pismo z usprawiedliwieniem - powiedział sucho Urgit.

- To zbyt niebezpieczne, wasza wysokość. Jeśli będziemy płynąć bez świateł, możemy się z kimś zderzyć w ciemności. To grozi zatonięciem.

- Kapitanie - rzekł cierpliwie król. - Ściga nas sześć okrętów Mallorean. Jak myślisz, co zrobią, gdy nas złapią?

- Zatopią nas, to jasne.

- Wiec co za różnica? Jeśli zgasimy światła, przynajmniej będziemy mieli szansę.

Mów dalej, Kheldarze.

Silk znowu wzruszył ramionami.

- To już prawie wszystko. Wyłączymy reflektory, wciągniemy żagiel i popłyniemy na wschód. Malloreanie nie zobaczą nas i zaatakują nasz kilwater. Jutro rano nie będą mieli pojęcia, gdzie się podzialiśmy.

- Może się udać - uznał Belgarath.

- To niebezpieczne - odparł z dezaprobatą murgoski oficer.

- Czasami nawet oddychać jest niebezpiecznie, kapitanie - rzekł do niego Urgit. - Spróbujmy, zobaczymy, co się stanie. Nie mogę tylko zrozumieć, co malloreańskie okręty robią tak daleko na zachodzie.

- Może to maruderzy, którzy łupią nadbrzeżne obszary - zastanawiał się Sadi.

- Możliwe - odparł z powątpiewaniem król Murgów.

Płynęli wprost na północ, gnani wiatrem z lodowca na południu. Pokładowe latarnie huśtały się na wietrze, napełniając takielunek szaleńczo roztańczonymi cieniami.

Szóstka łodzi Mallolean, płynąca pod połową żagli, zostawała coraz bardziej z tyłu, aż w końcu wyglądała jak grupka migoczących gwiazd na horyzoncie za rufą. Koło północy kapitan rozkazał ściągnąć żagle. Marynarze szybko ustawili takielunek. Murgoski oficer podszedł do Gariona, który stał obok sternika.

- Wszystko gotowe, panie - zameldował.

- A więc dobrze. Zgaśmy wszystkie światła i zobaczymy, czy uda nam się stąd wymknąć.

Ponura twarz Murga zmarszczyła się niepewnie w smutny uśmiech.

- Kiedy się stąd wydostaniemy, chyba cały miesiąc spędzę w łóżku - powiedział.

Podniósł głos do krzyku.

- Wyłączyć wszystkie światła na pokładzie! - rozkazał. Nastąpiła ciemność tak gęsta, że niemal dotykalna.

- Stawiać żagle! - zawołał kapitan.

Garion usłyszał skrzypienie kół i trzepotanie płótna. Potem rozległ się potężny łoskot, gdy żagle złapały wiatr, a okręt przechylił się, obracając w prawo.

- Nie możemy być pewni kierunku, panie - ostrzegł oficer. - Nie mamy żadnego stałego punktu odniesienia.

- Użyj tego - zaproponował Garion, wskazując na mrugające za nimi światła okrętów Mallolean. - Możemy je przecież wykorzystać.

Ciemna krypa płynęła na wschód, a ustawione pod ostrym kątem żagle łopotały na wietrze. Światła pokładowe ścigających ich malloreańskich okrętów sunęły wciąż na północ. Przecięły ich kilwater daleko z tyłu i zniknęły im z oczu.

Wraz ze świtem od strony ponurego horyzontu na wschodzie nadeszła gęsta mgła. Podnosiła się powoli zza nisko wiszącego cienia jakieś trzydzieści mil przed nimi.

- To brzeg Cthaki - oświadczył kapitan, wskazując przed siebie.

- Czy są jakieś ślady Mallolean? - zapytał Urgit, rozglądając się po wzburzonym morzu.

Murgoski oficer pokręcił głową.

- Przepłynęli nam za rufą w czasie psiej wachty, wasza wysokość. Są już w połowie drogi do Morza Gorandzkiego.

Żeglarz spojrział na Gariona.

- Chciałeś podpłynąć bliżej do brzegu i obrócić się przez sterburte, panie?

- Oczywiście, przez sterburte.

Kapitan spojrzał z ukosa na żagle.

- Myślę, że znowu będziemy musieli przestawić takielunek.

- Obawiam się, że nie - rzekł z żalem Belgarion. - Kiedy skęcimy na południe, będziemy płynąć wprost pod wiatr. Trzeba będzie zwinąć żagle i łamać wiosła.

Zauważył wyraz rozczarowania na twarzy żeglarza.

- Przykro mi, kapitanie, lecz są pewne granice. Twoje płótna mają nieodpowiedni kształt, ale jak się nad tym zastanowić, to okaże się, że wiosłując, będziemy się poruszać szybciej. Jak daleko na północ dopłynęliśmy w ciągu nocy?

- Dosyć daleko, mój panie - odparł kapitan, wypatrując niewyraźnej linii brzegowej przed nimi. - Przy takim wietrze pod pełnymi żaglami można zrobić ładnych parę mil. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy zobaczyli zaraz przesmyk prowadzący do Morza Gorandzkiego.

- Nie chcemy tam wpływać. Nie bawmy się w berka z Malloreanami, zwłaszcza w tak niebezpiecznych rejonach. Zejdę na dół, żeby zjeść śniadanie i przebrać się w coś suchego. Przyślij kogoś, gdyby coś się działo.

- Tak jest, panie.

Na śniadanie mieli rybę. Zgodnie z prośbą Polgary zdobycz Durnika została podzielona na steki i delikatnie upieczona nad niskim płomieniem.

- Wyborne, nieprawdaż? - zapytał z dumą Durnik.

- Tak, kochanie - zgodziła się Polgara. - To bardzo dobra ryba.

- Czy mówiłem ci, jak ją złowiłem?

- Tak, kochanie, ale nic nie szkodzi. Możesz opowiedzieć jeszcze raz, jeśli chcesz.

Gdy kończyli już posiłek, wszedł kapitan w zniszczonej czapce i z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Jest ich więcej, mój panie - poinformował Gariona.

- Więcej czego?

- Mallorean. Kolejna eskadra nadpływa od wybrzeża Cthaki.

Urgit zbladł, ręce zaczęły mu drżeć.

- Jesteś pewien, że to nie te same, które ścigały nas zeszłej nocy? - zapytał król Rivy, szybko wstając.

- To niemożliwe, panie. To inna grupa okrętów. Silk przyglądał się Murgowi uważnie.

- Kapitanie - rzeki - czy prowadziłeś kiedyś prywatny interes?

Oficer rzucił przelotne, skruszone spojrzenie na Urgita.

- Nie wiem, o czym pan mówi - wymamrotał.

- Nie czas teraz na fałszywą skromność - mówił Drasanin. - Szarżujemy wprost na eskadrę Mallorean. Czy są tu jakieś zatoczki, w których moglibyśmy zniknąć im z oczu?

- Nie przy tym brzegu, panie; ale, gdy tylko przepłyniemy przez przesmyk wiodący do Morza Gorandzkiego, po sterburcie będziemy mieli niewielką zatokę. Jest ukryta wśród raf. Jeśli rozmontowalibyśmy maszty i zakryli burty gałęziami, to sądzę, że mogliby nas nie zauważyć.

- Więc zrobmy tak, kapitanie - rzekł krótko Belgarath. - Jaka jest pogoda?

- Niezbyt przyjemna. Z południa nadciąga ciężka chmura. Myślę, że przed południem możemy spodziewać się sztormu.

- To dobrze.

- Dobrze?

- Nie jesteśmy sami na tych wodach - przypomniał mu czarodziej. - Ładna burza powinna dać Malloreanom inne zajęcie, żeby nie mogli przestawić lin i szukać nas na morzu. Wydadź rozkazy, kapitanie. Skręcajmy do zatoki.

- Skąd miałeś pewność, że kapitan wiedział o jakiejś zacisznej zatoczce? - zapytał Silka Urgit, gdy żeglarz wyszedł.

Silk wzruszył ramionami.

- Nakładasz podatki za towary przewożone z miejsca do miejsca, prawda?

- Oczywiście, potrzebuję dochodów.

- Przedsiębiorczy człowiek, który ma własny statek, może, powiedzmy... zapomnieć zatrzymać się w doku urzędu celnego po ukończeniu podróży, albo znaleźć jakieś spokojne miejsce, w którym złożyć towary, aż znajdzie na nie kupców.

- To kontrabanda!

- No, tak, niektórzy ludzie tak to nazywają. W każdym razie, chyba każdy kapitan okrętu na świecie para się tym od czasu do czasu.

- Nie Murgowie - upierał się Urgit.

- Więc skąd twój kapitan wiedział o doskonałej kryjówce nie dalej jak piętnaście mil stąd? I pewnie zna jeszcze setki innych.

- Jesteś skorumpowanym, odrażającym człowiekiem, Kheldarze.

- Wiem. Ale przemyt to bardzo dochodowy interes. Powinieneś się zastanowić, czy nie warto się nim zająć.

- Kheldarze, jestem królem. Okradałbym samego siebie.

- Zaufaj mi - odparł Silk. - To dosyć skomplikowane, ale mogę ci pokazać, jak

zorganizować wszystko, by osiągnąć słuszny zysk.

Okręt przechylił się i wszyscy wyjrzeni przez okna na rufie, by zobaczyć, jak fale uderzały w kadłub, gdy sternik mocno kręcił kołem, a okręt obracał się. W dali za sobą widzieli pół tuzina czerwonych żagli, które z tej odległości wyglądały jak małe plamki.

- Czy są tam jacyś Grolimowie, Pol? - Belgarath zapytał swą córkę.

Jej lawendowe oczy stały się przez chwilę nieobecne, po czym przesunęła ręką nad brwią.

- Nie, ojciec - odrzekła. - Tylko zwyczajni Malloreanie.

- To dobrze. W takim razie powinniśmy ukryć się przed nimi bez problemów.

- Sztorm, o którym mówił kapitan, nadchodzi tuż za nimi - zauważył Durnik.

- Czy nie przyplyną przez to szybciej? - denerwował się Urgit.

- Raczej nie - uśmiechnął się kowal. - Najprawdopodobniej obróca się dziobem w stronę wiatru. To najbezpieczniejszy sposób, by przejść przez sztorm.

- Czy my nie będziemy musieli też tego zrobić?

- Jest ich sześć razy więcej niż nas - zauważył Silk. - Myślę, że trzeba będzie trochę zaryzykować.

Nadchodząca fala ciemności, która zwiastowała burzę, ogarnęła czerwone żagle za rufą i zbliżała się coraz szybciej. Fale rosły, murgoski okręt podskakiwał i zanurzał się, gdy wiatr dał wciąż silniej i silniej. Belki skrzypiały i mruczały swój protest, kiedy wody morza szarpały kadłubem, a wysoko nad głowami łopotwały żagle. Garion przysłuchiwał się im przez kilka minut, zanim zrozumiał, co oznaczał ten dźwięk. Zaalarmowało go złowieszcze zgrzytanie w śródkręciu.

- Co za idiota! - wykrzyknął, skacząc na równe nogi i chwytając płaszcz.

- O co chodzi? - zapytał czujnie Sadi.

- Płynie pod pełnymi żaglami! Jeśli grotmaszt się nie złamie, pójdziemy na dno! - Garion obrócił się na pięcie, wypadł z kajuty i potykając się przebiegł trzy stopnie korytarza prowadzącego na pokład.

- Kapitanie! - krzyknął i ruszył na rufę, trzymając się liny.

- Panie? - odkrzyknął ze zdziwionym spojrzeniem Murgo.

- Skrócić żagle! Grotmaszt zaraz wypadnie! Oficer zadarł głowę do góry, nagle zasmucony.

- To niemożliwe, mój panie - zaoponował, gdy Garion dotarł do niego. - Ludzie nie mogą w tym sztormie składać żagli.

Król Rivy otarł twarz z deszczu i obejrzał się na naprężony grotżagiel.

- W takim razie będą musieli go odciąć.

- Odciąć? Ależ, panie, to nowy żagiel.

- W tej chwili albo stracimy żagiel, albo statek. Jeśli wiatr wyrwie grotmaszt, rozedrze okręt na kawałki, a jeśli nie, to zatoniemy. A więc pozbądź się tego płótna, albo ja to zrobię.

Kapitan patrzył na niego z powątpiewaniem.

- Wierz mi - powiedział mu Garion. - Jeśli będę musiał, wyczyszczę ci pokład ze wszystkich masztów, olinowania, żagli, wszystkiego.

Murgo natychmiast zaczął wydawać rozkazy.

Kiedy odcięty grotżagiel odleciał jak latawiec na wietrze, groźne skrzypienie i zgrzytanie ustało, a okręt szybciej pomknął dalej, tylko pod fokiem.

- Jak daleko stąd do Morza Gorandzkiego? - zapytał Garion.

- Blisko, mój panie - odparł kapitan z grymasem na twarzy.

Spojrzał na szalejącą o poranku burzę i niemal niewidoczny brzeg po prawej burcie.

- To tam - wskazał na majaczący o milę przed nimi pagórek. - Widzi pan przed nami ten przylądek, taki biały i stromy? Przesmyk jest po drugiej stronie.

Zwrócił się do marynarzy trzymających się kurczowo relingu.

- Rzucić kotwicę - rozkazał.

- Po co? - chciał wiedzieć król.

- Za daleko już się posunęliśmy, panie - wyjaśnił żeglarz. - Przesmyk jest dosyć trudny, a będziemy musieli zrobić ostry obrót, żeby przejść przez niego. Musimy zwolnić. Kotwica będzie się za nami ciągnęła, dzięki czemu nie będziemy płynąć tak szybko.

Garion zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tym. Coś się nie zgadzało, ale nie mógł dojść, co. Patrzył, jak marynarze na rufie wytaczali za burtę coś w rodzaju długiego, płóciennego worka, przymocowanego do ciężkiej liny. Torba poleciała wprost w dół; lina naprężyła się, okręt zaś zadrzał i wyraźnie zwolnił.

- Tak jest lepiej - powiedział z pewną satysfakcją kapitan. Garion osłonił oczy przed lodowatym deszczem, którym wiatr chłostał jego twarz. Z trudem mógł dojrzeć coś za marynarzami. Mallolean nigdzie nie było widać.

- Jak bardzo ryzykowałibyśmy wpływając do tej cieśniny? - zapytał.

- Na środku są rafy, panie. Trzeba cały czas trzymać się albo jednego, albo drugiego brzegu. Popłyniemy przy południowym, gdyż z tej strony jest zatoczka, o której mówiłem.

Król skinął głową.

- Pójdę przestrzec pozostałych, że zrobimy ostry zakręt w prawo. Nagła zmiana kierunku na tych wodach może nimi trochę wstrząsnąć.

- Przez sterburtę - rzekł z niezadowoleniem kapitan.

- Co? Ach, nie. Dla większości z nich w prawo.

Garion ruszył przez smagany deszczem pokład, szukając wzrokiem niskiego brzegu, obok którego przepływali. Urwista skała i wylaniający się za nią cypel znajdowały się teraz dokładnie na wprost śródokręcia. Przed sobą widział przesmyk, na którym rozrzucone były postrzępione, wystające z wody skały. Skoczył zgrabnie do wąskiego, ciemnego korytarza; schodząc w stronę rufy, wytrząsnął z fałd płaszcza tyle wody, ile tylko mógł. Otworzył drzwi do messy i wsunął głowę do środka.

- Jesteśmy u wejścia do Morza Gorandzkiego - ogłosił. - Zrobimy tu obrót przez sterburtę. - Zaklął, gdy zorientował się, że popełnił błąd.

- Z której strony jest sterburta? - zapytała Ce'Nedra.

- Z prawej.

- Więc dlaczego nie powiedziałaś, że w prawo? Zignorował to pytanie.

- Kiedy będziemy na miejscu, może nas trochę zatrząść, więc lepiej się czegoś trzymajcie. Na środku przesmyku jest rafa, dlatego będziemy musieli ostro skrócić, żeby uniknąć... - nagle dotarło to do niego; dokładnie w chwili, gdy okręt zawrócił i ruszył w stronę kanału.

- Na Belara! - zaklął i splunął, sięgając przez ramię po miecz, po czym pobiegł z powrotem korytarzem. Wpadł przez drzwi i skoczył na zlany deszczem pokład z wysoko uniesionym wielkim mieczem.

- Odciąć to! - wrzasnął. - Odciąć linę kotwicy! Kapitan spojrzał na niego, niczego nie rozumiejąc.

- Odciąć przeklętą linę! - ryczał Garion.

Wpadł na marynarzy, którzy potykali się niezgrabnie, usiłując zejść mu z drogi. Okręt wykonał już ostry obrót i znajdował się blisko cypla; ominął rafy i wystające głazy na środku przesmyku. Jednakże zanurzona kotwica, ciągnięta siłą rosnących na wietrze fał, płynęła dalej w poprzek kanału. Luźno zwisająca lina, która zniknęła już wśród bałwanów, nagle naprężyła się, pociągając za sobą łódź. Siła nagłego szarpnięcia zwała Gariona z nóg, uderzył w płataninę rąk i nóg przy relingu.

- Odciąć! - krzyknął, próbując się uwolnić. - Odciąć linę! Lecz było już za późno. Ciężka kotwica, nie potrafiąc oprzeć się sile sztormowych fal, nie tyle zatrzymała okręt, co zaczęła ciągnąć go w przeciwnym kierunku: nie ku bezpiecznemu przesmykowi, w który właśnie wpłynęli, a wprost na postrzępione skały.

Garion z trudem wstał, kopiąc płaczących mu się u stóp marynarzy. Rozpaczliwie ciął

rzeżącą linę, rozcinając nie tylko ją, lecz również potężny kołowrót, do którego była przymocowana.

- Mój panie! - protestował kapitan.

- Chwytaj ster! - krzyczał król Rivy. - Skręcaj przez sterburtę! Skręcaj! Skręcaj! Skręcaj! - wskazał przerażające rafy, które wynurzały się ze spienionej wody dokładnie przed nimi.

Kapitan utkwiał wzrok w ostrych jak brzytwy skałach, ku którym płynął jego okręt. Obrócił się na pięcie i wyrwał ster z rąk odrętwiałego marynarza.

- Sterburta! - krzyknął Garion. - Przez sterburtę!

- Nie, panie - sprzeciwił się Murgo. - Musimy położyć ster na lewą burtę.

- Płyniemy z powrotem, ty ośle! W prawo!

- Przez sterburtę - poprawił niewzruszenie kapitan, zmagając się z czymś, czego do końca nie rozumiał; cały czas pewnie trzymał ster na kursie, który obrał na początku, a który wiódł ku śmierci.

Garion zaczął przedzierać się na czworakach przez wciąż zalegających na pokładzie marynarzy, rozpaczliwie usiłując dosięgnąć oszołomionego kapitana, lecz nagle poniżej linii zanurzenia statku rozległ się dźwięk, jakby coś pękało, a łódź podskoczyła i zachwiała się, uderzając rufą w rafę. Belki jęknęły i pękły, a ostre skały wdarły się do wnętrza okrętu. Okręt zawisł, wbity na rafy, a fale zaczęły uderzać w niego coraz mocniej, aby wkrótce rozbić łódź na kawałki.

Rozdział XIX

Garion z trudem stanął na nogach, potrząsając głową, by odpędzić dzwonienie w uszach i iskry tańczące mu przed oczami. Nagły wstrząs rzucił go głową naprzód na reling rufy. Na czole pojawiła mu się ogromna, piekąca pręga. Wokół siebie słyszał różne hałasy. Ktoś krzychał na pokładzie, z wody docierały wrzaski proszących o pomoc. Okręt jęknął i zatrzęsł się, gdy osiadł na rafie, a potężne fale uderzały w jego rozłupane dno poniżej kilu. Garion skrzywił się, ponownie potrząsnął głową i ślizgając się ruszył po rozchwianym pokładzie do wejścia do kajut na rufie. Ale gdy do nich dotarł, na pokład wyskoczyli Belgarath i Durnik.

- Co się stało? - zapytał starzec.

- Wpadliśmy na rafę. Czy ktoś na dole jest ranny?

- Nikomu nic się nie stało, przewracali się tylko. Garion dotknął pręgi na czubku głowy, krzywiąc się z bólu.

Spojrzał na palce i nie zauważył śladów krwi.

- Co ci jest? - chciał wiedzieć czarodziej.

- Uderzyłem się w głowę.

- Myślałem, że postanowiliśmy, iż nie będziesz tego więcej robił.

Pod ich stopami rozległ się potworny huk, któremu towarzyszył odgłos pękających bali.

- Belgaracie - rzekł z przejęciem Durnik. - Osiedliśmy na rafie. Te fale rozbijają okręt na kawałki.

Starzec rozejrzał się szybko.

- Gdzie jest kapitan? - zapytał. Garion obejrzał się na rufę.

- Stał przy sterze, dziadku - powiedział.

Wdrapał się po niewielkim nachyleniu na tył okrętu i złapał sternika, który słał się tuż przy relingu.

- Gdzie jest kapitan? - krzyknął.

- Zginął. Wypadł przez burtę, kiedy uderzyliśmy w rafę. - Był wstrząśnięty i przerażony. - Wszyscy zginiemy! - wrzasnął, przywierając do Gariona.

- Och, przestań! - warknął król. - Kapitan zginął, dziadku - udało mu się przekrzyczeć sztorm i zgiełk na okręcie. - Wypadł za burtę.

Belgarath i Durnik szybko wbiegli po trzech schodkach wiodących na tylny pokład.

- Więc sami będziemy musieli się tym zająć - stwierdził starzec. - Jak myślisz, Durniku, ile mamy czasu?

- Niezbyt dużo. Wiele belek już pękło, słychać, jak woda wdziera się do środka.

- A więc musimy zdjąć go z rafy... zanim skała zrobi w nim więcej dziur.

- Tylko dzięki rafie jesteśmy jeszcze na powierzchni, Belgaracie - sprzeciwił się kowal. - Jeśli ruszymy stąd statek, zatonie w kilka minut.

- W takim razie musimy osadzić go na plaży. Chodźcie obaj - poprowadził ich na tył i chwycił ster. Pokręcił nim kilka razy i zaklął.

- Pióro odpadło.

Wziął głęboki oddech, uspokoił się i zwrócił do przyjaciół.

- Zrobimy wszystko razem, od razu - powiedział im. - Jeśli zaczniemy nim huścić, ciągnąć i odbijać, zniszczymy go całkiem.

Obtarł twarz z deszczu i zaczął szukać oczami brzegu, odległego mniej więcej o milę. Wskazał na wynurzający się cypel z białą skałą z jednej strony, która była zanurzona wprost w spienionym morzu.

- Tuż na lewo od tej skały jest plaża - oświadczył. - Spróbujemy się tam dostać. Nie jest najlepiej osłonięta, z piasku wystaje mnóstwo kamieni, ale leży najbliżej.

Durnik wychylił się mocno za reling i patrzył uważnie.

- Ma ogromne dziury, Belgaracie - poinformował zafrasowany. Spojrzał nad przybierającą wodą w stronę brzegu.

- Jedyne nadzieje to szybkość. Gdy zepchniemy go z rafy, zacznie tonąć. Będziemy musieli dotrzeć na plażę tak szybko, jak tylko możliwe, a bez steru trudno będzie kontrolować kierunek.

- Czy mamy jakieś inne wyjście? - zapytał go czarodziej.

- Nie. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- A więc do dzieła. - Starzec rozejrzał się wokoło. - Gotowi?

Garion i Durnik skinęli głowami i wyprostowali się; skupiali się mocno, gdy każdy ogniskował swoją Wolę. Garion poczuł mrowienie na całym ciele i zacisnął zęby, ujarzmiając Wolę.

- Teraz! - burknął Belgarath.

- Unieś się! - powiedzieli chórem.

Strzaskana rufa podniosła się powoli z rozszalałych fal, a połamane belki jęknęły głośno, gdy kadłub oswobodził się i oderwał od postrzępionej skały.

- Tam! - rzucił starzec, wskazując ledwo widoczną plażę. Garion rzucił się naprzód,

wiąząc Wolę na groźnej rafie za rufą. Okręt uspokoił się, płynąc szybko rufą naprzód; potem, z początku powoli, lecz szybko napierając prędkości, skoczył naprzód. Nawet poprzez wycie wiatru słychać było plusk wody, prutej przez boki statku, gdy pędził ku bezpiecznemu brzegowi.

Lecz kiedy natrafili na prądy przesmyku, pozbawiona steru łódź zaczęła obracać się i zbaczać z kursu, grożąc, że stanie w poprzek.

- Wyprostujcie go! - krzyknął Belgarath. Żyłki wystąpiły mu na czole, mocno zacisnął zęby.

Garion pracował ciężko. Dopóki łódź płynęła wystarczająco szybko, woda nie wlewała się przez strzaskaną rufę, lecz gdyby ustawiła się bokiem do fal, utrata pędu miałyby katastrofalne skutki. Niewzruszone morze pochłonęłoby ich. Garion chwycił za dziób całą swoją mocą i trzymał okręt na kursie, a statek zaczął znowu płynąć z pełną szybkością w stronę plaży.

Jeszcze trzysta jardów. Pocąc się z wysiłku, Garion widział, jak spienione fale uspokajają się na piaszczystej, usianej kamykami plaży.

Dwieście jardów. Słyszał huk fal.

Sto jardów. Czuł potężne, wypychające do góry uderzenie ogromnej fali, która podniosła się pod nimi i popchnęła ku brzegowi, pozostawiając ich zaledwie kilka jardów od schronienia. Gdy dziób statku dotknął pokrytego pianą piasku, fala cofnęła się i w śródkręciu rozległ się nieoczekiwany, przerażający trzask: wpadli na skałę, wynurzającą się spod wody. Garion znowu upadł na pokład twarzą w dół, a siła uderzenia na wpół go zamroczyła.

Fale wciąż uderzały w okręt, huk łamiących się belek śródkręcia ogłuszał, lecz byli uratowani. Dziób strzaskanej krypy pewnie zarył się w piach. Gdy Garion sycząc z bólu, podniósł się na nogi, poczuł się pusty i słaby z wysiłku. Wtem pokład pod jego stopami przechylił się dziwnie, a ze śródkręcia dobiegł jeszcze większy trzask i huk.

- Chyba złamaliśmy kil, gdy uderzyliśmy w tę skałę - stwierdził Durnik. Twarz poszarzała mu z wyczerpania, wyraźnie drżał. - Lepiej każmy wszystkim zejść na ląd.

Belgarath podniósł się z luki odpływowej. Na policzku miał różowego siniaka, deszcz spływał mu po twarzy, a w oczach widniała wściekłość. Klął siarczyście. Wtem cała złość mu przeszła.

- Konie! - wykrzyknął. - Są na dole w ładowni! Durniku! Lecz kowal już biegł ku otwartemu lukowi na śródkręciu.

- Sprowadź Totha, żeby mi pomógł! - krzyknął przez ramię. - Musimy wydostać konie!

- Garionie! - rzucił starzec. - Zabierzmy wszystkich na suchy ląd. Nie mamy chyba zbyt dużo czasu, zanim ten wrak zacznie się rozsypywać.

Ruszyli ostrożnie pochyłym pokładem, a nanoszone przez wiatr krople deszczu kłuły ich w twarz. Skoczyli do wejścia do kajut. W wąskim korytarzu pobrzmiwał echem trzask pękających belek na śródkręciu.

W messie panował potworny rozgardiasz. Siła uderzenia w rufę i drugiego, potężniejszego, które rozerwało rufę okrętu, sprawiła, że większość przykręconych śrubami mebli urwała się i poprzesuwała. Oderwane belki stukwały i kołysały się, okna na rufie popękały i wypadły z ościeżnic. Deszcz padał przez otwory w ścianie.

Ce'Nedra i Prala, przerażone, przytuliły się do siebie, a Urgit trzymał się mocno pala od kilu, jakby oczekując kolejnego uderzenia; Sadi zaś na wpeł leżał w rogu, otaczając ramionami czerwoną, skórzaną skrzynkę. Natomiast Polgara była wściekła. A także przemoczona. Jej ubranie i włosy nasiąkły wodą, która wlewała się przez strzaskaną rufę. Miała wyraz twarzy osoby śmiertelnie urażonej.

- Co zrobiłeś, starcze? - zapytała Belgaratha, gdy wraz z Garionem wszedł przez zniszczone drzwi.

- Wpadliśmy na rufę, Pol - odrzekł. - Nabieraliśmy wody, więc trzeba było osadzić okręt na plaży.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, najwyraźniej starając się znaleźć w jego postępowaniu coś złego.

- Porozmawiamy o tym później - zaproponował. Rozejrzał się. - Czy nikomu nic się nie stało? Musimy natychmiast opuścić ten wrak.

- Czujemy się tak dobrze, jak należało oczekiwać, ojcze - oświadczyła. - W czym tkwi problem? Myślałam, że powiedziałeś, iż jesteśmy na plaży?

- Trafiliśmy na podwodną skałę i złamaliśmy kil. Ta część statku wciąż jest zanurzona. Chyba jedyną rzeczą, która sprawia, że ta łajba się jeszcze nie rozleciała, jest smoła w szwach. Musimy natychmiast wyjść na pokład i na brzeg.

Skinęła głową.

- Rozumiem, ojcze. - Zwróciła się do pozostałych. - Zbierzcie wszystko, co zdołacie unieść - poleciała. - Musimy zejść na brzeg.

- Pomogę Durnikowi z końmi - rzekł Garion do Belgaratha. - Toth, Eriond, chodźcie ze mną.

Odwrócił się ku drzwiom, lecz zatrzymał na chwilę, by spojrzeć na Ce'Nedre.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Chyba nie - odparła głosem, w którym słychać było przerażenie. Rozcierała brzydki siniak na kolanie.

- Zostań z cicią Pol - polecił zwięźle i wyszedł. Sytuacja w ładowni była gorsza, niż przypuszczał. Brodził po kolana w wodzie, na którą padało nieco światła poprzez rozbity kadłub. Skrzynie, worki i bele pływały po całym pomieszczeniu, a cuchnącą powierzchnię wody zaśmiewały połamane deski i różne drobiazgi. Durnik, który poszedł obejrzeć konie uwiązane na dziobie, wrócił i zajrzał do ładowni.

- Straciliśmy trzy - poinformował. - Dwa złamały karki, a jeden utonął.

- Mój koń? - zapytał szybko Eriond.

- Nic mu nie jest, Eriondzie - zapewnił go kowal. Zwrócił się do Gariona. - Próbowałem pozbierać pakunki. Obawiam się, że wszystko zamokło. Ale paczki z jedzeniem leżały na rufie. Nie ma jak się do nich dostać.

- Tym zajmiemy się później - zdecydował król. - Najważniejsze teraz to wydostać stąd konie.

Durnik spojrział na postrzępione kontury kilu o powierzchni dwóch stóp kwadratowych, które tarły ściany, gdy rufa okrętu kołysała się leniwie na wzburzonych falach.

- Zbyt niebezpieczne - stwierdził krótko. - Będziemy musieli wyjść przez dziób. Wezmę topór.

Garion potrząsnął głową.

- Jeśli rufa odpadnie, dziób może się przekreślić. Stracilibyśmy wtedy następne cztery, pięć koni i mielibyśmy naprawdę niewiele czasu.

Durnik wziął głęboki oddech i rozłożył ramiona. Miał nieszczęśliwy wyraz twarzy.

- Wiem - powiedział Garion, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. - Ja też jestem zmęczony. Zajmijmy się dziobem. Nie ma sensu rozbijać kadłuba w miejscu, w którym musielibyśmy skakać na głęboką wodę.

Nie było to tak trudne, jak się spodziewali. Toth bardzo im pomógł. Wybrali miejsce pomiędzy dwoma mocnymi żebrami i zabrali się do pracy. Gdy Durnik i Garion za pomocą zogniskowanej Woli zaczęli wyłamywać belki pomiędzy tymi żebrami, Toth zaatakował to samo miejsce żelaznym łomem. Połączenie czarów i niezwyklej siły fizycznej olbrzyma sprawiło, że na dziobie wkrótce pojawił się niewielki otwór.

Silk stał na brzegu tam, gdzie nie dolatywały wióry z wyłomu, nad którym pracowali. Wiatr targał jego płaszczem jak szalony, fale uderzały o jego kostki.

- Nic wam się nie stało? - jego krzyk był głośniejszy od odgłosów burzy.

- W zasadzie nic - odkrzyknął Garion. - Pomóż nam z końmi.

W końcu musieli zawiązać im przepaski na oczach. Mimo że Durnik i Eriond starali się je uspokoić, przerażone konie ruszyły się dopiero wtedy, gdy nie widziały niebezpiecznej wody wokół swych kończyn. Każdego trzeba było długo nakłaniać, by dał się poprowadzić przez zaśmieconą wodę w ładowni i spienioną na zewnątrz. Kiedy już ostatni koń stanął drżąc na suchym piasku, a deszcz siąpił na jego boki, Garion obrócił wzrok na leniwie kołyszący się wrak.

- Idziemy po pakunki - zawołał do pozostałych. - Ratujcie, co się da, ale bądźcie ostrożni.

Murgoscy marynarze zeskoczyli z dziobu i dotarli do brzegu, po czym znaleźli sobie wątpliwe schronienie w dalszej części plaży, po osłoniętej od wiatru stronie wielkiej, sterczącej nad ziemią skały. Stali ściśnięci razem, posępnie przypatrując się rozładowywaniu bagaży. Garion i pozostali składali paczki powyżej utworzonej z piany linii, która oznaczała zasięg największych fal.

- Straciliśmy trzy konie i wszystkie pakunki z jedzeniem - Garion poinformował Belgaratha i Polgarę. - Wszystkie inne rzeczy chyba mamy, oprócz tego, co musieliśmy zostawić w kajutach.

Starzec popatrzył z ukosa na niebo.

- Paczkami możemy się podzielić - stwierdził - ale będziemy potrzebować jedzenia.

- Jest teraz przyływ czy odpływ? - zapytał Silk, kładąc na stertę ostatni tobolek.

Durnik spojrzał na przesmyk prowadzący na Morze Gorandzkie.

- Według mnie właśnie zaczyna się przyływ.

- W takim razie problem mamy z głową - stwierdził niski mężczyzna. - Poszukajmy jakiegoś ustronnego miejsca i zaczekajmy na odpływ. Wtedy wrócimy i spokojnie przetrzaskamy wrak. Gdy obniży się poziom wody, cały okręt powinien być na powierzchni.

- Jedna rzecz psuje twój plan, księżę Kheldarze - rzekł do niego Sadi, spoglądając w drugi skraj plaży. - Zapominasz o murgoskich marynarzach. Wyładowani na opuszczonym brzegu, a wzdłuż wybrzeża krąży i szuka ich co najmniej tuzin malloreańskich okrętów. Malloreanie uwielbiają zabijać Murgów prawie tak samo, jak Alornowie, więc ci żeglarze zechcą się stąd wydostać. Myślę, że rozsądnie byłoby trzymać konie w pewnej odległości od nich, jeśli chcemy je zachować.

- Załadujmy pakunki na juczne zwierzęta i ruszajmy - zdecydował Belgarath. - Myślę, że Sadi ma rację. Później możemy tu wrócić i zabrać, co zostało jeszcze na pokładzie.

Podzielili paczki, noszone dotychczas przez trzy konie, które stracili, po czym zaczęli

dosiadać swych wierzchowców.

Marynarze na czele z wysokim, potężnie zbudowanym Murgiem z niepokojącą blizną pod lewym okiem, zbliżyli się ku nim.

- Dokąd chcecie zabrać te konie? - zapytał ich przywódca.

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby to cię interesować - odparł zimno Sadi.

- Właśnie mamy zamiar się nimi zainteresować, prawda, chłopcy?

Wśród przemokniętych Murgów rozległ się pomruk aprobaty.

- Konie należą do nas - rzekł do niego eunuch.

- Nic nas to nie obchodzi. Jest nas tylu, że możemy wziąć, co zechcemy.

- Po co tracić czas na gadanie? - zawołał jeden z marynarzy stojących z tyłu.

- Słusznie - zgodził się przywódca.

Wyciągnął krótki, zardzewiały miecz z pochwy, którą miał przytroczoną do biodra, podniósł go nad głowę i obejrzał się przez ramię, wołając.

- Za mną!

Wtem upadł na mokry piach, wijąc się i rycząc z bólu; trzymał się za złamaną prawą rękę. Chwilę wcześniej niewzruszony Toth niemal od niechcienia wykonał szybki ruch jedną ręką i cisnął żelazny pręt w powietrze; narzędzie zawirowało i trafiło w uzbrojone w miecz ramię Murga.

Żeglarze cofnęli się, ostrzeżeni nagłym upadkiem swego przywódcy. Wtem nie ogolony mężczyzna stojący w pierwszym szeregu, podniósł ciężki hak.

- Na nich! - ryknął. - Chcemy tych koni i mamy przewagę.

- Może chciałbyś policzyć jeszcze raz - rzekła chłodno Polgara.

Gdy Garion wystąpił naprzód i wyciągnął z pochwy miecz, poczuł po swej lewej stronie obecność jakiegoś dziwnego cienia. Ze zdumieniem zamrugał oczami. Tak prawdziwy, jakby rzeczywiście tu był, stał przy nim ogromny, rudobrody Barak.

Coś zabręczało po jego prawej stronie. Zobaczył Mandorallena w lśniącej na deszczu zbroi; nieco za nim pojawił się Hettar o jastrzębiej twarzy.

- Jakie jest zdanie wasze, panowie? - zapytała radośnie postać, która zdawała się być niezwykłym baronem z Vo Mandor. - Czy damy tym oto rycerzom sposobność ucieczki, zanim ich zaatakujemy i wytoczemy ich krew?

- Chyba warto to zrobić - zahuczało potakująco widmo Baraka. - Co o tym sądzisz, Hettarze?

- To Murgowie - stwierdził cień Hettara cichym, zimnym głosem, wyciągając szablę. - Zabijmy ich wszystkich tu i teraz. Dzięki temu potem nie będziemy musieli tracić czasu i

ścigać ich pojedynczo.

- Nie wiem dlaczego, ale byłem przekonany, że tak na to spojrzysz - roześmiał się Barak. - A więc dobrze, panowie, do dzieła. - Wyciągnął swój ciężki miecz.

Trzy postaci, większe niż w rzeczywistości, zbliżyły się do stulonych marynarzy, budząc wśród nich grozę. Pośrodku znajdował się Garion, który miał bolesną świadomość, iż był zupełnie sam, lecz ruszył naprzód z nisko pochylonym mieczem. Po prawej stronie, obok widma Baraka zobaczył Totha nadchodzącego ze swą wielką różdżką. Za nim stał Sadi i trzymał w ręku mały zatruty sztylet. Pozycje z drugiej strony zajęli Durnik i Silk.

Wyobrazenie Baraka spojrzało na Gariona.

- Teraz, Belgarionie! - z zarośniętych ust widma wydobył się szept Polgary.

Zrozumiał natychmiast. Przestał powstrzymywać Klejnot. Ogromny miecz, który dzierżył w dłoniach, stanął w płomieniach, tryskając niebieskim ogniem ze swego wierzchołka niemal prosto w twarze przerażonych Murgów.

- Ci z was, którzy chcą umrzeć od razu i oszczędzić sobie niedogodności i niepokoju, kiedy będą ścigani i posiekani na kawałki, niech wystąpią - ryknął rudobrody cień, stojący obok Gariona tonem tak imponującym, jakiego sam Barak nigdy by z siebie nie wydobył. - Postaramy się, żebyście znaleźli się przed obliczem waszego jednookiego Boga, zanim zdążycie mrugnąć.

Jego słowa zawisły na chwilę w powietrzu; potem żeglarze rozpierchli się.

- O, Bogowie! - król Rivy usłyszał za sobą dźwięczny głos Polgary. - Od tysiąca lat chciałam to zrobić!

Odwrócił się i spojrzał na nią. Wiatr targał jej niebieskim płaszczem, a za jej plecami morze burzyło się, chmury gnały po niebie. Mokre od deszczu włosy przylepiły się jej do twarzy i karku, lecz oczy błyszczały, pełne triumfu.

- Moja Pol! - zawołał radośnie Belgarath, obejmując ją mocno. - Bogowie, ależ byłby z ciebie syn!

- Jestem twoją córką, Belgararie - odpowiedziała po prostu - ale czy syn mógłby uczynić więcej?

- Nie, Pol - roześmiał się nagle, przyciskając ją do siebie i zniemacka cmokając głośno w mokry policzek. - Ani odrobinę.

Zamarli, zaskoczeni, a nawet trochę zakłopotani tym, że ogromna miłość, którą każde z nich starało się ukrywać przez tysiące lat, wreszcie wyszła na jaw na tej znękanej sztormem plaży na krańcu świata. Popatrzyli na siebie niemal nieśmiało i, nie mogąc utrzymać tego w sobie, wybuchnęli śmiechem.

Garion odwrócił się, w oczach nagle stanęły mu łzy.

Urgit pochylał się nad marynarzem, który miał złamaną rękę.

- Jeśli przyjąłbyś radę od swojego króla, wojownika - rzekł uprzejmie - to chciałbym ci przypomnieć, że tam na morzu roi się od Mallorean, a oni cieszą się jak dzieci, kiedy mogą powiesić każdego Murga, jakiego napotkają. Czy nie sądzisz, że byłoby rozsądniej, gdybyście ty i twoi kompani nie pozostawiali w sąsiedztwie resztek tego wraku?

Spojrzał znacząco na okręt.

Marynarz rzucił nagle przerażone spojrzenie na ogarnięty sztormem przesmyk i z trudem podniósł się na nogi. Kołysząc złamaną ręką, pobiegł plażą ku swoim wystraszonemu towarzyszom.

- Widać, że doskonale rozumie sytuację, nie sądzisz? - rzekł Urgit do Silka.

- Rzeczywiście jest chyba nienaturalnie podekscytowany - zgodził się jego brat. Obrócił się ku pozostałym. - Może byśmy wsiedli na konie i opuścili tę plażę? - zaproponował. - Ten wrak sterczy tu jak latarnia morska, a nasz ranny przyjaciel i jego kompani mogą zdecydować się na jeszcze jedną próbę ukradzenia koni.

Przyjrzał się uważnie niezgrabnym postaciom, które wyczarowała Polgara.

- Pytam z czystej ciekawości, Polgaro, czy te twoje widma przydałyby się na coś, gdyby doszło do walki?

Czarodziejka wciąż jeszcze się śmiała, a jej lawendowe oczy jarzyły się ciepłym blaskiem.

- Szczerze mówiąc, mój drogi Silku - odparła wesoło - nie mam zielonego pojęcia.

Z jakiejś przyczyny jej odpowiedź sprawiła, że nikt z nich nie mógł powstrzymać ataków śmiechu.

Rozdział XX

Zbocze, które wiodło na szczyt przylądka, porastała bujna trawa, pochylająca się pod naporem deszczu, który nadszedł z południa. Kiedy opuszczali plażę, Garion obejrzał się. Murgoscy marynarze zgromadzili się wokół okrętu, by uratować z niego, co się da i często przerywali pracę, spoglądając bojaźliwie na przesmyk.

Gdy znaleźli się na najwyższym miejscu cypla, burza uderzyła w nich całą mocą, targając ich ubraniami i chłoszcząc ulewą. Belgarath zatrzymał się, podniósł dłoń, by osłonić nią oczy i przyglądał się pozbawionemu drzew stepowi, który leżał przed nimi, podmokły i wystawiony na wiatry.

- To absolutnie niemożliwe, ojciec - oświadczyła Polgara, otulając się szczelniej przemoczonym płaszczem. - Będziemy musieli znaleźć jakieś schronienie i przeczekać tę pogodę.

- To może być trudne, Pol. - Obserwował step, na którym nie widać było żadnych śladów ludzkiej obecności. Szeroka dolina u ich stóp poprzecinana była żlebami, które niespokojne rzeczki wyżłobiły w darni. Wychyły z nich obłe głazy i żwirowe koryta, leżące pod cienką warstwą gleby oraz wytrzymałe na wszystko trawy. Wiatr szalał ponad nią, łany gięły się, przypominając fale. Padał rzęsy deszcz zmieszany ze śniegiem.

- Urgicie - zapytał starzec. - Czy są tu gdzieś w pobliżu jakieś wioski albo osady?

Król obtarł twarz i rozejrzał się.

- Nie wydaje mi się - odrzekł. - Na mapach nie ma w tej części Cthaki niczego, z wyjątkiem gościńca prowadzącego w głąb lądu. Możemy natknąć się na jakąś samotną farmę, ale wątpię w to. Warstwa gleby jest tu za cienka, by coś uprawiać, a zimy zbyt surowe, żeby zająć się hodowlą. Czarodziej pokiwał ze smutkiem głową.

- Mniej więcej tego się spodziewałem.

- Może uda nam się rozbić namioty - odezwał się Durnik - ale musielibyśmy zatrzymać się na otwartej przestrzeni, a poza tym nie ma tu nigdzie drewna na ognisko.

Eriond siedział spokojnie na swoim ogierze, wpatrując się w krajobraz bez wyrazu, w taki sposób, jakby go rozpoznawał.

- Czy nie moglibyśmy schronić się w strażnicy? - zapytał.

- Jakiej strażnicy - zdziwił się Belgarath i zaczął rozglądać się wokoło. - Ja niczego nie widzę.

- Stąd nie można jej zobaczyć. Prawie się już wali, ale piwnica jest jeszcze w dobrym

stanie.

- Nic nie wiem o żadnych strażnicach na tym wybrzeżu - zdziwił się Urgit.

- Od dawna jej nie używano.

- Gdzie ona jest, Eriondzie? - zapytała Polgara. - Czy możesz nam pokazać?

- Oczywiście. To niedaleko.

Młodzieniec zawrócił swego wierzchowca i skierował się ku środkowi cypla. Kiedy wjeżdżali na wzgórze, Garion spojrzał w dół i zobaczył sporą liczbę bloków skalnych wynurzających się z trawy. Nie miał pewności, ale wydawało mu się, że przynajmniej na części z nich widział ślady dłuta.

Kiedy dotarli na szczyt, burza szalała wokół nich, a smagana wiatrem trawa biła konie po nogach.

- Jesteś pewien, Eriondzie? - Polgara przekrzykiwała wiatr.

- Możemy tam wjechać z drugiej strony - odrzekł z przekonaniem. - Chociaż lepiej będzie poprowadzić konie za uzdy. Wejście znajduje się dosyć blisko urwiska.

Zsunął się z siodła i poprowadził ich przez porośniętą trawą owalny szczyt.

- Bądźcie tu ostrożni - ostrzegł ich, omijając niewielkie zagłębienie. - Część dachu trochę się zapada.

Nieco dalej znajdował się brzeg, który wyginał się ostrym łukiem ku wąskiemu występowi. Za nim nagle pojawiło się urwisko. Eriond ruszył wzdłuż krawędzi i poprowadził konia występem skalnym. Garion szedł za nim; kiedy dotarł na występ, spojrzał w dół urwiska. W oddali zobaczył wrak na plaży. Szeroka ścieżka znaczonej odciskami stóp prowadziła od niego ze skraju wody i nikła w deszczu.

- To tu - rzekł Eriond. Zniknął, a im zdawało się, że powiódł wierzchowca wprost na porośniętą trawą krawędź urwiska. Ruszyli za nim zaintrygowani i znaleźli wąskie wejście zakończone łukiem, z pewnością wykonane przez człowieka. Wysoka trawa zarosła wlot tak, że ledwo można było go dojrzeć. Garion z radością wszedł przez zasłonięty roślinami otwór i znalazł się w cichej, pachnącej stęchlizną ciemności.

- Czy ktoś pomyślał o pochodniach? - zapytał Sadi.

- Obawiam się, że zostały z paczkami jedzenia - oświadczył przeprasząco Durnik. - Zobaczmy, co da się zrobić.

Garion poczuł delikatną falę i usłyszał słaby, lecz gwałtowny odgłos. Na dłoni Durnika zabłysło jarzące się niepewnie światło. Rosło powoli, aż zobaczyli wnętrza starożytnych ruin. Jak wiele starych budowli, ta również miała nisko sklepioną piwnicę. Kamienne łuki wspierały sufit, a ściany były solidnie podparte. Garion widział podobną

konstrukcję w prastarym pałacu króla Anhega w Val Alorn, w ruinach Vo Wacune, na niższych partiach jego własnej Cytadeli w Rivie, a nawet w rozbrzmiewającym echem grobowcu jednookiego Boga w Cthol Mishrak.

Silk przyglądał się Eriondowi z uwagą.

- Jestem pewien, że masz jakieś wytłumaczenie - powiedział. - Skąd wiedziałeś o tym miejscu?

- Mieszkałem tu przez jakiś czas z Zedarem. To było wtedy, gdy czekał, aż dorosnę na tyle, by wykraść Klejnot.

Silk wyglądał na nieco rozczarowanego.

- Jakie to banalne - stwierdził.

- Przykro mi - odparł Eriond, prowadząc konie na drugą stronę pomieszczenia. - Czy wolałbyś, żebym wymyślił jakąś historyjkę?

- Nieważne, Eriondzie - odrzekł mu niski człowieczek. Urgit uważnie przyglądał się jednej z podpór.

- Żaden Murgow tego nie zbudował - oświadczył. - Kamienie zbyt ściśle do siebie przylegają.

- Zbudowano to, zanim Murgowie przybyli do tej części świata - powiedział Eriond.

- Niewolnicy? - zapytał z niedowierzaniem król. - Oni potrafią tylko lepić domy z błota.

- Chcieli, żebyście w to uwierzyli. Budowali wieże i miasta, kiedy Murgowie mieszkali jeszcze w szałasach krytych kozią skórą.

- Czy ktoś mógłby rozpalić ognisko? - poprosiła Ce'Nedra, szczękając zębami. - Zamarzam.

Garion przyjrzał się jej i zobaczył siną obwódkę wokół ust.

- Chrust leży tutaj - stwierdził były podopieczny Zedara. Zniknął za jedną z podpór i powrócił z naręczem patyków.

- Zedar i ja przynosiliśmy tu drewno, które morze wyrzuciło na brzeg. Sporo jeszcze zostało. - Podeszedł do paleniska pod tylną ścianą, zrzucił chrust i schylił się, by zbadać komin. - Chyba jest czysty - zdecydował.

Durnik natychmiast zabrał się do dzieła ze swoją hubką i krzesiwem. Wkrótce pojawił się mały, pomarańczowy płomyk, który przedzierał się przez niewielką stertę patyków ułożonych w popiele po poprzednich ogniskach. Wszyscy zgromadzili się wokół niego, dorzucając duże i małe drewnienka, aby rozpalić go jak najszybciej.

- To na nic - stwierdził Durnik z niezwykłą dla niego surowością. - Porozgarniacie go

tylko i zagasicie.

Niechętnie wycofali się.

Durnik ostrożnie dokładał gałązki i wióry, potem drobne patyki, aż w końcu większe. Płomień sięgnął wyżej i ogarnął wysuszone drewno. Światło ogniska zaczęło napędzać mroczną piwnicę, a Garion poczuł na twarzy delikatne ciepło.

- A więc dobrze - rzekła rześko i rzeczowo Polgara. - Co będzie z jedzeniem?

- Marynarze zostawili okręt w spokoju - odezwał się Garion - a fala jest niska, więc cały wrak, z wyjątkiem krańca rufy, jest na powierzchni. Wezmę juczne konie i wrócę tam zobaczyć, czy uda mi się coś znaleźć.

Ognisko zaczęło trzaskać. Durnik wstał i spojrzał na Erionda.

- Poradzisz sobie z tym? - zapytał.

Chłopak skinął głową i poszedł po następne narzędzie drewna. Kowal pochylił się i podniósł płaszcz.

- Toth i ja możemy pójść z tobą, Garionie - oświadczył. - Na wypadek, gdyby marynarze zdecydowali się wrócić. Ale będziemy musieli się pospieszyć. Niedługo zacznie się ściemniać.

Burza wciąż szalała na przylądku, siekąc śniegiem z deszczem. Garion i jego dwaj przyjaciele ostrożnie odnajdywali drogę ku samotnemu okrętowi leżącemu na skale, która spowodowała jego katastrofę.

- Jak myślisz, długo potrwa ta burza? - zawołał Garion do Durnika.

- Trudno powiedzieć! - odkrzyknął ten. - Może minąć rano, albo szaleć jeszcze przez wiele dni.

- Bałem się, że tak powiesz.

Dotarli do wraku, zsiadli z koni i weszli do ładowni przez otwór, który przedtem sami wyrąbali.

- Nie sądzę, żebyśmy znaleźli tu zbyt wiele - rzekł Durnik. - Nasze jedzenie już się zepsuło, a nie wydaje mi się, by żeglarze zostawili tu jakieś łatwo psujące się rzeczy.

Garion skinął głową.

- Czy uda nam się namówić ciocię Pol, żeby to ugotowała? - zapytał. - Myślę, że przyda jej się to.

Durnik spojrzał na nasiąkniętą wodą z zęzy worki i bele, które leżały w nieładzie na rufie. Fale przelewały się nad nimi dostając się tu przez otwory w kadłubie.

- Chyba masz rację - rzekł. - Rzucę na to okiem.

- Skoro już tu jesteśmy, możemy zabrać resztę rzeczy z kajut na rufie - zauważył

Garion. - Pójdę i pozbięram je, a ty i Toth zobaczcicie, co marynarze zostawili w messie.

Wspiął się ostrożnie po strzaskanych belkach w miejscu, gdzie pękł kil i wyszedł po drabinie do luku. Potem ślizgając się, dotarł do wejścia do kajut.

Prawie piętnaście minut zajęło mu zbieranie rzeczy, które pozostawili, gdy uciekali z okrętu. Zawinał wszystko w płótno żaglowe i wyszedł z powrotem na pokład. Zaniósł paczkę na dziób i wyrzucił ją na piasek plaży.

Durnik wystawił głowę z wejścia pod pokład na dziobie.

- Niewiele tego jest, Garionie - poinformował go. - Marynarze przeszukali wszystko dość dokładnie.

- Musi nam wystarczyć to, co znajdziemy. - Król zmrużył oczy na deszczu. Niebo wyraźnie ciemniało. - Lepiej się pospieszmy - dodał.

Wrócili na przylądek o zmroku i ostrożnie poprowadzili konie skrajem urwiska ku wejściu do piwnicy. Dzielne światło gasło zupełnie. Wewnątrz pomieszczenia było teraz ciepło, wypełniało je światło bijące od płomieni, które tańczyły na palenisku. W czasie ich nieobecności pozostali przyjaciele rozciągnęli sznury pomiędzy łukami. Koce i ubrania wisiały wzdłuż ścian, parując i ociekając wodą.

- Poszcęściło się? - zapytał Silk, gdy Garion wprowadził do środka swego konia.

- Nie bardzo - przyznał. - Marynarze wyczyścili messę dość dokładnie.

Durnik i Toth wprowadzili pozostałe zwierzęta i wnieśli prowizoryczne pakunki.

- Znaleźliśmy worek fasoli - poinformował kowal. - I gliniany garnek z miodem. W rogu leżał worek z mięsem i kilka kawałków boczku. Żeglarze zostawili go, gdyż był spleśniały, ale można będzie odciąć wszystkie zepsute kawałki.

- Czy to wszystko? - zapytała Polgara.

- Obawiam się, że tak - odparł kowal. - Wzięliśmy ze sobą piecyk i torbę węgla drzewnego, bo w tej części świata chyba w ogóle nie ma drewna na opał.

Zmarszczyła nieco czoło, przeglądając zapasy, które właśnie jej wręczył.

- Nie jest tego zbyt dużo, Pol - usprawiedliwił się - ale niczego więcej nie mogliśmy znaleźć.

- To mi wystarczy, kochanie - powiedziała, uśmiechając się do niego.

- Zabrałem też ubrania, które zostawiliśmy w kajutach - dodał Garion, ściągając siodło ze swego wierzchowca. - Niektóre są nawet suche.

- Dobrze - stwierdziła ciocia Pol. - Przebierzmy się wszyscy w coś suchego, a ja postaram się zrobić coś do jedzenia.

Silk patrzył podejrziwie na torbę z jedzeniem.

- Kleik? - zapytał z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

- Fasolę trzeba gotować o wiele dłużej - odparła. - Kasza owsiana i miód oraz odrobina boczku wystarczy, aby przetrwać noc.

Westchnął.

Następnego ranka śnieg z deszczem przestał padać, lecz wiatr wciąż dął i gwałił trawy na przylądku. Okutany w płaszcz Garion stał na występie skalnym przed wejściem do piwnicy i spoglądał ponad spienionymi falami na zatokę oraz na bałwany, które uderzały o brzeg poniżej jego skały. Daleko na południowym wschodzie chmury zdawały się przerzedzać, a plamy błękitu zaczęły przeświecać przez ciemności, które spowijały resztę nieba. Nocą przyływ znowu ogarnął wrak, a rufa odłamała się i została uniesiona przez wodę. Przy brzegu kołysały się na falach zwłoki. Garion zdecydował się nie patrzeć na nieme, martwe ciała murgoskich marynarzy, których woda zmyła z pokładu i zatopiła, gdy okręt wpadł na rafę.

Wtem zobaczył w oddali grupę okrętów pod czerwonymi żaglami, które płynęły wzdłuż południowego wybrzeża Morza Gorandzkiego ku leżącym na plaży resztkom okrętu.

Belgarath i Eriond odsunęli płótno żaglowe, które Durnik umieścił nocą w wejściu w charakterze drzwi i podeszli do króla Rivy.

- Wreszcie przestało padać - rzekł do nich - wiatr też chyba słabnie. Ale mamy inny problem. - Pokazał im nadpływające malloreańskie okręty.

Czarodziej odchrząknął.

- Na pewno wyjdą na brzeg, gdy zobaczą wrak - zgodził się z wnukiem. - Chyba czas już stąd ruszać. Eriond rozglądał się wokoło z dziwnym wyrazem twarzy.

- Niewiele się tu zmieniło - zauważył. Wskazał małą, porośniętą trawą ławeczkę na końcu występu.

- Bawiłem się tu - powiedział. - To znaczy, kiedy Zedar pozwalał mi wyjść.

- Czy często z tobą rozmawiał, kiedy tu byliście? - zapytał Belgarath.

- Rzadko - chłopiec wzruszył ramionami. - To bardzo zamknięty w sobie człowiek. Miał jakieś książki i spędzał nad nimi większość czasu.

- To musiało być bardzo samotne dzieciństwo - powiedział Garion.

- Nie było tak źle. Wiele czasu zajmowało mi obserwowanie chmur albo ptaków. Wiosną ptaki wiją sobie gniazda w szczelinach na tym występie. Jeśli wychylisz się za krawędź, zobaczysz, jak przylatują i odlatują, a ja zawsze lubiłem przyglądać się małym, kiedy po raz pierwszy wypróbowały swe skrzydełka.

- Czy wiesz, jak daleko stąd do gościńca, który prowadzi w głąb lądu? - zapytał go

Belgarath.

- Zwykle szliśmy tam cały dzień. Oczywiście, byłem wtedy bardzo mały i nie mogłem iść zbyt szybko.

Starzec skinął głową. Osłonił oczy dłonią i spojrzął na przybijających do brzegu Malloreatan.

- Chyba powinniśmy powiedzieć pozostałym - stwierdził. - Niewiele dokonamy, jeśli spróbujemy utrzymać to miejsce walcząc z Malloreatanami, kiedy wysiądą na brzeg.

Około godziny zajęło im zebranie wciąż mokrych ubrań, skromnych zapasów jedzenia i załadowanie tego na juczne konie. Wyszli przez zasłonięte płótnem wejście i poprowadzili konie na drugi kraniec przylądka. Garion zauważył, że Eriond obejrzał się raz z wyrazem pewnego żalu na twarzy, po czym żwawo odwrócił się plecami do domu swego dzieciństwa, a jego wzrok padł na rozciągający się przed nimi step.

- Chyba znam drogę - powiedział. - Ale poziom wody w tych rzeczkach jest teraz bardzo wysoki, więc będziemy musieli być ostrożni. - Wskoczył lekko na siodło. - Pojadę przodem i poszukam szlaku.

Pochylił się i poklepał wierzchowca po karku. Uśmiechnął się.

- Zresztą Koń i tak chce trochę pobiegać. - Zjeżdżał już ze wzgórza coraz szybszym galopem.

- To bardzo dziwny chłopak - powiedział Urgit, gdy dosiadł konia. - Czy on naprawdę znał Zedara?

- O, tak - odparł Silk - a także Ctuchika. - Spojrzał chytrze na Polgarę. - Całe życie zadaje się z dziwnymi ludźmi, więc nietrudno zrozumieć, dlaczego sam jest taki dziwny.

Niewielkie plamki błękitu, które zabarwiły niebo, gdy Garion obserwował je rano, teraz powiększyły się. Jasne promienie porannego słońca przebijały się przez zamglone powietrze, by opaść ciężko na pocięty strumieniami step. Silny wiatr przeszedł w zrywającą się od czasu do czasu bryzę. Cwałowali rześko wśród traw, jadąc za Eriondem i jego rozochoconym wierzchowcem.

Ce'Nedra, ubrana teraz w jedną z tunik Erionda i parę wełnianych pończoch, zrównała się z Garionem.

- Podoba mi się twój strój, moja królowo. - Uśmiechnął się.

- Wszystkie moje suknie są jeszcze mokre - odparła. Umilkła, twarz jej spochmurniała. - Nie idzie nam najlepiej, prawda, Garionie? Tak bardzo liczyliśmy na ten statek.

- Och, nie wiem. Zaoszczędziliśmy trochę czasu i udało nam się ominąć prawie cały

objęty wojną kraj. Gdy będziemy już za Rak Cthaka, może znajdziemy jakiś inny okręt. Nie wydaje mi się, żebyśmy tracili czas.

- Ale też nie nadrobiliśmy go, zgadza się?

- Trudno to dokładnie określić. Westchnęła i jechała obok niego w milczeniu.

Około południa dotarli do gościńca i skręcili na wschód. Do końca dnia utrzymywali dobre tempo. Nic nie wskazywało na to, by jacyś inni podróżni korzystali ostatnio z tego traktu, lecz Silk na wszelki wypadek jechał przodem jako zwiadowca. Kępa rosnących przy drodze wierzb posłużyła im za schronienie na noc, a także dostarczyła drągów niezbędnych do rozbicia namiotów. Kolacja tego wieczoru składała się z fasoli i boczku; nie odpowiadało to zwłaszcza Urgitowi.

- Wszystko bym oddał za kawałek wołowiny - poskarżył się. - Nawet tak źle przygotowany, jakie podawali mi kucharze w Drojim.

- Czy wasza wysokość wolałby miskę gotowanej trawy? - zapytała zuchwale Prala - albo może porządny talerz smażonej kory wierzbowej?

Spojrzał na nią kwaśno, po czym zwrócił się do Gariona.

- Powiedz mi, czy ty i twoi przyjaciele długo macie zamiar pozostać w Cthol Murgos?

- Niedługo. Dlaczego pytasz?

- Kobiety z Zachodu są, zdaje się, bardzo niezależne z natury. Mają też pożałowania godną skłonność do mówienia wszystkiego, co myślą. Uważam, że ich wpływ na niektóre podatne murgoskie damy jest niezdrowy. - Po czym, jakby nagle uświadamiając sobie, że posunął się za daleko, rzucił baczne spojrzenie na Polgarę. - Nie chciałem nikogo urazić, pani - przeprosił ją szybko. - To tylko takie stare murgoskie uprzedzenie.

- Rozumiem - odparła.

Belgarath odłożył na bok swój talerz i spojrzał na Silka.

- Cały dzień jechałeś na czele - zauważył. - Czy nie widziałeś przypadkiem jakiejś zwierzyny?

- Na północ szły całe stada czegoś, co wyglądało jak wielkie jelenie - odpowiedział niski mężczyzna - ale cały czas były poza zasięgiem strzału.

- Co ci chodzi po głowie, starcze? - zapytała Polgara.

- Potrzebujemy świeżego mięsa, Pol - odparł, podnosząc się. - Jedząc nadpsuty boczek i gotowaną fasolę daleko nie zajdziemy.

Wyszedł z małego kręgu światła i spojrzał na chmury przepływające po niebie.

- To odpowiednia noc na polowanie - zauważył. - Jak myślisz?

Uśmiech zaciekawienia zagościł na jej ustach, również wstała.

- Myślisz, że jesteś jeszcze dość szybki, stary wilku? -zapytała.

- Myślę, że dam radę - odrzekł uprzejmie. - Chodź, Garionie. Oddalmy się trochę od koni.

- Dokąd oni idą? - Urgit zapytał Silka.

- Nie chcesz tego wiedzieć, bracie. Naprawdę nie chcesz. Księżyc dotknął srebrnym światłem falującej na nocnym wietrze trawy. Garion poczuł zapachy otaczającego go stepu znacznie intensywniej, gdy za pomocą dziesięciokrotnie czulszego zmysłu węchu poznał woń nocy. Biegł swobodnie dużymi susami obok ogromnego srebrzystego wilka, a śnieżnobiała sowa szybowiała nad nimi w blasku księżyca. Z przyjemnością pędził, znowu nie czując zmęczenia, a wiatr dał mu w futro. Zanurzał pazury w podmokłą darni, krążąc wraz z dziadkiem po skąpanej w świetle księżyca łące niczym starożytni myśliwi.

Wypłoszyli stado podobnych do jeleni zwierząt z legowiska w splątanych trawach, które znaleźli kilka mil od swego obozu. Długo ścigali je po wzgórzach. Wtem, gdy wystraszone zwierzęta przeskoczyły wezbrany od deszczu strumień, wyczerpany, stary byk potknął się i przewrócił, wyrzucając w górę racice i wzbijając fontannę wody. Upadł na drugim brzegu, rogi wbiły mu się w ziemię, a głowa wykręciła groteskowo, co mówiło wyraźnie, iż upadając skręcił sobie kark.

Garion bez zastanowienia skoczył do strumienia, przedarł się na drugą stronę i silnymi zębami chwycił martwego byka za przednią nogę. Z wysiłkiem przeciągnął go na brzeg, zanim zwierzę zdążyła porwać rzeka.

Belgarath i Polgara, którzy przybrali już na powrót naturalne postaci, zbliżali się żwirowym brzegiem powoli i beztrudnie, jakby byli na południowej przechadzce.

- Jest świetny, prawda? - zauważyła ciocia Pol.

- Niezły - przyznał starzec. Wyjął nóż zza pasa i sprawdził kciukiem ostrze. - Oprawimy byka - rzekł do niej. - Może wróciłabyś po Durnika i jucznego konia?

- Dobrze, ojciec - zgodziła się. Zamigotała w świetle księżyca i odleciała cicho.

- Będziesz potrzebował rąk, Garionie - stwierdził uszczypliwie czarodziej.

- Och - odpowiedział ten i podniósł się. - Przepraszam, dziadku. Zapomniałem.

Powrócił do swej własnej postaci z pewnym żalem.

Następnego ranka, gdy Polgara podała im na śniadanie steki zamiast owsianki, niektórzy patrzyli na nią dziwnie, lecz nikt nie zdecydował się skomentować tej nagłej zmiany menu.

Jechali dalej przez następne dwa dni, zostawiając za sobą wrak i szalejącą burzę.

Około południa znaleźli się na długiej grani i ujrzeli przed sobą szeroki, błękitny obszar.

- To jezioro Cthaka - poinformował Urgit. - Kiedy je okrążymy, do samego Rak Cthaka zostaną dwa dni drogi.

- Sadi - odezwał się Belgarath. - Czy masz swoją mapę?

- Już, Przedwieczny - odparł eunuch, sięgając za pazuchę.

- Zobaczmy. - Stary czarodziej zeskoczył z konia, wziął pergamin z rąk Sadiego i rozłożył go. Wiejący znad jeziora wiatr trzepotał mapą, co groziło jej rozerwaniem.

- Och, przestań - rzucił z irytacją. Długo wpatrywał się w pergamin. - Myślę, że będziemy musieli zjechać z gościńca - rzekł wreszcie. - Przez tę katastrofę i burzę jesteśmy spóźnieni, a nie wiemy, dokąd dotarli Mallorealanie, odkąd wyruszyliśmy z Rak Urga. Nie chcę, żebyśmy natknęli się na jakąś armię, mając za plecami jezioro. Nie ma powodu, aby znaleźli się po południowej stronie, więc pojedziemy tędy. - Wskazał na duży obszar pokryty symbolami lasu. - Dowiemy się, jak wygląda sytuacja w Rak Cthaka, a jeśli będziemy musieli, to dostaniemy się do Wielkiej Puszczy Południowej.

- Belgaracie - odezwał się zaniepokojony Durnik, wskazując na północ - co to?

Gęsty, czarny dym płynął nisko nad horyzontem, gnany ostrym wiatrem.

- Może pożar na stepie? - podsunął Sadi. Belgarath zaczął kłąć.

- Nie - rzekł krótko - to nie ten kolor. - Znowu rozłożył mapę. - Są tam jakieś wioski - poinformował. - Myślę, że to któraś z nich.

- Mallorealanie! - zawołał Urgit.

- W jaki sposób mogli dotrzeć tak daleko na zachód? - zdziwił się Silk.

- Zaczekajcie chwilę - odezwał się Garion, gdy nagła myśl zaświtała mu w głowie.

Spojrzał na Urgita. - Kto zwycięża, jeśli walczysz z Mallorealanami w górach? - zapytał.

- My, oczywiście. Wiemy, jak wykorzystywać góry, by osiągnąć przewagę.

- A kiedy walczycie na równinach, kto jest górą?

- Oni. Ich jest więcej.

- A więc twoje armie są bezpieczne, dopóki pozostają w górach?

- Już to powiedziałem, Belgarionie.

- W takim razie, gdybym to ja z prowadził z wami wojnę, starałbym się wymyślić sposób, by wywabić was na równiny. Gdybym buszował tu i tam, zagrażając Rak Cthaka, musiałbyś zareagować, prawda? Wysłałbyś wszystkie siły z Urga i Morcth, aby wesprzeć miasto. Ale gdybym, zamiast je zaatakować, przerzucił swoje wojska na północ i na zachód, mógłbym zaskoczyć cię i wciągnąć w zasadzkę na otwartej przestrzeni. Wybrałbym miejsca na bitwy i zniszczył obie twoje armie w jeden dzień.

Twarz Króla Murgów zszarzała.

- Właśnie to robiły ich okręty na Morzu Gorandzkim! - wykrzyknął. - Przybyli tam, żeby wysledzić ruchy moich wojsk, które wyszły z Rak Urga. Zakath zastawia na mnie pułapki. - Splunął, w jego oczach pojawił się gniew. - Belgaracie, musisz pozwolić mi ostrzec moich ludzi. Są zupełnie nie przygotowani do odparcia ataku. Malloreanie zmiotą moją armię z powierzchni, a to moje jedyne siły stąd do Rak Urga.

Starzec skubał swe ucho, spoglądając na niego z ukosa.

- Proszę, Belgaracie!

- Czy potrafisz jechać tak szybko, by Malloreanie cię nie wyprzedzili?

- Muszę. Jeśli tego nie uczynię, Cthol Murgos upadnie. Do licha, starcze, jestem za ten kraj odpowiedzialny.

- Myślę, że nareszcie zaczynasz się uczyć, Urgicie - rzekł do niego Belgarath. - W końcu może zrobilibyśmy z ciebie króla. Durniku, daj mu tyle jedzenia, na ile możemy sobie pozwolić.

Zwrócił się znowu do niespokojnego brata Silka.

- Nie ryzykuj - ostrzegł go. - Trzymaj się z dala od szczytów, gdzie będzie cię widać na tle nieba. Spiesz się, ale nie zajeżdź konia na śmierć.

Umilkł, po czym objął go niezdarnie.

- Powodzenia - rzekł tylko.

Urgit skinął głową i odwrócił się do swego konia. Prala znalazła się tuż przy nim.

- Co ty chcesz zrobić? - zapytał król.

- Jadę z tobą.

- Absolutnie wykluczone.

- Marnujemy tylko czas.

- Prawdopodobnie dojdzie do bitwy, dziewczyno. Zastanów się.

- Ja też jestem Murgoską - oświadczyła wyzywająco. - Jestem potomkiem dynastii Cthanów. Nie boję się bitew!

Chwyciła uzdę swego konia i zdjęła z siodła długą, czarną skrzynkę ze skóry. Otworzyła zamki i pokazała mu zawartość pudełka. Był tam miecz z wysadzaną rubinami rękojeścią. Wyjęła go i podniosła w górę.

- Oto miecz ostatniego króla z dynastii Cthanów - ogłosiła dramatycznym głosem. - Wyruszył z nim na Vo Mimbre. Nie okryj go hańbą.

Odwróciła ostrze i podała mu rękojeść ponad swoim ramieniem. Patrzył zdumiony najpierw na nią, a potem na miecz.

- Miał to być mój prezent dla ciebie na dzień naszego ślubu - powiedziała - ale potrzebujesz go teraz. Weź ten miecz, królu Murgów i dosiadaj konia. Musimy wygrać bitwę.

Wziął od niej broń i uniósł do góry. Rubiny zalśniły w słońcu jak krople krwi. Nagle odwrócił się, jakby wiedziony impulsem.

- Skrzyżuj ze mną miecz, Belgarionie - rzekł. - Na szczęście.

Garion kiwnął głową i wyciągnął swój wielki miecz. Jego ostrze ogarnął jasnoniebieski płomień; gdy dotknął nim wyciągniętej broni Urgita, niższy mężczyzna drgnął, jakby rękojęść jego miecza nagle oparzyła go w rękę. Patrzył na swój prezent z niedowierzaniem. Kamienie na rękojęści nie były już rubinami, lecz jasnoniebieskimi szafirami.

- Ty to zrobiłeś? - zapytał słabym głosem.

- Nie - odrzekł Garion. - To Klejnot. Chyba cię lubi. Powodzenia, wasza wysokość.

- Dziękuję, wasza wysokość - odpowiedział Urgit. - I tobie wszystkiego dobrego... wam wszystkim.

Znowu ruszył do konia, lecz odwrócił się i bez słowa objął Silka.

- No, dobrze, dziewczyno - rzucił Prali. - W drogę.

- Do widzenia, Ce'Nedro! - zawołała Prala, kiedy dosiadła wierzchowca. - Dziękuję... za wszystko.

Oboje zawrócili konie i pognali na północ. Silk westchnął.

- Obawiam się, że go stracę - rzekł z żalem.

- Z powodu Mallolean?- zapytał Durnik.

- Nie, z powodu tej dziewczyny. Widać było, że myśli o ożenku.

- Myślę, że to urocze - stwierdziła Ce'Nedra.

- Urocze? Według mnie obrzydliwe. - Rozejrzał się. - Jeśli mamy okrążyć jezioro od południa, to lepiej ruszajmy.

Galopowali wzdłuż brzegu, czując na sobie ukośne, złote promienie popołudniowego słońca, aż znaleźli się wiele mil od miejsca, w którym Urgit i Prala tak nieoczekiwanie ich opuścili. Wówczas Silk, który znowu jechał na czele, stanął na szczycie wzgórza i gestem nakazał im, by ostrożnie się do niego zbliżyli.

- O co chodzi? - zapytał Belgarath, gdy dołączyli już do niego.

- Coś jeszcze płonie przed nami - poinformował niski człowieczek. - Nie podchodziłem zbyt blisko, ale wygląda to na samotną farmę.

- Sprawdźmy to - rzekł Durnik do Totha, po czym odjechali obaj na wschód w kierunku dymu unoszącego się nisko nad ziemią.

- Chciałbym wiedzieć, jak Urgit sobie radzi - powiedział zaniepokojony Silk, marszcząc czoło.

- Bardzo go lubisz, prawda? - zapytała Velvet.

- Urgita? Tak, chyba tak. Pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni. - Popatrzył na nią. - Rozumiem, że masz zamiar napisać o wszystkim w swoim raporcie dla Javelina?

- Oczywiście.

- Wiesz, wolałbym, żebyś tego nie robiła.

- Ależ dlaczego?

- Nie jestem do końca pewien. Po prostu myślę, że nie chcę, aby drasański wywiad wykorzystywał moje pokrewieństwo z królem Cthol Murgos. Chcę, żeby to pozostało moją prywatną sprawą.

Srebrzysty zmrok zapadał nad jeziorem, gdy Durnik i Toth wrócili, przygnębieni bardzo.

- To byk murgoska farma - mówił Durnik. - Byli tam Malloreanie. Według mnie to nie były regularne oddziały, raczej jacyś dezterterzy. Grabili i palili, a normalne wojsko zazwyczaj tego nie robi, jeśli kontrolują je oficerowie. Dom się spalił, ale stodoła jest w części zachowana.

- Czy nadaje się na nocleg? - chciał wiedzieć Garion. Durnik zastanawiał się, po czym wzruszył ramionami.

- Dach jest prawie nienaruszony.

- Czy coś jest nie tak? - zapytał Belgarath.

Durnik wykonał nieznaczny gest i odszedł, aż znalazł się tak daleko, że pozostali nie mogli go słyszeć. Belgarath i Garion dołączyli do niego.

- O co chodzi, Durniku? - zapytał stary czarodziej.

- Możemy zatrzymać się w stodole - odrzekł cicho kowal - ale musicie wiedzieć, że ci Malloreanie wbili na pale wszystkich mieszkańców farmy. Chyba nie chcecie, żeby kobiety to oglądały. To bardzo nieprzyjemne.

- Czy można gdzieś ukryć ciała?

- Zobaczą, co da się zrobić - westchnął Durnik. - Dlaczego ludzie robią takie rzeczy?

- Zwykle z powodu ignorancji. Ignorant ucieka się do brutalności, ponieważ brak mu wyobraźni. Idź z nimi, Garionie. Może będą potrzebowali pomocy. Pomachajcie nam pochodnią, kiedy skończycie.

Fakt, że było już niemal ciemno, trochę im pomógł. Garion prawie nie widział twarzy

tych ludzi. Z tyłu wciąż dymiącej ruiny znaleźli krytą ziemią piwnicę i zanieśli do niej zwłoki. Potem Garion wziął pochodnię i odszedł trochę od domu, aby dać sygnał Belgarathowi. W stodole było sucho, ogrzewał ją ogień, który Durnik rozpałił na dokładnie oczyszczonym palenisku.

- Całkiem tu przyjemnie - oświadczyła Ce'Nedra, z uśmiechem przyglądając się cieniom, które tańczyły na ścianach i krokwiach. Usiadła na stercie pachnącego siana i podskoczyła na niej kilka razy na próbę.

- A z tego będą wspaniałe łóżka. Chciałabym, żebyśmy codziennie znajdowali takie miejsca.

Garion podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz, bojąc się odpowiadać. Wyrósł na farmie niewiele różniącej się od tej i myśl o bandzie maruderów, którzy atakują zagrodę Faldora, palą i mordują, doprowadziła go do pasji. Nagle stanął mu przed oczami dziwny obraz. Ciemne twarze Murgów, wiszących na tych palach, równie dobrze mogły należeć do jego przyjaciół z dzieciństwa. Wstrząsnęło to nim do głębi. Ci ludzie byli Murgami, ale to również byli farmerzy i poczuł, że łączy go z nimi jakaś więź. Teraz to brutalne morderstwo, ten akt barbarzyństwa, odbierał jako osobistą urazę. Ponure myśli wypełniły mu umysł.

Rozdział XXI

Rankiem znowu padał deszcz. Była to mżawka, w której całą okolicę widać było jak przez mgłę. Wyjechali ze zgliszczy farmy, na powrót ubrani w stroje handlarzy niewolników i skierowali się na północ wzdłuż wschodniego brzegu jeziora.

Garion jechał w milczeniu, zatopiony w myślach tak ponurych i przytłaczających jak ołowiane wody jeziora po jego lewej ręce. Wściekłość, którą czuł poprzedniego dnia, ustąpiła niewzruszonej stanowczości. Mówiono mu, że sprawiedliwość jest abstrakcją, lecz postanowił, że gdyby natknęli się na mallorekańskich dezertów, odpowiedzialnych za te potworności, natychmiast sprawi, że abstrakcja stanie się rzeczywistością. Wiedział, że Belgarath i Polgara nie pochwalali takiego myślenia, więc jechał cichy, kontemplując ideę, jeśli nie sprawiedliwości, to zemsty.

Kiedy dotarli do błotnistej szlaku biegnącego z północnego krańca jeziora na południowy wschód i do miasta Rak Cthaka, okazało się, że maszerowały nią tłumy przerażonych cywilów, w większości ubranych w zniszczone ubrania i niosących niewielkie tobołki z tym, co udało im się ocalić.

- Myślę, że nie powinniśmy wychodzić na szlak - zdecydował Belgarath. - W tej czeredzie tracilibyśmy tylko czas.

- Jedziemy do Rak Cthaka? - zapytał Sadi. Starzec spojrzał na ciągnących gościńcem ludzi.

- Nie sądzę, żeby w Rak Cthaka można było znaleźć teraz choćby tratwę, nie mówiąc o okręcie. Wjedźmy do lasu i przedrzyjmy się nim na południe. Nie podoba mi się pomysł, by zostawać na odsłoniętym, wrogim terenie. Poza tym w wioskach rybackich łatwiej będzie wynająć łódź niż na nabrzeżu w wielkim mieście.

- Może wy wszyscy pojechalibyście dalej - zaproponował Silk. - Chciałbym zadać kilka pytań.

Belgarath chrząknął.

- To niezła myśl. Tylko nie zabaw zbyt długo. Chciałbym dotrzeć do Wielkiej Puszczy Południowej przed końcem zimy, jeśli nam się uda.

- Pojadę z nim, dziadku - zaproponował Garion. - I tak muszę zająć się czymś, żeby nie myśleć o tym, co widziałem ostatnio.

Ruszyli obaj przez sięgającą do kolan trawę ku strumieniowi uciekających na południe ludzi.

- Garionie - rzekł Silk, ściągając wierzchowcowi cugle - czy to nie Sendar, ten, który pcha taczki?

Garion dłonią osłonił oczy przed deszczem i przyjrzał się krzepkiemu mężczyźnie, którego wskazał Drasanin.

- Wygląda na Sendara - przytaknął. - Co Sendar może robić w Cthol Murgos?

- Może go zapytamy? Sendarowie uwielbiają plotki, więc powinniśmy wyrobić sobie pojęcie o tym, co się tu dzieje.

Niski mężczyzna popędził konia, aż zrównał się z człowiekiem z taczkami.

- Dzień dobry - odezwał się uprzejmie. - Zapuściłeś się daleko od domu, prawda?

Krzepki Sendar zatrzymał się i uważnie przyjrzał nyissańskiemu strojowi Silka.

- Nie jestem niewolnikiem - oświadczył. - Więc niech nic ci nie przychodzi do głowy.

- To? - Kheldar roześmiał się, skubiąc płaszcz na piersi. - Nie martw się, przyjacielu, nie jesteście Nyissanami. Po prostu znaleźliśmy to na jakichś ludziach gdzieś przy drodze. Pomyśleliśmy, że takie przebranie może nam pomóc, gdybyśmy trafili na kogoś ważnego. Co, u licha, robisz w Cthol Murgos?

- Uciekam - odparł ponuro. - Jak cały ten motłoch. Nie wiecie, co się dzieje?

- Nie. Jakiś czas nas nie było.

Krzepki mężczyzna podniósł rączki tacek i z trudem ruszył dalej zarośniętym traktem.

- Z Gorut na zachód idzie cała armia Mallolean - poinformował ich. - Spalili miasto, w którym mieszkałem i zabili połowę mieszkańców. Nie interesowała ich Rak Cthaka, więc tam się udajemy. Chcę poszukać kapitana, który płynie do Sendarii. Jakoś nagle zacząłem tęsknić za domem.

- Mieszkałeś w murgoskim mieście? - zapytał lekko zdziwiony Silk.

Uciekinier skrzywił się.

- Niezupełnie z własnego wyboru - odparł. - Miałem pewne kłopoty z prawem w Tolnedrze, kiedy byłem tam w interesach dziesięć lat temu. Wsiadłem na statek handlowy, żeby opuścić ten kraj, lecz kapitan okazał się łotrem; kiedy skończyły mi się pieniądze, zawinął do portu i zostawił mnie w Rak Cthaka. Popłynąłem dalej do miasteczka na północnym brzegu jeziora. Pozwolili mi zostać, gdyż zgodziłem się robić rzeczy, które są poniżej godności Murga, lecz które są zbyt ważne, by powierzyć je niewolnikowi. Przynosiło to ujmę, ale pozwalało przeżyć. No, a kilka dni temu pojawili się Malloleanie. Kiedy odeszli, nie było już w mieście ani jednego nienaruszonego budynku.

- Jak udało ci się uciec?

- Przeczekałem do wieczora w stercie siana. Wtedy przyłączyłem się do tych ludzi. - Obejrzał się na uchodźców, którzy brodzili po błocie zalegającym na gościńcu po kostki. - Czyż to nie jest wznuszające? Nie mają nawet na tyle rozsądku, by rozproszyć się i iść po trawie. Wiedziecie, że żołnierze z pewnością by tak nie zrobili.

- A więc byłeś kiedyś żołnierzem?

- Oczywiście - odparł z dumą. - Byłem sierżantem w armii księżniczki Ce'Nedry. Byłem z nią pod Thull Mardu.

- Mnie akurat tam nie było - stwierdził z pewnością siebie Silk. - Byłem zajęty gdzie indziej. Czy między nami a Wielką Puszczą Południową są jacyś Malloreanie?

- Kto wie? Nie szukam Mallorean. Ale chyba nie zechcecie jechać do lasu. Całe to zabijanie zdenerwowało trupołaki.

- Trupołaki? Kto to jest?

- Ghoule. Żywią się głównie zwłokami, ale słyszałem ostatnio kilka przerażających opowieści. Naprawdę uważam, że nie należy wchodzić do puszczy, przyjacielu.

- Będziemy musieli o tym pamiętać. Dziękujemy za informacje. Życzę szczęścia w Rak Cthaka i mam nadzieję, że uda ci się wrócić do Camaar.

- W tej chwili wybieram się do Tol Honeth. Tolnedrańskie więzienia nie są w sumie takie złe.

Silk uśmiechnął się do niego krótko, zawrócił konia i odjechał z Garionem galopem, by przyłączyć się do swych przyjaciół.

Po południu znaleźli bród na Rzece Cthaka kilkanaście mil od jej ujścia do jeziora i przekroczyli ją. Deszcz stał się jeszcze drobniejszy, gdy zbliżał się wieczór, lecz niebo wciąż pokrywały chmury. Kiedy znaleźli się na drugim brzegu, zobaczyli nieregularne, ciemne zarysy Wielkiej Puszczy Południowej, która wynurzała się ze stepu w odległości jakichś trzech mil.

- Jedziemy? - zapytał Silk.

- Zaczekajmy - postanowił Belgarath. - Trochę niepokoi mnie to, co powiedział ten jegomość. Nie chciałbym chyba żadnych niespodzianek, zwłaszcza w ciemności.

- Niedaleko stąd w dół rzeki rośnie grupa wierzb - powiedział Durnik, wskazując gąszcz wrzecionowatych drzew tuż nad rzeką około pół mili na południe od nich. - Toth i ja możemy rozbić tam namioty.

- Dobrze - zgodził się starzec.

- Jak daleko stąd na Verkat, dziadku? - zapytał Garion, gdy jechali wzdłuż rzeki.

- Według mapy około sto pięćdziesiąt mil stąd na południowy wschód trafimy na

wybrzeże naprzeciwko wyspy. Będziemy musieli znaleźć jakąś łódź, żeby się przeprawić.

Garion westchnął.

- Nie zniechęcaj się - pocieszał go Belgarath. - Poruszamy się szybciej, niż początkowo przypuszczałem, a Zandramas nie może uciekać wiecznie. Łądu na świecie nie jest tak wiele. Wcześniej czy później doścignemy ją.

Gdy Toth i Durnik rozbijali namioty, Garion i Eriond wdarli się w gąszcz w poszukiwaniu chrustu. Trudno było znaleźć coś na tyle suchego, by się zapaliło. Po godzinie wrócili, niosąc tylko tyle patyczków i małych gałązek, które znaleźli pod drzewami, że wystarczyło ich, by Polgara mogła coś ugotować. Gdy zaczęła przygotowywać posiłek, na który składała się fasola i dziczyzna, Garion zauważył, że Sadi chodził po obozie, przeczesując oczami ziemię.

- To nie jest śmieszne, moja droga - stwierdził z mocą. - Proszę w tej chwili wyjść.

- O co chodzi? - zapytał Durnik.

- Zith nie ma w butelce - odpowiedział mu, wciąż szukając.

Durnik podniósł się dość gwałtownie.

- Jesteś pewien?

- Chowa się przede mną raz na jakiś czas; uważa, że to zabawne. No wychodź, ty nieposłuszny wężu.

- Lepiej nie mów o tym Silkowi - poradził mu Belgarath. - Wpadnie w histerię, gdy tylko dowie się, że ona jest na wolności. - Starzec rozejrzał się. - A właśnie, gdzie on się podział?

- Poszedł z Liselle na spacer - poinformował go Eriond.

- W taką pogodę? Czasami on mnie zadziwia. Ce'Nedra zbliżyła się do nich i usiadła na gałęzi obok Gariona. Objął ją ramieniem i przyciągnął mocno ku sobie. Przytuliła się i westchnęła.

- Zastanawiam się, co robi teraz Geran - powiedziała zamyślona.

- Pewnie śpi.

- Zawsze wyglądał tak słodko, kiedy spał. - Znowu westchnęła i zamknęła oczy.

Z tyłu wśród wierzb rozległ się trzask, a Silk wbiegł nagle do obozowiska z wielkimi oczami i śmiertelnie bladą twarzą.

- Co się stało? - wykrzyknął Durnik.

- Miała węża w gorsecie! - rzucił Drasanin.

- Kto?

- Liselle!

Polgara, trzymając w ręku chochlę, odwróciła się, by spojrzeć na gwałtownie drżącego mężczyznę i uniosła brew.

- Powiedz mi, książe Kheldarze - odezwała się zimno. - Co właściwie robiłeś z gorsetem Liselle?

Silk zniósł przez chwilę jej nieruchome spojrzenie; wtem zaczął się rumienić.

- Och, rozumiem. - Obróciła się do swego garnka.

Minęła już północ, a Garion nie wiedział, co go obudziło.

Poruszył się powoli, by nie zbudzić Ce'Nedry i podniósł klapę namiotu, wyglądając na zewnątrz. Znad rzeki podniosła się gęsta mgła i widział tylko brudną, nieprzeniknioną ścianę bieli. Leżał w ciszy, wyęzając słuch, by wychwycić najlżejszy szmer.

Gdzieś we mgle coś delikatnie zadzwoniło; przez chwilę zastanawiał się, co to było. W końcu zrozumiał, że był to dźwięk, jaki wydaje dosiadający konia człowiek w kolczudze. Sięgnął ręką w ciemność i wyciągnął swój miecz.

- Myślę, że powinieneś powiedzieć nam, co znalazłeś w tym domu, zanim go podpaliłeś - usłyszał, jak ktoś mówił grubym głosem z malloreańskim akcentem. Człowiek ten nie znajdował się zbyt blisko, lecz nocą głos niesie się daleko, więc Garion dokładnie rozumiał rozmowę.

- Och, nie było tego dużo, kapralu - odpowiedział wymijająco drugi Malloreanin. - Trochę tego, trochę tamtego.

- Uważam, że powinieneś się z nami podzielić. W końcu razem się tym zajmujemy.

- Czy to nie dziwne, że nie pomyślałeś o tym, zanim nie znalazłem tych kilku rzeczy? Jeśli chcesz mieć udział w łupie, powinieneś zwracać uwagę na domy, a nie tylko zabawiać się wbijaniem jeńców na pal.

- Jesteśmy na wojnie - odparł żarliwie kapral. - Naszym obowiązkiem jest zabijać wrogów.

- Obowiązek - prychnął tamten pogardliwie. - Jesteśmy dezerterami, kapralu. Naszym obowiązkiem jest dbanie o siebie. Jeśli chcesz całe życie wyrzynać murgoskich farmerów, to twoja sprawa, ale ja oszczędzam na starość.

Garion ostrożnie wyczołgał się z namiotu. Był dziwnie spokojny, jakby odłożył uczucia gdzieś na bok. Wstał i zbliżył się niepostrzeżenie do sterty bagaży. Zanurzył pomiędzy nie rękę, aż jego palce wyczuły stal. Ostrożnie, żeby nie zrobić hałasu, wyciągnął ciężką kolczugę. Włożył ją i kilka razy poruszał ramionami, aby się lepiej ułożyła.

Toth trzymał wartę przy koniach, jego ogromna sylwetka rysowała się we mgle.

- Muszę się czymś zająć - szepnął mu do ucha król Rivy. Olbrzym spojrział na niego z

powagą, po czym skinął głową.

Odwrócił się, odwiązał konia od palika i podał mu uzdę. Następnie położył wielką dłoń na ramieniu Gariona, zacisnął ją, wyrażając w ten sposób zgodę i odsunął się.

Garion nie chciał dać Malloreanom czasu, by zdążyli rozproszyć się we mgle, wskoczył więc na nie osiodłanego wierzchowca i wyjechał stępa z zagajnika.

Cichnące w oddali głosy zdawały się przemieszczać w kierunku lasu, Belgarion ruszył za nimi, badając ciemność przed sobą słuchem i wolą.

Gdy przejechał już około mili, usłyszał ochryply śmiech, który rozległ się przed nim nieco po lewej stronie.

- Słyszałeś, jak wyli, kiedy wbijałem ich na pal? - usłyszał we mgle chrapliwy głos.

- Dostyc tego - wycedził przez zaciśnięte zęby Garion i wyciągnął miecz. Skierował konia w stronę, skąd dochodził głos i spiął go piętami. Wierzchowiec ruszył szybciej, a jego kopyta nie wydawały żadnych odgłosów na podmokłym gruncie.

- Dajcie trochę światła - powiedział jeden z nich.

- Czy to bezpieczne? Patrole szukają tu dezertarów.

- Już po północy. Żołnierze dawno poszli spać. Zapal pochodnię.

Po chwili mrok rozproszyło światło, które ogarnęło także Gariona.

Jego atak zupełnie zaskoczył dezertarów. Kilku nie żyło już, zanim zdążyli się zorientować, że na nich napadł. On i oni krzyczeli, gdy najeżdżał na nich koniem i wysadzał z siodeł potężnymi pchnięciami, które rozdawał na prawo i lewo. Jego wielki miecz bez trudu przechodził przez kolczugi, kości i mięso. Gdy przejechał przez ich szereg, pięciu zważyło się na ziemię. Zawrócił i natarł na trzech pozostałych. Jeden z nich spojrzał na niego z przerażeniem i rzucił się do ucieczki; drugi wyciągnął miecz z pochwy, a trzeci, który trzymał w ręku pochodnię, zastygł ze strachu.

Malloreanin z mieczem niepewnie uniósł broń, by ochronić głowę przed potężnym ciosem, który Garion już wymierzał. Spadający z wysoka miecz roztrzaskał ostrze nieszczęśnika, rozciął mu hełm i ciało aż do pasa. Rycerz kopnięciem zrzucił zwłoki ze swej broni i obrócił się ku człowiekowi z pochodnią.

- Błagam! - wrzasnął przerażony dezertar, zmuszając swego konia, by się wycofał. - Miej litość!

Ten płaczliwy okrzyk jeszcze bardziej rozwścieczył Gariona. Zacisnął zęby i zamachnął się raz, a głowa Malloreanina potoczyła się w ciemność.

Ostro ściągnął cugle i podniósł głowę, przysłuchując się galopowi ostatniego z oprawców, po czym puścił się za nim w pościg.

Złapał go po kilku minutach. Najpierw ścigał tylko jego odgłosy, lecz po chwili we mgle zamajaczyła niewyraźna sylwetka. Skręcił nieco w prawo i skoczył obok zrozpaczonego mężczyzny, po czym zatrzymał konia dokładnie na jego drodze.

- Kim jesteś? - wrzasnął nie ogolony Mallooreanin, zatrzymując raptownie wierzchowca. - Dlaczego to robisz?

- Jestem sprawiedliwością - warknął i natarł wprost na niego.

Dezertier wpatrywał się w osłupieniu na ogromny miecz, sterczący mu z piersi. Westchnął chrapliwie i zwałił się na bok, zsuwając bezwładnie z ostrza.

Wciąż nie żywiąc żadnych uczuć, Garion zsiadł z konia i wytarł swą broń o tunikę Mallooreanina. Chwilę potrwało, zanim chwycił uzdę jego wierzchowca, dosiadł swego konia i wrócił na miejsce, gdzie leżeli pozostali. Ostrożnie obejrzał każdego, sprawdzając, czy któryś jeszcze żyje, po czym zabrał następne trzy zwierzęta i powrócił do obozu, kryjąc się wśród wierzb.

Silk stał obok Totha przy palikach.

- Gdzie byłeś? - zapytał charczącym szeptem, gdy Garion zsiadł z wierzchowca.

- Potrzebowaliśmy koni - odparł zduszonym głosem, podając uzdy zdobytych zwierząt Tothowi.

- Malloreańskie, sądząc po siodłach - zauważył Drasanin. - Jak je znalazłeś?

- Ci, którzy ich dosiadali, rozmawiali, kiedy nas mijali. Bawiły ich wspomnienia wizyty, jaką kilka dni temu złożyli na pewnej murgoskiej farmie.

- I nie wzięłeś mnie ze sobą? - oskarżył go Silk.

- Przepraszam - odrzekł - ale musiałem się spieszyć. Nie chciałem ich zgubić we mgle.

- Czterech? - zapytał niski mężczyzna, licząc konie.

- Nie mogłem znaleźć pozostałych czterech wierzchowców. - Garion wzruszył ramionami. - Ale tyle powinno wystarczyć za te, które straciliśmy we wraku.

- Ośmiu? - Silk był nieco zdziwiony.

- Zaskoczyłem ich. To nie była żadna walka. Może pójdziemy się przespać?

- Hm, Garionie - zaproponował Silk - byłoby dobrze, gdybyś umył się, zanim wrócisz do łóżka. Ce'Nedra ma trochę nadszarpnięte nerwy i mogłaby się zdenerwować, gdyby obudziła się i zobaczyła cię tak umazanego krwią.

Następnego ranka mgła jeszcze zgęstniała. Była ciężka, zimna i gęsta, zalegała nad rzeką i skraplała się w płataninie gałęzi w zagajniku wierzb, który drużyna pozostawiła za sobą.

- Przynajmniej możemy się w niej ukryć - zauważył Galion, wciąż czując się tak,

jakby naprawdę znajdował się gdzie indziej.

- Jak wszyscy, którzy mogą tu być - odparł Sadi - albo wszystko. Ten las przed nami cieszy się złą opinią.

- Czy jest bardzo rozległy?

- To chyba największy las na świecie - odrzekł eunuch, wkładając pakunek na grzbiet konia. - Ciągnie się przez wiele setek mil. - Przyjrzał się z zainteresowaniem palikom. - Wydaje mi się, czy mamy dziś więcej koni?

- Znalazłem kilka wczoraj w nocy - przyznał Garion.

Po śniadaniu spakowali naczynia Polgary, dosiedli wierzchowców i ruszyli przez step w stronę spowitej mgłą puszczy.

Kiedy jechali, Garion słyszał, jak Durnik rozmawia z Silkiem.

- Co robiłeś wczoraj w nocy? - zadał pytanie kowal. - To znaczy, gdy znalazłeś Zath w gorsecie Liselle?

- Kiedy to się skończy, ona złoży raport Javelinowi - odparł Drasanin. - Wolałbym, żeby nie wiedział o pewnych sprawach. Jeśli się z nią zaprzyjaźnię, może uda mi się namówić ją, by je pominęła.

- To niegodziwe, Silku. Ona jest tylko dziewczyną.

- Wierz mi, Liselle potrafi o siebie zadbać. Oboje prowadzimy grę. Chociaż przyznaję, że Zith mnie zaskoczyła.

- Czy Drasanie zawsze muszą grać?

- Oczywiście. To pomaga zabijać czas. Zimy w Drasni są długie i ciężkie. Gry dobrze wpływają na inteligencję, dzięki nim jesteśmy lepsi w tym, co robimy, kiedy nie gramy. - Niski mężczyzna podniósł nieco głos. - Garionie?

-Tak?

- Czy ominiemy miejsce, w którym wczoraj znalazłeś konie? Nie chcielibyśmy niepokoić pań tuż po śniadaniu.

- To było tam - wskazał w lewo.

- Co takiego? - chciał wiedzieć Dumik.

- Dodatkowe konie pochodzą od Mallorean, którzy mieli zwyczaj zakradać się do samotnych murgoskich farm - odrzekł lekko Silk. - Garion postarał się o to, by nie potrzebowali już koni.

- Och - powiedział kowal. Zastanowił się nad tym przez chwilę. - To dobrze - dodał.

Gdy zbliżali się do puszczy, drzewa zaczęły wynurzać się z mgły. Brązowe liście wisiały na nielicznych gałęziach, gdyż zbliżała się zima. Garion rozglądał się, próbując

rozpoznać drzewa, pod którymi przejeżdżali, lecz nie znał tych gatunków. Były powyginane w fantastyczne kształty, a konary wiły się w górę i z dala od masywnych pni, sięgając ku pochmurnemu niebu. Same pnie były również powyginane, poznaczone ciemnymi splotami, które wcinały się głęboko w chropawą korę. Węzły te nadawały drzewom groteskowy wyraz, przypominający zdeformowaną ludzką twarz o szerokich, uważnych oczach i otwartych ustach, które zamarły w niewypowiedzianym przerażeniu. Ściółkę stanowiła gruba warstwa liści, szerniałych i mokrych, a nad gałęziami słała się szara mgła.

Ce'Nedra otuliła się szczelniej płaszczem i zadrzała.

- Czy musimy jechać przez ten las? - zapytała płaczącym tonem.

- Myślałem, że lubisz drzewa - zdziwił się Garion.

- Nie te. - Rozejrzała się lękliwie. - Jest w nich coś okrutnego. Nienawidzą się nawzajem.

- Nienawidzą? Drzewa?

- Szturchają się i popychają, aby dotrzeć do promieni słońca. Nie podoba mi się to miejsce, Garionie.

- Staraj się o tym nie myśleć - poradził.

Wjeżdżali coraz głębiej w ponury las, z reguły zachowując ciszę, gdyż wszystkich przynębiała zimna nienawiść, która sączyła się z tych dziwnych, poskręcanych drzew.

Zatrzymali się na krótko, by zjeść lunch na zimno, po czym ruszyli dalej aż do nastrajającego melancholijnie zmierzchu, który zdawał się być niewiele ciemniejszy od półmroku, panującego we mgle pomiędzy nieprzyjaznymi roślinami.

- Chyba jesteśmy już dość daleko - stwierdził wreszcie Belgarath. - Rozpalmy ognisko i rozbijmy namioty.

Być może była to wyobraźnia Gariona, albo krzyk drapieżnego ptaka, lecz kiedy pierwsze płomienie zadrzały nad patykami na ognisku, wydało mu się, że słyszy wrzask dochodzący od drzew, wrzask przerażającej wściekłości. Kiedy się rozejrzył, twarze wyrzeźbione w korze drzew jakby poruszyły się w blasku migoczącego światła, w milczeniu wyjąc na znienawidzony ogień.

Po jedzeniu Garion odszedł od ogniska. Wciąż czuł się dziwnie odrętwiały wewnątrz, jak gdyby jego uczucia zostały zamknięte w jakiejś ochronnej skorupie. Stwierdził, że nie może sobie nawet przypomnieć szczegółów spotkania ostatniej nocy, widział tylko żywo tryskającą w różowym świetle krew, jeźdźców osuwających się bezwładnie z siodła i odlatującą w mgłę głowę człowieka z pochodnią.

- Czy chcesz o tym porozmawiać? - zapytał cicho stojący tuż za nim Belgarath.

- Właściwie nie, dziadku. Myślę, że nie pochwalisz tego, co zrobiłem, więc może lepiej to zostawmy. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

- Ależ ja rozumiem, Garionie. Po prostu nie uważam, żebyś coś osiągnął, to wszystko. Zabiłeś... ilu ich było?

- Ośmiu.

- Aż tylu? No, dobrze, ośmiu Mallolean. Co w ten sposób udowodniłeś?

- Nie chciałem niczego udowadniać, dziadku. Pragnąłem się tylko upewnić, że nigdy więcej tego nie zrobią. Nawet nie jestem do końca pewien, że to oni zabili tych murgoskich farmerów. Ale gdzieś kogoś zabili, a takich ludzi trzeba powstrzymać.

- A więc dobrze, zrobiłeś to. Czy dzięki temu czujesz się lepiej?

- Nie. Chyba nie. Nie byłem nawet rozzłoszczony, kiedy ich zabijałem. To było po prostu coś, co trzeba było zrobić, więc dokonałem tego. Skończyłem to już i chciałbym równie szybko o tym zapomnieć.

Belgarath przyjrzał mu się długo, uważnie.

- Dobrze - rzekł wreszcie. - Dopóki pamiętasz o tym, nie zrobisz sobie chyba nic złego. Wracajmy do ogniska. Zimno tu w lesie.

Garion spał źle tej nocy, a Ce'Nedra, wtulona w jego ramiona, przewracała się niespokojnie i często łkała przez sen.

Następnego ranka Belgarath wstał i rozejrzał się z niezadowoleniem.

- To bez sensu - wybuchł nieoczekiwanie. - Gdzie jest słońce?

- Za chmurami i mgłą, ojcie - odparła Polgara, spokojnie rozczesując długie, ciemne włosy.

- Wiem o tym, Pol - odrzekł z rozdrażnieniem - ale muszę je zobaczyć choćby przez chwilę, żeby odnaleźć kierunek. Inaczej możemy zacząć chodzić w kółko.

Toth, który przygotowywał ognisko, spojrział na starca, wyraz twarzy miał obojętny jak zawsze. Podniósł rękę i wskazał kierunek nieco na skos od tego, którym podążali poprzedniego dnia.

Belgarath zmarszczył czoło.

- Jesteś absolutnie pewien? - zapytał. Olbrzym skinął.

- Szedłeś już przez ten las?

Toth znowu kiwnął głową, po czym pewnie pokazał ten sam kierunek.

- I jeśli pójdziemy tędy, wyjdziemy na południowe wybrzeże niedaleko Wyspy Verkat?

Olbrzym jeszcze raz skinął i na powrót zajął się paleniskiem.

- Cyradis powiedziała, że pójdzie z nami, żeby pomóc nam w poszukiwaniach, dziadku - przypomniał mu Garion.

- Dobrze. Skoro on zna drogę, poprowadzi nas przez puszcę. Zmęczyło mnie już to zgadywanie.

Przeszli jakieś pięć mil tego pochmurnego ranka, prowadzeni pewnie przez milczącego olbrzyma ledwie widoczną ścieżką. Wtem Polgara ściągnęła wodze i krzyknęła ostrzegawczo.

- Uwaga!

Strzała syknęła we mgle, lecąc wprost na Totha, lecz ten odbił ją swym kijem. Wówczas zza drzew wypadła grupa niechlujnie ubranych ludzi, potrząsających różnego rodzaju bronią. Niektórzy z nich byli Murgami, rasę pozostałych trudno było odgadnąć.

Nie zastanawiając się ani chwili, Silk zeskoczył z siodła, sięgając pod płaszcz po sztylety. Gdy wrzeszczący rabusie natarli na nich, skoczył im naprzeciw, wyciągając przed siebie dwa ciężkie sztylety niczym włócznie.

Gdy Garion skoczył na ziemię, zobaczył, że Toth już atakuje, wywijając kijem, a Durnik z toporem w dłoni zachodził napastników z drugiej strony. Król wyciągnął z pochwy miecz Rivy o Żelaznej Dłoni i pobiegł ku nim, machając płonącym ostrzem. Jeden ze zbójów wyleciał w powietrze, przekręcając się w sposób, jaki Garion wiele razy widział w wykonaniu Silka. Lecz tym razem ta technika zawiodła. Zamiast trafić obcasami w twarz lub pierś Gariona, zwinny napastnik natknął się na końcówkę płonącego miecza i siłą rozpędu wbił się nań głęboko.

Silk trafił sztyletem drugiego, odwrócił się na pięcie i zatopił drugi nóż dokładnie w czoło kolejnego rzezimieszka.

Toth i Durnik szli ku sobie, gromadząc napastników w jednym miejscu, po czym zaczęli metodycznie rąbać w głowę każdego, który próbował uwolnić się z płątaniny ciał.

- Garionie! - krzyknęła Ce'Nedra. Odwrócił się, by zobaczyć krzepkiego, nieogolonego mężczyznę, który jedną ręką ściągnął z siodła szamoczącą się królową, a w drugiej trzymał nóż. Wtem napastnik upuścił broń i obiema rękami chwycił jedwabny powróż, który ktoś zarzucił mu z tyłu na szyję. Złotowłosa Velvet ze spokojem wcisnęła kolano pomiędzy łopatki walczącego wściekle człowieka i coraz mocniej zaciskała sznur. Ce'Nedra patrzyła ze zgrozą, jak niedoszły zabójca dusił się na jej oczach.

Garion obrócił się ciężko i zaczął przedzierać przez zdezorientowanych napastników. Powietrze nagle wypełniło się wrzaskami, rykami oraz strzepami ubrań i kawałkami mięsa. Niechlujnie ubrani ludzie cofali się, gdy jego ogromny miecz zostawiał za sobą pokos

drżących, umierających ciał. Nagle rozproszyli się i uciekli.

- Tchórze! - krzyknął za nimi mężczyzna w czarnym stroju. Podniósł trzymany w rękach łuk i wycelował w Gariona. Wtem zgiął się w pół, trafiając strzałą w ziemię u swych stóp, gdy jeden ze sztyletów Silka migał raz po raz, zanurzając się głęboko w jego brzuch.

- Czy ktoś jest ranny? - dopytywał się Garion, obracając się szybko, wciąż z ociekającym krwią mieczem w ręku.

- Oni - zaśmiał się wesoło Drasanin, spoglądając z satysfakcją na efekty rzezi na polanie.

- Proszę cię, przestań! - zawołała Ce'Nedra do Velvet udręczonym głosem.

- Co takiego?- zapytała z roztargnieniem blondynka, wciąż pochylając się nad powrozem, który zaciskał się na szyi uduszonego już człowieka. - Och, przepraszam cię, Ce'Nedro. Chyba się trochę zagapiłam. - Zdjęła sznur, a martwy człowiek o czarnej twarzy upadł na ziemię u jej stóp.

- Dobra robota - pochwalił ją Silk.

- Rutyna. - Wzruszyła ramionami, ostrożnie zwijając garotę.

- Widzę, że zupełnie się tym nie przejmujesz.

- Nie ma powodu, by się ekscytować, Kheldarze. W końcu tego też nas uczą.

Miał zamiar odpowiedzieć, ale jej rzeczowy ton zbił go z pantafiku.

- Tak? - zapytała.

- Nic.

Rozdział XXII

Przeستاń! - rzekł z niesmakiem Durnik do Sadiego, który chodził po polanie i jakby od niechcenia zatapiał mały sztylet o zatrutym ostrzu w leżące w nieładzie ciała.

- Upewniam się tylko, dobry człowieku - odparł chłodno. - Niemądrze jest zostawiać za sobą wroga, który może tylko udaje martwego.

Podszedł do mężczyzny w czarnym płaszczu, którego pokonał Silk.

- A to co? - zdziwił się. - On żyje.

Pochylił się i zsunął mu kaptur z twarzy, po czym cofnął rękę, nagle wciągając głośno powietrze.

- Belgaracie, powinieneś to zobaczyć - zawołał. Starzec zbliżył się ku niemu.

- Czy to purpurowe obramowanie wewnątrz kaptura nie oznacza, że ten człowiek jest Grolimem? - zapytał Sadi.

Czarodziej skinął ponuro głową. Pochylił się i dotknął lekko rękojeści sztyletu Silka, który wciąż tkwił w brzuchu wroga.

- Niewiele czasu mu pozostało - stwierdził. - Czy możesz ocucić go na tyle, bym mógł zadać mu parę pytań?

- Spróbuję - odrzekł eunuch. Podszedł do swego konia i z czerwonej skrzynki wyjął buteleczkę z żółtym płynem.

- Czy mógłbyś przynieść mi kubek wody, dobry człowieku? - poprosił Durnika.

Twarz kowala wyrażała niezadowolenie, ale wyjął z juków blaszane naczynie i napelnił je wodą z bukłaka.

Sadi uważnie odmierzył kilka kropel żółtego płynu do kubka i zamieszał w nim trochę. Ukląkł przy umierającym i delikatnie uniósł jego głowę.

- No - powiedział łagodnie - wypij to. Poczujesz się lepiej. Wsparł głowę Grolima na rękę i wlał mu płyn do ust. Ranny wypił powoli, po czym położył się z powrotem. Po chwili pogodny uśmiech zawitał na jego szarej jak popiół twarzy.

- No i jak, lepiej?

- Znacznie lepiej - odparł grubym głosem.

- Niezła potyczka, co?

- Chcieliśmy zaatakować was zniemacka - przyznał Grolim - ale to wy nas zaskoczyliście.

- Twój pan... jak on się nazywał? Mam słabą pamięć do imion.

- Morgat - podpowiedział mu ranny, patrząc na niego ze zdziwieniem - Hierarcha z Rak Cthan.

- No, tak, teraz pamiętam. W każdym razie, Morgat powinien był dać ci więcej ludzi.

- Sam ich wynająłem, w Rak Cthaka. Mówili, że są zawodowcami, ale... - Zaczął kasłać.

- Nie przemęczaj się - rzekł Sadi. - Dlaczego Morgat się nami interesuje? - zapytał po chwili.

- Wypełnia rozkazy Agachaka - odpowiedział szeptem Grolim. - Agachak nie chce ryzykować, a, jak rozumiem, w Rak Uрга postawiono poważne zarzuty. Najwyższy kapłan nakazał, by wszyscy Grolimowie Purpury was szukali.

Sadi westchnął.

- Mniej więcej tego się spodziewałem - stwierdził z żalem. - Ludzie nigdy mi nie ufają. Powiedz, jak ci się udało nas znaleźć?

- To Cthrag Yaska - odpowiedział Grolim, oddychając z coraz większym trudem. - Jego przekłeta pieśń rozbrzmiewa w całym Cthol Murgos i przyciąga do was każdego Grolima Purpury.

Umierający człowiek wziął głęboki wdech, a jego rozbiegane oczy nagle stały się czujne.

- Co było w tym kubku? - zapytał ostro. Z ust chlusnęła mu krew, a oczy zaszyły bielmem. Zadrzał i wydał przeciągły, bulgoczący jęk. Opadł bezwładnie.

- Nie żyje - zauważył skrupulatnie eunuch. - Na tym polega problem z oretem. Trochę szkodzi na serce, a ten człowiek już na początku nie był w najlepszym stanie. Przykro mi, Belgaracie, lecz tylko tyle udało mi się osiągnąć.

- Wystarczy, Sadi - odparł chmurnie starzec. - Chodź ze mną, Garionie. Poszukajmy jakiegoś spokojnego miejsca. Będziemy obaj musieli odbyć długą rozmowę z Klejnotem.

- Czy nie mógłbyś z tym poczekać, Belgaracie? - zapytał eunuch, rozglądając się niespokojnie. - Myślę, że najlepiej będzie, jak czym prędzej się stąd oddalimy.

- Wątpię, żeby ci ludzie wrócili, Sadi - powiedział leniwie Silk.

- Nie to mnie niepokoi, Kheldarze. Niemądrze jest pozostawać w pobliżu tylu trupów w tym lesie, a już i tak spędziłyśmy tu sporo czasu.

- Czy mógłbyś to wyjaśnić? - poprosił Garion.

- Czy pamiętasz, przed czym ostrzegał ciebie i Kheldara ten Sendar na drodze?

- Przed trupołakami, tak?

- No właśnie. Co wam powiedział?

- Że to ghoule, stwory, które żywią się trupami. Ale to tylko legenda, oczywiście?

- Obawiam się, że nie. Słyszałem o nich od ludzi, którzy je widzieli. Naprawdę powinniśmy stąd uciekać. Większość ludzi, którzy mieszkają niedaleko tej puszczy, nie grzebie swych zmarłych w ziemi. Oni palą ciała.

- Zawsze uważałem, że to bardzo złe rozwiązanie - stwierdził Durnik.

- To nie jest kwestia szacunku wobec zmarłych, dobry człowieku. Robią to dla własnego bezpieczeństwa.

- No, dobrze - odezwał się Silk. - Jak wyglądają te ghoule? Wiele tu zwierząt, które próbują wykopać zwłoki.

- Trupołaki nie są zwierzętami, Kheldarze. To ludzie, a przynajmniej tak wyglądają. Zazwyczaj są bardzo apatyczne i pokazują się tylko nocą, ale w czasie wojny czy epidemii, kiedy dużo jest nie pogrzebanych ciał, ogarnia je szal. Zapach śmierci przyciąga je i czyni szalonymi. Kiedy znajdują się w takim stanie, atakują wszystkich.

- Ojczy - odezwała się Polgara - czy to prawda?

- To możliwe - przyznał. - Sam słyszałem nieprzyjemne rzeczy o tym lesie. Zwykle nie interesują mnie historie o duchach, więc nie badałem tego dokładniej.

- Każdy kraj ma swoje opowieści o ludożercach i potworach - zauważył sceptycznie Drasanin. - Tylko dzieci się ich boją.

- Zawrę z tobą umowę, Kheldarze - rzekł eunuch. - Jeśli przedostaniemy się przez tę puszczy, nie widząc ani jednego tmpołaka, będziesz mógł śmiać się z mojej bojaźliwości, ile zechcesz, ale przez wzgląd na kobiety, uciekajmy stąd.

Belgarath zmarszczył czoło.

- Nie apróbuję pojęcia „ghoul” - oświadczył - ale z drugiej strony, nie wierzyłem, że istnieje coś takiego jak eldrak, dopóki nie zobaczyłem jednego. I tak chcemy już ruszać, a Garion i ja możemy później porozmawiać z Klejnotem.

Odjechali galopem, prowadzeni znowu przez Totha. Wciąż podążali ledwie widocznym szlakiem, który skręcał na południowy wschód. Kopyta ich koni wzbijały w powietrze grudki liści, które grubą warstwą okrywały ziemię. Zniekształcone drzewa zdawały się spoglądać za nimi z otwartymi ustami i, choć Garion wiedział, iż to tylko jego wyobraźnia, te groteskowe, niemal ludzkie rysy wydały się rozpromieniać złośliwą radością.

- Zaczekajcie! - krzyknął nagle Silk. - Stać! Wszyscy ściągnęli koniom wodze.

- Wydawało mi się, że coś słyszałem... z tamtej strony - powiedział Drasanin. Wytężyli słuch, żeby usłyszeć coś oprócz głośnych oddechów wierzchowców.

Poprzez mgłę ze wschodu doszedł ich słaby krzyk.

- A więc są - stwierdził Silk i zawrócił konia.

- Co robisz? - zapytał Belgarath.

- Jadę to zobaczyć.

Lecz Toth zablokował mu przejście. Poważnie potrząsnął głową.

- Toth, musimy wiedzieć, co się dzieje - rzekł Silk. Olbrzym znowu pokręcił głową.

- Toth - odezwał się Garion - czy to, co mówi Sadi, jest prawdą? Czy trupołaki naprawdę istnieją?

Toth zbladł i skinął głową.

W ciemnym lesie rozległ się jeszcze jeden wrzask, tym razem bliżej. Był pełen przerażenia i bólu.

- Kto to? - zapytała Ce'Nedra piskliwym tonem, w którym brzmiał strach. - Kto tak krzyczy?

- Ludzie, którzy nas zaatakowali - odparł Eriond zbolalym głosem. - Ci, którzy uszli z życiem. Ktoś ich dogania.

- Trupołaki? - zapytał Garion.

- Myślę, że tak. Co by to nie było, jest potworne.

- Nadchodzą z tej strony - zauważył eunuch. - Uciekajmy stąd. - Spiał konia piętami.

Ruszyli szybko w ciemny las, nie próbując już jechać ścieżką. Przejechali tak na oślep około pół mili w głąb puszczy, kiedy Polgara ściągnęła wodze swego wierzchowca.

- Stójcie! - rozkazała.

- O co chodzi, Pol? - zapytał Durnik.

Lecz ona pochyliła się w siodle, by przyjrzeć ledwo widocznym we mgle zaroślom.

- Ktoś jest przed nami - szepnęła.

- Trupołak? - zapytał cicho Garion. Skupiała się przez chwilę.

- Nie. To jeden z napastników. Próbuje się ukryć.

- Czy daleko jest od nas?

- Nie. - Wpatrywała się dalej w spowijającą wszystko mgłę. - Tam - oświadczyła. - Jest za drzewem na skraju zarośli... za tym, które ma złamaną gałąź.

Garion widział niewyraźną, ciemną plamę, ukrytą za poskręcany korzeniem, który wystawał z mokrych liści. Wtem zauważył jakiś ruch i spostrzegł, że ktoś idzie powoli pomiędzy drzewami. Wydawał się szary, prawie niewidzialny w nisko wiszącej chmurze. Był tak wychudzony, że przypominał szkielet. Miał na sobie poplamione ziemią i krwią łachmany. Na białej czaszce rosły nieliczne włosy. Stwór poruszał się pochylony nisko i oddychał głośno. Ręce zwisały mu bezwładnie. Oczy miał puste, a paszczę otwartą.

Wtem pojawił się następny, potem jeszcze jeden. Zbliżając się, stwory wydawały podobne do jęków odgłosy, które nie wyrażały niczego oprócz głodu.

- On będzie uciekał! - przeraziła się Polgara.

Z okrzykiem rozpaczony ukryty zabójca skoczył na równe nogi i zaczął biec. Trupołaki ruszyły za nim, rycząc coraz donośniej. Przyspieszyły kroku, przeraźliwie chude nogi niosły je zadziwiająco szybko.

Rzezimieszek biegł zygzakiem pomiędzy drzewami, a pościg zbliżał się do niego z każdym krokiem. Kiedy zniknął wreszcie we mgle i ciemności, trupołaki biegły zaledwie kilka jardów za nim.

Wrzask przeraził ich i zmroził krew w żyłach. Rozległ się znowu... i znowu.

- Czy one go zabijają? - głos Ce'Nedry przeszedł w pisk. Twarz Polgary była całkowicie biała, a oczy pełne przerażenia.

- Nie - odpowiedziała drżącym głosem.

- Więc co robią? - chciał wiedzieć Silk.

- Zjadają go.

- Ale... - Silk przerwał, gdy z mgły doszły ich następne wrzaski. - On wciąż... - Patrzył na nią rozszerzonymi oczyma, krew odpływała mu z policzków.

Ce'Nedra zadrżała.

- Żywego? - zapytała zdławionym szeptem. - Zjadają go, kiedy jeszcze żyje?

- Właśnie przed tym chciałem was ostrzec, wasza wysokość - rzekł ponuro Sadi. - Kiedy ogarnia je szal, nie czynią różnicy między żywymi i martwymi. Jedzą wszystko.

- Toth - zapytał ostro Belgarath. - Czy można je odstraszyć?

Milczący olbrzym potrząsnął głową, po czym zwrócił się do Durnika. Gestykulował gwałtownie, dotykając głowy i brzucha.

- Mówi, że nie myślą aż tyle, by móc się przestraszyć - poinformował kowal. - Wiedzą tylko, co to jest głód.

- Co zrobimy, ojcze? - chciała wiedzieć Polgara.

- Spróbujemy je prześcignąć - zdecydował - a jeśli któreś stanie nam na drodze, zabijemy je. - Spojrzał znowu na Totha. - Jak szybko potrafią biegać?

Olbrzym podniósł rękę i narysował nad głową łuk, potem następny i jeszcze jeden.

- Całymi dniami - przetłumaczył Durnik. Belgarath spochmurniał.

- Ruszajmy - powiedział - i trzymajmy się razem. Jechali teraz znacznie ostrożniej, wszyscy mężczyźni mieli w rękach broń.

Pierwszy atak nastąpił, gdy ujechali najwyżej milę. Co najmniej dwanaście

trupołaków wynurzyło się na chwiejnych nogach z gęstwiny, rycząc z głodu i ustawiając się, by zagrozić im drogę.

Garion popędził naprzód, wywijając zamasyście mieczem. Pracując z wściekłością, wyrąbał sobie przejście przez ich szereg, a ghoule wyciągały ku niemu ręce, by ściągnąć go z siodła. Kiedy je rozjechał, rozszedł się potworny, zgniły odór. Za pierwszą szarżą zabił połowę z nich, po czym zawrócił konia, lecz osadził go ostro na miejscu. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Trupołaki, które uniknęły jego miecza, rozdzierały ciała tych, które od niego padły. Odrywały ociekające krwią kawałki i wpychały je sobie do paszcz szponiastymi palcami, wciąż rycząc przeraźliwie. Ostrożnie okrążyli ghoule, odwracając od nich oczy.

- Nie uda się, ojciec - oświadczyła Polgara. - Wcześniej czy później ktoś z nas popełni błąd. Będziemy musieli otoczyć się osłoną.

Zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Chyba masz rację, Pol - przyznał w końcu. Spojrzał na Gariona. - Ty i Durnik powinniście obserwować, jak to się robi. Chcę, żebyście to od nas przejęli, kiedy się zmęczymy.

Ruszyli stępa, gdy Polgara i Belgarath dopasowywali wielkość pokrywy ochronnej, którą tworzyli łącząc Wolę. Ujechali zaledwie kawałek, kiedy spomiędzy poskręcanych drzew wybiegł z wyciem zaśliniony trupołak. Kiedy zbliżył się na jakieś dziesięć jardów do konia Durnika, potknął się nagle i runął do tyłu, jak gdyby uderzył głową w coś twardego. Wyjąc przeraźliwie, znowu ruszył naprzód i zaczął drapać powietrze brudnymi, długimi pazurami.

- Durniku - powiedziała zupełnie spokojnie Polgara - czy mógłbyś się nim zająć?

- Dobrze, Pol. - Twarz kowala zmarszczyła się w niezwykłym skupieniu, wymruczał jedno słowo. Ghoul zabłysnął i nieoczekiwanie zniknął im z oczu. Kiedy pojawił się znowu, znajdował się już dwadzieścia jardów dalej, obok ogromnego drzewa. Próbował się na nich rzucić, lecz z jakiegoś powodu nie mógł się ruszyć.

- To powinno go powstrzymać - stwierdził Durnik.

- Co zrobiłeś? - chciał wiedzieć Silk.

- Zaklinowałem mu ramię w tym drzewie - odparł kowal. - Jeśli zechce znowu zaatakować, będzie musiał albo przyciągnąć drzewo ze sobą, albo zostawić rękę. Nie bardzo go to boli, ale wydostanie się z tego zajmie mu pewnie cały dzień.

- Czy panujesz nad osłoną, Pol? - rzucił przez ramię starzec.

- Tak, ojciec.

- Więc przyspieszmy trochę. Odrobina galopu nie zaszkodzi.

Ruszyli najpierw kłusem, a potem przeszli w długi cwał. Osłona, którą Belgarath wystawił przed nimi, przypominała ścianę; okryte łachmanami ghoulle odbijały się od niej jeden po drugim.

- Skąd one biorą te ubrania? - zastanawiał się Silk. Toth wykonał jedną ręką gest przypominający kopanie w ziemi.

- Mówi, że zdzierają je z trupów, które wykopują - przetłumaczył Durnik.

Drasaninem wstrząsnął dreszcz.

- A więc stąd ten odór.

Następnych kilka dni złało się ze sobą w umyśle Gariona. Mniej więcej co cztery godziny on i Durnik musieli zmieniać się z Belgarathem i Polgarą, a osłona zdawała się ważyć więcej z każdą milą. Mgła nie opadała, nie można było przez nią widzieć dalej, niż na sto jardów. Nieoczekiwanie wyłaniały się z niej powykęcane drzewa o ludzkich twarzach. Wychudzone, szare cienie poruszały się w otaczających ich oparach, a bezmyślne wycie dochodziło ze wszystkich stron.

Noc była czasem obłędnego przerażenia. Trupołaki zgromadziły się wokół osłony, drapały w nią i ryczały przeciągle. Wyczerpany po ciężkim dniu, Garion musiał użyć każdej drobiny swej Woli - nie tylko po to, by utrzymać pokrywę ochronną, kiedy nadejdzie jego kolej, ale również po to, by odpędzić senność. Sen był jeszcze groźniejszym wrogiem niż ghoulle. Zmuszał się do przechadzania w tę i z powrotem. Szczypał się. Posunął się nawet do tego, że włożył sobie do lewego buta kamyk, mając nadzieję, że niewygodna pomoże mu zachować jasność umysłu. Jednak wszystkie pomysły zawiodły i głowa zaczęła chylić się w dół, aż wreszcie sen go zmorzył.

Ocknął się nagle, czując zgniły zapach. Gdy podniósł głowę, zobaczył przed sobą trupołaka. W oczach nie było ani śladu myśli, w rozwartej paszczy widać było połamane, gnijące zęby, a zakończone czarnymi pazurami ręce wyciągały się ku niemu. Z okrzykiem zdziwienia zadał potężny cios Wolą, który odrzucił stwora do tyłu. Drżąc gwałtownie utworzył na nowo osłonę.

Wreszcie dotarli do wysuniętego najdalej na południe krańca puszczy i wyjechali spod powykęcanych drzew na spowite mgłą wrzosowisko.

- Czy będą nas ścigać dalej? - Durnik zapytał swego olbrzymiego przyjaciela. Głos kowala osłabł ze zmęczenia.

Toth gestykulował przez chwilę niewyraźnie.

- Co powiedział? - zainteresował się Garion. Durnik poblekł na twarzy.

- Mówi, że dopóki nie opadnie mgła, prawdopodobnie się nie poddadzą. Nie lubią

słońca, ale we mgle go nie widać, więc... - Wzruszył ramionami.

- W takim razie musimy nadal utrzymywać osłonę, prawda?

- Obawiam się, że tak.

Wrzosowisko było nieprzyjemnym, ponurym miejscem. Ziemię pokrywały niskie, cierniste krzaki, tu i ówdzie lśniły rdzawą wodą górskie stawy. Opary wirowały i falowały, wciąż wyłaniały się z nich ciemne postaci ghouli.

Jechali dalej. Polgara i Belgarath przejęli ciężar pokrywy ochronnej, a Garion opadł nagle w siodło, drżąc z wyczerpania..

Wtem wyczuł słaby zapach słonej morskiej wody.

- Morze! - zawołał radośnie Durnik. - Dotarliśmy do morza.

- Teraz potrzebujemy już tylko łodzi - przypomniał mu Silk.

Jednakże Toth z pewnością siebie wskazał coś przed nimi i uczynił dziwny gest.

- Mówi, że czeka na nas okręt - poinformował ich kowal.

- Okręt? - Silk był zaskoczony. - Jak on to zrobił?

- Naprawdę nie wiem - odparł Durnik. - Nie powiedział o tym.

- Durniku - rzekł Drasanin. - Powiedz mi, skąd tak dobrze wiesz, co on mówi?

Według mnie te jego gesty są zupełnie bez sensu.

Kowal zmarszczył brwi.

- Naprawdę, nie mam pojęcia - przyznał. - Nie zastanawiałem się nad tym. Po prostu wiem, co chce powiedzieć.

- Czy używasz czarów?

- Nie. Może to dlatego, że kilka razy robiliśmy coś razem. To zbliża ludzi.

- Wierzę ci na słowo.

Wspięli się na wysokie wzgórze, by zobaczyć żwirową plażę, na której rozbijały się nadchodzące zamglonym morzem fale. Uderzały w kamyki i cofały się, sycząc ponuro, gdy spieniona woda prześlizgiwała się po brzegu, by zatrzymać się i po chwili powrócić.

- Nie widzę twojego okrętu, Toth - stwierdził z nutą oskarżenia w głosie Silk.

Olbrzym wskazał ręką we mgłę.

- Naprawdę? - Drasanin był sceptyczny. Toth kiwnął głową.

Ciągnące za nimi trupolaki ożywiły się, kiedy drużyna zaczęła zjeżdżać ku plaży. Ryczały coraz natarczywiej, zaczęły biegać w tę i z powrotem po grani, wyciągając rozpaczliwe pazury. Nie ruszyły jednak za nimi.

- Czy wydaje mi się tylko, czy one się czegoś boją? - zastanawiała się Velvet.

- Nie schodzą ze wzgórza - przytaknął Durnik. Obrócił się do Totha. - Boją się? -

zapytał.

Olbrzym potaknął.

- Ciekawe, co to jest - powiedziała Liselle. Toth zatoczył szeroki gest obydwoma rękami.

- Mówi, że to ma coś wspólnego z czymś, co jest bardziej głodne od nich - poinformował kowal. - Boją się tego.

- Może to rekiny? - podsunął Silk.

- Nie. Chodzi o samo morze.

Kiedy stanęli na żwirowym brzegu, zsiadli z koni i zgromadzili się na skraju wody. Byli zmęczeni.

- Dobrze się czujesz, ojcze? - zapytała Polgara starca, który siedział pochylony w siodle, wpatrując się w unoszącą się nad ciemną powierzchnią gęstą, jasną mgłę.

- Co? Ach... Nie, Pol, nic się nie stało, jestem trochę zaskoczony, to wszystko. Ciekawi mnie, kto to przygotował i skąd wiedział, że właśnie tu się zjawimy.

- Co ważniejsze - dodał Silk - zastanawiam się, jak damy im znać, że już jesteśmy. Ta mgła jest jak ściana.

- Toth mówi, że oni już wiedzą o naszym przybyciu - oświadczył Durnik. - Pokażą się mniej więcej za pół godziny.

- Tak? - zapytał z zainteresowaniem Belgarath. - A kto w ogóle wysłał ten okręt?

- Według niego Cyradis.

- Któregoś dnia będę musiał odbyć długą rozmowę z tą młodą damą - stwierdził stary czarodziej. - Przez nią pewne sprawy zaczęły mnie niepokoić.

- Wracają - oświadczył Eriond, który stał i klepał swego wierzchowca po zgiętym karku.

- Kto? - chciał wiedzieć Garion.

- Trupołaki - odrzekł chłopiec, wskazując za siebie na wzgórze. - Zrezygnowały, wracają teraz do lasu.

- I nawet się nie pożegnały - dodał ze sztywnym uśmiechem Silk. - W dzisiejszych czasach dobre maniery to rzadkość.

Okręt, który wynurzył się z mgły, był ciekawie zbudowany. Dziób i rufa wznosiły się wysoko, na dwóch masztach wisały szerokie żagle.

- Co sprawia, że on płynie? - zapytała Ce'Nedra, przyglądając się z zaciekawieniem ciemnej sylwetce.

- Nie bardzo cię rozumiem - przyznał jej mąż.

- Nikt nie wiosłuje - zauważyła - i nie ma ani śladu bryzy. Rzucił szybkie spojrzenie na statek i stwierdził, że miała rację. Z burt nie wystawały wiosła; lecz mimo grobowej ciszy żagle wydeły się, a łódź sunęła szybko po oleistej wodzie.

- Czy to czary? - zapytała go.

Sięgnął ku niemu myślą, żeby znaleźć jakieś oznaki magii.

- Nie wydaje mi się - odrzekł. - Przynajmniej nie taka, jaką znam.

Belgarath stał obok nich, na jego twarzy malowało się głębokie niezadowolenie.

- W jaki sposób to się porusza, dziadku? - zwrócił się do niego Garion.

- To pewna forma sztuki magicznej - wytłumaczył mu, wciąż marszcząc czoło. - Nieprzewidywalna i zazwyczaj niezbyt wiarygodna. - Obrócił się do Totha. - Czy mamy wejść na pokład? - zapytał.

Olbrzym skinął głową.

- Czy dopłyniemy tym na Verkat?

Skinął ponownie.

- Chcesz powiedzieć, że dopłyniemy, o ile wróżce, która popycha okręt, nie znudzi się to zajęcie, albo jeśli nie zdecyduje, by zabrać nas w przeciwną stronę.

Toth rozłożył ręce.

- Prosi, żebyśmy mu zaufali - pomógł mu kowal.

- Chciałbym, żeby ludzie przestali tak do mnie mówić. Okręt zwolnił, a kil dotknął delikatnie żwirowego dna.

Z relingu zsunięto szeroki trap, którego wyważony koniec zanurzył się w wodzie na głębokość około trzech stóp. Toth brodził naprzód, prowadząc swego opierającego się konia. Odwrócił się i spojrzał pytająco na pozostałych, po czym skinął na nich.

- Mówi, że powinniśmy wsiąść na pokład.

- Słyszałem - mruknął starzec. - No dobrze, myślę, że nic nam się nie stanie.

Z kwaśną miną chwycił uzdę swojego wierzchowca i wszedł do wody.

Rozdział XXIII

Cała załoga tego dziwnego okrętu nosiła proste, ciężkie tuniki z kapturami. Mieli wystające kości policzkowe, przez co ich twarze wyglądały jak wyciosane z drewna i, podobnie jak Toth, byli niemowami. Pracowali w absolutnej ciszy. Garion, przyzwyczajony do głośnych krzyków i przekleństw żeglarzy z Chereku, uznał tę ciszę za dziwaczną, a nawet trochę zniechęcającą. Sama łódź nie wydawała żadnych typowych dla statków dźwięków. Nie słychać było zgrzytania wiosel, jęków belek, jedynie spokojny plusk wody obmywającej burty, kiedy płynęli pchani mocą, której Garion nawet nie pojmował.

Gdy brzeg zniknął za nimi w oparach, stracili punkt odniesienia, nic nie wskazywało kursu. Milczący okręt płynął dalej.

Garion stał na pokładzie i obejmował ramieniem Ce'Nedrę. Wyczerpanie ciężką próbą, której podjął się w lesie trupolaków, przenikająca wszystko ponura i ciemna, gładka jak lustro woda oraz gęsta, nieustępliwa mgła wprawiała go w melancholijny nastrój, a jego myśli wędrowały daleko. Stał obok swej zmęczonej żony, obejmując ją i ochraniając, i patrzył obojętnym, niczego nie pojmującym wzrokiem w opary.

- A cóż to, u licha, jest? - wykrzyknęła stojąca gdzieś za nimi Velvet. Odwrócił się i spojrzał na rufę. Z perłowej mgły wynurzył się biały ptak o nieziemskich skrzydłach: lotki wydawały się dłuższe niż wyciągnięta ręka mężczyzny. Skrzydła nie poruszały się, a jednak cichy ptak zbliżał się, szybując pośród oparów, jakby był pozbawiony ciała.

- Albatros - stwierdziła Polgara.

- Czy one nie przynoszą pecha? - zastanawiał się Silk.

- Czy jesteś przesądny, książę Kheldarze?

- Właściwie nie, ale... - nie dokończył.

- To tylko morski ptak - uspokajała go.

- Dlaczego on ma takie ogromne skrzydła? - zainteresowała się Velvet.

- Lata na duże odległości nad bezkresną wodą - wyjaśniała Polgara. - Dzięki skrzydłom unosi się bez wysiłku. To bardzo praktyczne.

Ptak pochylił się, wydając dziwny, pojedynczy krzyk, który niósł się daleko po pustej przestrzeni.

Polgara skłoniła głowę w odpowiedzi na to niezwykle powitanie.

- Co on powiedział, Pol? - zapytał Durnik stłumionym głosem.

- Jest dosyć oficjalny - odrzekła. - Morskie ptaki są pełne dostojenstwa, być może

dlatego, że często przebywają w samotności. Przypuszczam, że dzięki temu mają czas, by sformułować swoje myśli. Te, które żyją na ziemi, paplają bez przerwy, natomiast morskie są bardzo poważne.

- Czy te ptaki nie są trochę dziwne?

- Nie, kiedy się do nich przyzwyczaisz. - Spojrzała na alabastrowo białego ptaka, który z nieodgadnionym wyrazem płynął w powietrzu obok okrętu.

Albatros poruszył olbrzymimi skrzydłami, by ustawić się tuż przed dziobem i znowu zawisł bez ruchu.

Belgarath przypatrywał się żaglom, które wydęły się nieprawdopodobnie na bezwietrznym morzu. W końcu odchrząknął i zwrócił się do Totha.

- Ile czasu zajmie podróż na Verkat? - zapytał. Olbrzym pokazał rękami niewielką odległość.

- Nie jesteś zbyt dokładny, przyjacielu. Toth wskazał do góry i rozłożył palce.

- Około pięciu godzin - pomógł mu Durnik.

- W takim razie płyniemy szybciej, niż nam się wydaje - zauważył starzec. - Ciekaw jednak jestem, w jaki sposób udało im się nakłonić wróżkę, by tak długo koncentrowała się na jednym przedmiocie. Nigdy jeszcze nie spotkałem takiej, która potrafiłaby zająć się jedną sprawą dłużej niż minutę.

- Chcesz, żebym go zapytał? - zaproponował kowal. Belgarath popatrzył znowu na żagle.

- Nie, chyba nie. Odpowiedź mogłaby mi się nie spodobać.

Gdy zbliżał się wieczór, zaczęło majaczyć przed nimi ciemne i niewyraźne północno-zachodnie wybrzeże Wyspy Verkat. Prowadzeni przez albatrosa, podpłynęli bliżej, a za żwirową plażą Garion ujrzał niskie pasmo wzgórz, gęsto porośnięte spowitą mgłą roślinnością. W pewnym oddaleniu migotało kilka porzrzucanych świateł z okien wioski. Od osady ku plaży wiała się linia pochodni. Słychać było cichy śpiew. Słów nie można było zrozumieć, lecz melodia wyrażała ogromny smutek i bezgraniczną tęsknotę.

Okręt sunął powoli płytką zatoką, po czym przycumował przy prostym, kamiennym nabrzeżu, które bardziej przypominało grupę skał, niż zbudowane przez człowieka molo.

Na nabrzeżu stał wysoki człowiek w białym, lnianym stroju. Na twarzy nie widać było zmarszczek, a brwi były czarne jak skrzydło kruka, lecz rozwiewane przez wiatr włosy miał srebrzyste jak Belgarath.

- Witajcie - pozdrowił ich głębokim, niezwykle miękkim głosem. - Jestem Vard. Długo czekaliśmy na wasze przybycie, które Księga Niebios objawiła nam przed wiekami.

- Teraz wiecie, dlaczego nie lubię takich ludzi - mruknął Belgarath. - Nie znoszę, gdy ktoś udaje, że wie wszystko.

- Wybacz nam, Świętobliwy Belgaracie - rzekł z nieznacznym uśmiechem człowiek na nabrzeżu. - Jeśli to cię uspokoi, możemy ukryć, co wyczytaliśmy w gwiazdach.

- Masz dobry słuch, Vardzie - zauważył starzec.

- Jeśli chcesz tak uważać. - Vard wzruszył ramionami. - Przygotowano dla was komnaty i jedzenie. Wasza podróż była długa i uciążliwa, jestem pewien, że wszyscy jesteście bardzo zmęczeni. Jeśli pójdziecie ze mną, wskażę wam drogę. Moi ludzie zajmą się waszymi wierzchowcami i rzeczami.

- Jesteś bardzo uprzejmy, Vardzie - powiedziała Polgara, stojąc przy relingu, gdy niemi marynarze zbiegli po trapie na kamienne molo.

Vard skłonił się.

- Jesteśmy zaszczyceni twoją obecnością, lady Polgaro - oświadczył. - Podziwiamy cię od początku Trzeciej Ery.

Prowadząca z zatoki ścieżka była wąska i wiła się bez widocznej potrzeby.

- Obawiam się, że znajdziecie naszą wioskę prymitywną w porównaniu z potężnymi miastami Zachodu - powiedział przeproszającym tonem mężczyzna. - Nigdy nie interesowaliśmy się naszym otoczeniem.

- Wszystkie miejsca są do siebie podobne - stwierdził zgodnie Belgarath, przypatrując się grupce oświetlonych okien, które jaśniały we mgle.

Wioska składała się z mniej więcej dwudziestu krytych strzechą budynków z surowego kamienia. Zdawały się rozrzucone w nieładzie, nigdzie nie widać było, by zorganizowano je wzdłuż jakiejś ulicy. Jednakże osada była schludna, bez śladu rozgardiaszu, nieodłącznego w takich skupiskach, a drzwi każdego domostwa nosiły ślady częstego szorowania.

Vard powiódł ich do przestronnego domu w środku wioski i otworzył im drzwi.

- To należy do was, dopóki będziecie tu przebywać. Stół już przygotowano, usłużą wam moi ludzie. Jeśli będziecie potrzebowali czegoś jeszcze, poślijcie po mnie.

Skłonił się, odwrócił i zniknął w oparach wieczornej mgły.

Wnętrze z całą pewnością nie przypominało pałacu, ale surowy wystrój budynku na zewnątrz jednak okazał się mylący. W każdej komnacie znajdował się niski, wesoły kominek, emanujący ciepłem i światłem. Framugi drzwi wygięte były w łuki, a ściany pobielone. Ustawiono tu meble proste, lecz solidne, a łóżka przykryto grubymi pierzynami.

W komnacie na środku umieszczono stół i ławki, na nim zaś wiele glinianych

garnków. Rozchodzący się od nich zapach przypominał Garionowi, że już wiele dni nie jadł niczego gorącego.

- To dziwni ludzie - zauważyła Velvet, zdejmując płaszcz - ale o brak gościnności nie można ich oskarżyć.

Silk spoglądał na stół.

- Nie chcemy chyba ich obrazić, pozwalając, by kolacja ostygła, prawda? Nie wiem, jak wy, ale ja strasznie wygłodniałem.

Posiłek smakował wyśmienicie. Jedli wyłącznie zwyczajne potrawy, ale każda była umiejętnie przyprawiona. Główne danie stanowił upieczony na brązowo udziec jakiegoś zwierzęcia, którego Garion nie rozpoznał, lecz stwierdził, że było sycące i wyborne w smaku.

- Z czego jest ta wspaniała pieczeń? - zapytała Ce'Nedra, biorąc sobie jeszcze kawałek.

- Chyba z kozy - odparła Polgara.

- Kozie mięso?

- Na to wygląda.

- Ale ja nie lubię koziego mięsa.

- To twoja trzecia porcja, skarbie - zauważyła Polgara. Po jedzeniu rozsiedli się wokół kominka. Garion czuł potworne zmęczenie i wiedział, że powinien pójść do łóżka, ale było mu po prostu zbyt wygodnie i nie chciał się stąd ruszać.

- Czy coś wskazuje na to, że Zandramas tędy przechodziła? - zapytał go Silk.

- Co? A, nie... nic.

- Ona zdaje się unikać zamieszkałych miejsc - zauważył Belgarath. - Nie sądzę, że przybyłaby do tej wioski. Pewnie jutro będziesz musiał wyjechać stąd i poszukać jej tropu.

- Czy nie udała się wprost do Rak Verkat? - podsunął Drasanin. - Tam są wszystkie okręty, a ona chce się dostać do Mallorei, prawda?

- Mogła zdecydować się na coś innego - stwierdził starzec. - Wie przecież, że wyznaczono cenę na jej głowę, a Malloreanie w Rak Verkat są nimi z pewnością tak samo zainteresowani, jak ci z Rak Hagga. Bardzo ostrożnie przygotowała każdy etap swojej podróży. Nie myślę, żeby podejmowała jakiegokolwiek ryzyko, skoro zaszła już tak daleko.

Sadi wrócił do komnaty, niosąc glinianą buteleczkę.

- Margrabino Liselle - rzekł kwaśno - czy mógłbym odzyskać swojego węża?

- Och, bardzo cię przepraszam, Sadi. Zupełnie o niej zapomniałam. - Wsunęła rękę pod górną część sukienki i wyjęła małego, zielonego gada.

Silk wzdrygnął się, wciągając nagle powietrze.

- Nie próbowałam jej ukraść - zapewniała Sadięgo. - Ale to biedactwo było takie zmarznięte.

- Oczywiście. - Wziął od niej węża.

- Chciałam ją tylko ogrzać, Sadi. Na pewno nie chciałbyś, żeby się rozchorowała, prawda?

- Wzrusza mnie pani troskliwość. - Odwrócił się i poszedł ku sypialniom z Zith owiniętą wokół nadgarstka.

Następnego ranka Garion wszedł do szopy, która przylegała do tylnej ściany ich domu. Osiodłał konia i pojechał ku żwirowej plaży, na której bez końca rozbijały się morskie fale. Zatrzymał się i obrzucił wzrokiem wybrzeże. Wzruszył ramionami i ruszył na północny wschód.

Na krańcu usianej kamieniami plaży leżało mnóstwo naniesionych przez wodę wyblakłych kawałków drewna. Jadąc, spoglądał na splątane stosy gałęzi i połamanych pni. Od czasu do czasu zauważał podłużny kawałek deski, niemy dowód katastrofy jakiegoś okrętu. Zaświtała mu myśl, iż statek, z którego pochodziły te gonty, mógł rozbić się nawet sto lat wcześniej w drugiej części świata.

To wszystko jest bardzo ciekawe, rzekł suchy głos w jego umyśle, ale jedziesz w niewłaściwym kierunku.

Gdzie byłeś, zapytał Garion, ściągając wierzchowcowi cugle.

Dlaczego zawsze musimy zaczynać rozmowę od tych samych pytań? Odpowiedź nic by dla ciebie nie znaczyła, więc po co się tym zajmować? Zawracaj. Ślad znajduje się z drugiej strony wioski, a nie masz czasu, żeby objechać całą wyspę.

Czy Zandramas wciąż tu jest z moim synem, zapytał szybko Garion, chcąc zadać to pytanie, zanim nieuchwytny głos znowu odejdzie.

Nie, odrzekł głos. Ruszyła stąd mniej więcej tydzień temu.

- A więc nadrabiamy - powiedział na głos Garion, a nadzieja znowu się w nim obudziła.

To chyba logiczne przypuszczenie.

Dokąd pojechała?

Do Mallorei, ale wiedziałeś już o tym, prawda?

Czy możesz być trochę dokładniejszy? Malloreia to duży kraj.

Nie rób tego, Garionie, skarcił go głos. UL powiedział, że odnalezienie syna to twoje zadanie. Mnie nie wolno zrobić tego za ciebie tak samo, jak jemu. A przy okazji, miej oko na Ce'Nedre.

- Na Ce'Nedre? Dlaczego?

Lecz głos już odszedł. Garion zaklął i wrócił tą samą drogą, którą tu przybył.

Mniej więcej trzy mile na południe od wioski, gdzie zasłonięta przez dwa cyple zatoczka wciniała się w ląd, Garion poczuł szarpnięcie przymocowanego na plecach miecza. Natychmiast zatrzymał wierzchowca i wyciągnął broń. Ostrze obróciło się w jego dłoni i nieomylnie wskazało w głąb wyspy.

Wjechał powoli na wzgórze, wsparłszy miecz Rivańskiego Króla na łuku siodła. Trop nie zmieniał kierunku. Przed nim leżało długie, porośnięte trawą zbocze, dalej zaś skraj wiecznie zielonego lasu. Zastanowił się przez chwilę i zdecydował, że byłoby rozsądniej wrócić i poinformować pozostałych, niż samemu jechać śladem Zandramas. Gdy zawrócił w stronę wioski, rzucił spojrzenie na płytkie wody zatoczki. Pod wodą leżał przewrócony na bok mały statek. Zbladł. Zandramas jeszcze raz wynagrodziła tych, którzy udzielili jej pomocy, zabijając ich. Spiął konia i rączym cwałem przejechał przez zamglone łąki, które leżały pomiędzy morzem a ciemnym lasem.

Zbliżało się południe, kiedy zatrzymał konia przed domem, który podarował im Vard. Zeskoczył z siodła, starając się opanować podniecenie.

- No więc? - zapytał Belgarath, który siedział przy kominku z kubkiem w dłoni, gdy tylko Garion wszedł do komnaty.

- Trop biegnie jakieś trzy mile stąd na południe. Siedząca przy stole Polgara spojrzała szybko znad pergaminu, który studiowała.

- Jesteś pewien? - zapytała.

- Klejnot jest. - Rozpiął płaszcz. - Och, nasz przyjaciel złożył mi jeszcze jedną wizytę.

- Poklepał się w czoło. - Powiedział mi, że Zandramas opuściła wyspę mniej więcej tydzień temu i że udaje się do Mallorei. Tylko tyle zdołałem z niego wyciągnąć. Gdzie jest Ce'Nedra? Chcę jej powiedzieć, że jesteśmy już blisko.

- Śpi - odrzekła Polgara, ostrożnie składając pergamin.

- Czy to część jednej z ksiąg, których szuka dziadek? - zapytał.

- Nie, skarbie. To przepis na zupę, którą jedliśmy wczoraj na kolację. - Zwróciła się do Belgaratha. - No więc, ojczy? Czy podejmiemy znowu trop?

Zastanawiał się, wpatrując w płomienie, które tańczyły na palenisku.

- Nie jestem pewien, Pol - rzekł wreszcie. - Sprowadzono nas na tę wyspę w jakimś konkretnym celu i nie wydaje mi się, że było nim samo odnalezienie tropu. Myślę, że powinniśmy poczekać tu jeszcze przynajmniej jeden dzień.

- Nadrobiliśmy dużo czasu, ojczy - przypomniała mu. - Po co mamy go tracić, siedząc

bezczyinnie?

- Nazwij to przecuciem, Pol. Naprawdę czuję, że powinniśmy poczekać tu na coś...
coś bardzo ważnego.

- Myślę, że to błąd, ojczy.

- Masz do tego prawo. Nigdy nie mówiłem ci, co masz myśleć.

- Tylko co mam robić - dodała zgryźliwie.

- Do tego z kolei ja mam prawo. Obowiązkiem ojca jest być przewodnikiem dzieci.
Jestem pewien, że to rozumiesz.

Drzwi otworzyły się, ukazując południowe niebo pozbawione słońca. Weszli Silk i Velvet.

- Znalazłeś trop? - zapytał Drasanin, zdejmując płaszcz. Garion skinął głową.

- Wylądowała jakieś trzy mile stąd. Potem zatopiła statek, którym tu przyплыnęła.

Leży na dnie z całą załogą, około pięćdziesięciu jardów od brzegu.

- A więc wcale się nie zmieniła - zauważył Silk.

- Co porabiałeś dziś rano? - zapytał go Garion.

- Węszyłem.

- Nazywa się to „zbieraniem informacji wywiadowczych”, Kheldarze - poprawiła go pedantycznie Velvet, również zdejmując płaszcz i wygładzając przód swej sukienki.

- Wychodzi na to samo, no nie?

- Oczywiście, ale „węszyć” brzmi tak okropnie.

- Znaleźliście coś? - chciał wiedzieć Garion.

- Niewiele - przyznał Drasanin, podchodząc do ognia, aby się ogrzać. - Ci wszyscy ludzie są strasznie uprzejmi, lecz świetnie unikają bezpośrednich odpowiedzi. Ale jedno mogę wam powiedzieć. To nie jest normalna wioska, przynajmniej nie taka, jakiej znamy. Wszystko jest urządzone tak, by wyglądało surowo i prostacko, a ludzie zajmują się plonami i inwentarzem, ale to wszystko tylko na pokaz. Ich narzędzia wyglądają na niemal nie używane, a zwierzęta są odrobinę za bardzo zadbane.

- Więc czym się zajmują? - zapytał Garion.

- Myślę, że pochłaniają ich jakieś badania - odparła Velvet. - Odwiedziłam pewną kobietę i znalazłam na stole w jej domu coś w rodzaju wykresu. Rzuciłam na niego okiem, zanim go zabrała. Wyglądało to na mapę jakichś konstelacji... coś jakby mapa nieba. Belgarath prychnął.

- Astrologowie. Nigdy nie wierzyłem w astrologię. Gwiazdy zmieniają zdanie chyba co piętnaście minut. - Zastanawiał się przez chwilę. - W Prolgu Gorim mówił, że ci ludzie

nazywają się Dalami, tak jak ci, którzy mieszkają w południowej Mallorei i że nikt nie wie, czemu służą to, co robią ci Dalowie. W Dalazji istnieje kilka ośrodków naukowych i nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to jest jeden z nich. Czy ktoś z was widział kogoś z opaską na oczach, taką jaką nosi Cyradis?

- Wieszczkę? - zapytał Silk. - Nie, nie widziałem. - Spojrzał na Velvet.

Potrząsnęła głową.

- Może Toth mógłby udzielić nam kilku odpowiedzi, ojcze - podsunęła Polgara. - Zdaje się, że potrafi porozumiewać się z tymi ludźmi inaczej niż my.

- Jak chcesz wydobyć odpowiedzi od niemowy, Polgaro? - zapytał ją Drasanin.

- Durnik chyba umie z nim rozmawiać - odpowiedziała. - A właśnie, gdzie oni są?

- Znaleźli staw w drugiej części wioski - poinformowała Liselle. - Sprawdzają, czy są w nim ryby. Eriond jest z nimi.

- To nieuchronne - uśmiechnęła się Polgara.

- Czy to się nie staje męczące? - zapytała Velvet. - On spędza całe dni na rybach?

- To zdrowa rozrywka - stwierdziła żona kowala. Spojrzała znacząco na kubek w rękę swego ojca. - Pewnie lepiej to na niego wpływa, niż zabawy innych osób, które mogłabym wymienić.

- Co dalej, przyjacielu? - zapytał Belgaratha Silk.

- Posiedźmy chwilę w spokoju i miejmy oczy i uszy otwarte. Dręczy mnie przecucie, że coś ważnego się tu wydarzy.

Po południu lekka bryza zaczęła rozrzedzać mgłę, która prześladowała ich od tygodnia. Gdy nadszedł wieczór, całe niebo było już czyste, z wyjątkiem ciężkiej chmury na zachodzie, która płonęła głębokim szkarłatem na tle zachodzącego słońca.

Sadi spędził cały dzień z Vardem; kiedy wrócił, był bardzo rozczerowany.

- Czy udało ci się coś z niego wydobyć? - dopytywał się Silk.

- Nic, co potrafiłbym zrozumieć - odparł eunuch. - Myślę, że ci ludzie mają szczególne podejście do życia. Jedyne, co ich interesuje, to coś, co nazywają zadaniem. Vard nie chciał powiedzieć mi dokładnie, co to jest, ale wydaje mi się, że gromadzą informacje na jego temat od Początku Dni.

Gdy zmrok zaczął zapadać nad wyspą, Durnik powrócił z Eriondem u boku. Przerzucił wędkę przez ramię i wszedł do domu z wyrazem zawodu na twarzy.

- Gdzie jest Toth? - zapytał Garion.

- Powiedział, że musi się czymś zająć - odpowiedział kowal, dokładnie oglądając swój sprzęt. - Może przydałby mi się mniejszy haczyk? - zastanawiał się.

Gdy Polgara i Velvet zaczęły przygotowywać kolację, Silk spojrzął na Gariona.

- Może poszlibyśmy rozprostować nogi? - zaproponował.

- Teraz?

- Jestem trochę niespokojny. - Mężczyzna o twarzy łasicy podniósł się z krzesła. -

Chodźmy - rzekł. - Jeśli jeszcze trochę tu posiedzisz, zapuścisz korzenie.

Zdziwiony Garion wyszedł za swoim przyjacielem.

- O co chodzi? - zapytał.

- Chcę się dowiedzieć, czym zajmuje się Toth, a nie chcę, żeby Liselle się za mną plątała.

- Myślałem, że ją lubisz.

- To prawda, ale zmęczyło mnie to jej wieczne zagłądanie mi przez ramię. - Przerwał.

- A dokąd oni się wybierają? - zapytał, wskazując linię światła, która rozciągała się na łące pomiędzy wioską a skrajem lasu.

- Możemy pójść za nimi i dowiedzieć się - zaproponował król.

- Dobrze. Chodźmy.

Vard szedł na czele udających się do ciemnego lasu mieszkańców wioski, a Toth, górujący nad pozostałymi, kroczył tuż za nim.

Garion i Silk, ukryci wśród wysokich traw szli za nimi, lecz trzymali się w pewnej odległości. Kiedy zbliżali się do lasu, z jego cienia wyszło kilka ciemnych postaci i czekało na nich.

- Czy widzisz, kto to? - szepnął Garion. Silk potrząsnął głową.

- Za daleko - mruknął - i za mało światła. Będziemy musieli podejść bliżej.

Opadł na brzuch i zaczął czołgać się w trawie.

Po wielu dniach mgły łąka wciąż była mokra. Zanim skryli się w cieniu drzew, byli już zupełnie przemoknięci.

- Nie bardzo mi się to podoba, Silku - szepnął z niezadowoleniem Garion.

- Chyba się nie rozpuścisz - odparł Silk. Podniósł głowę i spojrzął w stronę lasu. - Czy ci ludzie mają opaski na oczach? - zapytał.

- Na to wygląda - odpowiedział jego towarzysz.

- W takim razie to wieszczki, prawda? Nie widzieliśmy żadnej z nich w wiosce, więc może mieszkają gdzieś w lesie. Spróbujmy podejść jeszcze bliżej. Zaczyna to być niezwykle interesujące.

Wieśniacy z pochodniami w rękach weszli do lasu i zatrzymali się po kilkuset jardach na obszernej polanie. Wokół niej stały grubo ciosane kamienne bloki, każdy z nich miał

wysokość dwóch ludzi. Przybysze weszli pomiędzy nie i utworzyli krąg. Około tuzina wieszczek stanęło pośrodku. Wzięły się za ręce, tworząc drugie koło. Za każdą z nich stał ogromny, muskularny mężczyzna - przewodnik i obrońca, domyślił się Garion. Na samym środku tego wewnętrznego okręgu stali srebrnowłose Vard i olbrzymi Toth.

Dwaj przyjaciele podpełzli bliżej.

Jedyne dźwięki na polanie wydawały pochodnie; wtem, z początku cicho, a potem z coraz większą mocą, ludzie zaczęli śpiewać. Ich pieśń pod wieloma względami przypominała nieharmonijny hymn Ulgosów, lecz istniały pewne subtelne różnice. Choć nie miał wykształcenia muzycznego i nie znał się na harmonii, Garion zrozumiał, że ten hymn był starszy i może czystszy niż ten, który rozbrzmiewał w jaskiniach Ulgo od pięciu tysięcy lat. Wiedziony nagłą intuicją pojął, iż w czasie niezliczonych stuleci hymn Ulgosów odbijał się echem w ich krainie, przez co stopniowo ulegał różnym zniekształceniom. Co więcej, ten hymn śpiewano nie ULowi, lecz nieznanemu Bogu; było to błaganie, by nienazwany Bóg objawił się i zstąpił, aby chronić i prowadzić Dalów, tak jak UL chronił i prowadził Ulgosów.

Potem usłyszał lub poczuł inny dźwięk, który przyłączył się do tego nieprawdopodobnie starego hymnu. Dziwne westchnienie w umyśle powiedziało mu, że ci ludzie łączyli Wolę, aby mistyczny akompaniament wznosił się wraz z pieśnią ku gwiazdzistemu niebu.

Coś zamigotało na samym środku polany i pojawiła się lśniąca postać Cyradis. Miała na sobie białą, lnianą szatę z kapturem, a oczy przesłonięte opaską z materiału.

- Skąd ona przybyła? - szepnął Silk.

- Tak naprawdę jej tu nie ma - odparł król. - To tylko projekcja. Słuchaj.

- Witaj, Świętobliwa Wieszczko - Vard powitał jaśniejący wizerunek. - Pełni wdzięczności jesteśmy, albowiem odpowiedziałaś na wezwanie nasze.

- Twoja wdzięczność jest zbędna, Vardzie - odrzekła czystym głosem dziewczyna. - Odpowiedziałam z powodu obowiązku, który wiąże się z moim zadaniem. Czy poszukiwacze już przybyli?

- Tak, Świętobliwa Cyradis - odpowiedział Vard. - A ten, którego nazywają Belgarionem, odnalazł to, czego tu szukał.

- Poszukiwanie Dziecięcia Światła dopiero się zaczęło - oświadczył wizerunek. - Dziecię Ciemności dotarło już do odległej Mallorei, a teraz kieruje się ku Domowi Toraka w Ashabie. Nadszedł czas, by Wieczny Mąż otworzył Księgę Wieków.

Vard strapił się.

- Czy to rozsądne, Cyradis? - zapytał. - Czy nawet Belgarathowi można powierzyć to,

co jest w tym tomie? Całe swoje życie poświęcił jednemu z dwóch duchów, które sprawują władzę nad wszystkim.

- Tak musi się stać, Vardzie, gdyż w przeciwnym razie spotkanie Dziecięcia Światła z Dziecięciem Ciemności nie odbędzie się w wyznaczonym czasie i nasze zadanie nie zostanie wykonane. - Westchnęła. - Czas się zbliża. Ten, na którego czekamy od Początku Dni, nadchodzi i wszystko musi się wykonać, zanim nastąpi chwila, w której wykonam zadanie spoczywające na waszych barkach przez liczne stulecia. Przekażcie Księgę Wieków Przedwiecznemu Belgarathowi, aby mógł zaprowadzić Dziecię Światła do miejsca, którego już nie ma, gdzie wszystko zdecyduje się na zawsze.

Zwróciła się do olbrzyma, który stał, obojętny, obok ubranego w białe szaty Varda.

- Moje serce puste jest bez ciebie - powiedziała głosem bliskim łez. - Stąпам niepewnie, jestem samotna. Błagam cię, mój drogi towarzyszu, spiesz się, by wypełnić swoje zadanie, albowiem twoja nieobecność jest dla mnie cierpieniem.

W migotliwym blasku pochodni Garion wyraźnie widział łzy w oczach Totha i żal na jego twarzy. Olbrzym wyciągnął rękę ku świecącej postaci, po czym opuścił ją bezradnie.

Cyradis także uniosła dłoń, jakby mimowolnie.

Potem zniknęła.

Rozdział XXIV

- Czy jesteś pewien, że powiedziała Ashaba? - zapytał z przejęciem Belgarath.

- Ja też ją dyszałem, dziadku - Garion potwierdził słowa Silka. - Mówiła, że Dziecię Ciemności dotarło do Mallorei i kieruje się ku Domowi Toraka w Ashabie.

- Ale tam nic nie ma - sprzeciwił się starzec. - Beldin i ja przetrząsnęliśmy to miejsce zaraz po Vo Mimbre.

Zaczął przechadzać się, marszcząc gniewnie czoło.

- Może znajdziesz jakąś odpowiedź w Księdze Wieków - podsunął Drasanin.

Belgarath zatrzymał się i spojrzał na niego pytająco.

- Ach, chyba jeszcze o tym nie powiedzieliśmy - stwierdził niski mężczyzna. - Cyradis powiedziała Vardowi, że ma ci przekazać tę księgę. Nie był tym zachwycony, ale ona nalegała.

Ręce czarodzieja zaczęły drżeć, opanował się z widocznym wysiłkiem.

- Czy to ważne? - zapytał zaintrygowany Drasanin.

- A więc o to w tym wszystkim chodziło! - wybuchnął starzec. - Wiedziałem, że musiał istnieć jakiś powód, dla którego nas tu przywieziono.

- Co to jest Księga Wieków, Belgaracie? - zapytała Ce'Nedra.

- To część Ewangelii Mallorei, Świętej Księgi wieszczek z Kell. Wygląda na to, że przyprowadzono nas tu, aby trafiła do moich rąk.

- Trochę to dla mnie niejasne, przyjacielu - przyznał Silk, drżąc nagle. - Chodźmy się umyć, Garionie. Cały jestem przemoknięty.

- Gdzie tak zmokliście? - chciała wiedzieć Velvet.

- Czołgaliśmy się w trawie.

- No tak, to wszystko wyjaśnia.

- Czy ty naprawdę musisz to robić, Liselle?

- Co robić?

- Nieważne. Chodźmy, Garionie.

- Co w niej tak cię irytuje? - zapytał Garion, gdy szli obaj korytarzem na tyły domu.

- Nie jestem do końca pewien - przyznał. - Mam wrażenie, że nieustannie się ze mnie śmieje i że planuje coś, o czym nie chce mi powiedzieć. Z jakiegoś powodu strasznie mnie to denerwuje.

Kiedy się wysuszyli i przebrali w suche rzeczy, wrócili do ciepłej, jasno oświetlonej

komnaty. Zastali tam także Totha. Siedział niewzruszony na ławce przy drzwiach, ogromne dłonie złożył na kolanach. Wszelkie ślady bólu zniknęły, jego twarz była enigmatyczna jak zawsze. Belgarath zasiadł przy kominku z oprawną w skórę księgą, którą pochylił tak, aby światło padło na zapisane strony; studiował ją uważnie.

- Czy to ta księga? - zapytał Silk.

- Tak - odpowiedziała Polgara. - Toth ją przyniósł.

- Mam nadzieję, że jest w niej coś, dzięki czemu ta wyprawa nie okaże się bezwartościowa.

Garion, Silk i Toth jedli, a Belgarath wciąż czytał, niecierpliwie przewracając karty Księgi Wieków.

- Posłuchajcie tego - odezwał się. Odchrząknął i zaczął czytać na głos. - „Wiedz, ludu mój, że wszystko na bezkresnych ścieżkach czasu splamione jest podziałem, albowiem podział leży w samym sercu stworzenia. Lecz gwiazdy, duchy i głosy pośród skał mówią o dniu, w którym podział zakończy się i wszystko na powrót stanie się jednością, bowiem nawet samo stworzenie wie, iż dzień taki nadejdzie. I dwa duchy staną przeciwko sobie w pełni czasu, a będą to duchy tego, co rozdzieliło stworzenie. Dzień musi nadejść, w którym wybrać będziemy musieli pomiędzy absolutnym dobrem i absolutnym złem; to, co wybierzemy - dobro lub zło - przeważać będzie aż do końca dni. Lecz jak odgadniemy, co dobrem jest, a co złem?”

Belgarath przewrócił stronicę.

- „Zważcie i tę prawdę; skały świata tego i wszelkich innych światów szepczą nieustannie o dwóch kamieniach, które leżą w centrum podziału. Niegdyś te dwa kamienie były jednym i stanowiły serce stworzenia, lecz - jak i wszystko inne - rozdzielone zostały, a w chwili podziału rozłupały się z siłą, która niszczy słońca. I w miejscu, gdzie oba kamienie razem odnalezione zostaną, tam musi nastąpić ostateczna konfrontacja tych dwóch duchów. Nadejdzie dzień, w którym usunięty zostanie wszelki podział i wszystko na powrót stanie się jednością. Jedynie podział pomiędzy tymi kamieniami jest tak wielki, iż nigdy się nie połączą. I dnia owego, kiedy podział zniknie, jeden z kamieni istnieć przestanie na zawsze i duch jeden zniknie na wieki”.

- Czy oni chcą powiedzieć, że Klejnot jest tylko połową tego kamienia? - zapytał z niedowierzaniem Garion.

- I że druga połowa to Sardion - dodał Belgarath. - To bardzo wiele wyjaśnia.

- Nie wiedziałem, że pomiędzy nimi istnieje jakiś związek.

- Ja również, ale to nawet ma jakiś sens, prawda? Wszystko tu od samego początku

pojawiło się parami: dwa Proroctwa, dwa przeznaczenia, Dziecię Światła i Dziecię Ciemności... należało się spodziewać, że i kamienie będą dwa, zgadzacie się?

- A więc Sardion ma tę samą moc, co Klejnot - dodała z powagą Polgara.

Belgarath skinął głową.

- W rękach Dziecięcia Ciemności może zrobić to samo, czego Garion potrafi dokonać z Klejnotem... a jeszcze nie zbadaliśmy granic tej mocy.

- To jeszcze bardziej zachęca nas, byśmy nie dopuścili Zandramas do Sardiona, prawda? - stwierdził Drasanin.

- Ja nie mogę być już bardziej zachęcona - oświadczyła ze smutkiem Ce'Nedra.

Następnego ranka Garion wstał wcześniej. Kiedy wyszedł z pokoju, który dzielił z Ce'Nedrą, zastał swego dziadka przy stole w głównej komnacie. Przed nim leżała Księga Wieków i stała lampa.

- Nie poszedłeś do łóżka, dziadku?

- Co? A, nie. Chciałem przeczytać ją od razu w całości.

- Czy znalazłeś coś, co nam pomoże?

- Wiele, Garionie. Wiem już, co robi Cyradis.

- Czy ona naprawdę jest z tym związana?

- Ona wierzy, że jest. - Zamknął księgę i wyprostował się, spoglądając w zamyśleniu na ścianę. - Widzisz, wszyscy ci ludzie oraz ci w Kell w Dalazji wierzą, że ich zadaniem jest dokonać wyboru pomiędzy dwoma Proroctwami, dwiema siłami, które podzieliły wszechświat, i że ich wybór rozwiąże tę sprawę raz na zawsze.

- Wybór? To wszystko? Czy to znaczy, że muszą tylko wybrać jedno lub drugie i to wszystko?

- Ogólnie rzecz biorąc, tak. Wierzą, że wyboru należy dokonać podczas jednego ze spotkań Dziecięcia Światła z Dziecięciem Ciemności i że muszą być obecne oba kamienie - Klejnot i Sardion. W przeciągu całych dziejów zadanie dokonania wyboru spoczywało na jednej z wieszczek. W czasie każdego spotkania Dziecięcia Światła z Dziecięciem Ciemności właśnie ta wieszczka była obecna. Myślę, że jedna z nich czaiła się gdzieś w Cthol Mishrak, kiedy spotkałeś się z Torakiem. W każdym razie, zadanie w końcu przypadło Cyradis. Ona wie, gdzie jest Sardion i gdzie odbędzie się to spotkanie. Będzie przy nim obecna. Jeśli wszystkie warunki zostaną spełnione, dokona wyboru.

Garion usiadł na krześle przy gasnącym ogniu.

- Chyba w to nie wierzysz, co?

- Nie wiem, Garionie. Przez całe życie wypełnialiśmy to, co mówiło Proroctwo.

Sprowadzenie mnie tu i wręczenie mi księgi było bardzo skomplikowaną sprawą. Może nie do końca wierzę w cały ten mistycyzm, ale na pewno nie zamierzam go zignorować.

- Czy księga mówiła coś o Geranie? Jaka jest jego rola?

- Nie jestem pewien. Może ma być ofiarą, jak uważa Agachak. Możliwe też, że Zandramas uprowadziła go, aby zmusić cię do pościgu i przyniesienia Klejnotu. Nic nie zostanie ustanowione, dopóki Klejnot i Sardion nie zostaną przyniesione do tego samego miejsca.

- Do miejsca, którego już nie ma - dodał kwaśno. Belgarath odchrząknął.

- Jest w tym zwrocie coś, co mnie dręczy - oświadczył. - Czasami już prawie to chwytam, ale zawsze się wyślizguje. Gdzieś to już widziałem albo słyszałem, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie.

Do komnaty weszła Polgara.

- Wcześniej wstaliście - zauważyła.

- Garion wstał - uściślił starzec. - Ja się jeszcze nie położyłem.

- Nie spałeś całą noc, ojczu?

- Zdaje się, że tak. Chyba na to właśnie czekałem. - Położył dłoń na leżącej przed nim księdze. - Jak tylko pozostali wstaną, spakujemy się i ruszamy. Już czas.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi wiodących na zewnątrz. Garion wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Przed nimi w bladym świetle poranka stał Vard.

- Muszę wam coś powiedzieć - oświadczył.

- Wejdz - król otworzył przed nim drzwi.

- Dzień dobry, Vardzie - Belgarath powitał mężczyznę w białym stroju. - Nie miałem okazji podziękować ci za księgę.

- Musisz za to podziękować Cyradis. Daliśmy ci ją na jej polecenie. Myślę, że ty i twoi przyjaciele powinniście natychmiast wyruszyć. Nadchodzą żołnierze.

- Malloreanie? Vard skinął głową.

- Zbliża się kolumna z Rak Verkat. Dotrą do wioski najprawdopodobniej przed południem.

- Czy możesz dać nam jakiś statek? - zapytał starzec. - Musimy dostać się do Mallorei.

- W tej chwili to nie byłoby rozsądne posunięcie. Malloreńskie okręty patrolują wybrzeże.

- Myślisz, że nas szukają? - odezwała się Polgara.

- To możliwe, lady Polgaro - przyznał ich gospodarz - ale dowódca z Rak Verkat rozkazywał im przepatrywać okolicę już wcześniej, głównie po to, by schwytać Murgów,

którzy jeszcze ukrywali się na wyspie. Zostaną tu kilka dni i wrócą do garnizonu w Rak Verkat. Jeśli obecna wyprawa jest tylko jednym z tych patroli, oddziały nie będą szukać zbyt dokładnie i niedługo pozostaną w tej okolicy. Jak tylko wyjadą, będziecie mogli tu powrócić i wtedy damy wam okręt.

- Jak duży jest ten las? - chciał wiedzieć Belgarath.

- Jest dosyć rozległy, Przedwieczny.

- To dobrze. Malloreanie nie czują się najlepiej w lasach. Gdy dotrzemy do niego, powinniśmy z łatwością się im wymknąć.

- Będziecie jednak musieli unikać pustelnika, który mieszka w tym lesie.

- Pustelnika?

- Nieszczęsny, obłąkany człowiek. Tak naprawdę nie jest zły, lecz bardzo złośliwy, uwielbia płać figle podróżnym.

- Będziemy o tym pamiętać. Garionie, idź obudź resztę. Przygotujmy się do odjazdu.

Gdy byli już gotowi, by wyruszyć, słońce ukazało się nad niskim łańcuchem wzgórz na wschodzie. Sadi wyjrzał przez drzwi, a jego oczy poraziły ostre promienie, oblewające wioskę i odbijające się w falach.

- Gdzie się podziewa mgła, kiedy jest potrzebna? - rzucił pytanie nie skierowane do nikogo konkretnego.

Stary czarodziej rozejrzał się.

- Za cztery godziny będą tu Malloreanie - rzekł. - Wykorzystajmy ten czas, żeby jak najbardziej się stąd oddalić.

Zwrócił się do Varda.

- Dziękuję - powiedział tylko - za wszystko.

- Niech wszyscy Bogowie będą z wami - odrzekł srebrnowłosy mężczyzna. - A teraz idźcie... szybko.

Wyjechali z wioski i przecięli łąkę, aby dotrzeć na skraj lasu.

- Czy jedziemy w jakimś konkretnym kierunku, przyjacielu? - Silk zapytał Belgaratha.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie - odpowiedział mu starzec. - Prawdopodobnie będziemy potrzebowali tylko jakichś zarośli, w których możnaby się ukryć. Malloreanie denerwują się, kiedy nie widzą dalej niż na milę wokół siebie, więc raczej nie będą zbyt dokładnie przeszukiwać tej kniei.

- Zobaczę, co da się zrobić - zaproponował niski człowieczek. Zawrócił konia na północny wschód, lecz nagle ściągnął cugle, gdy spomiędzy drzew wystąpiły dwie postaci. Jedna z nich ubrana była w płaszcz z kapturem, drugi człowiek zaś był roslym, uważnie

rozglądającym się mężczyzną.

- Witaj, Przedwieczny Belgaracie - postać w kapturze odezwała się czystym, kobiecym głosem. - Uniosła głowę i Garion zobaczył, że oczy miała przewiązane opaską. - Jestem Onatel - mówiła dalej - i mam wskazać ci bezpieczny szlak.

- Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc, Onatel.

- Szlak wiedzie na południe. Na samym początku lasu znajdziecie stary trakt, mocno już zarośnięty. Zawiedzie was do miejsca schronienia.

- Czy widziałas, co ma nastąpić, Onatel? - zapytała Polgara. - Czy żołnierze przeszukają las?

- Ty i towarzysze twoi są tymi, których szukają, Polgaro. Będą szukać we wszystkich częściach wyspy, lecz nie znajdą ciebie i przyjaciół twych, chyba że stanie się tak, iż ktoś im was wskaże. Strzeżcie się jednak pustelnika, który mieszka w tym lesie. Będzie chciał poddać was próbie. - Po czym odwróciła się, wyciągając jedną rękę. Stojący obok olbrzym ujął ją i ostrożnie poprowadził swą podopieczną do lasu.

- Bardzo wygodne - mruknęła Velvet. - Może nawet trochę za bardzo.

- Ona nie kłamie, Liselle - zapewniła ją Polgara.

- Ale nie ma obowiązku mówienia całej prawdy, zgadza się?

- Jesteś z natury bardzo podejrzliwa - rzekł do niej Silk.

- Powiedzmy, że jestem ostrożna. Kiedy ktoś zupełnie obcy przychodzi do mnie, by mi pomóc, zawsze czuję się niespokojna.

- Ruszajmy szukać tej ścieżki - zaproponował Belgarath. - Jeśli później zdecydujemy się zmienić kierunek, zrobimy to.

Wjechali w cienie pod wiecznie zielonymi drzewami. Ściółka była wilgotna, pokrywała ją gruba warstwa opadłego igliwia. Złote promienie słońca padały ukośnie w dół pomiędzy gałęziami; cienie były niebieskawe, jak zawsze o poranku. Gliniasta gleba tłumiała odgłosy końskich kopyt, jechali w milczeniu.

Szlak, na który skierowała ich wieszczka, leżał mniej więcej milę w głąb lasu. Wyraźnie odcinał się od ściółki, jakby dawno temu był często używany. Jednakże teraz trawa i zarośla usiłowały go odzyskać.

Gdy słońce podniosło się wyżej, niebieska poświata w cieniach drzew zniknęła. Miriady maleńkich owadów unosiła się w powietrzu, przecinając promienie słońca. Wtem Belgarath ściągnął cugle swemu wierzchowcowi.

- Słuchajcie! - rzucił ostro.

Daleko za nimi rozległ się skowyt wielu zwierząt.

- Psy? - zastanawiał się Sadi, spoglądając nerwowo przez ramię. - Czy przyprowadzili psy, żeby złapały nasz ślad?

- To nie są psy - oświadczył starzec. - To wilki.

- Wilki? - wykrzyknął eunuch. - Musimy uciekać!

- Nie podniecaj się tak, Sadi - uspokajał go Belgarath. - Wilki nie polują na ludzi.

- Wolałbym nie ryzykować. Słyszałem wiele przerażających opowieści.

- To tylko opowieści. Uwierz mi, ja znam wilki. Żaden szanujący się wilk nawet nie pomyśli o zjedzeniu człowieka. Zostańcie tu wszyscy. Zobaczę, czego chcą.

Ześliznął się z siodła.

- Nie za blisko koni, ojciec - ostrzegła Polgara. - Wiesz, jak reagują na wilki.

Chrząknął i odszedł w las.

- Co on robi? - zapytał zaniepokojony Sadi.

- Nie uwierzyłbyś - odparł Silk.

Czekali w chłodnym, wilgotnym lesie, słuchając cichego skowytu i wycia, które od czasu do czasu rozbrzmiewało echem wśród drzew.

Kiedy Belgarath wrócił jakiś czas potem, kłął ze złości.

- O co chodzi, ojciec? - zapytała Polgara.

- Ktoś się zabawia - odrzekł z irytacją. - Tam nie ma żadnych wilków.

- Belgaracie - rzekł eunuch. - Ja je słyszę. Ich wycie szło za nami przez ostatnie pół godziny.

- I właśnie to tam jest - wycie. W promieniu mili od nas nie ma żadnego wilka.

- Więc co w takim razie wydaje te dźwięki?

- Mówiłem ci. Ktoś się zabawia. Ruszajmy i miejmy oczy otwarte.

Jechali teraz ostrożnie, a ujadanie wciąż im towarzyszyło. Wtem przed nimi coś ryknęło wysokim głosem.

- Co to było? - wykrzyknął Durnik, sięgając po topór.

- To niedorzeczne - prychnął czarodziej. - Daj spokój. To tak samo nierzeczywiste, jak te wilki.

Lecz coś zakłużyło się pomiędzy cieniami drzew przed nimi, coś szarego i ogromnego.

- Tam! Co to jest? - głos Ce'Nedry przeszedł w pisk.

- To słoń, skarbie - wyjaśniła spokojnie Polgara. - Żyją w dżungli Gandahary na wschodnim wybrzeżu Mallorei.

- Więc jak się tu dostał?

- Jego tu nie ma, to projekcja. Ojciec ma rację. Ktoś w tym lesie ma bardzo dziwaczne poczucie humoru.

- Mam zamiar pokazać temu komikowi, co myślę o jego żartach - mruknął Belgarath.

- Nie, ojcie - sprzeciwiła się córka. - Myślę, że powinieneś pozostawić to mnie. Jesteś zdenerwowany, a to czasem sprawia, że posuwasz się za daleko. Ja się tym zajmę.

- Polgaro... - zaczął ze złością.

- Tak, ojcie? - Patrzyła mu zimno prosto w oczy. Opanował się z wysiłkiem.

- No dobrze, Pol. Ale nie ryzykuj. Ten dowcipniś może mieć jeszcze inne sztuczki w rękawie.

- Zawsze jestem ostrożna, ojcie - odparła. Ruszyła stępą, by znaleźć się w odległości kilkunastu jardów przed drużyną. - To bardzo ładny słoń - zawołała w stronę drzew, gdy dostrzegła wielki, szary kształt, który chwiał się groźnie w cieniu przed nią. - Czy chcesz jeszcze coś nam pokazać?

Nastąpiła długa cisza.

- Chyba nie zrobiło to na was wrażenia - gdzieś w pobliżu odezwał się chrapliwy głos.

- No cóż, popełniłeś kilka błędów. Po pierwsze uszy nie są wystarczająco duże, a ogon powinien być krótszy.

- Ale stopy i kły są takie, jak trzeba - prychnął głos ukryty w lesie. - Sami się o tym przekonacie.

Szary kształt uniósł wielką głowę i zaryczał. Ruszył wprost na Polgarę.

- To męczące - stwierdziła, wykonując jedną ręką niedbały gest.

Słoń zniknął w pół kroku.

- No i? - zapytała.

Postać wyszła zza drzewa. Był to wysoki, chudy mężczyzna ze zmierzwionymi włosami i bardzo długą brodą, w której tkwiły patyki i kawałki słomy. Miał na sobie brudną bluzę, a jego gołe nogi z wypukłymi rzepekami i żyłakami były białe jak brzuch ryby. W ręku trzymał cienki kij.

- Widzę, że masz moc, kobieto - zauważył głosem pełnym niewypowiedzianej groźby.

- Niewielką - przyznała. - Ty chyba jesteś tym pustelnikiem, o którym słyszałam.

Jego oczy rozblysnęły przebiegle.

- Może - odparł. - A kim ty jesteś?

- Powiedzmy, że jestem tu z wizytą.

- Nie chcę tu żadnych wizyt. Ten las należy do mnie, a ja nie lubię, gdy mnie ktoś nachodzi.

- To nieładnie. Musisz nauczyć się panować nad sobą. Po jego twarzy przebiegł nagle grymas szaleństwa.

- Jestem Bogiem!

- To mało prawdopodobne - oświadczyła.

- Poczuj siłę mego niezadowolenia - zaryczał.

Uniósł kij, na którego końcu pojawiła się iskra. Nagle w powietrzu ukazał się potwór i rzucił wprost na Polgarę. Skórę miał pokrytą łuskami, w otwartym pysku sterczały ostre kły, a z ogromnych łap wystawały pazury.

Uniosła jedną dłoń, a potwór nagle zastygł i zawisł w powietrzu.

- Odrobinę lepiej - oświadczyła. - Ten jest już możliwy.

- Uwolnij go! - ryknął na nią pustelnik, podskakując z furją.

- Jesteś pewien, że tego chcesz?

- Uwolnij go! Uwolnij! Uwolnij! - jego głos przeszedł w pisk, zaczął tańczyć dziko.

- Skoro nalegasz - odrzekła. Podrażniony potwór powoli obrócił się i opadł na ziemię.

Z rykiem rzucił się na zaskoczonego pustelnika.

Mężczyzna cofnął się, ciskając różdżkę przed siebie. Stwór zniknął.

- Z potworami zawsze trzeba być ostrożnym - poradziła mu. - Nigdy nie wiadomo, kiedy taki się przeciw tobie zwróci.

Jego szalone oczy zwęziły się, wycelował w nią kijem. Trysnęła z niego seria żarzących się kul ognistych, które z sykiem poleciały na ciocię Pol.

Znowu podniosła rękę i płonące odpryski odbiły się i trafiły do lasu. Garion spojrzał na jeden z nich i stwierdził, że płonął naprawdę, a wilgotna ściółka zaczynała się od niego dymić. Spiął konia piętami, gdy Durnik ruszył naprzód, wywijając swoją pałką.

- Nie wtrącajcie się do tego! - warknął Belgarath. - Pol sama o siebie zadba.

- Ale, dziadku - protestował Garion - to był prawdziwy ogień.

- Rób, co mówię, Garionie. Straci równowagę, jeśli jej teraz przeszkodzisz.

- Dlaczego jesteś taki uciążliwy? - Polgara zapytała szaleńca, który się jej przypatrywał. - Przejeżdżamy tylko przez las.

- Ten las jest mój! - wrzasnął. - Mój! Mój! Mój! - puścił się w obłąkańcze płasy, grożąc jej pięściami.

- A teraz jesteś śmieszny - oświadczyła.

Pustelnik skoczył do tyłu z okrzykiem zdziwienia, gdy ziemia pod jego stopami wybuchła syczącym, zielonym ogniem i chmurą jasnopurpurowego dymu.

- Podobały ci się kolory? - zapytała. - Od czasu do czasu lubię różnorodność, a ty?

- Pol - odezwał się ze złością Belgarath. - Przestań się bawić.

- To nie jest zabawa, ojczy - odparła z przekonaniem. - To nauka.

Stojące trzy jardy za pustelnikiem drzewo nagle pochyliło się w przód, objęło jego silne członki i wyprostowało się, unosząc go szamoczącego się w powietrze.

- Czy masz już dość? - zwróciła się do osłupiałego człowieczka, który rozpaczliwie usiłował uwolnić się od gałęzi oplatających go w pasie. - Zdecyduj się szybko, przyjacielu. Znajdujesz się wysoko nad ziemią, a mnie zaczyna nudzić utrzymywanie cię.

Klnąc, pustelnik oswobodził się wreszcie i upadł na ziemię.

- Nie zrobiłeś sobie krzywdy? - zapytała troskliwie. Przeciwnik warknął i rzucił na nią falę absolutnej czerni. Polgara wciąż siedziała spokojnie na koniu, lecz teraz zaczęła emanować intensywnym, niebieskim światłem, które odparło czerń.

W oczach szaleńca znowu błysnęła przebiegłość. Garion poczuł nieokreślone szarpnięcie. Pustelnik zaczął rosnać nierówno, kawałek po kawałku. Twarz wykrzywił obłąkańczy grymas. Uderzył silną pięścią i zdruzgotał pobliskie drzewo. Pochylił się, podniósł długą gałąź i złamał ją na pół. Odrzucił krótszy kawałek i ruszył w stronę Polgary, wymachując maczugą.

- Pol! - zawołał z nagłym przestraszeniem Belgarath. - Uważaj na niego!

- Poradzę sobie, ojczy - odpowiedziała. Stała przed wysokim na dziesięć stóp szaleńcem. - Myślę, że dość już tego. Mam nadzieję, że potrafisz uciekać. - Uczyniła tajemniczy gest.

Wilk, który pojawił się pomiędzy nimi, był wielki jak pół konia, a jego warczenie przypominało pomruk burzy.

- Nie obawiam się widm, kobieto - ryknął potężny pustelnik. - Jestem Bogiem i nie boję się niczego.

Zęby wilka zatopiły się w ramię mężczyzny. Wrzasnął i rzucił się do tyłu, zostawiając ubranie.

- Odejdź! - krzyknął na rozwścieczone zwierzę. Bestia przyczaiła się, obnażając kły.

- Odejdź! - wrzasnął ponownie mężczyzna. Klasnął dłońmi, a Garion znowu poczuł niezrozumiałą falę, kiedy szaleniec całą swoją Wolą próbował sprawić, by wilk zniknął.

- Radzę natychmiastowy odwrót - podsunęła Polgara. - Ten wilk nie był karmiony od tysiąca lat i jest przeraźliwie głodny.

W tym momencie puściły nerwy pustelnika. Splunął i z rozpaczą rzucił się w stronę drzew, szybko przebierając bladymi, chudymi nogami, a broda i włosy powiewały za nim na wietrze. Zwierzę ruszyło w pościg swobodnymi skokami, chwyciło go zębami za piętę i

zaryczało zatrważająco.

- Miłego dnia - zawołała za nim Polgara.

Rozdział XXV

Twarz Polgary miała nieodgadniony wyraz, gdy patrzyła za uciekającym pustelnikiem. Wreszcie westchnęła.

- Biedaczysko - mruknęła.

- Czy wilk go złapie? - zapytała niepewnie Ce'Nedra.

- Wilk? Och, nie, skarbie. Wilk jest tylko złudzeniem.

- Ale ugryzł go. Widziałam krew.

- Po prostu staram się, Ce'Nedro.

- Wiec dlaczego powiedziałaś „biedaczysko”?

- Ponieważ jest zupełnie szalony. Jego umysł wypełniają przeróżne cienie.

- To się czasem zdarza, Polgaro - rzekł do niej Belgarath. - Ruszajmy. Chcę wjechać głębiej w las, zanim zajdzie słońce.

Garion zrównał się z koniem swego dziadka.

- Czy nie sądzisz, że kiedyś mógł być Grolimem? - zapytał.

- Dlaczego tak uważasz?

- No... pomyślałem... - Garion z trudem znajdował odpowiednie słowa. - Chodzi mi o to, że na świecie są dwie grupy czarodziejów: Grolimowie i my. Nie był jednym z nas, zgadza się?

- Co za dziwaczny pomysł - stwierdził starzec. - Ten dar leży utajony w każdym człowieku. Może się objawić w różnych sytuacjach, co też czyni. W różnych kulturach ukierunkowuje się na odmienne rzeczy, ale wszystko to jest ze sobą powiązane: magia, czary, sztuka czarnoksięska i magiczna, a nawet szczególna umiejętność wieszczek. Wszystko pochodzi z jednego źródła i w zasadzie jest tym samym. Po prostu ujawnia się pod różnymi postaciami.

- Nie wiedziałem o tym.

- A więc nauczyłeś się czegoś dzisiaj. Żaden dzień, w którym czegoś się uczysz, nie jest całkowicie stracony.

Jesienne słońce świeciło mocno, choć wisiało nisko nad horyzontem na północy. Zima miała nastąpić już niebawem. Garion jeszcze raz przypomniał sobie, że znajdują się w dziwnej części świata, w której pory roku następowały zupełnie inaczej. Na farmie Faldora właśnie zaczynało się lato. Pola zaorano już i zasiano, dni były długie i ciepłe. Jednakże tu, na antypodach, było dokładnie odwrotnie. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę z tego, że z

wyjątkiem krótkiego czasu spędzonego na pustyni Araga, nie spotkali w tym roku lata. Z jakiejś przyczyny ta myśl bardzo go przygnębiła.

Wspinali się przynajmniej od godziny, aż znaleźli się na grani niskich wzgórz, które tworzyły coś w rodzaju kręgosłupa wyspy. Teren stał się bardziej nierówny, poprzecinany zalesionymi żlebami i wąwozami, przez które równa dotąd ściółka marszczyła się.

- Nie znoszę górzystych okolic - skarżył się Sadi, spoglądając na urwisko, które nieoczekiwanie wynurzyło się spomiędzy drzew. - Nierówny teren jest zawsze taki niewygodny.

- Malloreanom również będzie sprawiał kłopoty - zauważył Silk.

- Myślę, że to prawda - przyznał eunuch - ale obawiam się, że mimo to nie lubię wzniesień i dolin. Wydają mi się takie nienaturalne. Co innego gładkie jak stół bagno.

- Sprawdzę ten wąwóz przed nami - zaproponował Durnik. - Słońce niedługo zajdzie i będziemy potrzebować bezpiecznego miejsca na nocleg. - Popędził konia ku wąskiej szczelinie, w której zauważyli bystry strumień znikający z oczu gdzieś w głębi jaru.

- Jak myślicie, daleko dziś odjechaliśmy? - zapytała Velvet.

- Dwadzieścia czy dwadzieścia pięć mil - stwierdził Belgarath. - Jesteśmy już chyba wystarczająco głęboko ukryci, żeby ujść niepostrzeżenie, chyba że Malloreanie poważnie potraktują te swoje poszukiwania.

- Albo wieszczka, którą spotkaliśmy, nieopatrznie wspomni im o nas - dodała.

- Dlaczego jesteś taka podejrzliwa w stosunku do tych ludzi? - zapytała Ce'Nedra.

- Nie jestem pewna - odparła blond włosy dziewczyna - ale czuję się niepewnie za każdym razem, gdy ktoś wysyła nas tu czy tam. Jeśli mają być neutralni, to dlaczego tak starają się nam pomóc?

- To z powodu jej wykszolenia w Akademii, Ce'Nedro - wyjaśnił Silk. - Sceptycyzm jest tam uważany za jedną z najważniejszych dziedzin nauki.

- A czy ty jej ufasz, Kheldarze? - zapytała uszczypliwie Liselle.

- Oczywiście, że nie, ale ja przecież również ukończyłem Akademię.

Durnik wrócił z zadowoleniem na twarzy.

- To dobre miejsce - oświadczył. - Bezpieczne, osłonięte od wiatru i zupełnie go nie widać.

- Zobaczymy - rzekł Belgarath.

Pojechali za kowalem do wąwozu, a strumień szemrał obok nich. Po kilkuset jardach jar skręcał ostro na wschód; dalej znowu obracał się na zachód i otwierał na porośniętą drzewami nieckę. Ruczaj, wzdłuż którego jechali, spływał z krawędzi wapiennej skały, która

wznosiła się ponad kotliną, po czym spadał w postaci otoczonej mgiełką ściany wody do stawu w górnej części małego kanionu.

- Bardzo tu ładnie, Durniku - gratulowała swojemu mężowi Polgara. - A ta sadzawka nie miała żadnego wpływu na twój wybór, prawda?

- No cóż...

Roześmiała się donośnym, dźwięcznym i ciepłym śmiechem. Pochyliła się i pocałowała go delikatnie.

- Nic się nie stało, Durniku - powiedziała - ale przede wszystkim potrzebujemy schronienia. Potem będziesz mógł sprawdzić, czy jest coś w tym stawie.

- Och, jest, Polgaro - zapewnił ją. - Widziałem, jak jedna wyskoczyła. - Zawahał się. - To znaczy, zauważyłem ją przypadkiem, kiedy przejeżdżałem.

- Oczywiście, kochanie.

Pochylił lekko głowę, trochę jak speszony uczeń, lecz Garion widział ledwie dostrzegalny uśmiech, który błędził na jego ustach. Było dla niego wielkim zaskoczeniem, gdy odkrył, że jego prostoduszny przyjaciel był znacznie bardziej przebiegły, niż to się zazwyczaj wydawało. Skoro Polgara tak bardzo lubiła przyłapywać go na jego sztuczki, Durnik często starał się, żeby mogła go złapać - tylko po to, żeby sprawić jej przyjemność.

Rozbili namioty pod drzewami niedaleko stawu. Jak zwykle, Garionowi i Eriondowi przypadło zbieranie chrustu, Durnik i Toth zaś rozstawiali namioty. Silk i Belgarath zniknęli do czasu zakończenia prac, co również było jednym z ich zwyczajów. Sadi rozmawiał z Velvet i Ce'Nedrą, a jego kontralt niezbyt różnił się od głosów kobiet.

Gdy Polgara zaczęła krzątać się przy posiłku, kowal przyjrzał się krytycznym okiem obozowisku.

- Chyba będzie dobrze - stwierdził.

- Tak, kochanie - zgodziła się Polgara.

- Czy potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Nie, kochanie.

- Więc może... - Spojrzał w stronę stawu.

- Idź, Durniku - powiedziała. - Wróc tylko na kolację.

- Idziesz, Toth? - kowal zapytał swego przyjaciela.

Gdy w ich kotlinie zapadł wieczór i gwiazdy pojawiły się na aksamitnym niebie, zgromadzili się wszyscy wokół ogniska i zjedli kolację, na którą składała się lekko opiekana baranina, gotowane na parze warzywa i ciemny chleb. Wszystko to pochodziło z zapasów, które wręczył im Vard, zanim opuścili wioskę.

- Królewski posiłek, lady Polgaro - stwierdził z entuzjazmem Sadi, układając się wygodnie.

- Tak - mruknął Garion. Eunuch roześmiał się.

- Ciągłe o tym zapominam - przyznał. - Jesteś takim skromnym człowiekiem, Belgarionie. Gdybyś nosił się z większą godnością, ludzie bardziej zauważaliby to, że jesteś królem.

- Masz absolutną rację, Sadi - zgodziła się Ce'Nedra.

- Nie jestem pewien, czy to w tej chwili najlepszy pomysł - stwierdził król Rivy. - Wolałbym jednak nie zostać rozpoznany.

Silk wstał ze swego miejsca.

- Dokąd się wybierasz, Kheldarze? - zapytała Velvet.

- Chcę się rozejrzeć - odparł. - Po powrocie złożę ci szczegółowy raport, żebyś mogła napomknąć o tym w dokumencie, który przygotowujesz dla Javelina.

- Nie możesz się pogodzić z tą sytuacją?

- Po prostu nie lubię być śledzonym.

- Postaraj się uważać to za przyjacielską troskę o twoje bezpieczeństwo. Z tego punktu widzenia nie wygląda to na szpiegowanie, prawda?

- Bardzo sprytne.

- Też tak uważam. Postaraj się nie zgubić. Zniknął w ciemnościach, mrużąc coś do siebie.

- Jak myślisz, dziadku, czy żołnierze długo będą nas szukać? - zapytał Garion.

Starzec podrapał się odruchowo w zarośnięty podbródek.

- Trudno powiedzieć - odparł. - Malloreanie nie są tak bezmyślnie uparci jak Murgowie; ale jeśli rozkazy pochodzą od kogoś, kto ma wystarczająco dużą władzę, nie skończą, dopóki nie będą mogli stwierdzić, że przeprowadzili naprawdę skrzętne poszukiwania.

- A więc kilka dni?

- Przynajmniej.

- A przez ten czas Zandramas oddala się od nas z moim synem.

- Obawiam się, że nic na to nie poradzimy.

- Czy nie sądzisz, że przebrania handlarzy niewolników oszukałyby ich, Belgaracie? - zapytał Sadi.

- Wolałbym jednak nie ryzykować. Murgowie od tylu lat widują tu nyissańskich handlarzy, że nie zwracają na nich uwagi. Malloreanie są z pewnością bardziej czujni. Poza

tym, nie wiemy dokładnie, czego szukają. Możemy przypuszczać, że interesuje ich właśnie grupa handlarzy niewolników.

Silk cicho zbliżył się do przyjaciół.

- Mamy towarzystwo - oświadczył. - Widziałem tam kilka ognisk. - Wskazał na północny wschód.

- Jak blisko? - zapytał szybko Garion.

- Co najmniej dziesięć mil. Wdrapałem się na szczyt, więc widziałem na dość dużą odległość. Jest ich sporo.

- Malloreanie? - zastanawiał się Durnik.

- Prawdopodobnie. Według mnie przeczesują las.

- No więc, ojciec? - odezwała się Polgara.

- Przed świtem nie powinniśmy podejmować żadnych decyzji - odrzekł starzec. - Jeśli sprawdzają pobieżnie, możemy tu zostać. Natomiast gdyby zabierali się do tego poważnie, będziemy musieli zastanowić się nad innym rozwiązaniem. Teraz najlepiej wszyscy prześpijmy się trochę. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Silk wstał przed świtem. Kiedy pozostali zebrali się przy ognisku w świetle wschodzącego słońca, powrócił już ze szczytów wzgórz.

- Zbliżają się - poinformował ich. - Przeczesują las cal po calu. Możemy być chyba pewni, że któryś z nich zjawi się w tym wąwozie.

Belgarath powstał.

- Niech ktoś zgasi ogień - polecił. - Dym sprowadzi ich wprost na nasze głowy.

Durnik szybko zasypał palenisko piachem, a Toth stał i wpatrywał się w głąb kotlinki. Poklepał Belgaratha po ramieniu i pokazał mu coś.

- Co on mówi, Durniku? - zapytał starzec.

Kowal i olbrzym porozumiewali się za pomocą serii dziwacznych gestów.

- Mówi, że po drugiej stronie stawu rosną krzaki jeżyn. Myśli, że jeśli pójdziemy tam na tył, gdzie obniża się urwisko, może znajdziemy dobre miejsce na kryjówkę.

- Sprawdź to - rozkazał krótko - a my tymczasem usuniemy stąd wszelkie ślady naszej obecności.

Złożenie namiotów i zatarcie śladów zajęło im kwadrans. Gdy Silk po raz ostatni badał miejsce po obozowisku, powrócili Durnik i Toth.

- Nadaje się - stwierdził kowal. - W środku zarośli jest pas pozbawiony roślin. Nie zostawimy śladów, jeśli będziemy ostrożni wprowadzając tam konie.

- A nie zobaczą nas stamtąd? - zapytał Garion, wskazując szczyt urwiska.

- Przykryjemy to miejsce jeżynami - odrzekł Durnik. - To nie potrwa zbyt długo. - Spojrzał na Silka. - Jak myślisz, dużo jeszcze mamy czasu? Jak blisko są żołnierze?

- Godzinę drogi od nas.

- A więc na pewno zdążymy.

- No dobrze - rzekł Belgarath. - Ruszajmy. I tak wolę się chować, niż uciekać.

Aby wprowadzić konie do środka, należało odgarnąć krzewy jeżyn. Garion i Silk starali się potem ustawić je tak, by zasłoniły ślady zwierząt, po których tu trafili. Durnik i Toth natomiast ucięli długie, cierniste wici i budowali z nich dach. Wtem Toth zastygł i zapatrzył się, nasłuchując czegoś w oddali. Przybrał dziwnie obojętny wyraz twarzy i westchnął.

- O co chodzi, Toth? - zapytał Durnik. Olbrzym wzruszył ramionami i wrócił do pracy.

- Dziadku - odezwał się Garion - jeśli z żołnierzami są jacyś Grolimowie, to czy będą nas szukać za pomocą umysłów?

- Mało prawdopodobne, żeby byli z nimi Grolimowie - odpowiedział Drasanin. - To mały oddział, a kościół i armia nie żyją zbyt zgodnie w Mallorei.

- Nadchodzą, ojciec - poinformowała Polgara.

- Jak daleko?

- Mniej więcej milę od nas.

- Podejźmy na skraj zarośli - zaproponował Garionowi Silk. - Lubię mieć oko na to, co się dzieje.

Położył się i zaczął czołgać pomiędzy korzeniami kłujących krzewów.

Po kilku jardach z ust Gariona popłynęły wyszukane przekleństwa. Niezależnie od tego, w którą stronę skręcał, ostre ciernie zawsze znajdowały drogę do kilku wrażliwych miejsc na jego skórze.

- Nie chcę ci przeszkadzać - szepnął Drasanin - ale wypadaloby teraz trochę pomilczeć.

- Widzisz coś? - zapytał Garion równie ściszym głosem.

- Jeszcze nie, ale już słyszeć, jak tupią przy wejściu do wąwozu. Skradanie się nie jest najmocniejszą stroną Mallorean.

Z głębi jaru doszły Gariona ciche odgłosy rozmów. Dźwięki te, zniekształcone przez ściany skalne o nieregularnych kształtach, docierały do nich dziwnymi seriami. Potem rozległ się stukot końskich kopyt na skałach obok rwącego strumienia. Malloreanie rozpoczęli poszukiwania nad ruczajem.

Oddział liczył około dwunastu żołnierzy. Mieli na sobie zwyczajne czerwone tuniki i siedzieli sztywno na koniach, jakby nie było im zbyt wygodnie.

- Czy ktoś nam w ogóle powiedział, dlaczego szukamy tych ludzi? - zapytał jeden z nich nieco kwaśnym tonem.

- Jesteś w armii już wystarczająco długo, by wiedzieć takie rzeczy, Breku - odpowiedział mu inny. - Oni nigdy nie mówią dlaczego. Kiedy oficer każe ci skakać, nie pytasz go dlaczego. Mówisz tylko: na jaką wysokość?

- Oficerowie. - Brek splunął. - Dostaje im się to, co najlepsze, a nigdy nic nie robią. Któregoś dnia zwykli żołnierze tacy jak ty i ja będą ich mieli dość, więc lepiej niech ci kapitanowie i generałowie sobie uważają.

- Mówisz o buncie, Breku - zauważył jego towarzysz, rozglądając się nerwowo. - Jeśli kapitan nas usłyszy, natychmiast każe cię powiesić.

Brek zmarszczył czoło.

- Po prostu powinni sobie uważać i tyle - burknął. - Człowiek nie może bez końca być popychadłem.

Malloreanie przejechali dokładnie przez obozowisko, do reszty zacierając wszelkie ślady. Ruszyli brzegiem stawu.

- Sierzancie - odezwał się Brek tonem skargi do potężnego mężczyzny, który jechał na czele - czy nie czas już zatrzymać się na odpoczynek?

- Brek - odrzekł dowódca - chciałbym kiedyś przeżyć dzień, w którym nie słyszałbym twojego wiecznego narzekania.

- Nie ma pan powodu, żeby tak do mnie mówić - sprzeciwił się żołnierz. - Przecież wypełniam rozkazy, prawda?

- Ale marudzisz, Breku. Mam już dość twojego biadolenia z powodu wszystkiego, co nam się przytrafia i kiedy następnym razem otworzysz gębę, wybije ci zęby.

- Doniosę kapitanowi o tym, co pan właśnie powiedział - zagroził Brek. - Pamięta pan, co on mówił o biciu nas?

- Myślisz, że cię zrozumie? - zapytał złowieszczo sierżant. - Wiesz, ktoś, kto nie ma zębów, mamrocze bardzo niewyraźnie. A teraz napój konia i trzymaj gębę na kłódkę.

Wtem do kotliny wjechał z wąwozu, cwałując na chudym koniu, mężczyzna o surowej twarzy i stalowoszarych włosach.

- Jakież ślady? - zapytał krótko. Sierżant zasalutował.

- Nic, kapitanie - zameldował. Oficer rozejrzał się.

- Czy zaglądaliście do tamtych zarośli? - wskazał miejsce, w którym ukrywali się

Garion i jego przyjaciele.

- Właśnie mieliśmy to zrobić, sir - odparł żołnierz. - Chociaż nie widać żadnych tropów.

- Tropy mogą być zatarte. Każ swoim ludziom to przeszukać.

- Natychmiast, kapitanie.

Kiedy żołnierze podjechali do jeżyn, kapitan zsiadł z konia i podszedł do stawu, aby go napić.

- Czy generał mówił coś o tym, dlaczego mamy schwycić tych ludzi, sir? - zapytał sierżant, również stając na ziemi.

- Nic, co mogłoby cię interesować, sierżancie.

Jeźdźcy objeżdżali chaszczę, udając, że zagląдают pomiędzy krzaki jeżyn.

- Każ im zsiąść z koni, sierżancie - rzekł z niesmakiem oficer. - Chcę, żeby dokładnie przeszukali te zarośla. Ten białobrody człowiek w wiosce mówił, że będą właśnie w tej części lasu.

Garion stłumił nagły okrzyk.

- Vard! - szepnął do Silka. - Powiedział im dokładnie, gdzie nas znaleźć.

- Na to wygląda - odburknął ponuro Drasanin. - Cofnijmy się trochę w głąb tego gąszczu. Żołnierze chyba dokładniej się teraz za to zabrają.

- Te zarośla są pełne ciemnych krzaków, kapitanie - zawołał Brek. - Nie możemy tam wejść.

- Użyjcie włóczni - rozkazał oficer. - Wtykajcie je, może natraficie na kogoś.

Malloreanie odwiązali włócznie od siodeł i zaczęli wpychać je w gąszcz.

- Niżej - szepnął Silk.

Garion przywarł do ziemi i skrzywił się, gdy poczuł kilka cierni na udach.

- To gęste krzewy - krzyknął po jakimś czasie Brek. - Nikt nie mógłby tam wejść, nie z końmi.

- Dobrze - oświadczył oficer. - Na koń, wracamy. Spróbujemy w następnym wąwozie.

Garion ostrożnie wypuścił długo wstrzymywany oddech.

- Niewiele brakowało - szepnął do Silka.

- Bardzo niewiele - odparł Drasanin. - Chyba porozmawiam o tym z Vardem.

- Dlaczego miałby nas zdradzić w ten sposób?

- Między innymi o tym będziemy mówić, kiedy go spotkamy.

Gdy żołnierze dotarli do stawu, kapitan odwrócił się w siodle.

- Dobrze, sierżancie - powiedział. - Formować szyki, ruszamy dalej.

Wtem tuż przed nim powietrze zadrżało i ukazała się Cyradis w kapturze nasuniętym na głowę.

Spłoszony koń oficera cofnął się, a mężczyzna z trudem utrzymał się w siodle.

- Na kły Toraka! - zaklął. - Skąd się tu wzięłaś?

- To nie jest istotne - odparła. - Przybyłam tu, aby pomóc ci w twych poszukiwaniach.

- Ostrożnie, kapitanie - zawołał Brek. - To jedna z czarownic Dalów. Rzuci urok, jeśli nie będzie pan uważał.

- Zaniknij się, Brek - warknął sierżant.

- Wyjaśnij mi, kobieto - rzekł władczy tonem oficer. - Co miała znaczyć twoja ostatnia uwaga?

Cyradis obracała się, aż stanęła na wprost krzaków jeżyn.

Uniosła rękę i wskazała je.

- Ci, których szukacie, tam się ukrywają - oświadczyła. Gdzieś za sobą Garion usłyszał okrzyk Ce'Nedry.

- Właśnie to przeszukaliśmy - sprzeciwił się Brek. - Nikogo nie ma w tym gąszczu.

- Zatem wzrok was zawodzi. Kapitan spojrział na nią zimno.

- Tracę przez ciebie czas - powiedział. - Widziałem na własne oczy, jak moi ludzie przetrząsnęli to miejsce. - Oczy mu się zwężyły. - Co wieszczka z Kell robi w Cthol Murgos? - zapytał. - Nikt was tu nie chce. Wracaj do siebie i zajmij się cieniami, które wypełniają twój chory umysł. Nie mam czasu, by paplać z niedorośliwymi wiedźmami.

- A więc muszę udowodnić wam, iż słowa me są prawdą - odrzekła. Uniosła głowę i stanęła nieruchomo.

Za Garionem i Silkiem rozległ się huk, a po chwili potężny Toth wypadł z zarośli, odpowiadając na nieme wezwanie swej pani. Niósł w rękach szamoczącą się Ce'Nedrę.

Kapitan spojrział na niego zdumiony.

- To jeden z nich, kapitanie! - wykrzyknął Brek. - To ten olbrzym, którego kazałeś nam szukać i rudowłosa dziewczka.

- Jest tak, jak wam powiedziałam - oświadczyła Cyradis. - Poszukajcie tam pozostałych. - Po czym zniknęła.

- Łapcie tych dwoje! - rozkazał sierżant, a kilkunastu ludzi zeskoczyło z siodła i otoczyło Totha i wciąż walczącą Ce'Nedrę z obnażoną bronią w rękach.

- Co zrobimy? - Garion szepnął do Silka. - Mają Ce'Nedrę.

- Widzę.

- A więc chodźmy. - Król sięgnął po miecz.

- Rusz głową - warknął niski mężczyzna. - Znajdzie się w większym niebezpieczeństwie, jeśli się na nich rzucisz.

- Garion, Silk, co się dzieje? - doszedł ich szept Belgaratha. Garion obejrzał się przez ramię i zobaczył, że dziadekusiłuje coś dojrzyć przez jeżyny.

- Mają Totha i Ce'Nedrę - poinformował cichym głosem. - To była Cyradis, dziadku. Powiedziała im dokładnie, gdzie nas znaleźć.

Starzec stęzał na twarzy, ruchy warg wskazywały, że miota przekleństwa.

Kapitan podjechał do gęstwiny w otoczeniu sierżanta i reszty swoich ludzi.

- Pozostali niech lepiej wyjdą - rozkazał mocnym głosem. - Mam już dwoje waszych przyjaciół i wiem, że tam jesteście.

Żadnej odpowiedzi.

- No, wychodźcie - ponaglał. - Bądźcie rozsądni. Jeśli nie wyjdziecie, pošlę po posiłki i każę ściąć te zarośla mieczami. Nikt z was nie jest na razie ranny, a ja daję wam słowo, że nic się nikomu nie stanie, jeśli teraz wyjdziecie. Pozwolę wam nawet zatrzymać broń, jako gest dobrej woli.

Garion usłyszał krótką, szeptaną naradę za sobą.

- No, dobrze, kapitanie - odezwał się z niesmakiem Belgarath. - Pilnuj swoich ludzi. Wychodzimy. Garion i Silk, wy też.

- Dlaczego on to zrobił? - zapytał Garion. - Moglibyśmy pozostać w ukryciu i wymyślić sposób, jak ich uwolnić.

- Malloreanie wiedzą, ilu nas jest - odparł Drasanin. - Kapitan jest na razie górą. Chodźmy. - Zaczął wyczołgiwać się z ukrycia. Garion zaklął i ruszył za nim.

Pozostali również wynurzyli się z gęstwiny i podchodzili do kapitana. Natomiast Durnik minął ich z twarzą zsiniałą ze złości i zbliżył się szybko do Totha.

- Czy tak według ciebie wygląda przyjaźń? - zapytał. - Tak odpłacasz za naszą dobroć?

Olbrzym posmutniał, ale nie uczynił żadnego gestu, by odpowiedzieć, czy coś wyjaśnić.

- Myliłem się co do ciebie, Toth - mówił dalej kowal zatrwając spokojnym głosem. - Nigdy nie byłeś przyjacielem. Po prostu twoja pani kazała ci się przyłączyć, abyście mogli nas zdradzić. No, ale nie będziesz miał już po temu drugiej okazji. - Zaczął podnosić rękę, a Garion poczuł nagłą falę, gdy zaczął ogniskować Wolę.

- Durniku! - zawołała Polgara. - Nie!

- Zdradził nas, Pol. Nie pozwolę, by uszło mu to płazem. Wpatrywali się w siebie

długo, złączeni wzrokiem. Wówczas coś przepłynęło między nimi i Durnik spuścił w końcu głowę. Zwrócił się do olbrzyma.

- Między nami koniec, Toth. Nigdy ci już nie zaufam. Nawet nie chcę cię już oglądać. Daj mi książniczkę. Nie życzę sobie, żebyś jej dotykał.

Milczący Toth podał mu Ce'Nedrę. Kowal wziął ją i rozmyślnie obrócił się do niego plecami.

- A więc dobrze, kapitanie - rzekł Belgarath. - Co teraz?

- Mam rozkaz dostarczyć was bezpiecznie na Rak Verkat, Przedwieczny Belgaracie. Oczekuje was tam gubernator wojskowy. Oczywiście, będę musiał oddzielić od ciebie niektórych twych towarzyszy - tak na wszelki wypadek. Twoja moc i lady Polgary jest powszechnie znana. Życie waszych przyjaciół zależy od waszego opanowania. Jestem pewien, że mnie zrozumiesz.

- Oczywiście - odparł sucho starzec.

- Czy w planach waszego gubernatora są także lochy i tym podobne? - zapytał Silk.

- Jest pan niesprawiedliwy wobec jego ekscelencji, księżę Khekłarze - rzekł do niego kapitan. - Polecono mi odnosić się do was z największym szacunkiem.

- Doskonale wiesz, kim jesteśmy, kapitanie - zauważyła Polgara.

- Osoba, która kazała nam was zatrzymać, zadbała o wszystkie szczegóły, pani - odpowiedział z krótkim, wojskowym ukłonem.

- A któż to mógł być?

- Czy w twym umyśle jest jakaś wątpliwość, lady Polgaro? Rozkazy pochodzą wprost od jego imperialnej wysokości Kal Zakatha. Od jakiegoś czasu wiedział już o waszej obecności w Cthol Murgos. - Zwrócił się do swoich ludzi. - Otoczyć jeńców - rozkazał ostro.

- Proszę o wybaczenie, pani - mówił dalej do Polgary. - Gości, oczywiście. Wojskowy język bywa czasem taki niewrażliwy. W Rak Verkat czeka na was okręt. Odpłyniecie natychmiast po przyjeździe do miasta. Jego imperialna wysokość z ogromną niecierpliwością oczekuje waszego przybycia w Rak Hagga.

Tak kończy się Księga Druga Malloreonu.

Księga Trzecia, Władca Demonów z Karandy, ukaże, jakie zamiary imperator Zakath żywi wobec drużyny i przedstawi dalsze mroczne plany Zandramas oraz osobliwe życie demonów.